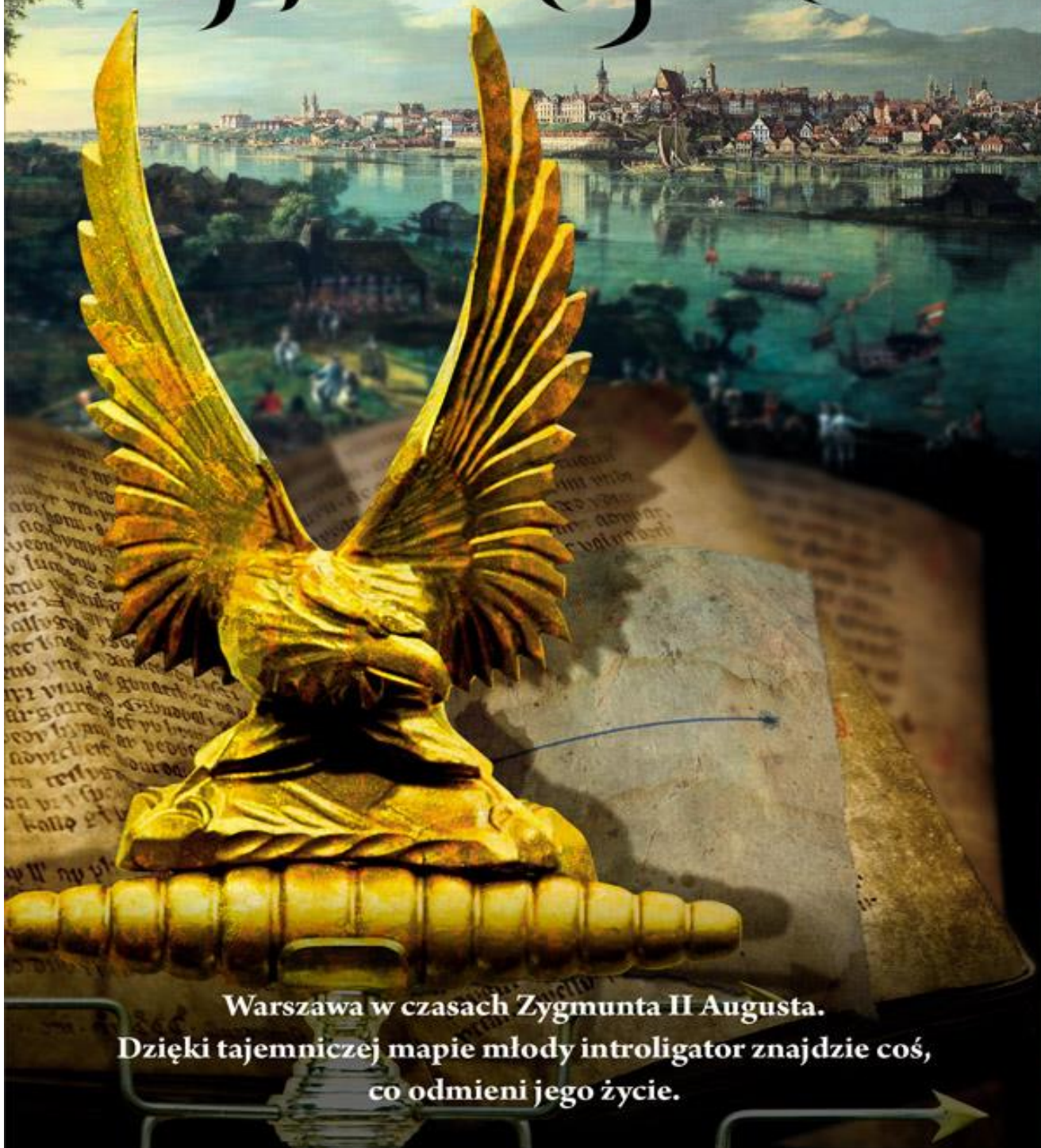


NOVAE RES

RYSZARD MARIAN MROZEK

Intro ligare



Warszawa w czasach Zygmunta II Augusta.

Dzięki tajemniczej mapie młody introligator znajdzie coś,
co odmieni jego życie.

RYSZARD MARIAN MROZEK

Intro ligare

Powieść na tle historii pisana



NOVAE RES

OD AUTORA

Przede wszystkim chcę powiedzieć, co zainspirowało mnie do napisania tej książki. Otóż w czasie niedawnego zwiedzania Zamku Królewskiego w Warszawie przypomniałem sobie, że w latach pięćdziesiątych minionego wieku, gdy Zamek leżał jeszcze w gruzach, wyczytałem – nie pamiętam już w jakiej gazecie – pewną ciekawostkę na jego temat.

Autor notatki napisał, że za panowania Zygmunta II Augusta w Zamku Królewskim w Warszawie znajdował się złoty orzeł rzymski siedzący na greckiej kolumnie.

Właśnie z powodu owej kolumny ta informacja utkwiała mi w pamięci, bo próbowałem dociec, dlaczego na greckiej, czy są jakieś różnice między kolumną grecką a rzymską, a jeśli są – to jakie.

Dziennikarz nie sprecyzował, czy orzeł był ze złota, czy jakiś sztukator odlał go z gipsu i pozłocił. Dalej pisał, że tego orła na kolumnie widziano w Belwederze w czasie, gdy rezydował w nim carski namiestnik wielki książę Konstanty. Kiedy podczas wydarzeń Nocy Listopadowej książę musiał uchodzić z Belwederu, orzeł gdzieś przepadł i do tej pory nikt nie wie, co się z nim stało.

Nie wiem, ile prawdy było w tej notatce, ale przekazuję to, co zapamiętałem. Gdy sobie to wszystko przypomniałem, zaraz zacząłem snuć fantazje, skąd wziął się na Zamku orzeł rzymskich legionów, kto i dlaczego przeniósł go później do Belwederu, jak i gdzie mógł zaginąć.

Żadnych materiałów poruszających temat owego orła nie mogłem znaleźć nawet w Bibliotece Narodowej, więc na kanwie przeczytanej notatki postanowiłem wysnuć własną interpretację tej historii i tak powstała ta powieść.

Ponieważ rzecz dzieje się w Polsce w określonym czasie i miejscu, trzeba było poznać jak najwięcej konkretów na temat ówczesnych wydarzeń, jakie mogły stanowić kanwę opowiadania, choćby dlatego, żeby puszczając wodze fantazji, nie wymyślić sytuacji sprzecznych z faktami. Sięgnąłem więc po dzieła historyczne, do jakich miałem dostęp, a przy tej okazji dziwnych i ciekawych rzeczy się dowiedziałem. Tego na przykład, jak dwie dostojne niewiasty, z posiadłości swoich się nie ruszając, do Ziemi Świętej pielgrzymowały. Wzmiankę o tym zamieściłem w książce – dla urozmaicenia jej treści.

Pisanie czegoś swojego na tle historii jest podobne do tworzenia swojego obrazu na tle już istniejącego, który wcześniej ktoś inny namalował. Wtedy własne malowidło może na nim to i owo przesłonić, perspektywę zmienić i obce elementy wprowadzić. Mam nadzieję, że nie dodałem ich zbyt wiele, a jeśli – to że nie są one zbyt rażące. Staralem się unikać wymyślania sytuacji, jakie w opisywanych czasach nie mogły mieć miejsca, a wszystkie daty historyczne zamieszczone w książce są prawdziwe.

Dlaczego bohaterem tej książki jest introligator? Może dlatego, że także ja nim jestem. Już przeszło pół wieku minęło, jak u mistrza, pana Zygmunta Zjawieńskiego – którego do dziś wdzięcznie wspominam – mającego wówczas pracownię przy ulicy Mokotowskiej w Warszawie, robiłem pracę najpierw na egzamin czeladnika, a później na

dyplom mistrzowski.

Dodam jeszcze, że postaci pana Gałęckiego nie wymyśliłem. Otóż w jednym z dzieł historycznych poświęconych dawnej Warszawie natknąłem się na nazwiska kilku introligatorów, w opisywanym czasie tam biedę klepiących. Jednym z nich był właśnie Kazimierz Gałęcki. Cytuję, co mi w pamięci pozostało: ...*Gałęcki Kazimierz, ten swój kramik przy Bramie Nowomiejskiej ma... ten tak zbiedniał, że na wyżywienie dzieci nie ma...* Może te właśnie dzieci wpłynęły na to, że ojca ich na kartkach powieści umieściłem, aby chociaż w ten sposób tę rodzinę poratować?

Dziś zanika moje rzemiosło, ustępując miejsca rozwijającemu się przemysłowi, ale będzie istniało, póki będą istniały książki w postaci papierowej, bo przemysł i rękodzieło odpowiadają na różnego rodzaju zapotrzebowania.

PROLOG

W 476 roku Orestes, dowódca wojsk rzymskich, swego nieletniego syna Romulusa Augustusa, zdrobniale zwanego Augustulusem, urodzonego około 470 roku, mianował cesarzem Rzymu i rządził w jego imieniu. Dziwny zbieg okoliczności sprawił, że imię tego ostatniego cesarza Rzymu – Romulus – było takie samo, jak jednego z jego założycieli.

W owym czasie imperium rzymskie czasy świetności miało już za sobą. Wśród najemnych wojsk żądających przywilejów Germanie byli grupą domagającą się ich najgłośniej. Gdy Orestes w imieniu syna te żądania odrzucił, zbuntowali się i 23 sierpnia 476 roku sami wybrali sobie króla. Został nim Odoaker, będący podobno mieszanej krwi huńsko-germańskiej.

Orestes został pokonany w bitwie pod Ticinum. Zwycięzca okazał łaskę małemu Augustulusowi, zadowolając się odebraniem mu sprawowanej zaledwie przez dziesięć miesięcy – zresztą jedynie nominalnie – władzy. Nie tylko puścił go wolno, ale nawet dał mu majątek Lucullanum w okolicach Neapolu i przyznał sześć tysięcy sztuk złota rocznie na utrzymanie.

Augustulus zmarł prawdopodobnie około roku 507[1].

*

Wieść o bitwie pod Ticinum nie dotarła jeszcze do dowódcy kohorty[2] Klaudiusza Sylwanusa. Rzymianie zatrzymali się na kilka dni w warownym obozie na brzegu Dunaju, gdzie zapuścili się w pościgu za jakimś zbuntowanym oddziałem germańskim.

Po pogodnym wieczorze nastąpiła mglista noc, zacierająca kontury przedmiotów i tłumiąca odgłosy. Z rozlewisk nad rzeką napływały tumany mgły, w których białe namioty to jawiły się, to znikwały. Na środku prostokątnego placu tkwił zatknięty w ziemię proporzec oddziału. Nasiąknięte wilgocią czerwone i złote barwy smętnie zwisały wzdłuż drzewca, na którego szczycie dumnie rozpościerał skrzydła złoty orzeł, jakby właśnie zrywał się do lotu.

Nadchodził czas przedświt, pora, kiedy zmęczonym strażom zaczynają ciążyć powieki, a bliskość zmiany warty i oczekiwanego odpoczynku osłabia czujność. Na obóz napłynął nowy kłęb mgieł, skrywając równe szeregi namiotów. Gdy wkrótce tchnienie wiatru rozproszyło mgłę, w otoczeniu coś się zmieniło. Sztandar znikł.

*

Gdy pierwsze promienie słońca próbowały się przebić przez wiszący nad światem tuman i zaczęło się przejaśniać, rozległ się sygnał alarmu. Z namiotów zaczęły wybiegać żołnierze, w pośpiechu dopinając sprzączki pancerzy i chwytając włócznie zatknięte przed namiotami, spieszyli na miejsce zbiórki. Dobiegając na plac, zaskoczeni spoglądali na puste miejsce, gdzie powinien tkwić ich znak. Karnie stanęli na swoich miejscach, a nad równymi rzędami hełmów wyrósł las włóczni. Stali i czekali w milczeniu, nieruchomi jak posągi.

Klaudiusz Sylwanus wyszedł z namiotu, energicznym krokiem ruszył na plac i stanął przed frontem żołnierzy. Kita na szczycie błyszczącego hełmu lśniła czerwienią, pancerz z wytłoczoną na nim lwią głową wychylał się spod narzuconego na ramiona płaszcza, a ręka niecierpliwie uderzała w pochwę wiszącego u boku miecza. Krótco spojrzął na miejsce, gdzie niedawno zatknięty był proporzec. Twarz miał mroczną i groźną, gdy przemówił:

– Czyja to świętokradcza ręka ośmieliła się zabrać nasz znak, symbol chwały i władzy Rzymu? Czy ten ktoś łudzi się, że przywłaszczając go, tym samym posiadał wszystko, co on reprezentuje?! Naszą siłę i honor?!

Złoczyńca swoim czynem znieważył nie tylko nas, ale cały Rzym! A Rzymu nikt nie znieważa bezkarnie! Ufam, że wkrótce nasz znak wróci na swoje miejsce! Stać i czekać, dopóki centurioni[3] nie sprawdzą, kogo brakuje!

Energicznie się odwrócił i wrócił do namiotu. Zdjął hełm, usiadł na stołku i oparł łokcie na kolanach, obejmując głowę rękami. Jak Rzym Rzymem o czymś takim nikt jeszcze nie słyszał. Ulec przemocy i utracić sztandar w bitwie – tak, to się zdarzało; ale tylko za cenę krwi wrogów i życia obrońców. Ale pozwolić wziąć go sobie ot tak, po prostu, jak dziecko bierze zabawkę? Na Jowisza, co ten ktoś chce osiągnąć swoim czynem?! Czy nie zdaje sobie sprawy, że będziemy go ścigać i znajdziemy, choćby się ukrył w mysiej dziurze gdzieś na krańcach świata?! A co on sam – dowódca – ma w takiej sytuacji zrobić? Pchnąć się mieczem, żeby uniknąć hańby?

Do namiotu wszedł oficer dyżurny.

– Dowódco, melduję, że już znamy sprawców. To dwaj Germanie, wartownicy, trzymający przy bramie nocną straż. Dołączył do nich trzeci, dlatego tak łatwo im było opuścić obóz ze sztandarem. Wszyscy trzej są z tej samej dziesiątki.

– A więc to musiała być zмова. Co zarządziłeś?

– Żołnierzom kazałem się rozejść i wypełniać swoje obowiązki, bo skoro sprawcy są już znani, nie ma sensu trzymać wszystkich na placu. Po śladach na rosie ustalono, że zbiegowie przez rzekę przeprawili się wpław, konno w miejscu, gdzie pośrodku są dwie wysepki, i mają około dwóch godzin przewagi, kierując się na północ.

– Jaki jest nastrój wśród żołnierzy.

– Są poruszeni.

– Czy jesteś pewien, że inni nie byli z nimi w zmovie?

– Tak, jestem tego pewien. A dezercerzy to Germanie z plemienia Rugiów.

– Dowódco grupy pościgowej daj parę kartek papirusu, niech rysuje plan przebytej drogi. Ważne jest wszystko, co kiedyś może się przydać naszym wojskom: miasta, drogi, rzeki, brody i mosty na nich oraz inne podobne szczegóły. Oczekuję, że sztandar wkrótce stanie na swoim miejscu, a obok niego zatknięte na palach głowy zdrajców. Zostaniemy tu kilka dni, póki pościg nie wróci... Mam nadzieję, że ze sztandarem – dodał.

*

Minął jednak tydzień, a pogoń nie wracała. Minął drugi tydzień... miesiąc... rok... Miejsce po obozie Rzymian dawno porosła trawa. Wreszcie minęło ponad tysiąc lat...

[1] Za: Aleksander Krawczuk, *Poczet cesarzy rzymskich*, wyd. Iskry, Warszawa

1991.

[2] *Kohorta* – jednostka taktyczna armii rzymskiej licząca 600 żołnierzy; dziesiąta część legionu.

[3] *Centurion* – dowódca centurii, oddziału stu żołnierzy.

Historia ta, dalej opisana, zaczyna się *Anno Domini* 1568, pod koniec panowania Zygmunta II Augusta, syna również Zygmunta, dla odróżnienia zwanego Starym. Mój przyjaciel Łukasz, ksiądz, o którym dalej jeszcze będzie mowa, powiedział mi niegdyś, że z tym naszym Augustem łączy się kilka dziwnych przypadków.

Oto dawno temu król jeden rzymski albo cesarz, już nie pamiętam, też miał na imię August. Nasz August będzie pewnie ostatnim z Jagiellonów, bo do tej pory potomstwa się jakoś nie doczekał, chociaż niejedną żonę miał, a tamten rzymski August był ostatnim cesarzem Rzymu.

Jeden i drugi władcami zostali jako dzieci, a w ich imieniu rządzili ojcowie. Tamtego na króla czy cesarza namaścił ojciec, a naszemu matka, królowa Bona, też zawczasu postarała się koronę zapewnić. Tylko że tamten Rzymianin panował krótko, bo ledwo parę miesięcy, a ten nasz od śmierci ojca koronę nosi już lat dwadzieścia, chociaż nie wiadomo jak długo jeszcze, bo słabego jest zdrowia. Ale człękowi nie przeciwiać się woli Boga.

Wtedy właśnie z Krakowa przeniosłem się do Warszawy z nadzieją, że tutaj lepiej mi się powiedzie, bo Warszawa, leżąca w połowie drogi z Litwy do Krakowa, nabierała coraz większego znaczenia. Tu król zatrzymywał się w czasie swoich podróży na Litwę, tu odbywały się różne narady, a Kraków leżał daleko na południu Rzeczypospolitej. Ale nie tylko to zadecydowało, że się tu przeniosłem.

Cech introligatorów, do którego należałem w Krakowie, chociaż mistrzem już byłem, czynił mi przeszkody w założeniu własnej pracowni. Mistrzowie cechowi, właściciele warsztatów, nie chcieli obniżenia swego poziomu życia, więc krzywym okiem patrzyli, jeśli dawny uczeń po wyzwoleniu się zakładał im pod bokiem nową pracownię i odbierał klientelę. Wprawdzie jeszcze król Władysław Jagiełło w 1423 roku, w przywileju warckim, ograniczył prawa cechów, ale jak to u nas bywa: królowie sobie, a życie sobie...

Więc miałem do wyboru: albo u dotychczasowego majstra robić za lada jaką płacę, nie mając przed sobą widoków na samodzielną pracownię, albo przenieść się do innego miasta i tam spróbować szczęścia. Miałem już 26 lat i pora mi było postarać się o założenie rodziny. Niekiedy czyn rodzi się prędzej jak myśl, a nadmiar zaufania we własne siły bywa brakiem wyobraźni. Był to jakby skok do nieznannej wody, na który bym się nie zdecydował, gdyby nie pieniądze pomocy ojca, właściciela dobrze prosperującego zakładu krawieckiego.

W Warszawie, zakrzętnąwszy się, wynająłem dwie małe izdebki na Podwalu, blisko Bramy Krakowskiej, u rodziny bednarza mającego w podwórku swój warsztat, obok którego mieściła się też wygodka, co tu wtedy nie było powszechnością i nadal nie jest. Dom był niewielki, drewniany, z piętrem, podzielony sionką na pół.

W szerszej ścianie mojej izby było niewielkie okno, przez które gdy się wychyliłem, po prawej stronie widziałem Bramę Krakowską i Zamek za nią, a patrząc na wprost, po drugiej stronie ulicy – fosę i mury otaczające Stare Miasto, za którymi

wznosiły się wieże kościołów i domy mieszczan.

Przed Bramą Krakowską było Czerskie Przedmieście[1], skąd drogi prowadziły na Kraków, Sochaczew i Czersk. Kiedyś podobno znajdował się tam cmentarz żydowski, ale teraz już nie ma po nim śladu.

Mniejsza izdebka, w której spałem, oddzielona była od większego pomieszczenia ścianką i pozbawiona okna. Zmieściło się tam tylko łóżko i stołek. Na drewnianych kołkach osadzonych w ścianie mogłem powiesić odzież, co zastępowało mi szafę, a resztę skromnego dobytku trzymałem w kuferku pod łóżkiem.

Większą izbę przeznaczyłem na pracownię. Był w niej stół pod oknem, dwa stołki, kilka półek na ścianie, gdzie też zaraz poukładałem swoje narzędzia, i niewielka kuchenka. Poza tym miałem na stołku blaszaną miskę i gliniany dzbanek na wodę. Z opróżnianiem miski nie było kłopotu, po prostu wychlustywało się ją na drogę przed drzwiami.

Po drugiej stronie sionki większe mieszkanie zajmowali oboje gospodarze z dwunastoletnim synem.

Jeśli miałem nadzieję, że prędko znajdę pracę, to rychło ją straciłem. Na początek postanowiłem dowiedzieć się, jak się powodzi innym mistrzom mego fachu. Odwiedziłem dwóch i co się okazało? Pan Kazimierz Gałęcki, co ma swój zakład przy Bramie Nowomiejskiej tak zbiedniał, że ledwo dzieci może utrzymać. Pan Słowiński nawet terminatora nie ma, bo nie ma dla niego roboty i tylko sam jeden robi, jeśli ma co.

Wkrótce po przyjeździe poszedłem więc do kościoła św. Anny[2], bo do niego miałem najbliżej, aby pomodlić się o wspomnienie w moim ciężkim strapieniu i Pan Bóg był łaskaw, że zaraz pierwszego dnia doznał pewnej pociechy. Oto ksiądz, co się właśnie przy ołtarzu krzątał, co raz to spoglądał w moją stronę, bom stał blisko ołtarza i wkrótce kościelny sługa wywołał mnie do zakrystii, że ksiądz chce się ze mną zobaczyć. Zdziwiłem się, bo w Warszawie żadnego księdza nie znałem.

– Ty jesteś Paweł Kieleściak? – zapytał, gdy przed nim stanął.

– Ja.

– Poznajesz mnie?

Zdało mi się, że widzę w nim coś znajomego, ale osoby nie mogłem skojarzyć z żadnym imieniem.

– Pamiętasz Łukasza, co jak żakiem w Akademii Krakowskiej był, na stacji u was mieszkał?

Dopiero teraz poznałem w księdzu tego chłopaka, który różne książki do domu przynosił i ciągle coś pisał, co i dla mnie było z pożytkiem, bo też niemało skorzystałem z tego, czego on się uczył. Był sporo starszy ode mnie; jak do swoich szkół chodził, mnie szło dopiero na dziesiąty rok. Lecz chociaż wtedy niemal dwa razy starszy, traktował mnie jak równego sobie i o różnych ciekawych rzeczach z książek opowiadał. I przez to później, z książkami chcąc mieć do czynienia, póty prosiłem ojca, co i we mnie też krawca chciał widzieć, aż mnie do terminu oddał i tak zacząłem robić przy oprawie książek. Łukasz tymczasem Akademię skończył, gdzieś wyjechał i aż do tej pory go nie widziałem.

– No to uściskajmy się – powiedział, gdy po mojej twarzy poznał, że go już sobie przypomniał, i ręce rozłożył.

Skonfundowałem się, bo nie widziało mi się, żeby z duchowną osobą tak się spoufalać, ale on na to nie zważał. Ucałował mnie w oba policzki i jeszcze raz objął.

– Co porabiasz w Warszawie? – zapytał. – Zamieszkałeś tu?

– Mieszkać, to mieszkam, ale z tym porabianiem to gorzej, bo na razie nie mam o co ręk zaczepić. A wasza wielebność... nie pytam, kim jesteś, bo widzę, że księdzem, ale: jak to się stało, żeś nim został?

– Te wielebności ostawmy na publiczne okazje, a tak na co dzień niech będzie jak dawniej: Łukasz i Paweł. A co do mojego stanu, dużo by o tym mówić, ale teraz na to nie bardzo jest pora i miejsce. Jak będzie czas, musimy usiąść i opowiedzieć sobie o wszystkim, co się zmieniło w naszym życiu przez te lata niewidzenia. Co u twoich rodziców? Żyją? Zdrowi?

– Żyją i nieźle im się wiedzie. Ucieszą się, jak im powiem o tobie.

– Cieszę się, że to słyszę. Twoja mama i mnie matkowała przez te lata, jak u was mieszkałem, i wdzięcznie ją wspominam. To gdzie się spotkamy?

– Może u mnie? Mieszkam tu na Podwalu, blisko Bramy Krakowskiej.

– Dzisiaj nie mogę, mam takie różne kościelne sprawy, ale może jutro po południu, co? No, to ostań z Bogiem!

*

Więc teraz leżę z rękami pod głową – w łóżku, do którego jeszcze nie przywykłem, w mieście, którego jeszcze nie poznałem – i myślę. Myśli krążą tu i tam jak pszczoły koło ula i coraz to jakieś wspomnienia przynoszą, coraz nowe obrazy z przeszłości, do tej pory gdzieś w zakamarkach umysłu uśpione, a teraz niespodziewanie obudzone spotkaniem z Łukaszem.

Dziwną rzeczą jest pamięć. Czasem jakieś zdarzenie, skojarzenie, obraz, dźwięk... i zapach nawet... są kamykiem, co przypadkiem potrącony poruszy całą lawinę wspomnień.

W różne rzeczy obfituje ludzkie życie, a mnie – co przyniesie? Swoje lata już mam, a kto żyje samotnie, ten jakby nie całkiem żył, a tylko w połowie. Żeby jednak zbudować dom rodzinny, trzeba się postarać o fundamenta dla niego. Więc od czego zacząć? Jeśli komuś lub czemuś można tu zaufać, to raczej sobie, bo tylko wtedy można czuć satysfakcję z osiągniętego sukcesu i do siebie jedynie mieć żal, gdy się przegra.

Teraz dla mnie najważniejsze jest znalezienie pracy, a tej nie znajduje się przypadkiem, jak groszaka na ulicy. Gdzie jej szukać? Książki są drogie, nie każdego na nie stać, a i ten, co ma, nie zawsze pozwoli sobie na oprawę, która też nie może być tania, bo i pracy przy niej wiele, i materiał kosztuje. A czemu nie miałbym zajrzeć choćby do samego Zamku? Podobno król gustuje w książkach, jego siostra Anna także, książki więc powinny tam być. Nie muszę z tym iść do samego króla, to dla mnie za wysokie progi. Zresztą króla nie ma teraz w Warszawie. Skoro jednak jest biblioteka, to musi mieć jakiegoś opiekuna.

Świeca się dopalała, więc ją zgasilem. Za oknem noc, nawet murów miejskich, co są po drugiej stronie ulicy, nie widać. Zanim sen oczy mi zamknął, słyszę, jak mysz gdzieś chroboce. I wspominam Łukasza: w razie czego na pewno coś mi doradzi...

[1] Czerskie Przedmieście nosiło kiedyś także nazwy Bernardyńskie i Warszawskie; obecnie jest to Krakowskie Przedmieście.

[2] Jeden z najstarszych kościołów warszawskich. Swoje powstanie zawdzięcza Annie, księżnej mazowieckiej.

Nikt nie lubi, jak mu za wcześnie rano zawraca się głowę różnymi sprawami. Jeśli mamy coś do załatwienia, zaczekajmy, aż ten, do którego mamy interes, po przyjściu do pracy rozejrzy się, co tam ma do roboty. Może przegryzie jakieś małe co nieco, gdy poczuje że na śniadanie za mało zjadł i coś go ssie w żołądku, popije jednym i drugim kufelkiem, a wtedy i humor będzie miał lepszy, i pogodniej na świat spojrzy, a co za tym idzie, i na interesantów, co przychodzą mu głowę zawracać. Warto wiedzieć, że źle się dla nas skończy załatwianie interesu z kimś, kto jest akurat głodny, komu brzuch czy wątroba dokucza albo kto w domu z małżonką właśnie się pokłócił – bo taki raczej w diabły pośle, niż coś pożytecznego dla nas zrobi.

Wiedząc o tym, najpierw przespacerowałem się różnymi uliczkami, ucha nadstawiając, o czym się mówi na ulicy. Usłyszałem między innymi, że król kazał zrobić stały most przez Wisłę do Pragi. To ma być przeprawa, której lada woda nie zerwie i co wytrzyma napór kry na wiosnę. Będzie oparty na piętnastu dębowych filarach wbitych w dno Wisły, a budowy mają pilnować kanonik Piotr Szedloch i mieszczanin zakroczymski Erazm Giotto, Włoch z pochodzenia[1] i ten most zaczynają budować.

Dobra to rzecz taki stały most, bo zawsze ktoś ma interes przeprowić się na drugą stronę wody, choćby kupcy w czas jarmarku. A i dla zwyczajnych ludzi, co tylko z ciekawości chcą się wybrać na drugi brzeg – przydatny.

No i dobrze. Powoli sobie idąc, przy okazji chciałem poznać miasto (bo dopiero się sprowadziłem), żeby wiedzieć, gdzie są jakie sklepy i warsztaty, które mogą być potrzebne dla mojego rzemiosła, jak już będę miał co robić.

Niesporo mi się szło, bo nie wiedząc, jak mnie przyjmą, zawczasu czułem się jak nieznany, a do tego i nieproszony gość. Ale porzekadło mówi, że jak chcesz, żeby Pan Bóg ci pomógł, to musisz i sam sobie pomóc, a przecie nie idę po jałmużnę.

Poszedłem więc tam, gdzie na Zamek powozy i karety zajeżdżają. Zapytałem odźwiernego – czy jak on tam się nazywa – jak trafić do tego, co się biblioteką zajmuje. On mię objaśnił, jak dojść do jakiegoś pana Sylwestra, którego nazwiska nie dosłyszałem, co to sprawuje nad księgami pieczę.

Szedłem przez różne korytarze, aż trafiłem do jednego pokoju, w którym na dużym stole stał garnuszek z piórami, kałamarz, pudełko z piaskiem do posypywania pisma i leżały jakieś papiery, ale nikogo w nim nie było. Usiadłem sobie na krześle pod ścianą i czekam. Po jakimś czasie z sąsiedniego pomieszczenia wyszedł nieduży, starszy już człowiek, dosyć tęgi w sobie, a na głowie łysawy – i jakby się przestraszył, mnie niespodzianie zobaczywszy.

– A coś waszeć za jeden i co tu robisz? – zapytał, biorąc się pod boki.

Wstałem, ukloniłem się, powiedziałem, jak się nazywam i że właśnie sprowadziłem się do Warszawy, a że nikogo w niej nie znam, ośmieliłem się przyjść, żeby zapytać, czy nie trafiłaby się dla mnie jakaś robota przy oprawie ksiązek, bo introligatorem jestem.

– Toś waszeć się spóźnił, bo już zdążyłem się umówić z innym majstrem.

Zasmuciłem się, bo pieniądze mi się kończyły, ale cóż było robić – życie nie zawsze

toczy się z górki. Chciałem się już pożegnać, kiedy przypadkiem zobaczyłem na stole jakąś niedużą książkę, tak zniszczoną, że trzeba ją było sznurkiem owiązać, żeby się nie rozleciała. Jak się przyjrzałem, zobaczyłem, że to jest *Kalendarz na rok bieżący* po łacinie wydany w roku 1474, a więc już prawie przed stu laty, a tak szcztany, że kartki się w nim nie trzymały. Bibliotekarz zauważył, że się przyglądam.

– Co waszeć tak patrzysz?

– Patrzę, bo to rzadki druk, raz tylko wydany i w małym nakładzie.

– To się waszeć na tym znasz? – łaskawiej zapytał bibliotekarz.

– Znam się na tyle, na ile można znać to, co już miałem w swoich rękach. Lubię stare księgi i zanim taką oprawię, przeglądam, co jest w niej ciekawego. Skąd się tutaj wziął ten kalendarz, że jest aż taki zniszczony?

– Znaleziono go przy jednym mnichu, co zasłabł pod Bramą Krakowską i chyba zmarł. Majster, któremu obiecałem książki do oprawy, tego egzemplarza nie chciał wziąć, powiedział, że takiego podartego nie oplaca się naprawiać i poradził go wyrzucić.

– To rzadka książka, w małym nakładzie wydana, i szkoda się jej pozbywać, bo warto ją zachować choćby jako świadka przeszłych czasów. Wiecie co, mości panie Sylwestrze? Ja podejmę się za darmo doprowadzić ten kalendarz do porządku, a wy mi dacie parę książek do oprawy i przekonacie się, co potrafię. I przyznam się, że Bóg jeden wie, jak mi ta robota potrzebna, bo już resztkami gonię i wkrótce nawet na suchy chleb mi zabraknie.

Bibliotekarz nie namyślał się długo.

– Dobrze, drugiego takiego nie mamy w bibliotece. Przyjdźcie po południu, a ja tymczasem poszukam i przygotuję, co trzeba zrobić, wtedy też ugodzimy się co do terminu i zapłaty.

Poczułem się, jakby mi skrzydła wyrosły. Pan Sylwester to zauważył i uśmiechnął się.

– No to już idźcie i zawczasu zakasujcie rękawy do roboty.

Wracając z Zamku, miałem ochotę śpiewać, tak mi się lekko na duszy zrobiło, wkrótce jednak zmarkotniałem, gdym sobie przypomniał, że może nie starczy mi na kupno materiałów potrzebnych do tej roboty. Ale co tam, może razem z książkami uda mi się wyprosić jakąś sumkę na materiały? Mówią, że jeśli Pan Bóg dał komuś chleb, to i da zęby, żeby go zjeść...

W pobliskiej gospodzie zażyczyłem sobie zrazów z kaszą, popiłem je szklanką piwa i poszedłem nad Wisłę zobaczyć przygotowania do budowy mostu. U wylotu Chwaliszewa[2] na brzegu leżało sporo wielkich pni dębowych, a na wodzie jeszcze więcej pozbijanych w tratwy, co chyba z jakiejś puszczy przyplłyły, takie były wielkie, długie i grube. Ludzie je rozbierali, żelaznymi hakami wyciągając na brzeg, a i kilkunastu ich było potrzeba do jednego pnia, takie były ciężkie. Dwaj ludzie tym wszystkim kierowali, pokazywali, gdzie jaki pień położyć i na niektórych coś kredą znaczyli.

Nad wodą było więcej takich gapiów jak ja. Pochodziłem sobie trochę tu i tam, wreszcie usiadłem na trawie i patrzyłem na wodę, jak płynie i płynie... I na tym patrzeniu zeszło mi tyle czasu, że po słońcu poznałem, że pora już iść po książki, więc ruszyłem.

W bibliotece pan Sylwester pokazał mi niewielki stosik leżący na stole.

– Wystarczy?

– Na razie musi wystarczyć, a później będzie, co da Bóg i waszmości pana życzliwość.

– Zobaczmy, zobaczymy... Popatrz, waszmość, na półki – powiedział pan Sylwester – żeby ta wasza oprawa zbytnio nie odbiegała wyglądem od tych, co je tutaj widzisz. A resztę sam sobie dośpiewasz. I jeszcze jedno. Czy masz kogoś, kto by za ciebie poręczył, żeś jest tym, za kogo się podajesz? Takiego dobra nie można dawać do rąk każdemu, co przychodzi prosto z ulicy, mówi, że nazywa się tak a tak, że jest majstrem takim to a takim. O to wszystko powinienem był na początku zapytać, ale głowę pewnie mi coś innego zaprzętnęło, bom zapomniał. Więc gdzie waszmość masz swój warsztat i na kogo się możesz powołać?

– Pracownię mam tu niedaleko, zaraz za Bramą Krakowską na Podwalu, a powołać się mogę na księdza Łukasza. Jeśli trzeba będzie, to on zaświadczy, ktom ja jest, bo znamy się od lat.

– No, skoro znacie się z księdzem Łukaszem, to możesz waszmość te książki zabierać – bibliotekarz uśmiechnął się.

– A czy mógłbym dostać na tę robotę niewielką zaliczkę? Chudo mam w kieszeni, bo się właśnie z Krakowa sprowadziłem i dopiero zaczynam...

– No to policz waść te książki, porównaj, czy się zgadzają ze spisem, o pieniądze zaś dowiedz się jutro koło południa, bo wpierw muszę to uzgodnić z podskarbis, a jego dzisiaj nie ma.

Książek było dwadzieścia, i jako dwudziesty pierwszy – kalendarz. Dostałem kawałek sznurka, żeby je powiązać, wziąłem je pod pachę, pożegnałem się i wyszedłem. W domu wszystko równo ustawiłem na stole i przysiadłem sobie na stołku, żeby się napatrzeć.

Brak pracy dla chcącego pracować jest jakby niezasłużoną karą i daje wrażenie, że życie bez naszego udziału przepływa obok nas.

Robotę przy książkach zawsze zaczynam od przejrzenia, w jakim są stanie, co przy nich trzeba zrobić; wówczas myślę, ile jakiego materiału będę potrzebował. Staram się sobie wyobrazić, jaka oprawa do czego najlepiej pasuje, bo inna ona widzi mi się na przykład na poważnym dziele, a inna na krotkach pana Mikołaja Reja. A jak już mam w myśli wygląd książki, zastanawiam się, jakimi sposobami do niego dojść. Zastanowić się, czy dać łatkę na rozdartej kartce, czy można się bez niej obejść, bo czasem rozdarcie można inaczej naprawić.

Oto jeśli nie ma ubytku, brzegi rozdarcia trzeba wodą zwilżyć, to się trochę rozciągną i będą na siebie zachodziły, a wtedy te brzegi wąsko klajstrem posmarować, nałożyć jeden na drugi, zlepić, zaprasować, a rozdarcia prawie nie widać.

Jak już karty są naprawione i uleżą się w prasie, zabieram się do szycia. Właśnie od tego szycia nazwa mojego rzemiosła pochodzi: *intro-ligare*, to znaczy po łacinie ‘wewnątrz szyte albo wiązane’, bo książki szyje się wewnątrz składek i nici wiąże przy płątnikach. Prawidłowe rozebranie książki, naprawa kartek i uszycie – to najważniejsze prace przy oprawie. A szyje się na sznurku albo na tkanej taśmie lnianej, to już od majstra zależy. Jeśli jest on z tych pośledniejszych, to mu wszystko za jedno na czym, byle zapłatę

dostać, a co jest w środku zaklejone, tego niewprawne oko nie zobaczy.

A jak książka już jest uszyta, to dalej różnie bywa. Albo się ją obcina, żeby brzegi były równe, albo i nie. Jeśli druk jest stary i rzadko spotykany, to go staram się tylko ładnie i równo uszyć, żeby świadectwo było, jak przódzi wyglądał. Ale dobrze jest przynajmniej górny margines równo ściąć, żeby był gładki, to wtedy łatwiej go oczyścić z kurzu, co się na nim zbiera, jak długo postoi na półce.

Jeśli książka jest cenna, a właściciel zamożny, to na brzegi kart złoto się nakłada i robi się oprawę bardziej zdobioną. Ale złoto drogo kosztuje nie tylko dlatego, że jest złotem, lecz też z tego względu, iż musi być specjalnie przygotowane.

Oto płytkę złota rozklepuje się najpierw na kowadło, a jak już cienka blaszka z niego powstanie, między dwie grubsze twarde skóry się je wkłada i dalej tak długo klepie, aż stanie się płatką takim cienkim, że trzeba uważać, bo wtedy lada powiew powietrza od ruchu ręki albo oddech sprawi, że się zwinie i będzie na nic. Nawet kiedy mucha przeleci, może je poruszyć swoim powiewem, takie jest delikatne. W Polsce takiego złota chyba nie robią, a sprowadzają z Francji albo z Włoch. No i na razie nie stać mnie, żeby je mieć, ale nie od razu Kraków zbudowano.

Jeśli robimy oprawę w okładki drewniane, a to do książek większych i cięższych, powinny one być z drzewa bez żywicy, bo ta z czasem, po latach, może źle wpłynąć na papier. W dopasowanych okładkach przewierca się otwory w miejscach, gdzie będą przewleczone sznurki, na których książka jest uszyta. Te sznurki nazywają się zwięzy, bo związują okładkę z blokiem książki i potem będą widoczne na jej grzbiecie pod skórą jako poprzeczne wypukłości – ozdoba oraz świadectwo sposobu oprawy. No i tyle o oprawie książki, chociaż można ją zrobić też inaczej, niż tu opisałem... A jeśli się oprawia w płótno, to powinno być ono gęsto tkane, wtedy dajemy grzbiet gładki, bez widocznych zwiędów.

Sięgnąłem najpierw po *Kalendarz*, co był na wierzchu – żeby go przejrzeć i sprawdzić, czy nie zabrakło w nim czegoś, zanim go sznurkiem przewiązano. Książkę zawsze trzeba przejrzeć, aby zawczasu zauważyć, czy nie ma braków, czy nie pominięto kartki z obrazkiem albo z treścią, aby w razie potrzeby powiadomić tego, co książkę dał do oprawy, bo zguba u niego mogła się zawieruszyć.

Jak zacząłem przeglądać kartki i po kolei je układać, w jednym miejscu znalazłem karteluszek jakby papieru-niepapieru. Był on jakiś wypłowiały, postrzępiony na brzegach, dziwnie sztywny, a na nim coś narysowano tak wyblakłą kreską, że aby to zauważyć, trzeba było dobrze się przypatrzeć. Otóż była to nierówna linia prowadząca od brzegu do środka i tam zakończona krzyżykiem albo gwiazdką. Wyglądało to tak, jakby ktoś narysował drogę albo rzekę. Jeśli miała to być jakaś mapa, to ktoś zrobił ją tylko dla siebie i musiał wiedzieć, co ona przedstawia, bo nic więcej na niej prócz tej kreski z krzyżykiem nie było. Żadnego punktu odniesienia, do jakiego miejsca to można by dopasować. Nie mogłem zrozumieć, co by to mogło być, więc odłożyłem ów karteluszek na bok i dalej przeglądałem kalendarz, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Otworzyłem, a za nimi stał ksiądz Łukasz.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, pokój temu domowi. Można wejść?
Zaraz mu stołek podsunąłem, ale on najpierw rozejrzał się po izbie.

– Niebogato u ciebie, tylko stół i stołek. A gdzie śpisz?

– A, tu obok mam komórkę małą, co tylko do spania mi służy. A tu, gdzie jesteśmy, jest warsztat. Jak widzisz, nawet siedzieć nie bardzo jest wygodnie.

Jakiś czas milczeliśmy, jakby medytując, od czego tu zacząć.

– A wiesz, jak cię rozpoznałem? – rzekł wreszcie Łukasz, opierając się łokciami na stole. – Oto i po tym siwym wicherku, co ci nad lewą skronią rośnie w drugą stronę... Powiedz teraz, jak ci się żyje? Co się z tobą działo przez te lata, odkąd się od was wyprowadziłem. Widzę, że pracę już masz...

– Zwyczajnie, majątku ani stanowiska jeszcze się nie dorobiłem, żyję sam jak palec, nikogo tutaj nie znając, więc ucieszyłem się z naszego spotkania. W Krakowie poszedłem do terminu i na introligatora się wykierowałem, ale chyba za wcześnie. Może za pięćdziesiąt albo sto lat, jak posiadanie książek będzie powszechniejsze, taki jak ja na brak roboty nie będzie narzekał, ale na razie jest ciężko.

Opowiedziałem, jak w Krakowie najpierw byłem czeladnikiem, później majstersztyk na egzamin mistrzowski zrobiłem, jak mi w cechu robiono trudności w założeniu własnej pracowni, i z tego powodu do Warszawy się przenieśliśmy z myślą, że tutaj może lepiej mi się powiedzie.

– Muszę ci to obszerniej objaśnić, bo w paru słowach się nie zmieści.

Otóż cech, do którego rzemieślnik obowiązkowo musi należeć, jest powołany do pilnowania sprawiedliwości wśród swoich członków, ale przy tym zbyt zatraca o ich prywatne życie. Tutaj, w Warszawie, mojego cechu nie ma[3], więc mogę robić, co chcę, ile i jak chcę. A w Krakowie majster sam nie może szukać roboty, musi siedzieć w warsztacie i czekać, aż ktoś sam się zgłosi z zapotrzebowaniem na jego pracę. Bo jakby sam szukał, to mógłby innemu mniej obrotnemu zarobek odebrać.

Tu robię, ile chcę i mogę, a w Krakowie każdy cech wyznacza, ile kto ma prawo zrobić, bo jak jeden będzie miał dużo pracy, dla innego jej może zabraknąć. Mistrz może trzymać jeno dwóch czeladników i dwóch uczniów, a liczba warsztatów różnych rzemiosł w mieście też jest określona przez różne cechy[4]. Jest więcej takich przepisów, żeby konkurencji nie było, z tego właśnie powodu lepszym rzemieślnikom nie opłaca się więcej robić, co skutkuje upadkiem jakości. Rozumiesz?

– I co? Lepiej ci tutaj?

– Początki zawsze są trudne, ale tu jestem na swoim, a tam nie wiedziałem, czy się czegoś doczekam.

– I nie ożeniłeś się? Dlaczego?

– Na pewno nie dlatego, żebym nie chciał, ale nie wprowadzę żony do domu, którego nie mam. Panna, co mi sprzyja, została w Krakowie, ale kto wie, jak długo zechce na mnie czekać... – Opowiedziałem też, jak roboty szukając, aż na Zamek trafiłem i bibliotekarz te kilka książek dał mi do oprawy na dobry początek. – Ale kim ty jesteś, że cię na Zamku znają? – kontynuowałem. – Jak ten pan Sylwester zapytał, kto może zaświadczyć, ktom jest, to wymieniłem ciebie. Wtedy nie tylko dał mi te książki do oprawy, ale jak się dowiedział, że jest bez grosza, obiecał zaliczkę na materiał.

Łukasz uśmiechnął się na to.

– Każdy się stara znaleźć swoje miejsce w życiu, żeby robić to, do czego się czuje

powołany. Tyś znalazł swoje, a ja swoje. Lubisz swoją pracę?

– Lubię. Czasem wydaje mi się, jakbym był lekarzem, co zamiast ludzi, leczy chore księgi, daje im zdrowie i wypuszcza w świat, żeby dalej komuś służyły. A ty – też lubisz to, co robisz?

Łukasz podniósł brwi i popatrzył na mnie w zamyśleniu, jakby się zastanawiał, co powiedzieć.

– Pytasz, czy lubię? Wiesz, w moim przypadku to „lubić” wydaje mi się jakby trochę nie na miejscu. Właściwiej byłoby zapytać, czy mam do tego powołanie i czuję potrzebę służeńiu Bogu i ludziom i czy z mojej pracy jest pożytek? Powiedziałeś, że czujesz się lekarzem ksiąg. A ja – jestem przewodnikiem, który ludzi prowadzi do Boga, a Boga przybliża ludziom. Na drogach prowadzących do Niego jest wiele rozstajów, a rzeczą sługi Bożego jest wskazywać właściwą ścieżkę i pilnować, żeby ten, co nią idzie, nie zboczył na manowce. Człowiek musi mieć jakąś ideę, jakąś gwiazdę przewodnią, co mu wskazuje drogę. Moją ideą jest służenie Bogu i ludziom.

– Dążyć do czegoś, a to osiągnąć, to nie zawsze to samo.

– Samo dążenie do szlachetnych celów uszlachetnia człowieka, bo nawet jeśli nie uda mu się do nich dojść, to widząc ich doskonałość, sam staje się lepszy. Do gwiazd też nie dosięgniesz, a są one wszakże drogowskazem wędrowców i żeglarzy.

– Drogowskazy na drogach życia są potrzebne, ale pod warunkiem, że nie są stawiane dla wykorzystania czyjejs naiwności albo niewiedzy.

– Masz coś konkretnego na myśli?

– A mam! Oto kanclerzyna koronna Szembekowa zapragnęła odbyć pieszą pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Ale chociaż duch chętny, to ciało mdłe, więc poszła po radę do swego duchownego przewodnika, księdza jezuitę. I spowiednik jej doradził. Oto wyliczył, że do Ziemi Świętej pieszo musiałaby wędrować przez pięć lat. Niech więc pani kanclerzyna przez pięć lat wędruje po alejkach swego parku w intencji, że to do Ziemi Świętej. A jak się zmęczy, będzie mogła pójść do swoich pokojów odpocząć.

Podobnie było z podkomorzyną poznańską Czartoryską. Ta nawet nie musiała wychodzić z domu, bo wyliczono jej, jak wiele kroków jest z Poznania do Jerozolimy, zmierzono wiele kroków licząc jej komnaty, ile razy trzeba je przejść, żeby chodząc po pokojach, dojść do Ziemi Świętej. Nie dość na tym. Każda pielgrzymka, zwłaszcza tak długa i daleka, związana jest z dużymi kosztami. Policzone więc, wiele by po drodze zapłaciła za wikt i noclegi, ile by dała jałmużny, dodano kosztą podróży statkiem i takie rachunki dali jej do zapłacenia[5].

Łukasz uśmiechnął się.

– Nie słyszałem o tym, ale nie przypuszczam, że owi zaradni księża za kosztą tych pielgrzymek kupili sobie pałace albo karety. W Braniewie i Pułtusk Jezuita założyli kolegia kształcące młodzież, aby lepiej i świadomiej służyła Bogu i ojczyźnie, co z niemałymi kosztami jest związane. Nie widzę nic złego, jeśli osoby o takiej wypaczonej pobożności przyczyniają się do ich utrzymania. Więc czy nie było to w rzeczy samej *Ad majorem Dei gloria*? – Nagle się roześmiał. – A wiesz, co ja bym tu jeszcze zrobił? Oto tym „pątniczkom” doliczyłbym kosztą drogi powrotnej, bo przecież jak już „dojdą” do tej swojej urojonej Jerozolimy, to przecież nie pozostaną w niej na zawsze. Gdyby takich

„pielgrzymów” było więcej, to więcej szkół by powstało, żeby chociaż ich dzieci były mądrzejsze od rodziców. Tak już jest. Ale przepaść prędzej stanie się górą, niż głupota zniknie z tego świata.

– No ale nie odpowiedziałeś, skąd cię znają na Zamku – przerwałem, nie chcąc się wdawać w zawile rozważania o głupocie, próżności i związanych z tym kwestiach moralnych.

– A to dlatego, że tam bywam, więc i znam pana Sylwestra. Poza tym znamy się ze spowiednikiem króla. Tego bibliotekarza to sam nawet narailem na to miejsce, bo ma szkoły i marnował się gdzieś tam na podrzędnym stanowisku.

– A ty sam kim jesteś? Wikarym, proboszczem, kanonikiem?

– Ani wikarym, ani proboszczem, ani tym bardziej kanonikiem. Czasem, jeśli są sygnały, że w jakiejś parafii coś nie w porządku się dzieje, wysyłają mnie, żebym to sprawdził i wyprostował, co jest krzywe, albo naprawił, co się zepsuło.

Polska jest krajem chrześcijańskim, ale nie zdajesz sobie sprawy, ile tu jeszcze pogaństwa się uchowało pod cienką owego chrześcijaństwa opończą. Nawet ci, co powinni uczyć wiary, nie zawsze podług niej żyją, bardziej dbając o dobra doczesne niż duchowe albo – z racji zajmowanego stanowiska przekonani o swej nieomyślności – więcej szkodząc, niż pomagając.

Czasem istnieje konflikt między obowiązkiem duszpasterskim i politycznym, jeśli niektórzy dostojnicy Kościoła w Polsce są jednocześnie urzędnikami świeckimi[6], na przykład zasiadając w Radzie królewskiej, i mają jakiś udział w uchwalaniu praw. Zaś niektórzy biskupi ubiegają się o przyznanie im kilku diecezji nie po to, żeby w nich szerzyć nauki Kościoła i umacniać wiarę, ale żeby czerpać z tego większe dochody, żyć jak magnaci, zarząd nad swoimi włościami przekazując w ręce sufraganów, swych zastępców. Poza tym w naszym Kościele istnieje podział hierarchii w zależności od pochodzenia. Jeszcze dość dawno szlachta wyjednała sobie przywilej, że wyższe godności duchowne, począwszy od kanonika, mogą piastować tylko spośród niej się wywodzący.

– Więc ty, jako syn chłopca, nie możesz zostać kanonikiem? I nie ma wyjątków?

– Wyjątki są zawsze, ale też zawsze pozostaną tylko wyjątkami. Na kanonika jestem za nisko urodzony.

– Nawet nie wiedziałem, że w Kościele tak źle się dzieje. Co też by Chrystus powiedział, gdyby teraz zstąpił na świat i zamiast apostołów zobaczył gromadę książąt Kościoła cisnących się po zaszczyty i zazdrośnie strzegących swoich przywilejów!

– No, moja wina, że najpierw pokazałem ci te ciemniejsze strony Kościoła, a przecież nie brakuje nam świątłych ludzi, chcących naprostować, co krzywo rośnie.

– A jednak u nas chrześcijaństwo często wprowadzано przemocą, gdy jeszcze taki Bolko, później zwany Chrobrym, za jedzenie mięsa w Wielkim Poście kazał wybijać zęby.

– Bywało nawet gorzej. Oto jaka była kara za gwałt albo cudzołóstwo: sadzano chłopca okrakiem na ławie, mosznę przybijano mu do niej gwoździem, a później dawano do ręki nóż. I co dalej? Oto miał wybór: albo utnie sobie przyrodzenie i będzie wolny, albo przetnie gardło, i tak się życia pozbawi.

Dreszcz mnie przejął, jak sobie wyobraziłem, co musiał czuć taki nieszczęśnik,

dokonując wyboru.

– No, ale to już dawne dzieje – dodał Łukasz. – Taką rozmowę można ciągnąć całą noc i nie wyczerpać tematu. Lepiej opowiedz o sobie.

– Liczyłem na łatwiejszy początek, ale tutaj przynajmniej nikt mi nie stoi okoniem, że chcę otworzyć swoją pracownię, więc dopóki mam ręce o co zaczepić, nie narzekam. Mam nadzieję, że jak te książki oprawię, bibliotekarz doceni, co potrafię, i da mi jeszcze zarobić.

– Pomówię z nim i popytam w klasztorach, może coś ci znajdę. Pokaż mi, jakie książki dostałeś.

– Jeszcze ich nie przeglądałem, oprócz tego kalendarza. – Tu pokazałem Łukaszowi dziwną kartkę, którą w nim znalazłem. – Co by to mogło być? Jeszcze nie widziałem takiego papieru.

Łukasz wziął to do ręki i obejrzał.

– To nie papier, tylko papirus. Wiesz, co to takiego?

– Tylko tyle, że się kiedyś na nim pisało.

– Więc ci powiem, jak się go robi, a raczej robiło. Otóż w Egipcie na mokradłach Nilu rośnie roślina zwana papirusem, taki jakby tamtejszy rodzaj sitowia. Ścina się ją, łodygi układa na krzyż i prasuje, przy tej czynności wycieka z niej sok, co ją skleja. Jak to wyschnie, wygładza się, wybiela i tnie na arkusze, następnie sklejane w długie wstęgi nawijane na wałki. Tylko tyle o tym wiem i to z grubsza.

– I to robili tylko w Egipcie?

– Z tego, co wiem, chyba tylko tam, bo tylko w tamtejszym klimacie papirus może rosnąć. Zresztą jest niepraktyczny, bo kruchy i łamliwy, nie można go składać, tylko zwijać w zwoje albo nawijać na wałki. Był w użyciu, dopóki nie wynaleziono papieru... Popatrzmy, co to może być. – Pilnie zaczął się przyglądać tej kartce. – Linia, czyli kreska i krzyżyk albo gwiazdka, bo dobrze nie widać. – Zastanowił się. – To chyba może być wszystko, co sobie wyobrazisz. Może droga prowadząca do czegoś, co jest na jej końcu? Może to kawałek jakiejś mapy? Ale nie ma żadnego oznaczenia, żeby można było poznać, gdzie i co to jest, więc może być gdziekolwiek w Polsce i na całym świecie. A nawet na niebie, jak sobie wyimaginujesz, że to jest kometa z ogonem. Więc to było w tym kalendarzu? Ciekawe, kto to tutaj włożył.

– Pan Sylwester powiedział, że kalendarz znaleziono przy jakimś mnichu, co zasłabł przy Bramie Krakowskiej i może zmarł.

– I ten mnich był niegłupi, bo poznał się na papirusie, skoro go tu schował, i ten co go do biblioteki przyniósł, bo wiedział, gdzie przynieść. Pokaż, co jeszcze masz. O, niektóre z nich znam: *Krótką rozprawę między panem, wójtem a plebanem* Mikołaja Reja. Pana Frycza Modrzewskiego *Łaski, czyli o karze za mężobójstwo* – krytykuje w niej nierówność wobec prawa w Polsce, że za to samo przewinienie różnie się karze chłopca i szlachcica, wydana w Krakowie, w 1543 roku. Tegoż autora *De Republica emenanda, czyli O naprawie Rzeczypospolitej* z 1551 roku. Obawiam się, że to jest takie wołanie na puszczy, bo ci, co są władni złe prawa zmienić czy naprawić, nie są tym zainteresowani. A to? A... to edykt Zygmunta Starego zabraniający odstępstwa od wiary katolickiej[7].

Wiare zmienia przede wszystkim ten, co widzi, że kapłani jego własnej wiary lekce

ją sobie ważą i sami podług niej nie żyją. Ten edykt to jakby próba leczenia skutków, a nie przyczyny. A wiesz, co mi przychodzi na myśl, jak patrzę na drukowaną książkę? Oto, że druk w niej jest taki bezosobowy, wszystkie litery są takie jednakowe i równe i dlatego jakby bez duszy.

A w książce rękopiśmiennej, pisanej gęsim piórem, widzę jakby ducha piszącego. Kopista starał się każdą literkę kształtnie i równo nie tyle napisać, ile wyrysować, ale one, tak jak ludzie, czymś się jedna od drugiej różnią. Ta jest odrobinę krzywa, tamta albo za nisko, albo za wysoko, chociaż miał naznaczoną linijkę, przy której pisał. Tu za cienko, tam za grubo, może tu pióro mocniej przycisnął? Gdzie indziej pióro mu się chyba rozczepiło i inkaust chlapnął, więc go nożykiem wyskrobał, ale ślady pozostały. A wszystko jako całość jest piękne. A jeszcze inicjał, czyli wielką literę na początku, ozdobnie wyrysuje i kolorami pokrasi... A są też takie księgi, przy których piszący wiele lat życia sterał, jak je przepisywał.

Tego wszystkiego nie znajdziesz w książkach drukowanych, są bez porównania tańsze, łatwiej i prędzej można je wypuścić w świat i chociaż są takie, że tak powiem, bezosobowe – nie mające osobowości – to więcej ludzi je przeczyta, bo więcej pozwoli sobie na ich kupno. Kiedyś za księgę, nad którą mnich całe życie sterał, wieś można było kupić, a teraz? No – zakończył z uśmiechem – coraz więcej książek się pojawia, to z czasem łatwiej ci będzie robotę znaleźć!

– I więcej będzie introligatorów, więc nie wiem – odrzekłem. – A dzisiaj kto czyta książki? Przeciętnego szlachcica[8] interesują głównie opowieści ze Starego Testamentu, apokryfy, żywoty świętych i męczenników, które to historie traktuje na równi z baśniami o smokach ogniem ziejących, wielkoludach, czarownikach, Aleksandrze Wielkim, czyli jako treści o charakterze rozrywkowym. A takie dzieła Łaskiego na przykład, Frycza Modrzewskiego i innych humanistów swoich i obcych interesują tylko ludzi o większych umysłach, jakich w narodzie jest jeszcze niewielu. A na książki rękopiśmienne nie patrzyłem dotychczas tak jak ty, ale to ciekawe, co powiedziałeś. Wniosek z tego, że inaczej patrząc, inaczej się widzi.

– I pomyśleć – zauważył Łukasz – ile takich starych dzieł poszło na stosy, bo ich treść była sprzeczna z oficjalnie głoszoną prawdą! Doskonałość i nieomyślność to przywileje Boga, a niektórzy ludzie tylko je sobie uzurpowali, więc jeżeli uważają się za nieomyślnych, tym samym bluźnią Bogu. Samym sobie przyznali prawo określania, co jest dobre, a co złe, i własną doktrynalną filozofią wyznaczają sposób widzenia świata.

Kopernik na przykład ośmielił się widzieć go inaczej, niż nauczał Kościół, więc omal nie został wyklęty, oskarżony o zaprzeczanie prawdzie zawartej w Piśmie, a niektórzy, gdyby mogli, posłaliby go na stos jako heretyka. Religia i nauka to dwie różne rzeczy, ale jedna powinna wspierać drugą, bo religia bez nauki będzie duszą bez ciała, a nauka bez religii – ciałem bez duszy. Złe się jednak stanie, jeżeli jedna z nich zechce dominować nad drugą.

Słuchałem, zaskoczony tymi uwagami, bo wszak stosy, na których płonęły księgi i ludzie posądzeni o nieprawomyślność, były zainspirowane przez Kościół, którego ksiądz Łukasz mienił się sługą. Powiedziałem mu to. W odpowiedzi gorzko się uśmiechnął.

– Przez Kościół, mówisz... Ale czy to sam Bóg ludziom tego Kościoła wręczył pochodnie, żeby nimi stopy podpalać? Czy mieli objawienie Boga, który kazał im to czynić, czy sami sobie to objawienie przyznali, żeby w Jego imieniu zabić każdą myśl sprzeczną z ich myślą i za dzieło szatana uznać prawdy, których nie oni są autorami? Taki jest świat... Każda epoka inne cele nam ukazuje i trzeba, żeby co jakiś czas pokolenie tych „nieomylnych” wymarło i ustąpiło miejsca nowemu, które stare dogmaty obali i w nowe prawdy świat poprowadzi. – Popatrzył na książki, wziął do ręki *Kalendarz*. – Myślę, że kalendarz, to pożyteczna rzecz. Bez kalendarza człowiek szedłby przez życie i świat jak ślepiec, ani wiedząc, kiedy i skąd przyszedł, ani dokąd idzie.

– Są tacy, co się bez niego obchodzą – wtrąciłem.

– Nie ma takich – sprzeciwił się – tylko różne rzeczy za kalendarz im służą. Nawet ciemny chłop, co czas rachuje wedle siewu, żniw czy świąt, kieruje się własnym kalendarzem wyznaczonym przez naturę, zwyczaje i pory roku. Ma swój czas, w którym trzeba orać, siać albo żąć, a to też jest rodzaj kalendarza, co tym się różni od tych drukowanych, że ma inną dokładność, na czym innym się opiera, na inne części jest podzielony. Ale jest... Myślę jeszcze o tym papirusie. Skoro ktoś na nim umieścił te znaki, to widać, że do czegoś miały służyć, do czegoś były mu potrzebne. Może ta kreska to droga, którą szedł, a krzyżyk na jej końcu to miejsce, do którego doszedł albo chciał dojść? Bo skoro dalej nie rysował... I myślę jeszcze, że skoro brakuje tutaj oznaczenia miejsca, do którego ten krzyżyk przynależy, to może ta kartka jest częścią większej całości?

– Może chciał tam dojść, żeby coś zrobić; zakopać wykopać, dom postawić...

– Prawda, to może być wszystko, ale jednak... jednak to coś znaczy.

– A my się tego już nie dowiemy.

– Jak nie będziemy szukać, to się nie dowiemy. „Szukajcie, a znajdziecie” – mówi Pismo.

– Szukać? – popatrzyłem na niego z niedowierzaniem. – Gdzie chcesz szukać? W Krakowie? W Gdańsku? Na Litwie albo na Rusi? Jeśli to w ogóle coś znaczy, to może być wszędzie i wszystko, co sobie przedstawiś!

– Pismo mówi: „szukajcie”, nie wnikając w to, gdzie szukać należy tego, co chcemy znaleźć. Pierwsza rzecz: dowiedzieć się, skąd się ten karteluszek wziął w kalendarzu. Druga: jak się znalazł w Warszawie, a dopiero trzecia: co znaczy ta kreska z krzyżykiem i w jakim terenie trzeba ją umiejscowić.

– I tego wszystkiego chcesz się dowiedzieć?

W odpowiedzi wskazał palcem na głowę.

– Tutaj poszukam sposobu, jak szukać, żeby znaleźć. Po to Pan Bóg dał człowiekowi rozum, aby go używał z pożytkiem dla innych i dla siebie. Na razie dosyć o tym, jeśli się czegoś doszukam, to ci powiem. Mam tylko pytanie: gdybyś wiedział, gdzie we świecie jest to miejsce naznaczone krzyżykiem, poszedłbyś zobaczyć, co to jest?

– No, nie wiem – zawahałem się – gdybym wiedział, czy to nie za daleko i czy warto... To może być wszystko: skarb, dziura po wykopanym skarbie, grób albo po prostu gołe miejsce, gdzie ktoś powiedział: doszedłem, gdzie chciałem, i basta! I postawił krzyżyk.

– Czy warto? A jak Kolumb płynął drogę do Indii odkrywać, czy zastanawiał się, po co ma karku nadstawiać, skoro nie był pewny, czy w ogóle coś znajdzie tam, gdzie popłynie? A jak Magellan przez morza i oceany w podróż dookoła świata wyruszył, czy myślał, kto mu to każe robić? Po prostu ciekawość! Bo ciekawość leży w naturze człowieka.

Ciekawość – to największa cecha, cnota i zaleta naszej ludzkiej natury i podstawa naszego rozwoju! I powiem ci, że ja, gdybym na tym krzyżykiem naznaczonym miejscu miał znaleźć tylko mrowisko, też bym nie żałował. Bo zaspokoivszy ciekawość, nie byłbym gnębiony przez myśl, że to może być skarb, co mi przeszedł koło nosa, bo byłem zbyt leniwy, żeby go szukać... A może to źródło z uzdrawiającą wodą, a może... No, bądź zdrów, ostań z Bogiem, późno się zrobiło. Pozwolisz, że wezmę ten papirus? Zwrócę ci go.

– Weź. Może cię odprowadzić kawałek?

– Nie, to blisko. Przy świętej Annie mam celkę małą, co ją dzielę z jednym klerykiem, ale to mruk i niemota straszny, ani be, ani me... Jak mi czas pozwoli, będę przychodził do ciebie. Ostań z Bogiem...

*

Po wyjściu Łukasza zapaliłem świecę, bo zaczął zapadać zmrok, i rozłożyłem na stole książki, żeby dokładniej obejrzeć, w jakim są stanie, i zorientować się, ile przy nich będzie pracy. Najgorzej wyglądał *Kalendarz*. Nie dość, że brzegi kartek były poskręcane i wymiętoszone, to jeszcze składki były porozrywane w grzbiecie, więc trzeba będzie je posklejać. Nie jest to trudna praca, ale rzecz w tym, że jeśli kartki się sklei jedna do drugiej albo połączy paskami papieru, żeby z nich zrobić składki, to one po złożeniu w miejscu sklejenia zrobią się grubsze, a te grubości będą się sumowały. Częściowo można temu zapobiec przez zbijanie i prasowanie po wyschnięciu papieru.

Trzeba też pomyśleć, jakie materiały będą potrzebne w pierwszej kolejności, żeby rozsądnie gospodarzyć tą zaliczką, której się spodziewam, i na razie nie kupować za nią tego, co dopiero później mi będzie potrzebne.

Szerzej otworzyłem okno, bo ostatnio czerwcowe noce były bardzo ciepłe, i spostrzegłem, że zaczyna padać deszcz. Wszedłem za próg, bo wcześniej zauważyłem oparty o ścianę kawał deski pozostawiony przez kogoś i chciałem go zabrać, zanim zmoknie, żeby mieć szczapki do palenia pod kuchenką, jak będę gotował klajster. Posłyszałem przy tym jakiś tumult – tupot wielu nóg i pokrzykiwania. Wybiegłem zobaczyć, co się dzieje, ale w ciemnościach spostrzegłem tylko gromadę ludzi z pochodniami oddalającą się Podwalem w kierunku Bramy Nowomiejskiej. Ciekawy byłem, co się stało, ale wolałem tam nie iść, bo po ciemku łatwo wdepnąć w coś, co niektórzy mieszkańcy, korzystając z ciemności, wyrzucają na ulicę, a też od deszczu zaczęło się robić błoto.

W nocy, zwłaszcza kiedy pada deszcz, a sen nie przychodzi, silniej odczuwa się samotność. Samotność... czym ona jest? Czy tylko brakiem towarzystwa, czy również i stanem duszy? Czy ma ona swoje granice, po których przekroczeniu wszystko traci sens, świat obojętnieje, a człowiek czuje się jak rozbitek na bezludnej wyspie i najchętniej

chciałby tak zasnąć, żeby się już nie obudzić?

A najgorsza jest taka samotność, jaką się czuje, nawet będąc między ludźmi, bo wszędzie nosimy ją w sobie...

Czuję, że moje myśli coraz bardziej odrywają się od rzeczywistości, wędrując po krainie filozofii, więc je przywołuję do porządku. Muszę się dowiedzieć, jakie są możliwości wysłania listów do Krakowa, bo rodzice pewnie się zamartwiają i radzi by się doczekać wiadomości o mnie.

Dorotka... Miłość jest jak piękny kwiat, który trzeba pielęgnować, żeby nie usechł. Jest jak delikatny motyl, którego trzeba strzec, bo lada nieostrożność może połamać mu skrzydła. Jak pielęgnować kwiat i strzec motyla, będąc od nich daleko? Deszcz pada, sen klei powieki...

[1] Budowę pierwszego stałego mostu w Warszawie rozpoczęto w roku 1568, a zakończono w 1572, już po śmierci Zygmunta II Augusta. Kilka lat po otwarciu został poważnie uszkodzony przez powódź, a w 1603 r. zniszczony doszczętnie (za: Karol Mórański, *Warszawa. Dzieje miasta*, wyd. Książka i Wiedza, Warszawa 2003).

[2] Śladem Chwaliszewa jest dzisiaj ul. Mostowa.

[3] W opisywanym czasie w Warszawie nie było cechu introligatorów.

[4] Za: Antonina Jelicz, *Życie codzienne w średniowiecznym Krakowie*, wyd. PIW, 1966.

[5] Fakty historyczne – przyp. Autora.

[6] Za Jagiellonów ok. 85% personelu kancelarii królewskiej wywodziło się z kleru.

[7] Edykt Zygmunta Starego z 1520 r. zakazywał sprzedawać książki Marcina Lutra i korzystać z nich, a wedle edyktu z 1523 r. za te przewiny prócz spalenia takich ksiąg korzystającym z nich groziła śmierć na stosie i konfiskata majątku.

[8] Andrzej Wyczański w książce *Szlachta polska XVI wieku* podaje, jak się kształtował poziom analfabetyzmu w woj. krakowskim:

- wśród szlachty bogatej – 13% analfabetów;
- w grupie osób posiadających maksymalnie jedną wioskę – 58 analfabetów;
- wśród ubogiej szlachty zagrodowej – 86% analfabetów;
- szlachta urzędnicza była w 91% piśmienna;
- wśród kobiet było 74% niepiśmiennych.

Rano, ledwo zdążyłem wyjść za próg, zaczepił mnie gospodarz, u którego mieszkałem.

– Słyszeliście, panie, co się w nocy wydarzyło?

Odrzekłem, że nie słyszałem, ale nie wiem, co to było.

– A to takiego jednego złapani, co beczkę z nieczystościami do fosy chciał opróżnić. To jest zabronione, żeby pod murami kloaka nie powstała, więc jak nocny stróż to zobaczył, zakołatał kołatką, przybiegła straż i ucapiła onego. Już posłali po małodobrego, co przy Szerokim Dunaju mieszka.

– Chyba żartujecie, panie gospodarzu. Jakże to kata za takie przewinienie wołać? I co zrobią temu złapanemu?

– No, łba mu nie utną, dostanie parę batów, a może i bez tego się obejdzie, ale kat musi przy tym być, bo to jemu, a nie wójtowi i rajcom płacą za to, co trzeba robić koło takiego. Jemu za jedno jest: łeb komuś uciąć czy spalić albo tylko pod pręgierzem postawić, byle należność swoją za to dostał, bo z tego żyje. Jak pójdziecie na Rynek, to obaczycie.

Nie miałem ochoty oglądać, jak człowieka męczą, ale byłem ciekawy, jaka sprawiedliwość tu będzie wymierzona, więc poszedłem zobaczyć. Po drodze wstąpiłem do kościoła przy ulicy św. Marcina[1], żeby godnie zacząć nowy dzień. Na Rynku już się zebrali gapie, których przy podobnych okazjach nigdy nie brakuje i którzy traktują to jako rozrywkę albo jakieś teatrum. Dotychczas w Warszawie nie widziałem pręgierza, bom na Rynku jeszcze nie był, to teraz miałem okazję go zobaczyć.

A więc koło Ratusza, co jest na środku Rynku, blisko ulicy Grodzkiej[2] stoi słup z kamienia urobiony w kształcie starego człowieka trzymającego w jednej ręce uciętą ludzką głowę, a w drugiej miecz. Ma to być, jak się domyślam, ostrzeżenie, że za przewiny mogą ci głowę uciąć.

Niezadługo z piwnicy, co jest pod Ratuszem, czterech pacholków wyprowadziło niestarego jeszcze mężczyznę i postawiło go pod pręgierzem. Jakiś czas tak stali, aż z Ratusza wyszedł mąż silnej postury z kańczugiem i kazał skazanego twarzą do słupa przystawić tak, żeby rękami go objął. Wtedy pacholki mu za słupem razem związali, żeby nie mógł się ruszyć. Zaraz też pojawił się chuderlawy człowieczek, co z rozwiniętego kartelusza wyczytał, jako schwytywany na próbie zanieczyszczenia fosy Jakub Sywlok z wyroku wójta ma być karany pięcioma uderzeniami rzemieennego kańczuga, wszelako bez węzłów i bez puszczenia mu krwi, a później do wieczora tak ma stać uwiązany, póki go nie odwiążą.

Co usłyszałem to przekazuję, a jeśli coś przekreślił to dlatego, że na Rynku gwar był wielki, bo przyszło dużo ciekawskich. Jeszcze zobaczyłem, jak kat podszedł do karanego, za kołnierz koszuli ułapił i rozdarł ją, do pasa go obnażając. Nie byłem ciekawy, co dalej będzie, bo żal by mi było nawet bitego kota, a co dopiero patrzeć, jak człowieka batem święcą, więc skręciłem w ulicę Grodzką i do Zamku poszedłem.

Pan Sylwester wypłacił mi zaliczkę 2 złote, 20 groszy[3].

– Pokwituj mi, waszmość, tutaj, dla porządku. A tu jest jeszcze jedna książka do oprawy, ale to już własność pani Anny, królewskiej siostry, jej modlitewnik, pamiątka po matce. Policzysz ją osobno, bo z jej kieszeni będzie zapłacona.

Zadowolony skinąłem głową, schowałem książkę do kieszeni, bo niewielka była, i rozejrzałem się po komnacie.

– Mogę zapytać, co to za rulony leżą tu na półce?

– To? To są mapy Polski i Europy Środkowej wydane przez Wapowskiego[4] jeszcze przed czterdziestu laty. Waszmość się tym interesujesz? Wybierasz się w podróż?

– Na razie nie – roześmiałem się – ale w przyszłości, kto wie? Co do tych map to wiem, że są mało dokładne, brak na nich dróg, z rzek są tylko te większe, a miasta mają nazwy po łacinie... Teraz co innego mam na głowie: warsztat rozwinąć, potrzebne znajomości pozawierać, dowiedzieć się, gdzie co można kupić albo załatwić, i dać się poznać, żeby mnie znaleźli tacy, co będą mieli do mnie interes. Dużo tego...

– O, to poczciwe zamiary masz, waszmość, poczciwe. A co mi powiesz o oprawie tych książek? – Tu trzy wyjął z półki i położył na stole.

Brałem każdą z nich do ręki, przeglądałem i odkładałem, nic nie mówiąc. Wystarczyło popatrzeć, aby poznać, że oprawa była niedbała, nierówno obcięta, pewnie zrobiona przez kogoś nieznającego prawideł rzemiosła.

– Co waszmość milczysz? Nie podoba się?

– Nie mogę powiedzieć, jeśli ten, co robił, nie słyszy i nie może powiedzieć swojego słowa przeciw mojemu. Czyja to robota?

– A, jest taki jeden, co i po klasztorach biega i robotę gdzie się da łapie, a że niedrogo robi, to mu dają. A waszmość co? Lepiej zrobisz?

– Chwalić się nie chcę, ale jak zrobię, wtedy pokażę różnicę. Po próżnicy nie warto się wymądrzać i strzępić języka. Mniemam, że te cieńsze książki oprawię w płótno...

– A to już waszmość sam zdecyduj, polegam na waszej fachowości. Słyszałem, że na Starym Mieście coś się dzieje...

Opowiedziałem, co słyszałem i widziałem.

– Dobrze mu tak! – rzekł pan Sylwester, gdy wysłuchał, co miałem do powiedzenia.

– Niech kat nie siedzi po próżnicy, skoro go trzymają.

– Ale co za człowiekiem trzeba być, żeby się takim rzemiosłem parać! Ciekawe, ile też mu płacą?

– A od sztuki. Osobna stawka za batożenie, za użycie obcęgow albo miecza i topora albo za chrust, jeśli ma kogoś spalić.

– To i takie rzeczy tu jeszcze się robi?!

– Co, waszmość, dziecko jesteś, czy co? Kat to kat, nie rezonować mu, jeno robić, co każą, bo od tego jest. Kiedyś, jeszcze za Starego Zygmunta, jak pomarł ostatni książę mazowiecki z rodu Piastów Janusz[5], pan na Warszawie, poszła pogłoska, że został otruty. Więc zaczęto szukać trucicieli i znaleziono dwie niewiasty. Chociaż przysięgały, że są niewinne, to na Piekieleku kat je żywcem spalił: wieśniaczkę Kliszewską i nieznaną z imienia piekarkę z Krakowa. Obnażone i przypięte łańcuchami do słupa przez cztery

godziny biegały wokół palących się stosów, zanim w męce pomarły, a ich rzekomi wspólnicy, niejaki Jordanowski i piwniczny Jakub, jako szlachcice, zostali ścięci toporem[6].

– Zgroza mnie ogarnia, jak to słyszę! I mówicie, że kobiety twierdziły, iż są niewinne, a ich wspólnicy byli winni tylko rzekomo? To może niewinnym taką mękę zadano?

– Tam, gdzie w podejrzanych okolicznościach umiera król, ksiązę albo inny dostojnik i nie można znaleźć winnych, to muszą się znaleźć chociaż podejrzani, których można o zbrodnię oskarżyć i ukarać. Rozumiesz, waszmość? Sprawiedliwość niekiedy bywa niesprawiedliwa, a ponieważ Temida ma zawiązane oczy, to i mieczem tnie na oślep. Tu nie chodziło o to, żeby uderzyła winnego, tylko żeby w ogóle miała w co uderzyć, dla przykładu, że zbrodnia nie popłaca.

– Więc dla przykładu popełnia się drugą zbrodnię? Sprawiedliwość jest chyba tylko w niebie!

– A ja bym powiedział, że raczej w piekle, bo tam jeden drugiego dopilnuje, żeby wszyscy smażyli się równo i sprawiedliwie, a sąsiad nie miał lepiej niż on sam. A w niebie? Pan Bóg jest miłosierny i temu czy owemu mógłby okazać łaskę. A łaska dla wybrańców to jest taka sprawiedliwość, co przynosi tylko szkodę.

– To może prawo decydowania o winie i karze jest w niewłaściwych rękach?

– A jakie ręce tu będą właściwe? Świat się toczy swoim torem i niczego tu nie zmienimy. Mysz zawsze inaczej będzie osądzała kota niż kot mysz, więc niech każdy trzyma się swego: szewc kopyta, krawiec igły, a my zasię swoich książek.

Chętnie bym jeszcze porozmawiał, ale weszło dwóch panów i pan Sylwester zajął się nimi. Nie chcąc przeszkadzać, ukloniłem się i wyszedłem, żeby wrócić do siebie.

Kupiłem potrzebny mi papier, sześć łokci lnianego ciemnego płótna i pszenną mąkę na kłajster, a po drodze wstąpiłem do garbarza Szadłockiego zapytać, czy będzie miał cienką skórę zdatną do oprawy książek, i dogadaliśmy się. Na razie muszę oszczędnie gospodarować tym, co mam, zanim będzie mnie stać na zrobienie jakiegoś zapasu materiałów.

Wracając, byłem świadkiem awantury: przez Bramę Krakowską chciał wjechać powóz, a strażnik zażądał opłaty, którą od każdego wozu wjeżdżającego do miasta wprowadził król Zygmunt August, aby były fundusze na utrzymanie czystości i porządku w mieście.

Otóż woźnica tego powozu nie chciał zapłacić i zaciął konie batem, a godnie ubrany pan ze złością krzyknął, że łyki nie będą szlachtą rządzić. Strażnik machnął koniom kijem koło pysków, te się spłoszyły i skoczyły w bok, a przy tym powóz zawadził o bramę i złamał koło.

Jak się później dowiedziałem, wójt kazał tego panka za warcholstwo zamknąć w piwnicy i zapłacić za wyszczerbienie bramy. Wprawdzie później ktoś z Zamku przyszedł i polecił go wypuścić, ale że godność szlachetki dostała prztyczka w nos – to fakt.

Warto dodać, że Brama Krakowska jest ładnie ozdobiona rzeźbionymi w kamieniu pięcioma postaciami[7].

Po drodze wstąpiłem do gospody, aby coś przekąsić, gdyż od rana nie jedząc, porządnie zgłodniałem.

Robotę zacząłem od ugotowania klajstru, a jak ten ostygła, kartki w *Kalendarzu* tymczasem poukładałem w należyтым porządku tak, jak je chciałem sklejać, i przygotowałem paski cienkiego papieru do łączenia składek. I dopiero gdy pierwszy raz pędzelek w kleju umoczył, poczułem się tak, jakbym zaczął coś swojego budować. Jak już te książki skończę i oddam, chciałbym się spotkać z innymi majstrami mego rzemiosła, o których wiem, ale osobistej znajomości z nimi jeszcze nie zawarłem: ze Słowińskim i Gałęckim. Mam pewien pomysł, którym chciałbym się z nimi podzielić... Ale o tym później.

[1] Ulica św. Marcina – dzisiaj ulica Piwna.

[2] Ulica Grodzka prowadziła wówczas od Rynku do Wieży Grodzkiej przy Zamku, stąd nazwa, która przetrwała do początków XVII w.; dziś jest to ulica Świętojańska. Dzisiejsza ulica Grodzka w Warszawie znajduje się w innym miejscu.

[3] W latach 1526–1528 reforma monetarna Zygmunta Starego wprowadziła do obiegu dukat, inaczej czerwony złoty, z podobizną króla, o sile nabywczej: w latach 1560–1570 koszula kosztowała ok. 20 groszy, para butów 40–45 groszy – czerwony złoty dzielił się na 30 groszy.

[4] Bernard Wapowski (1450–1536) – wybitny uczyony, w 1516 r. był kartografem Zygmunta Starego.

[5] Janusz III, ostatni książę z linii Piastów, zmarł bezpotomnie w 1526 r. Podejrzewano otrucie, ale powołana komisja orzekła, że książę Janusz „*nie sztuką ani sprawą ludzką, lecz z woli Wszechmogącego ze świata zszedł*”.

[6] Za: Karol Móravski, *Warszawa. Dzieje miasta*.

[7] Brama Krakowska została rozebrana w 1818 r. Zdobiące ją rzeźby przeniesiono na attykę pałacu Radziwiłłowskiego (później Namiestnikowski, obecnie Prezydencki).

Dzisiaj mamy niedzielę. Przez kilka dni, co minęły, pracując pilnie, rozebrałem wszystkie książki. Większość z nich jest już posklejana, ściśnięta w prasie, żeby papier się uleżał, i czeka na szycie. Jak resztę pokleję, też je włożę w prasę, a tamte wyjmę i zacznę szyć.

Dzień wstał pogodny i ciepły, prawdziwie letni; taki, że z przyjemnością wychodzi się za próg, żeby popatrzeć na świat. Miałem dość siedzenia od rana do wieczora na twardym stołku i wachania klajstru. Zachciało mi się pójść nad Wisłę, usiąść na trawie, zobaczyć, jak woda płynie, a razem z nią obłoki, co się w niej przeglądają.

Po mszy świętej u św. Jana zeszedłem Kamiennymi Schodkami na dół do ulicy Wodnej co jest przedłużeniem tej wymienionej i prowadzi nad Wisłę. Doszedłszy do ścieżki, co prowadziła wzdłuż rzeki, poszedłem w tę stronę, co woda płynie. Idąc tak z pół mili, dotarłem do dużej sosny rosnącej na stromym brzegu blisko wody i tam przysiadłem, opierając się plecami o pień, mając przed sobą Wisłę. Niektóre rzeczy i miejsca – jak patrzeć na obłoki płynące po pogodnym niebie, szum wody i drzew, widok łąnów zboża falujących pod tchnieniem wiatru – mają na ludzi uspokajający wpływ.

Wisłą płynęła tratwa zbita z długich równych pni, a na niej buda dla oryli, sklecona byle jak, aby tylko dawała schronienie przed deszczem i słońcem; było na niej kilku ludzi. Jeden siedział na samym końcu z długim wiosłem, co służy do sterowania, drugi coś mieszał w garnku wiszącym nad małym ogniskiem, a trzeci na pół leżał oparty na łokciu i zdało mi się, że dmuchał w fujarkę. Zanim tratwa zginęła za zakrętem rzeki, pojawiła się szeroka barka z żaglem, wyładowana workami, których można się było domyślić pod okrywającą je płachtą.

Gdy człowiek patrzy na płynącą wodę, obłoki albo ptaki, czasem nachodzi go myśl, żeby z nimi razem gdzieś lecieć, płynąć, szybować... a nie mogąc tego urzeczywistnić, szybujemy na skrzydłach myśli. Myśl jest swobodna, możemy ją wypuścić w dowolną stronę: w przeszłość, przyszłość, a nawet ku dalekim gwiazdom – i zawsze przyniesie nam jakieś obrazy tworzone i budowane ze wspomnień, marzeń i wyobraźni.

Myśli są odbiciem uczuć człowieka: dobre rodzą się w sercu, a złe... czasem zastępują sumienie. A marzenia... czy podążają za myślami, czy przeciwnie? Choć bywają urojeniem oderwanym od rzeczywistości, to jednak są potrzebne. Każdy wielki czyn, odkrycie nowych lądów, nowej gwiazdy albo budowa pięknego gmachu – są zapoczątkowane marzeniem, żeby je urzeczywistnić.

A myśl, chociaż czasem dziwnymi ścieżkami chodzi, wytycza drogę, którą podąża świat.

Położyłem się na trawie z rękami pod głową i popatrzyłem na niebo, z obłokami i słońcem prześwitującym przez gałęzie. Jakże wielka jest ta przestrzeń! Czy można sobie wyobrazić, że jest ona bezkresna? A jeśli ta pustka ma swoją granicę, a każda granica oddziela coś od czegoś – to może za nią jest jeszcze inna pustka? A jeśli nie, to co? Czuję, że moje myśli rozplývają się jak obłoki w przestworzach...

Bóg stworzył świat, do którego i ta wielka pustka należy. A chociaż te przestrzenie

są niewyobrażalnie ogromne, to największą pustką jest samotność, od której nie można się uwolnić, jeśli nosimy ją w sobie.

Są rzeczy i sprawy, co do których musimy przyjąć na wiarę, że są, jeśli nie mamy dowodu na to, że ich nie ma. W przeciwnym razie beznadziejnie zapłaczymy się w jałowym filozofowaniu i przelewaniu z pustego w próżne...

A życie? Czym jest sama istota życia? To nie może być tylko dusza, bo zwierzęta też żyją, podobnie jak trawa, drzewa i wszystko, co rośnie, a duszy podobno nie mają... chociaż skąd ta pewność? Co jest tą siłą sprawczą, że nasze kości okryte mięsem i obleczone skórą żyją, istnieją świadomym życiem, a przestajemy żyć, gdy się ona z nas ulatnia... Dokąd? Czy czeka gdzieś w przestrzeni, żeby kiedyś trafić do innego ciała?

Może nie na każdego przychodzi taki czas, taka pora, że pod wpływem jakiegoś impulsu – coś w nas się budzi, a myśli zaczynają krążyć dziwnymi drogami. Co się ze mną stanie, gdy ujdzie ze mnie życie? Nie mam na myśli tego, że ciało zakopią w ziemi, a dusza z niego uleci jak ptak z gniazda – ale czy śmierć na pewno oznacza koniec istnienia?

Oto człowiek – choćby ja sam – zapomniany przez wszystkich umiera samotnie gdzieś na odległym pustkowiu, na przykład pod jabłonią. Ciało z czasem wsiąka w ziemię, użyźniając ją swoim rozkładem, drzewo czerpie z niej pożywienie, którym urozmaica urodę i smak swoich owoców. Przychodzi para zakochanych, zrywają jabłko i nim się dzielą... Po jakimś czasie rodzą się im dzieci...

Czy w tych dzieciach będzie jakaś część mnie, moich myśli i uczuć? Jakiś ślad śladu świadomości, że kiedyś istniało się innym istnieniem? Może to będzie przecucie, może jakieś dalekie echo przecucia, że jest w nich częśćka tego, kto użyźnił sobą dawno może już nieistniejące drzewo? Ciągłość życia w różnych formach się kształtuje...

Czasem widząc gdzieś jakąś okolicę, miejsce, dom czy ogród – mamy niejasne wrażenie, że już to kiedyś widzieliśmy, już tam byliśmy, ale w żaden sposób nie możemy sobie przypomnieć, z kim, gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach. Może to ulotne wrażenie jest śladem czyjś innego, dawnego życia, którego jakiejś części jesteśmy dziedzicami?

Zamykam oczy, mam wrażenie, że gdzieś płynę, unoszę się ku obłokom, jestem lekki, jak ptak. Wtem ściąga mnie na ziemię jakiś głos. Otwieram oczy. Nade mną stoi starszy już człowiek z włosami przyprószonymi siwizną i płóciennym workiem przewieszonym na sznurku przez ramię.

– Dzień dobry – odzywa się – nie przeszkadzam waszmości? Idę sobie, patrzę na świat, a wtem widzę: ktoś leży. Może śpi, może chory i potrzebuje pomocy?

– Dziękuję wam, panie, za troskę, ale jestem zdrow. Tak sobie tylko leżałem, drzemałem, myślałem, patrzyłem w niebo i dobrze mi było.

– To może przeszkadzam? – stropił się nieznajomy. – Jeśli komuś miła samotność, to każdy kto ją zakłóci, jest intruzem.

– Nie, nie! Siadajcie, panie, rad wam jestem. Nawet jeśli ktoś nie ma towarzystwa, to nieraz przebywa z myślami, co latają jak uprzykrzone muchy, i trudno się od nich opędzić.

Przybysz usiadł obok i przedstawił się, wyciągając rękę:

– Jestem Stanisław Kowal, ale niech nazwisko was nie zmyli, bo nie przy kowadle robię, jeno w ogrodzie warzywnym przy Zamku.

Przedstawiłem się i ja, pytając od razu:

– To na Zamku są ogrody? Nie dziwcie się, że nie wiem, bo dopiero od niedawna jestem w Warszawie – dodałem.

– A są, tyle że nie na Zamku, a na jego tyłach, od strony Wisły, jeszcze przez królową Bonę założone. Teraz tam rosną różne warzywa: pory, selery, kalafiory, sałata, koper... Spróbuj, waszmość, tego, podzielimy się. – Tu rozwiązał worek i wyjął owinięte w liście chrzanu i czysty gałganek kilka kromek razowego chleba posmarowanego masłem, pomiędzy którymi widać było coś zielonego.

Wzbraniałem się przed poczęstunkiem raczej dla formy, bo prawdę mówiąc, nie pomyślałem, żeby wziąć ze sobą coś do jedzenia, więc poczułem, że jestem głodny, zwłaszcza kiedy zobaczyłem chleb. Ugryzłem kawałek i uczułem na języku nieco ostry, ale nie niemiły smak.

– No i co? Smakuje?

– Dobrze; i apetytu dodaje.

– Jak waszmość ukrajesz sobie razowca, posmarujesz grubo masełkiem, posolisz leciutko, posypiesz drobno pokrajanym zielonym porem, to możesz nie wiedzieć, co to są choroby. „Kto jada pory nie wie, co doktory”.

– I to też królowa Bona z Włoch przywiozła? Różnie o niej powiadają, nie zawsze dobrze.

– Zależy kto mówi i dlaczego. Czyś ją znał?

– Nie mogłem znać, bo jak z Polski wyjechała, za młody jeszcze byłem, żeby się nią interesować. Wtedy o królach tyle wiedziałem, że mieszkają na Wawelu i na głowie noszą korony. Ale później słyszałem, że nie lubią jej w Polsce, bo była Włoszką, przywiozła nam obce obyczaje i miała za duże wpływy na sprawy państwa. Mało tego?

Pan Stanisław popatrzył na mnie, powoli kręcąc głową. Jakiś czas milczał, ale widać było, że coś sobie w myślach układa i zastanawia się, jak to powiedzieć.

– Widzisz, waszmość – odezwał się wreszcie – na to wszystko, coś powiedział, można też inaczej spojrzeć, tak jak na drugą stronę tej samej monety. Pieniądz ten sam, a zobaczysz co innego. Była Włoszką – cóż z tego? Czy mamy ludzi oceniać nie wedle ich natury, tylko przynależności do tej lub innej nacji? Bona miała wychowanie godne królowej.

Mówisz, że naród jej nie lubił? Większość tego narodu w ogóle nie wiedziała, że jest ktoś taki jak Bona, a cóż dopiero – jaka ona jest! Znali ją ludzie interesujący się polityką lub stojący wyżej nad ogółem, a nie zajmujący się tylko sianiem, oraniem i dojeniem krów. Miała własny obraz tego, jakie powinno być państwo. Wychowała się we Włoszech, w monarchii, gdzie król był władcą absolutnym. U nas też chciała umocnienia władzy króla, bo widziała rosnące znaczenie szlachty i przewidywała, do czego może ono doprowadzić.

Sejmikowanie, targowanie się o przywileje, wygórowane ambicje... Więc to nie naród, tylko szlachta miała powód do jej nielubienia. A królowi poparcie szlachty było potrzebne na przykład wtedy, gdy dotyczyło nowych podatków na wojny, których nie

brakowało. Królowa, dążąc do przeprowadzenia swoich planów, miała na celu dobro Polski. Król nie zawsze podobne sprawy widział tak jak ona, więc były między nimi powody do różnych tarć i nieporozumień. No to co w tym dziwnego, że szukała znaczących stronników, co by ją popierali?

– Więc drogi Zygmunta Starego i Bony się rozchodziły?

– Na pewno oboje mieli jeden cel: dobro Rzeczypospolitej; ale inaczej widzieli drogę, którą trzeba iść. Do stronników królowej należeli tacy ludzie, jak marszałek wielki Piotr Kmita[1], biskup krakowski Piotr Gamrat[2], prymas Andrzej Krzycki[3], biskup warmiński Dantyszek[4], kanclerz Paweł Wolski...[5] Bona chciała monarchii dziedzicznej i uważała, że władzy królewskiej najbardziej szkodzi elekcyjność tronu. O to jej głównie chodziło. Dlatego też zawczasu postarała się zapewnić koronę synowi, chociaż wtedy nasz August był jeszcze dzieckiem. Ale swoje wpływy na państwo, jakie by tam one były, straciła po śmierci króla. Wtedy to z Krakowa przyjechała do Warszawy, zamieszkała na Zamku i we dworze w Ujazdowie, zniechęcona do Polski i syna, z którym nie mogła dojść do porozumienia. Wreszcie wyjechała do swojej ojczyzny i tam żywota dokonała. Mówią, że otruta podobno z inicjatywy Habsburgów, z którymi przez całe życie walczyła. A z synem pokłóciła się z powodu jego małżeństwa z Barbarą Radziwiłłówną, czemu była przeciwna; i wtedy, kiedy najbardziej potrzebowała oparcia, opuścili ją stronnicy, co przeszli na stronę króla. A co do Barbary, to jak myślicie: czy August powinien był się z nią żenić?

Z początku chciałem powiedzieć, że w tej materii poparłbym króla, bo gdybym to ja się żenił, nikt by za mnie nie decydował, z kim i dlaczego z tą, a nie z inną, ale zawahałem się.

Niewątpliwie każda strona miała swoje racje. Ale co komu szkodziło, że Barbara nie była królewskiej krwi, skoro należała do znakomitego rodu Radziwiłłów? A może osoba jej była tylko wygodnym pretekstem do wystąpienia przeciw królowi? Podzieliłem się z rozmówcą swoimi wątpliwościami.

– Widzisz, waszmość – odrzekł – musimy dać sobie odpowiedź na pytanie, czy małżeństwo to prywatna sprawa. Małżeństwo jako takie to tak, tylko że król nie jest osobą prywatną, więc można od niego wymagać, żeby w niektórych sprawach swoją prywatność odłożył na bok.

– Ale komu szkodziło, że poślubił Barbarę?

– Nie szkodziłoby nikomu nawet wtedy, gdyby pojął chłopkę, ale tu nie o to chodzi, czy by komuś szkodziło, tylko co na tym małżeństwie straci lub zyska państwo. Gdyby pojął pannę królewskiej krwi, jakich w Europie nie brakuje, Polska mogłaby zyskać na znaczeniu i zjednać sobie nowych sojuszników wojskowych lub politycznych, których poparcie bardzo by się nam przydało.

Bona tak tę sprawę widziała, głośno o niej mówiła i przez to poróżniła się z synem. A Barbara politycznie niczego nie przyniosła prócz tego, że mu przybyło przeciwników wśród szlachty obawiającej się, że litewscy Radziwiłłowie będą mieli zbyt duży wpływ na sprawy państwa... August po śmierci pierwszej żony Elżbiety Austriaczki, nawiązał z Barbarą romans i potajemnie ją poślubił. Ostatecznie udało się królowi uzyskać zgodę szlachty, chociaż niechętną, na to małżeństwo i koronację Barbary, ale za cenę nowych

ustępstw.

Co do Barbary, to moim zdaniem powinno się o niej mówić Gasztołdowa, a nie Radziwiłłówna. A to dlatego, że w wieku siedemnastu lat wyszła za wojewodzica wileńskiego Stanisława Gasztołda, po którym rychło owdowiała. Zresztą po śmierci Barbary August prędko się pocieszył i we dwa lata, w 1551 roku, ożenił się z Katarzyną, siostrą pierwszej żony, z którą podobno też nie żyje dobrze.

– No tak – przyznałem – najgorzej jest wtedy, jak obie strony mają swoje racje, które sobie wzajemnie zaprzeczają, i trzeba wybrać, co ważniejsze: potrzeby serca czy interes państwa. Komuś osobiście zainteresowanemu coś takiego trudno udźwignąć. Można więc powiedzieć, że August wolał być nieodpowiedzialnie mężem Barbary niż odpowiedzialnym mężem stanu, stojącym ponad prywatą?

– Może i tak, a gdy Barbara zmarła, znowu trudno wyrokować, czy to było o tyle dobre dla państwa, o ile złe dla króla, i też do niczego nie dojdziemy.

– Podobno Bona otruła Barbarę, bo chciała się jej pozbyć.

– Trudno w to uwierzyć – powiedział z powątpiewaniem pan Stanisław. – Bona jej nie lubiła, bo poplątała jej plany co do syna, którego wolałaby widzieć w związku z kimś odpowiedniejszym, ale do zadania śmierci by się nie posunęła.

– Wybaczcie, panie – rzekłem – ale jak to się dzieje, że ktoś taki jak wy, co w ziemi robi, więc raczej daleki jest od polityki, tyle wiadomości o niej posiada?

– Cóż – pan Kowal uśmiechnął się – chociaż nie bywam tam, gdzie progi dla mnie za wysokie są, to mam sporo znajomości wśród takich, co je mogą przekraczać. Sprawy dotyczące kraju i świata zawsze mnie ciekawiły, więc jak się ucha nadstawi, czasem w nie jakieś słówko jedno i drugie wpadnie, jedno do drugiego się doda, a już sumka ładna wiadomości się uzbiera.

– No – dodał, spoglądając na słońce – chyba czas na nas. Pogadaliśmy sobie, ale pora wracać. Czy idziemy w tę samą stronę? Jeśli tak, chodźmy razem.

*

Gdyśmy doszli do Rynku, właśnie odwiązywano od pręgierza mężczyznę i kobietę. Pan Kowal zapytał kogoś, czym oni zawinili.

– Byli karani za włóczęgostwo. Zgodnie ze statutem króla Zygmunta Starego, Cyganie i żebracy powinni być karani za włóczęgostwo, jeśli żebrzą, będąc zdolnymi do pracy.

– I słusznie – Kowal skinął głową – za dużo jest takich, co są jako te ptaki niebieskie; nie orzą ani sieją, a chcieliby zbierać.

– Może nie mają gdzie orać i czego siać – zauważyłem, pamiętając o swoim niedawnym położeniu.

– Różnie bywa. No, chyba tutaj się pożegnamy. Mieszkam niedaleko, na Nowym Mieście, naprzeciwko kościoła Świętego Ducha. Jak waszmość kiedyś będziesz tam w pobliżu, to zapraszam na szklaneczkę...

Gdy zostałem sam, widząc gromady ludzi rozmawiających i spacerujących po rynku, dotkliwiej odczułem swoją samotność. Sklepy i stragany, jak to w niedzielę, były pozamykane, tylko w kilku gospodach było tłoczno. Obszedłem Rynek i okolice,

oglądając kamieniczki z wyrobionymi na nich godłami: a to z głową Murzynka, a to z okrętem albo z czym innym. Nadstawiałem ucha ciekawy, o czym się mówi, ale niczego szczególnego się nie dowiedziałem; takie tam rozmowy między znajomymi i sąsiadami o wszystkim i o niczym. Poczulem głód, bo nie licząc tej kromki chleba nad Wisłą, od rana nic nie jadłem. Napotkawszy więc gospodę, wstąpiłem do niej i usiadłem przy stole na długiej ławie, gdzie było wolne miejsce. Zapytałem grubego człeka, obok którego usiadłem, co jest do jedzenia.

– Wszystko, czego dusza zapagnie – odpowiedział. – O ile ktoś chce kaszę z grzybami, wieprzowinę i piwo, bo nic innego nie ma. – Tu zaśmiał się. – Skąd waszmość jesteś?

– A, mieszkam tu niedaleko Bramy Krakowskiej, na Podwalu.

– To waszmość chyba nie posiadasz małżonki, skoro się w takiej speluncie stołujesz. Co do mnie, to jestem tu po drodze, mam na wodzie stateczek i płynę ze zbożem do Gdańska.

– A jakoż statkiem będziecie wracać z powrotem, pod prąd?

– Z powrotem nie będę płynął. Komieję się rozbierze na bale i sprzeda.

– Komieję?

– To taki statek rzeczny. Czworoboczny, z płaskim dnem, kierowany wiosłami, służy do przewozu różnych towarów, na przykład zboża. Specjalnie jest zrobiony tak, żeby później można go było rozebrać na belki i deski, bo co później z tym zrobić? A drewno zawsze ktoś kupi.

Wkrótce stanęła przede mną miska jęczmiennej kaszy polanej gęstym sosem i kawał mięsa. Zanim zabrałem się do jedzenia, chłopak przyniósł kubek piwa.

Ledwo spróbowałem, a już obiecałem sobie, że tę gospodę z daleka będę omijał. Kasza zalatywała spalenizną, mięso było twarde, a piwo kwaśne. Skrzywiłem się.

– Nie smakuje? – widząc to, zapytał rozmowny sąsiad. – Ja z własnego doświadczenia wiem, że może być jeszcze gorzej, dlatego na brzeg wychodzę głównie po to, żeby się nogi rozruszały, bo na statku mamy małą kuchenkę, to zawsze sobie coś uwarzymy. Choćby ryby złowione we Wiśle.

– To waszmość nie jesteś sam?

Usłyszawszy to pytanie, roześmiał się.

– Albo to jeden człowiek da radę taką kolubrynę prowadzić? Czterech nas jest. To nie tak, że siedzisz sobie, nic nie robiąc, a woda sama cię niesie. Na takiej rzece jak Wisła kłopotów nie brakuje. A to niespodzianie na mieliznę trafisz tam, gdzie kiedyś jej nie było, albo jakąś kępę czy wysepkę trzeba ominąć. A samotnie też niebezpiecznie w taką drogę się puszczać.

– Z Krakowa też zabieracie towary?

– Z Krakowa? A nie, najdalsze porty na Wiśle dogodnie do splawiania takich dużych i ciężkich statków jak mój to Sandomierz i Kazimierz. No, komu w drogę, temu czas. Żegnaj waszmość, nie mówię: „Do widzenia”, bo pewno już się nie zobaczymy.

*

Jak tylko wróciłem do domu, już w sieni poczułem miły zapach, jakże różny od

tego w karczmie, i tu natknąłem się na gospodarza.

– Co tak ładnie pachnie? – zapytałem, pociągając nosem.

– Pieczeń z kluskami i z sosem – gospodarz uśmiechnął się – przy niedzieli trzeba sobie trochę lepiej podjeść.

– Dobrze mieć w domu gospodynię. Ja dopiero co wyszedłem z gospody, ale tak mnie ugościli, że więcej tam nie wrócę.

– No tak – przytaknął bednarz – człek chce mieć zdrowie, a często sam wiele robi, żeby je popsować, i jeszcze za to płaci.

Ledwo zamknąłem drzwi, gdy posłyszałem pukanie. Znowu gospodarz:

– Jak żona się dowiedziała, panie, żeście z gospody głodni wrócili, kazała mi zaprosić was na domowy obiad.

Dziwnie mi się zrobiło, bo choć wiele czasu nie minęło, już zapomniałem, kiedy ostatni raz siedziałem przy stole z rodziną. Wahałem się, bo może tam będę czuł się intruzem... Gospodarz to zauważył.

– Z serca prosimy, czym chata bogata. Przy okazji lepiej się poznamy.

– Skoro tak, to z wdzięcznością zaproszenie przyjmuję, ale nie tyle dla obiadu, ile raczej dla miłego towarzystwa, którego spragniony jestem więcej niż pożywienia.

Na czysto wyszorowanym stole czekały talerze, a gospodyni zaraz postawiła na środku miskę klusek i drugą z pokrajanym mięsem i sosem. To ono właśnie tak pachniało. Przy stole siedział już chłopiec, który, gdy wszedłem, wstał. Pozdrowiłem wszystkich imieniem Boga, podszedłem do gospodyni i pocałowałem ją w rękę.

– Wybaczcie, pani, ale czuję się tak, jakbym sam się tutaj wprosił. Nie tylko na jadło przyszedłem, ale że do rodziny mam daleko i na razie sam jeden tu żyję, miło będzie posiedzieć wśród ludzi i porozmawiać.

– To jest nasz syn, Janusz ma na imię. No, sami sobie nałóżycie na talerz czy ja mam wam nałożyć?

Sięgnąłem więc po łyżkę.

– Mówicie, żeście samotni – powiedział bednarz. – Podobno przyjechaliście z Krakowa? Macie tu w Warszawie coś namówionego?

Opowiedziałem, jak tam pracowałem, i dlaczego przeniosłem się tutaj.

– Początki zawsze są trudne – zauważył – a dobry początek dużo znaczy, bo dodaje otuchy i wiary we własne siły. Jak się szczęście trafi, zaraz trzeba je chwytać i trzymać, żeby nie uciekło. A wy, jak słyszę, książkami się zajmujecie?

– A tak, naprawiam stare książki, daję im nowe okładki, żeby dłużej służyły.

– To musicie być mądrym człowiekiem, skoro stale macie do czynienia z książkami, jak jaki ksiądz albo pisarz na Ratuszu.

– E tam, zaraz mądry – zaśmiałem się. – O każdym można powiedzieć, że mądry, jeśli potrafi to, czego inny nie umie. A wasz syn chodzi do szkoły?

– A jakże! Do parafialnej, co jest przy świętym Janie. Uczą go tam rachować, czytać i pisać po polsku, łacinie i religii. Już i do mszy świętej zaczął posługiwać.

– A wiesz, ile jest świętych sakramentów? – zwróciłem się do chłopca.

Ten chwilę się zastanawiał i liczył na palcach.

– Chyba osiem... nie, siedem! – poprawił się. – Tak, siedem!

– Dobrze. Chcesz, to nauczę cię, jak to zapamiętać. Posłuchaj...

*Dziesięć Bożych jest przykazań,
Dziewięć chórów jest anielskich,
Osiem mamy błogosławieństw
Siedem mamy sakramentów,
Sześć stągwi było w Kanie,
Pięć ran cierpiał Pan,
Cztery listy Ewangelisty
Trzech świętych patriarchów,
Dwie Tablice Mojżeszowe,
Jeden Syn Maryi
Co króluje w niebie,
A na ziemi Pan...*

Powtórzyłem kilka razy, od początku do końca, a chłopiec za mną, aż uradowany stwierdził, że już umie. Zadowoleni byli też jego rodzice.

– No widzisz, dobrze mieć takiego sąsiada – powiedział ojciec – ledwo go poznałeś, a już czegoś cię nauczył.

– Jak chcesz – zwróciłem się do chłopca – to czasem zaglądaj do mnie. Obejrzysz sobie książki, porozmawiamy i dowiemy się czegoś nowego, ty ode mnie, a ja od ciebie.

– Dobrze, to można jutro?

– Można, jutro cały dzień będę w domu. – Wstałem. – Dziękuję za smaczny obiad, ale już sobie pójdę. – W tym momencie coś mi się przypomniało. – Chciałbym jeszcze zapytać, gdzie tu można niedrogo zjeść. Na śniadanie i kolację sam coś upitraszę, ale czasem chciałoby się czegoś gotowanego. I praczka by się przydała.

– Pomyślimy i może coś znajdziemy – powiedziała gospodyni.

– Jeszcze raz dziękuję. Więc na razie dobranoc.

*

*Już dziesiąta na zegarze,
Goście światła, gospodarze,
Strzeżcie ognia i złodzieja.
Chwalcie Boga dobrodzieja!!*

– usłyszałem przez uchylone okno, gdy już leżałem w pościeli. Już zdążyłem się dowiedzieć, że od czasu ostatniego pożaru, który miał miejsce w 1478 r., kiedy to spłonęła Warszawa zabudowana drewnianymi domami, wydano prawo, że do dziesiątej godziny ogień w domach mają być wygaszone. Teraz nocą po mieście chodzi straż, sprawdzając, czy prawo jest przestrzegane i przypominając zapóźnionym o tym obowiązku.

Kiedy nad miastem panuje noc, ulice pogrążają się w mroku, a jeśli coś je wtedy oświetla, to tylko księżyc i gwiazdy, jeżeli niebo jest pogodne. Kto w tym czasie musiał gdzieś pójść, przyświecał sobie świeczką zamkniętą w latarce. Wprawdzie dziś na miejscu drewnianych domów stoją mieszczkańskie kamienice, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże...

Leżałem z rękami pod głową, sen jakoś nie przychodził, przed oczami przesuwały się obrazy mijającego dnia, a po głowie snuły się różne myśli.

O królu Augustcie i Barbarze, o ich miłości i nieszczęściu w tej miłości. Co by było, gdyby z niej zrezygnował, a dobro państwa więcej by mu ważyło niż ta miłość? Przykładów nie trzeba daleko szukać, choćby nasza królowa Jadwiga. Polką była tylko po matce, urodzona na Węgrzech jako córka Ludwika Andegaweńskiego. Jeszcze w dzieciństwie została zaręczona z austriackim Wilhelmem Habsburgiem. Była wykształcona i odcytana – miała dużą bibliotekę, znała pięć języków – a jednak potrafiła zrezygnować z dziewczęcych marzeń o szczęściu i miłości i w imię wyższych racji poślubić na pół dzikiego, jak wtedy uważano, litewskiego kunigasa Jagiełłę. Gdyby została żoną Wilhelma, Polska dostałaby się pod wpływ Habsburgów, przyjęcie chrztu przez Litwę odwlekałoby się nie wiadomo na jak długo, a Zakon Krzyżacki nie utraciłby pretekstu do podbojów, rzekomo dla nawracania pogan. Dzięki jej poświęceniu Polska i Litwa razem mogły stawić czoła wspólnym wrogom. Ale któż wie, ile nieprzespanych nocy kosztowała taka decyzja, kto policzy łzy, doceni złamane serce dziewczyny i marzenia o przyszłości z kochanym człowiekiem? Miłości, która legła w gruzach?

August? Nikt nie wątpi, że kochał swoją Barbarę, ale jednak... ciężko być władcą, który musi podejmować podobne decyzje...

Ciemno, chyba zaczyna padać deszcz, coś słyszc... To duże krople spadają na okienny parapet. Czerwiec to chyba najbardziej deszczowy miesiąc, w tym roku też jest taki. Słońce, tak jak życie, przeplata się z chmurami. Przyjdą kolejne miesiące, w których – miejmy nadzieję – słońca będzie więcej...

[1] Piotr Kmita z Sobnia (1477–1553) – marszałek wielki koronny w latach 1518–1529.

[2] Piotr Gamrat, herbu Sulima, dzięki Bonie kolejno przeniesiony na tron biskupi w Przemyślu i Płocku.

[3] Andrzej Krzycki (1482–1537) – poeta i dyplomata, arcybiskup i prymas, sekretarz Królowej Bony.

[4] Jan Dantyszek (1485–1549) w 1537 r. uzyskał godność biskupa warmińskiego. Ceniony jako dyplomata.

[5] Paweł Dunin Wolski (1487–1546), herbu Łabędź – kanclerz wielki koronny z lat 1539–1546.

Ranek wstał mglisty, zapowiadając dzień jakże różny od wczorajszego. Leżąc w łóżku, słyszałem człapanie konia po błocie i głos woziwody jadącego ze swoją beczką. Podobno gdzieś niedaleko jest źródło, z którego można czerpać wodę. Trzeba się dowiedzieć, gdzie to jest.

Gdy chmury nisko wiszą, to jakby człowieka przytłaczały swoim ciężarem. Gorzej się porusza, myśli płyną leniwie, wolniej się podejmuje decyzje, a przy oddychaniu powietrze wydaje się gęściejsze. Taki dzień chciałoby się przespać, bo nawet powieki na oczach bardziej ciążyą. Jeśli z takiej ospałości człek prędko się nie otrząśnie, to do wieczora będzie się ruszał jak mucha w miodzie. Wtedy dobrze jest uprzytomnić sobie, że nawet pochmurny dzień przynosi światło, a jakkolwiek by był ponury, zawsze jest jaśniejszy od nocy.

Nie słyszałem zegara na ratuszu i chyba trochę zasnęłam. Słysząc było, jak bednarz coś robi w warsztacie. Trzeba się brać do pracy. Kto to wymyślił powiedzenie, że praca uszlachetnia? Czy przypadkiem nie taki mądry, co sam stał z boku z rękami w kieszeniach i baczył, żeby uszlachetniała innych? Wstałem i ochlapałem twarz wodą z miski. Zauważyłem przy tym, że nie mam czym palić pod kuchnią, bo znaleziona deska nie na długo wystarczyła. Wyrzuciłem przez okno. Deszcz nadal siąpił, w koleinach wozów na ulicy zbierała się woda, rozlewając się tu i ówdzie w szerokie kałuże.

Wyszedłem na podwórko, gdzie w niewielkiej szopie, pod niskim dachem, gospodarz długim heblem strugał deskę, nadając jej pożądany kształt.

– Boże, pomagaj! – odezwałem się, podchodząc.

– Wam też – odpowiedział, przerywając pracę. – Przyszliście zobaczyć, jak się robi beczki?

– Zabrakło mi drewna do kuchni, a nie wiem, skąd mógłbym je wziąć.

– Jeśli wam niewiele trzeba, to można iść do lasu za Nowym Miastem i tam nazbierać gałęzi i szyszek; jak będziecie chcieli, to wam pożyczę wózek. Albo z woziwodą pogadać. A na razie nazbierajcie sobie wiórów – pokazał na ziemię, gdzie leżały odpady drewna. Rozmawialiście z moją żoną?

Zdziwiłem się, bo nie miałem do niej żadnej sprawy.

– A co do obiadów. Zajrzyjcie do nas, to się dowiecie.

Nabrałem wiórów i ścinków drzewa, ile mogłem zmieścić w rękach, podziękowałem i wróciłem do siebie. Jak rozpałałem pod kuchenką, usłyszałem pukanie. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem bednarzową. Zaprosiłem ją do środka.

– Rozmawialiśmy z mężem – zaczęła, rozglądając się ciekawie – o tym, coście mówili o gospodzie i żeśmy pomyśleli, że moglibyście się stołować u nas, razem z nami. To by was kosztowało mniej niż na mieście, ale nie byłoby w czym wybierać, bo jedlibyście to samo, co my. To jak? Chcecie?

Z ochotą się na to zgodziłem. Uzgodniliśmy, że na obiady będę przychodził codziennie, a jeśli któregoś dnia wypadnie mi coś niespodziewanego, to uprzedzę wcześniej.

– A co do prania to jeszcze nie wiem, ale dzisiaj popytam.

Ugotowałem świeży klajster i postawiłem go na oknie, żeby ostygł, a tymczasem wyskoczyłem kupić chleb, słoninę i parę jajek. Usmażyłem je na skwarkach i zjadłszy, mogłem wreszcie zabrać się do pracy.

Ułożyłem książki według wielkości i przygotowałem cienki papier do ich naprawiania, żeby był pod ręką, gdy zechcę odciąć potrzebny kawałek. Praca szła szybko, bo kartki nie były podarte, tylko niektóre przetarte i naderwane w grzbiecie. Zdążyłem już sporo zrobić, gdy przez uchylone drzwi wsunęła się głowa Janusza.

– Mama powiedziała, panie, żebyście już szli na obiad.

Odłożyłem pędzelek i poszedłem do sąsiadów.

Czym jest dom? Czterema ścianami nakrytymi dachem, dającymi schronienie przed kaprysami pogody, gdzie się po prostu mieszka, czy jest czymś więcej? Miejsce, które posiada własny nastrój, specyficzną atmosferę, właściwą tylko temu miejscu, a stworzoną przez jego mieszkańców? Właśnie ten nastrój i atmosferę często wyczuwamy zaraz po przekroczeniu czyjegoś progu, i to ona sprawia, że czujemy się swojsko albo obco, niezależnie od tego, jak zostaniemy przyjęci.

Posiłek – podczas którego spożyłem czerwony barszcz i pierogi z grzybami – minął szybko, bez zbytecznych słów. Majster spieszył się, żeby do wieczora skończyć zamówioną dziezę. Gdy poszedł do swojej roboty, zostałem chwilę, żeby pochwalić gospodynię, bo mi tak smakowało, jakbym był w rodzinnym domu, i zapytałem, jak się będziemy rozliczać. Zaproponowała, żeby raz na tydzień, w sobotę; mnie to też odpowiadało. Zauważyłem, że Janusz jakoś kręci się przy stole, więc zapytałem, czy się gdzieś spieszy.

– Nie, tylko chciałbym zobaczyć, jak się robi przy książkach.

– No to chodźmy do mnie. Jeszcze raz dziękuję za obiad.

Jak most łączy brzegi rzeki, tak książka łączy czytelnika z szerokim światem, pośredniczy w przekazywaniu myśli, uczuć i doświadczeń, a czasem nawet jest czymś w rodzaju testamentu dla przyszłych pokoleń. Za jej pomocą, nie ruszając się z miejsca, możemy wędrować po świecie, żeglować po morzach, poznawać interesujących ludzi, ich myśli i czyny, obce kraje i obyczaje, i dowiedzieć się, co jest tam, gdzie może nigdy nie będziemy. Niemalą w tym zasługę mają introligatorzy, będący ostatnim ogniwem w produkcji książki.

Cenna książka zawierająca mądrą treść zasługuje na piękną oprawę, ale bez przesady. Okładka nie powinna ozdobami dominować nad treścią, jaka w niej się zawiera. Ja sam przede wszystkim staram się, żeby oprawa rzetelnie spełniała zadanie, któremu ma służyć.

Powiedziałem Januszowi, żeby przysunął sobie stołek, i pracując, objaśniałem, co robię, dlaczego tak, a nie inaczej, a przy tym rozmawialiśmy o książkach i różnych sprawach. Zapytałem go, co dziś robił. Powiedział, że rano pomagał ojcu w warsztacie, a później poszedł do szkoły.

– Czego się dzisiaj uczyłeś?

– Dzisiaj tylko religii, bo ksiądz profesor od łaciny i rachunków musiał gdzieś pojechać. Dowiedziałem się, dlaczego Mojżesz prowadził Żydów po pustyni całe

czterdzieści lat, zanim doszli do Ziemi Obiecanej. Bo Żydzi – wyjaśnił – tak długo byli w niewoli egipskiej, że przywykli do myśli, że są niewolnikami. Zaś Mojżesz chciał, żeby do ziemi Izraela jego lud doszedł bez takiego obciążenia. Aby tak się stało, stare pokolenie musiało wymrzeć i narodzić się nowe, co nie zna niewolnictwa, a wolność będzie uważało za swój stan przyrodzony i będzie zdolne o nią walczyć.

– A po polsku też was uczą?

– Teraz nas tak uczą, że z łaciny trzeba tłumaczyć na polski, a z polskiego na łacinę, i gramatyki.

– O, to z ciebie uczony człowiek – zażartowałem. – A czy wiesz, jak w ciągu wieków zmieniała się książka, zanim stała się taką, jaką dziś znamy?

– Tego nam w szkole nie mówili.

– I raczej nie będą mówić. Otóż, widzisz, wszystko zaczęło się od pisma. Przede wszystkim musiała zaistnieć potrzeba przekazywania sobie słów i myśli nie tylko mową, bo pamięć bywa zawodna. Trzeba więc było znaleźć sposób, jak słowa zachować i przekazać dalej. Z początku robiono to za pomocą obrazków, gdzie rysunek ptaka, zwierzęcia albo słońca znaczył właśnie to, co przedstawiał.

Te obrazki z czasem stawały się coraz bardziej uproszczone. Potem – po bardzo długim czasie – powstały litery składane w słowa.

Wtedy pojawiła się potrzebna znalezienia czegoś, na czym te znaki można by umieszczać (początkowo to robiono na murach i pomnikach), a łatwego do przenoszenia z miejsca na miejsce. Tak z czasem powstał papirus robiony z łodyg wodnych roślin i pergamin. Ale papirus miał tę wadę, że był kruchy i łamliwy. I znowu trzeba było czasu i długich prób, zanim po latach stosowania papirusu, a potem drogiego pergaminu, nauczono się robić papier. I teraz mamy taką książkę, jaką widzimy przed sobą. A książki, zanim wynaleziono druk, pisano najpierw gęsim piórem.

– A jak jeszcze nie było książek – spytał Janusz – to nie było intro... intrologatorów?

Zastanowiłem się, co na to powiedzieć.

Jeśli zwoje papirusu były początkiem pisanej na nich książki – to co było początkiem intrologatorstwa? Ogólnie można stwierdzić, że intrologator jest twórcą ochrony treści zawartej w książce, obojętnie w jakiej postaci i kształcie byłaby ona obecna w danej epoce historii. Więc początki tego, czemu dziś służy intrologatorstwo, istniały już w odległej starożytności, chociaż wtedy inaczej się to nazywało i zajmowało się innymi czynnościami. Te zamierzchłe czasy z nam współczesnymi łączy odnośnie do mojego rzemiosła wspólna cecha: nadanie książce ochrony, w sposób właściwy dla danej epoki.

Mówiąc to wszystko Januszowi, miałem niejaki wątpliwości, czy cały ten mój wykład nie jest dla niego zbyt uczony.

Janusz zrobił ruch jakby chciał wstać, ale znów usiadł.

– Wczoraj złapali takiego jednego, co go posadzili, że obciął komuś mieszek. Ale okazało się, że ma czyste ręce, więc tylko na parę godzin przywiązali go do pręgierza za włóczęgostwo, a później wyświęcili z miasta.

– A wiesz, co to znaczy „czyste ręce”?

– No, że nie ukradł. Jakby kradł, to by się mówiło, że ma w rękach smołę.

– A wiesz, jest pewna powiastka o czystych rękach. Oto pięciu ludzi posądzono, że jeden z nich musi być złodziejem, ale nie wiadomo było który. Znalazł się jednak mądry człowiek, który wziął się na sposób. Ukradkiem pobrudził koguta sadzą, zamknął go w ciemnym kurniku, potem kazał tym pięciu podejrzanym wejść do środka i pogłaskać ptaka. I powiedział im, że kogut jest zaczarowany, i jak go dotknie złodziej, zapieje. I stało się tak, że pięciu ich tam weszło, a kogut nie zapiał ani razu. Dlaczego?

– No... nie wiem – niepewnie odparł Janusz. – Może był za mało zaczarowany, a może nie było złodzieja?

– Nie. Po wyjściu z kurnika kazano im pokazać dłonie. Czterech miało na nich sadzę, a u piątego były czyste.

– Bo ten piąty był złodziejem i bał się pogłaskać koguta, żeby nie zapiał – domyślił się Janusz. – Złodziej pomyślał, że jak jest ciemno, to nikt nie zobaczy, że on jeden go nie dotknął. Ale mądry był ten, co wymyślił taki sposób! Tylko że o tym, co miał czyste ręce, powinno się mówić, że miał brudne, bo kradł.

– A mądrości nie kupisz w sklepie i nie dostaniesz jej w podarunku. Trzeba się uczyć, myśleć i szukać odpowiedzi, których jeszcze nie znamy...

Chłopiec powiedział na to, że królowie to chyba nie muszą się uczyć, bo jak się taki urodzi, to już wiadomo że będzie królem, skoro jego ojciec też nim był. Nie ma terminatorów albo czeladników uczących się na królów.

Rozśmieszyło mnie takie porównanie i zapytałem Janusza, czy myśli, że król ma łatwe i przyjemne życie.

– A co ma do roboty? Sam niczego nie musi robić. Jak czegoś chce, to rozkazuje, a wszyscy muszą go słuchać i robić, co każe.

– Żeby umieć rozkazywać, najpierw trzeba nauczyć się słuchać, najlepiej mądrych ludzi. Królowie też są osądzani, chociaż przed sądem nie stają.

Tu opowiedziałem pochodzącą od starożytnych Greków przypowieść, jako niegdyś w Syrakuzach na Sycylii żył tyran, Dionizjusz się nazywał, a jego sługa Damokles zazdrościł mu władzy. Więc król na jeden dzień ustąpił mu swojego tronu, ale umieścił nad nim miecz wiszący na końskim włosie. I Damokles zamiast się ucieszyć, że jest królem, przez cały dzień patrzył na ten miecz – bo Dionizjusz nie pozwolił mu zejść z tronu – i trząsał się ze strachu, żeby się nie urwał z tego włosa i nie zleciał mu na głowę.

– A to znaczy tyle – kontynuowałem – że ów miecz nad głową Damoklesa to jest odpowiedzialność władzy wydającej rozkazy wobec tych, co im na tę władzę dali przyzwolenie. A im większa odpowiedzialność – tym na cieńszym włosie wisi ten miecz.

No, ale popatrz, tak się rozgadaliśmy, żeśmy nie zauważyli, że już się wieczór zrobił. Przychodź zawsze, jak będziesz miał czas, to sobie popatrzysz, jak pracuję, a mnie też będzie miło, bo nudno samemu tak siedzieć cały dzień...

*

To już kolejny wieczór. Leżę i rozmyślam. Królowie... miecz Damoklesa... Ciekawe, czy nasz August też ma taki miecz, który nad nim wisi? Czy królewskie kłopoty i zmartwienia są przeciwwagą dla korzyści płynących ze sprawowanej władzy? Wstrząs,

jaki sprawi, że miecz się urwie, nie musi być wielki, bo w życiu łatwiej się potknąć o mały kamień niż o wielką górę, a tych, co królowi pod nogi kamienie rzucają, nie brakuje. I nawet nie muszą to być wrogowie, wystarczą doradcy obdarzeni za dużą władzą, a za małą odpowiedzialnością.

Doradcy są jak woźnice, co chcieliby trzymać lejce i powodować koniem, ale żeby to koń odpowiadał za to, jak wóz jedzie i gdzie zajędzie... Wiele było takich kamieni na królewskiej drodze...

Jakie jeszcze? Przed kilkoma laty, w 1562 roku, na sejmie pod Witebskiem próbowano połączyć Polskę z Litwą i z tego nic nie wyszło, bo magnaci litewscy z Radziwiłłami na czele, w obawie o utratę swej pozycji i znaczenia, byli temu przeciwni. I tak ta unia odwleka się do tej pory[1].

Co jeszcze? Król planował zmniejszenie znaczenia sejmu dla wzmocnienia władzy królewskiej i znowu szlachta się sprzeciwiła, bo to jej prywatnie zagrażało. Nawet przepis, że szlachta mająca swoje dobra w mieście ma podlegać prawu miejskiemu musiało pokonać wiele trudności, zanim został uchwalony. Szlachta bowiem za ujmę uważała, żeby o jej sprawach decydowały miejskie „łyki”.

Wiele jeszcze wyliczyłbym takich kamieni rzucanych pod królewskie nogi. I jeszcze coś przyszło mi na myśl w kontekście tego miecza Damoklesa: chociaż ci, co dzierżą władzę i wiedzą, że ów miecz wisi nad nimi, śpią sobie spokojnie, mniemając, że w razie czego potrafią się spod niego nie tylko uchylić, ale może jeszcze podsunąć cudzą głowę. Nie mówiąc już o tym, że koński włos zastąpią grubym postronkiem.

Nagle okno jakby się rozjaśniło – to księżyc wyjrzał spoza chmur przez cały dzień zasłaniających niebo i prostokątną poświatą położył się na podłodze, sprawiając, że cienie po kątach stały się głębsze i czarniejsze, jakby ukrywały w sobie jakieś tajemnice.

Światło i cień... jak dobro i zło – jedno nieodłącznie związane z drugim, bo jedno bez drugiego nie mogące istnieć. Cień ma jeszcze jedną szczególną właściwość: Oto wielu miernych ludzi mierzy swoją wartość według wielkości własnego cienia, który wielokrotnie ich przerasta, jeśli są oświetlani nisko padającym światłem wybujałej ambicji. A czasem się zdarza, że mały człowiek potrafi rzucić na świat wielki cień złych uczynków, gdy ma za dużą władzę przy zbyt małej odpowiedzialności.

*

Wtem ktoś zastukał w szybę. Uchyliłem okno.

– Światło gaście, panie, już dawno minęła dziesiąta godzina! – odezwał się ktoś przechodzący ulicą ze świeczką w latarce. Podziękowałem i zgasilem świecę.

[1] Unia polsko-litewska została uchwalona w Lublinie 27 czerwca 1569 r., a ogłoszona 1 lipca tego samego roku, co miało miejsce kilka lat po sejmie pod Witebskiem.

Minęło kilka dni, w czasie których nic szczególnego się nie wydarzyło. Pracowałem pilnie od rana do wieczora, wszystkie książki już uszyłem i teraz szykowałem okładki. Janusz, jeśli nie musiał pomagać ojcu, przychodził do mnie, patrzył i opowiadał, co się dzieje w mieście.

W sobotę wieść rozeszła się po Warszawie, że wczoraj wieczorem na Zamek zajechała karetka strzeżona przez zbrojnych, którą przyjechał biskup Marcin Kromer[1], królewski sekretarz. Na dzisiaj zwołał zebranie panów z Rady królewskiej, którzy też się zjawili w Warszawie. Nikt nie wiedział, co się święci i czego mają dotyczyć te obrady, ale ludzie w tym pośpiechu przeczuwali coś niedobrego.

Tak więc siedziałem przy stole i zajmowałem się robotą, gdy usłyszałem pukanie. Nie obejrzałem się, będąc pewnym, że to Janusz.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Można wejść? – W progu stanął uśmiechnięty Łukasz.

Uściskaliśmy się i podsunąłem mu stołek.

– Siadaj, długo cię nie było – powiedziałem. – Gdyby nie to, że miałem wiele zajęcia przy książkach, to bym cię poszukał.

– Ale byś mnie nie znalazł, bo byłem w Płocku z kościelnym interesem i dopiero wczoraj wróciłem.

– Wczoraj? – Tu coś mi się przypomniało. – Ponoć wczoraj królewski sekretarz przyjechał na Zamek i jakieś obrady prowadzi. Nie wiesz, co się dzieje?

– Nic dobrego. Gdańszczanom nie podoba się nasza flota kaperska, która przechwytyjąc lub odpędzając wrogie okręty, podobno zagraża swobodzie ich handlu. Kilka naszych okrętów przechwycili i czterech marynarzy ścięli.

– Co?! – zdumiałem się. – Uszom nie chce się wierzyć, jak słyszę, że miasto należące do Rzeczypospolitej, wydało jej wojnę!

– No właśnie, ale tak się stało, z tym że to nie tyle wojna, ile bunt przeciw obecności kaperskiej floty.

– I co teraz będzie? Król tego chyba nie puści płazem?

– Do Gdańska ma pojechać komisja z biskupem włocławskim na czele, żeby tę sprawę na miejscu zbadać. Król kazał mu opracować statuty porządkujące i podkreślające zależność miasta wobec Polski.

– I myślisz, że coś dziaają?

Łukasz ze sceptycyzmem wzruszył ramionami.

– Że statuty opracują, w to wierzę, ale wątpię, czy winni zbrodni zostaną ukarani. Gdańsk na razie uszy położy po sobie, ale to dumne i harde miasto, co samo by chciało być jak państwo w państwie. No, ale dosyć o tym. Niech polityką się parają ci, co są do niej przeznaczeni, a my zajmijmy się tym, co nas samych dotyczy. Co porabiałeś, jak mnie nie było?

Pokazałem mu równo ułożone książki, do których właśnie szykowałem okładki.

– Widzę, żeś jakiś markotny.

– Cóż, cały dzień siedzę tu sam jeden, między ludźmi się nie obracam, bo spieszę się, żeby te pierwsze książki prędko zrobić i zapłatę dostać, bo w kieszeni chudo. Do rodziny daleko, a jak na razie znam tutaj tylko ciebie, nie licząc chłopca od gospodarzy, co mnie czasem odwiedza.

– Trudno uwierzyć, żeś taki odludek. Kiedyś taki nie byłeś.

– Kiedyś był inny czas i warunki. Tu, w Warszawie, oprócz gospodarzy znam tylko ciebie, pana Sylwestra i pana Kowala, co ogrodnikiem jest przy Zamku, a z kupcami, u których się zaopatruję, rozmawiam tylko o sprawach tego, czego mi od nich potrzeba.

Łukasz sięgnął do rękawa sutanny i uśmiechnął się, coś z niego wyjmując.

– Masz, oto zwracam twój papirus. I co? Pojechałbyś ze mną do tego miejsca?

Patrzyłem na niego z niedowierzaniem, nic nie mówiąc.

– I nawet nie zapytasz, jak się dowiedziałem, gdzie to jest?

– A czego tu można się dowiedzieć? Jak ja ci narysuję taką kreskę z krzyżykiem, to też mi powiesz, co wymyśliłem?

– Jak się ma tutaj – postukał się palcem w czoło – to mając koniec niteczki, można za nią dojść do kłębka.

– I znalazłeś ten koniec?! A gdzie jest kłębek?

– Początek nitki to mam, ale gdzie jest kłębek? Trzeba go znaleźć. Zanim powiem, co już wiem, powiedz, jak ty byś sam go szukał.

– Nawet bym nie próbował!

– No więc słuchaj. Skoro ten obrazek był w kalendarzu, najpierw trzeba było się dowiedzieć, kto go tam włożył, po co i jak się to wszystko znalazło w bibliotece. Mówiłeś, że przyniósł go tam jakiś mnich.

– To nie ja, tylko pan Sylwester tak powiedział. I to nie mnich go przyniósł, tylko ktoś, kto to przy nim znalazł.

– Dobrze, wszystko jedno. Poszedłem do biblioteki, żeby się czegoś więcej dowiedzieć. I dowiedziałem się, że książkę przyniósł jeden z miejskich pachołków, a znalazł ją przy mnichu leżącym bez przytomności za bramą na Czerskiem. Więc zacząłem szukać tego pachołka, a jak dobrze poszukałem, to i znalazłem. Powiedział mi, że onego mnicha zanesiono do szpitala Świętego Ducha.

To jest nie tyle szpital, gdzie leczą ludzi, ile przytułek dla różnych kalek i inwalidów, z którymi nie wiadomo co zrobić. Lekarz tam bywa rzadkim gościem, a szukający pomocy zdany jest na opiekę cyrulików, co tam zresztą też bywają od przypadku do przypadku. Przy okazji zobaczyłem, jaka tam bieda panuje, nie tyle z powodu braku środków, co wprawdzie marne, ale jednak są, ile w rezygnacji z chęci do życia spowodowanej bezdomnością. A bezdomność jest nie tylko brakiem własnego kąta, ale w jeszcze większej mierze pozbawieniem oparcia w drugim człowieku, beznadziejnością i bezradnością. Dopiero wtedy, gdy ktoś czuje się samotny tam, gdzie powinien spodziewać się pomocy od bliskich lub przyjaciół i nie otrzyma jej, zaczyna się prawdziwa bezdomność. Taka, która tkwi w samym wnętrzu człowieka i stale mu o sobie przypomina. Zauważyłem też, że przebywającym w tym szpitalu trzeba zapewnić udział w życiu duchowym. Bo cóż z tego, że od czasu do czasu odwiedzi ich jakiś ksiądz, odbębni z nimi parę pacierzy i pójdzie sobie w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Nie o taki obowiązek tutaj chodzi. Pociecha religijna powinna docierać do duszy człowieka, nie tylko do jego uszu, i zawsze wtedy, gdy jest potrzebna, a nie od przypadku do przypadku.

No więc znalazłem go, onego mnicha, ale tak wycieńczonego i słabego, że już dobrze na księżą oborę patrzył. Na imię mu Damian. Trudno się było z nim dogadać, bo wiele od rzeczy mówił i to tak po kawałku, że później te kawałki po kolei musiałem sobie w głowie układać jak beczkę z klepek. A więc w skrócie:

Ten Damian pochodził ze Śląska, gdzie jakiś czas temu przeprowadzono sekularyzację klasztorów, między innymi tego, do którego i on przynależał. Zakonnikom pozwolono pozostać na miejscu aż do śmierci, z tym że nowych do nowicjatu przyjmować im nie wolno. On jednak z tego pozwolenstwa wolał nie korzystać i ruszył w świat, kierując się na wschód. I tak pomału idąc, doszedł do klasztoru Świętego Krzyża i tam pomieszkał parę dni, tygodni czy parę miesięcy, kto go tam wie, bo już mu się wszystko w głowie pomieszało, póki nie wydobrzeł po długiej wędrówce. Później ruszył dalej, aż doszedł do Warszawy.

Przyszedłszy, omdlał z wyczerpania niedaleko Bramy Krakowskiej, bo już stary jest i nie na jego nogi taka wędrówka. Ten kalendarz miał od lat, jeszcze w klasztorze na Śląsku.

– I tylko tyle?

– Na razie tyle, czego jeszcze byś chciał? Pokazałem mu ten papiruszek i zapytałem, skąd on się wziął u niego w tym kalendarzu. Podobno znalazł go w jakiejś małej wioseczce, co się nazywa Krzemionka czy tak jakoś, zagubionej w lasach koło Ostrowca. Jej mieszkańcy żyją jak ich pradziadowie przed wiekami, nie wiedząc o szerokim świecie, a swoich starych bogów pomieszali z naszymi świętymi i wespół do nich się modlą.

Mnich Damian mieszkał tam jakiś czas, parę dni czy tygodni – kto go tam zrozumie – w chacie niejakiego Kryspina, chcąc go oświecić Chrystusową nauką, ale chyba niewiele wskórał. Ten Kryspin tam jest czymś w rodzaju proroka, wróża albo czarownika. Damianowi okazał dużo życzliwości, gościł go i rad słuchał opowieści o żywotach świętych i męczenników. To w jego chacie mnich zobaczył w jakiejś szparze zatkniętą tulejkę cynową z nasuwaną pokrywką.

Było tam parę kartek takich jak ta, na pół zbutwiały ze starości, więc wyjął tylko jeden, najlepiej zachowany, najmniej zębem czasu nadgryziony, żeby go obejrzeć, i trzymał go, nie wiedząc po co, w kalendarzu między kartkami, z czasem o nim zapomniawszy. Pytał Kryspina, skąd ma tę tulejkę, a ten powiedział, że jeszcze dziad jego – czy może pradziad – znalazł ją na polanie w puszczy o pół mili od jego domu, gdzie podobno w zamierzchłych czasach zgubiły ją dwa wielkoludy, co tam ze sobą walczyły. I zaśpiewał mu o tym wydarzeniu bajkę-niebajkę, którą nazwał „Przekazaniem”, bo ponoć od wielu pokoleń jest przekazywana z ojca na syna.

Damian, idąc za wskazówkami Kryspina, znalazł miejsce, gdzie to się działo. Podobno w głębi puszczy jest polana zawalona wielkimi kamieniami, a na jej środku stoi głaz, prawie na chłopa wysoki, sterczący z zielska i gruzów, co go otaczają.

– I to wszystko? Tylko ten głaz i nic więcej?

– Na razie tak, czego byś jeszcze chciał? Ale słuchaj dalej. „Przekazanie” Kryspina

mówi, że dawni bogowie tą skałą coś tam przywalili, więc może w tym coś jest?

– A ty, chrześcijański ksiądz, wierzysz w tę gadkę o pogańskich bogach?

Łukasz, zanim odpowiedział, chwilę się nad czymś zastanawiał.

– Widzisz... wszystko ma jakąś praprzyczynę, jakiś początek. Legendy, mity, podania... O, właśnie! – zawołał ożywiony – właśnie mi się skojarzyło, że to, co nazywamy podaniem, może znaczyć to samo, co „Przekazanie” tego Kryspina... ale co to chciałem powiedzieć?... Aha, otóż mity i podania czasem są węzłem, co fantazję łączy z rzeczywistością, a terażniejszość z przeszłością tak dawno minioną, że rozplywa się w pamięci jak we mgle, a jej niewyraźnym konturom wyobraźnia przypisuje fantastyczne kształty. Jeżeli zdejmemy z tego otoczkę wyobraźni, być może zobaczymy, co było ich źródłem, a może lepiej powiedzieć: korzeniem, z którego wyrosły.

Mogło być tak, że naprawdę było dwóch ludzi o coś ze sobą walczących. A czy to były olbrzymy – to inna sprawa, stare opowieści bywają ubarwione, żeby sprawiały większe wrażenie. Może być, że coś istotnie zostało przywalone kamieniem, a czy zrobiła to ręka bogów czy ludzi, co chcieli to ukryć, czemu zapobiec – to znowu inna sprawa. Tym bardziej, że działo się to tak dawno, że zwyczajna rzeczywistość stała się mitem, legendą, która przez pokolenia przechodząc z ust do ust, zapewne przybierała coraz nowe kształty.

Jestem przekonany, że ta kreska na kartce to droga prowadząca do tajemniczego kamienia, a krzyżyk – to sam kamień. Już się domyślam, gdzie znaleźć początek tej drogi, żeby się dowiedzieć, co jest na jej końcu. Damian próbował poruszyć tę skałę, ale nie dał rady, więc tylko kawałkiem krzemienia naskrobał na nim krzyżyk, bo myślał, że może pod spodem kryje się jakieś zło, które krzyż pomoże unieszkodliwić, albo ciało, któremu należy się chrześcijański odpoczynek, a duszy – spokój.

– A ty chciałbyś tam pójść – domyśliłem się. – Ale trudno będzie tam trafić, znaleźć te wioskę, tego Kryspina i ten kamień na polanie. I czy opłaci się? Gdyby wiadomo było, że tam coś jest, a tak... A konkretnie, gdzie to jest? A poza tym, dopiero otworzyłem warsztat i ledwo zacząłem, a już miałbym to wszystko rzucić, żeby szukać wiatru w polu?

– Gdzie? Załedwie ze trzydzieści mil[2] od Warszawy, może trochę więcej, może mniej. To jest gdzieś niedaleko Ostrowca[3] – dużej wsi. Od Ostrowca trzeba iść lasami na północny wschód i niedaleko rzeczki Kamiennej szukać owego osiedla, gdzie żyje Kryspin. To imię nieczęsto jest spotykane, więc może tam komuś obito się o uszy i skieruje nas we właściwą stronę. A jak trafimy do Kryspina, to znajdziemy i tę polanę, i ten głaz na niej – i przekonamy się, co pod nim jest. A co do twojej pracy, to nie mówię, żebyś już teraz na jakiś czas ją odłożył, bo wszystko się może przeciągnąć i będzie dość czasu na przemyślenie tego wszystkiego. Ja też mam swoje obowiązki, których nie mogę zostawić, kiedy tylko będę miał ochotę. Trzeba przewidzieć, co może nas tam spotkać, co ze sobą zabrać, żeby się w worku na plecach zmieściło, bo tam *per pedes apostolorum*[4] trzeba będzie chodzić.

W miarę jak Łukasz mówił, nabierałem coraz większej ochoty na taką przygodę. Nawet jeśli nie ma po temu ważnej potrzeby, to już samo szukanie może być ciekawe. A czy coś się znajdzie – kamień czy skarb – to rzecz drugorzędna. Jeśli się nie wie, czego szukać, to i rozczarowania nie będzie, bo cokolwiek by to było, zawsze można sobie

powiedzieć, że to jest właśnie to. Dla kogoś, kto całe życie spędził w mieście, byłoby to jak wyprawa żeglarza w poszukiwaniu nieznanych lądów.

– Możemy pójść! – powiedziałem, dodając, że nie prędeż jednak, aż swoje sprawy na prostą drogę wyprowadzę.

– No to zacznijmy już myśleć i planować. Chciałbym, żebyśmy pod koniec sierpnia lub koło tego byli już w drodze, więc mamy przeszło dwa miesiące na przygotowania. Jeśli się do tego czasu nie wyrobimy, to wszystko trzeba będzie odłożyć do przyszłego roku, bo do krótkich dni jesieni już by było za blisko.

– A wiesz, jak się dostać do tego Ostrowca?

– Drogą do Krakowa zawsze ktoś jedzie. Zaczepimy się przy kimś i pojedziemy tak daleko, jak się da, a później albo przysiadziemy się do kogoś innego, albo dalej pójdziemy piechotą. A jak zaczniemy szukać tego Kryspina, to na pewno go znajdziemy!... Pomówmy o twojej przyszłości. Jakie masz plany, takie trochę dalsze?

– Takie trochę dalsze? Sprowadzić z Krakowa moją Dorotkę i założyć rodzinę. Ale żeby mieć to, co dalsze, najpierw muszę mieć to, co bliższe. Ugruntować swoją pozycję w rzemiośle i dać się poznać, gdzie trzeba. Mieszkanie znaleźć... Takie to są fundamenty, na których chcę budować swoją przyszłość. Ale to może potrwać...

– Jeśli człek wytrwale do czegoś dąży i mocno trzyma się ziemi, a nie buja w obłokach, na pewno to będzie miał. Co do naszej wyprawy poczekamy, aż wszystkie sprawy uładzisz po swojej to myśli i będziesz mógł się wybrać w drogę bez szkody dla nich. Ja też mam swoje sprawy, których nie mogę zostawić, kiedy chcę.

Teraz mam coś dla ciebie. Proboszcz od świętego Jana chce, żeby mu oprawić stary mszał, co się już mocno wysłużył, a ja mu twoją osobę poleciłem. Z kolei będąc na Ratuszu, zauważyłem, że księga Rady miejskiej jest w opłakanym stanie i poradziłem pisarzowi, żeby w podobnych przypadkach u ciebie szukano pomocy jako u dobrego majstra, który zawsze porządnie i prędko zrobi, co trzeba. No, to pójde już. Znowu nieprędko się zobaczymy, bo za parę dni jadę z pocztą do Krakowa.

Ucieszyłem się i zapytałem, czy mógłby zabrać moje listy do rodziców i panny, na co Łukasz chętnie przystał, uprzedzając, że wyjeżdża 24 czerwca rankiem spod Zamku, tak około szóstej, siódmej godziny.

– No to do zobaczenia, ostawaj z Bogiem.

Ledwo się wziąłem do roboty, zajrzał Janusz i powiedział, żebym przyszedł na obiad. Gospodarza nie było w domu, pojechał gdzieś po deski i miał wrócić dopiero wieczorem. Gdyśmy siedli przy stole, bednarzowa powiedziała, że widziała, jak do mnie ksiądz wchodził, i zaniepokoiła się, czy coś złego mi się nie przytrafiło.

– A czy to dla was, pani, ksiądz znaczy zły omen? Nic się nie stało prócz tego, że przyszedł porozmawiać, bo znamy się jeszcze z Krakowa, gdy chodził tam do szkoły, i tak jak na przykład wasz Janusz, miał tam kolegów i swoje zabawy.

– No tak, ale dziwnie jest, jak się o tym pomyśli, bo księdza trudno sobie przedstawić jako dziecko... Ksiądz to ksiądz...

– To przedstawcie sobie, że nawet papież był dzieckiem, swego czasu chodził do szkoły, a w niej może i różgą oberwał, jeśli się lenił w nauce.

– Co też opowiadacie! – Kobieta aż się przeżegnała ze zgrozy. – Ojca świętego

różgą? Grzech tego słuchać!

– Cóż – zażartowałem – czasem warto zgrzeszyć, bo z jednego nawróconego grzesznika jest w niebie więcej radości niż z dziewięciu sprawiedliwych. A wtedy i do spowiedzi jest po co iść...

*

Wróciwszy do siebie, dla rozprostowania nóg i grzbietu postanowiłem wybrać się na przechadzkę.

Idąc łukiem Podwala, doszedłem do Barbakanu, gdzie skręciłem w stronę ulicy Freta i później w Zakroczymską, stanowiącą oś Nowego Miasta. Było tu dużo magazynów i zakładów rzemieślniczych – które ze względu na swój charakter nie mogły się mieścić w murach miejskich – jak rzeźnie, garbarnie, składy... Patrząc w stronę Wisły, zobaczyłem dużą pasiekę, a w dalekiej perspektywie ulicy był chyba las, w każdym razie widać było zwarte grupy drzew.

W miejscu, gdzie teraz jest nowomiejski rynek, podobno za króla Jagiełły jeszcze knieja szumiała, co teraz trudno sobie wyobrazić, widząc na jej miejscu ludne i gwarne miasto. Niedaleko rynku miał swój warsztat garbarz, pan Szadłocki, z którym niedawno rozmawiałem o potrzebnych mi skórkach. Widząc ruch na jego podwórku, pchnąłem furtkę przy bramie. Majster z czeladnikiem wkładali coś do wielkiej drewnianej kadzi, z której już z daleka dolatywała niemiła woń, ale jak mnie Szadłocki zobaczył, zaraz wytarł ręce w fartuch i przywitał się.

– Poznaję waszmość. Pewno w sprawie skóry na oprawy książek? – Zaprowadził mnie do izby, gdzie pod oknem na dużym stole leżały wyprawione płyty różnych skór, i powiedział, żebym zobaczył, czy znajdę tu coś, czego potrzebuję. – Ja tymczasem skończę, co mam zaczęte, i zaraz przyjdę.

Przerzucałem skóry, dotykając sprawdzając ich miękkość oraz patrząc pod światło, czy na całej powierzchni są równo zabarwione i pozbawione wad w rodzaju zacięć i plam, co mogłoby wpłynąć na jakość i wygląd oprawy. Wśród nich była jedna skóra kozia, a trudno ją pomylić z innymi, bo ma charakterystyczny wygląd i skrzypi zmięta w garści. Były też skóry świńskie i cielęce. Świńską też łatwo poznać, powierzchnię ma bowiem jakby pokrytą rodzajem punkcików, z których kiedyś wyrastały włosy szczeciny. Ta skóra może służyć jako ozdoba, jeśli się dobrze ją dobierze do rodzaju i wielkości książki. W taką oparłem kiedyś *Rozmowy, jakie miał król Salomon mądry z Marchołtem grubym a sprośnym*, które Jan z Koszyczek przełożył z łaciny... a może i sam napisał, już nie pamiętam.

Każda skóra z drugiej strony miała kredą wypisaną cenę, mogłem więc obliczyć, że jak je wezmę, nic mi w kieszeni nie zostanie. W tej chwili wrócił majster, pytając, czy towar mi odpowiada.

Odrzekłem, że lepszy być nie może i zawsze gotów jestem tylko tutaj się zaopatrywać, ale w tym rzecz, że dopiero się dorabiam i z pieniędzmi u mnie krucho. Te skóry są na początek mojej pracy w Warszawie i jeśli je kupię po podanej cenie, to póki nie dostanę zapłaty, nie starczy mi na życie.

– Nie mógłbyś, waszmość, trochę opuścić? – zapytałem nieśmiało.

Szadłocki się zamyślił, coś sobie w głowie układając, i popatrzył na mnie, jakby oceniając, com za jeden.

– Dobrze – rzekł wreszcie – jeśli mnie uznacie za swojego stałego dostawcę, tym razem opuszczę ćwierć ceny. Ja sam, gdym się dorabiał, też potrzebowałem pomocy i dobrzy ludzie mi pomogli. Tak więc dobrze wiem, jak to jest, kiedy człek niepewny, czy na chleb mu wystarczy.

Podaliśmy sobie ręce, zapłaciłem, po czym powiedziałem, ktom jest, że na Podwalu blisko Bramy Krakowskiej u bednarza można mnie znaleźć, a też że niedawno potrzeba przygnała mnie z Krakowa do Warszawy. Szadłocki zapytał, czy już zgłosiłem w Ratuszu otwarcie warsztatu. Dowiedziawszy się, że jeszcze nie, powiedział, że to niedobrze, bo chociaż magistrat rad widzi nowych rzemieślników, gdyż przez nich miasto się rozwija, a z podatków dobrobyt jego rośnie, to takich, którzy przed podatkami się chowają, za szkodników się uważa.

Skóry zwinięte w rulon wzięłem pod pachę i poszedłem w swoją stronę.

Wracałem przez Bramę Nowomiejską i Barbakan, co został niedawno wybudowany[5] i miał podnoszony most na fosie. Po drodze wstąpiłem do Ratusza, gdzie zaraz, niewiele szukając, znalazłem tego, co rejestry prowadził. Zanim pióro w kałamarzu umoczył, żeby mnie wpisać do grubej księgi, najpierw dokładnie wypytał, kim jestem, czemu Kraków na Warszawę chcę zamienić, kiedy do miasta przybyłem i czemu dopiero teraz do Ratusza przyszedłem. Pytał też, czy mam papiery potwierdzające, że kwalifikacje posiadam odpowiednie dla rzemiosła, które chcę uprawiać.

Rzekłem na to, że papiery mam, ale ich przy sobie nie noszę i mogę wkrótce przyjść, żeby je okazać, bo blisko mieszkam. A przychodzę dopiero teraz, bo dotychczas byłem zawieszony jakby między niebem a ziemią, nie wiedząc, czy uda mi się tutaj zaczepić, czy do Krakowa będę musiał wracać. Ale skoro udało mi się znaleźć robotę, to już tu zostanę i w poczet obywateli warszawskich chcę się zapisać. I dodałem, że słyszałem, iż na Ratuszu znajduje się jakaś księga wymagająca oprawy, co z niej karty lecą, i że będę mógł ją oprawić. Pisarz zapytał, kto mi taką informację podał, a jak się dowiedział, że ksiądz Łukasz, powiedział, żebym przyniósł mu do okazania swoje fachowe papiery, to mnie do rejestru zapisze, bo chociaż mi wierzy, to sprawy urzędowej tak na gębę załatwić nie może.

Pilnie pośpieszając, wzięłem z domu dokument i zdążyłem do magistratu, zanim się urządowanie skończyło. Pisarz dokumenty przejrzał, zapisał, gdzie trzeba, i powiedział, że księgę do oprawy dostanę w niedługim czasie, bo na razie jest potrzebna na miejscu. Mnie też to było na rękę, bo najpierw chciałem pokończyć wszystko, co miałem, a księga urzędowa zawsze jest w urzędzie potrzebna i trzeba by ją prędko zrobić.

No i dobrze. Zanim w mojej izdebce wieczór cienie swoje po kątach rozłożył, zdążyłem przyniesione skóry wymierzyć i z grubsza kredką wyrysować, jak je ciąć, żeby jak najmniej zostało ścinków do niczego nieprzydatnych.

Skórę na oprawę tak się powinno używać, żeby grzbiet książki przebiegał wzdłuż zwierzęcia, które ją kiedyś nosiło, wtedy lepiej się zgina i okładka łatwiej się otwiera, bo to jest zgodne z naturą skóry. Niektórzy dla oszczędności krają jak popadnie, żeby z jednej sztuki więcej pożytku wyszło, ale lepiej to robić tak, jak powiedziałem na

początku.

A jak skóra będzie już przycięta z odpowiednim naddatkiem na podwinięcia na okładce, to te naddatki trzeba równo ścienić, żeby łatwo było je podwinąć i przykleić, a te podwinięcia nie powinny się wyróżniać grubością pod papierem, jaki się na nie wewnątrz okładki naklei. Do podcinania skóry, czyli szarfowania, używa się specjalnego noża o płasko ukształtowanym ostrzu, ostrzonego tylko z jednej strony na drobnej ośelce i marmurku i ostrego jak brzytwa.

A podcina się tak, żeby skóra na samym brzegu podwinięcia była cienka aż do zaniku, żeby nie wyczuwało się palcami jej grubości. Jest to pracochłonna robota, wymagająca wprawy i uwagi, bo starając się podcinać jak najcieniej, łatwo przedobrzyć i wyciąć dziurę, zwłaszcza jeśli pod miejsce akurat podcinane dostanie się jakiś śmieć, na przykład odrobina już ściętej skóry. W takim przypadku dziura niemal pewna, bo wypukłość nad tym śmieciem zetnie się jak krostę z twarzy przy goleniu ostrą brzytwą.

Jak już wszystko obmyśliłem i zaplanowałem, co mam przygotować na jutrzejszy dzień pracy, zegar na Ratuszu wybił ósmą godzinę. I nagle przypomniało mi się, że *primo*: trzeba napisać listy do Krakowa i *secundo*: że do pisania mam tylko papier, bo do tej pory nie pomyślałem, żeby się zaopatrzyć w inkaust i pióra, po które musiałem pójść do Janusza.

*

Ciężko jest listy pisać, gdy rzadko ma się z tym do czynienia. Spróbowałem sobie wyobrazić, że list – to jakby rozmowa z kochanymi osobami, których obecność czuje się przy sobie, chociaż w tej chwili są daleko, więc zacząłem z moimi bliskimi rozmawiać na papierze, chociaż taka rozmowa to jakby gadał dziad do obrazu.

Naprzód napisałem, że znalazłem mieszkanie na pracownię, co prawda tylko na tymczasem, a jak wyglądam przez okno, widzę nad murami dachy domów i wieżę Zamku i słyszę, jak zegar na Ratuszu wybija godziny. Taki zegar to dobra rzecz, bo mi pomaga pilnować czasu. Podobno mistrz jeden, Jan z Przemyśla, trzy lata go budował. Są tam trzy postacie zmyślnie z żelaza urobione – jedna z nich halabardą raz w dzwon uderza przed wybiciem godziny, którą zaraz wybijają pozostałe figury. A na one figury i zegar ponoć trzy wozy żelaza zużyto[6].

Dalej, że jak trochę pochodziłem, to robotę znalazłem; i opowiedziałem, jak się spotkaliśmy z Łukaszem, że zdrow i pełen ochoty do pracy i życia, że nie potrzebują się o mnie turbować, bo dają sobie radę.

Do Dorotki napisałem, że nasza wspólna przyszłość ma już niejaki fundamenta i wszystko, co robię, to z myślą o nas obojgu.

Tu trzeba dodać słów parę o Dorotce dla tych, co tę historię czytają, a nie wiedzą, co ona za jedna i skąd się w życiu mym wzięła. Otóż podmajstrzy, co u mojego ojca jest zatrudniony, ma córkę – właśnie oną Dorotkę. Ponieważ nasze rodziny są zaprzyjaźnione i przy okazji bywają u siebie, nie mogło się obyć bez tego, żebyśmy się ze sobą poznali, a później rzecz poszła już swoją koleją. Z czasem przypadliśmy sobie do serca, a że oboje w stosownym już byliśmy wieku, za zgodą naszych rodziców pierścionek na palec jej włożyłem i tak zrobiliśmy zrękowiny. Teraz pozostało mi tylko czekać, aż na własnych

nogach mocno ustoję.

Ucałowaniem rączek list zakończyłem. Później raz i drugi przeczytałem, com napisał i ładnie złożyłem kartki.

*

Być może nie każdego przed zaśnięciem nachodzą różne myśli, co się z mgły pamięci wyłaniają nie wiadomo jak ani po co i tkwią w głowie jak gwóźdź w desce, ale mnie to czasem się zdarza. Tak i teraz. Nie wiem za jaką przyczyną, może to dlatego, że niedawno słyszał o marynarzach świętych przez Gdańszczan, coś zaczęło mi snuć się na temat morza, którego jeszcze nie zdarzyło mi się widzieć. Najbardziej zawile rozważania rodzą się w samotności, gdy nie ma się z kim podzielić myślami, a są one jak pajęczyna, z której trudno się wyplątać, bo ledwo się odlepisz od jednej nitki, a już się przylepisz do drugiej.

Tu trzeba dodać, że są i tacy, co ludzi morzem straszą, chociaż sami nigdy go na oczy nie widzieli, jak na ten przykład nasz Mikołaj Rej, który pisze, że „...*Morza ony srodze burzliwe, wieloryby po nich pływające, syreny śpiewające, kokodryły albo smoki latające...*”. Takie słowa kogoś, co dał się już poznać jako pisarz, i tym samym uważany jest za wiedzącego, o czym pisze, mogą nastraszyć człowieka nieświadomego, jak się rzeczy mają.

A i kartografowie, rysując swoje mapy, także puszczają wodze fantazji, ozdabiając je różnymi monstrami: już to nieznanym potworem, co się z fal morskich wyłania, już to różnymi lwami morskimi, smokami, lewiatanami... Jak to ktoś ogląda, to strach mu każe raczej pazurami ziemi się trzymać, niż ochoty dodaje, żeby się na morze wypuścić, gdzie tyle niebezpieczeństw czyha. Tu, ni z tego, ni z owego, piosnka mi się przypomniała, com słyszał, nie pomnę już gdzie ani kiedy, ani jakiego autora są te słowa:

*Przodkom naszym wystarczały ryby słone i cuchnące,
my po świeże wychodzimy, w oceanie pluskające!*

*Przodkom naszym wystarczyło, jak u brzegów żeglowali,
a nas przestwór nie przerazi ni szum groźny morskiej fali!*

A sens tej piosneczki jest taki: oto starzy przywiązani są do swego sposobu życia, wystarczy im to, co już mają, przeto niechętni zmianom, nowemu zaś pokoleniu w świecie przodków ciasno się robi jak młodziankowi w kaftanie, z którego wyrósł. Jak poleżałem jeszcze trochę i już prawie zasypiałem, przypomniałem sobie, że planowałem zwiedzić okolice Warszawy i o Jazdowie słyszałem, że tam kiedyś stał jakiś gród obronny, co warto by zobaczyć. A jutro jest niedziela, pogoda w sam raz na taką wycieczkę i chyba nie za daleko. Szkoda tylko, że nie mam towarzystwa, we dwóch albo trzech zawsze raźniej, ale co mi tam...

[1] Marcin Kromer (1512-1583) – biskup warmiński, od 1545 r. sekretarz Zygmunta II Augusta. Humanista, historyk i pisarz.

[2] Mila geograficzna w dawnej Polsce liczyła 7146 m. 30 mil jest to więc ok. 214 km.

[3] Dziś Ostrowiec Świętokrzyski – pierwsza wzmianka o nim pochodzi z 1369 r. Prawa miejskie od 1613r.

[4] *Per pedes apostolorum* – pieszo jak apostołowie.

[5] Barbakan wybudowano ok. roku 1548 w pasie murów obronnych.

[6] Karol Móravski, *Warszawa. Dzieje miasta*.

Wstałem wcześniej, żeby przed wycieczką zdążyć na poranną mszę u św. Anny.

Ksiądz ładnie mówił, jak apostołowie napełnieni Duchem Świętym poszli w świat nieść dobrą nowinę i to był początek budowy Kościoła jako takiego.

– I my też – mówił kaznodzieja – w naszym świecie i w naszych czasach powinniśmy być apostołami Ewangelii i przekazywać ją sobie nie samymi jeno słowami, ale jej duchem, co wciąż powinien się w nas odradzać i prowadzić do Chrystusa, Pana naszego...

Mówił też, jako wiele jest niesprawiedliwości na świecie, a nawet nie szukając daleko i w naszym mieście, gdzie do ludzi, w zależności od ich pochodzenia, różną miarę się przykłada. Powiedział też, że państwo na niesprawiedliwości budowane jest jak dom, co na nierównym fundamencie stoi, a którego budowniczości każdą ścianę inną miarką mierzyli, przez co krzywy jest i nietrwały, a z jednej strony naprawiany – z drugiej się sypie.

Przypomniał też, że Pan Jezus nie w pałacu, jeno w biednej stajence się narodził, a kto nad drugich się wynosi i nimi gardzi z racji urodzenia swego, ten jakby Pana Jezusa w pogardzie miał, że ubogi był.

Podobało mi się to kazanie, jednak jakby w nim czegoś mi brakowało; ale że nie mogłem dojść czego, dałem sobie spokój.

Poszedłem więc, oddalając się od murów miejskich, i niedaleko za kościołem św. Anny skręciłem w lewo, w stronę Wisły. Przeszedłem kawałek w dół skarpy, trafiłem na drugą ścieżkę i skręciłem w prawo, idąc jej biegiem. Dzień był pogodny, zaczynało przypiekać, bo zbocze, którym szedłem w stronę Wisły, opadało i było wystawione na słońce. I tutaj po raz pierwszy od dłuższego czasu usłyszałem, jak ptaki przyśpiewują, jakby była dopiero wiosna. Było to miłe urozmaicenie, bo w mieście słychać było przede wszystkim ćwierkanie wróbli grzebiących w końskim nawozie, skrzeczenie sroki albo krakanie wron i kawek.

Po lewej miałem dobry widok na wszystko, co było niżej. A tam rozpościerały się łąki – na których pasły się krowy, kozy i parę owiec – poprzecinane zagonem zboża, ogrodu albo czegoś innego, czego z powodu oddalenia nie mogłem rozpoznać. Było cicho, nic nie zakłócało spokoju, prócz świergotu ptaków i szumu liści. Odgłosy miasta tu nie docierały.

Idąc tak bez pośpiechu, natrafiłem na wąwóz, którym w stronę Wisły płynął nieduży strumień[1]. Nabrałem w dłonie trochę wody, żeby jej spróbować, a że była czysta i zimna, napiłem się, zaspokoilem pragnienie i poszedłem dalej. Nie minęło pół godziny, jak napotkałem bardzo błotniste rozlewisko porośnięte trzcina, tatarakiem i inną wodną roślinnością.

Kiedyś Warszawa obfitowała w wody, po których dzisiaj zostały tylko nazwy ulic: Tamka, Bagno, Topiel, Wąski i Szeroki Dunaj, a nawet ulicą Grodzką od Rynku do Zamku i dalej do Wisły podobno kiedyś płynął strumień.

A jak miasto zaczęło się rozbudowywać, wody coraz to bardziej zanikały, jakby

ustępując ludziom placu. Musiałem nieco drogi nadłożyć, żeby to błoto ominąć, a przedzierając się przez krzaki, rozdrażniłem komary, które cięły jak najęte, i później długo za mną goniły.

Wisły z tego miejsca nie było już widać; o tym, że w tym miejscu jej brzeg przebiega, świadczyły tylko z daleka widoczne drzewa i krzaki go porastające. Idąc tak dalej, w niedługim czasie natrafiłem na zarośnięty wąwóz, kierujący się stromo w stronę Wisły, w który musiałem się spuścić, żeby po drugiej stronie wspiąć się na wysoki brzeg[2], ubłociwszy się trochę na dnie wąwozu, bo w gęstej roślinności nie bardzo było widać, gdzie stawiam nogi.

Na wierzchu po drugiej stronie natrafiłem na ładną trawiastą polankę, z której rozpościerał się daleki widok na leżące niżej uprawne pola, łąki oraz – tu i ówdzie – domy.

Pod drzewem spoczywał na trawie jakiś człowiek z łokciem pod głową i zdawał się spać. Usłyszał mnie dopiero, jak się zbliżyłem, i uniósł do góry głowę nakrytą słomianym kapeluszem, żeby zobaczyć, kto przyszedł. Powitałem go, pochwaliwszy Boga, na co mi uprzejmie odpowiedział, a gdy zapytałem, czy mogę się przysiąść, pokazał miejsce obok siebie.

Jak usiadłem, z ulgą wyciągając nogi, zapytał, ktom jest i dokąd idę. Powiedziałem, jak się nazywam, a też, że od niedawna jestem w Warszawie i korzystając z pogodnej niedzieli zażywam przechadzki, żeby poznać okolicę, a idę do Jazdowa, gdzie odpocząwszy, wrócę do miasta.

On powiedział, że na imię ma Walenty i żebym tak się do niego zwracał. Jak trochę pomilczeliśmy po tym wspólnym przedstawieniu się, zapytał, co nowego słyhać w Warszawie, bo on jest tutejszy i dawno tam nie był.

Rzekłem na to, że chociaż mieszkam w mieście, to z domu wychodzę tylko wtedy, kiedy muszę, bo mam pilną pracę do zrobienia, ale żem słyhał o tych królewskich marynarzach, co ich Gdańszczanie ścięli. On na to, że też o nich słyhał; i znowu nieco pomilczeliśmy, bo nie warto mówić tylko po to, żeby strzępić język i nic sobie nie powiedzieć.

Czasem dobrze jest przyjrzeć się swoim myślom i zastanowić, w jakie słowa je ubrać, zanim je komuś sprezentujemy, bo słowami zarówno ziarno, jak i plewy rozsypać można. A kto plewy sieje, niech się nie spodziewa, że jakiś pożytek mu z nich wyrośnie. Jak drzewo można poznać po owocach, tak człeka po rozumnym słowie.

Żeby to milczenie przerwać, powiedziałem, żem był na mszy świętej i kazania wysłychał, a Walenty zaraz się zainteresował, o czym ksiądz powiadał. Wspomniałem, że ksiądz mówił o sprawiedliwości, że prawo jedno i to samo powinno być dla wszystkich i według niego każdy tak samo ma być oceniany. Walenty słyhał i głową potakiwał, a po ustach uśmiech mu się dziwny przewijał.

– Nie jest nowością to, co ksiądz mówił – powiedział wreszcie, wysłuchawszy mnie – ale co z tego, że ktoś potępi zło, a nie powie, skąd się ono wzięło ani jak sobie z nim poczynać? Samo wskazanie zła nie zastąpi nazwania go po imieniu i pokazania, gdzie jest jego źródło. Może ten ksiądz mówił to kazanie dlatego, że z Ewangelii tak mu wypadło na ten dzień, wiedząc przy tym, że o błędach można wiele mówić, ale nie każdemu bezkarnie można je wypominać? Część wyższego duchowieństwa zapomniała o cnocie

skromności, goniąc za dobrami doczesnymi. Z drugiej strony jest rzesza wikarych i proboszczów, zwłaszcza na dalszej prowincji, którzy ledwo wiążą koniec z końcem, bo źródłem ich dochodu są ofiary wiernych, co sami biedę klepią. Więc takie nauki jak te w kazaniu przeznaczone są raczej dla uszu tylko niż dla umysłu, skłonnego do zastanawiania się i szukania przyczyny skutków, jakie się krytykuje.

Skończywszy, oparł się plecami o drzewo i siedząc, zapatrzył się daleko, gdzie niewidoczna stąd Wisła zatacza łuk, znaczone przybrzeżnymi drzewami. Z pobliskich zarośli wyrzała sarna, a spostrzegłszy ludzi, czmychnęła w gąszcz. W milczeniu słuchałem jego słów, zastanawiając się, czy to, co mówił, nie jest tym, czego przedtem brakowało mi w słowach księdza.

– Kościół nie potrzebuje reformatorów z zewnątrz – dodał Walenty po chwili – bo w potrzebie sam się potrafi naprawić, jeno świętych, żeby ich wynosić na ołtarze i brać z nich przykład. A do świeckich spraw potrzebujących reformy też nie wołający na puszczy światli mężowie są potrzebni, ale zgoła męczennicy, bo przez tych, którym zło wytkną – ukamienowani zostaną. A kto się godzi być takim męczennikiem? Na pewno nie ten ksiądz, którego zresztą nie winię, bo zostałby ogłoszony burzycielem ustalonego porządku i wyklęty, jeśli nie przez Kościół, to przez tych, których samowoli mógłby zaszkodzić. I cóż by mu przyszło z tego, że miałby rację?

– Jeżeli ma być sprawiedliwość – rzekłem – to muszą być sprawiedliwe prawa, więc...

– Prawo i sprawiedliwość, mój drogi – przerwał mi – to są dwie różne rzeczy, czasem tak od siebie odległe jak niebo i ziemia. Prawo może być niesprawiedliwe, a sprawiedliwość bezsilna, i co wtedy? – Tu ręką machnął. – Porzućmy to – powiedział – bo takie mądrzenie się do niczego doprowadzić nie może. Więc idziesz do Jazdowa?

Powiedziałem, że miałem taki zamiar, ale że dość czasu zabawiliśmy na rozmowie, pójdę tam kiedy indziej, bo nie chciałbym późnym wieczorem wracać taką niewygodną ścieżką.

– Dlaczego ścieżką? Tu blisko jest droga, co od Jazdowa przechodząc, doprowadzi aż do murów miejskich, a i ludzi na niej nie brakuje, bo zawsze ktoś nią idzie albo jedzie.

Ucieszyłem się, bo prawdę mówiąc, długi odpoczynek sprawił, że nogi trochę mi się zastały. Jeśli wybieramy się gdzieś dalej, to lepiej robić krótkie odpoczynki, a za to częściej i wykorzystać je z pożytkiem nie tylko dla nóg, ale i dla oczu. Rozejrzeć się dookoła, popatrzeć na świat, zauważyć różnorodność drzew, że tak wiele ich jest, niby takie same, a jednak każde inne. Zastanowić się, jak wszystko celowo jest urządzone i ma swoje miejsce i znaczenie. A jeśli to, co oczami widzimy, i do duszy znajdzie drogę, zastanówmy się, czyje to jest dzieło, tak na podziw zasługujące.

Wstaliśmy. Walenty pokazał mi którądy pójść, żeby natrafić na drogę, i powiedział, że jemu wypada w drugą stronę iść, bo mieszka na podgrodziu Jazdowa. Tam, w pobliżu podniszczonego już zamku, królowa Bona wniosła kiedyś nowy dwór, a przy nim założyła piękne ogrody i zwierzyniec, ale teraz wszystko już mocno podupadłe. I tak się pożegnaliśmy.

Doszedłem do drogi. Idąc nią, rychło znalazłem się wśród zabudowań i dotarłem do znajomych miejsc przedmieścia, a w dalszej perspektywie ukazała się Brama

Krakowska.

W domu napiłem się wody, wyciągnąłem na łóżku i nie wiem kiedy, przysnąłem. Spałem, póki nie obudziło mnie kołatanie do drzwi. To Janusz przyszedł zapytać, gdzie tak długo byłem, bo matka myślała, że przyjdę na obiad, a tu już szósta godzina minęła. Na śmierć zapomniałem, żeśmy byli umówieni i głupio mi się zrobiło. Janusz powiedział, że nic się nie stało, żebym przyszedł, bo obiad, by nie ostygł, jest w duchówce.

– Wybaczcie, pani – powiedziałem, wchodząc – ale kto ma słabą pamięć powinien o tym pamiętać, żeby nie zapomnieć tego, o czym pamiętać powinien...

– Żeby to tylko na pamięć można było się skarżyć – gospodyni roześmiała się, wyjmując garnki z duchówki. – No to jedzcie, póki ciepłe.

– Skarżyć się można na wszystko – przytaknąłem – ale pokażcie mi skarżącego się na to, że jest głupi. A czy wiecie, że czasem i głupcy się przydają?

– Wy, panie, zawsze umiecie coś takiego powiedzieć, żeby kota ogonem odwrócić.

– Jak to, że papieża różgą?

– No, bo to z początku dziwnie mi się wydało. To tak, jakby kto krzyż z kościelnej wieży zdjął i postawił na ziemi.

– Ale też wiedzieć trzeba – skomentowałem – że jak taka świętość wysoko pod niebem stoi, to z daleka nie widać, że może jest trochę krzywa albo zardzewiała.

Jedząc, rozmawialiśmy o bliskim terminie jarmarku, nauce Janusza i jeszcze o innych sprawach, co nam trochę czasu zabrało.

– No, skończyłem – tu poklepałem się po brzuchu – dobre było. A gdzie to pan gospodarz się schował?

– Na piwo się umówił na Nowym Mieście, jak to przy niedzieli.

– Pójdę już. Dziękuję za obiad i jeszcze raz przepraszam, żeście musieli na mnie czekać. Jutro na obiad nie przyjdę, dopiero pojutrze.

*

Wieczór już... Pora iść spać. Myjąc się, poczułem, że czupryna mi nazbyt wyrosła i do balwierzka trzeba by pójść. Przy Bramie Nowomiejskiej łaźnia się mieści, więc jutro tam pójść i poszukam jakiegoś postrzygacza.

*

Sen jest jakby bratem śmierci: śniąc, przenosimy się jakby do innego świata, gdzie nie zawsze jesteśmy sobą, do świata, który unosi nas jak woda łódkę bez steru i wiosła do nieznanych krain, na spotkanie nieoczekiwanych wydarzeń. Sen powinien być wypoczynkiem dla ciała i umysłu, ale jego nadmiar męczy i osłabia; podobnie skutkiem nadmiaru przyjemności jest nuda i zniechęcenie.

[1] Okolice dzisiejszej ul. Tamki – niegdyś płynęła tędy rzeczka. Na planie Warszawy z 1808 r. można było doliczyć się jeszcze 134 potoków i zbiorników wodnych.

[2] Okolice dzisiejszej ul. Książęcej, kiedyś tu płynęła rzeczka Żurawka.

Trzy dni od mojej wycieczki przeleciały jak z bicza trzasnął, a przez ten czas pracowałem pilnie. Jeśli praca ma dać pożytek, powinna mieć sensowną motywację oraz właściwie trzeba się do niej zabrać. Ale jeśli ręce nie mogą dobrze wykonać tego, co każe głowa, praca staje się uciążliwym obowiązkiem, jakby jarzmem na karku roboczego wołu – idącego, bo musi iść wytyczoną bruzdą. Wtedy rodzi się zniechęcenie, od którego już blisko do bylejakości.

Z początku robota szła mi trochę niesporo. Szarfowanie pierwszej skóry zajęło mi prawie dwie godziny, ale z następnymi szło coraz sprawniej.

Skórę szarfuje się – czyli podcina – tak, aby w potrzebnym miejscu, jak już to mówiłem, była cieńsza, zbierając po trochu ostrym nożem cienkie płatki, a czasem ją skrobiąc, co jest pracochłonne i wymaga uwagi. Jak już miałem skórę przygotowaną na kilka książek, zacząłem je oklejać. Tę pracę trzeba robić szybko, póki skóra jest miękka od klajstru, bo prędko ona wysycha i czasem trzeba ją zwilżyć po wierzchu szmatką umoczoną w czystej wodzie. Przy pewnej wprawie praca ta nie jest specjalnie trudna, ale i tak trzeba się przyłożyć i postarać, żeby wszystko wyszło ładnie, równo i czysto, bez plam i zacieków.

Jak książka jest już oklejona i zwięzy z grubsza obciążnięte, wkłada się ją w praskę i póki skóra jest miękka, sznureczkami przy zwiężach obciska, żeby je ładnie uwypuklić, i tak odkładamy ją do przeschnięcia. Spodziewam się, że do jutrzejszego wieczora skończę wszystkie. Część w skórę oprawiwszy, część w płótno. W związku z tym mam pewną sprawę do załatwienia z panem Gałęckim, co blisko Bramy Nowomiejskiej ma swoją pracownię.

Książeczkę królowny Anny owinąłem w szmatkę i powiedziałem gospodyni, że wrócę na obiad. Idąc przez plac koło Zamku, widziałem kilka wozów kupieckich z budami na pałkach i słyszałem obcą mowę. Przy ulicy Grodzkiej także stało parę bud, gdzie przyjezdni ludzie szykowali sobie nocleg, ścieśniając i tak nie za szeroką ulicę, bo nie wszyscy mogli znaleźć miejsce w okolicznych kamienicach. A to wszystko z okazji wielkiego jarmarku, który tu wypada 24 czerwca, czyli jutro.

No więc, jak zapukałem do pana Gałęckiego i przekroczyłem próg, najpierw zobaczyłem, że na warsztacie ma jeno dwie książki, które właśnie już chyba kończył. Zdziwił się, jak mnie zobaczył, ale uprzejmie odpowiedział na pozdrowienie i zaprosił, żebym usiadł, podsuwając mi krzesło, a sam spoczął na drugim. Obok młody chłopak ostrzył noże na marmurku, spozierając na mnie ukradkiem.

– Pewnie dziwicie się, panie, widząc mnie u siebie – powiedziałem. – Potrzebuję waszej pomocy, bo mam kilkanaście książek już oprawionych, a brak mi narzędzi, żeby je wykończyć. Otóż, czy macie co trzeba, żeby napisy na grzbietach okładek wytłoczyć? – to mówiąc, pokazałem przyniesioną książkę.

Pan Gałęcki zaczął ją oglądać.

– Tak, mam wszystko potrzebne i mogę to zrobić. Jakie chcecie litery: tłoczone złotem czy na sucho?

Powiedziałem, że złote, a też i złote linie przy zwiężach. I że na samej okładce też mogłoby się coś znaleźć. Dodałem również, że i w przyszłości nastęcę mu taką robotę, jeśli ją będę miał.

– Zapewnie dopóki sami nie zaopatrzyicie się w narzędzia?

– Otóż nie. Na wypukłym grzbiecie książki nie wszystko będę w stanie zrobić, bom w dzieciństwie prawą rękę w łokciu uszkodził, przez co przedramieniem nie mogę obracać. Mogę tylko pojedyncze tłoczki odbijać albo płaszczyznę okładki ozdobić. Co prawda próbowałem do takiej roboty ułożyć lewą rękę, ale się nie udało, bo to jest przeciwne mojej naturze.

Pan Gałęcki słuchał, oglądając książkę.

– A więc z Krakowa jesteście, jak to za poprzedniej bytności mówiliście – stwierdził. – W Warszawie też niełatwo się utrzymać ludziom naszej profesji, a wam się, widzę, poszczęściło, tak więc ta praca od was jakby z nieba mi spadła. Ile jest tych książek?

Powiedziałem, że ta jedna i jeszcze dwadzieścia, z czego dwanaście mogę mu od razu dostarczyć, a resztę za dni parę.

– Tylko jest pewien kłopot – dodałem. – Otóż materiał na te książki kupiłem z zaliczki i wam będę mógł zapłacić dopiero, jak mnie zapłacą.

– A czyjeż to książki?

– Z zamkowej biblioteki, a trafiły mi się jak ślepej kurze ziarno, ale nie wiem, jak to będzie dalej. Mam nadzieję, że poznają się na dobrej robocie i może dostanę więcej. I tak mi się udało, bo już myślałem, że nie będę miał za co chleba kupić i do Krakowa do rodziny przyjdzie pieszo wracać o proszonym chlebie.

– Tak to i jest – przytaknął Gałęcki. – Początki zawsze są trudne, a ja, chociaż dziesięć lat już mija, jak tu zacząłem, ledwo ciągnę, nie zawsze wiedząc, czy jutro będę miał co robić i do garnka włożyć...

– W związku z tym mam pewną propozycję, ale to sprawa do dłuższego obgadania.

– Jedno, czego teraz mam pod dostatkiem, to czas. A jeśli i wy też go macie, to słucham...

– Otóż pomyślałem, że moglibyśmy ze sobą współpracować. Jak jeden z nas będzie miał robotę, to się nią równo podzielimy, jak również zarobkiem po potrąceniu kosztów.

– No, nie wiem... To by może było dobre, gdyby była pewność, że będzie co robić. A jeśli się trafi jedna książka na dwóch – to co?

– To jeden ją rozbierze, poskleja i uszyje, co jest mniej więcej połową roboty, a drugi zrobi resztę. I tak na zmianę. Zresztą ja przyszłość jaśniej widzę, mam już pewne plany i myślę, że robota będzie. Teraz jest trudno, ale sądzę, że z czasem będzie lepiej[1]. Ta oto książka, którą właśnie macie w ręku, to własność królowny Anny. Jak się postaramy i nasza robota jej się spodoba, to może mnie poleci komu trzeba, a wtedy obaj będziemy mieli co robić.

Gałęcki przytknął oczy i zamyślił się, jakby coś sobie w głowie obracając. Marszczył czoło, jak to pewnie miał we zwyczaju, i węża podskubywał, wreszcie podrapał się po nosie.

– Możemy spróbować – zdecydował się, głęboko wzdychając.

– A prócz tego – dodałem – że w spółce lepiej sobie damy radę, to jeszcze i ta z niej będzie korzyść, że jak jednemu wypadnie coś gdzieś załatwić albo, co nie daj Boże, choroba jakaś, albo niedomaganie w rodzinie się przyplącze, to drugi weźmie na siebie warsztat i nie będzie straty.

– Przekonaliście mnie. A pomyśleliście, jak to będziemy współnikami, w dwóch miejscach robiąc?

– Najpierw niech będzie, jak jest, i będziemy się zastanawiać, jak się inaczej urządzić. Myślałem, żeby do spółki wziąć jeszcze trzeciego, co na Nowym Mieście robi, zapomniałem jego nazwiska.

– To jest Słowiński, ale on się przeprowadza do Płocka, bo coś sobie tam upatrył.

– Chyba jest w Warszawie jeszcze ktoś, kto książki oprawia?

– Jest jeszcze Stanisław Perkus, ale z nim nie życzę sobie spółek, bo po pierwsze to partacz, co patrzy, aby książka jeno z wierzchu ładnie się prezentowała, o resztę nie dbając. Robi, aby prędzej i byle jak. Po drugie to jest przeszkodnik, co rad drugiemu robotę zabierze, z ceny spuściwszy i tak nieuczciwą konkurencję czyni, a po trzecie on podobno nawet egzaminu na czeladnika nie zdał. To człek gładki i śliski, co wkręci się wszędzie, gdzie korzyść dla siebie wywącha.

– No to będzie nas dwóch. Więc na razie niech nam się w głowach ułoży, cośmy uzgodnili. A teraz, czy możecie ten modlitewnik zrobić tak, żebym mógł go odebrać jutro koło południa?

– A jak byście chcieli go widzieć?

– Sam nie lubię, jak mnie za szczegółowo objaśniają, co jak powinienem zrobić, więc was też nie chcę pouczać, ale nie chciałbym za wielu ozdób, bo odwracają uwagę od treści książki; a na umiejętnościach waszych polegam. Róbcie, jak uważacie. Zależy mi na tej książce, bo to pierwsza moja praca zrobiona w Warszawie, a że jej właścicielka należy do królewskiej rodziny, to jeśli potrafiemy ją zadowolić, może stać się naszą protektorką.

– Więc przyjdźcie jutro koło południa.

– Ale rozliczymy się dopiero, jak mnie zapłacą – przypomniałem. – A nie obawiacie się, że ze mnie także partacz albo przeszkodnik być może?

Gałecki się roześmiał.

– Po robocie widzę, jaki z was majster, a po rozmowie – jaki człowiek. Bądźcie spokojni, ja się znam na ludziach.

– No to do jutra. Jak przyjdę po ten modlitewnik, to przyniosę, co zdążę przygotować.

*

Ponieważ na dzisiaj miałem już dosyć spacerów i byłem zmęczony, wróciłem do domu. Szedłem tylko nieco okrężną drogą, zawadzivszy po drodze o Szeroki Dunaj, który swoją szerokością przypominał prawie drugi rynek i taki sam był na nim gwar i ścisk. Tu i ówdzie beczwały owce i kozy, pokwikiwały prosięta, a kilka krów obojętnie patrzyło na to wszystko, powoli poruszając pyskami.

Wracając, kupiłem chleb, wędzoną rybę i kawałek sera. Na Rynku ścisk, krzyk

i awantury. Między kramy i stragany, co tu zawsze stały, próbowali się wcisnąć przybysze spoza miasta, żeby zająć miejsce na jutrzejszy jarmark, przeciw czemu miejscowe przekupki głośno protestowały, nie życząc sobie konkurencji obcych.

Tupot wielu nóg ludzkich i zwierzęcych, różne głosy, dźwięki jakiejś muzyki zlewały się w jeden szum i gwar, z którego tylko przy wyteżonej uwadze dawało się coś wyróżnić. Idąc, musiałem uważać pod nogi, żeby w porę omijać błoto i różne nieczystości, których woń też dawała o sobie znać. Słońce było już dobrze na drugiej połowie nieba, gdy z ulgą przekroczyłem progi swego mieszkania i tylko jednego mi teraz brakowało – odpoczynku.

Pracę swoją można lubić, ale czas jej trwania też ma swoje granice, których nie należy zbyt często przekraczać, bo stanie się ona niewolą i znuży nie tylko fizycznie, ale i umysłowo, a wtedy zdajemy sobie sprawę, że robimy nie tyle z potrzeby, ile z musu, jak niewolnik obracający kierat. Zadowolony byłem z porozumienia z panem Gałęckim, bo chociaż zarobek będzie podzielony, to jednak lepiej robić razem, niż liczyć tylko na siebie.

Wyszedłem na podwórko do bednarza, żeby mi pozwolił poostrzyć noże na toczydle, a przy tym pogadaliśmy sobie o tym i owym.

– A gdzie to Janusz, że go nie widać? – zapytałem.

– A nad Wisłą. Poleciał tam zobaczyć poświęcenie słupów, co będą wbijane w dno rzeki na podpory tego mostu, co mają go budować. Podobno dużo ludzi tam się zebrało, to i Janusz poleciał, nie można go było w domu utrzymać. Dobra rzecz taki most, ale przewoźnicy przez Wisłę stracą robotę.

– To sobie inną znajdą... Więc pojutrze ten most zaczynają robić? To będzie pamiętna data: 25 czerwca 1568 roku.

– E, kto to będzie pamiętał? Kogo to będzie obchodziło? Jak później ktoś będzie po nim jechał, nie w głowie mu będzie myśleć, kto go postawił i kiedy.

Sprawdziłem ostrość noży, opłukałem je i zostawiwszy bednarza nabijającego obręcz na beczkę, poszedłem do domu i zabrałem się do jedzenia tego, co kupiłem. Do popijania miałem tylko wodę w dzbanku. Przy tym posiłku zastał mnie Janusz.

– Można wejść? – zapytał, wsuwając głowę przez drzwi.

– Pewnie, że można. Podobno byłś nad Wisłą?

– A byłem. Co tam się dzieje! Cała góra już obrobionego drzewa tam leży: belki, słupy, deski, żerdzie, a na wodzie jeszcze inne tratwy czekają na rozebranie. Był tam ksiądz w komży, a także ministrant z kropielnicą i kropidłem. Ksiądz święconą wodą tak uczciwie chlusnął, że było jakby deszcz padał. I modlitwę przy tym odmówił i błogosławieństwa udzielił tym, co przeprawę będą robić, żeby im szczęście się w robocie i żadne nieszczęście przy tym się nie przyplątało. A w szkole nauczyłem się jednej fraszki pana Kochanowskiego o tym moście. Powiedzieć?

– No pewnie! Mów...

Janusz zarecytował, zacinając się nieco.

Nieubłagana Wisło, próżno wstrząsasz rogi,

Próżno brzegom gwałt czynisz i hamujesz drogi,

Nalazł fortel król August, jako cię miał pożyć,

A ty musisz tę swoją dobrą myśl położyć,

*Bo krom wiosel, krom prumow juz dzis sucha nogą
Twój grzbiet nieujeżdżony wszyscy deptać mogą.*

– To warto zapamiętać – powiedziałem – jako pamiątkę tego, co w historii miasta się zapisuje. A ta fraszka to jakby na wyrost, bo mostu jeszcze nie ma. To znaczy, że już wszystko jest przygotowane? Ciekawe, jak te słupy będą wbijać.

– A to ja słyszałem, jak ludzie powiadali. Podobno mają być dwa duże galary mocno ze sobą związane i na wodzie zakotwiczone, a na nich rusztowanie postawią, a na tym rusztowaniu będzie kloc wciągany linami do góry. Potem linę puszcza i ten kloc łup! w ten słup! I jeszcze, i jeszcze... A ten kloc do wbijania ma być obciążony, ale nie wiem czym, żeby mocniej walił. Na brzegu leży kupa żelaznych klamer do łączenia belek, a kowale jeszcze nowe kują.

– To chyba długi musi być taki słup?

– No, pewno że długi. Bo spory kawał będzie w dno wbity, żeby mocno stał, a też nad wodą tyle będzie wystawać, żeby pod spodem duży galar mógł przepłynąć. Spory dąb trzeba obrobić, żeby z niego zrobić taką podporę.

Zapukano do drzwi i pokazała się głowa bednarzowej.

– Janusz, chodź jeść! – Tu zauważyła mój skromny posiłek. – A może i wy, panie, zjecie z nami? Jak można tak na sucho się żywić! Przecie nawet jak kogo w piwnicy na Ratuszu zamkną, to go chyba lepiej karmią!

– Prawdę mówiąc, chętnie bym pokosztował czegoś gotowanego, bo ten chleb z serem z trudem już mi przez gardło przechodzi. Ale jak w zeszłą sobotę zapłaciłem za to, co uprzednio zjadłem, to chociaż kosztowało mnie sporo taniej niż w gospodzie, w kieszeni zrobiło się chudo. – Powiedziałem to, bo do uczciwej biedy nie wstyd się przyznać.

– Nie troskajcie się, panie – odrzekła mi na to – zapłacicie, jak wam zapłacą. Wczoraj też żeście nie jedli obiadu, jak można tak żyć? Co z tego, że później zarobicie, jak wcześniej stracie zdrowie?

Podziękowałem jednak, wiedząc, że długi lekko się bierze, ale ciężko oddaje, i powiedziałem, że przyjdę jutro.

– No, jutro to jutro. Chodź, Januszk.

Jak wyszli, poczułem, że mi w brzuchu burczy. Nie minęło dziesięciu minut, gdy wróciła.

– Pomyśleliśmy z mężem, że byście mogli pomagać Januszkowi w nauce i tym płacić za obiady przez tydzień czy dwa, a później się zobaczy.

Gotów byłem tej dobrej kobiecie ręce ucałować. Nie za obiady, tylko za samą chęć poratowania mnie w biedzie, bo przyjaciół czasem spotykamy wtedy, kiedy to oni są w potrzebie, a wiedzą, że do naszej kieszeni jest po co zajrzeć.

– Pomóc to mogę z samej życzliwości, ile potrafię, dawno bym to zrobił, gdybym wiedział, że potrzeba.

– A to my też chcemy pomóc z życzliwości, tośmy kwita – uśmiechnęła się. – To chodźmy, bo wystygnie.

Przy jedzeniu nieskoro było rozmawiać, ale później języki się rozwiązały. Wyraziłem swoje uznanie za tak smaczny posiłek i wdzięczność za zaproszenie.

– E tam! Nie ma o czym mówić, dobrze nam się powodzi, mężowi roboty nie brakuje. Na jutrzejszy jarmark też przygotował parę beczek, cebrzyków i skopków do dojenia krów. Jeśli jutro pójdziecie na Szeroki Dunaj, to i mnie tam zobaczycie, jak z tym wszystkim stoję. A w sprawie prania dla was, to się już umówiłam z taką jedną. O zapłatę się nie turbujcie, ugodzicie się!

Omówiliśmy wydarzenia dzisiejszego dnia, że tak wiele wozów nie tylko z okolicy, ale i z obcych krajów przyjechało. I że chociaż taki jarmark bywa tylko cztery razy w roku, nie tylko kupcy zarobią, ale też i miasto, podatki z nich ściągając.

Pogadywaliśmy sobie o różnych rzeczach i sprawach, oceniając je według własnego widzenia i pojmowania, aż usłyszeliśmy wybitą na Ratuszu ósmą godzinę, i wstałem, żeby się pożegnać. Umówiliśmy się, że jutro Janusz mi powie, z czym ma trudności w nauce, a wtedy zobaczę, jak mu pomóc.

Dziś wcześniej położyłem się spać, chociaż nie mam takiego zwyczaju, ale w ciągu ostatnich dni na spanie mało czasu miałem. Dla człowieka czas nie zawsze biegnie tak, jak to pokazuje maszyna, co go odmierza. Mamy w sobie własny zegar, co liczy prędzej lub wolniej, w zależności od tego, co przeżywamy lub czego oczekujemy. Bo czym jest zegar? Bezmyślną maszyną bez duszy i czucia – i nawet jeśli się zatrzyma, czas nie przestanie płynąć swoim torem.

Wkrótce rozstrzygnie się moja przyszłość, w zależności od tego, jak oceniam moją pracę. Los nam daje okazję – można ją przyrównać do kosza pełnego owoców, z którego, jeśli w porę nie zaczerpniemy, to ktoś inny nas ubiegnie, a my staniemy przed pustą kobiałką bez nadziei, że czyjaś nieznana ręka znowu ją dla nas napelni.

Leżałem na pół senny, z rękami pod głową, bezmyślnie patrząc na ścianę powoli zasnuwaną cieniem i wydawało mi się, że pęknięcia i plamy na tynku układają się w różne wzory, w których wyobraźnia próbuje się czegoś doszukać.

Gwiazdy mrugały na kawałku ciemnego nieba widocznego przez okno, w części rozjaśnionego księżycem, który na stole pod oknem kładł prostokąt białego światła. Ze swego posłania widziałem ciemny zarys murów obronnych, a nad nimi dachy Starego Miasta, skąpane w białej poświacie. Dochodziły stamtąd przytłumione głosy, jakby jakieś klótnie, śpiewy i rozmowy. Leżałem, wsłuchując się w dobiegające z ulicy i stopniowo cichnące głosy, które w końcu zlały się w jeden zanikający szum, póki oczu mi nie zamknął sen – brat śmierci.

*

Spać przeszkadzały mi jakieś tupoty, skrzypienie, głosy ludzi i zwierząt, przytłumione hałasy. Wszystko to razem wzięte dawało pozór czegoś odbywającego się na pograniczu snu i jawy i sprawiło, że obudziłem się w pomiętej i pościąganej pościeli. Gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem, że już świeci słońce, i usłyszałem zegar wydzwaniający na Ratuszu piątą godzinę. Przypomniałem sobie o listach, które dzisiaj zamierzałem przekazać Łukaszowi.

[1] Jerzy Topolski w książce *Historia Polski od czasów najdawniejszych do 1990 r.* podaje, że w XVI w. drukarnie Korony wydały 3,5 miliona książek, a wraz z W. Ks. Litewskim około 4 milionów.

Przed Bramą Krakowską stały wozy, których straż miejska z braku miejsca nie wpuściła za mury.

Także przed Zamkiem zobaczyłem kilkanaście wozów z odkrytymi płóciennymi budami. Niektóre wyprężone stały na środku, pomieszane z kramami ustawionymi na krzyżakach, inne próbowały się wcisnąć w boczne uliczki, ale straż zagradzała im drogę, wołając, że i tam już pełno. Pomimo wczesnej godziny tłumy ciekawych chodziły tu i tam, oglądając, co było na wozach, targując się i sprzecząc. A wszystko to gadało i przekrzykiwało się w różnych językach. Takiego tumultu jeszcze w Warszawie nie widziałem, bo chociaż jarmarki na Starym Mieście odbywają się cztery razy w roku, to jako nowy obywatel tu jeszcze nie miałem możliwości ich oglądać.

Taki jarmark to okazja, żeby się napatrzeć, nasłuchać, różnych towarów naoglądać i kupić rzeczy, jakich w zwykłym czasie nie ma, bo w taki czas zjeżdżają się kupcy chyba ze wszystkich stron świata: Ormianie, Rusini, Litwini, Węgrzy, czasem nawet Greka można uświadczyc. O, ten co teraz w gadaniu rękami sobie pomaga, to pewnie właśnie Grek. Przywiózł oliwę w beczułkach, rodzynki i jeszcze coś, jakby figi i pomarańcze. A na tamtych wozach są beczki z winem węgierskim.

A to wszystko jest do sprzedaży hurtowej, bo przyjezdnym kupcom na jarmarku detalicznie sprzedawać nie wolno, żeby miejscowym konkurencji nie czynić, a tylko zaopatrzenie im ułatwić. Tak podobno postanowił książę warszawski Bolesław V[1] jeszcze w 1483 roku. Chcesz kupić wino albo oliwę – kupuj całą beczkę, a figi nanizanych na patyk – całą wiązkę i tak dalej. Do wieczora wszystko to się znajdzie skrzętnie poukładane w składach i magazynach miejscowych kupców.

Znam to wszystko z Krakowa, bo tam jarmarki też bywają. Zapytałem kogoś z miejscowych, gdzie stoją wozy co do Krakowa jadą, ten mi wskazał miejsce, gdzie przy Zamku już stały dwie karety podróżne i wóz ładowny.

Do wozu właśnie zaprzęgano cztery konie, a paru zbrojnych ludzi, chyba z eskorty, karmiło z ręki swoje wierzchowce. Przy jednej z karek zobaczyłem Łukasza rozmawiającego z kilku godnie ubranymi panami, ale jak mnie ujrzał, przeprosił ich i przyszedł się przywitać. Dałem mu listy, które zaraz schował do małego sakwojarzyka.

– Więcej jest między nami rozstań niż spotkań – powiedział – ale taka to jest moja praca.

Nie wypadało teraz pytać go, co to za praca, więc zapytałem tylko, kiedy spodziewa się wrócić. Po zastanowieniu się odrzekł, że nie prędzej jak za dwa tygodnie, ale niekiedy los terminy za nas układa, a kto losowi zawierza, ten jakby but nie na tę nogę włożył.

– No, ostawaj z Bogiem, czas na mnie – powiedział, widząc, że kilka osób do karek już się ładuje, a tamci z eskorty też już siedzą w siodłach.

– Jedź z Bogiem i wracaj szczęśliwie! – Poczekałem trochę, aż woźnice usiedli na kozłach i strzelili z batów, a później patrzyłem, jak ta mała kawalkada, lawirując między wozami i straganami, wyjeżdża przez Bramę Krakowską.

Z ciekawości zacząłem obchodzić plac, patrząc, gdzie co mają, i słuchając, o czym

się mówi. Oprócz zagranicznej żywności – jak wino węgierskie i inne, oliwa, cytryna, pieprz i jakieś owoce, które pierwszy raz widziałem – zobaczyłem siodła i broń rozmaita, a także bele różnego sukna, barwnego jedwabiu i cienkiego muslinu, obuwie i odzież. A nad wszystkim unosił się różnojęzyczny gwar, przekrzykiwania, głosy zwierząt i ptactwa.

Chodziłem od wozu do wozu, przeciskając się przez ciżbę i zapachy różne, potem poszedłem na rynek. Tam był taki sam ścisk i hałas, tyle tylko że było więcej miejscowych przekupek handlujących bardziej swojskim towarem: drobiem, rybami, owocami, różnymi warzywami, a też grochem, kaszą, śmietaną i masłem.

*

Przed murami były na sprzedaż większe zwierzęta: krowy, konie, owce, barany i kozy, oglądane przeważnie przez rzeźników. Drabiniaste wozy i półkoszki z wyprężonymi końmi stały jak popadnie wzdłuż i wszerz szerokiej ulicy. Słysząc też było wymyślania i krzyki chcących tędy przejechać, gdy drogę zagraadzały wozy, kramy, zwierzęta i tłumy ludzi. Były tu i różne rzeczy potrzebne do wiejskiego gospodarstwa: koła do wozów, uprzęż, radła, gliniane garnki, drewniane i blaszane łyżki, ładnie tkane kilimki na ścianę, cienkie płótno na koszule i wiele innych rzeczy, które, niestety, mogłem kupować jeno oczami, jako że w kieszeni miałem gołe płótno.

Przyjmuje się, że handel polega na sprzedaży tego, co ktoś ma w nadmiarze. Tak jest na przykład w przypadku tego chłopca czerwonego na gębie. Na wozie ma worek zboża, drugi grochu, parę prosiąt i głośno zachwala swój towar. Ale czy można to odnieść do tego bosego, w dziurawym kapeluszu, co siedzi z boku, jakby nie chcąc pchać się między bogatszych, a do sprzedania ma tylko dwie kury, koszyk jajek, woreczek lnianego siemienia i parę łapci uplecionych z łyka? Czy o tym biedaku można powiedzieć, że chce się pozbyć tego, co ma w nadmiarze?

Odkąd Fenicjanie wynaleźli pieniądze, to one rządzą światem i sumieniami... Taki jest ten świat, gdzie towarem bywa i bieda, którą można sprzedać innym, jeszcze większym biedakom.

*

Posłyszałem, że zegar na Ratuszu wybija godzinę dziesiątą. To mi uprzytomniło, że czas ucieka, wszystko ciągnąc za sobą, w domu mam robotę, a w brzuchu pusto, bo dzisiaj nic jeszcze nie jadłem.

Wróciłem więc na Podwale i po dosyć chudym śniadaniu, złożonym z chleba i sera, ale z nadzieją na dzisiejszy obiad u gospodarzy, wzięłem się do roboty. Klajster i wszystko miałem już przygotowane, pozostało tylko naciągnąć skórę na okładki. Wczoraj miałem nadzieję, że skończę z tym dzisiaj, ale chyba za późno zacząłem. Ponieważ w planie miałem jeszcze wizytę u pana Gałęckiego po modlitewnik i później na Zamku, żeby go oddać panu Sylwestrowi, oraz widząc, że dziś nie skończę, przestałem się spieszyć. Do pana Gałęckiego postanowiłem pójść zaraz po obiedzie, od niego zaś na Zamek, żeby zdążyć, zanim pan Sylwester zamknie bibliotekę, a nie wiedziałem, do której godziny tam urzęduje. Właśnie kończyłem oklejanie drugiej książki, gdy w uchylonych

drzwiach pokazała się głowa Janusza.

– Mogę wejść?

Odłożyłem książkę, a Janusz stanął przy stole.

– To są książki już zrobione? Mogę je obejrzeć?

Podąłem mu *Opisanie całego Świata*. Ostrożnie otworzył okładkę i przerzucił parę kartek.

– Ładne...

– Ładne bo ładne, najważniejsze, że zrobione zgodnie z prawidłami, tak że prędeż skóra na okładce się zedrze, nim karty się rozsypią.

– A jak długo trzeba się uczyć, żeby to wszystko umieć?

– Rzemiosła nie uczy się patrzeniem. Trzeba mieć doświadczenie, które może dać tylko długa praca. Gdybyś umiał tylko powtarzać to, co podpatrzyłeś u majstra, to sobie nie poradzisz. Trzeba też czasu, żeby praktyką utrwalić to, co już wiemy i umiemy, wiedzieć, że wszystko co robimy, musi mieć swój sens. Kto myśli, że w swoim zawodzie poznał już wszystko, nigdy nie będzie dobrym majstrem. Doświadczenia nigdy nie będzie dosyć...

Tu zapukano do drzwi i zajrzała gospodyni.

– Na obiad zapraszam!

No i proszę, ani się obejrzałem, jak od rana czas mi prędko zleciał. Przy obiedzie powiedziałem Januszowi, że chciałbym się zorientować, jak i w czym mógłbym mu pomagać w nauce, ale najpierw muszę załatwić pewną sprawę. Potrzebuję zanieść parę oprawionych książek do wytłoczenia na nich liter i może on chciałby się ze mną przejść.

*

Stary mistrz z zadowoleniem popatrzył na to, cośmy przynieśli i nic z początku nie mówiąc, zaczął po kolei przeglądać książki. Wreszcie zadowolony skinął głową.

– Widać, że waszmość znasz się na robocie – powiedział. – Dobry majster odpowiada nie tylko za to, co zrobił, ale i za to, czego nie zrobił. Kto wszystkiego nie zrobi jak trzeba, ten jakby nie zrobił niczego. Więc czego się waszmość po mnie spodziewasz odnośnie do tych książek?

– Nie chciałbym niczego sugerować, panie Gałęcki, i ufając, żeś biegły w swojej pracy, zdaję się w całości na gust waszmości. Na grzbietach mają być tytuły, a co do reszty to postąpicie, jak uważacie.

Pan Gałęcki wyjął z szafki modlitewnik i położył go na stole.

– No a jak waszmość osądzisz moją robotę?

Na czarnej koziej skórcie godnie prezentował się niewielki złoty krzyżyk obwiedziony suchym konturem. Wąskie zwięzy podkreślone były złotą kreską, szersze linie w połączeniu z cieńszymi stanowiły ozdobę dolnego i górnego brzegu grzbietu, na którym wytłoczono *Ojczyzna nasza*. Obie okładki były obwiedzione ramką tłoczoną na sucho, to jest bez złota.

– Pięknie zrobione – pochwaliłem.

– Te książki któreś waszmość teraz przyniósł, postaram się prędko zrobić. Dzisiaj mamy czwartek w sobotę po południu, a najpóźniej w poniedziałek, powinny być gotowe.

Czy to już wszystkie?

– Będzie jeszcze pięć, jutro je wykończę, a w sobotę przyniosę.

– To dobrze. Stemple lepiej się odciska, póki skóra zbyt nie wyschnie.

– Jak już wszystko oddam i dostanę zapłatę, będę wiedział, czy i jaką robotę jeszcze dostaniemy, to wtedy pomyślimy, co dalej.

Po wyjściu powiedziałem Januszowi, żeby wracał do domu i tam na mnie zaczekał, a sam ruszyłem do pana Sylwestra. W bibliotece oprócz bibliotekarza była jakaś godnie ubrana pani, niewysokiego wzrostu, ale pięknej postawy, i coś do niego mówiła. Zatrzymałem się w progu, niepewny, czy nie będę przeszkadzał, ale pan Sylwester, zauważywszy mnie, skinął głową w odpowiedzi na moje powitanie. Jeszcze raz się ukloniłem.

– Jako okaz mojej pracy przyniosłem tę książkę. – To mówiąc, położyłem ją na stole.

– A, to... toś waszmość dobrze trafił, bo właśnie jest obecna jej właścicielka – powiedział z uśmiechem bibliotekarz. – Zobaczymy, co pani Anna na to powie.

Poczułem, że brak mi tchu. Więc to jest siostra samego króla?![2] Przez myśl mi przeleciało, że dotychczas o królewnach miałem inne zgoła wyobrażenie. Królewna – dla mnie to była postać... jakby dziewczę złotowłose w powiewnej szacie w koronie albo z wiankiem na głowie, a tu... Stoi przede mną pani już w latach, co nic dziwnego, skoro jest jeno o trzy lata młodsza od króla. Ciemne jeszcze włosy przewiązane wstążką, długa suknia przepasana jakby szeroką taśmą, a na szyi złoty łańcuszek z krzyżykiem. Oczy bystro i pewnie patrzące.

– Wybaczcie, pani, żem was nie poznał, ale żem nie miał okazji was widzieć...

– To waszmość i nie mogłeś mnie poznać – wpadła mi w słowo pani Anna, a jej twarz rozjaśniła się uśmiechem. – Ale teraz to nadrobiliśmy. Zobaczymy, coś przyniosł.

Ale zanim książeczkę zdążyła wziąć do ręki, w drzwiach komnaty pojawiła się nowa osoba. Był to człek chyba więcej niż czterdziestoletni, średniego wzrostu, o bladej, nieco trójkątnej twarzy ze spiczasto przyciętą bródką. Na powitanie zdjął kapelusz i złożył głęboki ukłon.

– Witajcie, dostojna pani, i wy, panie bibliotekarzu, uszanowanie chciałem złożyć, a przy okazji może interesik jakiś załatwić – tu uśmiechnął się, nie rozchylając ust, i spojrzał na mnie.

Pani Anna oddaliła się w stronę okna, a bibliotekarz nas sobie przedstawił.

– To introligator, pan Paweł Kieliściak, a to pan Perkus, tejże samej profesji.

Pan Perkus wydawał się niemile zaskoczony taką informacją, ale krzywo się uśmiechając, podał mi rękę na powitanie.

– To waszmość także przyszedłeś zrobić jakiś interesik? – zapytał. – Jeśli taki, jaki ja też mam na widoku, to nie wiem, nie wiem, czy na dwóch wystarczy...

Pierwsze wrażenie, jakie ktoś na nas wywiera, często utrwała się w naszej pamięci i odtąd wizerunek danej osoby zawsze kojarzy nam się z nią korzystnie lub niekorzystnie. Chciałem odpowiedzieć, że aby móc się z kimś dzielić, trzeba mieć czym, ale ubiegł mnie pan Sylwester.

– Czy będzie jakiś interes, to się okaże – powiedział. – Ale dobrze, że waszmość

jesteś, to fachowym okiem ocenisz robotę pana Pawła.

Pani Anna, słysząc to, podeszła do nas, ciekawa opinii pana Perkusa. Ten chciwie książeczkę pochwycił i zaczął oglądać.

– No, no – powiedział – widzi mi się, że okładka za cienka, a ja też bym ją inaczej ozdobił. Zamiast skóry koziej dałbym cielęcą, a krzyżyk przystroiłbym cierniową koroną, zaś na rogach dał ozdoby. Sam napis *Ojciec nasz* za mało jest ozdobny. A ramkę dookoła okładki dałbym nie liniową, tylko urobioną z drobnych kropeczek.

– Też złotych? – zapytałem z przekąsem. – Otóż ozdoby nie powinny zdominować oprawy, bo nie istnieją same dla siebie, mają tylko podkreślić walory treści książki. Przeładowanie ozdobami mogłoby nasunąć myśl, że ich twórca chce, żeby to na nie właśnie zwrócono szczególną uwagę, aby ją odwrócić od czegoś, czego wolałby nie pokazywać, na przykład niedoróbki jakiejś, zadrapania lub plamy. Krzyżyk, jaki dałem wystarczy, aby wiadomo było, co się w tych okładkach zawiera.

Tu pan Sylwester podał mi inną książkę.

– To robota imci pana Perkusa. Co waszmość o niej sądzisz?

Zauważyłem, że okładka odchyła się do góry.

– Proszę, żeby pan Perkus otworzył książkę mojej roboty, nie ruszając jej ze stołu.

Zdziwiony zrobił to, wzruszając ramionami.

– A teraz proszę otworzyć okładkę swojej.

Gdy ją otworzył, razem z okładką uniosło się kilkanaście pierwszych kartek. Przyglądał je ręką, co nie w pełni mu się udało.

– Widać, że jest różnica – powiedziałem.

– To o niczym nie świadczy – zaoponował – oprawa jest świeża i z czasem się wyrobi.

– Moja jest bardziej świeża, ale nie potrzebuje się wyrabiać – oświadczyłem – książka waszmości jest nieprawidłowo zrobiona. Okładka jest bez żadnego luzu, zawieszona za blisko grzbietu, przy otwieraniu stawia opór, a wyrobi się dopiero, jak popękają nici, na których się trzymają pierwsze arkusze. A jak tutaj są zawieszony okładki? I nie widać, na czym jest uszyta.

– Bo nie ma takiej potrzeby. Okładka jest przyklejona do wyklejki wzmocnionej paskiem płótna, czego nie widać, bo jest pod papierem.

– To błąd. Ta książka jest dość duża i z takich okładek rychło wypadnie. Proszę spojrzeć, panie Sylwestrze – podałem mu modlitewnik – tu, wewnątrz, są ślady, że sznurki, na których uszyłem książkę, są przewleczone przez otwory w okładkach, co świadczy, że w ten sposób są trwale z nią związane.

Pan Sylwester zwrócił się do Perkusa:

– A co waszmość na to powiesz?

– Niektóre książki nie będą często wykorzystywane i przez to nie wymagają bardziej pracochłonnej oprawy.

– Czy jakaś książka będzie często wykorzystywana, to rzecz czytelnika, a nie tego, co ją oprawia, więc nie można lekceważyć szczegółów i nie robić od razu jak należy – odrzekłem. – Jeśli wszystkie książki waszmość oprawia w taki sposób, to wątpię, czy chociaż czeladnicze kwalifikacje posiada. Gdzie pan rzemiosła się uczył, panie Perkus?

– Gdziem się uczył, tam się uczył! Cóż to, sądy nade mną zachciało się komuś odprawiać? Kłaniam się wszystkim! – tu machnął kapeluszem, energicznie nasadził go sobie na głowę i zniknął za drzwiami.

– Mała szkoda, krótki żal – powiedziała pani Anna, przysłuchująca się całej tej dyskusji. – Ambicje często przerastają człowieka, a robota waszmości bardzo mi się podoba. Bogata oprawa stosowna jest na ołtarzach, gdy słowu Bożemu godną szatę dać trzeba. Ta moja skromna po matce pamiątka nie potrzebuje być bogato zdobiona. Ile waszmość policzysz sobie za tę robotę?

Z powodu wyżej opisanych dyskursów zapomniałem o piętnej stronie mojej pracy, ale...

– To moja pierwsza praca zrobiona w Warszawie, a skoro w tak godne ręce trafia, niech będzie prezentem i przewodnikiem dobrego dla mnie początku.

– Nie może to być! – wtrącił się pan Sylwester. – Waszmość podobno głodem przymierasz, czekając na zapłatę, a na dobry początek pani Anna z pewnością coś na kamień węgielny twojej przyszłości położy.

– Na pewno – przyświadczyła królewska siostra, dobywając z fałdów sukni sakiewkę. – Trzymaj, waszmość, dwa dukaty za robotę, z której bardzo jestem kontenta, a tu jeszcze jeden na dobry początek – żeby wam się dobrze wiodło w Warszawie. A jutro przyjdźcie tutaj o tej samej porze, może jaką propozycję będziemy mieli, nad którą najpierw musimy się z panem Sylwestrem naradzić.

Nawet w najśmielszych snach nie przypuszczałem, że mi taki pieniądz niespodzianie spadnie, toteż wielce się stropiłem, nie bardzo wiedząc, jak mi się w takiej sytuacji wypada zachować. Bo pierwsza rzecz to taka hojność za pojedynczą książkę, a druga: jak się rozliczać z tych pozostałych, co jeszcze mam je w robocie? Jak policzyć, żeby nie wyjść na chciwca, co palec mu podany uchwyciwszy, za całą rękę chce złapać, rachując na dalsze korzyści?

Jak widać, czasem niespodziany prezent niepokój budzi w umyśle i sprawia, że można się w różne problemy zamotać, z których politycznie trudno się wyplątać. Po mojej minie pani Anna poznała, że jestem w rozterce.

– Widzisz, waszmość – rzekła do pana Sylwestra – skrupuły się jakieś tego majstra trzymają. Toć kto inny, choćby ten pan Perkus, pierwiej by pochwyił te dukaty, niż by pomyślał, czy mu to uczynić wypada. Otóż wypada, wypada i tyle. A teraz żegnam waszmościów i przypominam o jutrze.

Ledwo zdążyłem rękę jej ucałować i parę słów podziękii nieskładnie wyjąkać, a już wyszła, książeczkę ze sobą zabierając. Pan Sylwester wskazał mi na krzesło, bośmy do tej pory na stojąco rozmawiali, i sam też usiadł.

– Jak idzie robota? Daleko jeszcze do końca?

Powiedziałem, że jutro skończę ostatnie trzy książki i że wszedłem w spółkę z panem Gałęckim, co też księgi oprawia, i postanowiliśmy razem pracować, bo we dwóch robota sprawniej idzie. Spodziewam się, że pewnie w najbliższy wtorek wszystkie książki oddam, a przy okazji chciałbym się dowiedzieć, czy na inne do oprawy mogę liczyć.

– Zobaczymy, zobaczymy... Pani Annie przedstawię się, waszmość, z najlepszej

strony, mówiąc ze znanstwem o swojej pracy i przypadłość jej do gustu, a ona zna się na ludziach i pozorami nie da się zwieść. Może jutro będzie o tym mowa. W bibliotece jest wiele książek wymagających naprawy. Tak więc, waszmość, porachuj rzetelnie, ileś powinien dostać za robotę, żeby wyjść na swoje. A nie bądź za skromny, bo chociaż skromność niekiedy lepiej się prezentuje niż zuchwałość, to często zostawia nas z gołym płótnem w kieszeni.

Wstałem, żeby się pożegnać.

– Więc do jutra, o tej samej porze.

Wracając, pomyślałem, czy by do Gałęckiego nie wstąpić i zapłacić za to, co już zrobił, alem doszedł do wniosku, że dzień czy dwa zwłoki wiele nie zaważy, a jak później dostanie za wszystko naraz, będzie miał większy pożytek. Było już dobrze po południu, zegar na ratuszu wybijał właśnie siódmą godzinę.

*

Zobowiązałem się, że póki pieniędzy się nie dorobię, będę pomagał Januszowi w nauce w zamian za posiłki. Nie chciałbym okazać się takim, co chce uczyć innych, chociaż zamiast wiedzy ma jeno wyobrażenie, że ją posiada. Szkołę skończyłem tylko tę, co przy mojej parafii księży prowadzili, a tam była gramatyka, łacina, nauka Pisma Świętego, rachowanie i wiedza z historii. Całą resztę wiedzy, jaką mam o świecie, zdobyłem sam, czytając lekcje Łukasza, jakie przynosił ze swojej Akademii, a ponieważ byłem ciekawy świata i wolałem słuchać niż mówić, to zebrało się u mnie tej nauki sporo więcej niż jej wyniosłem ze swojej szkoły.

Jak zapłacę bednarzowej, com jej winien, nie będę się zajmował Januszem z obowiązku, jeno z życzliwości, żeby się odwdzińczyć za okazaną mi pomoc.

Wszelkie dobre związki rodzące się między ludźmi należy pielęgnować, ponieważ są one jak pole, co uprawiane, piękne plony obiecuje.

Przy spóźnionym obiedzie zapytałem Janusza, jak mogę mu pomóc w nauce. Powiedział, że chciałby się dowiedzieć o dawnych królach Polski, bo ksiądz profesor ostatnio mówił, jako Bolesław I, z powodu męstwa swego później zwany Chrobrym, chrześcijaństwo u nas zaprowadził.

Pomyślałem sobie, że ktoś musiał tu czegoś nie zrozumieć, bo wiarę Chrystusową nie Bolesław, jeno Mieszko z Dobrawą wprowadzili, a Bolesławowi pozostało jeno budować Kościół na fundamentach, co je ojciec z matką położyli. Mówiona historia nie zawsze bywa w zgodzie z prawdą i bywa to zależne od tego, co chcemy w niej widzieć, co komuś przekazać i na co nacisk położyć. A ponieważ polityka też ciągle z religią się przeplata – tak teraz, jak i dawniej – często ważniejsze są cele niż metody.

– Celem Bolesława – powiedziałem – była korona królewska, bo tylko królem będąc, jako równy pomiędzy królami mógł stanąć, więc żeby ją uzyskać, do cesarza niemieckiego i do Rzymu trzeba było uderzyć, a przedtem na korzyść swoją zapisać różne poczynania dla wiary Chrystusowej, żeby osiągnąć pożądany skutek.

Opowiedziałem Januszowi o świętym Wojciechu, co światło wiary niosąc, został zabity przez pogańskich Prusów i z tego powodu ogłoszono go świętym męczennikiem, a Bolesław ciało jego na wagę złota z rąk pogan wykupił i w Gnieźnie pochował. Mądrze

przy tym okazję chwytając, doprowadził do utworzenia tam arcybiskupstwa i trzech biskupstw: w Krakowie, Wrocławiu i Kołobrzegu. Zapewnił sobie przychyłność niemieckiego cesarza Ottona i ten na znak przyjaźni dał mu gwóźdź z drzewa Krzyża Świętego i włócznię, na wzór włóczni świętego Maurycego uczynioną, a Bolesław też podarował cesarzowi relikwię: ramię świętego Wojciecha.

Pomyślałem przy tym, że dziwnie się tutaj sploty działania Bolesława dla chrześcijaństwa i urzeczywistnienia własnych osobistych planów, tak że trudno jedno od drugiego oddzielić.

Tu mi się przypomniała piosenka jedna, com ją gdzieś kiedyś usłyszał albo wyczytał, jaką ponoć Niemcy śpiewali, wysławiając męstwo i obrotność wojenną króla Bolesława, a przez ich własnego kronikarza Thietmara[3] w jego annałach zapisaną:

*Bolesławie, Bolesławie,
Któż dorówna tobie w sławie,
Ty sam nie śpisz, nasz sen płoszysz,
Tu pobijesz, tam rozproszysz...*

Zda mi się jednak, że to między bajki położyć należy, bo jeśli prawdą jest, że Chrobry tak Niemców ujeżdżał, to im prędzej byłoby psy na nim wieszać, niż peany na cześć jego układać.

Siedząc tak przy stole, przegadaliśmy ze dwie godziny. Gospodarza nie było w domu, bo jak rano wyszedł swoje beczki sprzedawać, tak do tej pory nie wrócił. Żona przypuszczała, że pewnie gdzieś w gospodzie interes oblewa.

Jak już zabierałem się do wyjścia, Janusz powiedział, że jedną kobietę z Nowego Miasta posądzili, że czarami krowie sąsiadki mleko odebrała i sądzić ją mają.

– Z takimi posądzzeniami lepiej być ostrożnym, bo łatwo skrzywdzić niewinnego. Ktoś, mając o coś złość do sąsiadów, może im zaszkodzić, posądzając ich o czary, chociaż krowa z naturalnej jakiejś przyczyny mleko mogła utracić.

– Ale jakby ją zaczęli przypiekać, to mogłaby się przyznać.

– Jakby ciebie zaczęli przypiekać, to i ty do wszystkiego byś się przyznał, nawet i do tego, żeś w Kanie Galilejskiej wodę we wino przemieniał, byle męki sobie oszczędzić, więc nie jest dobrym sposobem szukanie winnych, przy pomocy kata.

– To nie wierzycie w czary i czarowników? – zapytała przysłuchująca się tej rozmowie bednarzowa.

– Owszem, wierzę, ale wierzę też, że jak ktoś koniecznie chce znaleźć diabła, to go znajdzie i tam, gdzie go nie ma. A co do czarów... Jeszcze w Krakowie słyszałem, że niejaki mistrz Twardowski, co nimi się zajmował, królowi Augustowi ducha jego zmarłej Barbary w dymie ukazał, czym król tak się przejął, że podobno omdlał. W tym już trudno się oszukaństwa dopatrzeć, bo skoro wierzymy, że człek posiada nieśmiertelną duszę, to może zakłębieniem z tamtego świata można ją przywołać[4].

I tak sobie gadaliśmy o różnych sprawach, aż późno się zrobiło. Nagle bednarzowa w ręce klasnęła:

– Na śmierć zapomniałam, że jak was nie było, przyszła kobieta, com ją do prania zgodziła. Powiedziała, że jutro rano przyjdzie.

*

Chociaż ciemno już się zrobiło, nie zapaliłem świecy, bo czasem, zanim zasnę, lubię sobie po ciemku poleżeć. Wtedy wyobraźnia coraz to nowe obrazy przedstawia, a myśli płyną i płyną... O tym, co się zdarzyło, przeżyło, czego się doznało od świata i ludzi, co dobrze, a co źle wyszło i jakie z tego wnioski na przyszłości wysnuć można.

Chociaż człowiek zawsze jest ciekawy przyszłości, w nieświadomości swego losu żyjąc, nie w przeznaczeniu, jeno w Bogu ufność winien pokładać, że nie opuści nas w potrzebie, jeśli i my sami Jego nie opuścimy.

Rodzimy się, aby żyć, a żyć – to znaczy zmieniać się i przetwarzać stale na nowo. Można powiedzieć, że los kształtuje nas jak garncarz glinę, ale też musimy pamiętać, że często sami wybieramy sobie tego garncarza, może więc od nas samych zależy najwięcej, jakim naczyniem z czasem się staniemy. A przeszłość, teraźniejszość i przyszłość wobec wieczności znaczą to samo, w zależności od tego, czy dotyczą naszych dziadów, nas samych, czy naszych wnuków.

Ja bytność swoją w Warszawie od Boga zacząłem, na mszę świętą idąc, od czego też darzyć mi się zaczęło. Wierzę, że to Jego ręka drogę mi ukazała, na której znalazłem i miejsce dla siebie, i dla lepszej przyszłości nadzieję. I ufność pokładam, że dalej łaska Jego sprzyjać mi będzie, bo dobry początek mam już za sobą, a pewien Grek starożytny powiedział, że początek jest połową wszystkiego.

[1] Bolesław V Warszawski (1453–1488) syn księcia warszawskiego Bolesława IV.

[2] Anna Jagiellonka (1523–1596) – córka Zygmunta Starego i Bony Sforzy, od roku 1575 pełniła funkcję króla Polski, wielkiej księżnej Litwy. Niedoszła żona Henryka III Walezego, w 1576 r. poślubiła Stefana Batorego. Zmarła bezdzietna. Była ostatnim królem z dynastii Jagiellonów.

[3] Thietmar – biskup merseburski, autor słynnej *Kroniki Thietmara*, zawierającej też treści o wojnach między Henrykiem II a Bolesławem Chrobrym. Polaków przedstawia przeważnie w negatywnym świetle.

[4] Niektórzy to wydarzenie dzisiaj tłumaczą i tak, że być może Twardowski miał coś w rodzaju latarni magicznej, która obraz przedstawiony na rysunku rzuciła na słup dymu. Taki obraz nie musiał być wyraźny, aby ktoś podatny na sugestię to zobaczył, co mu powiedziano, że zobaczy.

Spotykając kogoś po raz pierwszy, nie zawsze zauważymy, że osoba ta ma jakby kilka wizerunków: jeden na własny użytek, dla siebie, drugi na pokaz, przeznaczony do przedstawienia się otoczeniu w najkorzystniejszym, choć niekoniecznie prawdziwym świetle. A niekiedy jeszcze trzeci – przypisany przez innych na podstawie nie zawsze sprawdzonych pogłosek i ocen. Jednak prawdy o człowieku często dowiadujemy się po czasie...

Z tego, co mi powiedział o Perkusie Gałęcki, myślałem, że ma na myśli tylko nieuczciwą konkurencję, ale w osobistej styczności z tamtym przekonałem się, że poza tym bierze też zapłatę za nierzetelnie wykonaną pracę.

Kończyłem oklejanie kolejnej książki, gdy w uchylonych drzwiach pojawiła się głowa Janusza.

– Ksiądz od świętego Jana powiedział, panie, żebyście do niego przyszli, jak wam czas pozwoli.

– A nie powiedział, po co? – zdziwiłem się.

– Nie. Zobaczył mnie koło kościoła i zapytał, czy to u nas mieszka ten, co księgi oprawia, i powiedział, żebyście przyszli.

– Dziękuję za wiadomość. Nie wiesz, skąd mógł o mnie wiedzieć?

– A bo to ksiądz dzisiaj w szkole miał lekcję, a ja mu opowiedziałem o królu Bolesławie, to mnie zapytał, skąd to wiem.

Próbowałem sobie przypomnieć, co takiego mówiłem o tym królu, że aż proboszcz mnie wzywa. Janusz wyszedł, gdy usłyszał, że go matka woła, więc niczego się więcej nie dowiedziałem. Wolałbym znać jakiś konkretniejszy termin, bo to „jak wam czas pozwoli” można rozumieć, że i zaraz, i że nawet za tydzień. Ponieważ robotę na dziś już skończyłem, wstąpiłem do gospodyni powiedzieć, że wychodzę i przyjdę na obiad.

*

Kto wchodzi do starej świątyni, czuje w jej murach utrwaloną przeszłość: zarówno cieni ludzi, jak i czasów, w których przyszło im żyć. Ich modlitwy, oddechy, westchnienia wsiąkały w ściany, stopy zostawiły wytarte wgłębienia na posadzkach, a skargi i prośby unosiły się pod sklepienie i na skrzydłach złocistych aniołów zanoszone były przed tron Boga.

Ksiądz znalazłem w zakrystii sprawdzającego z kościelnym różną bieliznę liturgiczną, jak alby, obrusy, komże i takie tam jeszcze rzeczy, jakich się używa przy ołtarzu. Kiedy powiedziałem, jak się nazywam oraz że Janusz od bednarzów przekazał mi, że bym przyszedł, ksiądz zostawił kościelnego i przeszliśmy do nawy kościoła, gdzie usiedliśmy w ławce blisko ołtarza.

– Znacie księdza Łukasza?

– Poznaliśmy się, kiedy jeszcze był niedorostkiem.

– Jak zobaczył, że mój mszał wymaga pilnej reperacji, polecił mi was jako dobrego rzemieślnika. Możecie się tego podjąć?

Powiedziałem, że pracuję przy oprawie ksiąg, nie omieszkałszy się przy tym pochwalić, że także dla biblioteki królewskiej. Ale dodałem, że jeśli mam powiedzieć coś konkretnego, najpierw muszę zobaczyć, o czym się mówi.

Proboszcz podszedł do ołtarza i z trudem przyklęknąwszy, podjął z pulpitu ciężką księgę, a następnie skinął na mnie. Powróciliśmy do zakrystii i tam położył ją na stole. Najpierw popatrzyłem, nie ruszając jej z miejsca. Księga była duża i gruba prawie na dłoń. Ozdoby na okładce w ciągu lat użytkowania tak się wytarły, że nie można było rozpoznać wzorów, jakimi dawny mistrz ją ozdobił.

Pierwotnego koloru skóry można się było tylko domyślać, a w miejscu, gdzie okładka otwiera się przy połączeniu z grzbietem, przetarła się doszczętnie. Po jej otwarciu zobaczyłem, że sznurki, na których niegdyś była szyta, są porozciągane, poprzecierane i wyglądają, jakby lada chwila miały się przerwać, sama zaś księga przedstawiała obraz nędzy i rozpacz. Karty, nietrzymane w grzbiecie przez dawno wykruszony klej i zerwane nici, rozłączyły się, jak chciały.

Z pierwszej strony, wyróżnionej literami *MISSALE VRATISLAVIENSE* można się było dowiedzieć, że wydrukowano ją w 1503 roku w Krakowie, w drukarni niemieckiego drukarza Hochfedera[1]. Sądząc z daty, był to może jeden z pierwszych mszałów wydrukowanych w Polsce. Karty ozdobione inicjałami musiały kiedyś wejść w styczność z wodą, bo spora część z nich była pomarszczona. Książdz obserwował moją sceptyczną minę, gdym to wszystko oglądał, i zapytał niespokojnie, czy to da się naprawić.

– Ta księga służyła jeszcze moim poprzednikom – wyjaśnił – a nie chciałbym, żeby to za moich tutaj rządów zakończyła swą chwalebna służbę.

– Dziwię się, że dopiero teraz ktoś pomyślał o naprawie.

– A no, tak się odwlekało, odwlekało, aż się odwlekło...

– Naprawiać nie warto – powiedziałem – jeśli to słowo rozumieć jako pozlepianie tego, aby się tylko kupy trzymało. Tu wszystko trzeba rozebrać do najdrobniejszych części, obejrzeć, oczyścić, naprawić i oprawić w nowe okładziny, zamówić nowe klamry do ich spinania, a pomarszczone karty, co kiedyś były zamoczone, trzeba po jednej zaprasować pod przyciskiem. Wszystko wymaga wiele czasu i pracy, bo tego, co przez dziesiątki lat się starzało i psuło, nie naprawi się przez parę dni. Widzę też, że skóra zaczęła butwieć. Mszał kiedyś musiał być narażony na wilgoć.

– A tak, jak przed laty nocą zdarzyła się burza, wiatr zerwał z dachu parę dachówek i woda lała się na nieszczęście po całym ołtarzu. Dni wiele trwało, zanim udało się to wysuszyć.

– Jak powiedziałem, będzie to długa i kosztowna robota, bo i pracy, i czasu przy tym wiele. Ale jak to wszystko zrobię, gwarantuję, ojczyźnie, że jeszcze i wasi następcy będą z księgi korzystać.

Proboszcz głową pokiwał.

– Jak trzeba, to trzeba. I tak taniej wypadnie nową oprawę zrobić niż nowy mszał kupować. A i szkoda, gdyby w jakiejś szafie żywot swój zakończył.

– Nie wiem, o jak wiele taniej, bo – jak mówiłem – pracy tu dużo i materiał nie może być lada jaki, ale jednak warto. Dla mnie stara książka to jak człowiek, co opowie o różnych życiowych kolejach, jakich w przeszłości mogła być świadkiem. A i ta księga

na przykład, gdyby mówić umiała – ileż by mogła powiedzieć, co się w tej świątyni zdarzyło przez ten czas, jak leżała na ołtarzu!

– To kiedy moglibyście zacząć robotę?

– Mogę zabrać ją teraz, jeśli zezwolicie. A wy, ojczye wielebny, ile razy zechcecie, będziecie mogli do nas przyjść i popatrzeć, jak wasza księga do zdrowia powraca. Ja pracuję na Podwalu, a wspólnik mój, Gałęcki się nazywa, ma pracownię tu, niedaleko, zaraz przy Bramie Nowomiejskiej.

– To na razie byłoby wszystko – westchnął ksiądz – więc bierzcie tę księgę i zaczynajcie ją uzdrawiać w imię Boże. No więc, z Bogiem...

*

Wziąłem mszał pod pachę, skłoniłem się księdzu i zakrystianowi, który w międzyczasie wyszedłszy z zakrystii, rozmowie się przysłuchiwał, przeżegnałem się przed ołtarzem i długą nawą między słupami kolumn ruszyłem do wyjścia. Myślałem, żeby zaraz iść do Gałęckiego i pokazać mu naszą pierwszą wspólną robotę, ale że obgadanie wszystkiego wymagało czasu, bo trzeba też było poruszyć i uzgodnić wiele spraw dotyczących naszej przyszłej współpracy, wizytę u niego zostawiłem na później.

Księgę schowałem w kuferek, co go miałem pod łóżkiem, a też zaraz bednarzowa poprosiła mnie do siebie i wskazała młodą kobietę biednie ubraną.

– To jest sąsiadka z naszej ulicy – powiedziała. – Zajmie się waszym praniem, a jak trzeba będzie, to załata albo zaszyje. Dajcie jej, co tam macie brudnego, i przychodźcie, obiad zaraz będzie.

Niedużo miałem tego prania, bo jeszcze nie było okazji się obkupić. Kobieta wszystko sprawnie zawinęła w tobolek i powiedziała, że za dwa dni przyniesie. Pożegnała się i wyszła.

Obiad już czekał, gospodarz przyszedł z warsztatu, więc do stołu zasiedliśmy w komplecie.

– A ja widziałem, jak wbijali pierwszy pal na podporę do mostu – oznajmił Janusz, sięgając po łyżkę.

– Na śmierć zapomniałem! – stuknąłem się w czoło. – Ale gdybym nawet pamiętał, nie wiem, czy miałbym czas to zobaczyć.

– Nic straconego, jeszcze więcej takich pali wbijają, to sobie zobaczycie.

– Ale w każdym dążeniu do czegoś pierwszy krok jest zawsze najważniejszy, bo prowadzi do tego ostatniego.

– A jak myślicie – zapytał bednarz – co jest ważniejsze: początek czy koniec czegoś, co się dopiero chce zrobić?

– Bo ja wiem? – wzruszyłem ramionami. – Końca tu nie będzie, jeśli nie było początku, ale z drugiej strony, jeśli ktoś zaczyna pacierz, coś może mu przeszkodzić powiedzieć „amen” ...No więc chyba najważniejszy jest początek, bo czasem zamiar więcej waży jak sam czyn, którego się dokonać nie mogło.

Po obiedzie jeszcze pogadaliśmy sobie, głównie o jarmarku i cudzoziemskich kupcach, co nawet z dalekich krajów do nas przyjeżdżają, i pochwaliłem się, że dostałem do oprawy mszał z kościoła św. Jana.

– No to teraz, skoro macie taki godny początek, da Bóg, że wam zacznie się darzyć
– wyraziła nadzieję gospodyni.

*

Po powrocie do siebie wyjąłem mszał, położyłem go na stole i usiadłem przed nim, próbując sobie wyobrazić, jaki był w zaraniu swej młodości; bo w nowej szacie chciałbym najwięcej zachować z jego poprzedniego wyglądu.

Świadców dawnych czasów, jakimi są i stare księgi, nie powinno się unowocześniać, podążając za aktualną modą. Są one częścią naszej kultury, której obraz dla tych, co po nas przyjdą, powinno się zachować. A jeśli w tych świadkach przeszłości coś naprawiamy, to tak, żeby im większą trwałość nadać, a przy tym żeby dłużej pozostały w stanie najbardziej podobnym do pierwotnego.

Siedziałem więc, ważąc w myślach to wszystko i próbowałem w głowie ułożyć, jak nasza wspólna z panem Gałęckim praca ma wyglądać i jakie związane z tym sprawy trzeba będzie poruszyć i uzgodnić. Posłyszałem, jak zegar na ratuszu wybija piątą godzinę, więc księgę na powrót schowałem do kuferka i pospieszyłem do Zamku. Pan Sylwester, siedząc przy stoliku, przeglądał jakieś papiery. Zobaczywszy mnie, wskazał mi drugie krzeselko.

– Siadaj, waszmość, bo interesy lepiej się załatwia na siedząco, a to, co chcę powiedzieć, nie zmieści się w dwóch słowach.

Zamyślił się trochę, wargi zagryzając i czoło marszcząc, jakby kombinując, w jaki sposób przekazać mi to, co miał do powiedzenia.

– Widzisz, waszmość – rzekł wreszcie – to jest tak, że biblioteka nie ma fachowego nadzoru nad stanem książek, bo ja mogę tylko do czytania je dawać i pilnować, żeby na swoje miejsce wróciły. To, o czym wczoraj tu była mowa, uświadomiło mi i pani Annie, że przy bibliotece musi być ktoś, kto oceni, które książki przed innymi wymagają pilniejszej naprawy, wybierze takie i dopilnuje, żeby zostały one należycie zrobione. I doszliśmy do wniosku, że wy, panie Pawle, najlepiej byście się do tego nadawali. I co wy na to?

– Jak mam to rozumieć? – zapytałem nieco oszołomiony tą nowiną. – Za bibliotekarza miałbym tu być czy jak? A co z wami, panie Sylwestrze?

– Nie za bibliotekarza, jeno będziecie przeglądać i wybierać te księgi, które pierwsze trzeba wziąć na warsztat, i to wy będziecie decydować o tych sprawach. A za tę pracę dostawać będziecie jeden czerwony złoty i dwadzieścia groszy, płatne po zakończeniu każdego miesiąca, nie licząc tego, co zarobicie, wykonując swoje rzemiosło. Zgadza się?

Czy się zgadzam? Panie święty! Toż to tak, jakbym przed samym Panem Bogiem uklęknął, obłapiając Go za nogi!

– Jeśli to wszystko tylko mi się nie przyśniło, panie Sylwestrze, to gotów jestem obiema rękami pod tym się podpisać. To znaczy, że będziecie te książki dawać mnie do oprawy?

– To znaczy, że sami będziecie wybierać najpilniej naprawy potrzebujące – odparł, uśmiechając się, pan Sylwester. – Bo, jak to widać, sporo takich jest.

– A król nie będzie krzyw, że pani siostra jego tak książkami rozporządza? Mówią, że nie są oni ze sobą dobrze, odkąd potępiła jego związek z Barbarą.

– O to się, waszmość, nie turbuj, to było i minęło, a czas to rozjemca łagodzący właśnie. Zresztą królowi teraz nie myśleć o książkach, bo na głowie ma ważniejsze sprawy. Tak więc mniemam, żeśmy się porozumieli? Mam też przekazać wam słowa pani Anny, że jest wielce kontenta z modlitewnika. Przedstawiliście, co umiecie i to zaważyło na przyznaniu wam tej pracy. Pozostaje tylko formalnie tę sprawę załatwić, ale to już nie dzisiaj.

Powiedziałem panu Sylwestrowi, że weszłam do spółki z panem Gałęckim, a z kościoła świętego Jana mszał dostałem do oprawy.

– To dobrze, że waszmość nie będziesz robił samotnie. A i to wiele znaczy, że coś zaczynasz, kieszeń mając pustą. Wtedy, jeśli do czegoś dojdiesz, masz satysfakcję, że to, coś zbudował, od samych fundamentów twoim jest dziełem. A Rzymianin jeden Propercjusz, powiedział, że *„choćby siły zawiodły, sam zamiar będzie chwalebny, bo w rzeczach wielkich wystarczy już to, że się ich chciało dokonać”*. Co do waszmości – wierzę, że plonów się doczekasz z pola, któreś uprawiać zaczął...

No i na tym się to spotkanie skończyło. Odchodząc, poprosiłem pana Sylwestra, żeby pani Annie przekazał moją wdzięczność, co też obiecał uczynić.

Szczęśliwy jest tylko ten, co sam siebie uważa za szczęśliwego, zwłaszcza jeżeli powodzenie, jakiego doznał, nie za przyczyną ślepego trafu do niego przyszło. Nadzieja daje nam skrzydła, ale czy z nich skorzystamy, jak daleko i gdzie dolecimy, to już tylko od nas zależy. Kto cel w życiu mając, nie umie go osiągnąć, niech najpierw w sobie samym przyczyny szuka, zamiast innych posądzać o powody swego niepowodzenia, bo będzie jak ten żeglarz, co na wiatry przeciwne zwała winę, że do portu nie umie trafić.

*

Już dziesiąta godzina wybiła, a ja wciąż siedzę, nie zapalając świecy, snując różne myśli. Skąd się biorą myśli? Czy są cieniami wrażeń i uczuć, jakich doświadczyliśmy, czy tęsknotą za czymś, co się kryje za zasłoną przyszłości?

Ze wszystkiego na świecie myśl i oczy są najprędsze. Oczy jednym spojrzeniem ku gwiazdom dalekim doleczą, a myśl... Gdyby to można było słowa myśla z miejsca na miejsce przesyłać, a bliskich swoich nie jeno oczami wyobraźni oglądać...

Myśl i wyobraźnia... Czy są tylko rojeniem czyjegoś umysłu, czy siłą, mogącą wskazać nowe kierunki, którymi podąży świat?

Kolumb... Magellan... Kopernik... Umysłem wyprzedzili epokę, w której przyszło im żyć. Dlaczego wielcy odkrywcy noszący w sobie wizję czegoś nowego zbyt często idą drogą przez mękę, muszą pokonywać trudności tam, gdzie pomoc powinni otrzymać, i walczyć z krótkowzrocznością umysłową karłów, od których zależą?

Kolumb... żeby odkryć nowy świat, długo czekał na przychylność władców; nim dostał – nieledwie wyżebrał – trzy liche karawele, na których wyruszył w nieznane. W nagrodę pod koniec życia został upokorzony, zapomniany, zmarł w biedzie i nawet nikt nie wie, gdzie jest jego grób...

Magellan... żeglarz sławny, bo dokonał tego, na co nikt inny przed nim się nie

poważył. Jego okręty opłynęły świat, a sam, chociaż zginął w trakcie tej wyprawy, też zostawił trwały ślad na drodze, którą potem poszli inni...

Kopernik... o mało nie został wyklęty z powodu umysłowej ciasnoty ludzi Kościoła, gdy ośmielił się wyrazić pogląd sprzeczny z jego ślepą, skostniałą doktryną, udowadniając, że Ziemia nie jest centrum Wszechświata, który cały obraca się wokół niej. Dopiero na łożu śmierci mógł zobaczyć swoje dzieło wydane drukiem. On także pozostawił swój ślad na drodze, którą podążają gwiazdy...

Czy tacy jak oni i inni odkrywcy – wybiegający myślą naprzód, wyznaczający nowe drogi – zawsze muszą cierpieć, zanim staną się symbolem nowych czasów? Ale gdyby zrezygnowali ze swych marzeń, nie chcąc walczyć z tymi, co z uporem trzymają się utartych ścieżek, wytyczonych przez dawno spróchniałe autorytety, w jakim miejscu rozwoju byłaby teraz ludzkość? Czym wobec tych odkrywców nowych dróg są wodzowie, królowie i cesarze o imionach znanych na całym świecie, chociaż byli tylko władcami imperiów, które upadły?

Tu przemknęła mi przez głowę przewrotna myśl: a w jakim miejscu w historii świata byłoby teraz chrześcijaństwo – o ile w ogóle by było – gdyby Chrystus nie został umęczony na krzyżu i tym samym nie byłoby Zmartwychwstania? A Judasza – czy słusznie potępiamy, jeśli był tylko wykonawcą swojej roli wyznaczonej mu przez Boga?

[1] Kacper Hochfeder – drukarz wędrowny, w latach 1503–1505 prowadził pierwszą stałą drukarnię w Krakowie. Znanych jest ponad 30 druków łacińskich Hochfedera.

Dobrze się stało, że wczoraj nie poszedłem do Gałęckiego, bo wtedy jeszcze nie mógłbym powiedzieć mu niczego konkretnego o naszej współpracy. Albowiem, jak się dziś rano obudziłem, od razu przyszło mi na myśl, żeby zajrzeć do biblioteki i popatrzeć, ile książek jakiej oprawy potrzebuje.

Jak zacząłem przeglądać półki, w paru miejscach za równo ustawionymi książkami znalazłem inne, poupychane lada jak, niektóre z naderwanymi okładkami, inne zaś całkiem bez okładek. Gdy je pokazałem panu Sylwestrowi, to powiedział, że co do losu tych bardzo zniszczonych musi poradzić się pani Anny, bo to książki chyba jeszcze z czasów jej ojca. Umówiliśmy się, że jak oddam wszystko, com zrobił, wybierzemy książki pierwsze potrzebujące naprawy.

Wróciłem więc do domu, wziąłem mszał i poszedłem do Gałęckiego. Wszystko, co mu poprzednio dałem do zrobienia, ku mojemu zadowoleniu było wykonane. Zostawiłem resztę przyniesionych książek do wykończenia i pokazałem, co przyniosłem.

– Oto jest nasza pierwsza wspólna praca; słowo Boże ona głosi, niech więc będzie to dobry omen na przyszłość dla naszej spółki.

– Widzę, że większa robota przy tym będzie – powiedział Gałęcki, biorąc księgę obiema rękami i oglądając ją ze wszystkich stron. – A też widzę, panie Pawle, żeś nie lekce sobie ważył słów swoich, gdyś propozycję przedstawił, żeby wspólnie pracować. Ani się spodziewałem, że tak prędko to się stanie, a Bóg wie, jak mi roboty brakuje. Nawet ucznia musiałem odesłać do domu, bo nie miał co robić. Jaki byś waszmość proponował sposób oprawy tej księgi?

– Po to ją przyniosłem, żeby o tym porozmawiać, ale najpierw rozrachujmy się z tego, coście już zrobili, panie Gałęcki. Ile, waszmość, policzysz sobie za te wszystkie złocenia razem z tymi, com dzisiaj przyniosłem?

– Myślę, że dwa czerwone złote i dwadzieścia groszy nie będzie za wiele – ostrożnie powiedział Gałęcki, spoglądając na mnie spod oka. – Robota to delikatna i bardzo pracochłonna.

– I porządnie zrobiona – dodałem i położyłem na stole żadaną sumę. – A teraz siadźmy i porozmawiajmy – bośmy do tej pory stali przy stole. – Ja będę mówił, co myślę zrobić, a wy swoje zdanie powiecie, czy się ze mną zgadzacie.

Otóż uważam, że księga ta powinna dostać taką oprawę, jaką miała na początku, a chociaż będzie na nowo zrobiona, chcę w niej ze starej zachować tyle, ile będzie można. Jak myślicie: może z tej starej skóry jej niewielki kawałek jako pamiątkę wprawić w spodnią okładkę? Ten stary srebrny krzyż zachować, ale dać nowe klamry spinające, a guzy na spodzie, co są nabite dla ochrony skóry zostawić i też przenieść na nową okładkę?

Gałęcki, w miarę jak mówiłem, głową potakiwał, a jak skończyłem, powiedział, że w zasadzie słusznie to sobie obmyśliłem, ale skóra jest stara, zeschnięta, przez co może być krucha, więc pojawić się mogą trudności z jej zdjęciem bez uszkodzenia. A majster, co przedtem wykonał tę oprawę, źle zrobił, krzyż na gładki wierzch okładki nabijając,

przez co metal nie wszędzie do niej równo przylega i może zaczepiać o obrus na ołtarzu.

– W nowej oprawie – powiedział Gałęcki – powinno być nieznaczne wgłębienie w kształcie tego krzyża, żeby jego krawędzie w nim się schowały. Nie widzę tutaj żadnego śladu po zakładkach, a powinny one być, więc trzeba je u szmuklerza zamówić, takie żeby barwą pasowały do całości.

– Dobrze wiedzieć, że się ze sobą zgadzamy – powiedziałem zadowolony. – A pozostała reszta – rozbieranie, naprawa i szycie – to wiadomo, jak robić. Związy zrobimy tam, gdzie przódzi były, bo tam już są dziurki od igieł, żeby starych kart w nowych miejscach nie dziurawić. No, a skoro już wiemy, jak ma wyglądać oprawa, pozostaje tylko ją zrobić.

– No tak – odpowiedział – ale jak się jedną książką w robocie podzielimy?

– A kto mówił, że jedną? Powiedziałeś waszmość, żeś terminatora zwolnił, no to sprowadź go z powrotem, bo będzie miał co robić! – Tu opowiedziałem, jako na opiekuna biblioteki królewskiej zostałem wybrany i na czym ta praca ma polegać. – Jest więc nadzieja – mówiłem – że już lepiej będzie nam się wiodło, ale samą nadzieją ani się nie nakarmimy, ani nie ogrzejemy. Niespodziewana okazja zapukała do naszych drzwi, więc trzeba ją chwycić i zatrzymać, bo odleci, a my zostaniemy jak ten łysy, co grzebień ma, jeno czesać nie ma czego.

Gałęcki słuchał tego wszystkiego jak bajki z jakiegoś snu, w który trudno uwierzyć, że jawą stać się może.

Od tej rozmowy przeszło dwa miesiące minęły i oto już mamy drugą połowę sierpnia, a przez ten czas wiele u mnie się wydarzyło. Najpierw okazało się, że w bibliotece znalazło się nadspodziewanie wiele książek potrzebujących naprawy, co to je trzeba będzie rozłożyć na dłuższy czas.

Później, kiedy ukończony mszał oddaliśmy księdzu, ten po zakończeniu nabożeństwa wszystkim wiernym obecnym w kościele pokazując od ołtarza odnowioną księgę, tak nasze dzieło chwalił, żeśmy dostali do oprawy księgi liturgiczne jeszcze z trzech klasztorów.

Jeśli dla swojej przyszłości chcemy coś trwałego zbudować, musimy mieć oparcie w teraźniejszości, inaczej zamiary nasze będą jak pałace w wyobraźni malowane, a stawiane na piasku niespełnionych marzeń. A każda, choćby najdalsza wędrówka, ma swój początek w tym pierwszym kroku zrobionym po opuszczeniu kolebki – i o tym także powinniśmy pamiętać. Idąc w przyszłość – przeszłość zostawiamy za sobą, ale nie możemy się od niej oderwać i zapomnieć, skąd się wywodzimy. Podobnie jak wierzchołek drzewa, z czasem obrastając w nowe konary, coraz bardziej się oddala od swoich korzeni, ale ciągle czerpie z nich soki życie mu dające.

Prędko się też przekonaliśmy, że praca w dwóch miejscach z ciągłymi wędrówkami pomiędzy nimi to niewygoda, więc i o tym trzeba pomyśleć. A nasza spółka ma tę jeszcze zaletę, że jeśli jeden z nas, co nie daj Boże, zachoruje albo co innego mu się przytrafi, to do jego powrotu warsztat nie zostanie opuszczony, bo drugi będzie w nim robił i dopilnuje, żeby wszystko szło swoim trybem, i będzie zrobione, jak trzeba.

Wciąż jeszcze mieszkając u bednarzów, pomалу zaczynam się rozglądać za czymś lepszym, żeby mieć gdzie żonę wprowadzić. Postanowiłem, że do końca roku swój kawalerski stan zmienię na ten bardziej ustatkowany.

Łukasz, powróciwszy z Krakowa, listy i wieści od rodziny mi przywiózł, a taki już czułem się samotny i opuszczony, jako ten świętek w kapliczce przy pustej drodze stojący. Bardzo też podniosło mnie na duchu, że wszyscy w domu są zdrowi, a specjalną radość miałem z listu Dorotki, która zasuszony kwiatek w nim przysłała ze słowami, że chociaż te płatki uschły, to ona... Listy zawsze są namiastką czyjejs obecności, a jakże tutaj wiele znaczy, czyja to konkretnie obecność...

Łukasz oprócz listów, zawiózł moim bliskim pociechę, że pracy już mam pod dostatkiem, że w Warszawie już korzenie zaczynam zapuszczać i spodziewam się, iż tutaj lepsza przyszłość mnie czeka niż ta, jakiej w Krakowie mógłbym się spodziewać.

Powiedział mi też, że pomyślał i o naszej planowanej wyprawie na poszukiwanie Kryspina, a jadąc, po drodze pilnie się rozglądał i wiadomości zbierał. Już się domyśla, w jakiej okolicy trzeba go szukać i dokąd można dojechać, żeby dalej w lasy pieszo się zapuścić, a po wioskach o drogę pytać.

Rozważaliśmy, co na tę wyprawę ze sobą zabrać. A trudny to wybór, bo dziadowskim sposobem w torbie wszystko musimy zmieścić i na własnym grzbiecie nosić. Pana Gałęckiego już uprzedziłem, że za jakiś czas gdzieś będę musiał wyjechać

i zostawić warsztat na jego pieczy, na co mi odpowiedział, żebym troskę o to jemu zostawił, a sam szczęśliwie i zdrowo postarał się wrócić.

*

Niejedną godzinę przegadaliśmy z Łukaszem o różnych sprawach, bo wieści mi przynosił o Polsce i świecie. I tak, mówił, że król August pilnie pracuje nad połączeniem Polski i Litwy, wiele narad odbywając z różnymi panami. Popierany jest w tym dziele przez szlachtę litewską i ruską, ale duży opór napotyka ze strony litewskich magnatów. W przeszłości, jeszcze za Jagiełły, myśłano, żeby taki związek zrobić, ale nic z tego nie wyszło, bo oba kraje pozostały odrębnymi organizmami, które łączyła tylko osoba panującego.

Tym razem miało to być zjednoczenie polityczne, oparte na wspólnocie interesów, gdzie wspólny będzie monarcha koronowany w Polsce na króla polskiego, a w Wilnie na wielkiego księcia Litwy, miała być też wspólna polityka obronna, a również jeden wspólny sejm i pieniądz, natomiast osobne urzędy centralne: marszałków, kanclerzy, podskarbiego i hetmanów – i jeszcze inne sprawy do uzgodnienia.

Mówił też, że martwi go coraz większy wyzysk pańszczyźniany, co jest jak pętla dławiąca szyję chłopów, oraz niesprawiedliwe prawo, o którym się mówi, że „*jest jak pajęczyna, bąk się przebije, a na muchę wina*”.

A kiedyś powiedział, że jako przedstawiciel księży Jezuitów jest wysyłany na wizytacje tam, skąd wieści dochodzą, że w Kościele źle się dzieje, na przykład, że pasterz powołany do pasienia owieczek nie tylko zanadto je strzyże, ale czasem i ze skóry obdziera, powołując się na Boga i usprawiedliwiając swoje poczynania dobrem Kościoła.

Tu i ja miałem coś do powiedzenia, bo wśród ksiąg, jakie niegdyś miałem w oprawie, była jedna napisana przez Jana Ostroroga[1], co zmarł jeszcze w 1501 roku: *Monumentum pro Reipublicae ordinatione*, czyli *Memoriał o uporządkowaniu Rzeczypospolitej*, w której pisze między innymi: „*Bóg przykazał dawać dziesięciny (...) lecz nie przykazał wyciskać je gwałtem od świeckich. Były one niegdyś dawane od bogatych, nie ubogich, teraz zaś dają je ubodzy włościanie owym tłustym i wypastym, z dumą je biorącym. Czyż zachowane bywają słowa: miłosierdzia chcę, nie ofiar!*”.

Łukasz na to powiedział, że Ostroróg rację ma w tym, co tu mówi, ale też Kościół krzywo na niego patrzy, bo domagał się uniezależnienia państwa od papieżstwa. Ale że tak jak królom nie mieszać się do rządzenia Kościołem, tak i Kościół do państwowych spraw świeckich niech się królom nie wtrąca. Mówił dalej, że Kościół w osobie biskupa warmińskiego Stanisława Hozjusza wystąpił też przeciw reformom społecznym głoszonym przez Frycza Modrzewskiego, uznając, że nikt do tej pory w Polsce nie głosił tak niebezpiecznych poglądów.

Dodał jeszcze, że niesprawiedliwe prawa pojawiły się na świecie, odkąd jeden człowiek okazał się silniejszy od drugiego i mógł mu narzucić swoją wolę. I taki na to przykład podał, że oto jeszcze w 1496 roku sejm piotrkowski uchwalił następujące prawo: „*Stanowimy, iż mieszczanom i plebejuszom nie wolno dóbr ziemskich kupować, dzierżawić lub posiadać, a ci, którzy już weszli w ich posiadanie, mają je sprzedać pod karą*”.

I zawsześmy dochodzili do wniosku, że sprawiedliwość niezmiennie służy tym, co prawa stanowią, a posłuszeństwo dla nich siłą wymuszają. Zresztą, zamiast rozprawiać o podobnych sprawach, mogliśmy równie dobrze w trąbkę sobie dmuchać, bo jedno i drugie tyle samo pożytku by przyniosło i na gadaniu tylko się kończyło.

Ale trzeba zrozumieć, że człowiek czasem musi powiedzieć drugiemu, co mu leży na sercu czy wątrobie i myślami swoimi się podzielić. A myśli muszą znaleźć ujście, bo są jak ta para w garnku, co też z niego musi się wydostawać, pokrywkę podnosząc, chociaż w powietrze bez pożytku ulatuje. Rozmowa kilku ludzi jest głośnym myśleniem na różne tematy i rozwija umysł, bo własne myśli trzeba umieć wyrazić słowami w taki sposób, żeby argumenty nasze trafiły do słuchającego. Najgorszymi rozmówcami są tacy, co mówią po to, żeby mówić, a nie – żeby coś powiedzieć.

*

Któregoś dnia wieczorem pojawił się u mnie Łukasz i zapytał, czy w warsztacie mamy coś pilnego do roboty.

– Bo w tych dniach okazja dla naszej wycieczki się szykuje – powiedział. – Jak jest u ciebie z pracą?

Pracy mieliśmy dosyć, ale można było spokojnie robić, wiedząc, że i w przyszłości nam jej nie zabraknie. A chociaż dawno wiedziałem o tej wyprawie, cośmy ją sobie umyślili, to jak już do niej przyszło, poczułem się jakoś nieswojo. Chyba nietęgą minę miałem, bo Łukasz zauważył, że mam rozterki.

– Coś ci się nie widzi?

– Nie, tylko zaskoczony jestem, chociaż powinienem się tego spodziewać... Co do pracy, to dzięki Bogu zawsze jest co robić. A ponieważ teraz jestem w spółce z panem Galeckim, nie muszę się kłopotać, że jak wyjadę, to jakaś robota nam przepadnie. Tylko trochę dziwnie się czuję, jak pomyślę, że po świecie będę wędrował, wiatru w polu szukając.

– Przejdzie ci to. Musimy omówić, co zabrać ze sobą, gdyby przyszło nam w lesie albo w karczmie zanoć.

– Krzesiwo i hubkę to już obowiązkowo – powiedziałem. – Co jeszcze? Może mieczyk jakiś mały dla obrony przed zbójami?

– W tamtych stronach o zbójach nie słyhać, to i mieczyk niepotrzebny, bo nosić go trzeba, a ma swój ciężar. Zresztą, gdyby nawet zbóje nas napadli, to byśmy się we dwóch nie obronili, bośmy bronią robić nienawykli, a i rabować u nas nie będzie czego. Lepiej zabrać niewielką siekierkę, bo jest przydatna w takiej podróży jak nasza, i parę świeczek.

– Po co ci świece? Gdzie będziesz nimi świecił?

– Mogą się przydać, bo kto wie, gdzie nam przyjdzie nocować? Odzienie tylko to, co na sobie, i jakaś opończa na wypadek deszczu. I groszy trochę w kieszeni. I o butach trzeba pamiętać... To chyba by było wszystko...

– No to weź te świece i krzesiwo, a ja siekierkę.

– Wystarczy ci trzy dni, do czwartku, żeby uładzić swoje sprawy i zaopatrzyć się w to wszystko?

– Starczy. A jak pojedziemy?

– Wozem. Dwóch mnichów wraca do Świętego Krzyża, co się w Łysogórach znajduje, to się do nich przysiadziemy. Tam ich gdzieś po drodze opuścimy i pójdziemy swoją drogą. No, to na razie. – Łukasz wstał i przeciągnął się. – W przeddzień wyjazdu zajrzę do ciebie, a we czwartek wczesnym rankiem mszę świętą odprawię w intencji powodzenia naszej podróży. Ostań z Bogiem!

Z panem Gałęckim uzgodniłszy, co mu na jego głowie zostawię i co jest najpilniejsze do zrobienia. Po uprzedzeniu bednarzów, że jakiś czas w domu mnie nie będzie, pozostało mi tylko przeżegnać się i ruszać w drogę!

[1] Jan Ostroróg (1436–1501), herbu Nałęcz – wojewoda poznański. Doradca królów Kazimierza Jagiellończyka i Jana Olbrachta. Twórca i publicysta, autor dzieła *Memoriał o urządzeniu Rzeczypospolitej*. Krytykował Rzym, był przeciwny sądzeniu spraw kościelnych w Rzymie, a nie w Polsce. Zarzucał papieżowi, że używa dóbr kościelnych do bogacenia swych krewnych. Przeciwny płaceniu świętopietrza.

Niemilo na coś czekać, bo nie dość, że niecierpliwość nas nęka, to jeszcze czujemy się tak, jakbyśmy za czymś nie nadążali i nachodzą nas myśli, że nie wiadomo, jak się skończy to, co się jeszcze nie zaczęło.

Kiedy wreszcie nastął dzień, gdyśmy puścili się w drogę, był on taki jakiś nijaki, jakby niezdecydowany, jaką pogodą nas uraczyć. Niebem ciągnęły chmury, ale czasem spoza nich słońce wyglądało; ranek był chłodny, jak to czasem bywa na przełomie sierpnia i września.

*

Wyruszyliśmy zaraz po wczesnej mszy świętej, kierując się na Grójec i Radom. Mieliśmy nieduży wózek z parą dobrych koni. Grube płótno rozpięte na czterech drewnianych pałkach, teraz o bokach podwiniętych do góry dla przewiewu, miało nas chronić przed kaprysmi aury. Dwie ławki z desek położonych w poprzek wozu, chociaż derką wyścielone, twarde były i niewygodne dla przebycia na trzęsącym wozie takiej podróży, jaką mieliśmy przed sobą.

Na tylnej ławce, twarzą do kierunku jazdy, siedzieliśmy ja z Łukaszem, naprzeciwko mając starego zakonnika z siwą brodą, a powoził młodszy braciszek zakonny. Stary zwał się Leon, a młodszy – Barnaba i właśnie z powodu tego młodszego obaj znaleźli się w Warszawie i wracając do klasztoru, zabrali nas na swój wózek. O przyczynie, dla której przyjechali do Warszawy, właśnie chcę opowiedzieć.

Otóż zdarzyło się, że w czasie srogiej burzy piorun uderzył w drzewo, pod którym schronił się Barnaba, i rozszczepił je, co razem z ogniem, jaki się przy tym pojawił, tak go przeraziło, że z przestachu stracił mowę. W klasztorze próbowano go uzdrowić modlitwami i wodą święconą, ale się nie dało. Przeor dał mu więc opiekuna w osobie starego Leona, wózek należący do klasztornego gospodarstwa i obu wyprawił do Warszawy, bo słyszał, że tam jest jeden sławny medyk, co się Wojciech Oczko nazywa. Przeor miał nadzieję, że on swoją sztuką poradzi na tę niemotę Barnaby.

Pan Oczko pokręcił i pokiwał mądrą głową, obejrzał, co trzeba, zajrzał, gdzie należało i orzekł, że na taką przypadłość medykamentów nie posiada, ale że skoro mnich stracił mowę z przestachu, równie wielki przestach może go uzdrowić.

Podobno różnych rzeczy próbowano, żeby Barnabę przestraszyć, ale na próżno. Ktoś wreszcie umyślił, żeby mu zniecka z armaty nad uchem wystrzelić, ale tu pan Oczko zaprotestował, twierdząc, że do niemoty do kompletu i głuchota dołączyć się może.

Wreszcie król na Litwę pojechał, doktora ze sobą zabierając, bo podobno monarcha na kamienie cierpiał i chciał mieć medyka przy sobie. I tak się te eksperymenty niepowodzeniem zakończyły, a Barnaba, głosu nie odzyskawszy, do klasztoru swojego wracał.

Po prawdzie to on głosu tak całkiem nie stracił, ale jak chciał coś powiedzieć, to jeno jakieś buczenie mu z gardła wychodziło, jakby tam bąka trzymał albo co inszego, ale w słowa tego buczenia ubrać nie umiał. Teraz siedział obok swego towarzysza w stronę

koni obrócony i czasem lejcami potrząsał albo któregoś końcem bata potracił i niekiedy brzęczał do nich po swojemu.

Wóz się kolebał na nierównościach piaszczystej drogi, koła czasem stuknęły o kamień, a kopyta dwóch koni pracowicie człapały bez pośpiechu. Trzęsąc się na niewygodnym siedzisku, patrzyłem na krajobraz, powoli przesuwany się przed oczami.

Droga kojarzyła mi się z obrazem życia. Życie też nie zawsze biegnie gładko, na nierówności i różne przeszkody się natyka; i czasem lekko się toczy, jakbyś z górki jechał, a czasem pod górę w pocie czoła swój wózek pchać musisz, nawet przed jakąś przeszkodą się zatrzymasz, co ci w poprzek drogi stanie.

Życie – to jakby droga nieznaną, pełną zakrętów, na której nie wiadomo, co nas spotka. Wiemy skąd, dokąd, jak i po co chcemy jechać, ale nie tylko od nas zależy, czy i jak tam dojedziemy. To, co jest teraz przed nami, rychło zostaje z tyłu, pozostawiając jedynie obrazy później wspomniane, jeśli to było coś, co warto wspomnieć i wygrzebać z zakamarków pamięci.

Trzęśliśmy się więc na tym wózku trzeci dzień, tak bez pośpiechu się wlokąc, żeby konie oszczędzić. Właśnie Radom minęliśmy i wypatrywaliśmy wieży kościelnej, żeby na plebanię na dłuższy popas w gości się wprosić, bośmy zarówno my sami, jak i bydłota nasze odpoczynku potrzebowali. Na początku podróży nieskoro mi było do rozmowy, bo ciekawy nowości świata więcej oczami robiłem jak językiem, ale z czasem zaczęliśmy się najpierw jakimś luźnym słowem przerzucać, uwagi czyniąc w różnych sprawach.

Między innymi rozmowa zesłała na innowierców, a konkretnie na arian, co są zwani też braćmi polskimi, że są odstępcami od wiary naszej odrzucającymi dogmat Trójcy Świętej. Żądają komunii pod dwiema postaciami, zniesienia celibatu księży, powrotu do korzeni chrześcijaństwa i ponownego chrztu dorosłych. A wiarę swoją słowem jeno szerzą, do przemocy się nie uciekając.

Co się tyczy dogmatów, to nie chciałem się o nich wypowiadać, ale co do drugiego chrztu to powiedziałem, że nie słyszałem, aby kościół nasz się o tym wypowiadał, że to może być grzechem. Nikt rozumny – mówiłem – nie zaprzeczy też, że człek dorosły chrzest przyjmując, czyni to ze świadomością i z własnego wyboru, a niemowlęcia nikt nie pyta, czy chce tego sakramentu dostąpić i za jedno mu jest, czym i dlaczego głowę mu poleją.

Stary mnich srodze się obruszył na mnie za te słowa, mówiąc, że skoro odszczepieńców bronisz, to zapewne sam taki jestem. Popatrzyłem na Łukasza, co na to powie i czy może mnie weźmie w obronę, ale on tylko jakby się ukradkiem uśmiechał, słuchając tej dysputy. Więc trochę nie chcąc dać się pognębić, a trochę przez przekorę oznajmiłem, że miłszy Bogu jest człek, co choćby nieświadomie zgodnie z Jego przykazaniem żyje, a chrztu nie dostąpił, niż ten, co w kościele przed ołtarzem od rana do wieczora siłą pacierzy wyklepie, nie wnikając w sens swoich słów.

– Jeśli chodzi o kacerzy – zawołał zacierzewiony mnich – nie to jest najgorsze, jak się sami po swojemu do Boga modlą, bo kiedyś sami poczują skutki Jego sądu, ale że ludziom w głowach przewracają, rewolucję w nich czynią, uznanym wartościom inne znaczenie przydając, i tym samym ustalony porządek burzą. Oto głoszą, że pragną, aby „nie było króla i narodu, książąt i poddanych”[1].

Nie w niebie żyjemy – mówił dalej mnich – jeno na ziemi, wedle praw przez przedstawicieli ziemskiej władzy ustanowionych i nie godzi nam się ich wywracać, bo całemu narodowi szkodę to wyrządza.

– A jakąż to, bracie Leonie – odrzekłem – i komu szkodę przynosi ten, co głosi, że ludzie rodzą się równi, że nie godzi się chleba jeść z potu ubogich, że nie godzi się mieć poddanych, aby korzystać z ich krwi i znoju i do własnego się wzbogacania wykorzystywać? Żeby chleb jeść, pierwej zapracować na niego trzeba, a nie drugiemu od ust odejmować. Toż to właśnie bracia polscy głoszą, a nie tylko nikomu wiary swej nie narzucają, ale nawet i broni nie używają, odmawiając jej noszenia!

– Chwalebne to zasady – odpowiedział mnich – ale gdyby je w życie wprowadzić, skutek tego nie byłby chwalebny, a zgoła opłakany. Bo tak jest świat urządony, że jedni mają drogę do Boga wskazywać i być pośrednikami między Nim a ludźmi – a to są kapłani i duchowieństwo. Drudzy mają rządzić i kraju bronić – a to jest szlachta. A trzeci mają pracować na tamte dwa stany, orząc i siejąc – a to są chłopci. A nad wszystkimi stoi król. Więc niech każdy robi swoje, jak każe duch Boży, a całość składnie się złoży, jak powiada porzekadło. A waszmość nie uśmiechaj się pod nosem, słów moich słuchając!

– Pozwólcie, bracie Leonie, nawiązać tylko do waszych słów. Oto mówicie, że chłopci powinni orać i siać, a kto zbiera pożytek z tego orania i siania, tego żeście zapomnieli dodać. A chłopci na przednówku, głodem przymierając, często lebiodą, pokrzywą, szczawiem i żołądziami żyją. Chrystus swego czasu powiedział, że młóćcemu wołowi nie należy zawiązywać pyska, aby mógł sobie uszczknąć nieco z tego, co pracą swoją młóci, a nie mówił, że jeden człowiek ma być niewolnikiem drugiego i jak jakieś bydło może być sprzedawany! Toż to tylko patrzeć, jak wieś pocznie się buntować przeciw takiemu porządkowi!

Zauważyłem, że brat Leon nie wspomniał o jeszcze jednym stanie – o mieszczanach – i ciekawy, gdzie go umieści wśród tamtych trzech, chciałem o tym napomknąć, ale tu wtrącił się Łukasz.

– Pax, pax! – powiedział – nie sprzeczaście się. Jeśli chłopci zaczną się buntować, to nie będzie nic nowego, jeszcze w końcu zeszłego wieku takie bunty się wszczynały. Oto w 1492 roku na Pokuciu oddział zbuntowanych chłopów, nie mogąc znieść wyzysku panów, pod wodzą niejakiego Muchy rozboje czynił. Jeśli komu dobrze się w Polsce powodzi, to jeno tym dwóm pierwszym stanom, co je chłopci muszą utrzymywać. Polska jest bogata, ale bogactwem szlachty i możnowładców, a nie całego państwa. Przeciw mieszczanom nic nie powiem, bo żyją z pracy swoich rąk, na handlu i rzemiośle się dorabiają i nikomu pasożytami nie są.

Dużo chleba mamy w naszym kraju – mówił dalej Łukasz – ale bieda w tym, że nasze zboże obcych karmi, przez Gdańsk do Anglików i Holendrów płynie, nie bogacąc tych, co je wyhodowali, bo oni sami głodem przymierają. A to już, jeśli zgodne jest z prawem jakimś, to na pewno nie boskim.

Za granicę co roku wywozimy kilkadziesiąt tysięcy łasztów[2] samego zboża – o Inie, skórach, miodzie, drewnie i inszych towarach nie wspominając – za które szlachta kupuje sobie towary pochodzące z całego świata: drogie wina francuskie, hiszpańskie, włoskie i węgierskie, pomarańcze, rodzynki, daktyle, figi, migdały, pieprz... Pan Mikołaj

Rej z Nagłowic taką oto fraszkę na to napisał:

*A niemasz tych przysmaków snadź na całym świecie,
Czego w Polsce nie najdzie i w zimie i w lecie,
A nie może tak drogo żadnej rzeczy cenić,
Żeby Polak nie kupił; o pieniądze nam nic.*

Tylko że tu pod słowem „Polak” trzeba rozumieć szlachtę i magnatów. A dodam jeszcze, że nikt nie powie, iż sprawy te z drugiej ręki znam, bo sam jestem chłopskim synem.

Wracając do innowierców, od czego się zaczęła nasza dyskusja, można powiedzieć, że nie ma dymu bez ognia, a skutku bez przyczyny, reformacja zaś sama z siebie i dla siebie nie powstała. Początek jej był w naszym katolickim Kościele, na co Luter wskazał, ogłaszając swoje tezy.

– Jakże to, ojczy Łukasz! – zawołał ze zgrozą brat Leon. – Jakże to być może, że po stronie tego wyklętego odstępcy stajecie?

– Nie Lutra bronię, bracie Leonie – Łukasz na to – bo dostrzegam błędy jego i potępiam je. Ale oceniając coś, i jeśli skutki czegoś potępiamy, to zarazem przyczyny onego szukajmy. Może nie byłoby Lutra i jego tez, gdyby w naszym Kościele nie było handlu relikwiami i odpustami czy gorszących przykładów życia jego przedstawicieli. Gdyby niektórzy, powtarzam, że tylko niektórzy duchowni, nie przydawali samym sobie znaczenia przez to jeno, że bliżej ołtarza stojąc, niemal za przedstawicieli Boga chcieli uchodzić, stan swój ceniąc bardziej niż życie według wskazań Jego.

Tu przypomniały mi się słowa Walentego, zasłyszane w czasie mojej wycieczki do Jazdowa, że Kościół nie potrzebuje reformatorów z zewnątrz, jeno świętych, żeby ich wynosić na ołtarze i brać z nich przykład. I powiedziałem to.

– Słusznie rzekł ten człowiek – zgodził się Łukasz, wysłuchawszy mnie. – Zaiste, świętych nam potrzeba. Takich, co na przykładzie własnym nam pokażą, jak żyć po Bożemu, a wtedy żadne reformy Kościołowi nie będą potrzebne ani posądzenia, że z drogi swojej zboczył.

– A są – stary mnich na to – tacy, co wierzą w to jeno, czego dotknąć mogą, posmakować, zobaczyć, powąchać. Tacy zawsze wątpić będą i w prawdy święte nie wierzyć.

– Toć sam święty Tomasz był niedowiarkiem, co nie wierzył w zmartwychwstanie Pana naszego, póki palcem rany Jego nie dotknął. Martwa jest wiara pozbawiona wątpliwości, a ludzką rzeczą jest wątpić i szukać, żeby uwierzyć...

Takie sobie dyskursy prowadząc, a jadąc bez pośpiechu, już prawie połowę drogi mieliśmy za sobą. Przez te parę dni podróży lada gdzie nocując, dobrze się wytrzęśliśmy i należał nam się większy odpoczynek. I nie tylko nam. Konie, z krótkimi popasami ciągnące wóz, zaczynały ustawać, a ponieważ przed nami był jeszcze kawał drogi, chcieliśmy dać im dłuższy popas, żeby mogły wytchnąć.

Postój nam wypadł na plebanii we wsi o milę za Radomiem nad jakąś rzeczką, trochę w bok od traktu krakowskiego. Łukasz, bywając już w tych stronach, znał miejscowego proboszcza i wiedział, że można liczyć na gościnę u niego. Jak żeśmy przyjechali, księdza nie było w domu, ale gdy parobek zobaczył przed bramą wóz

z trzema duchownymi osobami, nie zwlekając, otworzył wrota i wpuścił nas na podwórze. Nogi mieliśmy ścierpnięte od dłuższego siedzenia i ledwo nas utrzymały, jak żeśmy zleźli z wozu.

– Bóg z tobą, Jędrzeju – powiedział Łukasz do parobka, co zamknąwszy bramę, z czapką w ręku podszedł do nas. – Księdza Józefa chyba nie zastaliśmy, skoro go nie widać?

– A to dlatego, proszę księdza, że poszedł z sakramentami do starego Tomasza co od trzech niedziel z pościeli nie wstaje i chyba już nic z niego nie będzie, ale niedługo powinien wrócić. A wielebni ojcowie w gościnę do nas?

– Jeśli się znajdzie miejsce dla czterech ludzi i dwóch koni, a ksiądz Józef przyjmie nas pod swój dach, to ze dwa dni byśmy tutaj zabawili, bo konie bardzo mamy zdrożone... Oto i gospodarza widzę! – zawołał na widok młodego wysokiego księdza, wchodzącego przez furtkę.

Przybyły stanął, przyłożywszy dłoń do czoła, bo pod słońce patrzył, a poznawszy, kto przyjechał, uśmiechnął się i podszedł bliżej.

– Ojciec Łukasz! Sam Pan Bóg księdza tutaj przyprowadził, bo kazania na niedzielę nie mogę wymyślić i na pomoc liczę. Na nocleg wstąpiliście?

– Nawet na dwa, jeśli pozwolisz. – Tu Łukasz pokazał na resztę naszej gromadki. – Oto moi towarzysze podróży, zechciej ich poznać: ten tutaj to Paweł, mój przyjaciel od lat wielu, a ci dwaj bracia do klasztoru na Świętym Krzyżu wracają. Starszy to brat Leon, a młodszy to Barnaba. Więc jak będzie, przyjmiesz gości?

– Gość w dom, Bóg w dom. Jeno będzie mały kłopot z noclegiem, bo w dużej izbie żyto się suszy i na plebanii jedna tylko osoba gościnne łóżko znajdzie. Ale w stodole słomy i siana nie brakuje, więc jeśli ktoś nie boi się myszy...

– Do wieczora mamy ze dwie godziny – rzekł Łukasz – pomyślmy, jak je spędzić z pożytkiem dla ciała, duszy i umysłu.

– Dla ciała – odpowiedział ksiądz Józef – znajdą się krzesła, chociaż nie bardzo wygodne, i posiłek skromny, dla umysłu może coś ciekawego sobie opowiemy, a dla duszy pacierz na dobrą noc. A teraz myślę, że skoro jesteście zdrożeni, najpierw trzeba wam się z wodą zapoznać. O pięćdziesiąt kroków stąd w strumieniu jest czysta woda... albo miska przy studni, ale raczej strumyk bym polecił. Piasek w nim czysty, miejsce osłonięte, trawa na brzegu i słońce tam jeszcze grzeje. A tymczasem Marta w stodole posłania przygotowuje. Ciebie, jako księdza i przyjaciela, na spanie do siebie zapraszam, a reszta towarzystwa się nie obrazi, jeśli na świeżym sianku w stodole się prześpi...

– To stara Marta jeszcze tu jest? – zdziwił się Łukasz. – Jak ostatni raz cię odwiedziłem, już dobrze lata ją przyginały.

– A co mam robić? – żartobliwie skrzywił się ksiądz Józef. – Młodemu księdzu nie wypada młodej gospodyni trzymać, bo wróble zaczną ćwierkać. No, to kto do strumienia, a kto do miski?

Wszyscy wybraliśmy strumień. Jędrzej tymczasem konie wyprzągł i pod dach je zaprowadził. Gdy wróciliśmy odświeżeni, gospodarz zaprosił nas do domu.

– Zanim się skromny posiłek przygotowuje – powiedział – porozmawiajmy, co we świecie słyhać. Tutaj to i owo tylko przypadkiem o uszy się obje, a z chłopami o czym

tu rozmawiać? Chyba tylko o tym, kiedy czyja krowa się ocieli, co do Radomia na jarmark zawieźć, albo że Wojtek z Maćkiem znowu się poczubili. Wiadomo, że człek zawsze jest ciekawy świata, przeto rad jestem każdemu gościowi, co nam nowiny przynosi.

Brat Leon przez cały czas słowem się nie odezwał, tylko brodę gładził albo palcami zdawał się rachować węzły na sznurze przy habicie. Barnaba także milczał, ale on wiadomo czemu.

Izba, do której proboszcz nas wprowadził, była niewielka; przed krzyżem wiszącym na ścianie stał prosty klęcznik z porzuconym na nim różańcem i otwartą książką. Pośrodku, na wyszorowanej podłodze, niewielki stół nakryty lnianą serwetą, a pod ścianą wąskie łóżko z cienką poduszką. Na ścianie kilka obrazów o religijnej treści, a na oszklonej szafce z paru książkami niewielka lampka oliwna i lichtarz ze świecą. Pod ścianą kilka krzeseł czekało na gości. W dłuższym boku pokoju dwoje drzwi prowadziło do innych pomieszczeń, które gospodarz nam zaraz przedstawił. Jedno – to mała izdebka z prymitywnym łóżkiem zbitym z desek, gdzie wąskie okienko mało światła wpuszczało, a drugie, większe, gdzie na środku podłogi usypany był stos ziarna z wetkniętą weń drewnianą szuflą.

Sam ksiądz Józef był wysokiego wzrostu, szczupły, o pociągłej twarzy, w której błyszczały pogodne niebieskie oczy, usta zaś jego skore były do uśmiechu. O ile można ocenić, był niewiele starszy ode mnie, chociaż sutanna, dosyć wytarta i znoszona, dodawała mu lat oraz powagi. Gestem zaprosił gości, żeby zasiedli przy stole.

*

Czym jest rozmowa? W jej trakcie można wymówić wiele słów, a niczego sensownego nie powiedzieć, zaś okrągłe zdania służą do wypełnienia czasu, z którym nie wiadomo co zrobić. A niekiedy nawet jedno słowo jest niby kamień ciśnięty w wodę, wzbudzający fale, co rozchodzą się dalej i dalej, a po odbiciu się od czegoś wracają w stronę, gdzie się zrodziły, z podróży tej przenosząc echo czegoś nowego.

I na tym właśnie polega sedno rozmowy: na wysyłaniu myśli ubranych w słowa, które po zderzeniu się z innymi myślami powodują nowy impuls – jak nowy kamień wrzucony do wody.

Rzeczową rozmowę polegającą nie tylko na czepianiu się przypadkowych tematów, niełatwo prowadzić. Czasem zaczyna się ona od jakiejś przypadkowej uwagi, jak teraz na przykład, gdy brat Leon, spoglądając na obrazy wiszące na ścianie, wskazał jeden z nich.

– Taki sam obraz Ukrzyżowania mamy u siebie w klasztorze.

– Podobny być może, ale na pewno nie taki sam – zaprzeczył ksiądz Józef.

– Chrystus na krzyżu, a pod nim Maria i Magdalena, wiele takich wizerunków znajdzie się po domach i kościołach – upierał się brat Leon.

– Ale ten właśnie malowany był tutaj, na plebanii, przez wędrownego malarza wedle moich wskazówek. A Maria i Magdalena mają szaty tutejszych wieśniaczek.

– Mam wątpliwości, czy świętych każdy może przedstawiać sobie ubranych tak, jak mu się widzi – mnich pokręcił głową. – Gdyby tak było, to z wizerunku nieraz nie można by poznać, kogo przedstawia.

– Obrazy same w sobie nie są święte, chociaż tak o nich mówimy, jeno

przedstawiają świętych takimi, jakimi ich sobie wyobrażamy – włączył się do rozmowy Łukasz. – Po prostu ktoś pierwszy namalował jakiegoś świętego, czasem według swojej wyobraźni o nim, ktoś inny przyjął ten wizerunek za prawdziwy i tak się rozpowszechniło malowanie według podobnej manieri. Jeśli dobrze się zastanowimy, to dojdziemy do wniosku, że podobnie być musiało nawet z obrazem postaci samego Jezusa.

Prawa Starego Testamentu zabraniały Żydom przedstawiania podobizny ludzi, więc jeśli mamy obrazy przedstawiające Jego wizerunek, to zapewne na podstawie późniejszego słownego opisu tych, co Go znali, oraz dostępnych nam informacji o postaciach, ubiorze i wyglądzie ludzi w tamtym czasie, jakie możemy też znaleźć i w Biblii. Więc przedstawienie Ukrzyżowania tak, jak to sobie ksiądz Józef umyślił, nie jest naganne, a szaty Marii i Magdaleny przybliżają ludowi ich postacie i sprawiają, że są nam bliższe niż te ubrane w suknie sprzed półtora tysiąca lat.

– Ale przez to ukazują fałszywy obraz tych niewiast – upierał się brat Leon – bo jakże to może być, żeby Najświętszą Pannę ubierać w suknię pierwszej lepszej chłopki? Postacie świętych zawsze powinny być przedstawiane tak samo odziane, bo inaczej nie wiadomo będzie, kogo na nich widzimy. Tak było od samego początku i tak powinno zostać.

Wszyscy z zainteresowaniem przysłuchiwaliśmy się tej rozmowie. Ksiądz Józef z uśmiechem, ja z ciekawością, jak się ona skończy, a Barnaba mówić nie mogąc, tylko gorliwie potakiwał głową słowom brata Leona. Łukasz zamyślił się, co trwało dłuższą chwilę.

– Mylisz się, bracie Leonie, uważając, że stosunek ludzi do tych malowanych świętości od początku był zawsze taki sam – powiedział wreszcie. – Oto z Księgi Wyjścia Starego Testamentu dowiemy się, że przedstawianie wizerunków ludzi było uważane za bałwochwalstwo, a wczesne chrześcijaństwo, na tym się opierając, też było wrogię obrazom. Był też okres, kiedy ojcowie Kościoła dopuszczali możliwość istnienia chrześcijaństwa bez obrazów.

Za panowania cesarza bizantyjskiego Leona III, a było to około roku 740, obrazy świętych były niszczone i uważano je za przejaw pogaństwa oraz bałwochwalstwa, bo przestały być źródłem wiedzy o rzeczach świętych i w oczach ludzi same stały się świętością. Z czasem jednak przywrócono je do łaski, bo teologowie doszli do wniosku, że wizerunek świętego jest pożytecznym narzędziem, ale tylko narzędziem w dziele Bożym, nie zaś świętością samą w sobie.

Świat się zmienia, bracie Leonie i wraz z nim zmieniają się ludzie go zasiedlający, a razem z nimi poglądy na to, co do tej pory uważane było za stałe i niewzruszone. Co się tyczy ludzi i świata, nic nie może być ustalone raz na zawsze, bo stanie się martwe i skostniałe. Żaden stary świat nie odchodzi dobrowolnie, a zanim odejdzie – przeżywa okres zmian, w czasie których nowe z trudem przebija się przez skorupę starego, jak kiełek z nowego nasienia, aby też się kiedyś zestarzeć i kolejnemu nowemu miejscu ustąpić. Wielkie cesarstwa, jak Rzym i Bizancjum, nie umiały iść z duchem czasu, a przez to – niezdolne do niezbędnych reform – skostniały w niezmiennym kształcie i musiały upaść; stały się wspomnieniem, a na ich ruinach nowe życie wyrosło.

Stary mnich wydawał się zaskoczony tymi słowami. Czoło zmarszczył, brodę

poskubywał i głową kręcił.

– Nie mam powodu, żeby słowa księdza Łukasza w wątpliwość podawać – powiedział wreszcie. – Bom jest jeno prostym bratem zakonnym i historii Kościoła mnie nie uczono. Wiem jednak swoje: mam wierzyć w to, w co trzeba wierzyć teraz, wszystko, co było kiedyś, ostawiając na boku, bom jest za mały, żeby swoim rozumem roztrząsać rzeczy w ciągu wieków przez ojców Kościoła ustanawiane. Musimy wierzyć, że w sprawach wiary oni się nie mylą, gdyż są oświeceni Duchem Świętym i kościół Chrystusowy budują zgodnie z Jego nauką.

Tu rozmowa się urwała, bo weszła pani Marta, niosąc talerze i garnuszki, a za nią parobek z bochenkiem chleba, gomółką sera i dzbankiem. Pani Marta była osobą dość korpulentną, już powyżej sześćdziesiątki, ale twarz jej, którą jeszcze niewiele zmarszczek naznaczyło, ozdabiał uśmiech, gdy rozstawiała przyniesione naczynia. Ksiądz Józef, widząc nasze zdziwienie na widok nadprogramowych nakryć, pospieszył z wyjaśnieniem.

– W domu tym jest zwyczaj, że domownicy razem z gospodarzem zasiadają do stołu, aby dary Boże spożywać. Proszę o wybaczenie za tak skromny posiłek. Parafia moja jest niewielka i biedna, ale czym chata bogata, tym rada. W dzbankach wino i piwo mamy z domowego nastawienia, żeby chleb i ser głódziej przez gardło przeszły. A nie obawiajcie się, nie ma ono dużej mocy i nikomu w głowie nie zawróci.

Poczekawszy, aż wszyscy zajmą miejsca, wstał, przeżegnał stół, odmówił krótką modlitwę i zaczął łamać kromki chleba, a piwo do kubków rozlewać, po czym usiadł, gestem zapraszając gości, żeby się pożywiali.

Wino rzeczywiście było słabe, a piwo nieco kwaśne, ale przesmakowity chleb razowy, na liściach chrzanzu pieczony, z białym serem na nim położonym, sam do ust się napraszał.

– Chciałbym przedstawić swoich domowników – powiedział ksiądz Józef, gdyśmy pierwszy głód zaspokoiли. – Oto pani Marta, która prawie czterdzieści lat tym probostwem rządzi. Jeszcze poprzedniemu proboszczowi służyła, teraz dla mnie jest jak matka, a krótko trzyma i mnie, i całą plebanię. A to jest Jędrzej, moja prawa ręka, na której opiera się to, co w obejściu i na polu się dzieje.

– E, a to ksiądz Józef tak ino gada – uśmiechnął się parobek – a jak trzeba, to sam za radłem albo z sierpem pójdzie na pole, albo cepy chwyci i nie gorzej od chłopca sobie poradzi. I konia zaprząć umie...

– I mszę świętą odprawić – żartobliwie wpadł mu w słowo ksiądz Józef.

Parobek był silnie zbudowanym chłopem w średnim wieku. Widać było, że takie swobodne zachowywanie się tutaj jest czymś zwyczajnym.

– Moja parafia jest biedna, jak to już powiedziałem, a potrzeby są większe niż możliwości. Jeszcze na wiosnę burza drzewo na mój kościółek powaliła i dach uszkodziła, a do tej pory nie mogę zabrać się do naprawy, bo środków brak. Co na tacę uzbieram, to idzie na świece i różne inne potrzeby, a my żyjemy z tego, co przykościelne gospodarstwo przynosi, a tego też jest niewiele. W związku z tym jest pewien problem. Oto dziedzic jednej z pobliskich wiosek, chociaż do luteranów należy, chce ofiarować drewno ze swego lasu na naprawę kościoła, a ja się zastanawiam, czy wypada od takiego odstępcy przyjąć pomoc.

– Oczywiście, że wypada! – zawołał Łukasz. – Już nawet pomijając to, że drewno na dom Boży jest przeznaczone, nie należy odtrącać owcy dlatego, że do innego stada się dołączyła. Niech wie, że jeśli na powrót się zdecyduje, bramę zostanie otwartą.

Gdyśmy skończyli posiłek, co z powodu spóźnionej pory służył i za wieczerzę, proboszcz odmówił modlitwę dziękczynną za spożyte jadło i wstaliśmy od stołu.

– Teraz zostawię was – powiedział. – Mam w kościele spotkanie z rodzicami dziecka, co je w niedzielę będę chrzczył, i z jego chrzestnymi. Późno się robi, ale wcześniej wszyscy byli zajęci na polu. Więc pani Marta pokaże, gdzie komu posłanie przygotowała.

– Może iść z tobą? – zaofiarował się Łukasz.

– Nie, macie za sobą długą podróż i zdrożeni jesteście, a mój kościół stoi na skraju wioski. Trochę z tym niewygody, ale cóż robić? A... przypomniałem sobie to, o czym na początku wspomniałem... Masz jakiś pomysł na naukę z okazji chrztu?

– No, nie wiem... Ale może nada się coś z Pierwszego Listu do Koryntian: *„Gdy był dziecieniem, mówiłem jako dziecię, rozumiałem jako dziecię, myślałem jako dziecię. Lecz gdym został się mężem, wyniszczyłem, co było dziecinne”*[3]. I rozwiń to w ten sposób, że dziecko w swoim rozwoju różne etapy przechodzi i wychowanie powinno być takie, aby gdy dojrzałość osiągnie, weszło w nią w sposób świadomy, że jest chrześcijaninem. A rodzice chrzestni też nie mają się ograniczyć jeno do trzymania chrześniaka, jak mu będziesz sakramentu udzielał, ale i w późniejszym życiu baczyć, jaką drogą idzie i czy nie zbłądził. Tak bym ja to powiedział, dodawszy jeszcze jako przykład parę obrazków z życia Pana Jezusa, który od małości opiekunowi pomagał w warsztacie.

Ksiądz Józef, wysłuchawszy tego, energicznie skinął głową.

– Nie chciałem, aby moje słowa powtarzały się w podobnych okazjach i dlatego prosiłem o podpowiedzenie mi świeżej myśli, żeby coś nowego wygłosić. Widać, że niezbyt uważnie Nowy Testament czytałem, skoro tych słów świętego Pawła nie zapamiętałem. No, pójdę już, a wy kładźcie się spać, rano się obaczmy.

Łukasz nocował na plebanii, a ja z mnichami w stodole na sianie, grubo rozesłanym na klepisku i przykrytym czystymi prześcieradłami. Gdy się kładliśmy spać, już się zaczęło ściemniać, ale rychło księżyc się pojawił. W oborze obok słyhać było krowę, jak przeżuwa swój pokarm i stęka od czasu do czasu, niekiedy tupnięcie konia albo trzepot skrzydeł kur na grzędzie.

Przyjemnie spać w stodole. Siano pachnie, wokół dużo powietrza, człek nie czuje się odgradzony od świata, bo póki nie zaśnie, chłonie go wszystkimi zmysłami. Wysoko pod dachem pośród belek coś przeleciało; sowa albo nietoperz. Na klepisku w słomie zaszeleściła mysz i pochrupała wyłuskane z kłosa ziarno. Brat Leon leżał na wznak z zamkniętymi oczami i coś szeptał, pewnie modlitwy swoje odmawiał, a Barnaba skulił się pod cienką derką. Noc pogodną i jasną rozświetlał blask miesiąca wdzierający się do stodoły przez szpary pomiędzy deskami. Było cicho.

Dziwne... odkąd przebywam w obecności Łukasza i obydwu mnichów, myśli moje częściej niż zwykle kierują się w stronę wiary. Do tej pory z tymi sprawami miałem do czynienia przeważnie w czasie modlitwy, nabożeństwa w kościele albo po prostu, gdy przechodząc obok krzyża, odkrywałem głowę. I przypominam sobie, że niektóre

fragmenty opowieści biblijnych wydawały mi się sprzeczne. Oto piąte przykazanie mówi: „*Nie zabijaj!*”. A niewiele dalej czytamy: „*Idź do Kanaan i zabij wszystkich, którzy tam są*”. A w innym miejscu znajdujemy: „*Miłuj bliźniego swego*” i także: „*Okiem za oko płacić się powinno*”. Zacząłem szukać w myślach czegoś, co by te sprzeczności pozwoliło pogodzić.

Chrześcijaństwo treści zawarte w Dekalogu przyjęło za swoje. Ale czy papież, wysyłając wyprawy krzyżowe do Ziemi Świętej, tym samym nie dawał krzyżowcom do zrozumienia: „*Idźcie i zabijcie wszystkich, którzy tam są*”? Więc co? Czyżby to znaczyło, że owo „*nie zabijaj*” obowiązuje tylko wewnątrz jakiejś społeczności, a wszelka agresja na zewnątrz jest usprawiedliwiona? Dekalog zawiera wartości ogólnoludzkie, nieprzemijające i na tyle uniwersalne, że przez każdą nację mogą być one przyjęte za własne. Bo czyż takie przykazania jak: „*Czczij ojca swego i matkę swoją*”, „*Nie kradnij*”, „*Nie cudzołóż*”, „*Nie zabijaj*” – mogą być własnością jednego tylko społeczeństwa uważającego się za wybrane?

Kościół słusznie sprzeciwia się samowolnej interpretacji Pisma przez samozwańców krytyków, co widzą słowa i litery, a nie dostrzegają ducha w nich zawartego.

Wspomniałem dyskusję z bratem Leonem w czasie podróży. Z tym, co mówił Łukasz o kacerzach, że to błędy ludzi Kościoła do odstępstwa ich sprowokowały, mogę się zgodzić. Brat Leon, gdyby go we władzę wyposażyć, w swojej chrześcijańskiej gorliwości stałby się może czymś w rodzaju lokalnego Torquemady, chociaż na pewno nie na jego miarę. Torquemada na szczęście już nie żyje, a chociaż działał w dalekiej Hiszpanii, to przez te lata, co minęły, wieści o jego czynach miały czas dotrzeć i do Polski.

To papież Sykstus IV, na prośbę Izabeli, królowej Hiszpanii, przysłał jej dominikanina, właśnie Tomasza Torquemadę, żeby pomógł Żydów i Maurów przerobić na chrześcijan. On zaś misję swoją w ten sposób pojmował, że tym ludziom nie można ufać nawet, jeśli się ochrzczą, a najlepiej na stosach ich spalić albo z Hiszpanii wygnać, to wtedy sami chrześcijanie w niej zostaną. I tak niemiłosiernie sobie poczynił, że sam papież wystosował do niego list wzywający do pomiarkowania. Ale on w zaślepieniu dalej swoje robił i w Hiszpanii, jak długa i szeroka, stosy płonęły.

Torquemada w swojej działalności powoływał się na słowa św. Jana, który polecał usunięcie i spalenie suchej gałęzi latorośli z Jezusowego winnego krzewu. Ale zważyć trzeba, że wielki inkwizytor w Piśmie jeno jeden taki fragment znalazł, co pasował do jego poglądów i charakteru. Gdyby zaślepienie umysłu mu nie zmąciło, to na św. Marka mógłby się powoływać, który wspomniał, że Jezus z wieloma grzesznikami przy jednym stole siedział, aby wezwać ich do pokuty, a nie żeby ich potępiać. I wspomniałby, że Jezus był dobrym pasterzem, co zbłąkanej owieczki szukał, aby ją do stada odprowadzić, nie zaś żeby ją ukarać za to, że się zagubiła.

Za poczynania inkwizytora obwinia się Kościół, bo w zakonny habit on był odziany i krzyżem się posługiwał, dla dobra chrześcijaństwa rzekomo działając. Ale w czasie gdy w Hiszpanii stosy płonęły, to w Rzymie, nawet w bliskim sąsiedztwie papieża, Żydzi swobodnie mogli się osiedlać, jak i gdzie chcieli, nikt im wstrętów nie czynił i do przyjmowania chrztu nie przymuszał. I teraz z omyłności sług swoich Kościół tłumaczyć

się musi.

O nieomyślności papieża mam własne zdanie, bo historia różnie o tym świadczy i zgadzam się z Łukaszem, że w Kościele nie zawsze bywało tak, jak być powinno. Oto kardynał Rodrigo Borgia utrzymywał metresy, z którymi miał wiele dzieci, a jego syn, Cesare Borgia, w wieku siedmiu lat był patronatem apostolskim, kanonikiem walenckim, archidiakonem Dativi i rektorem Gandu. A wszystkie te godności nadano mu po to, żeby rodzina mogła z nich czerpać profity. Sam zaś Rodrigo Borgia po śmierci Innocentego został papieżem, przybierając imię Aleksandra VI.

Z kolei papież Sykstus IV myślał głównie o swojej rodzinie. Dwóch braci i cztery siostry wyposażył w prebendy i godności, a ich pięciu synów mianował kardynałami. Gdy zmarł, jego następca Giovanni Battista Ciba, biskup Molfetty, który przybrał imię Innocentego VIII, też nie był lepszy. Gdy był kardynałem, ironicznie zwano go ojcem Rzymu, bo dochował się podobno ośmiu synów i tyluż córek. O samym celibacie też różnie mówią. Ponoć to papież Grzegorz VII wymusił bezżeństwo księży, o czym nie ma mowy ani w Starym ani w Nowym Testamencie, ażeby to, co po nich zostanie, przypadło Kościołowi, a nie żonie i dzieciom[4].

Pora spać, ale sen jakoś nie chce mi skleić powiek. Przez szpary pomiędzy deskami prześwieca światło księżycy. Może on też jest światem, na którym żyją jakieś istoty? A jeśli są i patrzą na ziemię – to co widzą? Z daleka i wysoka nie dostrzegą granic, jakimi pooddzielały się narody od narodów, o których też nie wiedzą, ani murów, płotów i miedz rozdzielających pojedynczych ludzi; albo jak jedni chcą narzucić swoją religię komuś innemu, kto jej nie potrzebuje, bo ma własną.

Co takie księżycowe istoty, gdyby o tym wszystkim wiedziały, pomyślałyby sobie o Ziemi i jej mieszkańcach? I tutaj nasuwa mi się myśl: czy tylko człowiek z zamiłowaniem szkodzi istotom do siebie podobnym?

[1] Maria Bogucka, *Dzieje Polski do 1795 r.*, wyd. Wiedza Powszechna, Warszawa 1964.

[2] *Łaszt* – dawna miara objętości ciał sypkich. Posiadał różne wielkości. Do XVIII wieku przeważał łaszt gdański: 2195–3001 litrów, tj. 2017–2124 kg.

[3] Cytat za: *Biblia w przekładzie księdza Jakuba Wujka z 1599 r.*, Warszawa 2000.

[4] Siegfried Obermejer, *Torquemada, Wielki Inkwizytor*, wyd. Bellona 2005 r. Dopisek autora: Celibat faktycznie znany był wcześniej, ale jako dobrowolny znak oddania się Bogu.

Przez te dwa dni, jak przebywaliśmy na plebanii księdza Józefa, odpoczywały tylko konie, bo my, nie chcąc być jeno zjadaczami chleba, znaleźliśmy sobie zajęcie. W ogrodzie rosły dwie stare jabłonie i grusza, i zaofiarowaliśmy się, że pomożemy zdjąć z nich owoce, bo do tej pory nikt nie miał czasu tego zrobić. Niemalęgo to wysiłku od nas wymagało, bo drzewa były duże i rozrosłe, więc trzeba było się wspinać po drabinie i gałęziach.

Gdyśmy więc wczesnym rankiem trzeciego dnia wsiadali na wóz, to chociaż bolały nas wszystkie kości, kontenci byliśmy z siebie, żeśmy zrobili dobrą robotę.

*

Jak minęliśmy Iłżę, zapuściliśmy się w bory Puszczy Iłżeckiej, przez które prowadziła nasza droga. Czasem prosto jak strzelił, a czasem skręcała w prawo albo w lewo, jakby omijała coś, czego z powodu gęstych drzew i zarośli nie było widać. Z rzadka tylko jakaś wioseczka się trafiała, tam gdzie las się rozstępował, ustępując miejsca domom i małym poletkom. W bok od naszej drogi odbiegały czasem w głąb puszczy ledwo widoczne dróżki, jakby do jakiegoś osiedla w głębi niej ukrytego. Miejscowych ludzi na drodze prawie nie spotykaliśmy, czasem tylko z przeciwka pokazała się bryka podobna do naszej i mijaliśmy się obojętnie, nieskorzy do wymiany słów. Dwa razy prześcignęły nas karety w czwórkę koni zaprzężone, a tak szybko mknące, że po chwili jeno kłęby kurzu po nich zostawały.

Te strony były mi obce, bo z Krakowa do Warszawy jechałem inną drogą, ale podobnie jak tam coraz częściej trafialiśmy na miejsca, gdzie konie z wysiłkiem ciągnęły wóz pod górę. Wtedy zsiadaliśmy i szliśmy pieszo, żeby ulżyć zwierzętom. Rozmawialiśmy przeważnie tylko ja z Łukaszem, a brat Leon czasem rzucił jakąś uwagę, wypowiadając swoje zdanie. Słuchając Łukasza, coraz to czegoś nowego się dowadywałem.

Koło kościoła księdza Józefa widzieliśmy starożytny posąg z kamienia wyciosany, a tak stary, że już nie wiadomo było, kogo przedstawia, babę czy chłopca, a może i jakiegoś pogańskiego boga, bo wiatry i deszcze w ciągu wieków kończyły, co starożytny rzeźbiarz zaczął. Teraz, nawiązując do tego, Łukasz wspominał o starożytnych Grekach i Rzymianach, że lubowali się w czynieniu posągów, i to nie tylko z kamienia, ale też używali do tego złota, srebra oraz kości słoniowej. I mówił, jako Grecowie swoich bogów na własne podobieństwo czynili, a Rzymianie – na odwrót – ludzi sławnych i cesarzy w postaci bogów przedstawiali, cześć im boską oddając.

I to od Greków Rzymianie nauczyli się sztuki portretowania, chociaż rysy rzeźb nie od razu podobne były do swoich oryginałów. I tak, chociaż znaleziono czterdzieści różnych posągów Demostenesa, to były tak różne, że tylko z napisów na nich można było poznać, kogo przedstawiają.

Tak Grecowie, jak Rzymianie do różnych sytuacji swymi rzeźbami nawiązywali, z tym że Rzymianie przedstawiali swoje wojenne przewagi głównie w postaci kolumn

i łuków pokrytych rzeźbami posągów i cesarzy. U Greków natomiast więcej było rzeźb zwyczajnych ludzi oraz obrazów malowanych na glinianych dzbanach i amforach, pokazujących życie codzienne. A więc, granie na różnych instrumentach, żołnierzy z tarczą i włócznią albo okręty żeglujące pod żaglami, wizerunki bogów w różnych sytuacjach, pospołu z ludźmi przedstawione, a też pasterzy i kobiety przy swoich codziennych czynnościach.

– A to najwięcej nas może zadziwić – powiedział Łukasz – że Grecja, będąc takim małym kraikiem, a przy tym rozproszona na różne zwalczające się państewka, tylu znamienitych uczonych wydała, a wpływom potężniejszych państw nie tylko nie uległa, ale nawet, owszem, jeszcze sama podarowała im swoją kulturę. Nawet świat rzymskich bogów był jakby odbiciem świata bogów greckich. I tak, Zeusa Rzymianie nazwali Jowiszem, Herę – Junoną, Atenę – Minerwą i tak dalej; i podobne im miejsce u siebie wyznaczyli, jak tamci na swoim Olimpie.

– Trzeba też dodać – zauważył brat Leon – że to pogańskie ludy były, więc i nauka ich pogańska, a przeto błędna. Słusznie więc Kościół nasz potępił starożytnych pisarzy, głoszących poglądy sprzeczne z tym, co dzisiaj znajdujemy w Piśmie Świętym, bo skoro w błędach żyli, prawdziwej mądrości przekazać nam nie mogli.

– Ale zważ, bracie – rzekł Łukasz – że ci starożytni nie byli pozbawieni wiary. Chrystus wtedy jeszcze się nie narodził, więc inna ona była niż nasza, ale jednak mieli wiarę, bo czuli potrzebę jej posiadania. A gdybyś i ty sam przed dwoma tysiącami lat wśród tamtych ludzi żył, wierzyłbyś w to samo, co oni, i tym samym bogom się kłaniając, ofiary byś składał.

Bratu Leonowi pewnie argumentów zabrakło na odpowiedź, bo tylko głowę schował w kapturze i obrócił się do nas bokiem. Zaległo milczenie. Po zachowaniu Barnaby nie można było poznać, co myślał, słysząc to wszystko. Siedział cały czas tak samo, odwrócony od nas plecami, i tylko czasem potrzęsnał lejcami lub konie batem trącił.

Łukasz widział, że brat Leon zaciął się w milczeniu i chcąc go ożywić, zapytał, jakie myśli mogą się nasunąć, gdy się widzi katedrę, zamek i chatę. Mnich ramionami tylko wzruszył i nic nie powiedział, ale trochę się do nas odwrócił.

– Widzicie, powiedział Łukasz, można by rzec, że na współczesną nam cywilizację składają się trzy rodzaje budowli: katedra, zamek i chata. Która z nich jest najważniejsza jako symbol porządku istniejącego w Polsce?

– Dziwne pytanie, księżu Łukaszu – mnich na to. – Odpowiedź może być tylko jedna: katedra jest domem Bożym, więc...

Ale Łukasz mu przerwał, mówiąc, że miał na myśli nie same budynki, tylko sens, co się w nich zawiera.

– Jeśli, upraszczając sprawę tak, jak to tylko można zrobić, nasza cywilizacja składa się jakby z katedry, zamku i chaty, katedrę możemy sobie wyobrazić jako wiarę i jej przedstawicieli, potem zamek jako symbol władzy świeckiej, a najniżej – chatę. A wtedy – co jest podstawą tego wszystkiego? Czy więc nie to, co jest najniżej, najbliższej ziemi, jest fundamentem wiary i władzy? Bez fundamentu żaden trwały budynek powstać nie może, a bez chaty i pracy tych, co w niej mieszkają, stojący wyżej nie mieliby jak

i z czego żyć. Zamek tylko sam dla siebie stał nie będzie, a Kościół to nie mury, choćby wieżami do nieba samego sięgał, jeno ludzie. Sam budynek Bogu przypisany, jakikolwiek by był, jest niczym, jeżeli wiara go nie wypełnia.

Ja od razu gotów byłem przytaknąć, ale po mnichu widać było, że coś sobie w myśli przetrawia, zmarszczywszy brwi. A Barnaba jak zwykle siedział tak, jak siedział. Znowu milczeliśmy, wsłuchując się w skrzywienie kół i przesypywanie się piasku po szprychach. Przypomniały mi się moje przemyślenia co do piątego przykazania i przedstawiłem je, ciekawy, czego się dowiem.

Mnich popatrzył na Łukasza, a ten na razie nic nie odrzekł. Zamyślił się i milczał. Dopiero gdy ze szczytu wzniesienia, przez które wiodła droga, konie poszły kłusem, odetchnął i popatrzył na mnie.

– Masz niewątpliwie rację, gdy mówisz, że przykazania zawarte w Dekalogu każda nacja może przyjąć za własne, bo są ponadczasowe i uniwersalne. Ale czy zastanawiałeś się, czy tutaj na pewno chodzi tylko o religię? Przykazania czwarte i piąte zostały zapisane w jestestwie każdego człowieka z chwilą jego narodzin. Więcej, w jestestwie każdego żywego stworzenia, bo są one po prostu warunkiem jego przetrwania jako gatunku. Wilk, żeby przetrwać, musi zabijać, ale nie robi tego w obrębie własnego stada; ani lew, ani tygrys. Zwierzęce dziecko nigdy źle się nie odnosi do rodziców, bo czuje, że bez nich by nie przeżyło na świecie, a co za tym idzie – nie byłoby kontynuacji rodziny, rasy, gatunku. Dlaczego więc w kanonach religii Egipcjan, Greków czy Persów przykazania Dekalogu nie zostały zapisane, a w Izraelu nie tylko je zapisano, ale nawet wykuto na kamiennych tablicach Mojżesza? Może dlatego, że Żydzi byli rozproszeni, a przez to narażeni na wyginięcie, więc należało podkreślić, co jest szczególnym warunkiem ich przetrwania jako narodu?

– Jakże to, ojczy wielbny – ironicznie zapytał mnich – skoro zwierzęta za przykład dajecie, czyżbyście twierdzili, że Bóg lwom i wilkom także dał przykazania, żeby ich przestrzegały?

Łukasz zmarszczył brwi i spojrzał na niego gniewnie.

– Bóg ludziom dał przykazania, a zwierzętom instynkt, który pisane przykazania im zastępuje i podpowiada, co czynić, żeby przetrwać.

– Ale zwierzęta Boga nie znają, więc jak mogą mieć rozeznanie co złe, a co dobre – upierał się mnich.

– Nie mają rozeznania jeno w naszym znaczeniu tego słowa. Ale skąd możemy wiedzieć, czy nie jest tak, że pies, jak drugiemu psu kość ukradnie, może przy tym łamiać jakieś psie przykazanie, czuje się nie w porządku? Albo nie rozumiecie tych spraw, bracie Leonie, albo kpinki sobie z nich stroicie.

Nieprzyjemnie się jakoś zrobiło, wtem w oddali przed nami pokazał się kłęb kurzu. Było to wojsko ciągnące na północ, sami konni i wozy, między którymi czasem trafiała się armata. Jedni już z oczu się stracili, a ciągle obok nas przejeżdżali nowi. Łukasz, pogadawszy z jednym z panów oficerów, dowiedział się, że ku północnej granicy jadą, bo ponoć Rosja od Inflantów nam zagraża.

– A przez te wojny – powiedział Łukasz, gdy wojsko już przejechało – Polska musi zaniedbywać sprawy morskie i nie może pewną stopą stanąć przy Bałtyku. Dawniej

zaszczytem było należeć do drużyny księcia albo króla i piersią własną ojczyznę osłonić, a później wnukom chlubne ślady po ranach okazywać, a teraz...? Szlachta zasiedziała się w domu, nieskora do wojaczki się stała, domowe pielesze bardziej niż służbę dla ojczyzny ceniąc. A jeśli się wreszcie ruszy, próbuje za to wytargować jakieś korzyści dla siebie w postaci przywilejów różnych. A z tych przywilejów najważniejsze było opanowanie stanowisk w Kościele, a później tych, co ugruntowały jej przewagę nad mieszczaństwem, władzę nad poddanymi chłopami i przywileje celne.

– A co to za przywileje cła dotyczące? – zdziwiłem się.

– Szlachcic nie płaci cła, jeśli sprzedaje za granicę towary pochodzące z własnego folwarku, jak zboże, miód, skóry i takie tam. Ale pokątnie kupuje różne towary i jako własne za granicę bez cła wyprawia, czym skarb państwa naraża na straty, dochodów go pozbawiając.

Tak rozmowę prowadząc, dojechaliśmy do skrzyżowania z drugą dużą drogą, co w prawo prowadziła. Mnich się ożywił.

– Znam te strony, bom tutaj po kweście chodził. Droga ta prowadzi najpierw do Starachowic, gdzie górnictwo i przemysł żelazny się znajduje, a dalej jeszcze z drugą drogą się łączy, co od Kielc do Radomia i Warszawy idzie. Niedługo już do Kunowa dojedziemy, skąd skręcimy na Słupię, niedaleko której jest wieś Baszowice, co do naszego klasztoru należy. – Tu mnich, znając temat, rozgadał się. – A w Kunowie – mówił – fabryka sukna się znajduje i zbiornik wodny do poruszania koła, co folusz w ruch wprawia. A w okolicy są kamieniołomy piaskowca i kościół na wzgórzu wśród drzew malowniczo położony. A jak już będziemy w Słupi – ciągnął wywody – to już jak byśmy byli w domu. A ładne to miasteczko ta Słupia. Rzeczka Słupianka tam płynie, co do drugiej, Pokrzywianką zwanej, wpada, a ta znowu jest dopływem Kamiennej.

– Kamiennej? – zainteresował się Łukasz. – Interesuje mnie ta rzeka. Daleko do niej z tego Kunowa?

– A toć przecie sam Kunów w jej dolinie jest położony!

– Więc skoro znacie te okolice, bracie Leonie, to może wiecie też o wioskach leżących nad Kamienną?

– To, to nie. Tam są lasy wielkie, ludzi mało, a do tego i ubogich; tam nie ma co po kweście chodzić.

– A o jakim Krysplinie zdarzyło się wam słyszeć?

– Krysplin? Nie słyszałem. Dziwne imię, gdyby kiedyś obito mi się o uszy, to bym je zapamiętał. Więc to jego szukacie, ojczyźnie wielbny? A na co on wam?

– Jest u niego coś, co chciałbym zobaczyć. Słyszałem też, że o jakiejś legendzie wie, której rad bym posłuchać. Ten Krysplin siedzi gdzieś nad Kamienną, tam chcemy się pokręcić i popytać o niego. A skoro mówicie, że w Kunowie natkniemy się na tę rzekę, to się tam rozstaniemy.

– To już blisko. Jak ten las miniemy, zaraz miejscowość owa się ukaże. We dwa pacierze tam staniemy...

Jeszcze nie przebrzmiały te słowa, gdy z zarośli przy drodze szarak nagle wyskoczył. Przestraszone konie stanęły dęba, na ile im dyszel pozwolił, skręciły w bok, coś trzasnęło w kole, wóz się wywrócił, a my wszyscy pospołu jak gruszki z kobiałki

wysypaliśmy się na drogę. Zaraz się pozbialiśmy, tylko Barnaba pozostał jak nieżywy, nieruchomy i bezwładny jak szmaciana kukła. Rzuciliśmy się na pomoc, jeden drugiemu przy tym przeszkadzając, i okazało się, że Barnaba bokiem głowy o kamień przydrożny uderzył i to stłuczenie przytomności go pozbawiło.

Brat Leon zaraz poszukał butli z wodą i wylał mu na głowę, co taki skutek przyniosło, że leżący najpierw prychnął, wodę z nosa wydmuchując, później oczy otworzył, a popatrzawszy na nas nieprzytomnym wzrokiem, spróbował się podnieść, w czym mu pomogliśmy. A jak wstał, popatrzył na drżące ze zdenerwowania konie, na koło, w którym parę szprych się połamało, i przeżegnał się.

– W imię Ojca i Syna, a to dopiero historia! I co teraz zrobimy?

Ośłupieliśmy, słysząc te słowa.

– Mówi! – zawołał brat Leon. – Mówi! Cud, cud! Mowę utraconą odzyskał! Chwalmy Pana na niebiesiech za niezmierzone miłosierdzie Jego! – Tu na środku drogi na kolana się osunął, w ekstazie ręce ku niebu unosząc.

Barnaba usta otworzył, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Co zaś – zapytał – że wóz się wywrócił? Nijakiego cudu w tym nie ma, a bez koła dalej nie pojedziemy. A jak się nowe koło na takim bezludziu znajdzie, to dopiero będzie cud!

– Nie bluźnij! – ze zgrozą zawołał stary mnich, powstając z kolan. – A dziękuj Bogu za mowy odzyskanie, bo On ci powrócił to, czego ziemscy lekarze nie mogli wrócić. Do Warszawy jeździłeś po zdrowie, ale to Ten, tam wysoko – tu na niebo pokazał – uzdrowił cię!

Staliśmy z Łukaszem, patrząc na to jak na jakieś widowisko, bo już ochłonęliśmy z zaskoczenia.

– Co zaś powiadacie? O jakim uzdrowieniu, o jakiej Warszawie? – Tu rękę do czoła podniósł. – Jakoś z głowy mi wyleciało, jak żeśmy się na tej drodze znaleźli? Chyba coś zamroczyło mnie trochę, jak żem głową na ten kamień trafił...

– Pamięć stracił! – z przestachem zawołał mnich. – Mowę odzyskał, ale pamięć stracił!

Barnaba tymczasem, nie zwracając na nas uwagi, wyprzągł konie, którym poplątana uprząż przeszkadzała, wóz oglądał i koło opatrywał, czy by się naprawić nie dało, ale wreszcie zrezygnowany ręką machnął.

– Nic tu nie poradzi, nie pojedziemy dalej. A gdzie teraz żeśmy są? Daleko od ludzi?

– Podobno we dwa pacierze można zejść do Kunowa – odezwałem się.

– Do Kunowa? We dwa pacierze? – ucieszył się Barnaba. – To pójdę tam i może gdzieś pożyczę koło.

– A jakże pójdziesz, skoro chory jesteś? – zaniepokoił się brat Leon. – Zabłądzisz po drodze albo znowu przytomność stracisz.

– Jak tutaj ktoś przytomność straci, to na pewno nie ja – obraził się Barnaba. – No, pójdę już, bo szkoda czasu na takie gadanie! – Habit podkasał i już w drogę zamierzał się puścić, kiedy pokazał się jakiś wóz jadący w stronę Kunowa.

Chłop, co parę snopków na nim wioził, na widok duchownych osób i tego, co na

drodze zobaczył, przeżegnał się pobożnie i zatrzymał konia.

– Co to zaś zdarzyło się jegomościom? – zapytał.

– Przecież widzisz! – zawołał brat Leon. – Koła nam potrzeba, wiesz może, gdzie można by je znaleźć?

– A co bym miał nie wiedzieć! Tu niedaleko, na skraju Kunowa, kował Musiałko ma kuźnię, to może i koło się znajdzie, co mu je ktoś do nałożenia obręczy zostawił.

Barnaba wskoczył na wóz chłopa.

– No, to pojedziemy do tego Musiałka!

Jak pojechali, zaczęliśmy się zastanawiać nad tym nieoczekiwanym wydarzeniem. Brat Leon koniecznie chciał w tym widzieć cud, a my z Łukaszem odzyskania mowy dopatrywaliśmy się raczej w tym kamieniu, co wszedł w styczność z głową Barnaby, że pewnie jeden wstrząs mowy go pozbawił, a drugi ją przywrócił.

– A kto to sprawił – zawołał zaperzony brat Leon – że zając koniom prosto pod nogi się wykocił?! Kto sprawił, że wóz się wywrócił, a głowa Barnaby na ten właśnie kamień, co akurat w tym miejscu leży, trafiła, co?! No, kto?! Trzeba będzie mszę dziękczynną odprawić, jak się do klasztoru wrócimy!

Z tym się obaj z Łukaszem zgodziliśmy, a ja dodałem, że wyjazd do Warszawy był jednak potrzebny, bo gdyby nie to, nie znaleźlibyśmy się akurat w tym miejscu teraz, o tej porze, i nie trafilibyśmy na tego zająca i na ten kamień, a Barnaba dalej byłby niemową.

Brat Leon, słysząc to, uspokoił się.

– A co, nie mówiłem, że to cud, że tak składnie się to wszystko ułożyło?

Przy tej okazji zauważyłem, że od czasów Jezusa coraz to mniej o różnych cudach się słyszy. Łukasz na to pokręcił głową.

– Ludziom cuda Boże już tak spowszedniały, że nie potrafią ich zobaczyć, ale popatrz wokoło siebie. Skąd rozmaitość kwiatów, a wszystkie wiedzą, jaką barwą mają zakwitnąć i skąd ją biorą? Skąd każdy ptak i mrówka, i pszczoła wie, co i jak ma robić, czemu gwiazdy wiszą na niebie i nie spadną, a żadne drzewo nie jest podobne do innego? Czy to nie są cuda? Tylko nam nie chce się ich widzieć! Czy przyjdzie na świat nowej istoty, już gotowej do życia, nie jest cudem tak wielkim, jeśli nie większym, jak wskrzeszenie Łazarza? Czy cud – to musi być coś takiego jak rozmnożenie chleba albo przemiana wody w wino? Popatrzcie dokoła, a cuda ujrzyecie, tylko trzeba je chcieć zobaczyć!

Nie chcąc dalej ciągnąć tej dyskusji na temat cudów, chyba dla zmiany tematu zapytał, gdzie można się dowiedzieć o wioski położone nad rzeką Kamienną.

– Może w karczmie, co się znajduje w puszczy niedaleko Kunowa. Na prawo droga będzie, co do Słupi nią dojechać można, a na lewo – w puszczy; i tam blisko stoi karczma, co ją Żyd arenduje. Tam różni bywają, to i o wiadomości łatwiej.

Łukasz chciał jeszcze wiedzieć, czy przez tę puszczy jakieś drogi prowadzą, ale tego mnich nie umiał powiedzieć. Objął tylko z grubsza bieg rzeki Kamiennej. Ale dodał, że nie wie, czy można iść jej brzegiem, szukając tej wioski, bo zawsze można na jakieś mokradła albo inne przeszkody się natknąć, które, jak to w lesie, trudno ominąć.

– Ale jakoż to, ojcie Łukaszu, w sutannie przez puszczy się będziecie przedzierać? To dobre było, pókiśmy wozem jechali, ale teraz to będzie insza sprawa.

– Mam ja w tobołku jeszcze inne ubranie, to je wdzieję, a sutannę schowam na powrotną drogę... Coś mi się zdaje, że Barnaba prędko się uwinął i z kołem wraca.

Barnaba nie tylko o koło się postarał, ale i kowala ze sobą przywiózł. Wymiana koła prędko została dokonana i niebawem znaleźliśmy się w Kunowie, gdzie brat Leon chciał się z kowalem o zapłatę ugodzić, ale ten powiedział, że za grzeczność swoją od klasztoru nie będzie brał zapłaty, jeno o rychłe zwrócenie koła prosi, bo ono nie jego jest.

Brat Leon ciągle przeżywał to cudowne ozdrowienie Barnaby i spieszył się, żeby się tą wiadomością ze wszystkimi w klasztorze podzielić. Właśnie tu drogi nasze się rozchodziły i nastał czas pożegnania. Więc tobołki, gdzieśmy mieli trochę zapasowego odzienia, parę świec woskowych, hubkę i krzesiwo, małą siekierkę i coś tam jeszcze drobiazgu jakiegoś, zabraliśmy z wozu.

– Późno się zrobiło – powiedział mnich, w ramiona nas biorąc i w policzki całując.
– A my, jak Bóg da, kiedy już we Słupi się znajdziemy, to i z zawiązanymi oczami trafię na Święty Krzyż.

Uściskaliśmy się i z Barnabą, który ani o niemocie swojej niedawnej pamiętał ani tego, że w Warszawie był, ale poza tym niczego nie można było zauważyć, co by mu na umyśle szwankowało. Jeśli nie zważać na tę małą dziurę w pamięci, był zdrow, jak dawniej. Dziwna to jest sprawa, ale na świecie nie takie jeszcze bywają...

Brat Leon pokazał nam drogę do niedalekiej karczmy, gdzieśmy się spodziewali znaleźć nocleg, na wóz wlaź, Barnaba na konie cmoknął, z fantazją z bata strzelił, i tak się rozstaliśmy. Łukasz zastanawiał się, czy by nie wprosić się na plebanię, ale proboszcza nie znał, więc krępował się taką niespodzianką mu sprawić, wobec tego zdecydowaliśmy się iść do karczmy. Przedtem chcieliśmy wstąpić do kościoła, podziękować Bogu za pomyślną podróż i prosić o pomoc w dalszych poszukiwaniach. Ale mogliśmy tylko w kruchcie uklęknąć, bo dalej kościół był zamknięty kratą. Starszy już człek, któregośmy spotkali, kościół dokoła obchodząc, kościelnym się przedstawił.

Widząc sutannę Łukasza, należyny respekt okazał duchownej osobie i prosił przysiąść na ławce, tłumacząc się, że kościoła w środku pokazać nam nie może, bo proboszcz do Ostrowca musiał pojechać i przez przypadek klucze ze sobą zabrał. Ale rozmowny był i o Kunowie to i owo nam opowiedział.

– Otóż Kunów to stara miejscowość, co jeszcze w XIII wieku wsią będąc, przez Tatarów została spalona, a dopiero w zeszłym wieku prawa miejskie otrzymała. Parafia pod wezwaniem św. Władysława powstała w 1281 roku, a w kościele są trzy ołtarze. Ludziom miejscowy przemysł daje pracę, do czego się w swoim czasie i biskup Zbigniew Oleśnicki przyczynił. A kościół stoi na miejscu dawnego, co się ze starości rozpadł.

Łukasz pochwalił go, że tak dużo wiadomości posiada.

– A bo to, proszę jegomości, kto przejeżdża tędy, to kościoła jest ciekawy, że tak ładnie się prezentuje, na wzgórku wśród drzew stojąc, i niejednen chce się czegoś o tym miejscu dowiedzieć. A jak się ciągle to samo powtarza, to i w pamięci się trzyma.

– A nie słyszeliście o wsi jednej, gdzie niejaki Kryspin zamieszkuje?

– Kryspin? Nie tylko o człowieku, ale nawet o imieniu takim nie słyszałem, ale jakby nieobce było naszemu językowi.

– No, to ostańcie z Bogiem.

Podnieśliśmy się z ławki, niedawną podróż przy tym w kościach czując jeszcze.

– A daleko mamy do karczmy? – spytał Łukasz.

– Pół mili będzie, a może i mniej. Jeśli o nocleg chodzi, to na plebanii miejsce by się znalazło, ale bieda w tym, czy ksiądz proboszcz do wieczora wróci.

– Nie szkodzi, nie będziemy tu robić kłopotu. A dokąd można dalej dojść tą drogą?

– Ona łukiem omija Ostrowiec od północy i dochodzi do rozstajów, skąd do różnych miejsc można się dostać. I do Ostrowca, i do Ćmielowa, a jak kto na północ pójdzie, znowu na Kamienną trafi.

– Są tam jakieś wioski?

– W samej puszczy to nie słyszałem, ale przy drogach zawsze jakieś są.

– No, to idziemy! A – przypomniało mi się – może dni parę na wędrownie nam zejdzie, a przez puszcę w sutannie niezręcznie po krzakach się przedzierać. Mam w tobołku sposobniejsze do tego odzienie. Nie wiecie, gdzie mógłbym się przebrać?

– A to proszę do mnie, zaraz tam za kościołem mieszkam...

*

Przebranie zmienia człowieka. Jak Łukasz wrócił, miał na sobie ciemne spodnie, takąż kurtę narzuconą na koszulę zawiązaną pod szyją na tasiemkę i trudno byłoby domyślić się w nim księdza. Chociaż jednak... kto sam księdzem jest albo często pomiędzy duchowieństwem się obraca, ten w drugim umiałby może księdza rozpoznać.

Każda profesja po pewnym czasie wywiera wpływ na sprawującego ją, przyswajając mu swoisty sposób zachowywania się, poruszania, gesty, słownictwo, reakcję na pewne tematy i słowa. Inny sposób bycia ma żołnierz, lekarz, rolnik czy ksiądz. A chociaż dla postronnych osób może to być niezauważalne, to można powiedzieć, że w pewnym sensie każdy z nich na własnym koniku jedzie, a dwa łyse konie zawsze się zwachają.

Mostkiem nad Kamienną przeszliśmy na drugi brzeg i wśród coraz rzadziej położonych domów doszliśmy do lasu. Droga tu była wąska, z trudem mogły się na niej wyminąć dwa wozy i to jeśli oba zjechały na bok, ryzykując wpadnięcie w jakiś wykrot lub otarcie się o pnie drzew.

Było mi trochę nieswojo, jakbym wchodził do obcego domu pełnego tajemniczych korytarzy i pomieszczeń, gdzie każdy krok prowadził w nieznaną, a ja sam byłem w nim nieproszonym gościem, który w dodatku nie bardzo wie, po co się tutaj przyplątał. Przesiadka z wozu na nogi była dużą zmianą sposobu podróżowania, co pociągnęło za sobą inny styl myślenia. Na wozie ktoś nas wiozł i dowiózł do miejsca, gdzie zostaliśmy zdani na własne siły, pomysłowość i zaradność w obcym otoczeniu.

I pomyśleć, że na tej drodze znalazłem się przypadkiem, za przyczyną świstka papierusa przypadkiem znalezionej w starej książce, na którą przypadkiem trafiłem, a potem i on, również przypadkiem, zainteresował Łukasza, a ten zabawił się w poszukiwacza, puszczając wodze fantazji. Ile jeszcze będzie takich przypadków?

Gałęzie drzew rosnących blisko obu stron wąskiej drogi czasem łączyły się w górze, tworząc jakby tunel. W takich miejscach panował półmrok, bo chociaż dzień był słoneczny, do wieczora już było niedaleko. Droga wiła się wśród drzew, omijając różne przeszkody, a wtedy oczy odruchowo wypatrywały, co się może wyłonić zza najbliższego

zakrętu.

– O czym myślisz? – zapytał w pewnej chwili Łukasz, zatrzymując się, żeby poprawić tobolek na plecach.

– O tym, czy szczęście nam dopisze w poszukiwaniach i czy dojdziemy do karczmy, nim wieczór zapadnie.

– Nie po to jechaliśmy taki kawał drogi, żeby zdawać się na łut szczęścia. Szukamy konkretnego człowieka, który w bliższej lub dalszej okolicy być musi, bo nie wierzę, że ta cała historia opowiedziana przez Damiana została przez niego wyssana z palca. Do wieczora mamy jeszcze jakąś godzinę, a karczmę właśnie widzę.

*

Drzewa po prawej stronie odbiegały od drogi, tworząc obszerną polanę, na której stało kilka zabudowań i studnia z żurawiem. Na środku, blisko ściany lasu, frontem do drogi stał duży, rozłożysty budynek z podcieniami wspartymi na drewnianych słupach. Kryty gontem dach, tu i ówdzie porośnięty kępkami mchu, i poczerńiałe ściany świadczyły o tym, że niejednym rok różne pogody musiały znosić. W pobliżu karczmy widać było dużą szopę, w której mogło stanąć kilka par koni, a przy niej niewielką obórkę – w otwartych drzwiach dostrzeżliśmy dwa krowie ogony.

Na piaszczystym placu ślady kół świadczą o wozach, jakie tu zajeżdżały, ale w tej chwili stał tylko jeden, co chyba na krótko się zatrzymał, bo nieuwiązany koń podszczypywał skąpą trawę, a lejce niedbale rzucono na siedzenie ze snopka słomy. Staliśmy dobrą chwilę, patrząc na to wszystko oświetlane przez ukośnie padające promienie słońca, które znalazło sobie lukę pomiędzy drzewami. Brak choćby kawałka płotu przy tych budynkach sprawiał wrażenie jakby ich tymczasowości.

Właściciel terenu, który na nim coś ma, stara się go ogrodzić nawet byle jakim płotem, żeby wszem wobec i każdemu z osobna pokazać, że „stąd dotąd jest moje i ja tu jestem panem”. Mieszkalny dom, chata, zajazd, oberża, czy jak to jeszcze nazwać, stojące na otwartej przestrzeni bez nawet byle jakiego ogrodzenia, sprawiają dziwne wrażenie.

Oprócz tego konia z wozem nie było widać niczego, tylko dym unoszący się z komina świadczył, że ktoś w jest środku.

Trzy niewielkie okienka zaciągnięte błonami z pęcherzy niewiele światła wpuszczały do obszernego wnętrza, więc zanim po wejściu do środka oczy przyzwyczaiły się do panującego tu półmroku, zatrzymaliśmy się na progu otwartych drzwi. Pomieszczenie było typowe dla tego rodzaju przybytków. Wzdłuż dwóch ścian stały dwa podłużne stoły z przystawionymi do nich ławkami. Szynekwas mieścił się na prawo od wejścia. Stała na nim beczułka z wetkniętym kurkiem, a za szynekwasem, obok półki z kubkami i naczyniami, były drzwi, chyba do kuchni i mieszkania karczmarza.

Przy stole obok szynekwasu siedzieli pogrążeni w rozmowie nachyleni ku sobie młody chłop i stary Żyd, zapewne karczmarz. Chłop obejmował głowę rękami, a Żyd zdawał się coś mu tłumaczyć i uspokajać.

Nie słyszeli, jak nadchodziliśmy, więc gdy stanęliśmy na progu, zasłaniając i tak skąpe światło, drgnęli zaskoczeni.

Żyd wstał i podszedł do nas, a chłop, zgarbiony, z pochyloną głową, skierował się

do wyjścia.

– Słucham, czego wielmożni panowie sobie życzą?

– Usiąść, zjeść, napić się, i odpocząć – oświadczył Łukasz, rzucając tobolek na ławę.

– Coś zimnego, zjeść, czy ciepłego? Na zimno jest chleb, ser, pieczeń z sarny i piwo, a na gorąco to jeszcze kasza, kuropatwa i grzyby duszone na maśle.

Żyd był już mocno szpakowaty, stary, ale krzepki, wysoki i trzymał się prosto. Spod nawisłych brwi patrzyły ciemne oczy, siwiejąca rozdwojona broda sięgała prawie połowy piersi, a na skroniach spod małej jarmułki zsuniętej na tył głowy zwieszały się kręcone pejsy. Na sobie miał długi chałat nieokreślonej barwy, niegdyś zapewne czarny, teraz mocno już wypłowiały i połatany na łokciach. Oparł się rękami na stole i pochylony czekał odpowiedzi.

– No to weźmiemy kaszę, pieczeń i piwo.

Żyd poszedł za szynkwias i tam, otworzywszy drzwi za nim się znajdujące, przyciszonym głosem wydał komuś dyspozycje. Wrócił do nas i usiadł naprzeciwko, splecione ręce kładąc na stole.

– Wielmożni panowie z daleka? Z interesem?

– Z Warszawy, mamy tu coś do załatwienia.

– Aj, aj, aż z Warszawy! A jeśli mogę zapytać, to jaki interes panowie mają w takim miejscu, gdzie najlepszy interes robi wilk, jak upoluje jelenia? Pytam się nie z ciekawości, a dlatego, że stary Szmul czasem to i owo usłyszy, co ludzie mówią, bo różni tu bywają, i może mógłbym pomóc.

Zanim zdążyliśmy się odezwać, młoda Żydówka postawiła na szynkwiasie dwie miski i pół bochenka chleba. Żyd to przyniósł, potem podszedł do beczułki, do dwóch kubków natoczył piwa i wrócił z nimi do stołu.

Szybko się uwinęliśmy z jedzeniem i pochwaliliśmy, że smaczne.

– Pytałeś, jaki mamy interes? Jest w tych lasach pewna wioska, cztery czy pięć chałup, do której chcemy trafić. Wiemy o niej tylko tyle, że leży gdzieś na północ od Ostrowca, w głębi puszczy, niedaleko Kamiennej.

– Cztery czy pięć chałup?! – zdziwił się Żyd. – Uj, takie coś to wcale nie jest żadna wioska, takie coś to nawet nie wiadomo, co to jest. A co tam jest takiego, że panowie aż z Warszawy przyjechali, żeby to zobaczyć?

– Nie uwierzysz, Żydzie, ale my sami nie wiemy, co tam jest. Żyje tam taki jeden, co się nazywa Kryspin, i to jego chcemy znaleźć, bo on wie coś, co chcemy, żeby nam powiedział. A ponieważ tylko on wie, co to jest, to chcemy go znaleźć. Rozumiesz?

– Ja spróbuję zrozumieć, ale to ciężko będzie. Panowie chcą trafić, ale nie wiedzą gdzie. Chcą się czegoś dowiedzieć, ale nie wiedzą czego. Ten, jak mu tam, Kryspin, coś wie, ale nie wiadomo co i nie wiadomo, gdzie go szukać. Ny, mnie się zdaje, że ja nic nie rozumiem!

– Nie słyszałeś więc o jakimś Kryspinie?

– Gdyby stary Szmul takie imię słyszał, to by tego nie zapomniał, bo chociaż już czterdzieści lat słucham, co tutaj ludzie mówią i jakimi imionami się przezywają, to takie imię jak Kryspin jeszcze nie słyszałem.

– A ty gdzie byś szukał takiego, co miałbyś do niego interes, ale byś nie wiedział, gdzie on jest?

Żyd poskrobał się w głowę i zamyślił się.

– Ny, gdybym ja jego szukał, to ja bym się wszędzie dowiadywał. Panowie mówią, że ten Kryspin jest na północ stąd, to ja poszedłbym na północ i tam miejscowych ludzi pytał, czy jego nie znają. Ale bieda w tym, że na północy są takie lasy, że może nie być kogo pytać.

– No i co teraz? – popatrzyłem na Łukasza.

– Poczekaj... Damian powiedział, jeśli mu się coś nie pomyliło, że to jest na północny-wschód od Ostrowca. Kamienna gdzieś tam dalej skręca na północ, więc jak pójdziemy na wschód, to znowu na nią się natkniemy, a nad rzeką zawsze się na kogoś trafi.

– Ale mówiłeś, że ta wieś nie leży nad samą rzeką.

– Jednak nad rzeką mamy większe szanse spotkać ludzi znających bliższą czy dalszą okolicę. Zobaczymy.

Rozejrzałem się po izbie. Półmrok w kątach stał się głębszy, słońce stało niżej, chowając się za drzewa, na parapet okna wskoczył pręgowany kot i leniwie rozłożył się na parapecie, podejrzliwie obserwując nas skośnymi oczami. Z pomieszczenia za szynkwasem dobiegały jakieś odgłosy, jakby przesuwanie garnków i płacz dziecka. Zwróciłem na to uwagę.

– To mój wnuk – z dumą wyjaśnił Żyd.

– A ile masz dzieci?

– Mam trzech synów i trzech córek. Jedna córka jest tutaj, a reszta dzieci poszła w świat, szukać szczęścia.

– To chyba jej dziecko słychać. A mąż?

– Ona jest wdową – zaszepił się Żyd – życie ją oszukało.

Nie chciałem robić mu przykrości pytaniem, jak owdowiała.

– Ny, takie jest życie – stwierdził Żyd – ono jest jak księga napisana ręką Boga. Ono jest jak koło, co upada, kiedy się przestanie toczyć. Możemy żałować, że nasze koło nie potoczyło się inną koleiną, ale nie powinniśmy się skarżyć, że nie rozumiemy, co Bóg, Pan nasz, chciał nam powiedzieć przez cierpienie, jakie na nas zsyła. Niech pochwalone będzie Imię Jego. – Spuścił głowę na piersi, a palce dłoni mocniej się splotły.

– Kim był ten człowiek, co wyszedł, gdyśmy weszli? – zapytałem, chcąc zmienić temat.

– On ma wielkie zmartwienie, z którym sam nie może sobie poradzić. Życie dla niego stało się jak świeca bez knota, co próżno od niej oczekiwać światła. Cóż robić, nie każdy może żyć, tak jak chce i nie każdy chce żyć, tak jak musi.

– A co go zmusza do życia tak, jak nie chce?

– On jest młody człowiek i on chce się żenić, ale jego narzeczona jest z innej wsi, więc nie może.

Zdziwiłem się, bo cóż stoi na przeszkodzie, żeby on sprowadził się do niej albo ona do niego, ale karczmarz pokręcił głową.

– Taka jest przeszkoda, że jego wieś należy do jednego pana, a jej wieś należy do

drugiego pana. Więc obaj panowie muszą dać zgodę na ten ślub. A oni tej zgody nie dają.

Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem, nie mogąc się połapać, o co tu chodzi, gdy wtrącił się Łukasz, zwracając się do mnie.

– Widzisz, jesteś z miasta i nie wiesz, jak to bywa na wsi. Otóż jeśli dziewczyna pójdzie do wsi chłopaka, jej pan straci parę rąk do pracy, i odwrotnie, gdyby to on poszedł do niej. A że nikt nie chce się pozbywać swojej własności... – Wzruszył ramionami i dodał: – takie jest u nas prawo.

– Co to za prawo?! Kto je ustanowił?! To jest... to jest przecież... niewolnictwo!

– Czy myślisz, że prawo rozsądza o tym, co dobre, a co niesprawiedliwe? Między duchem a literą prawa i sprawiedliwością zdarza się przepaść, którą można wypełnić różnorodną treścią.

– Ale kto coś podobnego wymyślił?! Kiedy?

– Przywilej takiego dysponowania chłopami wydał poprzedni król Zygmunt, ojciec tego naszego, jeżeli dobrze pamiętam.

– Przywileje, przywileje... przywileje to najwięksi wrogowie prawa! Gdzie przywileje są najważniejsze, tam prawo nie jest prawem, a między wielu wyjątkami nie można się doszukać zasady. Przywileje i wyjątki z czasem zgarniają coraz większą część prawa, stają ponad nim, wreszcie same stają się prawem!

– Masz rację – przytaknął Łukasz – ale aby mieć rację, nie wystarczy przekonanie, że ją się ma. Zawsze ma ją silniejszy, co ma władzę, choćby był gorszy i głupszy.

– I nie można tego zmienić?

– Ny – wtrącił się Żyd – a kto miałby to zmienić? Prawa ustanawia szlachta na sejmach i sejmikach, a dlaczego ona miałaby to zmienić, jeżeli ma interes w tym, żeby wszystko zostało, jak jest?

Wszyscy trzej zamilkliśmy, wpatrując się w stół. Każdy snuł w myśli własne rozważania.

– I nie ma żadnej rady, żeby młodzi mogli się pobrać?

– Rada by się znalazła – wyjaśnił Żyd – gdyby jeden z panów zapłacił drugiemu za tę parę rąk, jaką tamten straci.

– A co będzie, jak się nie zgodzą?

– Ten młody powiedział, że wtedy ucieknie do Kozaków, ale przedtem swojemu panu puści czerwonego kura. Taka miłość to jest katastrofa.

Rozmowę przerwało wejście nowego gościa. Wyprostowany, wąsaty, twarz miał pobrużdżoną zmarszczkami, a siwe włosy opadające na ramiona okrywał szerokoskrzydły kapelusz. Stał chwilę na progu, przymrużonymi oczami bacznie rozglądając się po izbie, dłużej zatrzymując wzrok na mnie i Łukaszu. Zanim zdążył wejść do środka, karczmarz wybiegł mu na spotkanie i z ukłonami zaprowadziwszy go do drugiego stołu, przysiadł przy nim i przyciszonymi głosami zaczęli rozmawiać. Przybysz od czasu do czasu spoglądał w naszą stronę, jakby to o nas była mowa albo jakby chciał ocenić, cośmy za jedni.

Wstaliśmy, żeby rozprostować kości, gdy Żyd podszedł do nas.

– Ten człowiek – wskazał na przybysza – co na niego mówią Mateja, może z panami pomówić. Powiedziałem, że szukacie takiego, co się nazywa Kryspin i może on

coś o nim wie. A jak nie wie, to może powie, kto mógłby wiedzieć. Jak panowie chcą, to mogą z nim porozmawiać.

Wstaliśmy i podeszliśmy do starego, który podczas tej naszej z gospodarzem rozmowy nie spuszczał nas z oczu.

– Nu? – mruknął niechętnie. – Tak czego wam nada?

Usiedliśmy naprzeciwko tak, że mogliśmy się nawzajem widzieć. Stary z bliska wydawał się jeszcze starszy, tylko oczy bystre i przenikliwe nie pasowały do reszty postaci.

– Szukamy wsi albo osiedla, gdzie mieszka niejaki Kryspin. Podobno gdzieś niedaleko stąd, blisko rzeki.

– A czegoż to chrześcijański ksiądz chce od tego człowieka? Nu?

Takiego niespodziewanego zwrotu w rozmowie się nie spodziewaliśmy. Spojrzeliśmy na siebie zaskoczeni. Nie mniej zaskoczony był karczmarz, który wytrzeszczył oczy na Łukasza wskazywanego palcem Matei.

– A skąd, do licha, wiecie, że jestem księdzem? – wydusił z siebie wreszcie Łukasz, ochłonawszy trochę z wrażenia. – Chyba tego nie widać po moim odzieniu?

– Nu, po odzieniu nie widać, ale po osobie widać. Czym kto żyje, to myśli na nim wypisują, co mu w głowie krąży. Więc Kryspina szukacie?

Łukasz opowiedział o mnichu, który przypadkiem trafił do siedziby Kryspina, co nas zainteresowało, bo podobno tam prawie w pogaństwie jeszcze żyją, o Bogu niewiele wiedząc.

– Chcemy zobaczyć, co i jak tam jest.

– Nu – z namysłem wyrzekł Mateja – nie w każdej księżej głowie księżę myśli się lęgną, a niejednemu przewielebnemu daleko choćby do wielebności. Tak czego chcecie od Kryspina?

– Znamy go tylko ze słyszenia, podobno jakieś „Przekazanie” u niego się chowa, ale nie wiemy jakie, ani kim on jest, czym się zajmuje, czego to „Przekazanie” dotyczy i co w nim jest takiego ważnego, że z pokolenia na pokolenie je przekazują, żeby nie zginęło.

Stary długo patrzył nam w oczy, zanim odpowiedział.

– O Kryspinie słyszałem, ale ani go widział, ani wiem, w jakim miejscu go szukać. Tyle tylko, że gdzieś w puszczy żyje, gdzie łatwiej o wilka niż o człowieka, a tam i człowiek, jeśli się trafi, od wilka gorszy być może. Słuchajcie tedy, co mi się obilo o uszy, chociaż nie wiem, ile w tym prawdy, a ile zmyślenia.

Otóż mówił mi ojciec, gdy jeszcze młody był, że stary czarownik o tym imieniu strzeże zaczarowanej polany. A kto miejsca onego idzie szukać, do ludzi już nie wraca. Kto o nim nie wie, tylko przypadkiem tam trafi, a kto wie, woli go nie szukać, czarów się bojąc.

– Na czary mamy krzyż – rzekł Łukasz – ale jakże to możliwe, że chrześcijanie pogańskich uroków się boją?

– Może wolą uwierzyć uszom, co już o nich słyszą, niż oczom, co dopiero mogą zobaczyć coś, czego lepiej nie oglądać – kiwając głową, mówił Mateja. – Jeśli Kryspin zaczarowanej polany strzeże, to czary na nią musieli rzucić bogowie, co tu już byli, zanim

księża o nowych zaczęli głosić. Do Kryspina nikt wam drogi nie wskaże, sami musicie tam trafić.

– Mówiliście – wtrąciłem – że ojciec wam mówił o starym Kryspinie, gdyście jeszcze byli młodzi, zaś i mnich Damian powiedział, że go widział, gdy tamten był stary. To ile teraz lat on może mieć?

Mateja ramionami wzruszył.

– Któż może wiedzieć, czy to był ten sam Kryspin, czy może jego ojciec albo dziadek? Mówią, że ludzie tam żyjący dawno powymierali i on jeden się został.

Zamyślony spuścił głowę, coś jakby sobie w myślach ważąc, i trwał tak dobrą chwilę. Raptem ożywiony spojrzał na nas.

– Coś wam powiem. Od Kunowa przyszlście? Idźcie więc dalej tą drogą przez las, a tam, gdzie ona na prawo skręca, na lewo ścieżkę małą znajdziecie, co ją zwierzyna wydeptała. W tamtych stronach nie bywałem, więc jeżeli stary Kryspin jeszcze żyje, tam go próbujcie szukać. – Tu wstał. – Chodź, Żydzie – powiedział – mamy to i owo do obgadania. – Wziął tamtego pod łokieć i wyszli na podwórze.

– I co myślisz? – cicho zapytał Łukasz. – Co to za człowiek może być z tego Matei?

– Sądząc z wyglądu, to zbój – powiedziałem, oglądając się ukradkiem na drzwi i uchylone okno. – Ciekawy jestem, czy to, co mówił o Kryspinie, że go nie zna, to prawda?

– Zbój, nie zbój. Ale czyś zauważył, że chociaż wygląda jak dziad, to wysławia się jak ktoś z ogłada?

– Mówił coś, że myśliwi tu zaglądają.

– Ale nie powiedział, co to za myśliwi i na jaką zwierzynę polują. Może na taką, co na dwóch nogach chodzi? Może lepiej zmykać stąd póki widno? ...O właśnie, póki widno z brewiarzem się przejdę, bo wkrótce liter nie rozróżnię. A na zmykanie stąd już za późno. Zresztą Żydowi dobrze z oczu patrzy. – Wyjął książkę z tobołka i powoli po podwórzu chodząc, modlitwy swoje odprawiał. Także wyszedłem na dwór i przysiadłem na ławce pod oknem. Wkrótce dołączył do mnie karczmarz.

– Panowie chcą tu nocować? To na poddaszu parę miejsca mam, ale niektóre osoby wolą, żeby im w szopie posłać. To jak panowie wybiorą? Od tego jest karczmarz, żeby podróżnych zadowolić.

– Jak mój przyjaciel przyjdzie, to zadecydujemy. A ten Mateja to co za człek? Jakbym go samego w lesie zobaczył, tobym się przeląkł, że na zbója trafiłem.

– Ny, bo też on kiedyś zbójował, jak młody był. I swoich ludzi miał, ale teraz już na zbój nie chodzi. Teraz korzysta z tego, że puszczyć zna, to panów na łowy prowadzi. Sam król, jak tu kiedyś polował, lubił go wtedy mieć przy sobie.

– A można mu zaufać, że prawdę mówił i na kłopoty nas nie narazi?

– Ja panom coś powiem – poważnie odpowiedział Żyd, każde słowo ruchem palca podkreślając. – On tu w lesie jak gospodarz jest, a kto do jego lasu bez złych zamiarów przyjdzie, to jakby był gościem, któremu pomóc trzeba...

Nadszedł Łukasz, przysiadł się do nas i zapytał, o czym mówimy.

– O tym, czy lepiej nocować w domu, czy w szopie.

– Myślę, że lepiej w domu, a ty?

Zgodziłem się z nim.

– A czy panowie bardzo wcześnie rano chcą wyruszyć w drogę? Jeśli mogę coś doradzić, to lepiej nie za wcześnie. Noce są już zimne, słońce późno wschodzi, mokra rosa leży. Tutaj o tej porze to już nie to, co w Warszawie.

– Wstaniemy wcześnie, a zanim się wybierzemy, dzień się robi. No więc pokaż, gdzie mamy spać.

– Już, już, tylko świecę zapalę...

Na poddaszu, gdzie weszliśmy po drabinie, w obszernym pomieszczeniu w kącie leżał stos sienników. Żyd postawił świecę na oknie, dwa z nich rozłożył pod ścianą, z półki wziął prześcieradła, a ze sznura ściągnął dwie wiszące tam pierzyny i poduszki i położył to wszystko na sienniki.

– Niech się panowie nie boją, wszystko jest czyste, pluskiew ani czegoś takiego nie ma, a w siennikach jest świeża słoma.

Życząc nam dobrej nocy, wrócił na dół.

*

Różnych rzeczy się nasłuchałem o karczmach i zajazdach, często niepochlebnych, ale jak się położyłem na czystym prześcieradle, przekonałem się, że takiego wygodnego posłania nie miałem od czasu wyjazdu z Warszawy, a pod pierzyną spałem ostatnio, gdy mieszkam u rodziców. Tylko słoma w siennikach szeleściła przy każdym ruchu. Łukasz, kładąc się ostatni, zdmuchnął świecę.

Leżeliśmy w milczeniu, snując każdy swoje myśli. Spoza uchylonego okna docierał ledwo słyszalny szum drzew. Milczeliśmy. Cynceron powiedział, że milczenie może być wymowniejsze od mowy – i to jest prawda. Niekiedy milczeniem można przekazać więcej niż potokiem słów. Głupiec może w nim ukryć swoją głupotę, jeśli ma choć tyle rozumu, żeby jej być świadomym, a mędrzec milczeniem okazuje swoją wyższość, nie wdając się w dysputę z głupcem.

– Czuję, że nie śpisz – odezwał się Łukasz przyciszonym głosem. – O czym myślisz?

Zaskoczyło mnie to pytanie, bo chociaż myśli w głowie mi szumiały, to tak nieuporządkowane, że trudno było powiedzieć, czego konkretnie dotyczą.

– Chyba o wszystkim naraz, a najwięcej o tym, jak się skończy nasza podróż, jeśli znajdziemy tego Kryspina, i jakie tego będą następstwa.

– Co znaczy to „jeśli”? Nie, Pawle, kiedy już podejmujesz się jakiegoś czynu, nie dopuszczaj do siebie wątpliwości, czy go dokonasz. Jeśli nie wszystko idzie po twojej myśli, zastanów się, jak zaradzić temu, co ci na drodze stanęło. Kto się karmi wątpliwościami, samemu sobie i swemu przedsięwzięciu szkodę przynosi. Ja, skoro zdecydowałem się znaleźć Kryspina, to nie myślę „czy” go znajdę, a „jak” go znaleźć. Rozumiesz?

– Więc znajdziesz... to znaczy, znajdziemy go. I co dalej?

– Nie wybiegajmy za daleko w przyszłość, niech wydarzenia, jakie mogą nastąpić, wynikają jedno z drugiego, a co będzie na końcu, to się okaże.

– A jak już się okaże, to wrócimy do Warszawy... z czym?

– Może z pustymi rękami, ale na pewno nie z niczym. To się też wszystko okaże. A teraz lepiej śpijmy, bo jak nabijemy sobie głowę różnymi przypuszczeniami, sen od nas odbiegnie. Dobranoc.

Mnie jednak sen już odbiegł. Jak zwykle przed zaśnięciem różne myśli mnie nachodzą. Myśli to mają do siebie, że im prędzej i dalej bieżą, tym trudniej za nimi nadążyć, a usiłując je dogonić, łatwo się samemu pogubić, bo nie zawsze podążają prostymi drogami, często zbaczając na manowce.

Leżę więc na swoim sienniku, starając się nie ruszać, żeby nie szeleścić słomą, otwartymi oczami wpatruję się w ciemność i znowu rozmyślam o samotności. Czy ma ona swoje granice, po których przekroczeniu staje się nie do zniesienia? Czym ona w ogóle jest? Może nie sposób określić ją naukowo i nazwać uczonym słowem, bo jest tylko aktualnym stanem naszej duszy i nie każdy tak samo ją odczuwa? A może samotności człowiek musi dopiero zaznać, aby zrozumieć, co ona oznacza?

Różne też są jej rodzaje. Ja twierdzę, że póki mam do kogo tęsknić, tak naprawdę nie jestem sam. A weźmy Łukasza. Rodziców już nie ma, nie wiem o jego dalszej rodzinie. Jaką samotność on, jako ksiądz, może odczuwać? Czy samotny pokój albo dzielony z drugim księdzem jest dla niego domem z konieczności czy z wyboru? Czy służba Bogu dała mu w tej samotności pociechę bez poczucia, że coś mu w życiu umknęło, coś cennego, do czego nawet myślą już nie warto wracać?

Różnymi drogami i bezdrożami chodzą myśli człowieka i różne są jego samotności...

Spałem bez snów. Przebudzenie było nagłe, jakby od jakiegoś wstrząsu. Otworzywszy oczy, zobaczyłem nad głową ukośny sufit i drobinki pyłu wirujące w smudze światła wpadającego przez szpary nieszczelnych desek ściany szczytowej. Przez kilka chwil leżałem zdezorientowany, póki sobie nie przypomniałem, gdzie się znajduję. Łukasza już nie było, ale słyszałem jego głos. Prędko się ubrałem i zszedłem na dół.

Ranek był chłodny, na trawie leżała biała rosa. Słońce już wzeszło, ale jeszcze się kryło za drzewami i tylko złoty blask rozświetlał ich wierzchołki. Zadrzałem z chłodu, gdy wyszedłem na próg. Na podwórku Łukasz, Żyd i Mateja o czymś rozprawiali, podszedłem więc do nich. Łukasz mi oznajmił, że już się z karczmarzem rozliczył, śniadanie i prowiant na drogę mamy przygotowane, tak że wkrótce możemy wyruszyć. Powiedział też, że Mateja zaofiarował się pójść z nami kawałek, bo w lesie ma jakieś swoje interesy. Zdziwiłem się w duchu, jakie to interesy można załatwić w puszczy, ale Mateja, jakby widząc niedowierzanie odbijające się na mojej twarzy, wyjaśnił, że chce wypatrzeć legowisko rysia, bo młodą rozszarpaną sarnę znalazł w lesie. Zapytałem, skąd wie, że zrobił to ryś, a nie wilk.

– Nu, wilk nie ma takich kocich pazurów, co zwierzynę jak nożem poprują, jeno zębów do tego używa. Teraz chodźmy jeść, bo komu w drogę, temu czas.

Zapytałem, czy na śniadanie dostać można jajecznicy, ale Żyd się zmartwił:

– Uj, jaka to jest szkoda! Tylko jedno jajko jest! Mieliśmy kury, ale lisy je wydusiły. Teraz jajka ze wsi trzeba przywozić.

Po śniadaniu, nie zwlekając, wyruszyliśmy w drogę. Łukasz miał bardziej wyładowany worek, więc mnie wypadło nieść wręczoną przez Żyda kobiałkę z prowiantem. Szliśmy gęsiego, bo na wąskiej drodze z powodu kolein niewygodnie było iść obok siebie. Prowadził Mateja, za nim podążał Łukasz, a ja zamykałem pochód. Mateja nic ze sobą nie miał prócz solidnego kija, którym się podpierał. Żyd stał na progu karczmy i z zadowoleniem gładził brodę, bośmy wyrazili swoje uznanie za jadło i nocleg.

*

Idąc, rozglądałem się dokoła i chłonałem nieznaną mi dotychczas atmosferę puszczy. Dla mieszcucha nieznającego jej, było to nowe doznanie, przy czym odpowiadało ono jednak moim wyobrażeniom. Ale chociaż wyobrażenia pozwala widzieć to, czego nie ma, niekiedy okazuje się, że rzeczywistość jest bardziej fantastyczna, jeśli ją odczuć zmysłami. Drzewa jak kolumny śmigające w górę i łączące swe korony rysujące się ażurem na tle nieba, omszałe matuzalemy kniei chylące się pod różnymi kątami lub zgoła na ziemi leżące, wiekiem powalone, porośnięte mchem, truchłami swymi użyźniające glebę dla nowych pokoleń.

Czy patrząc na to, nie można powiedzieć, że przeszłość jest pożywką przyszłości? Także i wśród ludzi: stare pokolenie wymiera, zrobiło, na co je było stać, i pora zrobić miejsce nowemu. A to nowe, które nadchodzi, będzie rosło, korzystając z dorobku swoich

ojców i dziadów – zarówno z chwalebnych, jak i z niechwalebnych ich dzieł – i będzie twórcą nowych, własnych dokonań i błędów.

Łukasz zapytał Mateję, w jaki sposób się orientuje w lesie, żeby nie zabłądzić. Mruknął coś w tym rodzaju, że na pewno nie zabłądzi tylko ten, co siedzi w domu i że las wszystko ci powie, trzeba go tylko rozumieć.

– A jak wiesz, gdzie stoisz i po słońcu widzisz, gdzie są strony świata, to wiesz, jak iść, i nie pobledziesz, i trafisz gdzie trzeba.

Droga wiała się wężem pośród drzew, przez nigdy chyba niewysychające błota, polanki porośnięte ostrą trawą i wełnianką oraz ciasne przesmyki, gdzie wóz tylko z trudem mógłby się zmieścić między potężnymi olbrzymami puszczy, od wieków tu chyba stojącymi.

Nocna rosa jeszcze nie obeschła i perliła się na trawie, na gałęziach krzaków i na siatkach pajęczyn rozpiętych w poprzek naszej drogi, a będących świadectwem, że od dłuższego czasu nikt jej nie używał. Z gałęzi – kapłała na głowy, moczyła nogawki spodni i obuwie, gdyśmy musieli przechodzić przez mokre trawy.

Słońce się podnosiło, a w miarę jak zaczynało przygrzewać, nocna wilgoć parowała, zmieniając się w duszną mgiełkę, rozświetlaną niekiedy ukośnymi słupami promieni przenikających przez luki w gałęziach.

– Mówiliście, że na polowaniu znajdujecie zwierzynę, jakiej myśliwi sobie życzą. Jak można ją znaleźć? Chodzić i szukać? A jak ją upilnujecie, jeśli się tymczasem gdzie indziej przeniesie?

– Każda zwierzyna ma swoje zwyczaje i miejsca, gdzie lubi przebywać, i ścieżki, co prowadzą do legowiska i żeru – tam jej szukaj. Gdzie trawa soczysta, jelenia i sarnę znajdziesz, gdzie dęby rosną, łacniej dzika zobaczysz jak za żołądziami ryje, a bobra nie spotkasz, gdzie sucho. A niedźwiedź to gospodarz puszczy, wszędzie się włóczy, jeśli gdzieś barć na drzewie zauważysz, to wiedz, że on jej też nie przegapił. Jeśli wiesz, gdzie co w lesie rośnie i jakie zwierzyna ma zwyczaje, to i wiesz, gdzie ją znaleźć.

Przysiedliśmy na trawie, bo w drodze byliśmy już ze dwie godziny i nogi znać dały, że nienawykłe są do tak długiego chodzenia. Mateja oparł się plecami o drzewo i tak siedząc, popatrywał na nas z ukosa.

– Nu, i co dalej? Co będzie, jak noc was w tej głuszy dopadnie? Jak wtedy zamierzacie zanocować? Skąd wody weźmiecie, jak pić wam się zechce? Jak się obronicie przed wilkiem albo niedźwiedziem? A jeśli zabłądzicie i po lesie błąkać się będziecie? To co? Czyście przemyśleli sobie to wszystko? Nu? I dokąd tak zająć chcecie, nie wiedząc, ile tej drogi przed wami i czy sił wam na nią wystarczy? Nu? O tym też nie pomyśleliście?

Nieswojo nam się zrobiło, bo rzeczywiście takiej sytuacji nie było w naszych zamierzeniach. Iść i szukać to dla nas znaczyło: iść i ludzi o drogę pytać, a nie w puszczy wśród drzew się plątać i na spotkanie z dzikim zwierzem narażać. Popatrzyliśmy na siebie z Łukaszem, a miny mieliśmy chyba nietęgę.

Mateja to zauważył i uśmiechnął się.

– Nie bójcie się. Ja to tylko tak powiedział, żebyście wiedzieli, czego w puszczy można się spodziewać, a nie, żeby straszyć. Nocować w lesie – to wam nie grozi, bo niedługo traficie do ludzi, a zwierz dziki prędzej ucieknie, niż wy jego zobaczycie. Ja nie

bywał tam, gdzie wam trzeba iść, ale na wschód stale się kierując, gdzieś tam na drogę się natkniecie, co od Ostrowca idzie, do której ta ścieżka was doprowadzi. Tam się pytajcie, czy ktoś o waszym Kryspinie słyszał. No to żegnajcie, a tej oto ścieżki się pilnujcie. – Palcem dotknął kapelusza, odwrócił się i poszedł, a myśmy patrzyli za nim, pókiśmy widzieć go mogli, ale on się ani obejrzał.

I tak zostaliśmy sami pośrodku nieznanego lasu, zdani na własne siły. Wyjeżdżając z Warszawy, nie przewidywaliśmy takiego rozwoju wydarzeń.

*

Szliśmy tak, jak ścieżka prowadziła, między drzewami i krzakami jałowca, czasem przeciskając się wśród zarośli i patykiem odgarniając pajęczyny trafiające się w poprzek tej – pozał się Boże – drogi. Szelest naszych kroków po zeschniętych liściach i trzask suchych gałązek pod butami nie były jedynymi głosami, jakie słyszeliśmy. A chociaż żadnego z leśnych stworzeń prócz much, pajaków i komarów nie było widać, to czuliśmy ich obecność.

Czasem zaszeleściło coś w krzakach, rozlegał się stuk niewidocznego dzięcioła, coś skrzeknęło w pobliżu, a wtedy mimo woli zwracaliśmy głowy w stronę, skąd dobiegał głos. Bo chociaż Mateja powiedział, że nie mamy się czego obawiać, to wyobraźnia podsuwała nam obrazy czegoś nienazwanego. W pewnej chwili idący przede mną Łukasz dostrzegł odcisk ludzkiej stopy, dawno utrwalony na wilgotnej ścieżce.

– Ktoś kiedyś szedł tędy w tę samą stronę co my. A wiesz, Pitagoras powiedział coś ciekawego. To oto, że pozostawionych śladów nie powinno się zacierać, bo jest w nich cząstka duszy tego, co je odcisnął.

– A może rozumieć to trzeba nie dosłownie, a w przenośni? Że my też pozostawiamy dla potomności jakieś trwałe ślady świadczące o naszym tu istnieniu, pozwalające zatrzymać i zachować pamięć o nas? Starożytni wiele takich śladów zostawili i dzięki temu wiemy, jaki był świat, kiedy pradziadów naszych jeszcze na nim nie było. I chodzi tu nie tylko o rzeczy, które można dotknąć i zobaczyć, ale też o wielkie dokonania myśli, z których i dzisiaj nam zdarza się korzystać.

– To prawda, chociaż ludzkość zostawia i takie ślady, że lepiej, aby ich nie było. No ale filozofia filozofią, czy nie uważasz, że powinniśmy się już posilić? Widzę tu kamień, co za stół może nam posłużyć...

Gdyśmy spożywali chleb z plastrami pieczonej sarniny, Łukasz zapytał, czy nie mam mu za złe, że z jego przyczyny w takim miejscu się znalazłem.

– Cóż, przynajmniej w tej chwili uważać się nie możemy. Stoimy na ścieżce, co dokądś prowadzi, a nie zbłąkani na bezdrożach jakiejś pustyni. Wiemy, że idąc na wschód, dojdziemy do ludzi. Mamy co jeść...

– Ale nie mamy co pić, a ja już czuję pragnienie. Zapomnieliśmy zapytać, czy znajdziemy po drodze jakieś źródło. W karczmie żadnej próżnej butli nie było, to i nie było w co czegoś nalać.

Poszliśmy dalej, a nie minęło wiele czasu, gdy posłyszeliśmy szczekanie psa i poprzez drzewa zobaczyliśmy drogę. Po jej drugiej stronie stały domy i inne zabudowania, w oddali za nimi widać było wzniesienia ozdobione szachownicą pól,

a jeszcze dalej – góry porośłe lasem.

– No, tośmy doszli do jakiejś drogi – westchnąłem z ulgą i rozejrzałem się.

W naszą stronę, podpierając się kijem, szedł stary człowiek z workiem na plecach. Jak patrzę na starych ludzi, bardziej czuję chęć do życia i zadowolenie, że sam taki się jeszcze nie stałem.

Kiedy właściwie zaczyna się starość? Gdy już większą część naszych myśli zajmują wspomnienia o tym, co było i przeminęło? Kiedy opuszczają nas najbliżsi, samotność coraz bardziej przytłacza, sił ubywa, a plecy chylą się ku ziemi? Gdy opuszcza nas nadzieja? Mówi się, że wraz z wiekiem przybywa mądrości, jaką daje życiowe doświadczenie, ale cóż z tego, skoro lat już może nam nie wystarczyć, żeby z niego skorzystać? Życie przesypuje się jak piasek pomiędzy palcami i czujemy, że jest go coraz mniej. Jest jak huśtawka: raz się jest na górze, raz na dole, ale nadejdzie czas, gdy znajdziemy się na dole, bez nadziei spojrzenia na świat z dawnej perspektywy wlotów młodości.

Stary człowiek napotkany na drodze był żebrakiem. Zaczepiony, poznawszy w nas nietutejszych, rozgadał się. Powiedział, że ta wieś nazywa się Góra, należy do pana Górowińskiego i jest niewielka, ziemia tu kamienista i mało co na niej urośnie, więc ludzie niebogaci, mało ich i trudno się przy nich pożywić.

Łukasz zapytał, czy nie słyszał o takim jednym, co się Kryspin nazywa, bo chciałby się z nim zobaczyć.

Dziad popatrzył po nas jakoś dziwnie, powiedział, że nie zna takiego, odwrócił się i poszedł w stronę najbliższej zagrody, oglądając się na nas przez ramię.

– Co mu się stało – zdziwiłem się – przestraszył się nas czy co?

– Raczej nie nas, a czegoś, co dotyczy tego Kryspina, ale myślę, że coraz bliżej nam do tego, żeby się o nim dowiedzieć...

Szliśmy drogą przez wieś. Było tu chyba nie więcej niż dziesięć zagród. Czasem ktoś kręcił się na podwórku, ale nikt nie zwrócił na nas uwagi. Z kominów tu i ówdzie płynęły strużki dymów, rozplywając się w powietrzu. Po zabudowaniach widać było, że wieś (a raczej takie trochę większe osiedle) była biedna, nawet płoty były prymitywne z drągownicy zamiast sztachet, chociaż drzewa tu nie brakowało, bo puszcza zaczynała się zaraz po drugiej stronie drogi.

Wkrótce minęliśmy ostatnie opłotki i znaleźliśmy się za wsią. Po lewej ręce był las, po prawej najpierw ściernisko po zżętym zbożu, po którym łąziło parę wron, a później zaczęło się pojawiać coraz więcej niskich zarośli, za którymi ciągnęły się wały wzniesień, porośłe lasem. Piaszczystą drogę znaczyły koleiny wozów, nie było widać jej końca, bo łagodnym łukiem zakręcała w lewo, jakby coś okrążała albo chciała się trzymać skraju lasu, którego brzeg też zbaczał na lewo. – Dziwne było zachowanie tego dziada – zauważyłem.

– Dziwne może się wydać wszystko, czego przyczyny nie znamy. – Tu przerwał i popatrzył przed siebie. – Jakieś zabudowania widać przed nami, to chyba już jest ta Krzemionka. Poczekaj chwilę... – Poszedł w przydrożne krzaki, a jak po chwili z nich wyszedł, miał na sobie sutannę, chociaż cokolwiek pogniecioną od przechowywania w worku. Aż dziw, jak ubiór zmienia człowieka.

– No – powiedział – ksiądz zawsze wie, że jest księdzem, ale jak księżę suknię nałożę, to nie tylko wiem, ale i widzę to po sobie.

– Inaczej też cię traktują.

– Inaczej ubranego człowieka zawsze inaczej traktują. Ale zważ na to, że ubiór postać jeno zmienia, a nie naturę, chociaż pewności siebie i tupetu czasem dodaje.

Sutanna na przykład, jeśli głupi ją nosi, nie sprawi, żeby przez to zmądrzał, chociaż w oczach niektórych dostojniejszym się wyda. Szata, chociaż może też być symbolem urzędu albo władzy, to nie gwarantuje, że jej właściciel jest jej godzien. Ale czekaj, zdaje się, że ktoś jedzie. Rychło w czas. Gdybyśmy wolniej szli, dłużej byśmy jechali.

Dogonił nas wóz drabiniasty, a woźnica nim powożący, widząc księdza na drodze, zatrzymał konia i zdjął czapkę.

– Do Krzemionki jedziesz?

– Do Krzemionek, proszę księdza. Ta wieś Krzemionki[1] się nazywa, nie Krzemionka. Może podwieźć trzeba?

– A pewnie, że trzeba! Aniołowie księdza na rękach nie noszą – zażartował Łukasz, gramoląc się na wóz.

Ponieważ nie było na czym siedzieć, przysiedliśmy bokiem na brzegach drabin i woźnica cmoknął na konie. Łukasz zapytał go, czy wie, gdzie sołtys mieszka, i tam polecił nas wysadzić.

Sołtysa nie było w domu, ale zastaliśmy jego żonę i córkę, jak się krzątały przy palenisku, i księdza, który zdziwił się, szeroko otwierając oczy, gdy na progu zobaczył drugą sutannę.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, błogosławieństwo i pokój temu domowi. Czy dwaj podróżni mogą liczyć na gościnę? – zapytał Łukasz. – Z Warszawy jesteśmy, mamy tu gdzieś pewną sprawę do załatwienia.

– Gość w dom, Bóg w dom – powiedział nieznajomy ksiądz, wstając z krzesła, na którym przy stole siedział. – Księdzem jestem w Ostrowcu, Stanisław Skórko się nazywam. Przypuszczam, że gospodarze nie wezmą mi za złe, jeśli w ich imieniu w progi domu tego zaproszę wielebnego księdza wraz z towarzyszem jego.

Gospodyni zaraz fartuchem wytarła dwa stołki, na które z ulgą opadaliśmy, i zapytała, czym by mogła nam usłużyć.

– Wodą, wodą, bo w gardłach nam już zaschło – powiedział Łukasz. – Jadła nam w drodze nie brakowało, tylko popić nie było czym...

Gdyśmy już zaspokoili pragnienie, ksiądz Stanisław z przejęciem zaczął opowiadać:

– Oto o cudzie niedawnym słyszałem w Ostrowcu, jako że mnich jeden młody z niemoty cudownie uzdrowiony został.

– A czy on nie nazywał się Barnaba? Jeśli tak, to myśmy byli przy tym uzdrowieniu, a największym cudem było w nim to, że głowy sobie nie rozbił, kiedy nią na kamień trafił. To właśnie był ten prawdziwy cud!

– Ksiądz dobrodziej z takiej sprawy żarty sobie stroi?! – skarcił go ksiądz Stanisław.

– Żartów nie stroję i mówię, com widział. – Łukasz nie chciał się wdawać

w dyskusje o cudach i wolał zmienić temat. – Jak słyszałem, podobno jutro ksiądz będzie mszę odprawiał? Może i ja mógłbym przy ołtarzu usłużyć, bo dawno powinienem był to zrobić, ale okazji nie było.

– Ależ proszę, proszę bardzo! Msza będzie w intencji pana Górowińskiego z Góry, który potomka nie mogąc się doczekać, o tę łaskę chce Boga uprosić.

– To mam nadzieję, że i na przenocowanie możemy liczyć?

– A pewno, pewno – gorliwie przytaknęła sołtysowa. – Słyszysz, Maryś?! – zawołała do córki. – Dwie świątobliwe osoby dzisiaj u nas będą nocować!

Ja tymczasem milczałem, rozglądając się. Izba była obszerna, z dwoma oknami i podłogą z klepiska. Na ścianach wisiały dwa święte obrazy, za jednym zatknięto wiązanekę z kłosów kilku zbóż i zasuszonych kwiatów. Kuchnię stanowiło otwarte palenisko osłonięte z góry okapem. Na paru kamieniach stał tam garnek, a z boku kilka innych, odwróconych dnem do góry. Łukasz z księdzem omawiali swoje sprawy dotyczące jutrzejszego nabożeństwa, a ja wyjąłem z kobiałki resztę naszego prowiantu.

– Trzeba będzie to zjeść – powiedziałem – bo chleb do jutra szcerstwieje, a mięso też będzie do niczego. Jak będziemy wyruszać w dalszą drogę, to jeśli można, o nowy chleb poprosilibyśmy.

Wyszliśmy na podwórze, gdzie pod oknem stała niewielka ławka. Tam usiedliśmy, a sołtysowa z córką zostały w domu, krzątając się przy kuchni. Spojrzawszy w niebo, powiedziałem, że chyba na deszcz się zanosi. Słońce stało już sporo na drugiej połowie nieba, kryjąc się czasem za chmury, co ławą szły od północnej strony, łącząc się ze sobą.

– Tyle czasu jadąc od Warszawy, mieliśmy dobrą pogodę, może pora na odmianę przyszła – rzekł Łukasz ze smętną miną.

– Przez dwa, trzy dni nie będzie deszczu – stanowczo oznajmił ksiądz Stanisław. – To nie są chmury deszczowe, za lekkie są, wysoko idą. Czasem i po pogodnym dniu tak u nas niebo wygląda.

– Dobrze by było. Co to za człowiek ten Górowiński?

– At, taki sobie dziedzic na kilkunastu chałupach. Chciałby większym się wydać, jak jest, jeno nie wie jak. Chłopów swoich krótko trzyma, nie żeby miał być zły, jeno żeby sobie ważności w ich oczach przydać.

– A może słyszeliście o takim, co Kryspin się nazywa? Mnich jeden, co w tych stronach bywał, mówił, że gdzieś go tu widział i w Warszawie dziwne rzeczy o nim opowiadał.

– Nie słyszałem o takim – kręcąc głową, odparł ksiądz Stanisław.

Tu na podwórko wjechał wóz i chłop z niego zeskoczył. Ksiądz Stanisław powiedział, że to sołtys.

– Kto mówił o Kryspinie? – zapytał przybyły, zabierając się do wyprzęgania konia. Łukasz do niego podszedł.

– Ja... to znaczy, my chcielibyśmy go znaleźć.

– Wielu o nim słyszało, niewielu może powiedzieć, że go widziało. Niedobra sława za nim idzie, pono jest czarownikiem i lepiej z daleka od niego się trzymać. Ludzie mówią, że gdzieś tam w puszczy żyje, nie wiadomo jak i z czego.

– Ale choćby tylko tym się obywat, co przy domu wyhoduje, w lesie upoluje albo

nazbiera, do ludzi musi przychodzić choćby po to, żeby soli kupić albo do kogoś interes mieć – wtrąciłem się – i jakaś droga może do niego prowadzić?

– Otóż bezdrożami przez las idąc, prędzej przypadkiem do niego trafić można. A jeśli wśród ludzi bywa, to później każdy inaczej go opisuje i nikt nie wie, czy o tego samego człeka chodzi. Tak więc choć niejeden wie, że jest taki, co go Kryspinem zowią, nie masz takiego, co by wiedział, jak go poznać albo opisać słowami. Czarownik i tyle, tfu!

– Może jutro na mszy świętej więcej ludzi się pojawi, to będzie kogo spytać.

– To ksiądz też na jutrzejsze nabożeństwo przyjechał?

– Tak, tak – prędko powiedział ksiądz Stanisław – i liczymy na to, że z towarzyszem swoim na jedną noc tu się zatrzymać będą mogli.

– Czemu nie, chociaż wygod u nas nie ma, niebogato żyjemy. To wielebni ojcowie i ten młody w chałupie zanocują, a ja z moją i z córką w szopie się prześpimy.

– Tak nie może być! – zaprotestował Łukasz. – Ksiądz Stanisław w domu będzie spał, bo mu z racji wieku i zdrowia się to należy, a my obaj w szopie się prześpimy, bośmy już tego zwyczajni.

*

No i tak... Ksiądz Stanisław zajął swoje stałe miejsce w izbie, a my obaj po wieczerzy, dosyć chudej zresztą, w szopie wymościłiśmy sobie posłanie z paru snopków i siana.

Łukasz pacierze swoje odmawiał, co jakiś czas się żegnając, i krzyżyk, co go na piersiach miał, niekiedy do ust podnosząc, a ja też Bogu podziękowałem, że bez szwanku na zdrowiu aż tutaj mógł przybyć i poprosiłem Go o dalszą łaskę, bliskich swoich do modlitwy dołączając.

– I co teraz powiesz? – odezwał się wreszcie Łukasz. – Czy nadal myślisz, że Kryspin jest jeno mitem?

– Do tej pory ta postać tak odległa się wydawała, że wyobraźnię trzeba było wysilić, aby w nią uwierzyć.

– Mam jakieś przecucie, że wkrótce obraz z wyobraźni w żywe ciało się oblecze. Jutro popytamy ludzi.

– A co myślisz o panu Górowińskim? Ładny to dziedzic – na paru chałupach. W połatanych butach pewnie chodzi.

– Nie śmiej się z ludzi, że chcą być tym, czym nie są, a raczej z tych, co chcą być tym, czym być nie powinni. Przypatrzyłeś się temu chłopu, co nas tu przywiózł?

– A po co mu miałbym się przypatrywać?

– Bo to jest ten, co go u Żyda w karczmie widzieliśmy. Ten, co się żenić chce, ale jego dziewczyna jest z innej wsi.

– Tak?! Nie poznałem go. A tyś nie dał znaku, żeś go poznał.

– Nie dałem znaku, bo nic by z tego nie było. Ale teraz coś mi w głowie zaczyna krążyć, że jednak może być. Może sen dobrą radę przyniesie. Dobranoc.

Nocą w szopie albo w stodole jest zawsze ciemniej jak na dworze, ale kiedy wzrok się przyzwyczai, to coś niecoś od biedy można dostrzec, choćby tyle, żeby do drzwi trafić.

Jak zawsze przed zaśnięciem, przebiegając myślą miniony dzień, zastanawiam się, co ten następny przyniesie, wspominam swoich bliskich w Krakowie i pracę w Warszawie. Co też się teraz dzieje w pracowni? Jak radzi sobie pan Gałeczki? Co tam zastanę po powrocie?

Marzenia czasem się spełniają, chociaż nie zawsze tak, jak sobie tego życzymy i nie zawsze wtedy, kiedy byśmy chcieli, ale jakiegokolwiek by one były, zawsze mogą być podniętą do działania w kierunku tego, żeby je urzeczywistnić. Chociaż... z kwiatu marzenia różne owoce mogą wyrosnąć...

Życie... Żeby poznać prawdziwy jego smak, niejednen kielich goryczy trzeba czasem wychylić, a i tak, kiedy koniec przyjdzie, żal będzie, że się wszystkiego posmakować nie zdążyło, a nie jest wart życia ten, co go nie ceni. Niejeden na starość płacze, że nic mu życie nie dało, ale co on sam zrobił, aby coś od niego otrzymać?

Święty Augustyn powiedział, że istnieją dwa rodzaje życia: życie ciała i życie duszy. I że jak dusza jest życiem ciała, tak i Bóg jest życiem duszy.

Oczy się zamykają... wyciągam się wygodniej i zanim zasnę, myślę, że niektóre sny się sprawdzają. Czy to dobrze, że nie wszystkie?

[1] Dziś Krzemionki Opatowskie, wieś ok. 10 km na północny-wschód od Ostrowca Świętokrzyskiego. W pobliżu znajdują się ślady kopalni krzemienia na broń i narzędzia sprzed ok. 1500 r. p.n.e., pozostałości szybów i chodników podziemnych, do których autor miał okazję wejść, stąd właśnie te miejsca znalazły się w powieści.

Cóż by warte było życie, gdyby wszystko z góry dało się przewidzieć? Czyż nie jest ono jak teatr, na którego scenie pojawiają się wciąż nowi aktorzy, odgrywający coraz nowe sztuki i gdzie nam samym wypada czasem być aktorami przedstawianego dramatu? A ja sam – w jakiej grze biorę teraz udział i jaka rola mi w niej przypada? Czym jestem: aktorem, widzem, współautorem sztuki czy tym wszystkim po trosze?

*

W niedzielę po mszy świętej odprawionej przez Łukasza ksiądz Stanisław zaraz się pożegnał. Wsiadł na czekający już wóz i odjechał do Ostrowca, gdzie mieszkał.

Do Łukasza podszedł pan Górowiński. Powiedział coś do niego, po czym obaj weszli do kaplicy, przymykając za sobą drzwi.

Uczestnicy nabożeństwa, co tworzyli grupki złożone z sąsiadów i znajomych – bo jak się trafi okazja, zawsze jest o czym porozmawiać – powoli zaczęli się rozchodzić.

Szedłem w stronę domu sołtysa, gdzie chciałem poczekać na Łukasza, żebyśmy razem postanowili, co dalej mamy poczynać, gdy drogę zastąpił mi dziad, którego wczoraj widzieliśmy w mijanej wsi.

– Słówko miałbym do waszmości pana – powiedział, dotykając kapelusza. – Jak słyszę, do Kryspina trafić chcecie?

– Dobrze słyszycie, a usłyszeliście to jeszcze wczoraj, gdyście umknęli, dowiedziawszy się, kogo szukamy.

– Wczoraj to było wczoraj, a dziś jest dziś. Nowy dzień zawsze coś nowego przyniesie, słuchajcie więc. Pójdziecie w tę stronę – wskazał ręką – a za pół mili, gdzie droga w stronę rzeki się skieruje, zobaczycie dąb wielki piorunem rozszczepiony. Koło niego trzeba skręcić w las i prosto przez niego iść ku zachodowi, nigdzie nie zbaczając i drogi nie szukając. I tak na polanę traficie, gdzie Kryspin żyje i tam na was czekać będzie.

– Czekać będzie? – powtórzyłem. – A skądże by miał o nas wiedzieć?

– Skąd wie, to wie, jego to sprawa. No to ostatecznie, bo mnie w inną stronę trzeba.

Chwyciłem go za rękaw i przytrzymałem.

– Czekajcie, więc koło rozszczepionego dębu prosto w las trzeba iść? A jest tam jakaś droga? Jaka długa?

– Kto szuka, ten znajdzie. A nie, to i bez drogi trafi. Na zachód, mówię, stale trzeba iść. A droga dla jednego długa, dla drugiego krótka... i tyle... Tu zawrócił i ciężko się opierając na kij, poszedł drogą na Ostrowiec.

Stałem chwilę, jakby oszołomiony tym, co usłyszałem, i gdyby nie to, że postać dziada wciąż miałem przed oczami, kiedy się oddalał, myślałbym, że to wszystko mi się uroiło.

Człowiekowi tak często przychodzi na coś czekać, że już powinien się do tego przyzwyczaić i jeśli nie ma innej rady, zachowując spokój, czekać na to, co się ma zdarzyć. Ale jak spokojowi z niecierpliwością przyjdzie się zmagać, ta druga zawsze

wygrywa, struny naszych nerwów szarpie i spokój diabli biorą.

Przysiadłem na kamieniu, żeby zaczekać na Łukasza. Ale nie mogąc usiedzieć, co chwila wstawałem, parę kroków w tę i tamtą stronę robiłem, siadałem i znów wstawałem, i tak zastał mnie Łukasz. Żartobliwie zapytał, czy mrówki mi pod koszulą łożą, ale jak się dowiedział o informacji przekazanej przez dziada, spoważniał i widać było, że jest bardzo poruszony.

– A nie mówił, jak długo przez las trzeba iść?

– Nierozmowny był. Powiedział, co powiedział, i poszedł, jakbyśmy go tyle obchodzili, co zeszłoroczny śnieg.

– Niewątpliwie jakieś bliższe znajomości musi utrzymywać z Kryspinem i zanim drogę do niego nam wskazał, chciał się z nim porozumieć. A to nie musi być daleko, skoro zdążył zajść do niego i wrócić. No to co zrobimy? Jeszcze południa nie ma, jeśli zaraz wyruszymy, to może do wieczora nasze poszukiwania się skończą... Jedno jeszcze wydaje mi się dziwne. Skoro Kryspin gdzieś w pobliżu zamieszkuje, to dlaczego mało kto o nim wie, a jeśli wie, to tylko ze słyszenia?

– Jeśli jest czarownikiem, to może mieć swoje sposoby – zasugerowałem. – Na świecie natknąć się można na dziwy, o jakich nam się nie śniło. Idźmy więc po naszą kobiałkę, zabierajmy lary i penaty i w drogę!

– I coś w kobiałkę musimy wziąć na drogę. Biedni nie jesteśmy, bo oprócz tego, co nas karczma kosztowała, kapitały nasze nie zostały naruszone.

*

Gdy przy rozszczepionym dębie skręciliśmy w las, Łukasz zaraz zdjął sutannę, przebrał się i przysiedliśmy na chwilę.

– Czego chciał od ciebie pan Górowiński?

– Wyspowiadać się, o życiu porozmawiać i rady poszukać.

– Rady? Czego dotyczącej?

– Co ksiądz na spowiedzi usłyszy, to jeno dla siebie zachować może, nawet gdyby tylko uszy przyjaciela chciały się dowiedzieć. Tyle tylko ci powiem, zem po spowiedzi skorzystał z okazji, aby aluzjami poruszyć sprawę tego chłopca, co żenić się chce, bo jak się okazuje, jest on poddanym pana Górowińskiego. I mam nadzieję, że po Bożemu załatwione to będzie.

– Długo musiałeś go namawiać?

– Oto zapytał mnie, jak mógłby Boga o łaskę pewną uprosić. Powiedziałem, że jeśli się kogoś o łaskę prosi, to samemu też można by podobną okazać komuś, kto jej potrzebuje. Może ktoś zależny od niego w potrzebie się znalazł i sam poradzić sobie nie może? Bóg przychylniej spojrzy na takiego, co swoim poddanym nie ojczymem, jeno ojcem będzie chciał się okazać. A traf chciał, że gdyśmy z kaplicy wyszli, zobaczył chłopaka z dziewczyną, jak szli, trzymając się za ręce.

– Tego samego?

– Nie, ale po sposobie, w jaki pan Górowiński na nich patrzył, domyślam się, że może jakieś skojarzenia mu się nasunęły. Ziarno zostało zasiane, może coś z niego wyrośnie. No, to w drogę.

*

Gdybyśmy szli do celu w linii prostej, już najwyżej po jednej godzinie znaleźlibyśmy Kryspina, ale w tym rzecz, że nie można było iść prosto. Wkrótce ledwo widoczna ścieżka jakby się rozplynęła w gęstym podszyciu lasu. Tu i tam trafiliśmy na złamane gałęzie albo wgniecioną trawę, ale nie wiedzieliśmy, kto te ślady zostawił i czy powinniśmy ich się trzymać.

Napotykaliliśmy jakieś wąwozy, wdrapywaliśmy się na wzniesienia, czasem trafiając na niewielkie polanki nagrzane słońcem, gdzie stojące nieruchomo duszne powietrze przesycone było zapachem traw i ziół. Na jednej z takich polanek zmęczeni ułożyliśmy się na trawie, żeby wypocząć, i patrzyliśmy na płynące po niebie obłoki. W głowie czułem miły usypiający szum, przez zaciśnięte powieki przeświecał blask słońca. Dobrze mi było tak leżeć i z niechęcią myślałem, że trzeba będzie wstać i iść dalej.

– Czy myślisz – zapytałem – że można wierzyć temu dziadowi? Może pokazał nam zły kierunek, żebyśmy nie tylko nie znaleźli owego Kryspina, ale i zgubili drogę powrotną? A jeśli go znajdziemy, co nam z tego przyjdzie?

– Szukanie zawsze będzie miało sens, jeśli coś znajdziemy, choćby było to czymś innym od tego, czego szukaliśmy, bo staniemy się bogatsi o doświadczenie. Zaspokojenie ciekawości niesie czasem skutki dziwne i zaskakujące. I zauważ, że jeśli kto utraci ciekawość, to znaczy, że zgrzybiał już na tyle, że wszystko mu zubożyło. Kto ciekawości w sobie nigdy nie posiadał albo już nie posiada, ten jakby nikomu niepotrzebny bez celu plątał się po świecie. Szukając czegoś – to jakbyśmy okrętem płynęli, po drodze różne krainy zwiedzając; z kolei ciekawość – to wiatr dmący w żagle naszego okrętu. A kiedy już wreszcie do jakiegoś brzegu przybijemy – któż wie, jakie niespodzianki nas tam spotkają? Może nowe tajemnice, dla których odkrycia w nową podróż trzeba się będzie wypuścić? – Tu nagle brwi zmarszczył i z zainteresowaniem zaczął się wpatrywać w przeciwległy kraniec polany.

Spojrzałem tam i ja, ale niczego szczególnego nie zobaczyłem.

– Czekaj, czekaj... – powiedział, podnosząc się – co to może być? Popatrzmy...

Wzięliśmy nasze sakwy i przeszliśmy do miejsca, które zwróciło jego uwagę. To, co z daleka wydawało się pagórkami, było resztkami chaty rozpadłej tak dawno, że jej spróchniałe i zgniłe ściany na ziemię zwalone, zdążyły porosnąć nowym lasem, którego korzenie w tym próchnie chciwie pokarmu szukały.

Obeszliśmy znalezisko, tam zobaczyliśmy podobne jeszcze drugie i trzecie. Te dwie kolejne chaty później chyba popadły w ruinę, bo mniejsze drzewa je porastały. A wszystko tak się zlewało z otoczeniem, że można było przejść obok, niczego nie zauważając. Szliśmy ostrożnie, kawałkami gałęzi podjętymi z ziemi rozgarniając przed sobą trawę i krzewy, niepewni, na co noga może natrafić, gdy ukazała się naszym oczom niewielka polanka, na której skraju stał dom, a raczej jego ruina, służąca jednak komuś za schronienie, bo stała przy niej studnia z żurawiem i drewnianym cebrem na nim wiszącym.

– Kryspin... – ledwo słyszalnie wyszeptał Łukasz.

Prawdę mówiąc, do tej pory na dźwięk jego imienia nikogo konkretnego sobie nie

wyobrażałem. W myślach była to po prostu jakaś mglista osobowość kogoś starego, mającego nam coś do powiedzenia. Ale to, co zobaczyłem po przekroczeniu progu, przekreśliło wszystkie moje przypuszczenia.

Był to starzec ogromnej postury, w brudnej, rozchełstanej na piersiach koszuli i równie brudnych, podartych portkach, siedzący na rozbebeszonym barłogu z bosymi nogami spuszczoneymi na podłogę. Zarówno rzadkie siwe włosy na głowie, jak i zarost na twarzy wyglądały, jakby sam siebie postrzygał, posługując się nożycami do strzyżenia owiec. Spod siwych, gęstych, obwisłych brwi ledwo było widać oczy nieokreślonej barwy, niepasujące do całej postaci, bo patrzące na przybyszów ostro i niechętnie.

Całe umeblowanie izby stanowił barłóg, stary stół zбитy z desek – nie można było poznać, czy heblowanych, bo tak porosły brudem, jak jego właściciel – i dwa trójnożne zydle. Obramowane kamieniami ognisko w kącie było wygasłe. Kiedy się na nim paliło, dym musiał się wydostawać przez nieszczelny dach, bo nie było komina. Podłoga z ubitej ziemi pełna była śmieci i nierówności, a jedyne małe okienko zaciągnięte jakimś błonami niewiele światła wpuszczało do środka.

Gdyśmy przekroczyli próg, gospodarz odstawił na stół trzymany właśnie garnuszek i popatrzył na nas, trzymając dłonie na kolanach.

– I co – odezwał się. – Czego chcą? Po co tu przyszli? Czego mnie szukali?

Nie wiem, jak Łukasza, ale mnie te proste słowa zbiły z tropu.

– To wy jesteście Kryspin? – zapytałem niepewnie.

– Kryspin. I co? Czego chcą od Kryspina? ...Niech nie stoją, tam są stołki.

Usiedliśmy z obawą, czy się do czegoś nie przylepimy. Łukasz głęboko odetchnął.

– Był tu pewien człowiek imieniem Damian. Pamiętacie go?

– A powinienem? Dlaczego?

– O „Przesłaniu” czy „Przekazaniu” jakimś mu powiedzieliście. I obrazek jakiś wam tu pozostawił. Macie go jeszcze?

Sękaty palec wskazał na ścianę koło okna.

Łukasz podszedł, wyjął obrazek ze szpary i obejrzał. Był to wizerunek opartego o drzewo św. Sebastiana, naszpikowanego sterczącymi zeń strzałami.

Stary zachichotał, aż brzuch mu się zatrzęsł.

– Czemu się śmiejecie? – zdziwił się Łukasz.

– A bo tyle strzał w nim siedzi i on stoi, hi, hi, hi!

– I co z tego, że stoi?

– A bo co to za strzelcy byli, co w niego puścili tyle strzał i stoi? Mnie by jedna wystarczyła, żeby go położyć.

Łukasz tylko się uśmiechnął i obrazek na powrót w szparę wetknął.

– Nie o strzelców tu chodzi, ale nie o tym będziemy mówić. Spodziewaliśmy się tu zobaczyć osadę zamieszkałą... sami tu żyjecie?

– A tak... Co to znaczy „życie”? Marność! Było i nie ma... a jak przestaje być, to gdzie się podziewa? Rozwiewa się jak dym po świecie, czy wraca skąd przyszło? Gdzie?

– Damian mówił, że, rodzinę mieliście.

– Kto jej nie miał? Na wszystko czas przychodzi. Życie wtedy jeno warte jest życia, jak je przeżyjesz i wiesz, co straciłeś, co masz, coś znalazł, a coś zgubił.

– A czym jest jakieś „Przekazanie”, o którym podobno wiecie?

– Jest ciężarem, co za jakieś winy dalekich naszych przodków dźwignąć muszę, a przechodzi ono od pokoleń z ojca na syna. A jak mnie już przyjdzie oczy zamknąć, to nie będzie komu dalej go nieść, bom ja jest z rodu naszego ostatni, a brata mojego nie liczę. On nie wie...

– Czemu to ma służyć? Dlaczego pamięć o czymś jest taka ważna?

– Któż to może wiedzieć? Praojce nasze tak postanowiły, a wnuki były temu posłuszne i nie nam było dociekać słuszności onego. Ponoć strzec mamy czegoś, co ukryte jest, a zaginać nie powinno. My, nosiciele tajny onej, drogę mamy wskazać komuś, kto przyjdzie, a wtedy brzemienia się pozbędziemy. „Przekazanie” się spełni, a bogowie ostatniego z nas wezmą do siebie.

– A może – przypuścił Łukasz – to myśmy zostali wyznaczeni do dopełnienia „Przekazania”, i to nas we właściwej porze losy do was przyniosły? Może już czas, żeby się zakończyło to, co się zaczęło za pradziadów waszych? Jakie ono jest, to „Przekazanie”? Przekażcie je nam, a my się przekonamy, czy podołamy dokonać tego, czego ono wymaga?

Stary oczy zamknął, na twarzy jego pokazał się wysiłek, usta zadrżały i jakby w letarg popadł. Długo to trwało, a myśmy milczenia przerywać nie śmieli. Wreszcie Kryspin uniósł głowę, nie otwierając oczu, i z gęstwy zarostu popłynęły śpiewne słowa:

– Dawno, pradawno to było, dopiero zrodziły się góry, na szczytach ich bogów siedziby w podniebnych obłokach się kryły. Łaskawie patrzyli na ludzi, co kornie im żertwy znosili, a jeśli ci o coś prosili, nie odprawiali ich z niczym.

I była i zgoda, i spokój, aliści razu pewnego dwaj tu się rycerze zjawili, niezgodę przynieśli i walczyć zaczęli ze sobą.

Ich miecze iskrami sypały, co w niebo pryskały gwiazdami, ramiona mocarne jak dęby, las wrywały jak trawę, skałami rzucali na siebie, aż ziemia się trzęsła dokoła. Jeden drugiemu chciał zabrać sztandar złocistoczerwony, na którym orzeł zwycięski skrzydła do lotu rozkładał. Z rąk do rąk sztandar przechodził, aż siły jednemu nie stało, w kreta się czarnego obrócił i w ziemi się zarył głęboko. A drugi w łasicę się zmienił i dalej pod ziemią go ścigał.

I dziury wciąż głębsze i głębsze wiercili w podziemnej pogoni, aż zagniewani bogowie głaz wielki z nieba zrzucili, co wyjście rycerzom przywalił, w podziemiu ich zamknął na wieki. Sen wielki na nich spuścili, co póty ich będzie spowijał, aż czas ich ze sobą pogodzi i właśnie z pamięci wymaże. A wtedy ktoś kamień odwali, i orzeł na słońce wyleci...

Na drzewa podziemnym konarze snem długim ptak śpi złocisty. A przy nim, gdy znajdziesz, co znajdziesz, pod głazem z pieczęcią ukryte, nie tykaj tego, gdy nie znasz tajnego słowa formuły. Tam tajemnice tajemnic swojego czasu czekają, przed królem Pięknym ukryte, przed królem Pięknym ukryte, co ścigał rycerzy Chrystusa...

Przed królem Pięknym ukryte...

– I co wtedy będzie? – zapytałem, zasłuchany w monotonne słowa.

– Któż to wie? Może rycerze wyjdą na świat, jeśli się pojedną, a ten złoty ptak, o którego walczyli, chwyci ich szponami i uniesie ku chmurom, gdzie siedzą bogowie,

a oni staną się równi bogom? Któż to wie?

– A gdzie jest ten głaz, który ich przywalił? Gdzie się ta walka odbyła?

– Pokażę wam jeno kierunek, w jakim trzeba iść, sami trafić musicie, to miejsce przez bogów jest strzeżone. To jest święta polana.

– Czyżbyście wierzyli w pogańskich bogów? – zapytał Paweł.

– Jeśli nowy Bóg się narodził, czy dawni bogowie pomarli? Jak wam się uda głaz odwalić, to znaczy, że czas się dopełnił i stanie się, co ma się stać. A jeśli na to jeszcze za wcześnie, możecie nie wrócić. Starym bogom niedobrze się narażać.

– Nasz Bóg jest silniejszy od tych waszych starych.

– Ów Damian, jak go zwiecie, mówił, że Jego ukrzyżowali. Jaką siłę ma ten, co tak się pozwolił umęczyć?

Łukasz chciał coś powiedzieć, ale stary wstał, a gdy się wyprostował, to chociaż zgarbiony był, prawie o głowę nas przewyższał. Sięgnął po kostur.

– Chodźcie, pokażę, jak trzeba iść. Ale dziś już późno. Jutro przed południem trzeba wam być na miejscu, i nie zwlekając wrócić, bo jak słońce pół drogi po niebie przejdzie, burza wielka naleci na puszcę.

– Skąd to możecie wiedzieć?

Kryspin obojętnie ramionami wzruszył i nic nie mówiąc, poprowadził nas ku brzegowi polany. Pokazał małą, ledwo widoczną ścieżkę.

– Ta dróżka prowadzi daleko, do rzeki, ale aż do niej nie potrzeba wam iść. Tam, gdzie ona mocno skręci na prawo, wy pójdziecie dalej prosto przed siebie, przez las, nigdzie nie zbaczając. Traficie na polankę kamienistą, może tam znajdziecie, co macie znaleźć. Iść to najlepiej o świcie. A w nocy może sen wam poradzi, czy iść macie do onej skały, czy może się lepiej wrócić, póki czas. To mówiąc, ciężko poczłapał do domu. Poszliśmy za nim.

– Gdzie tutaj możemy przenocować? – zapytał Łukasz.

– A gdzie sobie chcecie, tutaj nie karczma...

Spojrzelśmy z Łukaszem na siebie, strapieni taką odpowiedzią, chociaż, czego mogliśmy się spodziewać, widząc, jak tu jest? Łukasz skinął na mnie i wyszliśmy na dwór.

– No to co robimy? W chacie na brudnym klepisku spać nie będziemy, z gałęzi postawimy sobie szałas i tę noc jakoś przebijemy, a jutro będzie, co Bóg da. Bierzmy się do roboty, póki widno.

W tobołku mieliśmy siekierkę, przed chatą była druga wbita w pień, więc wkrótce stanął szałas z gałęzi opartych o ścianę domu, wysłany drobnymi gałązkami świerka. Przewiewne i prymitywne było to schronienie, ale chociaż niewiele osłaniało nas przed nocnym chłodem, to mieliśmy jaki taki dach nad głową. Wyciągnąłem wody ze studni, żeby popić chleb z serem, który wzięliśmy z Krzemionek, i to był nasz cały wieczorny posiłek.

Łukasz wyjął modlitewnik i zaczął odprawiać wieczorne modlitwy, a ja „Ojcze nasz” i „Zdrowaś” odmówiwszy, nie chciałem mu przeszkadzać, więc wstąpiłem do chaty porozmawiać z Kryspinem, jeśli się uda. Zostałem go na poprzednim miejscu siedzącego, jedzącego jakiś placek.

– I co? – zapytał, widząc mnie. – Czego jeszcze?

– A nic. Do nocy trochę czasu zostało, to porozmawiać bym chciał. Jak to jest, że niejeden wie o Kryspinie, a nikt nie wie, jaki on jest i gdzie zamieszkuje? Przecie wśród ludzi musicie bywać?

– A po co im znać dziada proszalnego, jak na progu stanie? Dziad to dziad. Jak u kowala miechem podymam, to mi siekierę poklepie, jak babie bolące zęby zamówię, komu rękę czy nogę nastawię, to jajek albo mąki dadzą, i tyle. A wieść puściłem, że czarownik w puszczy żyje i zaczarowanej polany pilnuje. To i wiedzą o Kryspinie, że taki jest, ale wołają o nim nie wiedzieć, ani go szukać, ani mówić o nim.

W tej chwili zajął Łukasz, a widząc nas rozmawiających, podszedł, usiadł na stołku i powiedział, że o jakiejś tulejce słyszał, co tu ma być przechowana, i chciałby ją zobaczyć. Zapytał też, skąd się tu wzięła.

– Od zawsze tu była – wzruszył ramionami Kryspin. – Pono ktoś ją kiedyś na polanie z kamieniem znalazł. Tam, w kącie, między deskami siedzi.

Cynowa tulejka długa na pięćdziesiąt a szeroka na trzy palce ze starości była krucha jak suchy liść. Łukasz zdjął z niej nasuwane wieczko i zawartość wysypał na stół. Było tam parę kartek papirusu w stanie dużo gorszym niż ten, który był w kalendarzu. Nie tylko rysunki na nich bardziej wyblakły, ale i same kartki rozpadały się przy dotknięciu. Niegdyś ściśnięte w ciasny zwitek i od wieków traktowane jak coś, co jest, ale z czym nie wiadomo, co zrobić, przechowywane w wilgoci – w naszych oczach stały się przeszłością, jak te czasy, których były świadkami.

Kryspin głową pokiwał.

– Wszystko ma swój czas. I to, co żyje, i to, co nie żyje, a co początek miało i koniec mieć musi...

O tej porze wieczór szybko zapadał, więc póki jeszcze było światło, ulokowaliśmy się w szałasie, nie zdejmując ubrania, bośmy nie mieli czym się okryć. Nie chcieliśmy pytać o jakieś derki do przykrycia, widząc, w jakim stanie wszystko w tej chacie się znajduje. Nie było nam do snu. Obce miejsce, niesamowity Kryspin i obawa, czy jakieś zwierzęta nas nie odwiedzą – bośmy zapomnieli o to zapytać – nie zachęcały do zamykania oczu. Długo leżeliśmy, milcząc, każdy pogrążony w swoich myślach.

Człowiek nie zawsze rządzi swoimi myślami, czasem to one rządzą nim. W głowie ciągle coś nowego się roi, jedna myśl prowadzi do drugiej, z drugiej wynika trzecia i tak się to ciągnie jak łańcuch przyczyn i skutków. A chociaż wiadomo, jaki impuls dał początek pierwszej myśli, nie można przewidzieć, co będzie na końcu tego łańcucha, który to przyrównać można do drogi bez powrotu albo wody płynącej w jedną stronę.

Myśli często chadzają błędnymi drogami, a jeśli za błędną myślą pójdzie błędny czyn, sprowadzi na manowce, z których trudno się będzie wydostać.

Łukasz wyczuł, że nie śpię, bo poruszył się na swoim legowisku.

– Też nie możesz usnąć? O czym teraz myślisz? – zapytałem szeptem.

– Zastanawiam się, skąd się wzięło to podanie o rycerzach. Może podobne legendy tworzone są z chęci urozmaicenia monotonnego życia, dla rozrywki i ubarwienia przeszłości? Pamięć o przeszłości żyje nie tylko dzięki pamięci historii, ale także zachowanym pieśniom i legendom. Myślę, że może w każdej legendzie jest coś, co się

mogło zdarzyć, co ją stworzyło i z czasem obrastało w coraz to nowe historie. Rycerze też mogli być faktem, a skoro się bili, to nie dla przyjemności, ale o coś, więc czemu nie miałyby to być sztandar z „Przekazania”? Natomiast cała reszta, że wyrwali drzewa jak trawę, rzucali skałami i tym podobne dodatki, posłużyły dla ubarwienia opowieści. To, że walczyli pod ziemią, może być jakąś przenośnią, a kto wie, czy naprawdę nie ma tam jakiejś jaskini, w której zostali pogrzebani, niekoniecznie przez bogów?

– A jeśli pod tym kamieniem, który trzeba odwalić, coś jest, to ciekawe, co to może być?

– Jeśli to istotnie jest miejsce, którego szukamy, to chciałbym wiedzieć, czym się ono wyróżnia, skoro na naszej mapie oznaczono je krzyżykiem. Obejrzymy to sobie, a zaspokoiwszy ciekawość, wrócimy do domu. Bo na dobrą sprawę nie wiemy, czego szukamy.

– Szkoda, że nie mogliśmy zobaczyć, co było na tych kartkach, które się rozsypały.

– Ale można się domyślać. Skoro na tej naszej jest koniec „mapy” – a nie wątpię, że to jest jej ostatnia część – to na jednej z nich był początek. Gdybyśmy je mieli wszystkie, można by odtworzyć drogę tego, co ją rysował. Szkoda, przepadło... A może to całe „Przekazanie” też jest jak bajka o Smoku Wawelskim, jeno po to, żeby było o czym opowiadać, a nie o czymś świadczyć? Ale spróbujmy już spać...

Mnie też oczy zaczęły się kleić, ale robiło się coraz zimniej. Skuliłem się, jak mogłem, próbując okryć się kurtką, ale i tak miałem wrażenie, że ziąb powoli zaczyna przenikać mnie do kości. Przez gałęzie naszego schronienia przeświecały gwiazdy, a gdy na nie patrzyłem, wydawało się, że jest jeszcze zimniej.

Mimo to próbowałem usnąć i jeszcze zasypiając, pomyślałem sobie, jaką potężną siłą jest ciekawość i dociekliwość człowieka. To ona jest siłą, co pcha świat naprzód, bo wciąż każe poznawać coś nowego, a to nowe jest jak kamyk – sam w sobie może niewiele znaczyć, ale z wielu takich po trochu dorzucanych powstaje góra wiedzy... Człowiek bez ciekawości byłby żabą, której nie chce się ruszyć ze swojej kałuży...

Nie spałem dobrze. Smok wyłaził z jamy pod Wawelem i szczyrzył na mnie zęby, dziwne ptaki z krzykiem krążyły nad głową, a ja stałem boso na śniegu i trząsałem się z zimna a może ze strachu, patrząc, jak rycerze w zbrojach uderzają mieczami o tarcze coraz mocniej i mocniej, aż ich szcęk mnie obudził. Zbudziłem się skostniały i istotnie trząsałem się z zimna, a to, co wyrwało mnie ze snu, to było skrzypienie żurawia przy studni, bo Łukasz właśnie ceber z niej wyciągał.

Niebo nad lasem dopiero rozpalało się czerwienią, na trawie leżała biała rosa. Powietrze stało nieruchomo, bez najmniejszego powiewu, zimno przenikało mnie do szpiku kości. Żaden ptak się nie pokazał, żaden głos nie zakłócił ciszy, prócz owego skrzygu studziennego żurawia. Łukasz przechylił ceber z wodą, wlewając ją do wydłubanego z pnia koryta, i wtedy mnie zauważył.

– O, już się obudziłeś! Pobiegaj po podwórzu, pomachaj rękami, to się rozgrzejesz. Podszedłem do studni ochlapać senne oczy i spojrzałem na chatę.

– Kryspin jeszcze śpi?

– Źle z nim. Dziwię się, że jeszcze może chodzić. Ten człowiek jest ciężko chory na serce. Zauważyłeś, jakie ma obrzękłe nogi, siną twarz, ciężko oddycha i jak dłoń często przykłada do piersi? Na dobrą sprawę powinien leżeć pod dobrą opieką. Wracając, wstąpimy tutaj, zobaczymy, co się z nim dzieje i jak można mu pomóc, a teraz niech sobie pośpi. Bierzemy swoje worki i w drogę.

– Nie będziemy teraz jeść?

– Nie warto, jeszcze wcześniej, a jakże nam, tak wyziębniętym, zimną wodą popijać to, co jeszcze w torbie zostało? Słońce pójdzie wyżej, cieplej się zrobi, to sobie usiądziemy i posilimy się.

Kryspin jednak wyrzwał z chaty. Niepewnie stał na nogach jedną ręką na kosturze oparty, a drugą zaciskając koszulę na piersiach.

– Idziecie? A wracajcie skoro, bo w kościach czuję burzę i zmianę pogody. A jak do świętego kamienia dojdziecie, przeproście bogów, żeby się nie gniewali, że chcecie go ruszyć.

Dziwne mi się wydało, że chociaż już sześćset lat przeszło jak naród nasz wiarę chrześcijańską przyjął, są jeszcze w Polsce takie zakątki, gdzie można się spotkać z pogaństwem.

– A nie byłoby w co wody wziąć? – zapytał Łukasz, gdyśmy już sakwy swoje zarzucali na ramiona.

– Jest dzbanek, to go sobie weźcie, jeno nie ma czym zatkać, ale jak będziecie uważać, to może nie rozlejecie.

– A wy sami macie co jeść? Nie widziałem, żebyście na wieczerzę mieli jakiś posiłek. Jak chcecie, to w kobiałce mamy chleb i ser, podzielimy się – zaofiarował się Łukasz.

Kryspin ręką tylko machnął.

– Idźcie już. Jest taki, co przyniesie, czego mi potrzeba, a ja położyć się muszę. Jak

chodzę, dławi mnie, a jak poleżę, to przechodzi.

*

Szliśmy wąską dróżką, gdzie od czasu do czasu pojawiały się ślady wozu, który ostatni raz pewnie przejechał wiele lat temu, bo koleiny zarosły trawą i krzakami, a tu i ówdzie nawet spore drzewka zdążyły na nich wyrosnąć. Mieszany las zwieszał nad nami swój dach, pod nogami chrzęściły opadłe szyszki i gałązki.

Słońce tymczasem już wstało, rzucając z ukosa promienie prześwitujące przez gałęzie i zapalając migocące blaski na kroplach rosy. Taki pogodny dzień odbija się pogodą w duszy człowieka, zwłaszcza jeśli w tym czasie nie ma żadnego obowiązku do wykonania i może robić, co mu się podoba. Czułem się dziwnie podniecony i mimowolnie przyspieszyłem kroku, jakby szybciej chcąc zobaczyć to nieznane, co czeka na końcu drogi.

– Zastanawiam się – odezwał się Łukasz – czy mieszkańcy tego osiedla wiedzieli coś o chrześcijaństwie, czy je znali, czy od początku modlili się do swoich bogów, składali im ofiary i byli poganami z dziada pradziada.

– Skoro Damian chodził po świecie, głosząc słowo Boże, to chyba im objaśnił, co krzyż znaczy.

– Głosić słowo Boże, a sprawić, żeby ludzie w nie uwierzyli, to nie to samo. Taki Kryspin, jeśli nawet słuchał, to do jego duszy nie musiało dotrzeć to samo, co do uszu. Wędrowny mnich jest jak siewca, co idzie i po drodze rzuca ziarno w jałową, być może, glebę, który jak dalej pójdzie, nie zdąży zobaczyć, czy coś z tego ziarna wyrosło. Zważmy też, o czym mówimy. Damian był tu zaledwie kilka tygodni. A może dni? Bo już mu się myliło, i nie wiemy, jak długo siedział u Kryspina. Jeśli chciał kogoś nawracać, to chyba tylko jego samego. Obrazek świętego Sebastiana mu zostawił, więc może próbował...

– A gdy tacy jak Kryspin pomrą, to jak myślisz, dokąd pójną ich dusze? Do piekła czy do czyśćca?

– Ktoś powiedział, że deszcz jednako pada na świętych i na grzeszników, mniemam więc, że łaska Boża też jednako wszystkich ogarnia, jeśli ktoś jej świadomie nie odrzuci. Ufajmy więc, że takie dusze nie pójną na wieczne potępienie. Przeto w niebie ani poganie, ani chrześcijanie liczyć się będą, jeno sprawiedliwi.

Tak rozmawiając, doszliśmy do miejsca, gdzie, jak Kryspin uprzedzał, ścieżka ostro skręcała w prawo, i przystanęliśmy.

– Aleśmy wleźli – przerwałem milczenie. – I pomyśleć, że dobrowolnie szukamy tu guza albo czegoś gorszego. Obyśmy tylko wracając, umieli trafić tam, skąd przyszliśmy. Już chyba niedaleko.

Irzeczywiście już nie było daleko. Drzewa stopniowo się przeredzały i w prześwicie wśród pni i zarośli ukazał się cel naszej wędrowki. Drzewa stały jak zielony mur wokół podłużnej polany, z rzadka porosłej trawą, zielskiem, krzakami jałowca, zaroślami kolczastych jeżyn i paprocią, wśród których leżały rozrzucone duże i małe głazy, a wprost przed naszymi oczami stała szara przysadzista skała wysokości prawie wzrostu człowieka. Wśród otoczenia mniejszych kamieni, jaśniejac w jaskrawym słońcu, wydawała się uosobieniem siły i mocy strzegącej tego miejsca.

Z westchnieniem ulgi siedliśmy na trawie, wyciągając nogi i patrząc na skałę, z powodu której tutaj się znaleźliśmy. Zdawała się mocno tkwić w ziemi. Szersza u podstawy, miała kształt nieregularnego ściętego stożka o takiej średnicy u góry, że ktoś taki jak ja mógłby ją objąć jednym ramieniem. Wyglądała, jakby się nad czymś rozsiała. W chropowatej powierzchni tkwiły tu i ówdzie lśniące gładzią kawałki krzemienia, a na kawałku płaskiego miejsca, u samej góry, wyróżniał się wydrapany krzyż, świadectwo bytności tu Damiana.

– To miejsce wygląda tak, jakby istotnie jacyś mocarze tu walczyli, ciskając w siebie tymi kamieniami, co je tu widzimy – zauważyłem.

– I co ciekawe, wszędzie dookoła jest las, a polana nim nie porosła. Jeśli naprawdę była tu jakaś walka przed wiekami, to od tego czasu i pokolenia drzew miałyby czas tu wyrosnąć. Że ich tu nie ma, musi być jakaś tego przyczyna.

– A ten głaz wydaje się być mocno wrośnięty w ziemię. Rozważam, co pod nim znajdziemy. Jeśli damy radę go odwalić.

– Pewien Grek starożytny, Ksenofont, daje taką radę: „Kiedy ktoś cię prosi, abyś poruszył górę, zapomnij o jej rozmiarze. Spróbuj po prostu najpierw obluzować pierwszy kamień”. Co się wyklada w ten sposób, żeby się nie zniechęcać trudnością przedsięwzięcia, tylko sprawić, aby to, co się wydaje niemożliwe, stało się możliwe. Ale zanim weźmiemy się do roboty trzeba coś przegryźć, żeby mieć siłę, której dużo będziemy potrzebować. Chodźmy do cienia, bo się robi gorąco.

Istotnie, chociaż do południa było jeszcze sporo czasu, słońce nagrzewało polanę jak patelnię, bo nie było tu żadnego przewiewu. Powietrze stało nieruchome i ciężkie od zapachu wszystkiego, co tu rosło. Przenieśliśmy się w miejsce, gdzie był większy cień, i wzięliśmy się do jedzenia.

– Chciałbym wiedzieć, kiedy wreszcie coś pożywniejszego będziemy mogli zjeść, a nie tylko suchy chleb z serem popijany wodą. – Niechętnie spojrzałem na zeschniętą kromkę.

– Nie narzekaj, apostołowie też nie mieli za dużo jadła!

– Ale mieli oliwki, daktyle, mleko, ryby i wino! Wina też bym się napił...

Jedząc, patrzyliśmy na skałę, którą mieliśmy odwalić, i miałem wrażenie, że i ona patrzy na nas i ocenia, kto komu da radę. Oby tylko się okazało, że jest to kamień postawiony na ziemi, a nie wetknięty w nią jak czop w beczkę, nie wiadomo jak głęboko. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że wyruszyłem w tę daleką podróż z ciekawości – nie po to, żeby coś znaleźć, ale żeby się przekonać, czy w ogóle coś znajdzie; a tymczasem wkrótce sprawdzimy, na co trafiliśmy. Bo to tej pory można było tylko snuć domysły, co się kryje pod tym krzyżykiem na karcie papirusu.

Teraz widzimy, że kamień. Ale znalazłszy go, natrafiliśmy na następne pytanie: co może się pod nim kryć? Skarb? Jakaś osobliwość? A może jeszcze coś innego, co było dla kogoś na tyle ważne, że chciał oznaczyć to miejsce tylko dla siebie, żeby tu trafić (skoro nie umieścił na swoim planie żadnego punktu odniesienia, który umożliwiłby trafienie tutaj komuś nieuprawnionemu)? Poczulem podziw dla Łukasza, który na podstawie tak niewielu danych, a właściwie żadnych nie mając, potrafił znaleźć to miejsce.

– Myślę – przerwał moje rozważania przyjaciel – że do odwalenia tego kamienia posłużymy się sposobem Archimedesza, który za pomocą dźwigni dość długiej i podparcia dla niej gotów był poruszyć Ziemię. Weź siekierę i wytnij ze dwa długie drażgi. Szkoda, że nie mamy rydla albo motyki.

Powiesiliśmy torby na gałęziach, żeby mrówki się do nich nie dostały. Łukasz znalazł płaski krzemień pasujący do dłoni, ukląkł i zaczął pod skałą wygrzebywać dołek, aby podsunąć pod nią dźwignię. Gdy wróciłem z ociosanymi drzewkami, zrzuciliśmy koszule, bo gorąco dawało się we znaki, i obaj zabraliśmy się do podkopywania głazu. Gdyśmy w kamienistej ziemi wygrzebali dziurę głęboką na dwie piędzi, wsunąłem tam rękę i pomacałem.

– Na wierzchu siedzi – rzekłem, gdy pod skałą wyczułem puste miejsce.

Wsadziliśmy do dziury dłuższy drażg, podłożyliśmy pod niego duży kamień, nacisnęliśmy drugi koniec i głaz się trochę poruszył.

– Dobrze – ucieszył się Łukasz – teraz ja tak potrzynam, a ty podłóż pod niego jeszcze ten drugi kamień, żeby się na powrót nie obsunął, jak będziemy dalej podnosić. Tylko uwaga, może jakieś żmije tam się chowają!

Żmij nie było i gdyśmy któryś kolejny raz z wysiłkiem nacisnęli koniec drażga i popchnęli, skała przewróciła się na bok, odsłaniając głęboką dziurę, którą zamykała. Odsapnęliśmy, ocierając pot z czoła. Gdyby głaz siedział w niej głębiej, jak korek, nie dalibyśmy rady go ruszyć, ale na szczęście tylko ją przykrywał.

– Nie wierzę, że ten kamień akurat w tym miejscu, gdzie jest ta dziura, znalazł się przypadkiem – powiedziałem – ale że w opowieści Kryspina musi tkwić ziarno prawdy, to fakt. Nie wierzę też w jego bogów, więc nie przypuszczam, że oni to zrobili, ale że ta dziura sama się nie zrobiła i nie zatkała, to drugi fakt. Ktoś musiał to zrobić, ale kto, kiedy i po co? Tego się nie dowiemy – i to jest trzeci fakt.

Podeszliśmy bliżej do otworu i zajrzeliśmy w głąb. Była to niby studnia szeroka na niecałe półtora łokcia i głęboka na półtora chłopa. Na jej ścianach było tyle wystających kamieni, że stawiając na nich nogi i zapierając się plecami, udałoby się zejść na dno, chociaż droga byłaby niewygodna z powodu ciasnoty.

– Widzę, że tam na dnie jest szerzej i z jednej strony z boku jest jakaś dziura. Zejdę tam i rozejrzę się.

– Tylko ostrożnie – ostrzegł Łukasz – czasem jak kopią studnię, na dnie zbiera się ciężkie złe powietrze i człowiek się dusi. Ja ci tam nie mogę pomóc, bo na zdrowiu mam taką wadę, że się duszę nie tylko, jak się znajdę w ciasnym miejscu, ale nawet jak to sobie wyobrażę. Jak tylko coś złego poczujesz, to wyłaź i daj sobie spokój. Szkoda, żeśmy jakiegoś sznura ze sobą nie wzięli.

Zapiąłem kurtkę, nacisnąłem czapkę i spuściłem nogi do jamy. Ciasno było. Namacałem stopą pierwszy wystający kamień, potem drugi i trzeci, i zapierając się plecami, powoli dotarłem do dna.

– Jak tam? Jest czym oddychać? – usłyszałem z góry.

– Jest! Tutaj z boku jest dziura. Z początku większa, a dalej widać, że się obniża i na czworakach trzeba będzie leżeć. Rzuć świecę i krzesiwo, to zobaczę!

Jak zapaliłem świecę, płomień lekko się zachybotał.

– Tu jest przewiew – jest powietrze, a tam dalej musi być jeszcze jakiś otwór. Włazę tam!

W jamie, do której wlałem, mogłem posuwać się tylko na czworakach. Nie widziałem dalej, jak na krok przed sobą, bo trzymając w wyciągniętej ręce świecę byłem przez nią częściowo oślepiany, a głowy nie mogłem podnieść, bo zaraz zaczepiałem o sklepienie. Kolanami wyczuwałem nierówności podłoża i wszystkie ostre kamyki, jakie mi się w nie wpijały, a też i w dłoń, i łokcie, którymi czasem też musiałem się podpierać.

Czasem było bardziej wąsko, wysokość też była różna i wyglądało to z grubsza tak, jakby twórcy tej dziury przebijali ją, wydłubując kamienie, których było chyba więcej niż ziemi, i wynosząc je na wierzch. Gdybym nie miał czapki, niejednego guza już bym się dorobił. Szczególnie dokuczały mi ostre kamyki leżące na podłożu. Nie sposób było je zauważyć i ominąć – znać o sobie dawały dopiero wtedy, gdy natrafiłem na nie dłonią albo kolanem.

Nie przychodziło mi do głowy, kto i po co mógłby takie dziury wykopać, ale jeśli w opowieści Kryspina było chociaż ziarno prawdy, to, co mówił, działo się bardzo dawno, co najmniej tak dawno, jak ktoś dał początek „Przekazaniu” albo jeszcze wcześniej.

Uznałem wreszcie, że Łukaszowi trzeba dać znak życia i powiedzieć mu, jak tu jest pod ziemią, żeby nie myślał, że coś mi się przytrafiło. Wycofałem się więc, a jak zadarłem głowę, zobaczyłem nad sobą jego twarz i powiedziałem, że widziałem tylko kawałek dziury, ale zaraz pójdę dalej, zobaczyć dokąd prowadzi.

– A ty tam na wierzchu pilnuj, bo lichy nie śpi! – dodałem. – Daj jeszcze ze dwie świeczki.

– Licho nie śpi i pod ziemią, więc i ty się pilnuj! Może tam nie warto leżeć?

Zapałem nową świecę, sprawdziłem, czy nóż i krzesiwo mam przy sobie i znów wlałem jak poprzednio, uważając na sklepienie i na ile mogłem, obserwując otoczenie. Przez głowę przemknęła mi myśl, że ten, co wymyślił podanie o rycerzach, co się tu schowali, musiał znać to miejsce, z czasem zapomniane, tak że została po nim tylko legenda. Właśnie, legendy... Czy one nie są czymś w rodzaju szkatuły pamięci, przechowującej skarby przeszłości? Wiedzą o tym, co było i dawno przeminęło, uszlachetnioną ideałami i dążeniami, które są bliskie również i nam, współczesnym? Nie zawsze są one wytworem czyjejs bujnej wyobraźni...

Ludzka ciekawość czasem bywa większa od rozumu, bo czyn, co zawsze powinien podążać za myślą, często ją wyprzedza. Pełznałem wciąż dalej i dalej, w jednym miejscu musiałem się nawet położyć na brzuchu, bo w sklepieniu niczym belka tkwił w poprzek duży głąz, który z jakiegoś powodu tutaj został. Wreszcie dotarłem do rozwidlenia korytarzy. Jedna odnoga szła ukosem na prawo, druga na lewo. W lewej jamie było ciaśniej, więc skręciłem w prawą.

Wkrótce trafiłem na miejsce, gdzie korytarz się rozszerzył, i poczołgałem się dalej. Wtem ręką trafiłem na coś, co pod naciskiem z chrzęstem ustąpiło i zapadło się. Oświetliłem to coś świeczką i cofnąłem się gwałtownie, o mało nie rozbijając głowy o sklepienie. To coś było kiedyś człowiekiem. Miałem przed sobą grubo przysypany pyłem opadłym z góry podłużny wzgórek o ludzkich kształtach. Leżał okryty czymś, co niegdyś było może zwierzchnym odzieniem, które dawno zbutwiało i spod blach pancerza

odstaniało kości nóg obciążone skórą, zeschnęła na pergamin. Ciało nie rozpadło się i nie zgniło, ale w ciągu wieków wyschło na wiór i zmieniło się w mumię.

Usiadłem, żeby ochłoniąć z wrażenia, stuknąwszy przy tym w powalę głową, i poczułem, że mam w niej pustkę. Myśli gdzieś się ulotniły, tylko oczy wpatrywały się w to, co majaczyło w migotliwym świetle.

Leżał w nieco szerszym miejscu zwrócony nogami do mnie, jakby za życia dążył w głąb korytarza i tak zastała go śmierć. Jedną rękę wyciągnął do przodu, a drugą trzymał coś, co załśniło, gdy płomień świecy się zachwiał.

Świecę przylepiłem do ściany i przy chwiejnym płomieniu zacząłem go oglądać. Dziwna rzecz, ale jakoś nie czułem odrazy ani niechęci do tego, co kiedyś było człowiekiem – tylko ciekawość. To naprawdę musiał być rycerz taki, jakiego sobie wyobrażamy.

Jak w tych warunkach mogłem ocenić, nie był wysokiego wzrostu, miał na sobie pordzewiały pancerz, uda pokrywały mu jakby kawałki skóry wyżej przymocowane do pasa, a nogi kiedyś musiał mieć gołe. Obok głowy, na której zachowały się włosy, spoczywał hełm z kitą, której barwy nie mogłem rozpoznać, bo wszystko było grubo pokryte pyłem. Na kościach stóp znajdowały się resztki obuwia z rzemieniami do wiązania.

Za rycerzem, w głębi tunelu, zobaczyłem taki sam szary wzgórek o podobnym kształcie. Chciałem się ostrożnie dalej przesunąć obok tego pierwszego, ale gdy przypadkiem się o niego oparłem, aż się wzdrygnąłem, słysząc trzask łamanej kości. Nie chciałem przelazić po nieboszczyku, musiałem więc zadowolić się tym, co zobaczyłem ze swojego miejsca. Ten drugi leżał na wznak, w kościach dłoni trzymał kości ręki pierwszego.

Obaj byli zwróceny głowami do siebie. Pomiedzy nimi leżał niewielki miecz, hełm i tobolek z czymś, co lśniło przy świetle. Zapaliłem drugą świecę, żeby lepiej widzieć. Zobaczyłem dwie czaszki z wyszczerzonymi zębami, dziurami zamiast oczu i gwałtownie się cofnąłem. Wyciągnąłem rękę w stronę tego niby toboleka i spośród zbutwiałej masy czegoś przeplecionego złotą nicią namacałem tkwiący tam przedmiot – coś ciężkiego i lśniącego. Otrząsałem to z pyłu i szeroko otworzyłem oczy. Trzymałem w ręku złotego ptaka z rozpostartymi skrzydłami. Był bardzo ciężki, wielkości prawie gołębia, siedział na tulejce osadzonej na resztkach drzewca. W głowie zadźwięczały mi słowa Kryspina:

Jeden drugiemu chciał zabrać sztandar złocistoczerwony,

Na którym orzeł zwycięski skrzydła do lotu rozkładał...

Zamknąłem oczy i na chwilę wstrzymałem oddech. Tkanina, w którą zawinięty był ptak, mogła być kiedyś sztandarem. Teraz zbutwiała i jak jej dotknąłem, rozpadła się, tylko siateczka złotych nici w niej przeświecała. Skóra na obydwu twarzach była zeschnięta jak pergamin i ciasno przylegała do kości, na których nic ciała nie zostało.

Można się domyślić, że miecze zostały porzucone, bo w ciasnocie tych podziemi nie nadawały się do walki. Włosie, z których zrobione były czuby czy grzebienie na hełmach, tkwiło jeszcze w swoich oprawach, ale wypadało przy dotknięciu.

Za tym drugim, co leżał dalej, znajdowało się coś jeszcze, co jakby błysnęło w świetle świecy.

Westchnąłem i zabierając ze sobą złotego ptaka, zawróciłem.

Gdy wyszedłem na światło dzienne, Łukasz przeraził się, zobaczywszy, w jakim jestem stanie. Dłonie, na których się opierałem, pełzając, miałem poranione, spodnie na kolanach w paru miejscach były dziurawe, a z głowy, pomimo że miałem czapkę, tu i ówdzie też krew się sączyła, bo w sklepieniu i ścianach dosyć było wystających kamieni. Wszystko to nie było groźne ani zbyt bolesne, ale krwawiło, jak to bywa, kiedy otarcie połączy się ze stłuczeniem. Szeroko otworzył oczy, widząc orła, ale rzucił na niego tylko przelotne spojrzenie. Sięgnął po wodę, zwilżył szmatkę i obmył mi skaleczenia.

– Co cię tak pokancerowało?

– Kamienie. Tam czasem jest tak nisko, że nawet nie wszędzie można usiąść, na podłodze pełno ostrego żwiru, ze ścian i sufitu sterczą kamienie, a na kolanach i łokciach pełzając ze świecą przed oczami w jednej ręce, tylko czarną dziurę przed sobą się widzi.

Opowiedziałem o mieczach, pancerzach i hełmach i o swoich wrażeniach, gdy się natknąłem na zmarłych.

– Oni naprawdę musieli ze sobą walczyć, leżeli głowami do siebie i jeżeli dobrze widziałem, jeden trzymał dłońią rękę drugiego.

Łukasz, obmywszy moje skaleczenia, wziął do ręki orła.

– Ale ciężki jest! Takie rzeczy zwykle robi się puste w środku, żeby metalu zaoszczędzić, ale ten, sądząc po wadze, pewnie jest pełny. I ładny grosz musi kosztować, jeśli istotnie jest ze złota. A ta tuleja świadczy, że orzeł musiał być osadzony na drzewcu. Jak wyglądały te miecze i hełmy?

Opisałem je, dodawszy uwagę, że hełmy miały włosiane kity albo grzebienie, a pancerze jeno piersi przykrywały.

Łukasz zastanowił się.

– Podobne hełmy i miecze mieli starożytni Grecy i Rzymianie. Grecy trzymali się raczej okolic Morza Śródziemnego i nie słyszałem, żeby mieli jakieś interesy w tych stronach. Rzymskiego wojska, o ile wiem, też na terenach Polski nie było, ale jacyś, o których nam nic nie wiadomo, przypadkiem mogli się tu zabłąkać. Według „Przekazania” mieli się bić o sztandar. Widziałeś tam jakiś sztandar? ... A stemplowanie korytarza?

– Widziałem jakieś zetłale resztki czegoś, a tu i ówdzie były jakby drewna podtrzymujące sklepienie, ale może mi się zdawało, bo było ciemno.

– Jeśli to wszystko razem do kupy poskładać, to na to wygląda, że jeden z nich uciekał ze sztandarem, a drugi go dopadł i chciał mu go zabrać. To chyba ten, co go ścigał rysował przebytą drogę na kartkach papirusu i na ostatniej zaznaczył, gdzie ten drugi schował się pod ziemię. W nasze ręce, dziwnym trafem, dostała się właśnie ta ostatnia karta. Wprawdzie liczyłem na to, że gdzieś nas ona doprowadzi, ale przez myśl mi nie przeszło, że natkniemy się na orła rzymskich legionów i grób sprzed wieków.

Siedzieliśmy przy dziurze i patrzyliśmy w głąb jakby oszołomieni odkrytą tajemnicą. Wreszcie Łukasz się podniósł.

– Cośmy znaleźli, tośmy znaleźli, później się nad tym zastanowimy, a tymczasem południe minęło, chmurzy się i czas wracać.

– Najpierw powinniśmy tę dziurę z powrotem przykryć – powiedziałem – bo chyba

do końca życia prześladowałyby mnie widma tych rycerzy, że się w postaci upiorów wydostaną i będą mnie nachodzić.

– Dobrze mówisz. No, to bierzmy się do roboty...

Ciężko było, ale czuliśmy się w obowiązku doprowadzić to miejsce do porządku. O ile z odwaleniem kamienia uporaliśmy się w pół godziny, to postawienie go na poprzednim miejscu zajęło nam ze dwie, jeśli nie więcej, bo to, co stoi, zawsze łatwiej obalić, niż obalone postawić, zwłaszcza gdy jest to kawał skały. Pracowaliśmy w pocie czoła, a tymczasem niebo się zachmurzyło i gdzieś w dali przetoczył się grzmot, więc znalezisko w pośpiechu zapakowałem do worka.

– No, zrobiliśmy, cośmy zrobili, czas na nas. To chyba tam jest miejsce, gdzieśmy z lasu wyszli na tę polanę...

*

Ledwo weszliśmy w las, zaczęły trzaskać pioruny, po niebie przelatywały błyskawice i lunął deszcz, który na otwartej przestrzeni zapewne lał strugami, a tu spadał na nas z rozchwianych wiatrem gałęzi jak z wielkich kropideł. Gdybym wierzył w bogów Kryspina, skłonny byłbym przypuścić, że to oni tak okazują swoje niezadowolenie z naszych poczynań.

Zanim dotarliśmy do wąskiej drogi wiodącej do chaty, mieliśmy wątpliwości, czy dobrze idziemy, bo to, co się przeszło lasem w jedną stronę, nie zawsze wygląda tak samo, gdy się idzie w przeciwną, zwłaszcza gdy mgła deszczu przesłania świat i zalewa oczy. Ale nie mieliśmy wyboru – musieliśmy iść na wycucie. Gdy wreszcie w prześwicie drzew ukazała się chałupa Kryspina, byliśmy przemoczeni do gołej skóry i z ulgą wbiegliśmy do środka.

Powitał nas martwy spokój, który tutaj zaraz się wyczuło, gdy burza, co nas goniła, została za progiem. Było w nim coś nienaturalnego. Kryspin leżał na swoim barłogu przykryty derką, nie reagując na nasze wejście. Podeszliśmy bliżej. W gęstwinie włosów i zarostu niemal nie znać było twarzy, ale mimo półmroku widać było dwa kamyki leżące na jego powiekach.

– Co się stało?! – Jeszcze się nie otrząsnąłem z wrażenia po widoku dwóch trupów w podziemiach, a już zobaczyłem trzeciego, który w pewnym sensie też był częścią legendy, jaką nam niedawno sam przekazał, a teraz dołączył do tamtych, jakby rola, którą miał do odegrania, już się skończyła.

– Takie nagle załamanie pogody może zabić człowieka ciężko chorego na serce, a on był chory, co jeszcze wczoraj zauważyłem – powiedział Łukasz. – Ktoś tu już był – dodał, wskazując kamyki na oczach zmarłego – i zdaje się, że wiem, kto. – A gdy z moich oczu wyczytał niedowierzanie, wskazał na stół.

Leżało tam parę kromek chleba, cztery jajka i parę węzełków, w których coś było związane.

– Te kawałki chleba są ukrajane z różnych bochenków, a takie dostaje się, chodząc po prośbie. Tu był ten dziad, co nam drogę tutaj pokazał. Pewnie w tych węzełkach jest coś do jedzenia. – Łukasz podszedł do stołu i rozwiązał je.

W jednym była garść mąki, w drugim kasza; był też mały kawałek słoniny, nie

większy jak ćwierć dłoni. Takie datki biedak daje takiemu, co ma jeszcze mniej. A czy to był ten sam dziad? Trudno przypuścić, żeby w okolicy był jeszcze ktoś znający drogę do tego miejsca.

– I co z tym teraz pocniemy?

– Przede wszystkim nie mamy wyboru i musimy tu przenocować, bo ani do wsi przed wieczorem nie trafimy, ani spać nie będziemy na deszczu.

– W towarzystwie nieboszczyka? – Wzdrygnąłem się na taką myśl.

– A czymże on jest? Był tym, czym ty jesteś, a ty kiedyś będziesz tym, czym on teraz jest. Najlepsze, co w tej chwili możemy zrobić, to zapalić świeczkę i pomodlić się za niego.

Zapalił świecę, mokre odzienie zamienił na sutannę i zaczęliśmy odmawiać modlitwę za umarłych. Przesunęliśmy stół na inne miejsce, bo woda zaczęła kapać z dziurawego dachu, i w milczeniu siedząc na stołkach, słuchaliśmy głosów oddalającej się burzy.

– Zjadłbyś coś? – odezwał się Łukasz.

– Nie, nie chce mi się jeść. – Nadal siedziałem przy stole z głową opartą na ramionach i chyba nieco przysnąłem. We śnie nawiedziło mnie wspomnienie: wędrowałem po podziemnych norach, przeciskając się przez ciasne miejsca i poczułem, że nie mogę się uwolnić. Coś mnie trzymało, przyciskając mi ręce do boków, a serce biło w strachu jak szalone. Jak przez mgłę usłyszałem głos Łukasza.

– Pawle, co się z tobą dzieje?! Śniło ci się coś?! Krzyczałeś i rzucałeś się przez sen.

Wrywałem się jeszcze, ale wreszcie oprzytomniałem, ocierając pot z czoła. Serce nadal waliło mi jak młotem.

– Śniło mi się, że znów byłem tam pod ziemią i utkwilem, nie mogąc się ruszyć ani do przodu, ani w tył.

Opowiedziałem o miejscu, gdzie musiałem się przeciskać pod niskim stropem.

– Gdyby wtedy coś przeszkodziło mi przesunąć się do przodu, cofnąć się pewnie też bym nie mógł, bo ubranie zwinęłoby się na ramionach i zaklinowałbym się.

– Gdybym się spodziewał, że tak tam będzie, nie zgodziłbym się, żebyś tam włąził. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal, więc wrócilibyśmy do domu przekonani, że głąz na polanie i dziura pod nim były tym, czego szukaliśmy, i na tym by się skończyło. Ciekawość, jeśli jej w porę nie pohamujemy, może doprowadzić do zguby. Nie powiedziałeś, jak daleko ciągnie się ta dziura. Duszno tam było?

– Nie wiem, bom nie doszedł do końca. Nie wiem nawet, jak daleko sam dotarłem, bo na kolanach i brzuchu się przeciskając i przystając co chwila, traci się poczucie czasu i odległości, zwłaszcza przy migotaniu światła. Był tam przewiew, bo czasem o mało nie gasił świecy. Długo mnie nie było?

– Chyba jakieś pół godziny, nie więcej. Co zrobimy z tym skarbem? Trzymać nie ma gdzie, a jak się wieść o nim rozniesie, nie upilnujemy go. Najlepiej sprzedać, ale kogo będzie stać na taki kawał złota? Wrócimy do Warszawy, to pomyślimy, co dalej.

I tak sobie rozmawialiśmy, siedząc na pół senni, osowiali i zmęczeni, a noc spoczynku nam nie dała. Dopiero jak błądy świt zaczął rozjaśniać kąty izby, przysnęliśmy nieco na stołkach, opierając się łokciami na stole. Dzień wstał pogodny, a po wczorajszej

burzy kałuże tylko pozostały. Jak się ocknąłem, zobaczyłem, że Łukasz już ogień rozpałił i smażył jajka znalezione na stole.

– Właśnie miałem cię obudzić. – Postawił patelnię z jajecznicą na stole i podzielił posiłek na dwie części.

Zjedliśmy ją z tym dziadowskim zeschniętym już chlebem, znowu jeno wodę mając do popicia.

– I co dalej? – zapytałem, skończywszy jedzenie, i spojrzałem w kąt, gdzie leżał Kryspin, z twarzą teraz czymś przykrytą.

– Cóż, tak go nie zostawimy. Może znajdzie się rydel jakiś albo motyka, żeby grób wykopać. Pewnie powinniśmy sołtysa powiadomić, ale cóż mu do tego? Kryspin do jego wsi ani chyba do żadnej innej nie należał.

Zanim zaczęliśmy szukać rydla, znalazło się inne rozwiązanie. Dał się słyszeć chrzęst kroków na kamieniach i na progu pojawił się znany nam już dziad. Wszedł i rozejrzał się, jakby był u siebie. Nie zdziwił się, widząc nas. Kiwnął głową i podszedł bliżej.

– Mówili wy z nim? Słyszeli „Przekazanie”? Widzieli kamień na polanie?

– Tak – odpowiedzieliśmy jednocześnie.

– Usłyszeli, zobaczyli, tak teraz niech idą w swoją drogę. Ja mu pogrzeb wyprawię.

– A kto wy dla niego jesteście?

– Brat. Ja się nim opiekowałem, jedzenie mu przynosiłem, jak już po lesie i na wieś nie mógł chodzić. On miał w głowie pomieszanie. Umyślił sobie, że jest stróżem swojego „Przekazania”, co je od ojca, a ten od dziadów swoich wiedział, a teraz ono razem z nim przepadło...

– Może wam pomóc w pochówku? – zapytał Łukasz.

– Nie trzeba. Co zrobić mam, sam chcę zrobić. Posługę ostatnią bratu oddać i pożegnać go bez obcych oczu. Idźcie już.

Wzięliśmy więc, cośmy mieli swojego, i poszliśmy.

*

Nie będę się rozwodził nad tym, jak wracając, zabłądziliśmy w puszczy. Po nocy pod gołym – choć szczęście, że pogodnym – niebem spędzonej, dopiero drugiego dnia trafiliśmy na drogę, skąd zabrał nas wóz jadący do Ostrowca. Parę dni jeszcze przeszło, zanim się trafiła okazja do Warszawy, a drogi powrotnej nie będę opisywał, bom jakby otumaniony był, gorączki z wilgoci i zimna się nabawiwszy, i jechałem na pół śpiąc. Jak teraz to wspominam, widzę, że Łukasz niemało miał ze mną kłopotu. Ale chwalić Boga, wszystko dobrze się skończyło i znów jesteśmy w Warszawie.

Jeśli ktoś po dłuższej nieobecności do domu wraca, trudno mu od razu przestawić się na obowiązki, jakie na niego czekają, bo jeszcze niedawne wrażenia i przeżycia ma w pamięci; tak było i ze mną. Nie zdążyłem uporać się z przeszłością, a już pilnie musiałem zająć się teraźniejszością. Pracownię zastałem zamkniętą. Jak się okazało, pan Gałęcki mocno się przeziębził. Jak przez Wisłę się przeprawiał na Pragę, gdzie miał interes, łódka przewoźnika się wywróciła, a on wpadł do zimnej wody i teraz w łóżku leżał. Mój powrót nastąpił więc w samą porę.

Mieliśmy się z Łukaszem naradzić, jak najlepiej spożytkować naszego złotego ptaka, ale już następnego dnia po powrocie przyszedł mi powiedzieć, że jedzie do Płocka, skąd może będzie musiał jeszcze i do Torunia zajrzeć, więc nie wróci prędzej jak za dwa tygodnie. A tymczasem, jeśli zechcę, mogę w tej sprawie sam się rozpatrzyć albo na niego poczekać, on zaś wolną rękę mi daje i zgadza się na wszystko, co zrobię.

Myślałem, że chyba najlepiej będzie, jeśli naszym znaleziskiem nie pochwalę się nikomu, bo lichy nie śpi, ale ciekawy byłem, jaką może ono mieć cenę. Któregoś więc dnia wsadziłem orła do worka i zaniósłem do pana Jabłuszkiewicza, co miał pracownię złotniczą. Jak obejrzał, co przyniosłem, powiedział, że to jest starodawna robota, ale się zdziwił, że orzeł nie jest w środku pusty, bo wtedy efekt byłby taki sam, a byłby lżejszy i złota mniej by wyszło.

Zapytał, skąd on u mnie się wziął, ale pomyślałem, że tu lepiej trzymać język za zębami, i powiedziałem, że od lat był w mojej rodzinie, a teraz chciałbym się dowiedzieć, ile bym za niego dostał, gdybym zechciał sprzedać.

Tego od razu powiedzieć mi nie mógł, więc zaproponował, żebym tę figurkę u niego na parę dni zostawił, on zaś ją zważy i sprawdzi, czy istotnie jest złota, czy tylko pozłacana. A jeśli to jest złoto, to jakie, bo z różnymi domieszkami bywa topione. Upewnił się, czy orzeł jest tylko do wyceny, czy od razu chce go sprzedać. Powiedział, że niełatwo będzie kupca znaleźć, bo to nie jest klejnot, którym się można ozdobić, żeby na podziw patrzących wystawić, ale jedynie dla własnej satysfakcji tylko dla siebie samego można go w domu postawić. No to umówiliśmy się, że za kilka dni przyjdę się dowiedzieć, i z pustym workiem wróciłem do domu.

W Warszawie po powrocie z podróży zastałem duże zamieszanie. Na Zamek coraz to karety i powozy zajeżdżały i zeń odjeżdżały. Oto król August po drodze z Knyszyna do Krakowa w Warszawie się zatrzymał i zwołał Radę dla przedstawienia jej, jak się mają sprawy dotyczące planowanego zjednoczenia Polski i Litwy, a podobno nie wszystko szło gładko tak, jak to sobie umyślił. Były różnice, których nie sposób było wygładzić jednym pociągnięciem pióra, bo litewska szlachta zjednoczeniu sprzyjała, ale możnowładcy litewscy, jak Radziwiłłowie, byli temu przeciwni w obawie, że wtedy utracą swoje znaczenie. Stąd w niektórych sprawach król musiał ustąpić.

I tak Litwini zachowali odrębność urzędów centralnych: kanclerzy, marszałków, skarbu i hetmanów. Wspólny miał być pieniądz i polityka obronna. Król przekonywał, że im pełniejsze będzie zjednoczenie, tym więcej na tym skorzysta i Litwa, i Polska, bo

i sąsiedzi więcej się będą liczyć z jednym silnym państwem niż z dwoma, co każde z osobna musi sobie dawać radę.

Królowi w dyplomatę trzeba się było przemienić, żeby obie strony zadowolić i do zgody je doprowadzić. A z dyplomacją to jest tak, jakbyś dwoma końmi naraz powoził, co jeden chce na prawo, a drugi na lewo, a w cuglach je trzeba trzymać i tak pokierować, żeby oba w tę samą stronę chciały podążać przekonane, że to one same mają w tym interes, a nie ten, co w garści lejce trzyma.

Po trzech dniach powozy i karety odjechały, ale król tym wszystkim ponoć taki był zmęczony, że coś na wewnątrz mu się odezwało, co pan Wojciech Oczko swoją sztuką musiał uspakajać. Dopiero jak na Zamku spokój nastał, a król odjechał do Krakowa, poszedłem do biblioteki panu Sylwestrowi się pokazać, że do pracy wróciłem. Przy okazji chciałem zobaczyć, czy będą jakieś książki do oprawy. Niestety, nie zastałem bibliotekarza, bo gdzieś musiał wyjechać.

*

Pan Gałęcki zostawił trochę zaczętej pracy, którą pilnie trzeba było się zająć, ale to prędko mi szło, bo wszystko było przygotowane jak należy. W ten sposób i on, gdy po paru dniach ozdrowiał i wrócił do pracowni, od razu mógł się zabrać do swojej pracy. Te książki, które razem robiliśmy, zanim na swoją wycieczkę pojechałem, wykończył, oddał i dostał za nie zapłatę, z której moją część mi wyliczył. Wtedy obaj odczuliśmy pożytek z takiej współpracy.

*

I tak przeszły dwa tygodnie od mojego powrotu. Do złotnika w sprawie orła nie zaglądałem, bo uważałem, że u niego będzie bezpieczniejszy niż u mnie w worku pod łóżkiem. Miałem też nadzieję, że Łukasz wreszcie wróci i razem się do tego weźmiemy, ale wyszło inaczej.

Oto pewnego dnia, gdyśmy z panem Gałęckim naradzali się, ile jakich materiałów trzeba nam będzie dokupić, przyszedł pacholek i powiedział, żebym z nim zaraz do Zamku szedł, a pilnie, bo tam czekają na mnie. Nie powiedział, kto czeka, a ja nie pytałem, bo któżby miał być inny niż pan Sylwester? Poszedłem więc tak, jak stałem, w fartuchu, a pacholek mnie prowadził nie do biblioteki, jeno w inną stronę, co mnie mocno zastanowiło. Sporo służby tam się kręciło, a ja coraz bardziej się kłopotalem, kto to mnie wzywa i po co. Wreszcie dwóch pokojowców otworzyło przede mną drzwi jakiejś komnaty, a tam na fotelu przy niewielkim stoliku sam król August siedział i jeszcze trzech panów przy nim było. A na stoliku stał mój orzeł.

Wtedy poznałem, jak to jest wedle powiedzenia, że ktoś w słup soli się zamienił albo języka w gębie zapomniał. W Krakowie króla nieraz zdarzyło mi się widzieć, jak przez miasto przejeżdżał, ale z daleka i otoczonego orszakiem, a tu miałem go o parę kroków przed sobą i z wrażenia tchu o mało nie straciłem.

Chociaż siedział na fotelu, można było dostrzec, że wzrostu był raczej średniego. Cery nieco śniadej, po matce Włoszce zapewne, włosy miał jakby trochę kędzierzawe, a z zarostu tylko niewielką bródkę. Na sobie miał aksamitny kaftan malinowej barwy;

biały koronkowy kołnierzyk był wyłożony na wierzch, a na szyi spoczywał złoty łańcuch o dużych ogniwach.

Jak wszedłem do komnaty, zajęty był rozmową i jednemu z panów coś pokazywał w papierach leżących na stoliku. Nieco z boku zauważyłem pana Jabłuszkiewicza, który skinął mi głową. Król podniósł oczy, gdym stanął na progu, a wtedy pan Jabłuszkiewicz zbliżył się i cicho coś mu powiedział. Król skinął ręką, żebym podszedł bliżej, a widząc moje zmieszanie, lekko się uśmiechnął.

Podszedłem parę kroków i ukloniłem się.

– Wasza królewska mość, najjaśniejszy panie, pokornie proszę o wybaczenie, że w takim stanie się pokazuję, ale nikt mnie nie uprzedził, że przed samym majestatem przyjdzie mi stanąć.

– Z ubioru sądząc, rzemieślnikiem jesteście?

– Książki oprawiam, wasza królewska mość. W zamkowej bibliotece też praca moich rąk się znajduje.

Król skinął głową i dotknął orła.

– Imć pan Jabłuszkiewicz dał nam znać, że w pracowni swojej posiada dzieło sztuki złotniczej, które nas może zainteresować, a którego waszmość jesteście właścicielem. Dlaczego chcesz się tego pozbyć?

– Najjaśniejszy panie, z Krakowa za pracą tu przyjechałem, a do przechowania podobnej rzeczy warunków nie mam, bo w najętej izdebce sam jeden mieszkam.

– Jak to się w posiadaniu waszmości znalazło?

Nie uważałem za słuszne w obszerne wyjaśnienia się wdawać i jeszcze Łukasza mieszać do tej historii, która na bajkę mogła wyglądać, jednak prawdę w różne słowa można ubrać...

– Wasza królewska mość, w lasach niegdyś zbłądziwszy, jaskinię jedną znalazłem, i tam na tego orła trafiłem.

– Ile waszmość życzyłbyś sobie za to cacko?

Wydało mi się, że takiej rzeczy cackiem nazywać nie uchodzi, ale co król, to król. Dla niego i korona może być cackiem.

– Wasza królewska mość, kimże jestem, żebym w takiej sytuacji królowi ośmielił się warunki przedstawiać? Na sprawiedliwość i łaskę waszej królewskiej mości się zdaję i ufam, że pokrzywdzony nie będę.

Król spojrział na obecnych tu panów, potem na mnie, a po twarzy jakby uśmiech mu się przewinął.

– Skoro na łaskę naszą się zdajesz, rzeczą naszą jest dopilnować, żebyś pokrzywdzony nie został. Dzieło sztuki, a takie ten ptak przedstawia, trudno ocenić. Przyjmijmy więc... – tu chwilę się zastanowił – że w wizerunku tym potrójną wartość można znaleźć: raz – to wartość złota, z którego jest zrobiony, a co złotnikowi nie trudno wyliczyć. Dwa – to artystyczna wartość pracy, co do której znawcy mogą się wypowiedzieć. Wreszcie trzy – jest przedstawicielem starożytnej historii, czego w monecie wyrazić niepodobna. Zgadzasz się waszmość z takim rozumowaniem?

– Myślę, że wasza królewska mość rzecz trafnie ujął i nic temu zarzucić nie można.

– Ale na razie nic z tego nie wynika. Pan Jabłuszkiewicz podał nam wagę tego orła

i wartość złota, z którego jest zrobiony. A ponieważ, jak powiedzieliśmy, dzieło to potrójną wartość dla nas przedstawia, słuszną rzeczą jest, żeby nadać mu trzykrotną cenę tego złota i tę w złotych dukatach wypłacić. Co waszmość na to?

W głowie mi zaszumiało, gdy próbowałem sobie wyobrazić, ile to może być dukatów. Sześćset, tysiąc, a może więcej? Co za taką fortunę, nawet jeśli połowę weźmie Łukasz, można kupić?

– Cóż waszmość milczysz? Niezadowolony jesteś?

– Wasza królewska mość! To jest więcej, niż mógłbym sobie przedstawić! Nigdy bym się nie spodziewał, że dostąpię takiej łaski!

– Nie uważamy tego za łaskę. My też, przypuszczamy, źle na tym nie wyjdziemy. Orzeł ten w Zamku pozostanie i będzie ozdobą tego gabinetu. Jutro waszmość zgłosisz się do podskarbiego, a ten już będzie wiedział, ile ci wypłacić. A gdzie to będziesz trzymał taki majątek? W kufierku pod łóżkiem? Przyjmij więc dobrą radę: pieniądze w kasie naszej ostaw, a zamiast gotówki weźmiesz skrypt dłużny, na podstawie którego kiedy zechcesz, ile zażadasz, z sumy tej ci wypłacą.

Wszystko to tak nagle na mnie spadło, że jeszcze nie zdążyłem pomyśleć, gdzie tyle pieniędzy bezpiecznie mógłbym przechować, więc radę króla za łaskę wielką sobie poczytałem, z której grzech byłby nie skorzystać, co też jak umiałem, wyraziłem nieskładnymi słowy.

– No, tośmy się ugodzili – wesoło powiedział król. – Waszmość teraz zapewne swoje sprawy masz do załatwienia, a moje też na mnie czekają...

*

Jak wróciłem do pracowni, nie zastałem pana Gałęckiego, a Janek mi powiedział, że poszedł coś załatwić, ale nie wie co. To i lepiej, bo mógłby zapytać, czego ode mnie na Zamku chcieli, a wolałem nie rozgłaszać, jako bogaczem zostałem. Z tego całego wrażenia miejsca nie mogłem sobie znaleźć ani na pracy się skupić, więc co dzisiaj miałem robić, to sobie do jutra odłożyłem i do domu, dla uspokojenia się, poszedłem okrężną drogą.

Obiad już na mnie czekał. Gospodarze zauważyli, że myślami jakby gdzieś daleko przebywam i nieswój jestem, ale powiedziałem, że się zmęczyłem i muszę odpocząć, toteż nie zatrzymywali mnie rozmową, gdy za obiad podziękowałem i wstałem od stołu.

Po obiedzie położyłem się, ale podniecony ostatnimi zdarzeniami nie wytrzymałem długo, gapiąc się w sufit nad głową. Potrzebowałem ruchu, więc wstałem i poszedłem się przejść. Powoli idąc przez Podwale i Freta, doszedłem do rynku Nowego Miasta, gdzie wśród drewnianych domów coraz częściej zaczęły się pojawiać murowane.

Wracając, natknąłem się na pana Gałęckiego. Na szczęście nie przypomniał sobie, że byłem na Zamku, co mnie zwolniło od wyjaśnień, po co i dlaczego. Co innego zaprzętało jego myśli. Powiedział, że słyszał o jednym domu, gdzie moglibyśmy urządzić naszą pracownię, i przyszedł zobaczyć to na miejscu.

– Tu niedaleko wdowa po stolarzu chce wynająć pomieszczenie, gdzie był warsztat jej męża. Byłem tam, a że mi się spodobało, umówiłem się, że jutro ze współnikiem przyjdziemy się rozpatrzyć. A skoro już się spotkaliśmy, możemy tam zaraz iść

i postanowić, co zrobimy.

Blisko Freta, przy ulicy Kozłej, oddzielony od ulicy małym ogródkiem, stał drewniany dom. Widać po nim było, że jest solidnej budowy i niestary. Przykryty dobrym dachem z gontu – taki, jaki właściciel dla siebie na długie lata stawia, spodziewając się do starości w nim przebywać. Ale człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi...

Wdowa po stolarzu okazała się kobietą w wieku, kiedy już wnuków można się po kimś spodziewać, ale starą jeszcze nie uchodzi nazywać. Jak zobaczyła pana Gałęckiego a przy nim mnie, zaraz z kluczem wyszła i otworzyła komnatę, do której z sieni się wchodziło.

Pomieszczenie było obszerne, bo stolarzowi nie może być ciasno, kiedy długie deski struga albo piłuje. W rogu znajdowała się kuchenka z okapem i dobudowanym do niej piecem, co zimą się przydaje, dwa okna dużo światła wpuszczały, a podłoga była mocna, ułożona z heblowanych desek. Pod ścianą stał jeszcze warsztat stolarski, trochę narzędzi wisiało na ścianach i leżało na warsztacie, a na podłodze leżało kilka desek i nieco wiórów.

– To wszystko się uprzątne, bom się już umówiła ze stolarzem, co za Rynkiem Nowomiejskim robi, że weźmie, co mu będzie potrzebne, a resztę do szopki na podwórku się wyniesie.

Podobało mi się tu i już zacząłem myśleć, gdzie jaki stół się postawi, gdzie półki na materiały będą.

– No i co? – zapytał Gałęcki.

– Toś waszmość dobrze utrafił z tym miejscem.

– A na podwórku pod dachem drzewo na opał można trzymać, a wodę od sąsiada brać ze studni, co ją razem ze świętej pamięci mężem wykopali – dodała wdowa.

– Więc nie ma co się namyślać – powiedziałem – bierzemy to i jak tylko te rzeczy będą uprzątnięte, wprowadzimy się. Jeśli można prosić, to z tych narzędzi zatrzymalibyśmy piłę i siekiere, to do rąbania opału nam się przyda.

– A jak będzie z opłatą? – zapytał Gałęcki.

– Pogodzimy się. Skóry z waszmościów nie zedrę.

– To jutro przyjdziemy i zadatkujemy, bo w tej chwili na wydatek nie byliśmy przygotowani – odparł.

Wracając, omawialiśmy, co nam potrzebne będzie do nowej pracowni, ale że już zrobiło się późno, szczegóły do uzgodnienia odłożyliśmy do jutra. Pan Gałęcki wkrótce skręcił w stronę Krzywego Koła, gdzie mieszkał, a ja poszedłem swoją drogą, bo korzystając z okazji, chciałem się zobaczyć z panem Jabłuszkiewiczem. Coś mu byłem winien za to, że pomógł mi spieniężyć tego orła. Sam nawet bym nie wiedział, gdzie się z tym zwrócić, ile zażądać i komu zaufać, żeby mnie nie okpiono.

W domu uczono mnie, że wszelkie przysługi zawsze należy przyjmować z myślą, że w przyszłości, gdy okazja się nadarzy, odpłacimy się czymś podobnym, jeśli nie większym. I nawet gdyby spłata długu miała się odwlec, wdzięczność okazywać należy bez zwłoki, nie ufając, że pokryje się ona kurzem niepamięci.

Złotnik już zbierał się do wyjścia, gdy stanąłem na progu.

– Wybaczcie, panie, że tak późno wdzięczność swoją przedstawiam. Nie wiem, jak

bez waszej pomocy mógłbym spieniężyć ten posążek i świadomy jestem, że podzięką moja nie jeno gołym słowem powinna się wyrazić. Raczcie powiedziec, ile wam jestem winien za tę przysługę, bośmy się zawczasu nie umawiali, a nie chciałbym niewdzięcznym skąpcem się okazać.

Pan Jabłuszkiewicz posadził mnie na krzesło, sam też usiadł i zadowolony pogładził węża, patrząc na mnie przymrużonymi oczami.

– Nie posądzałem waszmości o niewdzięczność, bo dobrze ci z oczu patrzyło. Otóż za badanie próby złota i jego wartości, a też za pośrednictwo w sprzedaży dasz mi waszmość osiem dukatów. Król okazał się hojny, boś zdał się na jego sprawiedliwość. Gdybyś się targował, żeby cenę podnieść, figę byś utargował, bo król pokazałby, kto tu jest ważniejszy. A tak – dostaniesz jakieś 2500 dukatów[1].

– Ale to nieco odwlec musimy, bo na razie w sakiewce nic jeszcze nie mam, a przyszedłem jeno, aby pokazać, że wiem, co się komu należy. Jak tylko dostanę pieniądze, nie omieszkam należności tej uregulować.

– A co zrobicie z tymi dukatami? Może rada jakaś wam potrzebna.

– Orzeł nie jest jeno moją własnością i zapłatą za niego kilka osób się podzieli – odpowiedziałem, myśląc przy tym, że dwie osoby to też kilka. – Część w powiększenie pracowni włożę, a też dom zamierzam kupić, więc nie wiem, czy na wszystko mi starczy.

– A jeśli waszmość będziesz jeszcze chciał kosztowności jakieś spieniężyć, zawsze na mnie możesz liczyć – powiedział złotnik i uśmiechnął się, gdyśmy na pożegnanie podali sobie ręce.

Roześmiałem się na myśl, że mógłbym kiedyś jeszcze posiadać jakieś kosztowności oprócz złotego krzyżyka, co go miałem na szyi pod koszulą.

*

Gdy się kładłem spać do zimnej pościeli, zadrzałem, co mi przypomniało, że za nowym mieszkaniem pilnie trzeba się rozejrzeć. Już październik, do mrozów niedaleko, a co będzie, jak dopadną mnie w tej izdebce, gdzie przez nieszczelne okna wiatr czasem poświstuje i pod drzwiami próbuje się przecisnąć? Ale jak szukać tego mieszkania? Pan Gałęcki miejsce na nową pracownię znalazł przypadkiem, ale mnie na przypadek nie liczyć.

Żyd pewien, co w zakładzie mego ojca kazał sobie szubę uszyć, do miary przychodząc, lubił mówić o swoich interesach, z czego dwie mądre nauki zapamiętałem. Pierwsza: „*Jeśli chcesz coś sprzedać, nie krzycz, że chcesz sprzedać, bo interes, jaki wtedy zrobisz, to nie będzie żaden interes. Jeśli chcesz coś kupić, nie krzycz, że chcesz kupić, bo interes, jaki wtedy zrobisz, to też nie będzie żaden interes*”. A to znaczy, żebyś kupując, szukał takiego, co pilnie chce sprzedać, a nie chwalił się, że sam pilnie chcesz kupić, a wtedy to ty pierwszy swoją cenę możesz podać i łatwiej coś utargujesz.

A drugą taką mądrą rzecz powiedział: „*Człowiek powinien dzielić swój majątek na trzy części. Jedną część umieść w ziemi, drugą w handlu, trzecią miej pod ręką w gotówce*”. I to jest mądre, bo jeśli jedna część przepadnie, zostaną jeszcze dwie. I tak też zamierzam postąpić.

Tu przez głowę przeleciała mi myśl: może tych dukatów, co je od króla dostanę, na

kupno albo budowę małego domku wystarczy?

Tak się zapaliłem do tej myśli, że o mało z łóżka nie wyskoczył, domku onego szukać. Wtedy Dorotkę bez zwłoki mógłbym do ołtarza poprowadzić i tutaj ją przywieźć. Samą nadzieją żyć jednak nie można, bo miłość nie jest słowem, jeno czyjaś obecnością, co ciepłego kąta nie tylko w sercu potrzebuje.

I tak idąc od jednej myśli do drugiej, kolejno wspominać zacząłem te przypadki, co sprawiły, że się stał majątny, i zastanawiam się, skąd się wzięło to Kryspinowe „Przekazanie”. Wspomnienia wprawdzie nie wrócą minionego czasu, ale pozwalając myślą sięgnąć wstecz, wzbogacają nasze doświadczenia i pozwalają wyciągnąć wnioski na przyszłość.

Że było dwóch rycerzy to fakt, bo nie tylko widziałem ich na własne oczy, ale i dotykałem. Ale czy ten, co pamięć o nich dalej przekazał, był naocznym świadkiem ich walki? Może patrzył z ukrycia, a gdy zobaczył, że pod ziemią znikają, kamieniem wejście do jamy przywalił, żeby nie mogli wyjść? Ale jeden człowiek nie dałby rady takiej skały poruszyć, a co dopiero przyciągnąć jej skądciś i równo na tej studni postawić... Więc? I dlaczego pamięć o tym zdarzeniu miała być zachowana?

I w tejże chwili pytanie sobie zadałem: czy drugi raz polazłbym w owe ciemne korytarze? Cóż, czasem ciekawość jest większa od rozsądku, a głupi ma szczęście. Czy zawsze?

[1] *Dukat* – złota moneta o zawartości 3,5 g złota wysokiej próby. Początkowo – od 1140 roku – bita we Włoszech. Znane były dukaty florenckie (floreny) i weneckie, w XIV-XIX wieku naśladowane w innych krajach. W latach 1528–1831 bito polskie dukaty, na określenie których używano też nazwy czerwony złoty.

Rozmyślaniami o tym wszystkim tak sobie głowę nabiłem, że długo nie mogłem usnąć, a gdy wreszcie sen przyszedł, przyniósł mi różne niestworzone historie, że po jakichś podziemnych jaskiniach błędzę, nie wiadomo czego szukając. Mówi się, że sen jest balsamem dla ciała, ale zarówno jego nadmiar, jak i niedostatek szkodę przynosi.

Wczoraj przy książkach niewiele zrobiłem, bo najpierw omawialiśmy z panem Gałęckim różne sprawy, następnie wizyta na Zamku sporo czasu mi zabrała, wreszcie obejrzenie nowego lokalu i odwiedziny u złotnika. Tym wszystkim byłem zbyt rozkojarzony, żeby spokojnie przy stole usiedzieć, książki klejąc. Dziś też muszę iść na Zamek swoje pieniężne sprawy załatwić, zadatek za lokal zanieść i u złotnika dług uregulować. I nie ma co zwlekać z szukaniem nowego mieszkania. Ale gdzie i kogo o to pytać?

Jedenasta godzina wybiła na Ratuszu, jak pracę przerwałem, bo do Zamku czas mi było iść. Już mnie tam niektórzy pokojowcy znali, bo często u pana Sylwestra bywałem, ale kasa znajdowała się w innej części budynku i zanim tam trafiłem, musiałem pytać i opowiadać się, czego tam szukam. Nie miałem trudności z wyłuszczeniem swojej sprawy, bo jeden z panów, którego u króla widziałem, okazał się urzędnikiem i teraz poznał mnie. Wyliczono mi więcej, niż się spodziewałem i stałem się posiadaczem 2780 złotych dukatów, z czego trzydzieści od razu wzięłem do kieszeni, a na resztę, ile mi jeszcze zostało do wzięcia, dostałem papier na swoje imię.

Świadomość posiadania pieniędzy w sakiewce jakoś zmienia samopoczucie człowieka. Inaczej się czuje, gdy mu brzęczą w kieszeni, a inaczej, jak ma w niej jeno gołe płótno. Oku i krokom dodają śmiałości i pewności siebie, a chociaż mówi się, że pieniądze same szczęścia nie dają, to pozwalają spełniać życzenia, co też szczęściem być może.

*

Wdowa z zadatku była kontenta, a jak z nią rozmawiałem, przyjechali ludzie zabrać warsztat stolarski. Był wśród nich także właściciel, więc zaraz się z nim ugodziłem, że zrobi nam sprzęty do naszego warsztatu. No i dobrze. Następnie ruszyłem do złotnika i zapłaciłem, com był mu winien, a gdym się tych wszystkich pieniężnych obowiązków pozbył, poczułem się lżejszy tak na duchu, jak na sakiewce.

Pan Gałęcki okazał zadowolenie, jak mu powiedziałem, że z stolarzem rozmówił. Zaraz też wzięliśmy się do mierzenia i zapisywania, ile czego i jakiej wielkości chcemy mieć. Rozmowę ze stolarzem odłożyliśmy na inny czas, bo dzisiaj dość tego ostatniego zmitrężyłem, a robota sama się nie robi. Ledwo przy stole usiadłem, żeby skończyć, com zaczął, jak bednarzowa do drzwi zastukała, że już jest obiad, bo odkąd zaczęło lepiej mi się powodzić, na codzienne posiłki mogłem sobie pozwolić. Męża jej w domu jeszcze nie było.

– A gdzie to Janusz się podziewa, że od paru dni go nie widzę?

– Na Pragę do dziadków się wybrał i tak tam siedzi, a do domu się nie kwapi, bo

nie lubi z ojcem klepek strugać – westchnęła bednarzowa. – Nikogo nie przymusisz, żeby to polubił, czego nie chce lubić. Ojciec się martwi, że warsztatu nie będzie miał komu zostawić.

– Może niepotrzebnie się martwi. Wiedzieć trzeba, że lubiana praca daje zadowolenie, a nielubiana – niewolę. Dziękuję za obiad, pójdę już.

Ale niedane mi było teraz do pracy powrócić. Ledwo na stołku usiadłem, usłyszałem pukanie do drzwi i na progu pojawił się Łukasz.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Witaj, Pawle. Przedwczoraj wróciłem, ale dopiero teraz znalazłem czas dla ciebie. Jak żyjesz?

Uściskaliśmy się i popatrzyliśmy na siebie. Kapelusz położył na stole i ciężko na stołku usiadł. Wyglądał na zmęczonego, zmizerniał na twarzy i nie było po nim widać dawnej żywotności.

– Jak żyję? – powtórzyłem. – Mogę powiedzieć, że coraz lepiej, chociaż to „lepiej” różnie wygląda, zależnie na co, jak i z której strony popatrzeć.

Opowiedziałem, jak z królem Augustem miałem do czynienia i co z tego wynikło, ile złotnikowi za pośrednictwo zapłaciłem i że zamierzamy się przeprowadzić na Nowe Miasto.

– No to teraz dzielić się będziemy. Kiedy chciałbyś swoją część otrzymać? Myślę, że tobie więcej się należy, bo gdyby nie ty, do dziś bym biedę klepał.

Ale Łukasz tylko ręką machnął.

– Ale gdyby nie ty, orzeł dalej by w tej jamie leżał i ani byśmy o nim wiedzieli. Ja bym tam nie polazł, bo nawet jak w konfesjonale siedzę, drzwiczki muszę mieć nieco uchylone, inaczej powietrza mi brak, duszność i niepokój wewnętrzny czuję. Chyba już ci o tym wspominałem. Więc skoro te dukaty w królewskiej kasie leżą, niech tam na razie zostaną, dopiero na wiosnę może będę ich potrzebował. – Tu umilkł, czoło ręką potarł i westchnął.

– Zmizerniałeś, schudłeś, widać, że się napodróżowałeś więcej, niż byś sobie życzył.

– Każde życie jest podróżą, ale nie każda podróż życiu służy.

– Czyżby jakaś przykreść cię spotkała? – zdziwiłem się.

– I to duża. A zawsze najwięcej ciąży to, co na niesprawiedliwości polega.

I opowiedział mi, iż czyniono mu nadzieję, że w drodze wyjątku dostanie awans na kanonika, a tymczasem zamiast niego kanonikiem został ksiądz będący synem pewnego magnata, co miał stosunki u hierarchów kościelnych i za pan brat z nimi był.

– A co to za jeden, ten, co ci awans sprzątnął?

Ale Łukasz nie chciał o tym mówić.

– Nie o nazwiska tu chodzi, bo oni tylko z przywilejów swoich i możliwości korzystają, jeno o niesprawiedliwe prawa, co majątki i stosunki na pierwszym miejscu stawiają, przed wykształceniem i powołaniem kapłańskim, a służbę Bogu utożsamiają z awansem społecznym. No, dość o tym, o czym innym teraz pomówimy. Wspominasz jeszcze naszą wyprawę do Kryspina?

Opowiedziałem mu o swoich przemyśleniach co do tych dwóch rycerzy, com ich znalazł, że jednako byli uzbrojeni i mogli pochodzić z jednego wojska.

– Racja – przytaknął Łukasz – w rzymskiej armii panowała żelazna dyscyplina, znak legionów był dla żołnierzy świętością, a tu tak wygląda, jakby jeden go porwał, a drugi gonił i chciał odebrać. Jeśli tak było, musiało się to zdarzyć pod koniec istnienia rzymskiego imperium, gdy ludy, z których się ono składało, buntowały się przeciw Rzymowi. Okres ten przypada na około pół tysiąca lat od narodzin Pana naszego. Ale co to jeszcze chciałem powiedzieć... a to, że na wiosnę rozstać się nam przyjdzie, do Ziemi Świętej się wybieram i wtedy właśnie wezmę od ciebie swoją część.

– Na pielgrzymkę?

– Na zawsze.

Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem.

– Co mówisz! Na zawsze? Dlaczego?

– Dlatego, że tu dla siebie nie widzę miejsca. Zbyt zależny jestem od tych, co religię mają w różnych formułkach zamkniętą, a nie w duszy i sercu. W Ziemi Świętej poszukam sobie klasztoru, gdzie nie patrzą za siebie ani przed siebie, a żyją dniem dzisiejszym, służąc Bogu i ludziom. To moje powołanie, któremu będę posłuszny... Pomówmy teraz o tobie. Jak ci się wiedzie?

Opowiedziałem więc, że współpraca z panem Gałęckim dobrze się układa, żeśmy na pracownię większy lokal najęli, bo pracy mamy pod dostatkiem, a też, że mam kłopot, bo zima idzie i powinienem znaleźć lepsze mieszkanie.

– Skoro żenić się zamierzasz, to nie mieszkania, ale domu raczej szukaj. Tu myśleć trzeba nie na miesiące, jeno na lata naprzód. Tysiąc dukatów lekko powinno ci na to wystarczyć i jeszcze na sprzęty sporo zostanie. Mogę ci naraić obrotnego faktora, co wszystko o wszystkim wie i jeśli kto, to on ci najlepiej pomoże. Chcesz, to go poszukam i jutro do ciebie przyślę. Jak się z nim o tę usługę umówisz, to mu powiedz, na jaką sumę możesz sobie pozwolić. A jak już będziesz miał coś na widoku, dobrze patrz na miejsce i sąsiadów, a też skąd i jaką wodę będziesz brał. Co jeszcze?

– Przypomniało mi się o Damianie, co w szpitalu przebywa i może wsparcia potrzebuje.

– Damianowi nic już nie potrzeba, bo pomarł, zanim na tę naszą wycieczkę pojechaliśmy. Cóż, śmierć każdemu pisana, nie wykręcisz się od niej, a Damian dużo przeżył, wiele doświadczył i miał już swoje lata. No, pogadaliśmy trochę, pójdę już. A gdybyś miał do mnie coś pilnego, pytaj w kościele św. Anny. Ostań z Bogiem.

Po wyjściu Łukasza już nie wróciłem do pracy. Ściemniało się, a przy świecy źle się pracuje. Więc poskładałem wszystko, usiadłem przy oknie i zamyśliłem się, a po głowie snuły się myśli.

Czym jest bogactwo? Tutaj materialna wrażliwość jest względna. Ubogi żyje dniem dzisiejszym, a jeśli myśli o przyszłości, to jeno na co stać go będzie jutro czy pojutrze. Ale niezależnie od sumy, jaką dysponujemy, to ona powinna wyznaczać granicę naszych zamierzeń. Jeśli nasze potrzeby zaczniemy określać własnymi ambicjami, to się nie doszukamy końca tych potrzeb. I będzie to, jakbyśmy w podróż wyruszyli, której granicą będzie miejsce na widnokręgu, gdzie ziemia z niebem się spotyka. A chociaż miejsce to widzimy, nigdy się nie uda do niego dojść. *„Pragnienie bogactw i zaszczytów znika bowiem dopiero wtedy, jak człeka w trumnie zamkną”*[1].

Myśli płynęły i płynęły, coraz bardziej rozwlekłe i leniwe, wreszcie chyba musiałem się zdrzemnąć, bo zbudził mnie wstrząs, gdy zleciałem ze stołka na podłogę, i minęło trochę czasu, zanim ustąpiło zamroczenie umysłu, wróciłem do rzeczywistości i przypomniałem sobie, gdzie jestem.

Podniosłem się, ale byłem zbyt oszołomiony, żeby pomyśleć o jedzeniu, i od razu się położyłem, jednak sen ode mnie odbiegł. Wspomnienie złotego orła mocno musiało mi utknąć w pamięci, skoro nie mogłem się od niego uwolnić – nie o nim samym zresztą tylko myśląc, ale i o sprawach bardziej realnych, a mianowicie, że dzięki niemu będę mógł mieć pewien pożytek. Właśnie, pożytek...

Wszyscy znają to słowo, wiedzą, co ono znaczy, ale nie wszyscy w nim to samo widzą. Jedni coś ulotnego, chwilową przyjemność, co prędko odleci jak motyl, zostawiając wspomnienie kolorów i żal, że trwało to tak krótko, a po kolorowych dniach te powszednie wydadzą się jeszcze bardziej szare. Inni nie chwilę cenią, jeno trwałość, pewność przyszłości, opartą na mocnych podstawach. A ja?

Zbyt cenne dla mnie jest to, co mogę zyskać, żeby motylami mrzonek się bawić, a później żałować, że uleciały i nie wrócą. Najpierw o dom się postaram, potem rodzinę założę. Za długo z tym zwlekałem, pośpieszać mi trzeba, bo samotność – to jakby życie bez żadnego pożytku przez palce przeciekało. Ani do kogo wracać, ani z kim myślami się podzielić, ani od kogo pociechy w potrzebie zaznać, a Bóg jeden wie, jak mi tego potrzeba...

[1] Kung-sun Jang, *Księga aforyzmów*, Świat Książki, Warszawa 2005.

Trzy dni przeszły od bytności u mnie Łukasza. Listy do Krakowa napisałem, zaniósłem je do Zamku i oddałem panu Sylwestrowi, który zaofiarował się, że przekaże je komu trzeba i zapyta, ile ta usługa mnie będzie kosztowała. Wspomniałem, że wiedzie mi się dobrze, perspektywy na przyszłość też są dobre. Na Gody moglibyśmy w Krakowie wziąć z Dorotką ślub, którego Łukasz zaofiarował się nam udzielić, a potem od razu do Warszawy bym ją zabrał, bo do tego czasu już na pewno będę miał gdzie mieszkać.

Właśnie skończyłem klajster gotować, jak do drzwi ktoś zapukał i na progu stanął nieduży człek, przyzwoicie odziany w zielonkawy kubrak, także portki wpuszczone w buty z cholewami i czapkę siwym barankiem zdobioną. Zdjął czapkę, uklonił się i przedstawił.

– Jakub Karczynkowski jestem, z polecenia księdza Łukasza przychodzę, a pośrednictwem w sprawach różnych się trudnię. Podobno waszmość mieszkania albo domu poszukujesz?

Wstałem, przywitaliśmy się i stołek mu wskazałem. Przybyły miał gładko wygoloną twarz, włosy już nieco szpakowate, a ruchy powolne i stateczne. Zanim usiadł, oczami komnatę obiegł. Byłem zaskoczony tą wizytą, chociaż powinienem był spodziewać się kogoś w tej sprawie, i przez chwilę patrzyłem na niego, nic nie mówiąc. Rzekłem wreszcie, że jak widać, moje obecne mieszkanie nie nadaje się, żeby zimę w nim spędzić, więc szukam czegoś odpowiedniejszego. Mieszkania większego, a jeśli coś niedrogiego się trafi, to może niewielki domek bym kupił.

– A co dla waszmości znaczy „coś niedrogiego”? Czy na to przeznaczona jest jakaś konkretna suma?

Nie chciałem zdradzać, jaką to sumę mam do dyspozycji, więc powiedziałem, że sprawy te są dla mnie obce i nie orientuję się w cenach domów i mieszkań.

– Jeśli waszmość o kupnie mieszkania myślisz, to go nie kupisz, jeno wynając je możesz, bo nikt kawałka domu nie sprzeda. A domy różne ceny mają, w zależności od tego, jakie są, gdzie stoją i czy właścicielowi pilno ze sprzedażą. Jakim więc warunkom ma odpowiadać ten dom albo mieszkanie?

Powiedziałem więc, że zamierzam się żenić, więc mieszkanie ma być na tyle przestronne, żeby w nim wygodnie się mieszkało. Przynajmniej dwa pokoje, kuchnia, komórka w podwórku dla pomieszczenia opału i tak dalej. Dodałem też, że jestem niebogaty, ale w potrzebie na niewielką pomoc rodziny mogę liczyć.

Pan Karczynkowski słuchał i głową potakiwał, że wie, o co mi chodzi.

– W tej chwili jest na zbyciu nieduży dom przy Celnej ulicy, niedrogi, 350 złotych, bo właściciel chce go pilnie sprzedać. Murowany, z piwniczką i strychem. Możemy go zaraz obejrzeć.

Ale ja Warszawę już na tyle poznałem, że wiedział, gdzie nie chciałbym mieszkać, a najmniej w tamtej właśnie okolicy. Blisko stamtąd do miejsca Gnojną Górą zwanego, gdzie się wyrzuca nieczystości i różne odpadki. Niemiłe zapachy stamtąd się rozchodzą, a latem od much się nie można opędzić. Jeśli więc tam ktoś dom niedrogo

chce sprzedać, to zapewne chce się uwolnić od podobnych przyjemności. Przeto powiedziałem, że tam i za darmo nie chciałbym mieszkać, na co pan Karczynkowski tylko się uśmiechnął.

– W takim razie wiem, czego waszmość potrzebujesz, ale nieco przyjdzie poczekać, zanim się rozejrzę i popytam, bo nie co dzień ktoś domu chce się pozbywać. Samo mieszkanie wynająć łatwiej, ale zobaczymy. Więc jeśli waszmość mógłbyś wybrać, gdzie byś miał mieszkać, to gdzie byś wybrał?

– Okolice Zakroczymskiej, Przecznej, Krakowskiego Przedmieścia – Czerskie Przedmieście coraz częściej nazywane było Krakowskim, w czym jest pewna logika, bo nawiązywało do Bramy Krakowskiej, do której prowadziło – w każdym razie poza murami Starego Miasta.

Pan Karczynkowski głową pokiwał na znak, że zrozumiał.

– A możesz waszmość powiedzieć – zapytałem – jakie w przybliżeniu ceny domów bywają z takich, co by mogły mi odpowiadać?

– Na Bednarskiej był dom, jaki, sądząc z opisu, dobry byłby dla waszmości, za 500 dukatów, ale już sprzedany.

– Na taka cenę mógłbym sobie pozwolić – powiedziałem ostrożnie – ale zaznaczam, że nie może to być dom tylko na tymczasem, więc i na solidności budowy mi zależy i na okolicy nieuciążliwej i sąsiadach zgodnych.

– Zobaczymy, zobaczymy, bo już wiem, czego się trzymać...

– I nie chciałbym z tym zwlekać – dodałem – bo sam waszmość widzisz, już teraz tu chłodno, a co będzie, jak mróz chwyci? A jaki zadatek waszmość byś sobie życzył?

– Zadatków nie biorę. Jak znajdę coś odpowiedniego, to wtedy trzy złote za szukanie policzę. Za dni kilka tu zajrzę i powiem, jak sprawy stoją.

– A jakby mnie tu już nie było, gospodarzy z przeciwka pytajcie, oni wam powiedzą, gdzie wtedy będę, może już na Koźlej.

– Dobrze wiedzieć. Więc kłaniam się i żegnam.

Jak wyszedł, zabrałem się do pasowania okładzin, później dziurki w nich zrobiłem, sznurki przewlekłem, roztrzepałem ich końce i na klej umocowałem. Wreszcie do skóry się wzięłem, a ledwo się z tym uporałem, na obiad mnie zawołano. Po obiedzie wybrałem się do pana Gałęckiego, bo miałem propozycję, żebyśmy, nie czekając na zamówione nowe sprzęty, od razu z tym, co mamy, na nowe miejsce się przenieśli.

Po drodze wstąpiłem do łaźni, co jest blisko Bramy Nowomiejskiej, w gorącej wodzie się wyparzyć. Tam cyrulik krew mi dla zdrowia chciał puścić, ale się nie zgodził, bo nie czułem, żebym miał jej za wiele, więc tylko włosy dałem sobie ostrzyć. Chciał mi jeszcze zęby obejrzeć, czy może jaki kwalifikuje się do wyrwania, ale nie dałem. Na Grodzkiej wielkie nożyce zawieszzone nad drzwiami przypomniały, że krawca potrzebuję, bo przyodziewku na zimę nie mam ani zapasu bielizny, ani ciepłej czapki i butów, a jakiś ciepły przyodziewek też mi się przyda, ale to wszystko na inny dzień zostawiłem.

W domu wróciłem do przycinania skóry i pracowałem, aż ściemniać się zaczęło, wtedy wszystko poskładałem i odłożyłem do jutra, bo przy świecy łatwo coś popsuć i szkody sobie narobić.

Miałem u siebie księgę *Kroniki* Marcina Bielskiego wydaną w 1551 roku, co dał

mi ją do oprawy biskup Wawrzyniec Goślicki[1], a nie mając co robić, świeczkę bliżej przysunąłem i zacząłem czytać.

Aż dziw bierze, że katolicki biskup taką księgę dla siebie trzyma, bo autor ostro w niej krytykuje duchowieństwo katolickie, ucisk chłopów przez szlachtę, złe obyczaje publiczne, prywatę, rozluźnienie dyscypliny wojskowej, zanik ducha rycerskiego i zniewieściałość szlachty. Sam tytuł nie zapowiadał takiej treści i myślę, że gdyby ta księga była dostępna dla pospólstwa, mogłaby mu otworzyć oczy na niedoskonałość władzy, której musi słuchać, a może i podbechtać do czego złego.

Sam biskup Goślicki chyba sympatyzuje z Bielskim, bo do jego krytycznych uwag i własne dodaje, gdy w opublikowanym w Wenecji dziele swym *De optimo senatore* między innymi głosi zasadę, że królowie i wszyscy u władzy będący, powinni ponosić odpowiedzialność za to, jak urzędy swoje sprawują. Obie wymienione książki niedawno już opracowałem, o czym już chyba wspomniałem, ale nie miałem kiedy czytać i dopiero teraz bliżej mogłem się z nimi zapoznać.

Trudno się nie zgodzić z zawartymi w nich krytycznymi uwagami, jak i z tym, że nie mogą się one podobać sprawującym władzę, którzy swój autorytet podpierają siłą.

Grek jeden starożytny, Solon, powiedział, że najlepsze rządy są wtedy, gdy obywatele słuchają władzy, a władza słucha praw. Otóż ja widzę, że gdzie jak gdzie, ale u nas jest cokolwiek inaczej. Tak było i chyba zawsze tak będzie, bo każda władza ma taką właściwość, że psuje tego, co ją sprawuje, zaś taki popsuty człowiek z kolei od siebie więcej psuje władzę.

Jaki wniosek z tego można wysnuć, jeśli chciałby ktoś błędy owe naprawić? Otóż taki, że każdy władca, jakikolwiek by był, powinien mieć kogoś takiego jak nasz Stańczyk[2], co na jego dzieła i czyny krytycznie będzie patrzył, a błędy wytykał, inaczej rośnie w nim samouwielbienie i przekonanie, że oto doskonałością jest, a więc i wszystko, co robi, musi być doskonałe.

Jak te wszystkie swoje myśli i uwagi podsumowałem, musiałem się sam do siebie uśmiechnąć, bo na to wyszło, że ja bym najlepiej nadawał się na króla, a może nawet bym sam jeden sejm zastąpić potrafił, bo najlepiej wiem, jak państwo być powinno rządzone.

Cóż, wielu jest takich, co lepiej od księdza wiedzą, jak się mszę odprawia i że kulawy nie powinien kuleć, bo to na nogi niezdrowo...

Posłyszałem, że na ulicy straż się nawołuje, więc nie czekając na strofowanie, sam świecę zgasilem.

[1] Wawrzyniec Goślicki – biskup, ur. w 1530 lub 1538 r., zm. w 1607. Jakiś czas był sekretarzem króla Zygmunta II Augusta. Kanclerz Księstwa Siedmiogrodzkiego za Stefana Batorego. Pisarz polityczny i mówca.

[2] Stańczyk (ur. ok. roku 1480, zm. ok. 1560) – Stanisław Wyssogota, zwany też Stasiem Gąską, szlachcic. Błazen nadworny Aleksandra Jagiellończyka, Zygmunta Starego i Zygmunta II Augusta. Sławny z powodu ciętego dowcipu.

Chociaż zależało mi na szybkim skończeniu tego, co miałem zaczęte, tak się złożyło, że znowu wszystko musiałem odłożyć. Otóż rano zimno mnie zbudziło i poczułem, że coś niedobrego się ze mną dzieje. W głowie szumi, w gardle drapie, co się rzadko zdarzało, i w ogóle byłem jakiś nieswój. W izbie było tak zimno, że już nie było mowy, żebym tu dalej miał mieszkać. Minęła połowa października, przymrozki lada dzień się zaczną, rychło śnieg spadnie, a ja tu, w izbie siedząc, czułbym się, jak bym na dworze siedział albo jeszcze gorzej, bo tam, będąc w ruchu, przynajmniej rozgrzać się można.

Zastukałem do gospodarzy i powiedziałem, że chcąc nie chcąc, muszę się wyprowadzić, bo tu już się nie da mieszkać ani pracować. Bednarz powiedział, że póki czegoś innego nie znajdę, jakiś czas mogę sobie u nich spać, bo już w piecu zaczęli palić, ale mnie nie tylko o spanie chodziło. Nie chciałem przy robocie siedzieć odziany w parę sztuk odzieży i patrzeć, jak mi para z ust idzie, więc podziękowałem. Dodałem tylko, że na obiady nadal chciałbym przychodzić, bo w żadnej gospodzie nie nakarmią mnie tak, jak pani majstrowa.

Pożyczyłem od nich mały wózek, zapakowałem, com tam swojego miał, a także książki właśnie oprawiane, i udałem się do pracowni pana Gałęckiego. Powiedziałem, w jakiej się znalazłem potrzebie, i że na parę dni do naszego nowego lokalu przy Koźlej muszę się wprowadzić, póki mieszkania nie znajdę, a książki, jakie aktualnie robię, u niego chcę skończyć, bo tam, prócz gołej podłogi, niczego jeszcze nie ma.

Powiedział na to, żebym tam mieszkał, ile mi trzeba.

Poszedłem na nowomiejski rynek i u wszystkowiedzących przekupek wywiedziałem się, co gdzie można kupić, nawet wiele nie chodząc. Kupiłem trzy koszule i tyleż gatek, siennik, pierzynę i poduszkę z obleczeniami, prześcieradło, a też parę garnków, dzbanek i dwa garnuszki. Dobrze, że miałem wózek, bo inaczej nie mógłbym do mieszkania tego wszystkiego zaciągnąć. Pomyślałem też o drewnie na opał, już porąbanym, i to w ciągu godziny obiecali przywieźć. Trochę mi było niemiło, że tyle swojego dobra nawiozłem do izby, co miała być wspólną pracownią, ale pocieszyłem się, że to jeno tymczasowo.

To wszystko tyle zajęło mi czasu, że już pora było pójść na obiad, więc wziąłem wózek i poszedłem, żeby go oddać.

Przy obiedzie dostałem radę, żebym się napił grzanego piwa rozrobionego z żółtkiem i miodem i ciepło do spania się okrył. Przy okazji zapytałem o Janusza.

– Martwimy się o niego, bo już za długo za Wisłą u dziadków siedzi. W powietrzu czuje się zmianę pogody i na rzece może być duża fala, a wtedy niedobrze się przeprawiać.

– Co on tam robi?

– Obraził się na nauczyciela, bo jak niegrzecznie mu odpowiedział, to parę razy różgą dostał i powiedział, że do szkoły więcej nie pójdzie.

– To chyba teraz z ojcem będzie robił, skoro szkołę opuścił?

– Nie bardzo on chce beczkami się zajmować, ale bąków mu zbijać nie pozwolę –

bednarz zmarszczył brwi. – Za mały jest, żeby miał wiedzieć, czego chce. Mnie ojciec nie pytał, co chcę robić, tylko do rzemiosła oddał i dobrze na tym wyszedłem. Żrebak też woli brykać, a już od młodu powinien przywykać do radła i wozu.

– Nie wszystkie żrebaki do zaprzęgu się rodzą – zauważyłem. – Czas już na mnie. W piecu trochę rozpalę, piwa grzanego się napiję i pod pierzynę wleżę, może mi przejdzie.

– A miodu też zażyjcie – poradziła bednarzowa – zdrowie samo nie wróci, a pomoc mu trzeba.

– Napiję się, chociaż dla chorego i miód gorzki być może, ale i gorycz się czasem przydaje, bo przypomina o słodyczy. No, to do jutra.

*

Po powrocie na Kozłą piwa z miodem i rozbełtanym żółtkiem się napiłem i chociaż smaczne to nie było, na wewnątrz trochę rozgrzało, i pod pierzynę wlażem. Aż dziw, jak wielu ludzi wie, jak cudze choroby leczyć, chociaż jak sami zaczną kwękać, u innych pomocy szukają.

Już imć Stańczyk, co był nadwornym trefnisiem kolejno aż trzech naszych królów, trafnie zauważył, że spośród różnych profesji najczęściej jest lekarzy, co na każdą przypadłość poradzą. Chociaż sam był szlachcicem, błazeńską czapkę przywdział, żeby niby głupiego udając, w innych błaznów ukazywać. Każdemu królowi dobrze jest mieć mądrego błazna, ale błaznowi może być niezdrowo, jeśli na zadufanego w sobie króla trafi.

A w chorobie nie tylko lekarstwo jest ważne, ale też postanowienie, że musimy wyzdrowieć, bo jak kto zacznie się nad sobą użalać, a myśleć ustawicznie o swoich przypadłościach, a wyliczać je, to jakby coraz większy dołek pod sobą kopał, aż wreszcie taki wykopie, że już z niego nie zdoła się wygrzebać.

Ponieważ dzisiaj już nie chciałem pracować, żeby się lepiej wygrzać i wydobrzeć, zacząłem liczyć, ile książek mamy właśnie w oprawie i jakie koszta materiałów potrącimy, ale ciężko mi szło liczenie w pamięci. I taki z tego w niosek, że wszystko, co do kasy wchodzi albo z niej wyjmuję, należy zapisywać. Bo inaczej pieniądze będą jak gołębie: przylatują i odlatują, a chociaż wiemy, ile ich być powinno, nie policzysz w locie, czy tyle ich jest, co trzeba, i czy rachunek się zgadza.

Ciepło mi się zrobiło pod pierzyną i trochę sennie, a myśli w stronę Krakowa, do moich najbliższych uleciały. Narodziny Chrystusa chcę święcić w Krakowie wspólnie z rodziną, a największe święto będzie, jak przed ołtarzem z Dorotką staniemy, a ksiądz ręce stułą nam złączy.

Mówią, że łatwiej się ożenić niż być żonatym i to jest prawda, bo obowiązków przybędzie i nie o własnych jeno przyjemnościach trzeba będzie myśleć. Żeby bezpiecznie po morzu małżeństwa żeglować, nie tylko miłość za ster, ale i rozsądek za kompas mieć trzeba.

Z Łukaszem trzeba mi się naradzić, jak do Krakowa najlepiej dojechać, bo może akurat śniegu nawali i mróz ściśnie, a w lasach po drodze mogą być wilki.

Myśli płyną coraz leniwiej, jakieś krzątanie w drugiej połowie domu słysząc,

stąpanie, postukiwanie... Ale od ulicy było cicho, bo dom stoi trochę na uboczu. Przez okno zamiast murów widziałem drzewo już liści pozbawione, jakby na tle nieba wiatrem poruszane, gałęziami przyzywało mnie do siebie.

Przebudziłem się o czasie, kiedy noc już się kończyła, a dzień dopiero zaczynał. Dziwne to uczucie obudzić się na podłodze i na pokój spojrzeć z innej perspektywy. Sufit wtedy wydaje się daleki, a podłoga, zazwyczaj widziana z wysokości wzrostu, jest tuż przed oczami, tak że widać każdy szczegół deski, a ściany jakby się od siebie oddaliły. Po kątach jeszcze kryją się cienie, a sama izba, pusta, pozbawiona sprzętów, wydaje się większą, niż jest. Leżę i myślę, a myśli najlepiej dojrzewają w samotności, jak owoce, których czyjaś niecierpliwa dłoń jeszcze nie zdążyła zerwać. Powinienem odczuwać zadowolenie ze swojego ustawienia się w życiu, ale to wszystko jest jakby jakieś tymczasowe i niedokończone.

Na tym rozmyślaniu tyle czasu spędziłem, że już dzień jasny się zrobił, to znaczy, że o tej porze powinien już taki być, ale jest jakiś szary, jak ten dziad w burej kapocie pod kościołem siedzący.

Wstąpiłem do gospody na rynku Nowego Miasta, żeby coś cieplejszego przegryźć, ale jakoś nic mi nie smakowało. Jak się już do wyjścia zbierałem, dostrzegłem człeka siedzącego w najdalszym kącie, a zauważyłem go dlatego, że się we mnie pilnie wpatrywał. Był już dosyć stary i siwy, marnie, chociaż czysto odziany. Miał długie białe włosy sięgające do ramion, obwisłe wąsy, ale poza tym nie miał zarostu na twarzy. Jak zobaczył, że go widzę, skinął ręką, żebym do niego podszedł. Nie powiem, żeby takie machanie mi się spodobało, bo jak ktoś ma do mnie interes, sam powinien podejść, ale że był stary i może chromy, to podszedłem.

– Możesz waszmość staremu kufelek postawić? – zapytał, a widząc, że się zmarszczyłem, życzenie takie słysząc, dodał: – Uprzejmie o to proszę, a może i do piwa się coś znajdzie?

Widząc, że idę jego życzenie spełnić, rzekł mi, żebym i dla siebie coś wziął i z nim się napił. Nie zwykłem z obcymi się spoufalać i jeszcze piwo z nimi pić, ale że była niedziela, a ja czułem się dziwnie samotny i opuszczony, i tamten też był sam, to pomyślałem, że towarzystwo, jakiegokolwiek by było, dobrze mi robi. Przyniosłem dzbanek piwa świeżo utoczonego z beczki, dwie szklanki, a do tego parę cienkich słonawych placków, podobnych do tych, co je Żydzi macą nazywają, i usiadłem naprzeciwko. Uprzejmie mi podziękował.

– Widuję cię w mieście od czasu do czasu – powiedział – a nie obrażaj się, że cię tykam, bo po pierwsze, jeśli nie dziadkiem, to ojcem twoim mógłbym być, po drugie – bez ciągłego waszmościowania rozmowę gładziej się prowadzi, a biorąc to, co po pierwsze i po drugie, nie z braku szacunku tak się do ciebie zwracam. Na imię mam Kajetan, i ty też tak do mnie mów, po imieniu.

Powiedziałem, ktom jest i czym się zajmuję, on zaś mi odrzekł, że mam dobre rzemiosło, on też lubi książkę poczytać, ale rzadko ma do niej dostęp, chyba że w śmieciach coś się znajdzie, jeśli ktoś wyrzucił, ale to rzadko się trafia, chyba przez nieuwagę, bo książki są drogie. Widząc zaś moje zdziwienie, dodał, że on sam się zajmuje wywożeniem z domów śmieci i nieczystości.

– Jak to wywożeniem nieczystości? – zdziwiłem się. – Jakich nieczystości?

– Coś ty, Pawle, dziecko jesteś, czy co? Jakich nieczystości? A no tych, co nos sam cię do nich doprowadzi, jak do jakiej kamienicy wejdiesz i beczkę wtedy zlokalizujesz, co stoi w sieni albo za domem gdzieś jest schowana, a do której nocne naczynie się opróżnia, pomyje wylewa i odpadki różne wyrzuca. Czyżbyś sam z tych urządzeń nie korzystał?

Rzekłem mu na to, że istotnie nie korzystał, anim o nich zgoła nie myślał, bo tam, gdzie mieszkam, w tym celu wygodka jest na podwórku.

On na to głową pokręcił i powiedział, że widać w luksusach żyję, ale nie wszyscy na wygodki mogą sobie pozwolić, choćby z braku miejsca.

– Przecież Stara Warszawa murami jest ściśnięta, a dom na dom wchodzi, gdzieżby tu jeszcze wygodki stawiać, ile to miejsca by dla nich było potrzeba! Czyś zastanowił się, gdzie się podziewa to wszystko? Gdyby to na ulicę wywalać, rychło trzeba by z miasta uciekać, żeby się w tym chlewie nie utopił!

Mimo woli podejrzliwie pociągnąłem nosem, czy od mego towarzysza zapachem jego profesji nie zalatuje, ale niczego niemiłego się nie dowąchałem. On to chyba zauważył, bo się roześmiał.

– Sam się w tym nie grzebię – wyjaśnił – bo przedsiębiorcą jestem i ludzi do tej pracy najmuje i opłacam, a prócz mnie są jeszcze inni, co też na brak zajęcia nie narzekają dzięki temu, że matka natura w tak mądre urządzenia stworzenia swoje wyposażyla, co dają pożytek nie tylko im samym. Były niegdyś projekty, żeby wzdłuż ulic rowki wykopać i tam nieczystości wylewać, żeby je później do Wisły spłukać, ale że fetor byłby ogromny, zamysł ten upadł.

Rajcy swego czasu chcieli, na brzegu Wisły zbudować pomost i tam beczki opróżniać, ale mieszkańcy się nie zgodzili, bo dla niektórych to za daleko, więc wielka niewygodą z beczkami tam jeździć. No to za mury na kupę się to wszystko wyrzuca w jednym miejscu, a przez lata nabierało się tego tyle, że przez to Gnojną Górą ono się nazywa. A ty jakżeś sobie to wszystko wyobrażał?

Musiałem przyznać, że niczego sobie nie wyobrażałem, bom o tych sprawach jakoś nie myślał. Zapytałem jeszcze, bo byłem ciekawy, jak to król te sprawy załatwia, na co Kajetan się uśmiechnął.

– W tych sprawach, to król od ciury nie jest lepszy, bo jak potrzeba go przyciśnie, też pójdzie tam, gdzie karetą zjechać nie może. Tyle jeno ma lepiej, że sam nocnika nie musi brać do ręki, bo dworzan ma, co mu go podstawia, gdzie należy. Mówią, że na Zamku podobno jest jakieś pomieszczenie z dziurą w podłodze, ale ja tam nie bywałem, to i nie wiem, jak z tym jest... Tak – pokiwał głową – organizacja życia w mieście różnymi sprawami zajmować się musi, nie tylko takimi, co ładnie pachną, więc dla mnie i moich ludzi pracy nie zabraknie. Ot, pomyśl tylko, ile choćby w tej jednej gospodzie zlewek, pomyj i odpadków różnych się nabiera, a ile jest jeszcze takich gospód, a i gospodarstw domowych, co niemałą część do tego dokładają? To wszystko musi gdzieś się podziać, a wiadomo, że nie na ulicę wyrzucone, chociaż są tacy, co i to robią.

Tak sobie pogadując, popijaliśmy piwo, zagryzając je plackami, aż cały dzbanek osusziliśmy. Kajetan chciał drugi kupić, żeby się za poczęstunek odwzajemnić, ale ja już

miałem dosyć.

– A nie myśl – powiedział – że z biedy o piwo cię prosiłem, bo na zajęciu swoim dobrze zarabiam, jeno o towarzystwo mi chodziło. Odkąd przed laty żona z dziećmi w pożarze domu spłonęli, sam jeden żyję, a jak ich wspominam, żal muszę w dzbanku utopić. Samotny człek lada czym się obejdzie, ale lada czym żalu nie ukoj. Tak to już jest i być musi, chociaż łacniej przychodzi dzieciom starych rodziców pochować, niż starym na trumienki dzieci patrzeć...

Oparł głowę na rękę i nie spojrzął na mnie, gdym wstał, więc tylko ukloniłem się i wyszedłem. Słysząc było, jak zegar na Ratuszu dwunastą godzinę wybija, więc gdy miałem do obiadu jeszcze trochę czasu, nie opłacało mi się pod pierzyną go spędzić, chociaż przeziębiony się czułem. Bo i co za przyjemność leżeć na podłodze w komnacie pustej jak stodoła na przednówku i w sufit się wpatrywać? Ponoć dzięki chorobie poznajemy słodycz zdrowia, ale niech kto inny na sobie to porzekadło sprawdza i tej słodyczy pokosztuje...

Wracając, na widok łaźni[1] wspomniałem, że jutro mi wypada ją odwiedzić, bo już tydzień, jak gorącej kąpieli nie zażywałem. Ale że w złym humorze byłem i na wszystko skłonny krzywo patrzeć, tak i tu niedogodności zacząłem się doszukiwać. A przede wszystkim – kto chce zdrowym być, do łaźni wspólnej lepiej niech nie chodzi, a kąpiele postara się w domu urządzić.

A jeszcze od siebie dodam, że kto w beczce chciałby się moczyć, to nie wie, czy w tej wodzie już się ktoś przódzi kąpał, może jaki krostowaty albo francowaty, co onym dobrodziejstwem z nami się podzieli? Łaziebny do zmieniania wody prędko nie jest i jak wybrzydzasz za bardzo, to ci za opłatą jakieś medykamenty do wody wrzuci albo mrówek dosypie[2], a już nie wiem, po co te mrówki, żywe one będą, czy jak? A instrukcja do kąpieli w łaźni jest taka oto: *„Kto chce wanny na zdrowie użyć, powinien na czczo się kąpać, nigdy w łaźni ani w wannie nie jadać ani pić i dopiero po kąpieli w parę godzin albo w godzinę się posilić”*[3].

A są i tacy, co do łaźni nie tylko nie chodzą, ale też ciepłej wody do obmycia się unikają i latami się nie myją, żeby tak ciało swoje umartwiać i przez to udręczenie na królestwo niebieskie zasłużyć. Takie ponoć ślubowanie uczyniła nasza księżna Kinga, małżonka Bolesława Wstydlivego. Niejeden rok w ten sposób się umartwiała, a tej chwały dostąpiła, że świętą ją ogłosili.

Ja tam nie wiem, ale mniemać można, że książę przez to na miano Wstydlivego zasłużył, że w łóżnicy niczego pożytecznego się z nią nie dorobił, bo onej woni świętości, jaką rozsiewać wokoło musiała, znieść nie mógł, przeto wolał z mniej świętą sypiać.

Co do mnie, świętym zostawać nie zamierzam, ale i do beczki z przyczyny, com ją wcześniej wyluszczył, wlaźli nie będę, jeno wodą z cebra łaziebnemu każę się polewać. A szmaty do wycierania się też lepiej mieć swoje.

Tak rozmyślając, doszedłem do domu wójta przy rynku, obszedłem Ratusz naokoło i stanąłem, pręgiarzowi się przypatrując, co prawo karzące reprezentuje. Może z powodu głowy, co mi ciążyła jakoś i szumy w niej czułem, tak i tutaj dopatrywałem się najpierw tego, co mi się w tym słupie nie widzi. I patrząc tak na tego kamiennego dziada, co głowę pod pachą trzymał, pomyślałem, że prawo karzące to on może i przedstawia, ale prawo

i sprawiedliwość mogą być od siebie dalekie jak niebo i ziemia.

Bo, na przykład, kara za zabicie szlachcica czterysta osiemdziesiąt grzywien wynosi, a za zabicie chłopą jeno trzydzieści, a przecież równość być powinna, bo i to, i to jest życiem człowieka. A nierówność i wśród niby równych sobie znaleźć można, tych, co „panami bracią” sami się mianują, bo na przykład szlachcic szaraczkowy czapkuję chodaczkowemu, chodaczkowy zagrodowemu, a ten magnatowi.

Skrzywiłem się, jakbym ocet na języku poczuł i skierowałem się w stronę Podwała.

Ludzi na ulicach było niewiele, bo to i niedziela, i przy takiej pogodzie lepiej w domu siedzieć, a kto chce towarzystwo znaleźć poza domem, raczej w gospodzie go poszuka, niż po dworze się wałęsając, a szukając, czego nie zgubił.

Na placu takie kałuże, że trudno było przejść suchą nogą, bo wszędzie się szeroko rozlewały, w koleinach przez wozy zostawionych i dziurach różnych, wygrzebanych przez niecierpliwe konie, zazwyczaj czekające tu w zaprzęgu. I mokłem tak od góry od tego niby deszczu, i od dołu, bo w rozlewiskach nogi sobie przemoczyłem. Jedno tylko miałem w głowie: zjeść, co mi dadzą, do siebie wrócić i pod pierzyną się wygrzać. Na obiad wypadło trochę poczekać, ale przynajmniej w cieple, co przypominało, że moja izba nie jest ogrzana.

Na obiad był żur na zakwasie, a później kluski z mąki tatarczanej zrobione, a dobrze skwarkami z cebulą okraszone, tom sobie podjadł i gorące jadło dobrze mi zrobiło. Jak już podziękowałem i zabierałem się do wyjścia, przyszedł znajomek gospodarzy, co go znałem z widzenia i wiedziałem, że niedaleko na Podwału mieszka. Zatrzymałem się więc, licząc na jakieś nowiny. Jak się okazało, wybierał się jutro na Pragę, a przy okazji miał wstąpić do dziadków Janusza i przywieźć go do domu.

– Już prawie dwa tygodnie tam się byczy – mówił oburzony ojciec – i ani do szkoły nie chodzi, ani w domu nie pomaga. Na darmożjada rośnie!

Pożegnałem się i wyszedłem, uprzedzając, że jutro na obiad nie przyjdę, bo mi różne sprawy wypadają, ale bednarzowa powiedziała, że jak będę mógł, to żebym przyszedł, bo jadła starczy.

Mogłem wracać Podwałem, ale wiedziałem, że w niedzielę po południu mogę tam spotkać pijaczków, co idąc, ulicę wzdłuż i w poprzek przemierzają, a zwady szukają. Poszedłem więc drogą, którą przybyłem, a po drodze domowe kluski popiłem kufelkiem piwa. Deszcz przestał padać, a nawet jakby zaczęło się wypogadzać, bo czasem pokazywał się kawałek nieba.

*

Na podwórku spotkałem panią Józefową, jak wynosiła karmę świniakowi, co go trzymała w chlewiku.

– Jakoś markotni jesteście, panie, ledwo nogami ruszacie. Stało się coś?

– Gardło mnie trochę pobolewa i w głowie jak w młynie, ale już gorzej bywało.

– To może zimnica jakaś się przyplątała? O tej porze roku łatwo coś takiego złapać, a później to się ciągnie a ciągnie... Wstąpcie do mnie, winem grzanym was poczęstuję, to się na wewnątrz rozgrzejecie.

Wymawiałem się, że nie uchodzi, ale słuchać nie chciała.

– Dlaczego nie uchodzi? Że na złe języki ktoś nas może wziąć? Matką waszą mogłabym być, a pomoc ze szczerego serca ofiaruję. Zaczekajcie chwilę, tylko to prosiakowi do koryta wrzucę, bo już pokwikiwać zaczyna.

No to poczekałem, co tam się miałem wymawiać. Wieczór blisko i tak dosyć się wyleżę, jak w stodole na klepisku, i znów będę myślał, nie wiadomo o czym. Nie znałem bliżej mojej gospodyni, jeno tyle o niej wiedziałem, że jest wdową po stolarzu i tego domu właścicielką.

Wino musiało być pieprzem albo czym innym przyprawione, bo dobrze je poczułem w głowie i na języku. Wlałem w siebie najpierw jeden, potem drugi kubek, a wtedy pani Józefowa powiedziała, że wino ma w sobie trzy składniki. W pierwszym kielichu daje radość, w drugim upojenie, a trzeci daje obrzydzenie, przeto trzeciego już mi nie należy, a jak będę upojony, sen zdrowy na mnie przyjdzie, co chorobę ze mnie wyciągnie.

Przy okazji pogawędziliśmy sobie, ale krótko, bo słowa już mi się z myślami zaczynały mieszać. Powiedziała, że wdową jest piąty rok, dzieci ma troje odchowanych i już na swoim, że jeden wytrzymały konkurent cholewki dla niej smali, ale ona nie wie, czy z tego coś będzie, bo oboje w wieku są, kiedy każde już swoich przyzwyczajęń nabrało, a wtedy do drugiego trudno się dopasować, a jej i tak jest dobrze.

Ja ze swej strony o małżeńskich planach ją powiadomiłem, ale że trudności są na tej drodze, bo najpierw pracy nie miałem, a teraz domu albo mieszkania szukam. Na to ona w ręce klasnęła i powiedziała, że szkoda, iż nie wiedziała, bo trzy dni temu ładny i niestary dom był do sprzedania z ogródkiem, studnią i paroma jabłunkami, w sam raz dla rodziny, ale jeszcze jutro tam pójdzie i zapyta, czy już sprzedany.

Czułem, że mam w głowie coraz więcej tego wina, a bojąc się, że język nim naoliwiony za lekko mi będzie chodził i wypaplam coś, czego nie trzeba, podziękowałem i pocałowawszy ją w rękę, do siebie wróciłem.

Ochlapałem się nieco wodą z miski, od razu pod pierzynę wlałem, bom czułem, że jeszcze trochę, a i tam nie trafię. Jak to zwykle u mnie bywa, przed zaśnięciem tu i ówdzie myślami pobłądziłem i może z tego, że pani Józefowej o żeniacze wspomniałem, pomyślałem, że jednak dobrze jest, że w Warszawie cechu mojego nie ma, bo bykowe musiałbym cechowym braciom płacić[4]. Jak zasnąłem, tak spałem bez snów, jednym ciurkiem, aż do rana.

[1] Książę warszawski Janusz I Starszy w 1376 r. nadał mieszczanom warszawskim przywilej na wybudowanie łaźni i dochody z niej przeznaczył na potrzeby miasta.

[2] Artur Bardach, Stanisław Herbst, *Kultura polska w źródłach i opracowaniach*, LSW, 1961.

[3] Tamże.

[4] Artur Bardach, Stanisław Herbst, *Kultura polska*, LSW, 1961 r. Cyt: „Mistrz, który by się do upelnego roku nie ożenił, ma i powinien dać braciom za winę pół achtela piwa. Na drugi rok, jeśliby okrom małżeńskiego stanu żył, achtel piwa, a na trzeci rok beczkę piwa, a jeśliby dalej tak żyć chciał, tedy na takowego rok a w rok po jednej beczce piwa, którą winę zowią *ex veteris temporibus* (z dawna) bykowa”. (Beczka 88 litrów, achtel – dawna miara płynów i ciał sypkich, ósma część beczki).

Jeśli śpiący człowiek śni, to po przebudzeniu ma wrażenie, jakby z jakiegoś innego świata powrócił, i oczy otwierając, zdziwiony jest, że dopiero co przebywał w jednym miejscu, a nagle znalazł się w drugim.

W miarę jak powracałem do rzeczywistości, wczorajszy dzień przesuwał mi się przed oczami i jakoś mi się nasunęło to, co pani Józefowa powiedziała o picciu. Zaraz... jak to dokładnie brzmiało? Że pierwszy kielich daje radość, drugi upojenie, a trzeci obrzydzenie. A słowa te przypomniały mi się dlatego, że i mnie się kiedyś coś takiego zdarzyło. Oto gdy na mistrza zostałem wyzwolony, wszystkim cechowym majstrom miałem obowiązek poczęstunek postawić, oni zaś wtedy tak się rozochocili, że jeden przez drugiego mnie pilnowali, żebym coraz to nowe toasty spełniał, a za kołnierz nie wylewał. I wstyd powiedzieć; tak mnie wtedy spoił, że na własnych nogach do domu nie wróciłem. I wtedy powzięłem mocne postanowienie, że już nikt mnie więcej w takim stanie nie zobaczy.

I teraz, jeśli w towarzystwie napić mi się wypadnie, jak tylko pierwszy szmerek w głowie poczuję, szklankę przed sobą do góry dnem stawiam i wtedy już nikomu na ten „ostatni” kusztyczek namówić się nie dam. Nawet gdyby ktoś miał się na mnie obrazić, że za jego zdrowie nie chcę pić. I do tej pory dobrze na tym wychodzę.

Zasługą wczoraj wypitego wina, zapewne czymś zaprawionego, było, że po wczorajszych przypadłościach śladu nawet nie zostało. A jak do pracy wychodziłem, pomyślałem, że powinienem pani Józefowej podziękować za tak skuteczną kurację, ale u niej było cicho w mieszkaniu, więc na inny raz to odłożyłem.

Na ulicy spotkałem pana Gałęckiego, co też do warsztatu szedł, a wkrótce dołączył się Janek, terminator jego, i niebawem razem, co który miał do roboty, zaczęliśmy pracę. Ja miałem parę książek do szycia, on okładki oklejał, a chłopak naprawiał karty rozebranej książki.

W czasie tej rozmowy napomknąłem, żeśmy powinni w książce zapisywać, jakie mamy przychody i rozchody, na co i kiedy, żeby nie robić tak z dnia na dzień i nie polegać tylko na pamięci. On mi na to pokazał swoje zapiski, co je robił, odkąd razem pracować zaczęliśmy, i powiedział, że też o takiej książce myślał. Oraz że pisarza na Ratuszu trzeba zawiadomić, że teraz razem jeden warsztat będziemy prowadzić.

O tych sprawach do tej pory jakoś nie pomyślałem i poprosiłem, żeby wziął to na siebie, na co się zgodził. Widać było, że mój współnik dziś jakoś inaczej na świat patrzy, oko ma żywsze i twarz pogodniejszą. Myślałem, jakby go o to zagadnąć, ale sam pierwszy mi powiedział, a com usłyszał, tak mnie zdumiało, że aż pracę na chwilę przerwałem.

A to powiedział, że dopiero teraz te pieniądze, co je będzie zarabiał, w całości na rodzinę będzie mógł przeznaczyć. Jeszcze bowiem przed minioną zimą dług zaciągnął, żeby mieć na opał i na leczenie żony – i do tej pory po trochu oddawał tak, że dopiero w tym miesiącu ostatnią część spłacił.

Przez głowę mi nie przeszło, że on w takim ciężkim położeniu się znajduje, więc taki zaskoczony byłem, że tylko zapytał, czy żona już zdrowa.

– Z żoną nie jest gorzej, ale i nie lepiej. Teraz będę mógł do niej lekarza sprowadzić, bo do tej pory nie było mnie stać na niego. Jeszcze przed rokiem, póki była zdrowa, do prania się najmowała albo do pracy na wolskich folwarkach, ale odkąd pod zeszłą jesień jakaś krzypota w nią wlała, do tej pory z niej się nie może wygrzebać.

– Wiecie co, panie Kazimierzu, ja w tej chwili sam jestem i niewiele na siebie wydaję, więc coś z sumki, co ją mam odłożoną, mogę wam pożyczyć. Więc powiedzcie, ile potrzebujecie, żebyście od razu mogli stanąć na nogi i żonę poratować?

– Wdzięczny jestem za dobre chęci, ale z doświadczenia wiem, że długi lekko się zaciąga, a ciężko spłaca, wolę więc się jeszcze nieco pomęczyć, za to o własnych siłach na nogi stanąć. Pożyczać najlepiej tym, co wiele mają, bo biedacy nie mają z czego oddawać – dodał z goryczą.

– Pożyczki bywają różne, tak jak różni są ludzie, co ich udzielają, a ja ze szczerego serca chcę wam pomóc i ze spłatą naglił nie będę. Jeśli dwadzieścia albo trzydzieści złotych na pierwsze potrzeby wam starczy, to jutro możecie je mieć, i spłacać później po złotemu na miesiąc albo i mniej. Co wy na to?

– Już dość zrobiliście, panie Pawle, żeście wzięli mnie na współnika, bo już byłem w takim położeniu, że nic, tylko się utopić, aby na głodne dzieci i chorą żonę nie patrzeć. Żona leży, dzieci cały czas w domu siedzą, bo są bez butów, a tu jeszcze i pożyczka była na karku. Teraz na rodzinę mogę dość zarobić, a że wymagania nasze nie są wielkie, to sobie odżyjemy, wygrzebiemy się z biedy i jak Bóg da, na lepsze nam pójdzie.

Nie chciałem gwałtem z pomocą się narzucać, ale w duchu postanowiłem, że znajdę sposób, aby mu pomóc.

– A ile dzieci macie?

– Troje, najstarszy ma dziesięć lat, później siedem i pięć; dwóch chłopaków i dziewczuszka najmłodsza.

– To na Krzywym Kole mieszkacie?

– A tak, zaraz za Kamiennymi Schodkami. Jak się żeniłem, dwadzieścia sześć lat miałem, wtedy właśnie na mistrza się wyzwoliłem i wydawało się, że cały świat stoi przede mną otworem. Ale prędko się zamknął.

– To teraz macie ile lat? Wybaczcie, że tak wypytuję, ale przecie powinniśmy więcej o sobie wiedzieć.

– Trzydzieści osiem.

Nie dałem po sobie poznać, jak się zdziwiłem, bo z wyglądu sądząc, wyglądał na jakieś dziesięć lat więcej, ale widać, że bieda z młodego starego zrobić umie. Tu coś mi się przypomniało.

– Zapomniałem, czy o to pytałem... Czy przez dni parę moglibyśmy się wstrzymać z przeprowadzką na Koźlą, bo na razie nie mam gdzie spać, to bym tam pomieszkał, póki czegoś nie znajdę, a już pilnie szukam.

– A mieszkajcie tam sobie, ile trzeba, na razie tutaj się też pomieścimy.

Tak sobie rozmawialiśmy, każdy swoje robiąc, a chłopak się przysłuchiwał i w pewnej chwili zapytał:

– Panie majstrze, mógłbym wyskoczyć na pół godziny? Mama tam sama siedzi przy kramie, może trzeba jej pomóc?

– Idź, jeno to, co robisz, dzisiaj masz skończyć, bo pospieszać musimy.

Jak chłopiec wyszedł, poskrobałem się w głowę, myśląc, jak powiedzieć, że dom chcę kupić, a przy tym na krezusa nie wyjść, co się ze swoimi bogactwami tań, ale doszedłem do wniosku, że im prędzej to powiem, tym lepiej, bo nieładnie by wyszło, gdyby mój wspólnik miał się o tym dowiedzieć przez przypadek, od obcych ludzi.

– Jak już mówiłem – zacząłem – niedawno w takim byłem położeniu, że bieda mi w oczy zaglądała, ale popatrzcie, jak los się może odmienić. Od tego czasu pół roku nie minęło, a już dom zamierzam kupić, bo stan swój kawalerski chcę odmienić i żonę gdzieś muszę ulokować. Wprawdzie wielkich pieniędzy jeszcze się tutaj nie dorobiłem, ale inna okazja się trafiła, o której może kiedy indziej wam opowiem. Na pomoc rodziny też mogę liczyć.

Gałęcki nic na to nie powiedział, ale zauważył, że jakby zwolnił pracę, żeby rozważyć sobie, co usłyszał.

– Dom chcecie kupić, panie Pawle? W Warszawie czy w Krakowie?

– No pewnie, że tutaj!

– To znaczy, że w miasto już zaczynacie wrastać?

– A pewnie – odrzekłem, nawlekając nową nitkę i woskując ją.

Tu warto wiedzieć temu, co nie wie, że lniane nici do szycia książek trzeba woskować, żeby były gładkie i nie przecierały się w czasie przeciągania ich przez papier, ale nie zanadto, bo zbytne woskowanie utrudnia przyleganie do nich kleju.

– Podoba mi się w Warszawie, ale na Starym Mieście bym nie chciał mieszkać, bo w murach już ciasno się zrobiło. W Krakowie też poza murami mieszkaliśmy, więc do większej przestrzeni przywykłem i powietrza lepszego.

Tak sobie rozmawialiśmy, aż przyszedł Janek i znowu do swojego klejenia się zabrał. Wreszcie skończyłem szycie ostatniej książki i z ramy ją odciąłem. Jak posłyszeliśmy, że na ratuszu wybiła kolejna godzina, każdy z nas swoją część pracy miał na ukończeniu. Gałęcki też narzędzia już składał, ale prawie godzina jeszcze zeszła, zanim wszystko uporządkowaliśmy, aby co trzeba na jutro było przygotowane, i mogliśmy wyjść.

Poszedłem do łaźni, gdzie znalazłem takiego drugiego, co też nie chciał z usług łaźniowego korzystać, i jeden drugiemu plecy wyszorowaliśmy, polewając się wodą z wiaderka. Na obiad do bednarzów już było za późno, więc po drodze wstąpiłem do gospody i tam posiłek zjadłem, co miał mi być i kolacją.

Ledwo do siebie wróciłem, pani Józefowa zastukała.

– Pośpieszajcie, panie, jeśli zależy wam, żeby dom kupić, bo jeszcze nie sprzedany, ale już ktoś tam był oglądać!

– Gdzie to jest? – ożywiłem się.

– Na Rybakach, za Rynkiem Nowomiejskim w stronę Wisły skręćcie. Ale co macie błędzić, pójdę z wami, to może pomogę coś utargować, tylko chustkę narzucę...

Doszliśmy do Rynku Nowomiejskiego, potem przez niego przeszliśmy na ukos do Przyryнку, wreszcie nieco w dół – tam skąd w lewo odchodziła wąska droga prowadząca w poprzek trawiastego zbocza – do miejsca, gdzie na wyrównanym placu ogrodzonym drewnianymi sztachetami stał spory dom, dość oddalony od innych zabudowań. Stąd

wzrok sięgał w dół, ku niedalekiej Wiśle.

– To tutaj są te Rybaki? – zapytałem. – Ta dróżka?

– Nie, Rybaki to ta ulica na dole, bliżej Wisły, ale tu cały teren tak nazywają.

Dom był większy, niżbym się mógł spodziewać, co mnie trochę zaniepokoiło ze względu na możliwy koszt. Przy nim, trochę z tyłu, stała niewielka szopka. Ściany były drewniane, z bali łączonych na zręby, a dach z gontów. Całość otoczona płotem z drewnianych sztachet.

– No i co, podoba się? – zagadnęła pani Józefowa.

– Podoba, ale duży, nie wiem, czy stać mnie będzie na niego.

– Obaczymy, kto pilnie sprzedaje, dobrego interesu nie robi – powiedziała, a mnie się przypomniało, co o interesach mówił ten Żyd, co mu ojciec szubę szył. Pchnęła furtkę, a z budy zaraz wyłazł nieduży pies i zaszczekał.

W otwartych drzwiach stanął starszy mężczyzna z laską.

– Kto tam? Do kogo?

– A do was, panie, kupca na dom wam prowadzę, jeśli się dogadamy. Można wejść?

– Zapraszam. Do środka najpierw wejdziemy, czy najpierw z wierzchu obejrzyć go chcecie?

– Skoro już tu stoimy, to możemy popatrzeć.

Po przejściu furtki posesja wydała się jakby większa, niż oglądana z zewnątrz. Gdyby przedzielić ją w myśli na połowy, to na jednej z nich zobaczymy dom z szopą obok niego, a na drugiej parę zagonków, chyba po zebranych warzywach, kilka jabłonek i resztę porosłą jakby małą łączką, na której blisko domu stała studnia z kołowrotem i korbą. Obeszliśmy dom dookoła.

– Ściany są ze świerkowych bali obrobionych na wpust, przez to są szczelne, a postawione, jak widać, na węgiel. Dach z gontów, a to okienko, co je widać w szczytowej ścianie, należy do strychu, który można wykorzystać choćby na przechowanie latem zimowej odzieży albo na coś innego – mówił stary, oprowadzając nas. – Na górę wchodzi się z sieni po drabinie, co stoi tam koło szopy. A ta szopka to miał być chlewik, ale jakoś nie kupiłem prosiaka i stoi pusty. Parę kur też można tam trzymać albo choćby kozę.

Sień, gdzie wchodziło się po dwóch schodkach, była brukowana płaskimi kamieniami, a w niej, naprzeciwko wejścia, poniżej wysokości piersi, zobaczyłem żelazne drzwiczki zamykane na zasuwkę. Zapytałem, co tam jest.

– A, piec chlebowy. Żona chciała mieć chleb własnego wypieku.

Z sieni weszliśmy we drzwi na prawo.

– To jest mniejsze mieszkanie, tutaj mieliśmy mieszkać z żoną – mówił, prowadząc nas – są tu dwa pokoje i kuchnia. Po drugiej stronie są trzy pokoje i kuchnia, zaraz to obaczycie. Tam zamieszkać mieli syn z synową.

Rozejrzałem się. Było tu nieco sprzętów. Stało łóżko z pościelą, stół i parę krzeseł, a też jakieś skrzynie i szafka.

– Siądźmy – zaproponował gospodarz – zmęczyło mnie to chodzenie.

Usiedliśmy przy stole.

– Wiele więc chcecie za ten dom i obejście? – zapytałem.

– Czteryście osiemdziesiąt dukatów – stanowczo powiedział gospodarz. – I nie próbujcie się targować, bo to cena ostateczna. Gdybym miał czas na czekanie, lekką ręką dwa razy tyle by mi zapłacili. To dobry dom, z dobrego drewna i dobrzy cieśle go stawiali. I do tego jest nowy, bo dopiero dwa lata stoi. I postoi do setki i więcej, jak będzie komu o niego dbać i podłogę ma z mocnych dylów. – Tu nogą tupnął. – I miejsca wokół domu dosyć.

Spojrzałem na panią Józefową, mrugnęła nieznacznie.

– Zgoda! Zdecydowałem się i możecie uważać, żeście go już sprzedali. Żadaną sumę jutro albo pojutrze wam wypłacę, jeno chciałbym mieć pewność, że kto inny mnie nie podkupi, a na zadatek w tej chwili nie mam, bo dopiero godzinę temu się dowiedziałem, że jest do sprzedania.

Stary wyciągnął rękę, dobiliśmy targu, uściskawszy sobie dłonie.

– Przedstawić się powinienem – rzekłem. – Paweł Kiełściak jestem, przy oprawianiu książek robię, a mieszkam chwilowo w domu tej oto pani, przy ulicy Koźlej.

– A ja – powiedział stary – nazywam się Piotr Rybianoga. – Tu uśmiechnął się. – Cóż robić, i takie nazwiska bywają, chociaż ryby z nogami jeszcze nikt nie widział. Jedno jeszcze chciałbym powiedzieć, że w przymusowej sytuacji się znajduję i sprzętów z domu pozbyć się nie zdążę. Nie przydałyby się wam? Niedrogo wezmę, dwadzieścia czerwonych dołożycie, a dom i to wszystko, co w nim i koło niego jest, będzie wasze. Tylko skrzynię z osobistymi rzeczami wezmę.

– Zgoda. To razem będzie równe pięćset. Kiedy zamierzacie się wyprowadzić?

– Jak ze sprzedażą załatwimy, to jeszcze w tym tygodniu. Do Niderlandów do rodziny jadę. To teraz wy tu ubędziecie?

– Nie – pani Józefowa uśmiechnęła się – to pan Paweł, a ja mu tylko dla towarzystwa się dołączyłam. Żenić się zamierza, to i musi gdzieś mieszkać.

– A to dobre miejsce jest – rzekł stary. – Zdrowo tu, powietrze dobre, na słońcu można się wygrzać, do miasta niezbyt daleko i ładny widok na Wisłę. To jak się umówimy?

– Ja pieniądze mam oddane na przechowanie do zamkowej kasy, jutro się dowiem, kiedy mogą mi wypłacić, więc jutro po południu przyjdę i powiem, co i jak.

– Dobrze, no to do jutra...

*

– No i co, kontenci jesteście, panie? – zapytała pani Józefowa, gdyśmy wracali.

– Słów mi brakuje. Na osiedliny, pani, koniecznie muszę was zaprosić. A z tego wszystkiego zapomniałem podziękować za skuteczną kurację. Jeśli to jakieś choróbko chciało się do mnie przyczepić, to i śladu po nim już nie ma.

Gdyśmy doszli do Rynku Nowomiejskiego, zdążyłem jeszcze kupić chleba, słoniny i parę jajek, żeby mieć na kolację i jutro na śniadanie. Jak do domu wchodziliśmy, ciemno już się robiło.

– No, to bądźcie zdrowi, a kiedy pracownię zamierzacie tu urządzić?

– Jak tylko dom zapłacę i wprowadzę się do niego, bo na razie nie mam gdzie spać. Ledwo zdążyłem drzwi zamknąć, znów stukanie posłyszałem. Myśląc, że

gospodyni coś sobie przypomniała, pospieszyłem drzwi otworzyć, ale to był pan Karczynkowski.

– Jest domek ładny i niedrogi, bo właściciel pilnie chce go sprzedać, jutro możemy tam iść i obejrzeć...

– Gdzie? – spytałem zaskoczony.

– A na Rybakach, niedaleko. Czterysta osiemdziesiąt dukatów kosztuje, a za moje szukanie i chodzenie trzy czerwone chyba nie będzie za dużo?

– A nie jest to przypadkiem ten dom, co go chce się pozbyć taki jeden stary, co do Niderlandów się przenosi?

– A skąd wy o nim wiecie? – zapytał zaskoczony Karczynkowski.

– A stąd, że dopiero co stamtąd wróciłem i jużem go kupił.

– Ooo! – Trudno wyrazić, ile rozczarowania się w tym jęku mieściło.

– Ale faktorne uczciwie wam się należy – uspokoilem go – boście się dla mnie starali. I wiecie co? Jeszcze dwa złote dołożę, a wy mi załatwicie wszystkie urzędowe sprawy związane z tym kupnem, bo ja się na tym nie znam. Co wy na to?

– Zgoda! – zawołał ucieszony Karczynkowski – wszystko na swoją głowę biorę, a wam pozostanie jeno zapłacić i podpisać w urzędzie, co będzie trzeba.

– No, tośmy się dogadali. Jutro nasze koszta wyrównamy i uzgodnimy, co i jak dalej robić. Teraz mogę dać trzy złote za szukanie, a dwa dostaniecie jutro, bo przy sobie nie mam więcej. Wyliczyłem mu trzy złote, a sobie zostawiłem złotówkę na wszelki wypadek i tyle jeno mi zostało z tych trzydziestu, co je na początku miałem.

Faktor pożegnał się i wyszedł zadowolony, a ja, tak samo zadowolony, z trudem mogłem usiedzieć na miejscu.

Gałęckiemu na razie postanowiłem nic nie mówić, póki wszystkiego nie załatwię; dopiero wtedy pokażę mu dom. Ale czy nie można powiedzieć, że na razie mam jeno cztery ściany i dach, a dom dopiero trzeba stworzyć? Żeby dom był domem, musisz w niego tchnąć ducha, inaczej będzie to miejsce, gdzie tylko mieszkasz, a to za mało.

*

Ciemność już dawno zapadła i noc chyba do połowy swego czasu dochodziła, a natłok wrażeń wciąż nie pozwalał mi zasnąć. Gdy coś niespodziewanie zmieni się w naszym życiu, trzeba czasu, żeby się do tego przyzwyczaić. Jak już za dom zapłacę i pierwszy raz jako właściciel do niego wejść, to chociaż wszystko w nim będzie moje własne, to jednocześnie i obce; będę musiał do tego przywyknąć, jak pies do nowej budy... O, właśnie, pies... co z nim będzie? Czy on też należy do tego domu? Zawsze dobrze mieć koło siebie jakieś żywe stworzenie, co mnie przywita, jak przyjdę, ogonem pomacha, poskacze, łeb pod rękę podsunie, żeby go pogłaskała. Może i kot jeszcze by się przydał.

Nie wiem, czym chociaż godzinę zdrzemnął się tej nocy, bo jak rano wstałem, w całym sobie czułem zmęczenie i powieki mi ciążyły.

Pan Kazimierz, jak się rano spotkaliśmy, zapytał nawet, czy nie jestem chory. Różne sprawy miałem dziś do załatwienia, ale najpierw do ksiązek pilnie wziąć się trzeba było, bo jeśli mnie na pieniądzech nie zbywało, to panu Kazimierzowi tym więcej.

Jak południe się zbliżyło, musiałem pójść do Zamku, bo umówiłem się z panem Sylwestrem. A też do podskarbiego udać się potrzebowałem, by zapytać, kiedy potrzebną mi sumkę będę mógł z kasy wydostać. Najpierw więc do kasy poszedłem, asygnatę swoją przedstawiłem i powiedziałem, ile chciałbym otrzymać, ale termin wyznaczono mi na jutro, bo dzisiaj nie było komu tej wypłaty podpisać. Miałem się zgłosić jutro do południa. Potem poszedłem do biblioteki, a jak z panem Sylwestrem rozmawiałem, pojawiła się królewska siostra w towarzystwie dwóch panien, żeby książki wymienić, a poznawszy mnie, przywitała się uprzejmie.

– Witam was, mości mistrzu. Pewnieście się już zadomowili w Warszawie i już macie co robić?

Nisko się ukloniłem.

– Dzięki Bogu, pracy mam dość, i tego tylko życzylibym sobie, żeby dalej tak mi szło.

Pana Sylwestra tymczasem ktoś do drugiego pokoju wywołał, zostałem więc z panią Anną i jej dwórkami.

– To podobno waszmość dostarczyłeś tego rzymskiego orła, którego mój brat kazał posadzić na kolumnie?

– Na jakiej kolumnie? – zdziwiłem się, bo jakoś nie pomyślałem, co król z nim zrobi.

– Marmurową kolumienkę polecił wykonać na wzór starożytnej i orła na niej ustawić.

– To ciekawie musi wyglądać, bo ja nie wiem, czy bym coś takiego wymyślił. A duża jest ta kolumna?

– Najlepiej będzie, jak sami to obaczycie. Poczekajmy na bibliotekarza, książki zabiorę, co miał mi przygotować, i pójdziemy orła owego oglądać, bo król teraz w Krakowie przebywa.

Pan Sylwester rychło wrócił, panny książki zabrały i poszliśmy. Pani Anna na przedzie, ja na końcu. Szliśmy, aż stanęliśmy przed ciemnymi dębowymi drzwiami; pani Anna weszła pierwsza, a my za nią.

Na wprost okien kominek ciemny, marmurowy, sięgał sufitu, a palenisko miał wyłożone poczerńiałą cegłą. W pobliżu okna stał stół nakryty ciemną aksamitną materią z frędzlami, spadającą w fałdach do podłogi, przy nim kilka krzesel z wysokimi oparciami. Na stole leżały czarny krucyfiks i kilka książek.

W kącie komnaty koło okna stała ciemna marmurowa kolumna wysokości prawie mojego wzrostu – okrągła, gładko wypolerowana – a na niej, niczym słońce, lśnił złoty orzeł. Nad podziw pięknie się prezentował i nie znać było po nim tych lat, co minęły.

– No i cóż? Podoba się waszmości?

– Nigdzie lepiej by się nie prezentował, jak na tej kolumie. Na niej siedzi, jakby przysiadł na chwilę, wypatrując zdobyczy, i tylko powietrze mu pod skrzydła zgarnąć, a polec...

– Dobrześ to waszmość ujął... No, toś już widział, coś miał zobaczyć. Trafisz sam do wyjścia?

Zawahałem się z odpowiedzią, co pani Anna widząc, jednej z panien kazała mnie

odprowadzić. Rad bym obejrzeć te książki, co leżały na stole, ale o to nie śmiałem prosić, bo panna, z którą miałem iść, już do drzwi ruszyła. Powiedziałem jej, że chciałbym wrócić do biblioteki, na co tylko głową skinęła i zaprowadziła mnie, gdzie sobie życzyłem.

W bibliotece zauważyłem kilka nowych książek. Nowych w tym znaczeniu, że niedawno tu się znalazły, bo niektóre z nich były już podniszczone.

– Skąd się te książki tu wzięły? – zapytałem.

– Różni panowie, co u króla bywają, wiedzą, czym można mu przyjemność sprawić, więc co który u siebie znajdzie albo gdzieś zobaczy, to przywozi.

– Widzę, że niektóre z tych tytułów już mamy w bibliotece, a nie wiem, czy te duplikaty w gorszym stanie warto oprawiać, bo wśród nich dostrzegam i takie, o których wiem, że nie są rzadkością.

– Dobrze, panie Pawle, przedłożę to królowi, jak tu zajrzy, niech sam zadecyduje.

Ponieważ zobaczyłem już, co miałem obejrzeć, pożegnałem się. Właśnie wychodziłem, gdy we drzwiach spotkałem się z ciemno odzianym panem. Pan Sylwester poprosił, żebym jeszcze na chwilę wrócił i zaraz nas sobie przedstawił.

– To jest mistrz Paweł, o którym już waszmości panu mówiłem, a to – wskazał przybyłego – jest pan Wojciech Oczko, lekarz królewski[1].

Przybyły położył na stole dwie książki, które przyniósł, i podał mi rękę.

– Miło mi poznać waszmości – powiedział, uśmiechając się – bo obaj lekarzami jesteśmy: wy od książek, a ja od ludzi. A książki, tak samo jak ludzie, różną treść w sobie zawierają. Ale ja tutaj właśnie mam pewien interes: chciałbym mieć oprawione te oto dwie książki. Możesz, waszmość, tego się podjąć?

– A księdza, panie, też pytacie, czy może mszę odprawić?

Wszyscy się roześmialiśmy, a ja poczułem sympatię do pana Oczki, że choć sławny jest, a mający dostęp do samego króla, to nie pokazuje, ile wyżej ode mnie stoi.

– Jakiej, panie, oprawy byście sobie życzyli?

– W zielonym safianie chciałbym je widzieć, ale nie będę się przy tym upierał, jeśli mnie przekonacie, że co innego jest lepsze.

Jakoś nie zdarzyło mi się do tej pory w Warszawie widzieć zielonego safianu, ale zanim zdanie swoje wypowiedziałem, chciałem zobaczyć, co przyniósł.

Jedną z książek był *Wielki słownik przyrodniczo-medyczny*, w którym Jan Stanko[2], kanonik krakowski, w końcu zeszłego wieku zestawił pięćset dwadzieścia trzy gatunki roślin i dwieście dziewiętnaście gatunków zwierząt krajowych. Druga książka była medycznej treści, autorstwa Macieja z Miechowa[3], wybitnego lekarza i historyka, profesora Uniwersytetu Krakowskiego.

– Nie dawałbym tu safianu – powiedziałem. – A nie mogłaby to być skóra kozia albo cielęca na przykład?

– A jak one skóry wyglądają? Moglibyście mi je pokazać.

– To albo zaraz tu przyniosę próbki, albo przejdziecie się, panie, do nas, do warsztatu. To niedaleko, blisko Bramy Nowomiejskiej.

– Spacer dobrze mi robi, to sobie nogi wyprostuję, bo od rana nic, jeno piórem stawiam na papierze atramentowe żydy. Jak iść, to iść, obaczę przy tym, jak wygląda ten wasz szpitalik książek.

Pożegnałem się z panem Sylwestrem, książki pana Oczki pod pachę wziąłem i poszliśmy. Po drodze zatrzymałem się, tknięty pewną myślą.

– Prosbę wielką miałbym do was, panie, jeno nie wiem, czy na zbyt wielką śmiałość sobie nie pozwolę.

– Odważnym szczęście sprzyja, a wiary w nie odbierać wam nie chcę. Słucham.

– Mój wspólnik ma żonę, co już od dawna z jakiejś choroby wyjść nie może. Gdybyście zechcieli, panie, przebadać ją i powiedzieć, jak ją leczyć... Wszystkie koszty na siebie wezmę.

Pan Oczko popatrzył na mnie i czoło zmarszczył.

– Takiście dobry dla swojego wspólnika? Pomyślmy... Jutro do Krakowa muszę jechać... Gdzie owa kobieta przebywa?

– Na Krzywym Kole mieszka, niedaleko stąd.

– Na Krzywym Kole... więc jeśli mam do niej iść, to zaraz, bo później pakować się będę.

– Tylko prosić jeszcze się ośmielę, żeby utaić przed wspólnikiem, że to z mojej kieszeni będzie zapłacone. Biedę wielką oni cierpieli i teraz dopiero się z niej wygrzebują. Gdyby dowiedział się, że na mój koszt do jego żony pójdziecie, honorem mógłby się unieść i mieć mi za złe, że bez niego tę sprawę załatwiam.

– Obaczmy, obaczmy... No, prowadźcie mnie do swojej pracowni.

Jak pan Gałęcki dowiedział się, kim jest ten, co ze mną przyszedł, z wrażenia oparzył się stemplem trzymanym właśnie w rękę, a Janek przestał mieszać kłajster. Powiedziałem, po co pan Oczko przyszedł, a pan Gałęcki zaraz skóry różne zaczął wyciągać i pokazywać.

Pan Oczko rozglądał się po warsztacie, a ciekawy był wszystkiego, o różne rzeczy pytając.

– No – powiedział wreszcie do Gałęckiego – wy moje książki na leczenie bierzecie, a jak wasze własne zdrowie się przedstawia?

Widzę, że panu Kazimierzowi albo przez myśl nie przeszło, albo śmiałości mu brakło, żeby o żonie powiedzieć, więc ja napomknąłem, że chora leży.

– Chora? – zdziwił się pan Oczko. – To chyba w sam raz dla mnie! Jako lekarz wszelkich chorób jestem ciekawy, bo na każdej czegoś się nauczę, a z tego żyję. Prowadźcie mnie do żony, mości panie, a wdzięczny będę, jeśli tam coś nowego dla siebie znajdę!

Pan Kazimierz oniemiały stał jak słup, przeto kurtę mu podałem, żeby się odział, a panu Oczko powiedziałem, że za dwa tygodnie książki będą zrobione. Podał mi rękę na pożegnanie i wyszli. Tak się tym wszystkim przejąłem, że praca nie bardzo mi szła, więc po godzinie powiedziałem Jankowi, że niedługo wrócę, i wyszedłem, żeby przy ulicy Grodzkiej poczekać na lekarza i dowiedzieć się, co i jak.

Jak wreszcie przyszedł, po minie poznałem, że nie jest dobrze.

– Byliście tam kiedy? – zapytał. – Jeśli nie, to nie wiecie, jak tam jest. W mieszkaniu wilgoć, na ściany liszaj włazi, pod nieszczelnym oknem podłoga gnije, a słońca tam nigdy nie uświadczy. Bose dzieci zabawiają się turlaniem kasztanów po podłodze, a kobieta – jeśli się stamtąd zaraz nie wyniosą – zimy nie przeżyje. Choroby

w niej nie znalazłem, czemu nie mogę się nadziwić, widząc, w jakich warunkach żyje, wycieńczona jest tylko, co ją do szczętu wyniszczyło, i serce ma słabe. Receptę na wzmocnienie przepisałem, ale najlepiej będzie, jeśli lekarstwo zrobią w zamkowej aptece, więc weźcie ją od swojego współnika i tam ją zanieście. Jednak żadne lekarstwo nie pomoże, jeśli zaraz się stamtąd nie wyprowadzą. Ale tu już zaradzić nie mogę. – Pożegnał się i poszedł, a ja powoli wróciłem do pracowni.

Gałęcki już tam siedział, zgarbiony i milczący.

– I co mówił lekarz?

Nie odpowiedział od razu, jakby moje słowa pomału do niego docierały.

– Że niewłaściwy sposób odżywiania i zgniłe powietrze są przyczyną choroby, a jeśli warunki, w jakich żyjemy, nie zmieniają się, zgaśnie jak świeca i w jej ślady dzieci pójdą. Dziwił się, że takie blade są, ale jakie mają być, kiedy na słońce nie wychodzą, a nasza izba jest całym ich światem? Lekarstwo przepisał, ale co tu po lekach...

– Pokażcie mi tę receptę. – Wziąłem ją i schowałem do kieszeni. – Pójdę na Zamek i załatwię wam to lekarstwo. Bądźcie dobrej myśli, panie Kazimierzu, pomyślimy, jak usunąć przyczynę, a na razie zajmijmy się jej skutkami.

– Jak to na Zamek? – zdziwił się Gałęcki. – Dlaczego na Zamek?

– Tam apteka na pewno jest lepiej zaopatrzona niż na mieście.

– Czekajcie, czekajcie, panie Pawle, to może pójdziemy razem, a jeśli lekarstwo na poczekaniu zrobią, od razu je zabiorę. Ale czy nie za wysoko sięgamy? I może tam drożej policzą?

Niewiele się pokręciwszy, znaleźliśmy aptekę, gdzie jakiś stary człowiek coś przelewał z buteleczki do słoiczka. Podałem mu receptę.

– Hm... – sapnął, przeczytawszy ją – tu pisze, że to pilne, ale godzinę zabierze mi odwazanie i mieszanie tych ingredientów. Zaczekać trzeba.

– A jaki będzie koszt tego leku? – niespokojnie zapytał Gałęcki.

– Lekarz jest królewski, apteka królewska, więc lekarstwa też z królewskiej kasy zapłacone będą – odpowiedział aptekarz, idąc z receptą na zaplecze. – Zaczekajcie tu albo za godzinę przyjdźcie.

– To zaczekajcie, panie Kazimierzu, bo ja jedną pilną sprawę mam do załatwienia. Z lekarstwem wracajcie prosto do domu, a bądźcie dobrej myśli, że wszystko się pomyślnie ułoży. Ja sam Janka odprawię, warsztat zamknę, a jutro się spotkamy i zobaczymy, co dalej.

*

Wczoraj powiedziałem panu Rybianodze, że dzisiaj się z nim spotkam, więc poszedłem do niego. Zostałem go na podwórku, jak psu jeść dawał. Powiedziałem, że jutro potrzebną kwotę będę dysponował.

– To dobrze. Dzisiaj mamy wtorek, to we czwartek albo w piątek wyniosę się stąd. Już wózek z woźnicą mam umówiony, co mnie do Gdańska zawiezie. Chcecie, to oprowadzę was po waszym nowym gospodarstwie, a jak będziecie czegoś ciekawi, to pytajcie.

Popatrzyłem na psa, jak miskę opróżniał.

– Jego też zabierzecie ze sobą?

– Nie, przykro mi go zostawiać, bo jest u mnie od szczeniaka, ale jak go nie zechcecie, to sąsiadowi oddam. – Tu pokazał dom, stojący nieco dalej.

– Zatrzymam go. Co to za sąsiad?

– Cieśla, co mi ten dom stawiał. A dobrze, że pies tu zostanie, bo przyzwyczał się do tego miejsca. Murek się wabi. Na noc spuszczaście go z łańcucha, niech się wybiega; wie, czego ma pilnować, więc nie ucieknie.

Powiedział jeszcze, czym i kiedy go karmić, i zaprowadził mnie do szopy, gdzie było trochę drzewa na opał, a też siekiera wbita w pień i wiszące na ścianie: widły, szpadel, grabie i piła.

– Drzewo na zimę wcześniej kupcie, to taniej wyjdzie.

– A wygodki jakoś nie widzę – rozejrzałem się.

– A nie ma, dla siebie samego nie chciało mi się jej stawiać. – Tu podeszliśmy do studni. – Woda w niej tę właściwość posiada, że raz jej więcej, raz mniej. Ale jest dobra i nigdy jej nie brakuje. – Popatrzył na płynącą w dole Wisłę. – Gdyby rzeka wezbrała i powódź miała nastąpić, woda tu nie dojdzie, bo dom wysoko stoi; jedynie drogę na dole zaleje. Tylko zimą, jak wiele śniegu nawieje, ciężko się stąd wygrzebać, ale do Rynku Nowomiejskiego niedaleko, a tam już droga będzie wyjeżdżona. A ten piec do pieczenia chleba jeszcze nie był używany, ale sprawdzony, że dobrze ciągnie.

– No, to pójdę już. Jutro z pomocnikiem przyjdę, co mi pomoże sprawę do końca załatwić, bo ja się na tym nie znam. – Podaliśmy sobie ręce i poszedłem.

Pan Karczynkowski już na mnie czekał, a pani Józefowa zabawiła go rozmową i oboje się śmiali. Powiedziałem, jak sprawy stoją i że jutro koło południa chciałbym go widzieć, żebyśmy razem tytuł własności domu na mnie przenieśli i że właśnie wracam od pana Rybianogi, którego uprzedziłem, że będę miał pomocnika.

– No to umówimy się u niego – zaproponował. – Tam mu zapłacicie, żeby z takimi pieniędzmi po mieście się nie obnosić, pokwitowanie od niego weźmiecie i razem pójdziemy do urzędu.

*

I tak się kończył kolejny dzień. Wstrząsnął mną dreszcz. W pomieszczeniu było zimno, więc przyniosłem drzewa, rozpałem w piecu i siedząc przy otwartych drzwiczkach, patrzyłem, jak płomień tańczy i skaczą jeden przez drugi. W widoku ognia jest coś magicznego, co przyciąga nie tylko człowieka, bo i owady wieczorem do płomienia lecą, ptaki w czasie pożaru czasem też to robią, a koniom oczy trzeba zakrywać, żeby je z płonącej stajni wyprowadzić.

Dołożyłem dREW do pieca i poszedłem do okna, za którym tymczasem już się szaro zrobiło. Nie zauważyłem, kiedy zaczął padać deszcz. Siąpił drobny, ale uporczywy, taki jesienny, co dni kilka z rzędu może padać, a nie przestanie, aż swoje zrobi: drogi w błotniste kałuże zamieni a szarością ludzkie dusze omroczy. Kto ma w sobie nadzieję, ten odmiany pogody będzie wypatrywał, kto jej nie ma – tego przygnębienie jeszcze więcej przytłoczy.

Znowu rodzina Gałęckich na myśl mi przyszła. Łatwo ojcem zostać, trudniej nim

być. Dziecko jest jak czysta księga, w której życie przyszłość zapisuje, od rodziny zaś najczęściej zależy, co zapisane w niej będzie...

Galecki unika przyjęcia pomocy, może w obawie, że jak raz po nią rękę wyciągnie, ostatek wiary w siebie utraci? W mojej głowie myśli zaczynały nabierać kształtu...

[1] Wojciech Oczko (1537–1599) – jeden z luminarzy medycyny, królewski lekarz; w Warszawie jest dziś ulica jego imienia.

[2] Jan Stanko (1430–1493) – kanonik wrocławski i krakowski, ceniony lekarz, otrzymał tytuł lekarza królewskiego; przyrodnik. Jego *Wielki słownik* świadczy o rozległej wiedzy przyrodniczej.

[3] Maciej z Miechowa (1457 – 1523) wybitny lekarz i historyk. Był rektorem Akademii Krakowskiej, miał rozległe zainteresowania, pisał dzieła m.in. o tematyce filozoficznej, medycznej i teologicznej.

Rano deszcz dalej siąpił i nie wyglądało na to, żeby rychło miał przestać. Na ulicy rozlewały się kałuże, które trudno było omijać. Spieszyłem się do pracowni, żeby przygotowywać sobie pracę – i przy tym zastał mnie współnik.

– Jak wychodziłem z apteki, spotkałem pana Sylwestra i powiedział mi, że ktoś ma coś dla was, ale nie wiedział, co to może być.

– Na pewno to o mnie mówił? Może trzeba oprawić komuś książkę?

– Tego mi nie mówił, ale nie widzi mi się, żeby tu o książkę chodziło.

– Przed południem muszę być na Zamku, więc dowiem się, co to za sprawa.

Otrzymaliście wczoraj to lekarstwo? Jakie ono jest?

– Jedno to buteleczka, z której rano, w południe i wieczorem przed jedzeniem na łyżkę wody trzeba nakapać dziesięć kropel, a drugie – to spora butelka, co jest w niej jakaś tłustość, podobno z wieloryba. Te krople są tylko dla żony, a tłustość dla niej i dla dzieci, co dzień po łyżce. A takie to paskudne, że dzieci nie chciały brać. Za pierwszym razem o mało tego nie zwróciły, ale aptekarz uprzedził, że kawałeczkiem chleba z solą trzeba to zakąsić, to jakoś poszło. I rosół z kury kazał gotować, i na powietrze wychodzić...

Jakiś ludzki pan jest z tego pana Oczki. Więc czy nie moglibyśmy tych jego książek za darmo oprawić? Sam bym wszystko zrobił, żeby wdzięczność mu okazać. Aptekarz powiedział, że jak lekarstwa się skończą, mam do niego przyjść, to da drugie, bo na recepcie napisane, że to jest przewlekła choroba.

– Wdzięczność nie tylko można, ale trzeba okazywać. A tak jak niełatwo ją ocenić, tak i spłacić trudno. A te książki to razem zrobimy.

Gałęcki włożył książkę do prasy, ustawił ją grzbietem do góry i zaczął grzać tłoczki.

– A co mieliście na myśli, mówiąc wczoraj, że pomyślicie, jak poprawić moje położenie?

– A to, że nie możecie dalej mieszkać tam, gdzie zgniłym powietrzem się oddycha, a żeby słońce zobaczyć, na Rynek albo za mury trzeba wyjść. Zmarniejecie tam wszyscy.

– Nie z ochoty, jeno z konieczności tam jesteśmy, nie mając środków na opłacenie czegoś lepszego, ale teraz pomyślę, jak to zmienić.

– I możecie zmienić, nawet niedaleko szukając. Oto taki jeden, co w Warszawie mieszka, zamierza wyjechać do Gdańska i nie wiadomo, czy jeszcze tu powróci, mieszkanie zostawia do wynajęcia. Jak teraz mieszkacie?

– Jedno małe pomieszczenie, co za kuchnię i wszystko inne musi wystarczyć.

– Na pięć osób?! Bójcie się Boga, jak tam się pomieściliście?! A tam, gdzie mówię, będziecie mieli kuchnię i dwa pokoje, suche i słoneczne. Mówię, że będziecie mieli, bo jużem nie tylko obmyślił, ale też i załatwił dla was, bo gospodarz jeszcze nikogo innego sobie nie upatrył.

– Jakże to mogliście beze mnie to zrobić?! A może nie stać nas będzie na takie mieszkanie?! – zapytał Gałęcki, oszołomiony tą nowiną.

– Otóż właściciel pół dukata jeno za miesiąc sobie życzy, co nawet taniej wam

wyniesie, bo teraz, o ile pamiętam, płacicie więcej.

– A gdzie to jest?

– Na Rybakach, ale sporo wyżej, nad ulicą. I Wisłę stamtąd widać, i powietrze dobre, nie to, co teraz u was, na Krzywym Kole. Dziś was umówię i może jeszcze przed wieczorem tam pójdziemy albo jutro do południa, to poznacie tego byłego marynarza. Rybianoga się nazywa.

Gałęcki uśmiechnął się, słysząc to zabawne nazwisko.

– No więc, panie Kazimierzu, macie przyczynę, żeby pożyczkę ode mnie przyjąć. Buty i odzienie dzieciom kupicie, żeby się w lada czym nie wprowadziły na nowe mieszkanie. A tam w domu nie usiedzą, bo jest gdzie na powietrzu biegać i zabawy sobie urządzać. Ile więc trzeba wam na opędzenie najważniejszych potrzeb?

– A pewne jest to wszystko? Nie chciałbym się próżną nadzieją ludzić, żeby później przykrego rozczarowania nie doznać.

– Na tyle pewne, że już wszystko załatwił i umówił.

– A przecież, panie Pawle, i wy sami potrzebujecie mieszkania?

– I jużem znalazł, nawet niedaleko nam będzie do siebie. Jak ja też się przeprowadzę, to pomyślimy o przeniesieniu warsztatu na Koźłą. Teraz, jak skończę, pójdę na Zamek, bo ciekawy jestem, co tam za paczka na mnie czeka. Skończę szyć te książki i pójdę.

Skończyłem, jak zegar na Ratuszu zaczął jedenastą godzinę wydzwaniać. Upredziłem, że nie wiem, kiedy wrócę, bo jeszcze swoje mieszkaniowe sprawy chcę załatwić.

Przy kasie musiałem poczekać, aż jakiś wojskowy większą sumę przeliczy; jak skończył, ja z kolei liczyć zacząłem. Wziąłem pięćset trzydzieści dukatów, resztę postanowiłem zabrać, jak już będę miał bezpieczne miejsce na schowanie, i z ciężką sakiewką pospieszyłem do pana Sylwestra zapytać, kto się chce ze mną widzieć. Był to woźnica, a miał dla mnie list i sporą paczkę od rodziców. Powiedział, że jak będę miał coś do wysłania do Krakowa, to mogę jemu przekazać, bo on tam z zamkową pocztą jeździ.

Nie chciałem okazać się skąpym, a też żeby na przyszłość dobrze mnie widział, pół dukata mu dałem, co z ukontentowaniem przyjąwszy, dał mi list i paczkę. Paczka – był to spory tobołek, w którym, po miękkości jego sądząc, powinno być zimowe odzienie, co to je w domu zostawiłem, jak do Warszawy się przeniosłem. Dobrze więc zrobiłem, że do tej pory niczego sobie nie sprawił, bo jak się w tym rozpatrzę, będę wiedział, czego mi jeszcze brakuje. Na Koźłą pośpieszyłem, żeby to, com dostał, tam zostawić, a potem na Rybaki, gdzie faktor i pan Rybianoga już na mnie czekali.

Tam zaraz mu należność wyliczyłem, na co pokwitowanie mi wystosował, i poszliśmy na Rynek Nowomiejski do urzędu dom na mnie przepisać, co niewiele czekając, załatwiliśmy, i tak prawnym posiadaczem posesji się stałem. Zaprosiłem ich do gospody, żeby transakcję – jak przystoi – zakończyć, a do obiadu butelka węgierskiego wina nam towarzyszyła, którą społem osusziliśmy. Pośrednikowi dopłaciłem, com był mu winien, a panu Rybianodze opowiedziałem, jak to z Gałęckim będzie. I poprosiłem go, żeby wystąpił w roli gospodarza wynajmującego mieszkanie, ale upredził mnie, że

dzisiaj do wieczora muszę z nim przyjść, bo zamierza wyjechać jutro wczesnym rankiem. Powiedziałem, że pana Gałęckiego wkrótce przyprowadzę i na razie się rozstaliśmy.

Po drodze, koło domu spotkałem panią Józefową. Oznajmiłem jej, jak sprawy stoją, że parę osób na osiedliny chcę zaprosić, a dla niej poczesne miejsce na uroczystości tej przeznaczam, bo to dzięki niej posesjonatem się stałem, a też chciałbym o radę prosić, jak to wszystko urządzić.

– Pomyślmy, a teraz idźcie, bo widzę, że wam spieszno.

Gałęckiemu powiedziałem, że warsztat zamykamy, bo pójdziemy mieszkanie dla niego oglądać, co go tak poruszyło, że z wrażenia rękami w rękawy kurty nie mógł utrafić.

Deszcz, który jak wczoraj zaczął, tak do tej pory mżył, dopiero teraz ustał i przejaśniać się zaczęło. Pan Rybianoga na progu nas przywitał.

– Witajcie, panie Gałęcki, bo od pana Pawła wiem, że tak się nazywacie – powiedział. – Więc to wy lokatorem tu będziecie?

– Najpierw chciałbym się dowiedzieć, na jakim świecie żyję, i nawet nie bardzo wierzę temu, co widzę.

– Do środka zapraszam. A ty, Murek, cicho bądź – ofuknął psa – nie widzisz, że to goście przyszli?!

Ale Gałęcki stanął przed drzwiami i popatrzył w stronę Wisły.

– Dziwnie to jest, tak daleko okiem sięgać komuś, kto dotychczas przez okno jeno ścianę domu naprzeciwko stojącego widział. Zielono tu musi być wiosną. I kwiaty będą rosły, i dzieci po trawie będą mogły biegać. Nie wiem, czy żona w to uwierzy, jak jej powiem. No to chodźmy załatwiać, co tam mamy.

Pan Rybianoga oprowadził go po swoim mieszkaniu.

– Te sprzęty tu zostają, bo nie mam możliwości ani potrzeby za sobą ich ciągnąć. W sobotę waszmość się możesz sprowadzać, bo wtedy mnie już nie będzie. Słomę w siennikach zmienisz, pierzynę i poduszki wywietrzysz, obleczenie do prania oddasz, w piecu napalisz...

– A jak będzie z czynszem? Komu go będę płacił?

– Pół czerwonego na miesiąc dacie. A komu, to już się ktoś po to zgłosi – uśmiechając się, powiedział pan Rybianoga.

Gałęcki zainteresował się piecem chlebowym i ucieszył się, że jest.

– A po drugiej stronie sieni kto mieszka? – zapytał.

– Teraz jeszcze nikt, ale wkrótce się sprowadzi, to się poznacie. Na podwórku jest szopa, to z drugim lokatorem się dogadacie, jak ją użytkować. A teraz – tu wyjął z szafy butelkę – trzeba oblać interes, żeby się myszy w domu nie załęgły i piece nie dymiły.

Wypiliśmy po szklaneczce wina. Więcej Gałęcki nie chciał, bo powiedział, że jak jeszcze wypije, to do domu nie trafi. Posiedzieliśmy trochę, gadając o tym i owym, wreszcie Gałęcki oznajmił, że trzeba mu wracać, bo po drodze coś jeszcze chce kupić. Ja jeszcze zostałem, bo miałem interes do sąsiada cieśli, żeby mi wygodkę za szopą postawił i studnię daszkiem przykrył. Pan Rybianoga powiedział, że nazywa się on Zygmunt Paciołek, ale teraz go nie zastanę. Zaofiarował się, że jak pójdzie się pożegnać, to mu powie, że dom już ma nowego właściciela, który cieśli potrzebuje, i sam już powie, co mu potrzeba.

Pozegnaliśmy się, bośmy chyba już nie mieli się zobaczyć. Szczęśliwej drogi mu życzyłem, on mnie zaś, żeby w domu dobrze mi się mieszkało i darzyło. Następnie pokazał mi, gdzie klucze od drzwi wejściowych będą schowane. Jak odszedłem kawałek, obejrzałem się. Stał u furtki na lasce oparty i patrzył za mną...

Spieszyłem do domu, ciekawy, co w liście i paczce znajdę. Pani Józefowa, słysząc mnie, wyrzała i powiedziała, że niedawno ksiądz o mnie pytał i że poszedł do kościoła, a wracając, wstąpi do mnie. Ucieszony, że się spotkam z Łukaszem, poprosiłem o pożyczenie dwóch krzesełek, żeby gościa na podłodze nie sadzać, a przy tym przypomniałem, że osiedliny w nowym domu chcę wyprawić, a nie bardzo wiem, jak to urządzić. Zapytała, kiedy ma być to przyjęcie i na ile osób, a jak zacząłem liczyć, sam się zdziwiłem, że tak dużo.

– Chyba w przyszłym tygodniu, a jutro może już coś będę wiedział.

– Pomyślę. A też antałek piwa wypadaloby postawić.

– Jeno mi powiedzcie, czego potrzeba, to się kupi. A może zamiast piwa wino lepsze by było?

– Jedno drugiemu nie wadzi, wino może być dla ochoty, a piwo do popijania jadła.

Przyniosła mi dwa krzesła i zapytała, czy ten ksiądz to mój znajomy. Powiedziałem, że znamy się, odkąd dzieckiem byłem, a teraz odwiedza mnie, żeby pogadać o tym, co było i czego nie było.

Jak sam zostałem, uprzątnąłem pościel, razem z siennikiem w kącie ją lokując, a krzesła postawiłem przy oknie, bo stołu nie było. Umyśliłem, żeby jutro się przeprowadzić na Rybaki i dziwnie się czułem, myśląc, że dzisiaj ostatni raz tu będę nocował. Od bednarzów znowu trzeba będzie wózek pożyczyć, przy okazji do nowego domu ich zaprosić. A teraz przede wszystkim, nowin od bliskich spragniony, muszę list przeczytać.

Ojciec pisał, że matka trochę niedomagała na nogi, ale smarowanie jakieś dostała i jej pomogło. Dalej czytałem, że są niespokojni, czy stać mnie na kupno odzienia, więc przesyłają mi trochę moich cieplejszych rzeczy, ojciec zaś nową szubę z angielskiego sukna mi uszył i buty u szewca na miarę moich starych zamówił, a to wszystko powinno być w załączonej paczce.

*

Trzeba więc o sobie wieści im przesłać i uspokoić, że nie tylko pracę mam zapewnioną, ale nawet na kupno domu się zdecydowałem, właśnie się do niego przeprowadzam i że na Święta Narodzenia Pańskiego do Krakowa przyjadę.

Przeczytawszy to wszystko, chciałem wziąć się do rozwiązywania sznurków paczki i przy tym zastał mnie Łukasz.

– Jakoś tu chłodno...

– Chłodno, bo napalić nie było kiedy, dzisiaj za dużo miałem biegania za różnymi sprawami.

– Słyszałem, że dom kupiłeś.

– A tak, okazja się trafiła dzięki pani Józefowej, właścicielce domu, w którym teraz jesteśmy. – Tu opowiedziałem, jak to było z tym kupnem i faktorem. – Jutro popołudniu

tam się przeniosę. Kiedy mnie tam odwiedzisz?

– Mogę przyjść jutro pod wieczór, to sobie dłużej porozmawiamy, a jest o czym. Dowiedziałem się jeszcze nowych ciekawych rzeczy o „Przekazaniu” Kryspina.

– Myślałem, że to już skończone. Kryspin zmarł, a legenda czy podanie – razem z nim.

– I tak, i nie. Nie wszystko zrozumieliśmy, słuchając słów Kryspina, on sam zresztą też nie widział sensu w tym, co mówił. Ale ostawmy to na inny raz, teraz opowiedz coś więcej o domu, ile kosztował, jaki jest i jak tam trafić.

– O, i psa kupiłeś?! – zdziwił się, wysłuchawszy wszystkiego. – Toś już gospodarzem pełną gębą. Dom bez żywego stworzenia to jak koń bez ogona; niby jest, ale czegoś mu brakuje. Widzę, że list jakiś tu leży, to od twoich z Krakowa?

Powiedziałem, jakie wiadomości otrzymałem od rodziców, że niespokojni są o mnie.

– Więc napisz, żeś sprawy swoje doprowadził do pomyślnego końca, a widoki na przyszłość masz jak najlepsze. Kiedy chcesz się do nich wybrać?

– Myślę, że najlepiej by było w połowie grudnia, to z rodziną trochę pomieszkam i zakrzętnę się koło spraw ze ślubem.

– A jak ci się układa z tym twoim wspólnikiem?

– W biedzie był okrutnej, z której dopiero teraz się wygrzebuje, żona mu choruje, a dzieci w domu siedzą. Korzystając z nadarzającej się okazji, poprosiłem doktora Oczo, żeby do nich zajrzał.

– Dobrze zrobiłeś. – Łukasz zapiął płaszcz i sięgnął po kapelusz. – Oj, znowu kropić zaczyna. No to do jutra, ostań z Bogiem.

Zapaliłem świecę w lichtarzu, bo już ciemno się robiło, i rozwiązałem tobołek. Było tam trochę bielizny, spodnie i kaftan, ale najbardziej ucieszyłem się z szuby z kapturem podbitej króliczym futerkiem. Jak ją na siebie zarzuciłem, poniżej kolan sięgała.

Buty też były, jak się patrzy, na podeszwach z grubej skóry, z obcasami z podkówkami i wysokimi cholewami, w sam raz na zimę. Szkoda, że lustra nie miałem, żeby się sobie przyjrzeć.

*

Poczułem ssanie w dołku. Miałem słoninę, jajka i chleb, ale jak wkrótce zasiadłem do kolacji, zdało mi się, że nuda na mnie z każdego kąta spoziera, a tym bardziej przygnębiająca, że w pustym pokoju sam jeden siedząc, pustkę w sobie czułem. Brakowało mi czegoś, żeby umysł zająć.

Wiele jest sposobów na to, co nazywamy zabijaniem czasu, ale kto jeno o tym myśli, nie zauważy, że nie on czas, a to czas jego zabija. Muszę pomyśleć, co jutro najpierw robić, bo w planie miałem wiele spraw i jakoś trzeba je uporządkować, żeby jedno drugiemu nie przeszkadzało.

A więc – przy książkach pilnie trzeba mi popracować, bo w ostatnich dniach, biegając za swoimi sprawami, mocno tego zaniedbałem, przez to obarczając pana Kazimierza częścią moich obowiązków. Najpierw jednak chciałbym pobiec na Rybaki

i z cieślą się umówić, zanim on do swojej pracy pójdzie. Trzeba mi też być na obiedzie u bednarzów, powiedzieć o kupnie domu, na osiedliny ich zaprosić, i przy okazji pożyczyć wózek do przewiezienia moich kłopotów.

Muszę też pamiętać, że jestem właścicielem psa i jemu też trochę czasu trzeba będzie poświęcić, a więc mięsa, kości i kaszy muszę kupić, wodę do picia zmienić; i wreszcie samemu w spokoju obejrzeć swoje włości, od dołu po dach. O, dobrze żem sobie przypomniał: drzewa na opał zamówić trzeba, żeby na zimę było, to później będę miał nieco zajęcia przy rąbaniu i piłowaniu, a trochę ruchu na powietrzu dobrze mi zrobi.

Co jeszcze kupić? Zapas świec woskowych, a może lampę oliwną, a też inkaustu, piór i papieru, żebym miał na czym pisać, jak mi będzie potrzeba. A co dalej, to się jeszcze zobaczy. Poczulem, że senność zaczyna mnie ogarniać, czemu dziwić się nie można, bo dwie ostatnie noce prawie nie spałem.

Szarym jeszcze rankiem pobiegłem na Rybaki i trafiłem na chwilę, gdy pan Rybianoga wózkiem zaprzężonym w jednego konia z woźnicą wyjeżdżał z podwórka, a jakiś mężczyzna zamykał za nim bramę. Widząc mnie, zatrzymał konia.

– Masz waszmość do mnie jeszcze jakiś interes?

– Nie, jeno z cieślą chciałem się zobaczyć, bo później mogę go nie zastać.

– A to właśnie on jest – wskazał na obcego – to jest pan Paciołek, co przyszedł się pożegnać, a to – wskazał na mnie – jest pan Paweł, nazwiska zapomniałem. Więc teraz to wy sąsiadami będziecie. A, chcę jeszcze powiedzieć, że Murek już dostał śniadanie, a na kuchni w garnku jeszcze coś dla niego zostało. No, na mnie już czas, żegnajcie!

– Niech Bóg was prowadzi i ma w opiece! – zawołałem za nim.

Zwróciłem się do pana Paciołka, podaliśmy sobie ręce i przedstawiłem się.

– Słyszałem, sąsiedzie, że macie do mnie interes – zagaił.

Dziwnie się poczułem, kiedy mnie nazwał sąsiadem.

– Tak, bo mi potrzeba, żebyście parę rzeczy tu zrobili. Najpierw wygodkę trzeba postawić i zrobić daszek nad studnią. I przydałby się kawałek dachu oparty na słupkach, przystawiony do szopy, żeby w razie potrzeby albo w czas niepogody coś pod nim schować albo coś robić na powietrzu. Także i okiennice przy oknach...

Pokazałem, gdzie wygodkę chciałbym mieć, jaki daszek przy studni i jakie zadaszanie koło szopy.

– I chciałbym, żeby – jeśli można – to jeszcze przed zimą było zrobione.

– Czeladnika z pomocnikiem przyślę, to omówicie z nim, czego byście sobie życzyli.

– Jeszcze jedno, panie Paciołek. Osiedliny tu zamierzam urządzić i chciałbym waszmości wraz z małżonką jego prosić, żebyście obecnością swoją zechcieli mnie wtedy zaszczyścić.

– Dziękujemy, na pewno przyjdziemy z nowymi sąsiadami się poznać. A kiedy to ma być?

– Wkrótce po niedzieli, jak już się trochę zagospodaruję, przyjdę do państwa z zaprosinami. A teraz muszę wkrótce lecieć do pracy, bo późno się robi.

Pożegnaliśmy się i pan Paciołek poszedł w swoją stronę, a ja w umówionym miejscu klucz znalazłem.

A dziwne to było wrażenie uprzytomnić sobie, że oto po raz pierwszy trzymam własny klucz do własnego domu. Sprawdziłem, czy drzwi zamknięte, psa, który już swojego pana we mnie widział, podrapałem za uchem. Odchodząc, dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że to przecież jest mój klucz, moje drzwi, mogę je otwierać i zamykać z której strony zechcę, a na moim podwórku już zarządziłem nowe porządki i na tę myśl aż mnie coś pogłaskało pod sercem.

*

Spiesząc do pracy, po drodze rozważałem pewną sprawę. Pan Kazimierz wie, że

dopiero w sobotę do nowego mieszkania będzie mógł się przeprowadzić, ale jak zobaczy, iż ja tam już mieszkam, zacznie się zastanawiać, dlaczego to przed nim utaiłem, więc lepiej wcześniej powiedzieć, jak te sprawy się przedstawiają. W warsztacie chłopak właśnie ogień pod kuchnią rozpałał, a pan Kazimierz ręce rozcierał, bo ranek był zimny i mokry.

Zapytałem, jak się żona czuje, czy musi leżeć i czy z domu wychodzi. Powiedział, że jest słaba, ale cały czas leżeć nie może, bo ma obowiązki domowe, którymi się musi zajmować.

– Trzeba mieć nadzieję, że lekarstwo pana Oczki na nogi ją postawi.

– Najlepiej pomogła jej wiadomość, że lepsze mieszkanie będziemy mieli i za parę dni tam się przeprowadzimy.

– Pana Rybianogę dzisiaj rano pożegnałem, jak w drogę się wyprawiał. Czy małżonka waszmości da radę tam dojść? Bo myślę, że może już chciałaby zobaczyć, jak to wygląda na miejscu, żeby zawczasu wiedziała, czego może się spodziewać, zanim tam się wprowadzicie.

– Na skrzydłach gotowa by lecieć, gdyby je miała...

– Wobec tego mam propozycję, żebyśmy teraz pracownię zamknęli, bo akurat przejaśniać się zaczyna, i tam poszli się rozpatrzyć.

– Wiecie, panie Pawle, wierzyć mi się nie chce, że to wszystko nie jest jeno snem.

– No to idźcie do domu, niech żona się przygotowuje, a ja się tymczasem do tych okładek wezmę. Jak będziecie gotowi, to wstąpcie tu powiedzieć, i pójdziemy. A jak przeprowadzkę już będziecie mieli za sobą, zabierzemy się do przeniesienia warsztatu, bo dzisiaj tamto pomieszczenie opuszczam.

– To i wy już znaleźliście sobie mieszkanie?! Patrzcie państwo, toż to istna bania z tymi przeprowadzkami się rozbiła. No to już pójdę, niedługo będę z powrotem.

Jak poszedł, dałem Jankowi noże do ostrzenia i trochę sobie porozmawialiśmy, aż wreszcie pan Gałęcki pojawił się z małżonką.

Pani Gałęcka była wzrostu średniego, o bladej, mizernej twarzy, podkrążonych oczach i bardzo szczupła, a ręka, co mi ją na powitanie podała, była lekka jak słomka i niebieskie żyłki przez skórę przeświecały. Pan Kazimierz przedstawił ją, mówiąc, że Anna ma na imię i wielce jest ciekawa nowego mieszkania.

– Bo to wiecie, panie – powiedziała – tam, gdzie teraz mieszkamy, to żyjemy chyba po to jeno, żeby nie umrzeć za prędko, a nie żeby coś mieć z tego życia. A najwięcej to mi dzieci szkoda.

Deszcz już nie padał, ale chłodno się zrobiło i zaniepokoiłem się, że pani Gałęcka zmarznie po drodze, ale powiedziała, że pod chustką ma na sobie owczy serdaczek.

Gdyśmy doszli na miejsce, brama była otwarta, Murek szczekaniem nas przywitał, a dwóch ludzi koło szopy zrzucało z wozu deski i belki.

Podszedłem do nich, przedstawiłem się i powiedziałem, że zaraz przyjdę porozmawiać, po czym, pogłaskawszy psa, wyjąłem z kieszeni klucz. Pana Kazimierza zaskoczyło, że jako gospodarz sobie w tym domu poczynam, ale nic nie powiedział. Pokazałem im, gdzie będą mieszkać, mówiąc, że sprzęty, jakie w mieszkaniu się znajdują, mogą używać jakoby własne i zostawiłem ich, żeby razem wszystko obejrzel i naradzili

się, jak się będą urządzać. Przeprósiwszy, że odchodzę na chwilę, wyszedłem na podwórko.

Ci dwaj, którzy deski przywieźli, byli ludźmi pana Paciołka. Powiedziałem im, co i gdzie mają robić, żeby studnia miała spadzisty daszek z otwieranymi drzwiczkami i gdzie wiatę przy szopie postawić.

– A wygodka żeby nie była za ciasna – dodałem. – Jak do niej wysoki chłop wejdzie, żeby czapką sufitu nie wycierał albo łokci o ściany nie poobijał.

Obaj się roześmiali:

– Tak, tak...

Przechodząc koło psiej budy, zauważyłem, że Murek wszystko zjadł, ale w misce woda deszczowa się zebrała. Pomyślałem, że trzeba z tym coś zrobić i powiedziałem to cieślom.

Czeladnik przyszedł i popatrzył.

– Dach budy można by przedłużyć, tak żeby przed wejściem kawałek ziemi osłaniał, to jak pies zechce, będzie mógł sobie poleżeć na powietrzu, mając sucho. – I obiecał to zrobić.

Jak wróciłem do Gałęckich, siedzieli przy stole, rozmawiając.

– No i jak widzi się państwu to mieszkanie?

– Tylko w marzeniach mogliśmy sobie przedstawić, że w takim domu zamieszkamy – powiedziała pani Gałęcka. – Tu jest najmniej z pięć razy więcej miejsca, niż mamy na Krzywym Kole. A widno tu, sucho i kuchnia osobno. Czy naprawdę to łóżko, szafę, stół i krzesła możemy używać?

– Naprawdę. To jużście państwo ustalili, jak się urządzicie?

– Tylko łóżeczka dzieci, odzież i pościel stamtąd przywieziemy, reszty staroci nie warto zabierać. Dopiero jak już wszystko będzie tu, na miejscu, pomyślimy, gdzie co postawić. Ale się dzieci ucieszą, że na powietrzu będą mogły się bawić!

– A piec chlebowy pani Anna już widziała?

– To i piec chlebowy jest! – klasnęła w ręce pani Gałęcka. – No to chleb własny będziemy mogli upiec! Gdzie on jest?

Powiedziałem, że w sieni, i zaraz tam zajrzała. Zaproponowałem, żeby wyjść na podwórze. Pokazałem szopę, studnię, wyjaśniłem, co cieśle teraz robią, wreszcie przy płocie stanęli, patrząc z góry na niedaleką Wisłę. Murek cały czas koło budy stał, patrzył na nas i machał ogonem.

– A też kurek parę będzie można tu trzymać – dodałem – i warzyw różnych zasiać. To kiedy państwo zamierzacie się tu wprowadzić?

– Dzisiaj mamy czwartek – powiedział pan Kazimierz – to w sobotę się przeniesiemy – potwierdził, co wcześniej ustaliliśmy.

– To by na razie było wszystko. Jutro będziecie mieli swój klucz. Może chcecie państwo jeszcze się czego dowiedzieć?

– Nie, zobaczyliśmy, cośmy mieli zobaczyć i wiemy, co trzeba wiedzieć. Wielka szkoda tylko, że nie możemy waszmości panu wdzięczności swojej okazać tak, jak byśmy chcieli, bo cokolwiek byśmy zrobili, i tak będziemy się czuć dłużnikami. Prawdziwa radość – to radowanie się nawet z byle czego, a tu...

– Mówią, że jeśli damy komuś radość, to kiedyś ona i do nas zawita, więc już mam z czego się cieszyć. Panie Kazimierzu, nie wiem, czy do pracy dzisiaj będę mógł wrócić, ale od jutra zacznę to nadrabiać. Jak się zamierzacie przeprowadzić? Macie jakiś wózek? Może trzeba pomóc?

– Rodzice Janka mają ręczny wózek, co towar na nim przewożą, to nam wystarczy, jak dwa razy obrócimy, bo wiele starych rzeczy zostawiamy. Janek nam pomoże.

– No to na razie się rozstaniemy, bo muszę trochę swoich spraw załatwić. Zobaczymy się jutro w pracy, więc na razie do zobaczenia. – Popatrzyłem, jak odchodzą krokiem zwawszym, niż przyszli, i uśmiechnąłem się. Podszedłem do cieśli, co mierzyli belki na wygodkę.

– Może wiecie, gdzie można kupić drzewo na opał? Tak, żeby przywieźli mi na miejsce?

– Jak dojdziecie do Rynku Nowomiejskiego, skręćcie w prawo w Zakroczymską, a kawałek nią idąc, do składu drzewnego traficie, co do pana Fedorczuka należy. Tam kupicie, co wam trzeba i przywieźą, bo mają konia z wozem.

– No to do widzenia, pójdę poszukać tego pana Fedorczuka.

Skład drzewny znalazłem, kupiłem cały wóz szczap sosnowych i brzoźowych i umówiłem się, że w poniedziałek po południu je przywieźą. Uzgodniwszy cenę, poszedłem w stronę Freta, a później Podwalem do swego dawnego mieszkania.

U bednarzów wszystkich zastałem w komplecie. Janusz wydał mi się jakby większy i szczuplejszy, co też powiedziałem. Zaraz mi krzesło podsunęli i zrobili miejsce przy stole, gospodyni przeprosiła, że na obiad z godzinkę muszę poczekać, a ja oznajmiłem, że jeszcze z czymś przychodzę.

– Czy moglibyście zrobić mi niewielką dzieżę do wyrabiania ciasta, panie Walecki?

– A na co wam ona? – zdziwił się bednarz. – Gdzie to chleb chcecie piec? A co do zrobienia, to zrobię, czemu nie...

– Dom właśnie kupiłem, a że w nim jest piec chlebowy, to pomyślałem, że i dzieża by się przydała.

– Dom kupiliście! – wykrzyknęła bednarzowa, a jej mąż szeroko oczy otworzył i na krześle ku mnie się przekręcił, jakby nie dowierzając temu, co usłyszał. – No, no – powiedział – nie żartujecie aby? A gdzie on jest, ten dom?

– Na Rybakach, a w związku z tym chciałbym znowu prosić o pożyczenie wózka, bo dziś jeszcze swoje rzeczy tam chcę przewieźć. A ponieważ koło domu zawsze jakiś wózek się przyda, chciałbym wiedzieć, gdzie i sobie podobny mógłbym sprawić?

– A, to niedaleko za kościołem świętej Anny stelmach mieszka, Antoniowski się nazywa, co robi nie tylko wózek, ale i cały wóz może wyrychtować.

– Pójdę, porozmawiam z nim.

– To na obiedzie nie zostaniecie?

– Pomówię z nim i zaraz przyjdę, a i ślusarz będzie mi potrzebny, żeby drugi klucz mi dorobił, ale jego to wiem, gdzie szukać.

*

Stelmachowi wyjaśniłem, jaki chciałbym mieć wózek: ręczny, lekki, z jednym

dyszlem do pchania albo ciągnięcia, na dwóch dużych lekkich kołach. Dałem mu półtora złotego do późniejszego rozliczenia się. Z kolei poszedłem do ślusarza, co w pobliżu miał warsztat, ten mi według moich kluczy drugie zaraz wypiłował, a ja wróciłem na Podwale.

Obiad już był gotów do podawania. Jedząc, opowiedziałem, jak to było z kupnem domu, że zdecydowałem się na to, zamiast mieszkanie wynajmować; bo skoro mam się żenić, wolę mieć coś własnego niż najętego. A przy okazji wszystkich na osiedliny w nowym domu zaprosiłem, co ich wielce ucieszyło i powiedzieli, że z chęcią przyjdą, jak powiadomię, kiedy to będzie.

*

Wziąłem wózek i powiedziałem, że do wieczora go zwrócę, a Janusz zaofiarował się, że pójdzie ze mną, pomoże w przewiezieniu rzeczy i sam go później odprowadzi, a przy okazji zobaczy, jak trafić do mojego domu. Rodzice się zgodzili, więc poszliśmy.

Ciekawy byłem, jak to się stało, że Janusz szkołę porzucił, ale po drodze, gdy coraz to trzeba było omijać błoto i wodę, źle się rozmawiało, więc odłożyłem to na inny raz. Wszystko co miałem swojego, bez kłopotu na wózku się zmieściło, więc tylko pożegnałem się z panią Józefową i powiedziałem, że w poniedziałek albo we wtorek z pracownią tu się wprowadzimy, i pojechaliśmy.

Dom Januszowi się spodobał, a też i Murek, z którym zaraz zapragnął się poznać, ale nieufny pies nie pozwolił się pogłaskać, co mnie ucieszyło, bo co to za stróż, co z obcymi rad wchodzi w komitywę.

Przyniosłem trochę drzewa z szopy, pod kuchnią rozpałem, żeby psu jedzenie odgrzać, a później wziąłem się do pieca w pokoju, bo było chłodno. Janusz wszystko oglądał i wszystko mu się podobało, a szczególnie to, że koło domu było dużo miejsca. Długo tak mógłby wszystko oglądać, ale przypomniałem sobie, że rodzice czekają i mogą się niepokoić. Pomogłem mu zaciągnąć wózek do Rynku Nowomiejskiego, bo pod górkę trochę było, i tak się pożegnaliśmy.

Jak wróciłem, smutny jakiś wydał mi się dom i opuszczony; tylko pies go trochę ożywił, machając ogonem i skacząc przy budzie, jak mnie zobaczył. Nie wiem, czy zachowanie jego radość z mojego widoku miało oznaczać, czy przypomnieniem być miało, że ma pustą miskę. Pogłaskałem go i powiedziałem, żeby poczekał. Zanim sam wziąłem się do jedzenia, miskę mu umyłem, zmieniłem wodę, dałem jeść i rozejrzałem się po swoim gospodarstwie.

Tutaj nie dochodziło bicie zegara z Ratusza, więc według słońca będę musiał się orientować o czasie, co łatwo może w błąd wprowadzić, jeśli niebo jest zachmurzone albo dzień mglisty i ponury. Dołożyłem do pieca, co już ciepły zaczął się robić, i właśnie do rozkładania tego, co przywiozłem, chciałem się wziąć, gdy Murek zaszczekał. Dobrze mieć stróża, co czyjeś przybycie oznajmi. Przez okno zobaczyłem, że to przy furtce Łukasz stoi. Uspokoiwszy psa, zaraz do niego wyszedłem.

– Witam was, mości gospodarzu! A pokaże mi włości swoje! A temu Cerberowi wytłumacz, że na mnie nie warto czekać, bom ja nie z tych, co się odszczekują. Szczęściarz z ciebie! I domek ładny, i widok sprzed niego – jest czego winszować!

– Raccie wstąpić w niskie progi moje, księżu dobrodzieju!

– Pomału, pomału, nie spieszmy się. Pośpiech jest dziełem szatana i matką niepowodzeń. Najpierw z wierzchu obejrzymy ten twój nowy nabytek. Ściany, jak widzę, drewniane są, to dobrze. Drewno zdrowe jest i przyjazne człowiekowi.

– Szopa, widzę, jest, studnia... A jest w niej woda? – zajął z ciekawością. – Jest. A te deski i belki? Dom powiększyć zamierzasz?

Roześmiałem się.

– Nie, to będzie nowy domek, ale tylko na jedną osobę i na niedługie w nim zamieszkanie.

– O, to dobrze, a nawet bardzo dobrze! Przybytków takich w Warszawie brakuje. A tamten dom, co tam widać, to sąsiad zapewne? Poznałeś go już?

– Poznałem. To cieśla, co ten dom stawiał.

– I na Wisłę stąd ładny widok. Jak latem na ławeczce przed domem usiądziesz, to z góry będziesz patrzył a patrzył na te żagle, galary i tratwy... No, wejdźmy teraz do środka.

W sieni od razu zauważył piec chlebowy, zajął do niego i z aprobatą pokiwał głową. Najpierw pokazałem, gdzie Gałęccy będą mieszkać. Zainteresował się, czyje sprzęty tu stoją, i do kuchni zajął, potem przeszliśmy do mnie i siedliśmy przy stole.

Zapytałem, czy zjadłby czegoś, ale tylko ręką machnął, jakby muchę odpędzał. Więc dołożyłem dREW do pieca i usiadłem naprzeciwko.

– W ostatnim czasie – zaczął – byłem w okolicach Kielc, w jednym z miasteczek usłyszałem o pewnym mądrym, uczonym rabinie, znanym też jako mędrzec i prorok. Wśród uczonych niewielu jest mądrych, więc jeśli taki się trafił, zapragnąłem go poznać, przedstawić pewną od dawna mnie nurtującą sprawę i zapytać, co o niej myśleć. A konkretnie – chodziło o tamto „Przekazanie” Kryspina. Pamiętasz je?

– Tylko to, czego dotyczyło, ale słowami bym nie powtórzył.

– Poszedłem poszukać owego mędrca. Trudno się do niego dostać, bo współwyznawcy pilnie go strzegą, ale jak się dowiedział, że chrześcijański kapłan chce go widzieć, żeby o radę poprosić, zgodził się mnie przyjąć.

Opowiedziałem mu o „Przekazaniu”, jak umiałem najwierniej, to, co udało mi się w pamięci zatrzymać. Rabin mnie wysłuchał, zastanowił się, kazał powtórzyć i na drugi dzień przyjść, bo pewnie zagadka jakaś tam jest ukryta, i czasu trzeba, żeby nad wszystkim się zastanowić. Bo jedno słowo może znaczyć jedno, a w zestawieniu z innym – coś innego. Ciekawy byłem, co on z tego wszystkiego wyrozumuje, więc przenocowałem w tym miasteczku, a na drugi dzień znowu do niego poszedłem.

– Powiedziałeś mu, cośmy znaleźli?

– Nie, ani co, ani gdzie byliśmy, tylko samą treść „Przekazania” mu przedstawiłem. Jak się okazało, on istotnie na miano mędrca zasłużył, bo nie tylko filozofem się okazał, ale miał i rozległą wiedzę z historii. Słyszałeś o templariuszach?

– O templariuszach? Nie, to jakby nazwa jakiegoś zakonu...

– Bo też zakon rycerski to był, powstał w 1118 r. w Jerozolimie, dla ochrony pielgrzymów, a nazwę swoją wzięli od świątyni (templum) Salomona, gdzie mieli swoją siedzibę. Nie będę ci opowiadał historii tego zakonu, powiem jeno, że osiągnął potęgę, bogactwo i znaczenie, a w Europie w różnych krajach wielu majątków i zamków się

dorobił, a to dzięki pieniężnym interesom, jakie prowadził. Bogactwo to było solą w oku tamtejszych władców, więc chcąc przejąć majątek templariuszy, oskarżyli ich o bałwochwalstwo, bezczeszczenie krzyża, sodomie, uprawianie czarów, pakty z diabłem i tym podobne herezje.

Otóż ten żydowski mędrzec doszedł do wniosku, że nie bez powodu w „Przesłaniu” kilka razy wymienia się słowa „król Piękny”, bo są to kluczowe słowa dla zrozumienia „Przesłania”. To właśnie król Francji Filip, o przydomku Piękny, wraz z papieżem Klemensem V zagrabili majątek templariuszy, a w „Przesłaniu” chodziło o to, żeby zwrócić uwagę potomnym na czasy, w których rządził „Piękny król”, a co za tym idzie – co się wtedy w jego państwie działo i jaki mogło mieć związek z „Przesłaniem”.

Ale zamiary Filipa Pięknego nie w pełni zostały urzeczywistnione. Wprawdzie z jego inicjatywy o świcie 13 października 1307 roku poaresztowano wszystkich templariuszy, torturami wymuszano na nich przyznanie się do zarzucanych im a niepopełnionych czynów i wskazanie miejsca ukrycia skarbów, z których do dzisiaj nie wszystkie udało się odnaleźć. Wśród tych nieodnalezionych była księga *Secretum Templi* – Tajemnice Świątyni. Jakub de Molay, ostatni mistrz zakonu, nawet wzięty na tortury nie zdradził, że tę księgę wysłał daleko na wschód poza granice Francji, gdzie wysłannicy jego znaleźli dla niej bezpieczne schronienie.

– I myślisz, że...?

– To mędrzec ów myśli, że „Przekazanie” Kryspina tej księgi dotyczy i ukryta jest ona w tych podziemiach, o których jest mowa w „Przekazaniu”. A że tam jeszcze coś musi być, świadczą słowa... pamiętasz?

A przy nim, gdy znajdziesz, co znajdziesz, pod głazem z pieczęcią ukryte, nie tykaj tego, gdy nie znasz tajnego słowa formuły...

Więc przy nim, to znaczy przy tym godle, coś je znalazł, jeszcze coś powinno być. I może to jest ta księga templariuszy, którzy szkatułę z nią tam ukryli. Ale widocznie nie chcąc, żeby skarb ich na wieki przepadł, zapragnęli zostawić wskazówkę dla kogoś wtajemniczonego, co kiedyś po niego się pojawi. W jakiś sposób przekonali jakiegoś przodka Kryspina, wmawiając mu, że jest wybrańcem bogów czy Boga, który mu nakazuje przekazywanie tej legendy swoim potomkom, z pokolenia na pokolenia. I tak dotrwało to aż do naszych czasów. Więc teraz, jeżeli rabin to wszystko dobrze odgadł, jeno my dwaj pozostaliśmy, co wiedzą, gdzie szukać tej tajemnej księgi.

– A co to może być to tajne „słowo formuły”?

– Może jakieś hasło, którego nieznajomość na znalazcę, a może i nie tylko na niego, nieszczęście jakieś może sprowadzić? I jeszcze w „Przekazaniu” było: *Bacz, by ci demon chciwości mocą swą duszy nie zmroczył...* Może to znaczy, że znalazca tego orła prócz niego nie powinien zapragnąć jeszcze jakiejś korzyści dla siebie znaleźć? Któż to wie...

Rabin, o którym ci mówiłem, ma przyjechać do Warszawy. Był ciekawy, od kogo wiem o tym „Przekazaniu”. Powiedziałem prawdę, że od niejakiego Kryspina, co żyje w lesie koło Krzemionek, i tyle. Jak chce, niech tam pójdzie i niech go sobie szuka. Jeśli tajemna księga templariuszy istotnie tam się znajduje, to za wczesne wydobywanie jej nieszczęście jakieś może sprowadzić.

– A to w jaki sposób?

– Otóż ten rabin uważa, że na świecie w pewnych miejscach są ukryte tajemne bramy czy wrota, przez które śmiertelny człowiek, odpowiedniego zaklęcia używając, do nieba może się dostać i Boga własnymi oczami oglądać. Ale ja to mam za bajki, a sam szukając wiadomości o templariuszach, do czego innego doszedłem. Wśród nich było wielu uczonych myślicieli, patrzących dalej w przyszłość, i wnioski, do jakich doszli, w *Secretum Templi* umieścili. A księga ta powinna być tam, gdzieś tego orła naszedł.

Rabin, pomimo całej swojej uczoności, istnienie bram do innego świata zrozumiał dosłownie, a są one jeno alegorią. Są to bramy do naszej przyszłości prowadzące, a nie takie jak wrota do stodoły czy kościoła. Ich sposób przejścia jest sekretem templariuszy, od czego nazwa *Secretum Templi*.

– Nie rozumiem. Co to za przejście i czemu jest sekretem?

– Bo może zakonnicy umieścili w tych przejściach coś, do czego świat jeszcze nie dojrzał? Może tam jest opisany sposób latania ludzi po powietrzu na sposób ptaków, może wiadomości o przesyłaniu myśli na odległość, może o oglądaniu tego, co za widnokretem się ukrywa? Kto by za wcześniej chciał głosić, że takie rzeczy mogą istnieć, poszedłby na stos jako czarownik albo opętany przez diabła, posądzony, że to on mu takie pomysły podsuwa. Świat do tego w swoim czasie dopiero musi dojrzeć, tak jak jeszcze dojrzewa do przyjęcia idei Kopernika.

Dam ci przykład. W Biblii jest napisane, że Ziemia jest środkiem wszechświata, a Słońce i gwiazdy krążą wokół niej. Kopernik odkrył i dowiódł, że tak nie jest, ale gdy to ogłosił, za to, że Pismu Świętemu zaprzecza, omalże nie został wyklęty przez uczonych Kościoła, co nie dorosli jeszcze umysłem do swoich czasów i widzieli w Piśmie litery, z jakich się składa, a nie dostrzegali tam ducha.

Dlatego jeśli ta księga istotnie jest tam, gdzieś złotego orła znalazł, a w niej jest zapisanych jeszcze więcej wielkich odkryć dotyczących się przyszłości, to niech tam zostanie i czeka, aż ludzie na tyle dojrzeją, żeby światu można było bezpiecznie jej treść ujawnić, nie będąc posądzonymi o konszachty z szatanem. Templariusze na pewno pamięć o niej przechowują; nie po to wieźli ją przez kawał świata, żeby została zapomniana. Ludzkość do przyszłości przez wiedzę i przemianę duchową powinna przejść, a nie szukając jakiejś drabiny Jakubowej, żeby ją do nieba przystawić i gwałtem tam się pchać.

– To templariusze jeszcze są?

– Chociaż papież Klemens V w roku 1312 ten zakon rozwiązał, a papież Jan XXII wyrok ten zatwierdził, to wielki mistrz Jakub de Molay, zanim na stosie śmierć męczeńską poniósł, urząd swój zdążył przekazać w inne ręce. A król Portugalii stanął po stronie templariuszy i ogłosił, że zakon ma prawo istnieć i swoje majątki, których miał niemało w różnych krajach, powinien zachować.

– No, to mi ulżyło, już się obawiałem, żebyś w coś niejasnego się nie wplątał.

– Chyba przez delikatność powiedziałeś „niejasnego” zamiast „nieczystego”. – Łukasz uśmiechnął się. – Ale swoją drogą, chociaż rabin ów jest opętany myślą o tej księdze, to nie jest głupi. Z „Przekazania” Kryspina wydedukował, że nie pochodzi ono sprzed lat tysiąca, jeno około dwieście pięćdziesiąt wiosen sobie liczy i nie przez świadków walki tych rycerzy zostało ułożone, a zapewne przez tych templariuszy, co

swoją księgę tam chcieli ochronić.

Może szukając schowka dla swego skarbu, natknęli się, pewnie przez przypadek, na tę przez nas odkrytą dziurę, a w niej znaleźli to, coś tam widział, do czego też i swoją rzecz dołożyli, i to oni postawili tę skałę na wejściu do podziemi. A żeby zbyt ciekawych odstraszyć, dla niewtajemniczonych sprawę zagmatwać, a swoim w przyszłości dać wskazówkę, gdzie szukać, wymyślili zaczarowaną polanę i wielkoludów na niej walczących.

Bo w Polsce ilu może być takich, co wiedzą, że gdzieś tam – kiedyś – istniał król o przydomku Piękny, czym się wyróżnił, gdzie panował i czemu to właśnie jego w tym „Przekazaniu” umieszczono? A czarami i diabłami ludzi zawsze można odstraszyć. Chociaż przyznaję, że chętnie bym zobaczył tę księgę tajemną. Jeśli faktycznie takowa istnieje, to jednak lepiej, żeby leżąc, gdzie jest, doczekała właściwych czasów.

– A co z twoim wyjazdem do Ziemi Świętej?

Łukasz głowę spuścił i westchnął.

– Nie wiem... No, zobaczyłem, gdzie i jak mieszkasz, więc pójdę już.

– Co się tak spieszysz, myślałem, że dłużej porozmawiamy.

– Mam parę takich tam spraw do omówienia z proboszczem od św. Jana, innym razem to sobie wynagrodzimy. Kiedy zamierzasz wyprawić te osiedliny?

– W przyszłym tygodniu. Chciałbym też, żebyś mi przy tej okazji dom poświęcił, bo nie wiem, jakiej wiary był mój poprzednik.

– Dobrze żeś mi to powiedział, więc przyniosę co trzeba. No, Bóg z tobą. Wiadomość u kościelnego w kościele świętej Anny możesz mi zostawić...

Odprowadziłem go do Rynku Nowego Miasta i wracając, spuściłem Murka z łańcucha. Pies, poszczekując radośnie, jak szalony popędził wzdłuż płotu, obiegnął dom, wrócił, stanął przede mną i szczechnął, patrząc mi w oczy. Poklepałem go po głowie, podrapałem pod brodą, popatrzyłem, jak biega, potem wszedłem do domu, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Zamykając drzwi na klucz... Klucz może być symbolem władzy – zdobywca otrzymuje klucze miasta. Symbolem własności – mój dom, moje mieszkanie, moja twierdza, więc mogę decydować, komu otworzyć. Może też być symbolem godności i urzędu – św. Piotr jest klucznikiem dzierżącym klucze Królestwa Niebieskiego. I jeszcze jedno: jeśli klucz w drzwiach mojego domu przekręcą, tylko do mnie należy decyzja, po której ich stronie to zrobię.

Czy zamknąwszy się w domu, poczułem się bezpieczniejszy, niż byłem, stojąc przed jego drzwiami? Już leżąc w łóżku, pomyślałem, że bezpieczeństwo nie zależy wyłącznie od zamknięcia. Człowiek samotny, otoczony pustką, jest w stanie uzupełnić ją urojeniami zagrożeń, a sama świadomość, że jest zdany na siebie samego, może odebrać mu poczucie beztróskiego spokoju, zwłaszcza jeśli przebywa w obcym sobie miejscu i odbiera z otoczenia niepokojące sygnały. Wtedy wmawianie w siebie, że jest bezpieczny, nie będzie mu ochronnym pancerzem.

Pies zaszczekał za oknem. Czy coś go zaniepokoiło, czy po prostu daje znać o sobie, że jest, stróżuje i czuwa? Coś mnie musnęło po twarzy – czy to coś nieznanego, nienazwanego, co niewidzialnie wędruje w przestrzeni, czy po prostu podmuch od

niedomkniętego okna? Wszystko to razem wzięte, nawet jeśli wiem, że niczego nie oznacza, to zwracając na siebie uwagę, skutecznie odpędza sen.

Heraklit z Efezu powiedział, że „*wszystko przemija, nic nie pozostaje*”, ale co miał na myśli? Rzeczy, wydarzenia czy odczucia? Ludzie przeminą, królestwa upadną, gwiazdy pogasną, ale wszystko przeminie dopiero wtedy, gdy zgaśnie wszelka pamięć o tym, że było. To, co się w naszym życiu zdarzyło i zapadło w przeszłość, istnieje nadal w naszej świadomości, bo dla nas najważniejsza jest świadomość siebie. A kiedy nas już zabraknie?

*

Ale skąd mi się wzięły te myśli? Dlaczego właśnie teraz mnie nachodzą, z niczym konkretnym niepowiązane, i odbierają sen? Im mocniej oczy zaciskam, im bardziej chcę zasnąć, tym natrętniej w mózg się wkręca myśl, że oto spędzam pierwszą noc w pustym domu, a że to jest mój dom, nie ma tu nic do rzeczy. Dom musi oswoić się z człowiekiem, a człowiek z domem, inaczej będą sobie obcy i źle im będzie ze sobą.

Wszelkie zmiany w życiu obarczają nas nowymi obowiązkami, określają inny zakres potrzeb, przywołują nadzieję, że będzie lepiej, i dodają podniety do wykorzystania nowych możliwości. Tak rozmyślałem, idąc do pracy, żegnany szczekaniem Murka. Świadomość, że w czasie gdy będę w pracy, dom będzie stał pusty i narażony na nieproszone wizyty, mogłaby być niepokojąca, gdyby nie to, że dzisiaj na podwórku będą pracować robotnicy, a jutro wprowadzą się Gałęccy – i dzięki temu zawsze ktoś tu będzie.

Pan Kazimierz był już w pracowni i pokazywał Jankowi, co ma robić. Nie zdążymy na jutro wykończyć wszystkich książek, jakie spodziewaliśmy się zrobić, w czym niemało jest mojej winy, bo chodząc za swoimi sprawami, w pracy zaniedbałem wiele obowiązków. Dzisiaj zaczęliśmy od ustalenia, co który z nas będzie robił, żeby to wszystko trochę popchnąć do przodu. Poruszyłem też sprawę naszej przeprowadzki na Koźlą, a panu Kazimierzowi przypomniało się, że spotkał stolarza i dowiedział się, że to, cośmy zamawiali, jest gotowe i czeka na odbiór. Zobowiązałem się dziś tam pójść i załatwić sprawę z tym związane.

– Panie Kazimierzu, więc jutro przeprowadzacie się na Rybaki? Tu oto są wasze klucze do domu. Psa nie trzeba się obawiać, będzie uwiązany, a ludzie, co na podwórzu pracują, będą uprzedzeni. Jeśli mógłbym się przydać do pomocy, to miło mi będzie.

Ale Gałęcki podziękował za moje dobre chęci, mówiąc mi raz jeszcze, że na starym mieszkaniu zostawia wszystkie sprzęty, bo już są zniszczone, tylko z odzieży, pościeli i ze statków gospodarczych coś weźmie. I dodał, że nie może się przyzwyczać do myśli o życiu w nowym otoczeniu i że udało mu się wyrwać z miejsca z biedą i przykrościami się kojarzącego, co cieniem na duszy leżało.

– Z doświadczenia wiem – odparłem – że na nowym miejscu człek z początku też nieswojo się czuje i że do dobrego też trzeba przywyknąć, na co potrzeba trochę czasu.

Nic na to nie odpowiedział, tylko pochylił się nad księgą, co ją miał w robocie. Mszał, własność kościoła z Płocka, pięknie i godnie się prezentował i kto go teraz widział, nie domyśliłby się, w jakim opłakanym stanie znajdował się uprzednio. Teraz Gałęcki przymierzał ozdobny złoty krzyż do wgłębienia na środku okładki. Krzyż miał pod spodem przylutowane druciki, które przejdą przez otwory zrobione w okładce cienkim szydłem i po drugiej stronie będą zagięte i przyklepane tak, że nie będzie ich znać po zaklejeniu wyklejką.

Robiliśmy, pókiśmy nie skończyli, co na dzisiaj mieliśmy zrobić.

– To ja jutro rano na Krzywe Koło z wózkiem przyjdę – odezwał się milczący do tej pory Janek, gdy już narzędzia składaliśmy.

– Więc niech pan spieszy do domu, panie Kazimierzu, jutro ja tu sam będę robił, a po południu się zobaczymy.

– Przyjdziecie na Rybaki?

– Muszę psa nakarmić, a też jeszcze inne przyczyny się znajdują.

*

Gdy zostałem sam, sięgnąłem po pióro i papier, żeby listy napisać i oddać je woźnicy, co jutro do Krakowa jedzie, ale jakoś niesporo mi to szło. Jeśli za dużo wrażeń mamy do opowiedzenia, myśli w głowie się kłębią i w ich natłoku trudno jakiś ład wprowadzić, bo jedne przed drugie się wyrywają, jakby się ścigały, które pierwsze w kałamarzu mają się wykapać i słowami na papierze położyć.

Napisałem, że dom kupił ze sprzętami wszelkimi i psem na dokładkę. Rodzicom pięknie podziękowałem za paczkę, że w samą porę ją otrzymałem, bom właśnie się zastanawiał, co z odzieży powinienem sobie sprawić, tak więc teraz już wiem, co mam, a czego mi brakuje.

Dorotce osobno napisałem, że czekanie nasze już się kończy, po piętnastym grudnia do Krakowa się wybieram i chcę, żebyśmy wtedy przed ołtarzem stanęli, organiecie zaś każe grać tak, żeby się ludzie oglądali, czy kościelne sklepienie na głowy im nie spada. Dodałem jeszcze, że dom ma dwa mieszkania. Dla nas przeznaczyłem większe, a w drugim wspólnik mój z żoną i trojgiem dzieci zamieszkał, tak że nie będzie się czuła samotna, czekając na mój powrót z pracy.

Listy zaniósłem i upewniłem się, kiedy woźnica pojedzie i kiedy wróci, potem poszedłem do stolarza zamówione sprzęty obejrzeć. Zrobione były tak, jak chcieliśmy. Akurat trafił się chłopek, co wozem tamtędy przejeżdżał, to za parę groszy wszystko z ochotą na miejsce mi zawiózł, do pomieszczenia pomógł znieść i jeszcze podziękował, zadowolony z niespodziewanego zarobku.

Po powrocie do domu spuściłem Murka z łańcucha, co tak go ucieszyło, że zaraz zaczął harcować po obejściu, co raz to przybiegając do mnie, jak szalony machając ogonem. Zastanowiła mnie pewna myśl: czy pies macha ogonem bezinteresownie, czy cecha bezinteresowności właściwa jest tylko człowiekowi?

Czy pies, dajmy na to, zanieś swoją kość drugiemu psu, żeby go poczęstować, albo ustąpi swojego miejsca w budzie, gdzie dwóch się nie zmieści? Jeśli chodzi o wierność, niejeden pies może być więcej wart od niejednego człowieka. Pies nigdy człowieka nie zdradzi, prędzej człowiek psa!

Do ciekawych myśli i wniosków można dojść, na psa patrząc...

*

Wygódka już stała, taka, jaką chciałem, zamykana na skobel przetknięty patykiem i z haczykiem w środku. Poza tym nic więcej nie było zrobione, chociaż drzewo leżało przygotowane. Pochodziłem trochę koło domu bez określonego celu, bo jeszcze z trudem docierała do mnie świadomość, że to wszystko jest moje. Trochę czasu musi upłynąć, nim do tej myśli przywyknę.

Coś kupić a posiadać – to niby to samo, ale w tych pojęciach jest pewna różnica. Żeby zakupiony dom objąć w posiadanie, trzeba coś z siebie w niego włożyć, bo inaczej będzie on jako ubranie bez człowieka w środku, który by mu kształt właściwy nadał i wypełnił je swoją osobą.

Rozpaliłem w piecu i pod kuchnią. Uchyliłem okno, żeby mieszkanie uwolnić od powietrza, co się w nim zastało, przyrządziłem psu jedzenie, a dla siebie jajecznicę na boczku; w tym czasie pomału zaczął się robić wieczór. Sam w pustym domu czułem się

tak, jakbym jego pustkę i w sobie nosił. To, czego mi w tej chwili brakuje, to sensownej odmiany, co by mi czas wypełniła.

Próba zajęcia się czymś na siłę, aby tylko czas prędzej zeszedł, jest jak czerpanie wody przetakiem; niby się coś robi, a sensu w tym nie ma. Zapaliłem świecę i poszedłem do drugiego mieszkania, gdzie jutro Gałęccy się wprowadzą, i zabrałem się do przeglądania szafek i szuflad, patrząc, czy pan Rybianoga nie zapomniał z nich czegoś swojego. W szufladzie stołu znalazłem wyschnięty kałamarz i pęczek gęsich piór, a na wierzchu szafy jakąś zniszczoną książkę i pudełko z szachami. Z szachów najbardziej się ucieszyłem, bo kiedyś, gdym jeszcze był dzieciakiem, Łukasz nauczył mnie tej gry i niejedną godzinę nad nimi spędziliśmy.

Książka była zakurzona i podarta, brakowało w niej pierwszych stron z tytułem. Na dnie szafy leżały jakieś szmaty, a w kącie stała brzoźowa miotła. Wszystko to przenieśliem do siebie i najpierw zająłem się książką. Był to jakiś zbiór powiastek o starodawnych Grekach, Aleksandrze Wielkim i tym podobnych.

Książki tego rodzaju, podobnie jak żywoty świętych, kalendarze, apokryfy i opisy dziwnych zdarzeń, można spotkać we dworach szlacheckich i domach mieszczan, gdzie są one źródłem rozrywki, a przy tym dostarczycielami prawdziwej lub zmyślonej wiedzy o świecie.

Zacząłem od powiastki o Aleksandrze Wielkim i wciągnęła mnie jej treść. Oto Aleksander był nie tylko wielkim wojownikiem, ale miał też rozległe zainteresowania naukowe. Pewnego razu, żeby obserwować życie w głębinach morza, kazał sporządzić wielki dzwon ze szklanym okienkiem i w nim spuścił się na dno morskie, gdzie dziwy różne oglądał. Podobno zobaczył tam rybę tak ogromną, że jak przed okienkiem przepływała, od rana do wieczora trwało, zanim się cała od pyska do ogona przed nim przesunęła. Pomyślałem sobie, że może to mógł być wieloryb, co kiedyś biblijnego Jonasza połknął, a później nazad wypłuł. Ale miałem niejaki wątpliwości, bo ile i jakiego pokarmu trzeba by nastarczyć, żeby taki potwór mógł się nasycić?

Dalej natknąłem się na inną powiastkę, też o tym Aleksandrze. Oto gdy żołnierzy na wojnę prowadził, jego wojsko trafiło na pustynię, gdzie z braku wody ludzie i konie padali jak muchy. Jeden z żołnierzy znalazł przypadkiem jakieś źródło, hełm wodą napełnił i wodzowi przyniósł. Aleksander, zanim się napił, zapytał, czy dużo jest jeszcze tej wody. Jak mu powiedziano, że więcej nie ma, wylał wodę w piasek i powiedział, że nie będzie sam pił, kiedy jego żołnierze pragnienie cierpią. Wojsko, słysząc to, z nową ochotą za wodzem ruszyło. Wkrótce wszyscy na rzekę się natknęli, pragnienie zaspokoili, uderzyli na Persów i ich króla Dariusza w niewolę wzięli.

Pomyślałem, że potomni Aleksandra morał sobie z tego powinni wyciągnąć, jakim to człowiekiem powinien być wódz. Gdzie te czasy, gdy królowie na czele wojska szli do bitwy, męstwem własnym dając przykład... Inny świat, inni ludzie... Czego innego dawniej wymagano od wodzów, a też oni od siebie. Ale i teraz podwładnym własnym przykładem świecąc, w ciężkich chwilach można dodać otuchy i do wielkich czynów ich natchnąć.

Potem przeczytałem o Peryklesie, którego panowanie nazwano złotym wiekiem Aten z tej przyczyny, że wojen nie prowadził, a przez to ludzi i swoje państwo wzbogacił.

A dalej o reformach Solona, który mądrze umyślił, że im kto ma większą władzę i wyżej stoi, tym większe obowiązki i odpowiedzialność powinien na siebie wziąć. Nie tak jak nasza szlachta, co uważa, że przywileje różne powinna mieć za to jeno, że szlachtą jest.

Dalej brakowało kartki, ale mając na uwadze nasze obecne czasy, można się domyślić, jak się ta reforma Solona skończyła, bo ludzka natura jest zawsze jednaka: władzę i przywileje chętnie się przyjmuje, ale obowiązki i odpowiedzialność lepiej drugiemu podarować. Wziąłem się teraz do szachów.

Szachy – to chyba najmądrzejsza gra, jaką ludzie do tej pory wymyślili. Żadna partia nie jest podobna do drugiej. Dwóch graczy – to jak dwóch wodzów dowodzących wrogimi wojskami. Oba wojska są równe sobie ilościowo i jakościowo, więc wygrywa ta armia, której wódz jest bardziej przewidujący, lepszym jest wodzem, potrafi uprzedzić posunięcia przeciwnika i wykorzystać je do swoich celów. Wojskiem tu hetman dowodzi, więc ma większe możliwości ruchów niż król, a król – jak to z królami i teraz bywa – za plecami wiernych oddziałów się chowa, które są zobowiązane, chronić go, bo jak zabity zostanie, larum się podnosi: szach-mat! król zginął! I wojsko jego w rozsypkę idzie i poddaje się...

Prawdziwa bitwa, gdzie prawdziwa krew się leje, też jest niby gra w szachy, ale ofiarami w niej nie są drewniane figury, jeno żywi ludzie, co stają przeciw sobie, bo są wrogami. A dlaczego wróg jest wrogiem? A dlatego jest wrogiem, bo na tarczy inne godła nosi, inne są barwy jego sztandaru, innym językiem mówi, w innym kraju mieszka, dlatego to wróg! A wroga należy zabić, jego dobra mu zabrać, sztandary w ziemię wdeptać, bo wrogie są!

A ten wróg, to taki sam człowiek jak ty sam, rodzinę ma i może taką samą biedę klepie! I może jemu też mówią, że to ty jesteś jego wróg... A nie ma większego niebezpieczeństwa niż lekceważenie przeciwnika, bo ten, nawet pokonany, myśl o zemście w sercu będzie pielęgnował, a w terażniejszości jej nie mogąc dokonać, spadkobiercom w testamencie ją przekaze. I tak nienawiść z pokolenia na pokolenie w spadku będzie przechodziła, chociaż już nikt nie będzie pamiętał, skąd się wzięła.

*

Oto na jakie drogi zbłądziły moje myśli, gdy patrzyłem na figurki stojące na szachownicy. Z marzeń zawsze jednak powraca się do rzeczywistości, która z nią jak wątek z osnową się przeplata.

Za oknami już dawno pociemniało. Nie wiem, czy jeszcze jest późny wieczór, czy już noc zapadła, bo zegar, jaki mamy w świadomości, jest omylny i jedne chwile życia nam skraca, inne wydłuża.

Wyszedłem na próg domu i zadrzałem z zimna. Za parę dni listopad się zacznie. Chyba zbierało się na deszcz, a może i śnieg, bo chociaż w ciemności chmur nie było widać, czuło się w powietrzu zimną wilgoć. Zaraz Murek do mnie przybiegł, machając ogonem; zagadałem do niego i poklepałem po łbie. Jak klucz w drzwiach przekręcałem znowu pomyślałem, że to jest klucz do drzwi mojego domu.

Za szczęśliwego można się uważać, jeśli praca daje przyjemność – myślałem nazajutrz, po drodze do Rynku Nowego Miasta. Wcześniej było, gospodę na Przyryнку dopiero otwierali, gdym mimo niej przechodził. Pod chmurnym niebem krążyło stado wron, krakaniem oznajmując swoją obecność. Na straganach dopiero zaczynano rozkładać towar. W miarę jak szedłem, coraz to ktoś z bramy wychodził; jedni gdzieś szli w swoich sprawach, inni stali na progu, ziewając i gapiąc się nie wiadomo na co.

Dzisiaj sam będę pracował, bo Gałęcki z pomocą Janka się przeprowadza i przyszło mi na myśl, żeby niespodziankę mu zrobić, warsztat przenosząc na Koźlą. Poszedłem na stare miejsce, zabrałem co najważniejsze narzędzia i książki, co przy nich dzisiaj zamierzałem robić, resztę zostawiwszy na później, gdy Gałęcki do pracy wróci. A chociaż wcześniej dzisiaj wstałem, prawie do południa mi zeszło z tą przeprowadzką, bo dwa razy musiałem obracać, a też i nowy warsztat zamieść i kurze powycierać, bo książki lubią leżeć na czystym miejscu. Nie obeszło się też bez rozmowy z panią Józefową, która była ciekawa, jak mi się mieszka w nowym domu.

*

Teraz mamy dwa mocne stoły z szufladami, po jednym dla mnie i dla Gałęckiego. Janek miał pracować przy obu, w zależności od tego, komu miałyby pomagać, a jeśli będzie trzeba, to i na trzeci stół miejsce się znajdzie.

Źle się bowiem pracuje, jeśli dwóch majstrów robi przy jednym stole, bo nikt nie lubi, jak przy robocie ktoś mu na ręce patrzy, jakby coś oceniał i porównywał z tym, co ma u siebie.

Pracowałem pilnie aż do popołudnia, póki nie skończyłem tego, co miałem zrobić, i kiedy zgarbione plecy z ulgą wyprostowałem, do wczesnego wieczora było już niedaleko. Zamknąłem warsztat i ruszyłem do domu, a po drodze kupiłem zaopatrzenie na jutro, nie zapomniawszy także o Murku. Gdym z gospody wychodził, zobaczyłem Janka, jak pusty wózek ciągnął. Podeszedłem do niego.

– I co, sprowadzili się już?

– Panie majstrze, co się tam dzieje! Dzieciaki nie wiedzą, co mają robić; czy w domu siedzieć, tak im się tam podoba, czy na dwór lecieć, bo tyle widoku dokoła nowością im jest. I pies im się podoba, chociaż go się boją, bo szczeka. Pani majstrowa musi wszystkiego dotknąć, a pan majster w piecu rozpałił i teraz co rusz to ktoś podchodzi popatrzeć, jak drwa się palą. Z tego wszystkiego w nocy chyba nie będą mogli spać.

– Do dobrego łatwo się przyzwyczaić, a co złe było, we wspomnieniach jeno zostaje. Do domu idziesz? No, to do widzenia. Aha, w poniedziałek będziemy już pracować na Koźlej.

– Tak?! A to ci nowina! – ucieszył się chłopak i rażno pociągnąwszy wózek, poszedł w swoją stronę, a ja w swoją skręciłem.

Do tej pory ukrywałem przed Gałęckim, że jestem właścicielem domu, w którym on będzie lokatorem. Wołałem poczekać, aż się wprowadzi.

*

Gałęcki wyszedł mi na spotkanie, jak tylko mnie zobaczył.

– Wyobraźcie sobie, panie Pawle, chyba sam Pan Bóg myśl wam podsunął, żeby o tym mieszkaniu mi powiedzieć. Otóż wczoraj gospodarz domu na Krzywym Kole, gdzie mieszkaliśmy, przyszedł oznajmić, że od listopada czynsz mi podnosi, bo mieszkania w Warszawie w cenę poszły. Pokazałem mu grzyb na ścianie i nadgniłą deskę w podłodze on zaś na to, że mieszkanie źle użytkowałem i przez to takie jest, jak je widać. Jeśli dalej chcę tu mieszkać, muszę dołożyć jeszcze ćwierć tego, co teraz płacę, a jak nie, to daje mi tydzień, żebym sobie co innego znalazł. Ja mu na to, że nie tylko na większy czynsz się nie zgadzam, a raczej, owszem, na obniżkę liczyłem, zważając na warunki, w jakich mieszkam. Prychnął tylko, słysząc moje słowa i powiedział, że mam pamiętać, z czym do mnie przyszedł, i poszedł sobie.

A dzisiaj, jak już miałem ostatnie swoje rzeczy na wózku i poszedłem klucze oddać, zastałem tylko jego żonę. Jak powiedziałem, z czym przychodzę, ona mi rzekła, żebym poczekał z godzinkę, jak mąż przyjdzie, to może mi nieco spuści z ceny. Ale podziękowałem, mówiąc, że skoro na mieszkania jest popyt, to rychło sobie znajdzie lokatora lepiej płacącego, a ja nie mam sumienia pozbawiać go zarobku. Dodałem jeszcze, że sprzęty, co je zostawiam, mogą sobie wziąć. Po minie jej widziałem, że rada by wiedzieć, dokąd się przenieść, ale wyszedłem, nie czekając.

– A to naprawdę dobrze się złożyło. Czasem jak człowiek jest w największej biedzie, los mu niespodzianie pomocną rękę podaje!

– Pewno psa przyszłście nakarmić? Opiekujecie się nim?

– I psa nakarmić, i co innego jeszcze... W tym drugim mieszkaniu będę waszym sąsiadem – powiedziałem, obserwując jego zaskoczenie.

– O! To miłą niespodzianką mi zrobiliście! To może wiecie, komu będę płacił komorne?

– Mnie będziecie płacić, bo to mój dom. Kupiłem go ze wszystkim, co w nim jest i w obrębie tego płotu się znajduje.

Zauważyłem, że gdyby Gałęcki w tej chwili miał na czym usiąść, to niechybnie by usiadł, ale tylko powietrze głęboko wciągnął i zdziwione oczy na mnie ustawił.

– To po co żeście takie tajemnice przede mną z tym robili? – spytał wreszcie, gdy już doszedł do siebie.

– Najpierw nie wiedziałem, że ten dom jest na sprzedaż, a jak wreszcie kupiłem, to pomyślałem, że lokator jest mi pilnie potrzebny. Bo jak do pracy pójdę, cały dzień mnie nie będzie i musiałbym zostawić dom pusty, a ktoś ciekawy, widząc, że nikogo w nim nie ma, mógłby się sam w gości zaprosić i podzielić się ze mną tym, co nie jego. A jeśli już potrzebuję lokatora, czemu szukać obcego mi człowieka, skoro blisko mam kogoś, co jest w potrzebie, a znam go jako porządnego człowieka? Skorzystałem z okazji, a że obaj z tego pożytek mamy, tym lepiej, bo zły sąsiad bywa gorszy od Tatarzyna, a dobry – będzie pomocą w potrzebie.

Już w sieni kończyliśmy tę rozmowę. Pani Anna przez drzwi wyjrzała, zapewne ciekawa, co tu robię, a za jej spódnicą trzy główki dzieci się pokazały. Pan Kazimierz

wyjaśnił, ktom jest w tym domu, na co ona ręce złożyła jak do modlitwy i oczy do góry podniosła.

– Łaska Boska nam waszmości zesłała! – zawołała gorąco. – Bo tam, gdzieśmy do tej pory byli, to ani żyć, ani umierać! Ale prosimy zajrzeć do nas, zobaczyć, jak się urządzamy.

Wszedłem, zdejmując czapkę, i rozejrzałem się po pokoju oświetlonym świecą stojącą na stole pod oknem, bo już wieczór zaczynał się robić.

– Ale siadajcie, panie! Co tak mamy stać? O paru sprawach trzeba nam porozmawiać. Skoro gospodarzem jesteście, to kiedy wam należy się płacić?

– Umówimy się, że do piętnastego dnia każdego miesiąca. – Popatrzyłem na dzieci. – Ładne dzieci macie, jeno jakieś blade na twarzyczkach; widać, że słońce mało ich oglądało. Ale teraz to będą mogły się wybiegać. Jak się nazywają?

– Dziewuszka to Anielka, starszy chłopiec Piotrek, a ten drugi to Maciuś.

Wyciągnąłem rękę do dzieci.

– To poznajmy się, już wiem, jak się nazywacie, ja jestem Paweł, a jak chcecie, mogę być waszym wujem i tak możecie do mnie mówić. I co, podoba wam się tutaj?

– Ja bym chciał zobaczyć, jak się psu jeść daje – wyrwał się Piotrek, a pozostałe dzieci zawołały, że one też.

– Jak mu będę dawał, to was zaproszę, a nazywa się on Murek. Zaś wy, pani, jak się czujecie? Wprawdzie jeszcze za krótko, żeby lekarstwo poskutkowało, ale zapytać można.

– Słaba jestem, często muszę odpoczywać, ale teraz wierzę, że ku lepszemu będzie szło. A już myślałam, że dzieci przyjdzie mi opuścić...

– No, jeszcze wnuków się doczekacie! – zawołałem żywo. – Wiem, że macie dobrego męża, a to najlepsza rodziny podpora. Chodźmy do szopy po drewno, panie Kazimierzu. Jutro niedziela, będzie się można polenić, a to najlepiej robić w cieple. Wyszliśmy, witani szczekaniem Murka.

– Umówmy się – powiedziałem – że jak komuś z nas szopa będzie potrzebna, to moja część będzie na lewo, a wasza na prawo od drzwi. A wygodkę widzieliście? Jeszcze daszek nad studnią będzie zrobiony i wiata przy szopie, gdzie będzie można drewno na powietrzu rąbać i piłować albo coś przed deszczem schować. Nocą na dwór lepiej nie wychodzić, dopóki z psem się nie poznajomicie, bo po obejściu będzie biegał.

W szopie było ciemno, wzięliśmy więc tylko tyle drewna, żeby do jutra starczyło. Jak już miskę psu przygotowałem, zastukałem do sąsiadów i dzieci zaraz wybiegły.

– A ja mogę mu miskę podać? – zapytał Piotrek.

– Dzisiaj nie, dopiero jak cię pozna. Jutro wszystkich was mu pokażę i powiem, że jesteście tutaj swoi i u siebie. Pies jest stróżem i musi wiedzieć, kto swój, kto obcy. Wczorajszej nocy szczekaniem powiadomił mnie, że ktoś stoi u furtki, więc mogłem wyjść i zobaczyć, kto przyszedł.

Pies zjadł i ku uciesze dzieci wylizał miskę, wreszcie usiadł przede mną. Pogłaskałem go i potargałem za uszy, na co odpowiedział gwałtownym machaniem ogona. Zobaczyłem, że oboje Gałęccy stoją na progu.

– Pies w nocy będzie biegał po podwórku – przypomniałem. – Dobrej nocy i miłych

snów wszystkim życzę.

– Waszmości tego samego życzymy...

Teraz nie jestem już sam jeden w pustym domu, a sama świadomość tego jest pewną pociechą. Zapaliłem świecę, a jak w piecu rozpalałem, pomyślałem, czy kiedykolwiek w zimie będzie u mnie ciepło, skoro mieszkanie ogrzać będę mógł dopiero, jak z pracy wrócę. A zanim się ogrzeje – już pod pierzynę się schowam, gdzie i tak chłodu nie poczuję.

*

Na Nowym Mieście dniem targowym jest poniedziałek, będzie okazja puste półki uzupełnić. Wielu rzeczy mi brakuje: mydła, świec, mąki, antałek miodu też by nie zawadził i wino by się przydało, bo skoro jestem gospodarzem na swoim, to i goście mogą się trafić, a wtedy samym dobrym słowem ich nie poczęstuję. Co jeszcze się przyda? Poszwy na pościel trzeba przejrzeć, czy te, co mam, na obleczenie do nowej pościeli będą pasować, dowiedzieć się, kto w najbliższej okolicy praniem się zajmuje. Sporo tego, ale pomału wszystko się uładzi.

Dorzuciłem drewno do ognia. Ogniu niejedno znaczenie można przypisać. Od dawna jednoczył ludzi, gromadził ich wokół siebie, zapewniał im światło, ciepło, bezpieczeństwo, umożliwiał przyrządzanie strawy. Ma też znaczenia symboliczne: ogień zapędu, jakim serca ludzi do wielkich czynów napędza, czasem jest światełkiem nadziei w ciemnościach zwątpienia drogę wskazującym, a też bywa nazywany słomianym, jeśli wytrwałości mu zabraknie i w popiół się obróci, zanim spełni to, do czego rozpalony został...

*

Nocą różne myśli nas nachodzą, co czasem na błędne drogi prowadzą, a jeśli wtedy zbudzi się wyobraźnia, inny wymiar myślom nadaje i nie rozum nią, ale ona rozumem zawładnie. Jest ona wtedy jak bębenek, w który pałeczka myśli naszej uderza; jeszcze jedno uderzenie nie przebrzmiało, a już nowe echo w głowie się budzi i wizerunki imaginacji przed oczy stawia, przed którymi ani uciec, ani się bronić. Próżno sobie wtedy dowodzić, że to jeno rojenia są, nijak się do rzeczywistości mające, co pokazują to, czego nie ma, bo w głowie nam utkwilo, że jednak mogłoby tak być.

W nocy wyobraźnia takie sprawy powiększa i ciemno się je widzi.

Noc nie przyniosła mi odpoczynku; jak rano wstawałem, byłem bardziej zmęczony niż wczoraj, spać się kładąc. Wyjrzawszy przez okno, zobaczyłem, jak Murek wesoło gonił za wronami, strasząc je, gdy na płocie przysiadły. Ranek był prawdziwie jesienny. Od Wisły ciągnęły mgły, zaciągające świat wilgotną zasłoną i zniechęcające do wyjścia za próg. Para wron siedzących na płocie swoją barwą zdawała się podkreślać szarość poranka.

Trudno było określić, która może być godzina, bo na niebie zasnutym niskimi chmurami nie było widać słońca, ale szarość dnia z niedawną ciemnością nocy porównując, można było wnioskować, że już czas się wybierać do kościoła. Przyszło mi na myśl, że powinienem mieć w domu zegar, skoro mam środki po temu; chociaż rzecz jasna nie zaraz taki jak ten, com go widział na Zamku w królewskiej komnacie. Byle godzinę potrafił pokazać, to i dobrze będzie.

Uwiązałem psa i dałem mu jeść, i sam na chybicka coś na ząb chapnąłem.

Idąc, nadstawiłem ucha, czy gdzieś ludzi nie posłyszę, ale mgła wszelkie odgłosy przytłumiała. Zanim doszedłem do kościoła na Nowym Mieście, na ołtarzu już świece się paliły, a ksiądz z dwoma klerykami już mszę zdążył rozpocząć.

Chociaż Bóg wszędzie jest obecny, a kościół to zawsze kościół, to nie każdemu wszędzie jednako się podoba, a ja już św. Annę przed Bramą Krakowską szczególnie sobie upodobałem.

W świątyni było dzisiaj sporo narodu, bo prócz miejscowych również i ludzie z okolicy, co przyjechali na jutrzejszy dzień targowy. W strojach też było widać dużą różnorodność. Pośród pospolicie ubranych wyróżniali się bogaci mieszczenie i szlachta, która trzymała się raczej osobno, jakby nawet wobec Boga chcąc się wyróżnić.

Po przekroczeniu progów świątyni człowiek wkracza jakby w inny świat, różny od tego, jaki za sobą zostawił jakby z butów strząśnięty, i wtapia się w ten, gdzie przeżycie duchowe dominuje nad doczesnością. Wtedy nasze myśli i modlitwy łączą się z innymi i razem zdają się unosić ku świętym, co patrzą na nas z chorągwi, obrazów i posągów, jakby pytali: „Po co tu przyszedłeś? Z potrzeby duszy czy po to jeno, żeby widziano cię, żeś przyszedł?”. A kiedy mury kościoła zadrżą od chóralnego śpiewu, poczujesz, że i twoja modlitwa z innymi się łącząc, ku niebu ulatuje, bo śpiew w takiej chwili także jest modlitwą.

Ładnie się prezentowała stojąca w ordynku straż pożarna, która powstała tu jeszcze w 1548 roku z inicjatywy królowej Bony i niejedną raz miała okazję pokazać swoją przydatność. Później ksiądz ogłosił zapowiedź małżeńską dwóch par, a też oznajmił, że tej nocy okradziono skarbone kościelną, gdzie wierni datki składali. I grzmiał na świętokradców, że jak schwytani zostaną, to kat im prawe garści odrąbie, a ich dusze w piekielnym ogniu smażyć się będą.

W kazaniu ksiądz nawiązał do św. Marcina, bo dziś jest 24 października, dzień jego imienia, podając go za przykład miłości bliźniego. A miłosierny był ten święty, bo w czasie srogiej zimy każdemu biedakowi co go na drodze spotkał, pół swojego płaszcza

oddawał, żeby nie zmarł. Ledwo pomyślałem, dlaczego pół, a nie cały, już to ksiądz wyjaśnił.

Oto Marcin, zanim dostąpił zaszczytu przyjęcia w poczet świętych, był rzymskim żołnierzem i płaszcz nie jego był, jeno wojskowy. A z woli Boga ten płaszcz miał taką cudowną właściwość, że połowa z niego oddarta, zaraz nazad odrastała, aby więcej biedaków mógł poratować, a samemu też zimna nie zaznać, i w dodatku jeszcze cesarza mienia jego nie pozbawiać. Pomyślałem, że w tym jest racja: bo jakby cały płaszcz komuś dał, to jednego tylko mógłby poratować, a wtedy może sam by zmarł, zachorował, umarł i świętego byśmy nie mieli.

A z tych słów księdza można taki morał wyciągnąć, że bliźnim trzeba pomagać i przed Bogiem z tego mieć zasługę, ale jak św. Marcin, żeby przy tym nie doznać własnej szkody na mieniu. A skoro już o miłosierdziu ksiądz zaczął mówić, to zamiast złodzieja w czambuł potępiać, katem i piekłem go straszyć, powinien pomyśleć, czy nie bieda do tego czynu go popchnęła, bo może na swoje robaczki nie mógł patrzeć, jak z głodu płaczą.

Wychodząc z kościoła, natknąłem się na pana Gałęckiego, który też ze starszym synkiem był na nabożeństwie, więc razem wracaliśmy, rozmawiając po drodze. Powiedział, że spotkał Stanisława Perkusa i ten złożył nam propozycję współpracy. Otóż on zatrudnia zdolnego pozłotnika ksiąg, który mógłby też dla nas pracować, ma wszystkie potrzebne materiały i narzędzia, a także biegły jest w swojej sztuce.

Odrzekłem, że naprzód trzeba zobaczyć, co ten człowiek potrafi, a po wtóre, że znam tego Perkusa i jest jak zły pieniądz, a jeśli nam usługi swoje oferuje, to raczej o własnej, nie o wspólnej korzyści myśli. Dodałem też, że w takiej współpracy nie powinniśmy z nim się wiązać.

Powiedziałem też, że wczoraj niektóre rzeczy na Kozłą przeniósł, bo sprzęty od stolarza przywiozłem, więc od jutra możemy tam robić. Ucieszył się i zdziwił, że tak prędko to wszystko załatwiłem, i tak doszliśmy do domu.

Deszczu, co od rana w powietrzu wisiał, nie było, więc zaproponowałem, żebyśmy wszyscy razem przeszli się kawalek, żeby z okolicą się zapoznać. Wkrótce więc spotkaliśmy się przy furtce, a Murka, ku uciesze dzieci, na sznurek wzięłem i poszliśmy ścieżką w dół, ku Wiśle. Ale prędko wróciliśmy, bo tam było takie błoto, że buty w nim można było pogubić. A to dlatego, że od Nowego Miasta teren ku Wiśle pochyło opada i woda w nierównościach na dole się zbierała, zanim ku rzece spłynęła.

Jak już byliśmy blisko domu, wspomniałem, że chcę zrobić przyjęcie na osiedliny, a ich też zapraszam. Parę osób z moich znajomych przyjdzie i ksiądz jeden, mój przyjaciel, co mieszkanie mi obiecał poświęcić, bo nie wiadomo, jakiej wiary był ten, co mi dom sprzedał. Na to pani Gałęcka zaraz się żywo odezwała, że oni też chcieliby prosić o poświęcenie mieszkania, a także włączyć się do przygotowań, jako nowi mieszkańcy. I zapytała, o jakim terminie myślę.

Powiedziałem, że sam się nad tym zastanawiam i że pani Józefowa obiecała mi pomoc, na co pani Gałęcka oznajmiła, że chce się do tego dołączyć i przyjdzie do nas do warsztatu, pozna się z naszą gospodynią i obie omówią, co i jak ma być zrobione. I tak doszliśmy do domu.

Zapytałem pana Kazimierza, czy umie grać w szachy. Powiedział, że ktoś mu

kiedyś pokazywał, jak się różne figury nazywają, ale już zapomniał, więc go zaprosiłem, żeby po obiedzie przyszedł do mnie, to sobie razem przypomnimy.

Korzystając z okazji, chciałem wszystkich z Murkiem poznać, żeby komuś nie zrobił przykrości, jak będzie biegał po podwórku. Trzymając go za obrozę, poleciłem go głaskać i przemawiać do niego, żeby się z głosem oswoił, a sam też mu powiedziałem parę słów, że ci, co ich tu widzi, to swoi, co mogą tu przebywać. Nie wiem, ile z tego zrozumiał, ale pomachał ogonem i szczeknął. Potem rozeszliśmy się, każdy do siebie.

Dołożyłem do pieca, gdzie już węgle dogasały, a jak się dobrze rozpałiło, udałem się do gospody na Przyryнку zjeść coś ciepłego. Później Zakroczymską pomału doszedłem do miejsca, gdzie rzeczka Drna w poprzek ulicy płynęła ku Wiśle. Królowa Bona podobno kiedyś folusz czy jakieś młyny kazała na niej postawić, żeby ludzie mieli z tego pożytek i zajęcie, ale teraz tam niewielka struga jeno została, bo jak w okolicy zaczęto domy stawiać i studnie kopać, to wody, co dotychczas wierzchem płynęły, zaczęły zanikać.

Cokolwiek by o tej królowej mówić, to nie da się zaprzeczyć, że gospodarskie oko i rękę miała. Gdzie się znalazła – w Polsce na Litwie, w Warszawie czy Jazdowie – wszędzie jakieś ślady po niej pozostały: młyny, folusze, ogrody czy folwarki dochód przynoszące. Dużo dobrego dla Polski mogłaby zrobić, gdyby syn więcej słuchał jej niż swoich doradców, aż wreszcie zniechęcona wyniosła się do swojego kraju, gdzie też żywota dokończyła, mówią, że podobno otruta przez Habsburgów, swoich przeciwników politycznych.

*

Raźniej się czułem, wiedząc, że już nie jestem sam w pustym domu. Sama bowiem świadomość, że otacza mnie pustka, a do ludzi daleko, była tym dotkliwsza, im częściej wracałem do niej myślą.

Jak Gałęcki zapukał, za oknem było już ciemno, a ja, siedząc przed otwartymi drzwiczkami pieca, patrzyłem na ogień mający dziwną moc przyciągania ku sobie. Zapaliłem świecę i wysypałem na stół figury szachów. Gałęcki naśladował mnie, a gdyśmy rozdzielali to drewniane wojsko, stawiali je w ordynku na białych i czarnych polach szachownicy, objaśniałem nazwy i znaczenie poszczególnych figur.

– Wieże stoją w rogach, jak baszty fortecy, której mają bronić. Koń, jak wiadomo, lubi skakać, więc spośród wszystkich figur on jeden ma przywilej przeskakiwania przez przeszkody. A robi to tak zygzakami: jedno pole w bok albo prosto i jedno na skos. A wieże, ponieważ są ciężkie, poruszają się po prostych drogach, naprzód, w tył albo na boki, i tylko wtedy, kiedy mają wolną drogę.

Królowa albo hetman, bo różnie to nazywają, wszystkiego musi dopatrzeć, więc chodzi gdzie i jak chce: prosto, w bok albo na skos, do przodu i tyłu, ale – w przeciwieństwie do konia – niczego nie może przeskakiwać. A goniec jest jak harcownik i po całej szachownicy może się rozpędzić, ale tylko na skos, jak zobaczy, że ma przed sobą wolną drogę i może dopaść przeciwnika.

Najważniejszą tutaj osobą jest król, szachem się go nazywa, a całe jego wojsko ma obowiązek go osłaniać i bronić. A przeciwnik, jak go dopadnie i śmiercią może mu

zagrozić, ma obowiązek powiedzieć: „Szach!”. To znaczy: uważaj, królu, zasłoń się albo uciekaj, bo inaczej będzie mat i bitwę przegrasz! W pierwszej linii stoją pieszki, czyli piesze wojsko albo pionki i jak to bywa na prawdziwej wojnie, one najpierwszy impet przeciwnika biorą na siebie.

Jak już wszystko ustawiliśmy na właściwych miejscach, wykonałem pierwszy ruch i pokazałem, jak się zbija figury przeciwnika.

– A jeśli spostrzegę, że coś źle przesunął, czy mogę to nazad cofnąć?

– Umówmy się, że możecie, ale na razie jeno na próbę, póki nie rozegramy dwóch, trzech partii, żebyście się wprawili i zorientowali, co można, a czego nie. Bo zasada jest taka, jak na prawdziwej wojnie: zrobiłeś fałszywy ruch, to sam szkodę ponosisz, której nie odrobisz. I wyjaśniłem, że trzeba jakby wejść w głowę adwersarza i wyobrazić sobie, co on myśli, jaka będzie jego reakcja na mój ruch i jak z kolei ja będę mógł na to odpowiedzieć. I tak grając i rozmawiając, dwie partie dla nauki rozegraliśmy, obiecując sobie, że następnym razem zagramy na ostro.

– A wiecie – rzekłem – szachy to bardzo stara gra. Ze wschodu pochodzi, z Indii albo Persji po świecie się rozniosła. Król pewien, chcąc wynagrodzić wynalazcę tej gry, zapytał go, jakiej nagrody sobie za nią życzy, a ten tak mu odpowiedział: „Królu, połóż na pierwszym polu szachownicy jedno ziarenko zboża, na drugim dwa, na trzecim cztery i tak dalej, na każdym następnym polu kładź dwa razy więcej niż na poprzednim. Jeśli zdołasz tego dokonać, to będzie moim wynagrodzeniem, a jeśli nie zdołasz, to znaczy, że gra moja większą wartość posiada niż to zboże, którego nie potrafiłeś mi dać”.

Król się zdziwił, że wynalazca wyraził takie skromne życzenie, jakby nie był pewien, że władca wielkiego i potężnego kraju posiada środki do zaspokojenia mizernego, jak mniemał, życzenia i polecił je spełnić. I co się okazało? Oto plonów z całego państwa nie starczyło, żeby wszystkie pola szachownicy tyle ziaren otrzymały, ile warunek wynalazcy przewidywał. Bo najpierw te ziarna liczono, później kubkami odmierzano, wreszcie wiadrami w końcu na worki zaczęto liczyć, później już nie było co liczyć, bo w państwie zboża zabrakło, a na szachownicy jeszcze wolne miejsca zostały. Nie wiem, jak się ta historia skończyła. Może wcale końca nie miała i nie musiała mieć, a wymyślona została, żeby ludzi zabawić?

– Bo i trudno w to uwierzyć – rzekł Gałęcki, kręcąc głową i spoglądając na szachownicę. – To ja też dla rozrywki spróbuję to policzyć, bom ciekawy, czego się doliczę.

– Ja już próbowałem, ale spróbujcie i wy, a jak skończycie, powiedzcie, ile wam wyszło, bo ja się w tym pogubiłem...

– Spróbuję. No, pójdę już, dobranoc...

*

Myślę, że człowiek ciężko przez los doświadczony jest nieufny jak pies, co niczego prócz biedy w życiu nie zaznał i już wie, że jak ktoś jedną ręką chleb podaje, na drugą patrzeć mu trzeba, czy kamienia w niej nie trzyma. I czasu potrzebuje, aby uwierzyć, że odtąd będzie miał pełną miskę, bo znalazł swoje miejsce w życiu.

Świeca dawno się dopaliła, a ja leżałem i patrzyłem w sufit. Nocą łatwiej uwierzyć

w to, co za dnia niewiarygodnym się wydawało, ale też myślom w ciemności łatwiej drogę zgubić, każąc coś wymyślonego uważać za rzeczywistość.

Można przyjąć, że na osobowość człowieka składają się jakby dwa światy: zewnętrzny, w którym żyjemy, i wewnętrzny, żyjący w nas, w naszym umyśle. Ten pierwszy uzewnętrznia się w dążeniu do tego, co może oferować świat: do bogactwa, zaszczytów, władzy, sławy honorów i dostojęństw. Drugi – daje impuls twórczym myślom wyłonionym z otaczających go zjawisk, własnego postrzegania świata i wyciąganiu wniosków, chociaż nie zawsze słusznych, ale zawsze ku czemuś wiodących. To właśnie ten wewnętrzny świat sprawia, że są te najważniejsze różnice między ludźmi, bo, na przykład, kiedy dziad i Kopernik patrzą na gwiazdy, widzą to samo, ale nie tak samo.

Wierzę, że człowiekowi może się ukazać duch z tamtego świata, żeby go przed czymś przestrzec, o czymś powiadomić, coś mu przypomnieć albo go zgoła nastraszyć. Ale senne marzenia nie rodzą się same z siebie. Nie można wyśnić czegoś, o czym nigdy nie wiedzieliśmy, czegośmy nie słyszeli albo nie widzieli. Czy, na przykład, starożytny Greczyn albo Rzymianin mogli we śnie zobaczyć armatę albo rusznicę?

Jak się zacząłem zastanawiać, kto ma przyjść na osiedliny, okazało się, że w sobotę i niedzielę wszyscy zajęci będą przygotowaniami do zbliżającego się dnia Wszystkich Świętych i Zaduszek, o czym całkiem zapomniałem, bo – chwała Bogu – nikogo z najbliższych jeszcze na warszawskim cmentarzu nie mam. Jeno w Krakowie dziadków, których nie pamiętam, bo pomarli, kiedym był jeszcze dzieckiem.

Idąc drogą życia, nie zawsze pamiętamy, co na jej końcu każdego z nas czeka, że jak wrota śmierci raz się za kimś zatrzasną, to na żadne prośby już się nie otworzą. A jeśli zajdziemy na cmentarz, to błędząc pośród grobów, najdobitniej uświadomimy sobie, czym jesteśmy i dokąd podążamy. Wtedy czasem budzi się w nas niepokój: czy taki kopczyk z krzyżem to będzie wszystko, co po sobie zostawimy?

Czy wystarczy postawić kamienny grobowiec z wykutym na nim imieniem, żeby wieki przetrwał i pokazywał... ale co? Że ktoś taki oto był, żył, jakiś czas błąkał się po tym świecie i przestał być, a teraz tylko ten kamień świadczy o jego niegdysiejszym istnieniu? Biedny ten, po kim pamięć nie w ludziach przetrwa, jeno w postaci kamienia na zapomnianym, opuszczonym grobie...

*

Ale cóż, pamięć o zmarłych sobie, a życie sobie. Panie Gałęcka i Józefowa uznały, że przyjęcie najlepiej będzie urządzić w sobotę po południu, na co się wszyscy zainteresowani zgodzili, ale zanim się wszystko uładziło jak trzeba, najpierw musiałem się nachodzić od jednego do drugiego.

Łukasza zastałem w jego pokoiku przy kościele św. Anny, a gdyśmy już porozmawiali o sobotnim spotkaniu u mnie, zapytał, czy pieniądze mam jeszcze w kasie na Zamku.

– Radziłbym zabrać wszystko, co tam masz, i w domu przechować, bo teraz król z okazji połączenia Polski z Litwą może mieć duże wydatki, więc przykra niespodzianka mogłaby cię spotkać, gdybyś, mając w planie większe zakupy, w kasie pustki zastał.

– To pieniądze mogą przepaść?

– Przepaść, to nie przepadną, bo masz na nie asygnatę, ale mogłaby wystąpić zwłoka w wypłacie i może wtedy, gdybyś jej pilnie potrzebował.

– A ty kiedy swoją część chcesz otrzymać?

– Jak będę do Ziemi Świętej jechał, na wiosnę może, to się do ciebie zgłoszę. To ile tego było, bo już nie pamiętam?

– Wszystkiego dwa tysiące siedemset osiemdziesiąt dukatów, z czego tobie przypada połowa.

– Ładny grosz. Dla takich chudopachołków jak my to majątek, a wielmoże, jak Radziwiłłowie, Zbarscy czy Zamojscy, sumę taką na byle zachciankę lekką ręką puszcza i nie spostrzegają się nawet, że coś im w kiesie ubyło... Co teraz będziesz robił?

– Niewiasty co mi pomagają, życzą sobie, żebym kupił na targu, co mi kazały, bo dzisiaj chcą zacząć gotować bigos. Do tego jeszcze dojdzie antałek piwa i wino do

kompletu, a co jeszcze, to się okaże. A ty, czy ciągle o swoim rabinie myślisz? Daj sobie już spokój!

– O tym jeszcze porozmawiamy, jak po Wszystkich Świętych do ciebie się wybiorę. A co do soboty, to przyjdę przed wieczorem.

– No, to pójdę już, ostań z Bogiem!

*

W tym tygodniu dużośmy w warsztacie zrobili. Oddaliśmy na Zamek wszystko, cośmy mieli w robocie, i wybrałem do oprawy kolejną partię książek. Także z miasta od mieszczan dostaliśmy kilkanaście książek do oprawy. Mszał, pięknie wykończony, czekał, żeby ktoś po niego przyjechał. Książki pana doktora Oczki też lada dzień będą gotowe, a na razie, już uszyte, czekają na swoją kolej.

Od Łukasza najpierw poszedłem do pana Sylwestra; prosił on, żebym jedną półkę przejrzał, gdzie w tyle za ustawionymi na przedzie książkami jakieś inne się chowały, ale wstąpiłem tylko powiedzieć, że na drugi raz to muszę odłożyć, bo teraz różne sprawy mam na głowie. Przy okazji zaprosiłem go na osiedliny, ale się wymówił, że ma chore nogi i serce trochę dokucza. Pan doktor Oczko przyjedzie z Krakowa nie wcześniej jak za dwa tygodnie, a do innych lekarzy nie chce chodzić, bo za skorzy są do krwi puszczenia i przystawiania pijawek, a ich dryjakwie, zanim sercu i nogom pomogą, skorzej żołądek i wątrobę popsowają.

Trzeba też wspomnieć, że wczoraj pan Perkus przyszedł zaoferować nam usługi swojego pracownika. Przyniósł do okazania książkę przez niego zdobioną, żebyśmy mogli ocenić robotę. Owszem, wszystko było jak należy: litery na grzbiecie i okładce ładnie i równo tłoczone, a zdobienia nie było za wiele, tyle ile trzeba, żeby książka nie miała powodu do przesadnego chwalenia się okładką. Obejrzeliśmy ją dokładnie ze wszystkich stron, a jeśli uwagę jakąś można było zrobić to jeno tę, że było widać rękę dobrego złotnika. Powiedziałem to, a Gałęcki to samo stwierdził.

– No to co? Dojdziemy do porozumienia? – zapytał zadowolony Perkus.

Spojrzałem na Gałęckiego. Skinął głową i rzekł, że jego zdaniem, jeśli cena nie będzie wygórowana, a robota równie dobra jak ta, co ją tu widzimy, możemy się umówić. Cenę będziemy uzgadniać każdorazowo, w zależności od tego, ile będzie roboty.

– Dobrze więc, żeśmy się dogadali – uśmiechnął się Perkus.

Powiedziałem, że dopiero co oddaliśmy oprowione książki, więc musi zaczekać, aż skończymy następne, które dopiero zaczęliśmy robić.

Perkus pożegnał się i wyszedł.

– No, więc co o tym wszystkim myślicie? – zapytał Gałęcki?

– Cóż, jeśli współpraca dobrze się ułoży, to będzie dobrze. Ale czasu potrzeba, żeby zaufać temu człowiekowi. Miałem z nim przeprawę w obecności pana Sylwestra i królewskiej siostry, kiedy na ich życzenie oceniłem jego robotę, a nie była to dla niego opinia pochlebna. W złości się ze mną rozstał i nie wiem, czy dotąd urazy nie chowa. Nie chciałbym go krzywdzić, bo raz go tylko widziałem, a żeby człowieka poznać, trzeba z nim beczkę soli zjeść.

*

Ręczne złocenie oprawy płatkami złota nie jest prostą sprawą. Pomijając już to, że wymaga spokoju, szczególnej dokładności i czystości, to jeszcze trzeba mieć doświadczenie i wprawę, które to zalety jeno długą praktyką można osiągnąć. Jeśli złocimy ozdobę o skomplikowanym wzorze, to trzeba się namozolić, żeby ją ładnie zrobić.

Najpierw tłoczy się gorącym stemplem na sucho wzór, potem gruntowany spoiwem, którego zadaniem jest złączenie złota ze skórą. Głównym składnikiem tego spoiwa jest kurze białko z paroma dodatkami w odpowiedniej proporcji, a których skład każdy pozłotnik woli zachować na własny użytek. Potem akuratnie trafiamy w uprzednio zagruntowane to samo miejsce, tym samym gorącym stemplem wciskając w nie złoto.

Skóry też bywają różne: mniej lub więcej tłuste, ścisłe, luźne, twardsze albo miększe i tylko na podstawie doświadczenia można ocenić, do jakiej skóry jaki dobrać grunt. Trzeba się na tym znać, a do każdej podchodzić z taką samą uwagą i starannością, bo jedna skóra nie zawsze jest równa drugiej. A też źle jest, jak ktoś, mając już dużą praktykę, utwierdza się w przekonaniu o swej doskonałości, bo wtedy najłatwiej coś zepsuć.

Gałęcki wyszedł wcześniej, a ja zostałem, żeby dopilnować Janka, kończącego podcinanie skóry. Zdało mi się, że myśli o czymś, i zapytałem o czym.

– Bo to, proszę pana majstra, na Krzywym Kole taki jeden popił sobie i nabrawszy za dużo animuszu, zeszedł do podziemi, żeby Bazyliszka na postronek wziąć i na słońce wyciągnąć. I dwa dni go nie było.

– Jak to nie było?

– No, na dwa dni przepadł na amen. Chcieli księdza z kropidłem tam wyprawić, ale on pewno też się bał, bo powiedział, że Bazyliszek nie jest złym duchem, jeno potworem, i woda świecona tu nie wskóra. I co się dzieje? Trzeciego dnia ten zaginiony wylazł z piwnic z potłuczoną głową i rozumem omal pomieszany ze strachu.

*

O Bazyliszku już słyszałem, że gdzieś tam w piwnicach, w okolicy Kamiennych Schodków się chowa. Ponoć z jaja zniesionego przez koguta się lęgnie, a jego wzrok ma taką właściwość, że w kamień się przemienia każdy, komu on w oczy spojrzy. Różne są dziwy na tym świecie: Kraków ma swego smoka, a Warszawa Bazyliszka.

Rozumiem, że samym swoim widokiem można kogoś onieśmielić, bo gdym króla Augusta obaczył wtedy, jak na Zamek mnie wezwano, tom jak słup stanął, ruszyć się nie mogąc. Ale żeby żywe stworzenie samym spojrzeniem w kamień obrócić, to nie wierzę, bo to jest sprzeczne z rozumem. Zarówno mądrość, jak i głupota są sposobami na używanie umysłu, a w zależności od tego, które z nich przeważa, coś przyjmujemy albo odrzucamy jako wątpliwe. A wierzyć można tylko temu, w co nie można wątpić.

– I co? Zobaczyl Bazyliszka?

– Mówił, że widział, jak coś czarnego w kącie siedzi i świecące ślepie w niego wlepia i już poczuł, że nogi mu drętwieją, ale w porę odwrócił się plecami do tego stwora i zaczął odmawiać litanie do Wszystkich Świętych, a wtedy odrętwienie zaczęło z niego

schodzić.

– To jakoś długo tę litanie odmawiał...

– E, pan majster żarty sobie stroi, ale ja teraz, szczególnie wieczorem, wolę omijać Krzywe Koło i Kamienne Schodki. No, skończyłem! – Odsapnął i odstąpił od stołu, żebym mógł jego robotę ocenić.

– Dawno jesteś u pana Gałęckiego?

– Na przyszłą Wielkanoc będzie rok.

– Więc pora, żebyś po tym czasie coś zaczął zarabiać. Pomówię o tym z panem Gałęckim. A teraz kończymy i idziemy do domu.

Poszedłem do pana Jabłuszkiewicza porozmawiać o obrączkach i poradzić się, co jeszcze mógłbym przyszłej małżonce ofiarować. Zauważyłem zegar wiszący na ścianie i zapytałem, gdzie taki można kupić.

– Na ulicy Rycerskiej, niedaleko domu kata, zegarmistrz niedawno przybyły z Niderlandów zakład otworzył. Tam waszmość pytaj.

W murach Starego Miasta wszędzie jest blisko, więc skoro już od dawna myślałem o zegarze, zaraz poszedłem onego mistrza szukać, żeby to wreszcie mieć z głowy.

Spodziewałem się usłyszeć obcą mowę, nawet głowiłem się, jak się z nim dogadam, ale okazało się, że taki sam z niego Holender, jak ze mnie. Powiedział, że niektóre mechanizmy w paru wielkościach sprowadza z Niemiec, a resztę sam na miejscu dorabia.

Myślałem, że po zegar idzie się jak po czapkę, ale jak zaczął pokazywać, co ma, w głowie mętlik mi się zrobił i wreszcie sam nie wiedziałem, czego chcę. Bo to i cyferblaty różnej wielkości można sobie zażyczyć, a do tego jeszcze dowolnej barwy – od białej do czarnej – z białymi albo czarnymi cyframi, a i cyfry różnego wzoru – i rzymskie, i nasze – a jeszcze wskazówki proste i ozdobne. Jakby tego nie było dosyć i obudowę można było sobie wybrać: różnej formy, z drewna, i z jakiego...

A w końcu jeszcze zapytał, czy życzę sobie zegar wiszący, czy stojący. A jeśli stojący to na stole, szafie czy kominku, bo nie każdy wszędzie dobrze się prezentuje. Więc powiedziałem, że zegar ma być wiszący, z wagami, wahadłem i w drewnianej szafce, a co do reszty, to proszę o radę, bo już się w tym wszystkim pogubiłem. Więc on pytał, a ja mówiłem, potem ja pytałem, on mówił, i tak się dogadaliśmy, że szafka będzie z olchowego drzewa, zegar z dużym białym cyferblatem o czarnych dużych rzymskich cyfrach i ze wskazówkami ozdobionymi ładnym wzorkiem wyciętym na rozszerzonym środku.

Co do terminu, to dużo zależy od stolarza, co będzie robił szafkę, ale zapewnił, że w ciągu dwóch tygodni zegar będę miał w domu, i że jak będzie już zrobiony, sam go przywiezie i zawiesi, a w razie potrzeby przez rok będzie go regulował na swój koszt.

Powiedziałem, że się zgadzam, i tak dobiliśmy targu. Na zakończenie przedstawiłem się.

– Paweł Kiełsiak jestem, introligator, na Koźlej pracownię mam, a mieszkam w swoim domu niedaleko za Przyrynkiem, w stronę Rybaków.

– To imiennikami jesteśmy, bo i ja Paweł jestem, a nazywam się Pietruniewicz.

Pożegnałem się i wyszedłem zadowolony. Zegar, chociaż martwy, to jednak jakoś

ożywia mieszkanie, gdy widzimy, że wskazówki niedawno gdzie indziej były, niż są teraz.

Zegar to dobra rzecz. Tak jak wiem, ile mi brzęczy w sakiewce, tak zegar mając, mogę wiedzieć, ile mi czasu na coś albo do czegoś zostało. Z tą jednak różnicą, że pieniądze mogę odłożyć i nie pozbywać się ich, aż mi będą potrzebne, a z czasem tego zrobić się nie da, bo ucieknie. Pieniądze można mieć w zapasie, a czas? Nie można go zatrzymać, zatrzymując wskazówki zegara.

Poszedłem do kołodzieja zapytać o wózek, a później do bednarza dowiedzieć się o dzieżę do ciasta. W obu miejscach dowiedziałem się, że jeszcze parę dni muszę poczekać. Jeśli o czekaniu mowa – to jeszcze i na pieniądze z kasy, i na zegar, później na obrączki i na ślub. Można powiedzieć, że całe nasze życie polega na czekaniu na coś, póki nie doczekamy się krzyżyka na grobie. Wtedy już na nic nie będziemy musieli czekać, chociaż czasu będzie aż nadto.

U bednarzów trochę zabawiłem. Upewniwszy się, że w piątek do mnie przyjdą, wyszedłem na ulicę i poszedłem w swoją stronę. Zimny wiatr zacinał, marszczył wodę na kałużach i jak śladami ospy znaczył je kroplami deszczu.

Deszcz nazywają łzami niebios. Niebo wylewa je na ziemię z powodu naszych grzechów i nieprawości i tylko Bóg wie, ile ich jeszcze wyleje, zanim czara Jego cierpliwości się przepełni i po czasach winy nastąpi czas kary. Arystoteles podobno powiedział, że kara jest rodzajem gorzkiego lekarstwa. Jeśli to prawda, to można powiedzieć, że czasem wiele goryczy trzeba zażyć, zanim organizm się oczyści, a i tak nie wiadomo, czy wróci do poprzedniego stanu.

Gdy tak popychany wiatrem brnąłem po błocie, próbowałem myśłą wybiec w przyszłość. Kto ma za mało wiary, że zdolny jest do osiągnięcia na miarę swoich marzeń, ten nie wart sięgnąć dalej i wyżej – i po więcej.

*

Zanim doszedłem do rynku Nowego Miasta, już poczułem wilgoć za kołnierzem. Poszedłem na skos prosto do Przyryнку, zamierzając iść prosto do domu, ale gdy przechodził koło gospody, poczułem zapach jada i przypomniało mi się, że od rana nic nie jadł, więc wstąpiłem.

Za towarzysza przy stole miałem drobnego człeka w wytartym kubraku drzemiącego nad pustym kubkiem. Siadając naprzeciwko ze swoją miską, pozdrowiłem go, na co grzecznie mi odpowiedział.

– Dzień dobry, a zarazem do widzenia, czas mi zabierać się do roboty – powiedział, sięgnąwszy po worek leżący na podłodze.

– Do roboty? – zdziwiłem się. – A co zamierzacie robić w tym deszczu?

– W deszczu to niekoniecznie, ale parę domów muszę obejść. Szczurołapem jestem.

Coraz to nowych rzeczy o Warszawie się dowiaduję. Najpierw poznałem flisaka, później trudniącego się wywożeniem nieczystości, a teraz szczurołapa.

– A jak łapiecie te szczury? Po co wam one?

– Mnie one są na nic, ale z nich żyję, bo to okrutne szkodniki. W piwnicach domów zakładam druciane pułapki. W sklepach, magazynach i składach mam pułapki z beczek

tak urządzone, że jak szczur sięgnie po przynętę, to wpada do wody i topi się. Ale szczury to mądre stworzenia, jak takiemu raz się uda uratować, to drugi raz nie tylko sam nie da się nabrać, lecz jeszcze inne ostrzeże.

– I co później z nimi robicie?

– Później wszystkim obcinam ogony, bo od ogona mi płacą.

– I z tego można wyżyć? Kto wam płaci?

– A ci, co mnie wołają, jak im szczury zanadto dokuczają. Można żyć. Nie bogato, ale i nie biednie. Teraz zima idzie, szczury z pól do miasta się przenoszą, bo tu mają co jeść. Jedni swoje żniwa mają latem, a inni zimą – zaśmiał się. – No, bywajcie!

Zarzucił worek na plecy i wyszedł w deszcz. Dokończyłem swoją miskę i też wyszedłem.

Pierwszy raz usłyszałem o szczurołapach, więc idąc, myślałem, czym jeszcze Warszawa mnie zaskoczy, na jakie jeszcze dziwne zajęcia się natknę. Może kiedyś miasto latarnie na ulicach postawi i zatrudni do nich takiego, co będzie w nich świece wymieniał, zapalał i gasił, jak kościelny sługa na ołtarzu? Roześmiałem się z takiego przypuszczenia. Szkoda, że tamtego nie zapytałem, czy podjąłby się zastawić pułapkę na Bazyliszka.

Jak stanąłem przy furtce, zaraz podbiegł Murek, wesoło machając ogonem; ktoś musiał go odwiązać. Z komina unosił się dym, zaraz nisko przytłoczony mokrym, ciężkim powietrzem, przy studni stało wiadro, drzwi do sieni stały otworem, a przed progiem o ścianę opierała się miotła. Zapewne pani Gałęcka ją tam postawiła, żeby buty z błota oczyścić, zanim się wejdzie do domu. Pogłaskałem psa łaszącego się do nóg i chwilę stałem na progu. Lubię swój dom – stwierdziłem.

Lubić coś – to znaczy odpychać od siebie myśl, że można to stracić, a w porównaniu z czymś podobnym wyraźniej widzieć zalety niż wady. Lubić i kochać to uczucia podobne, ale nie tożsame. Lubi się to, co nam samym sprawia przyjemność, daje satysfakcję lub pożytek. Kochając – dążymy do zapewnienia przyjemności lub pożytku obiektowi kochania. Kochać kogoś – to starać się go uszczęśliwić. To, co sami lubimy, uszczęśliwia nas.

*

W mieszkaniu było zimno, więc przede wszystkim zakrzętnąłem się, żeby je ogrzać. Patrząc na ogień, wolno puściłem myśli, które zaczęły błądzić własnymi ścieżkami, bez ładu i składu.

Różnymi kolejami chodzi ludzkie życie. Mówi się, że człowiek jest kowalem własnego losu. Niby tak... ale trzeba mieć co kuć, wiedzieć jak, a przy tym nie myśleć, że młot jest za ciężki, bo od takiego myślenia jeszcze cięższym się stanie. Ile w życiu zależy od nas samych, a ile od szczęścia i przypadku, że w odpowiednim czasie znaleźliśmy się w odpowiednim miejscu i albo potrafilismy to wykorzystać, albo nie? Choćby wziąć, na przykład, mój przypadek.

Wszystko zaczęło się od tego, że zmuszony koniecznością odważyłem się pójść na Zamek szukać tam pracy akurat wtedy, gdy miałem sposobność przypadkiem natknąć się na niepozorną kartkę papirusu. Że dałem Łukaszowi namówić się, abyśmy pojechali śladami tego listu z przeszłości. Że nie bałem się zapuścić w podziemne czeluście, że –

także przypadkiem – natknąłem się na wiadome znalezisko, dzięki któremu stałem się posiadaczem domu, o czym nie mógłbym marzyć, gdyby w łańcuchu tych wydarzeń zabrakło choćby jednego ogniwa.

Więc co tu jest przypadkiem, co szczęściem, a co młotem, którym wykułem swój los? A trzeba jeszcze wiedzieć, że wszystko to, co doprowadziło do ostatecznego skutku, korzeniami sięga daleko w przeszłość, gdy dwaj rycerze walczyli ze sobą o złotego orła. I jeszcze dalej, gdy pojawiła się przyczyna tej walki. I jeszcze dalej, gdy zaistniała przyczyna tej przyczyny. Można powiedzieć, że przeszłość stuka do drzwi teraźniejszości, żeby wskazać ślady czegoś, jakiegoś wydarzenia, czyjegoś istnienia, o którym pamięć już dawno zagasła, jak wypalona świeca...

*

Czy można powiedzieć, że ten łańcuch przyczyn i skutków już się skończył, jeżeli nie wiemy, jakie będą dalsze losy tego złotego ptaka? Czy mamy uwierzyć, że wiecznie będzie siedział na swojej kolumnie? Przyszłość możemy wypełnić tylko wyobraźnią, ale ona, gdy chcemy sięgnąć dalej, ginie jak we mgle.

Chciałbym wiedzieć, skąd się wzięli rzymscy rycerze tak daleko od swego kraju, bo niewątpliwie była po temu jakaś ważna przyczyna. I czemu było ich tylko dwóch? A może było ich więcej, ale narażeni na niebezpieczeństwa zginęli po drodze w obcych stronach, wypełniając jakiś ważny obowiązek?

Pogrążony w tych rozważaniach nie zauważyłem, że już noc zapadła, a ja siedzę po ciemku zapatrzony w ogień i wędruję po bezdrożach myśli, na pograniczu snu i jawy...

Wkrótce po południu następnego dnia, gdyśmy już kończyli pracę, zapukano do drzwi i na progu stanął niestary jeszcze człek w krótkiej kapocie. Zdjął czapkę i uklonił się.

– Maciej Kotkowski jestem, pozłotnik. Pan Perkus już podobno o mnie mówił, więc pozwoliłem sobie osobiście pokazać się tutaj i przedstawić, żebyście waszmościowie wiedzieli, z kim będziecie mieli do czynienia.

Nie spodziewaliśmy się tej wizyty, ale na rękę nam była, bo zawsze lepiej coś uzgadniać z wykonawcą niż z pośrednikiem, więc też się przedstawiliśmy i podsunąłem przybyszowi stółek.

– Jeśli współpracować mamy – ciągnął Kotkowski, siadając – dobrze wiedzieć, jakiego rodzaju pracy mam się spodziewać i chciałbym zobaczyć parę książek, co będą przy nich robił. Czy mogę na przykład obejrzeć tę księgę?

– Prosimy – powiedział Gałęcki, podając mu już oprawiony tom doktora Oczi.

Kotkowski z uwagą zaczął go oglądać, przypatrując się grzbietowi, okładce i podwinięciom skóry. Przeciągnął dłonią po wierzchu i kilka razy otworzył ją i zamknął.

– Więc, na przykładzie tej książki, czego miałbym się podjąć?

Gałęcki na to powiedział, że wykonawcy daje wolną rękę.

– To ciemniejsze miejsce na okładce też można by wykorzystać – z namysłem powiedział Kotkowski, gładząc je ręką – więc chciałbym podsunąć pewien pomysł. Oto ponieważ książka o przyrodzie traktuje, można ją ozdobić nakładką z jaśniejszej skóry, takiej, co jest naokoło plamy. Wyobrażam tu sobie gałązkę kwiatu z kilkoma listkami.

Znam ten sposób zdobienia. Na wierzchu skóry okładki przymocowuje się, żeby się nie przesunął, kawałek skóry podobnej grubości i odmiennej barwy, z naznaczonym rysunkiem. Potem wycinamy ten rysunek ostrym nożem, tak go przyciskając, żeby obie skóry razem przeciął – tę na wierzchu i tę na spodzie.

Nóż do tego celu musi być ostry i spiczasty, a wycinając, nie pociągamy nim, jeno czubkiem noża, trzymając go pionowo, nacina się raz koło razu, uważając, żeby to wycinanie szło gładko. Potem usuwa się spodni kawałek, wklejając na jego miejsce odmiennej barwy, taki sam, co był na wierzchu. Można przy tym różne kombinacje kolorów stosować. Pięknie to wygląda, jeśli rysunek dobrze był dobrany do treści książki, a pracownik znał się na tym, co robi.

Spodobało mi się, że Kotkowski to człowiek z inicjatywą, którego nie trzeba za rękę prowadzić. Po minie Gałęckiego poznałem, że też akceptuje ten pomysł, więc skinąłem głową, że się zgadzam.

– Bardzo dobrze waszmość to sobie umyśliłeś. Ta plama powstała przy nieuważnym farbowaniu skóry i postanowiliśmy wykorzystać ją jako ozdobę. Ale jak widać tę ozdobę można zrobić jeszcze ozdobniejszą, więc zgoda. Co do tego, co ma tam być umieszczone, to dajemy waszmości wolną rękę, a jeśli chodzi o książki z zamkowej biblioteki to na zwyczajnych oprawach wystarczy sam tytuł na grzbietach... A gdzie to uczyliście się swojej specjalności?

– W paru krajach zdarzyło mi się pracować. Po wyzwolinach na czeladnika poszedłem na wędrowną. Byłem w Paryżu, Lipsku, Mediolanie, w Budzie na Węgrzech. Lata mi na tym zeszły, ale stale do Polski mnie ciągnęło. Po powrocie robiłem po trochu w Czersku, Pułtusku, trochę w Płocku, ale pracy miałem jeno tyle, żeby z głodu nie umrzeć. Dopiero tu, w Warszawie, u pana Perkusa niedawno się zaczęło i ufam, że na dłużej. Ale u niego przeważnie przy oprawie książek robię, a tłoczenia tam i zarobku przy tym niewiele.

– Zastanawiam się – rzekł Gałęcki – jak będzie się układała nasza współpraca. Komu będziemy za waszmościwą robotę płacić?

– Jestem pracownikiem pana Perkusa, więc z nim rozliczać się wypadnie, a jaką cenę poda za moją pracę, nie mnie decydować.

– Dobrze to wiedzieć. Ale chyba nie ma potrzeby naszych książek do niego nosić, a później zabierać, skoro tutaj dość jest miejsca. Możesz waszmość swoją robotę u nas zrobić, a pan Perkus później przyjdzie i obliczy się z nami.

– Mnie też by tak pasowało, zobaczymy, jak to będzie. Do widzenia waszmościom – dodał, wstając – miło było mi się poznać. To kiedy pan Perkus ma tu przyjść i terminy uzgodnić?

– Niech przyjdzie choćby jutro, to porozmawiamy.

Gdy za Kotkowskim zamknęły się drzwi, spojrzeliśmy po sobie.

– Wygląda na człeka do rzeczy – powiedziałem – szkoda, żeby marnował się u Perkusa. U nas lepiej by mu było niż u niego. – A co to się stało z Jankiem, że go dzisiaj nie ma? Nie mówił, że nie przyjdzie.

– Nie wiem, jutro zajrzę do nich, czy nie chory. No, to kończymy. Razem będziemy wracać?

– Mam jeszcze różne swoje sprawy na mieście, trochę mi przy tym zejdzie.

Po wyjściu Gałęckiego zajrzałem do pani Józefowej, żeby porozmawiać o zbliżającym się u mnie przyjęciu, ale jej nie zastałem, więc zamknąłem pracownię i wyszedłem. Pamiętając o radzie Łukasza, najpierw poszedłem na Zamek zapytać, kiedy resztę swoich pieniędzy mógłbym odebrać. Kazano mi przyjść dzień lub dwa po Wszystkich Świętych. Następnie przez Stare Miasto i Rynek Nowomiejski poszedłem do domu. Dzisiaj był dzień targowy, więc szedłem między straganami, szukając, czego potrzebowałem.

W jednym miejscu między paru sztukami różnej starzyzny zobaczyłem książkę. Mocno zniszczona, byle jak oprawiona w papierowe okładki, z pozaginanymi kartami – znać było po niej, że różne koleje losu przechodziła. Gdyby nie to, że z racji swego rzemiosła i upodobań interesuję się książkami, pewnie bym tej zniszczonej nie zauważył.

Wziąłem ją do ręki i otworzyłem okładkę. Książka, a raczej gruby zeszyt, okazała się zbiorem różnych zapisków czynionych zapewne w różnym czasie, bo nie wszędzie takim samym inkaustem. Gdzieś pismo było rozmazane, a karty potargane i pomarszczone od wilgoci. Na początku, na pierwszej karcie, przeczytałem tytuł napisany piórem tak mocno przyciskającym, że tu i ówdzie się rozczepiło, zostawiając podwójny ślad: *Rzeczy dziwne i zwyczajne, w drodze napotkane*. Popatrzyłem na tego, co tę książkę miał do sprzedania, ale na pewno nie wyglądał na osobę obracającą się wśród książek.

Był to człek drobny i mizerny, raczej na dziada proszalnego wyglądający niż na przekupnia. Spod baraniej czapy wysuwały się dawno nieobcinane włosy, łączące się z kosmatym zarostem twarzy, a spod krzaczastych brwi patrzyły nieufne oczy, trudno orzec, jakiej barwy. Zapytałem, czy mogę to obejrzeć i nie czekając na odpowiedź, odwróciłem kilkanaście kart, żeby poznać, czego treść dotyczy, i w pewnej chwili rzuciło mi się w oczy zdanie: „...a w Krzemionce przejazdem będąc, dziwnych rzeczy się dowiedziałem”. Nie szukając dalej, zapytałem, czy ta książka jest do sprzedania i za ile.

– Widzi mi się, panie – brzmiała odpowiedź – że dla was jest ona więcej warta niż dla kogo innego, to i cena wedle tego niech będzie. Dacie mi dukata i możecie ją sobie wziąć.

Cały dukat za mocno podniszczony zeszyt? Wydało mi się to o wiele za dużo, co też powiedziałem.

– Więc dajcie, panie, za książkę grosz, a resztę za to, co w niej jest – zakpił, patrząc na mnie spod oka – to wam się taniej wyda. Chcecie, to bierzcie, a nie – to z Bogiem!

Te zapiski, czynione zapewne pod wpływem bieżącej chwili, bardzo mnie zaciekały, co sprzedający najwyraźniej wyczytał mi z twarzy. Sięgnąłem do sakiewki, ale w niej jeno dwadzieścia groszy znalazłem, co też powiedziałem, dodając, że za godzinę najdalej wrócę i zapłacę, ile zażądał, jeśli zgodzi się zaczekać.

– To dajcie, panie, co macie, a książkę weźcie i przynieście resztę.

Ujęło mnie, że nieznanemu sobie człękowi okazał zaufanie, więc mu dałem, co miałem i zeszyt wsunąłem za pazuchę. Jak się uwinąłem, w pół godziny byłem z powrotem. Dorzuciłem mu jeszcze pięć groszy za to, że mi zawierzył i poczekał, za co mi podziękował. Zaciekało mnie, skąd ma te zapiski.

– Sługą byłem tego, co to pisał. Przeszło dziesięć lat po świecie z nim jeździłem, pomagając, w czym trzeba, bo im więcej lat mu przybywało, tym i więcej siły ubywało. Kazał mówić na siebie Sławko, ale to nie było jego prawdziwe imię. I zdarzyło się, że w karczmie jednej, gdzieśmy się zatrzymali, w nocy pożar nie wiadomo z czego powstał, a wtedy mój pan tak się dymu nawdychał, że we dwa dni pomarł. To, co po nim zostało, tom sobie wziął, bo rodziny jego próżno było szukać. I tak sprzedaję, co mi niepotrzebne. A skoro żeście mi nie poskąpili, to wam jeszcze kałamarz dołożę, butelkę z inkaustem i piór parę, zapłaty za to nie żądając. A wydatku swego nie żałujcie. Mój pan wiele doświadczył, dużo ciekawych rzeczy widział i opisał, to wiele też się dowiedziecie z tej książki. Nie pozbywałbym się jej, jeno że czytać nie umiem, to i na nic mi ona.

Pożegnaliśmy się i wróciłem do domu, gdzie panie Gałęcka i Józefowa krzątały się koło przygotowań na jutrzejszy dzień. Jak to zobaczyłem, przypomniałem sobie, że nie przygotowałem żadnego napitku oprócz piwa, ale odłożyłem to na jutro, bo nie chciało mi się wracać do miasta. Poszedłem tylko do cieśli zapytać, czy jutro mogę się go spodziewać, tak jak było umówione. Jak wspomniałem, zem wina jeszcze nie kupił, poradził mi pójść niżej na Rybaki, gdzie tam taki jeden, co się Racuch nazywa, miód przedni syci i niedrogo za niego bierze. No to, że blisko było, zaraz poszedłem poszukać onego Racucha i umówiliśmy się, że na jutro gąsiorek mi przygotowuje. No i dobrze, to teraz jeno pić a weselić się...

I tak krzątając się i będąc ustawicznie w ruchu, nie mogłem zabrać się do czytania,

aż dopiero wieczorem, jak wszystko się uspokoiło. Zapaliłem świecę i najpierw poszukałem tego miejsca, gdzie była mowa o Krzemionkach.

„A w Krzemionkach będąc przejazdem, dziwnych rzeczy się dowiedziałem od dziada jednego, com go do karczmy zaprosił, pożałował, że na deszczu moknie. Odwdzięczając się za ugoszczenie, taką bajkę opowiedział, że dawno, pradawno, kiedy jeszcze ludzie starym bogom się kłaniali, nie wiadomo, skąd dwóch rycerzy przybyło, i zaczęli ze sobą walczyć.

Musieli być czarownikami, bo jak jeden w kreta się przemienił, to drugi w łasicę – i wojnę pod ziemię przenieśli. Wtedy bogowie, zagniewani, że świętą polanę krwią przelaną sprofanowali, wyjście z podziemi głazem wielkim przywalili, a na rycerzy spuścili sen twardy, co póty będzie trwał, aż orzeł na świat wyleci. Wtedy, jeśli znakiem pokoju dłonie połączą, będą mogli odejść, skąd przyszli. Ale żem nie był ciekawy onej polany, tom jej i nie szukał.

Czegom się od dziada onego dowiedział, wiernie tu opisałem”.

Można się domyślić, że o to miejsce chodzi, gdzieśmy z Łukaszem dziurę wiadomą penetrowali. Zamyśliłem się nad kolejami życia, stwierdzając, że jest ono niby teatr.

Dla jednych bywa komedią, dla innych dramatem lub tragedią wolą Boga stworzoną, ale wartość ma zawsze taką, jaką mu sami nadamy. Może ono być bogate w lepiance ubogiej, zaś ubogie w królewskim pałacu, w zależności od tego, jak na nie patrzeć będziemy, co oceniać i jakich wartości w nim szukać...

Więc jak rozumieć walkę tych dwóch rzekomych wielkoludów w „Przekazaniu” Kryspina, w istocie ode mnie i innych zwyczajnych ludzi nieróżniących się wzrostem? Może pierwszy w prawie był, broniąc swej własności, którą drugi mu odbierał? A może racja po stronie drugiego była, bo to on był uprawniony do posiadania tej rzeczy, co ich obu wreszcie do śmierci doprowadziła?

Trudno oceniać coś lub kogoś w kategoriach winy i potępienia, nie znając wszystkich okoliczności, jakie te wydarzenia poprzedziły, a wszelkie sądy nieraz więcej mówią o sędziach niż o sądzonych. O powstaniu zaś z martwych decyduje Bóg i Dzień Sądu, a nie jakiś orzeł, choćby z najszczerzego złota urobiony. Gdyby teraz mieli z grobu powstać, to jeno jako strzygi i upiory, a są to istoty nieżywe, tylko chwilowo ożywione, aby niepokój na świecie czynić, bo pomarły w grzechu, co jest brakiem miłości do innego człowieka i chorobą duszy.

Tu myśl jedna mi przez głowę przeleciała, aż się wzdrygnąłem: a co będzie, jeśli ci dwaj grób już opuścili, a sprzymierzyli się, żeby znaleźć tego, co im wziął owego złotego ptaka? Alem się trochę pocieszył, że teraz już nie u mnie tego im szukać. A swoją drogą trzeba się poradzić Łukasza, czy można dać na mszę za spokój ich dusz, skoro nie wiadomo, czy nie byli poganami.

*

Tak jak ktoś nocą wędrując, łąco może pobłądzić, tak i umysł, jeśli ciszą nocy się żywi, na bezdroża myśli może sprowadzić, więc poczekajmy. Noc sprzyja łatwowierności, a przed snem lepiej nie nabijać sobie głowy myślami, co prowadzą donikąd, a spokojny sen odbierają...

W nocy zerwał się wiatr i od czasu do czasu budził mnie deszcz bębniący w szyby, ale wtedy obracałem się na drugi bok i znowu zasypiałem. Wstałem wcześniej, żeby zawczasu mieszkanie ogrzać. Trzeba jeszcze było omówić z panią Gałęcką sprawy pozostałe do załatwienia i zostawić jej klucz do mojego mieszkania.

Po drodze do pracy pan Gałęcki skarżył się, że jest wrażliwy na zmiany pogody, a deszcz z wiatrem źle na niego działają, przyprawiając o rozdrażnienie i niespokojność wewnętrzną, więc żebym się nie dziwił, jeśli dziś trochę nieswój będzie. Powiedział, że był u Janka i dowiedział się, że chłopak na Kamiennych Schodkach skrzył nogę, poślizgnąwszy się na pamiętce pozostawionej przez psa, ale zaraz po niedzieli wróci do pracy. Dalszą drogę przebyliśmy w milczeniu, bo pogoda nie sprzyjała rozmowie.

Koło południa uporaliśmy się z robotą na dzisiaj i zaproponowałem, żeby pójść do pana Sylwestra zobaczyć książki, o których mówił, i przejrzeć, czy tam coś do oprawy się znajdzie. Pan Gałęcki wymówił się bólem głowy, więc sam poszedłem.

Na najwyższej półce natknąłem się na gruby tom w rozpadających się okładkach, ale ponieważ był napisany żydowskimi literami, nie wiedziałem, o czym traktuje. Pan Sylwester powiedział, że pierwszy raz go widzi i pewnie jeszcze za jego poprzednika tam trafił. Więc odłożyliśmy go na bok, póki nie znajdzie się ktoś biegły w żydowskim piśmie i nie pozna, co to jest.

Rozmawialiśmy przy tym o różnych sprawach, zatraćając i o politykę, a głównie o projektowaną unię polsko-litewską. Pan Sylwester sceptycznie był do niej nastawiony.

– To, co powiem, to jest jeno moje własne zdanie, ale widzi mi się, że to całe zjednoczenie na górze jedynie się odbędzie. Panowie godnościami się podziela, a prosty naród tego nie poczuje.

– Ale przecie wtedy Rzeczpospolita w rządzie największych państw Europy stanie – zaprotestowałem.

– Właśnie, właśnie... w tym bieda, że mówiąc o zjednoczeniu, myślisz, waszmość, że unia to będzie ta sama Rzeczpospolita, ze wszystkim, co jest, tylko większa. A kto z tego wszystkiego będzie korzystał? Zwyczajni ludzie czy różne paniątka i magnaci, co skorzy są, żeby tam iść na gotowe i w nowe majątki obrosnąć? I co z tego, że obszar państwa będzie dużo większy od dzisiejszego, skoro gospodarczej wartości nie przybędzie, bo z czego? Ze stepów na wschodzie, z dzikich pól, z bezkresnych obszarów, gdzie wiatry mają się gdzie rozpędzić?[1]

Czyś waszmość pomyślał, kto tego wszystkiego będzie bronił przed tatarskimi ordami, samowolnymi hordami i Turkami, co na te ziemie łakomie patrzą? Przed różnego autoramentu rozbójniczymi watahami? Kto, pytam? A przecież już teraz Moskwa w Inflantach wstręty nam czyni, a na morzu jeszcze i Szwedzi, a Czesi i Niemcy też nie są od tego, żeby sobie coś u nas urwać przy okazji, jak sposobność się trafi. A skoro już teraz od wrogów trzeba się opędzać, co będzie, jak jeszcze przybędzie granic do obrony? To nie jest tak, jak pisze pan Stanisław Orzechowski[2], że „Polska zewsząd doskonała jest tak, że nic przydać, nic ująć nikt nie może”. O, nie!

– To waszmość przeciwny jesteście temu zjednoczeniu?

– Nie jestem przeciwny, jeno uważam, że mądrze to trzeba robić i z właściwej strony zacząć. Bo kiedyś już Jagiełło władał dwoma państwami jako król Polski i Wielki

Książę Litwy, a w 1385 roku Korona Polska i Wielkie Księstwo Litewskie zawarły unię personalną w Krewie i co? Ile razy mamy się tak jednoczyć? A litewscy magnaci też się do tego nie palą, bo się boją, że wtedy stracą swoje znaczenie.

– Masz waszmość na myśli Radziwiłłów?

– Radziwiłłów i Chodkiewiczów, i Wołłowiczów, i jeszcze innych. A wiesz, waszmość, co tamtejsza szlachta o nas mówi? A tak: „*my sut szlachta stara, rymskaja, a Polaki sut prosty ludi*”. Oni swoje rody od starego Rzymu wywodzą!

– Jak to od Rzymu? – nie rozumiałem.

– A tak! Jeszcze w połowie XIV wieku nasz Jan Długosz w swojej *Kronice* napisał, że Litwini skoligaceni są z Rzymianami, na co wskazuje język, wiele pokrewnych słów zawierający. Na przykład Olimp kojarzy ze słowem *uzola* – ‘skała’, Spartak ze *spartus* – ‘szybki’ – i tak dalej. Wskazują też na niektóre podobieństwa religii: jedni i drudzy czcili święte gaje, węże, ogień. Potwierdzają to współcześni nam Maciej z Miechowa i Maciej Strykowski. Nawet miano rodziny Ostrowskich ponoć pochodzi z czasów wojen tych litewskich „Rzymian” z Ostrogotami. I wiesz waszmość, co jeszcze? Oto ci wymienieni uczeni twierdzą, że Adam z Ewą w Raju rozmawiali po litewsku i że prorocтва Ezechiela ukazują, iż Rzeczpospolita ma prawo do panowania nad „*Wszystką Azją, Europą i Afryką*”![3]

Informacje podane przez pana Sylwestra tak mnie zadziwiły, żem z początku języka w gębie zapomniał.

– Waszmość chyba krotochwile sobie ze mnie stroisz – powiedziałem wreszcie. – Wiem, że są u nas tacy, co ród swój od Adama i Ewy gotowi są wywodzić, więc nie dziwota, że Litwini też, co mogą, w swoją stronę ciągną. Ale żeby w Raju po litewsku albo po słowiańsku gadać, to trochę za dużo. A jeszcze te prorocтва Ezechiela... Muszę się z nimi zapoznać, bo coś mi się zdaje, że ktoś tu głupich szuka, sam nie będąc za mądry.

– Nie twierdzę, że to wszystko na prawdzie się opiera, bo są i tacy uczeni, co wiedzę o czymś zmyślą, jeśli jej nie mają, a tu i ówdzie prawdziwymi faktami i nazwami się podpierając tak, że nie poznasz, gdzie tu leży granica między fałszem a prawdą. Ale chyba zboczyliśmy z tematu, zaczęliśmy od unii, a skończyło się na Ezechielu. Dajmy już sobie z tym spokój. Więc co z tymi książkami?

*

Wracając, kupiłem po drodze miotłę, ładną glinianą misę i tuzin dużych świec woskowych, żeby nie żałować światła, jeśli goście do późna się zasiedzą. Gdy staną przed furtką, na którą z drugiej strony Murek skakał, witając mnie szczekaniem, popatrzyłem na dom. Trzeba będzie przypomnieć Paciołkowi o zrobieniu okiennic. Chciałbym je mieć, zanim zima przyjdzie. Jak je się zamknie, w domu będzie przytulniej w czas zimowej wichury i śnieżycy i będzie można spokojniej spać. Bo jak sen długo nie przychodzi i otwartymi oczami w ciemność się patrzy, wyobraźnia różne rzeczy podsuwa i wydać się może, że ktoś za oknem stoi i przez szyby do środka zagląda.

A jeśli już się zdarzy, że podobnymi urojeniami głowę sobie zaprzątniemy, Bóg wie, jakie obrazy w niej się załęgną, co do rana oka nie pozwolą zmrużyć. I nieduży ganek przed drzwiami się przyda, żeby zabłoconym obuwiem tak wprost ze dworu do sieni nie

wchodzić.

Pani Gałęcka, słysząc, że wróciłem, wyjrzała i powiedziała, że była pani Józefowa i obie omówiły wszystko, co trzeba będzie, ale żebym ze dwa narecza drzewa na zapas przyniósł i wyciągnął wody ze studni.

– A to mąż jeszcze nie wrócił?

– Miał dzisiaj na Zamek do apteki zajrzeć, bo leki mi się kończą.

– O, właśnie! A jak zdrowie waszmości pani? Pomogły lekarstwa pana Oczki?

– Więcej niż lekarstwa pomogła mi zmiana otoczenia, dopiero teraz czuję, że żyję.

Bo co to za życie było tam, na Krzywym Kole? Na ulicy błoto i tacy różni się kręca, strach dzieci same wypuścić. Za oknem jeno ściany domów z przeciwka widać. A jak się pomyślało, że w tym zatęchłym mieszkaniu może do końca przyjdzie nam żyć... beznadzieja taka. A tutaj, jak przez okno wyjrzę albo wyjdę za próg, nowe życie we mnie wstępuje i nowe siły. A dzieci też nacieszyć się nie mogą, że na powietrzu mogą się wybiegać, a jeszcze psa mają do zabawy!

– A czemu to ich nie widać?

– Od rana po podwórku z Murkiem ganiały, a jak im dałam jeść, to już takie były pomęczone, że przy stole zasypiały, więc je położyłam i śpią.

– Miło to słyszeć. Jak mąż przyjdzie, niech do mnie zajrzy. Porozmawiamy, może szachami się zabawimy.

*

Jutro muszę się dowiedzieć, czy nie ma do mnie listu. Przed paru dniami kupiłem ładny drewniany krzyż na ścianę, żeby wiadomo było, że nie Żydzi ani poganie tu mieszkają, to Łukasz go poświęcił...

Jak już sobie podjadłem, przyjemnie było usiąść przy otwartych drzwiczkach pieca i pozwolić myślom chodzić swoimi drogami. Myślałem o tym, co było, co jest i co jeszcze może się zdarzyć.

Przy takiej zadumie zastał mnie Gałęcki. Powiedział, że jutro powinniśmy tu dwa stoły zsunąć, bo przy jednym będzie ciasno. Jak mi to powiedział, to sobie przypomniałem, że mam dzisiaj odebrać gąsiorek miodu, a Gałęcki zaofiarował się, że pójdzie ze mną, bo jednemu nieporęcznie będzie go nieść. Wziąłem więc worek i poszliśmy.

Racuch dał nam po miarce do spróbowania, abyśmy wiedzieli, co bierzemy, i zadowolony był z pochwały. Powiedział też, że różne miody bywają, o różnych proporcjach miodu, a ten, który bierzemy, to dwójniak. A mnie się przypomniało, com kiedyś w jednej książce wyczytał o miodach. Oto pan Sebastian Klonowicz[4] w swojej *Roxolanii* tak napisał:

O Italczyku, twój moszcz ustępuje miodowi

Ty masz wino, a Ruś ma boski nektar

Ziemia daje sok winny z tłustej wilgotnej gleby

Miód zaś z nieba prosto od bogów spłynie[5].

Jak żeśmy wrócili, ściemniać się zaczęło, więc pospieszyliśmy z sąsiadem do szopy drzewa na jutro urąbać. Gdyśmy skończyli, zaprosiłem go na partyjkę szachów, przy

których jeszcze raz miodu posmakowaliśmy. Świece dawały miłe światło, było ciepło, miód przyjemnie rozgrzewał – duża różnica między dawną zimną kłitką u bednarzów, a własnym domem, ciepłym i co dzień przytulniejszym.

Chociaż Gałęcki przegrał obie partie, to widać było, że coraz lepiej w grze się orientuje i stara się przewidzieć, co będzie, jak wykona taki czy inny ruch. W pewnej chwili przerwał grę i dłonią w czoło plasnął.

– Na śmierć zapomniałem powiedzieć, że Perkus przyszedł do warsztatu dowiedzieć się o książki. Kręcił nosem, jak mu powiedziałem, że wolimy, aby u nas tę robotę robić, a książek w tę i nazad niepotrzebnie nie nosić, ale w końcu się zgodził. On chyba trochę się boi, żebyśmy pracownika mu nie podkupili. Pytał jeszcze, czy może liczyć na stałą współpracę, to mu powiedziałem, że jak robota będzie dobra, a cena niewygórowana, to i owszem. I poszedł sobie.

W tym momencie zapukała żona Gałęckiego i powiedziała, żeby trochę u siebie pomieszkał, zamiast sąsiadowi głowę zawracać, więc się pożegnaliśmy. Schowałem figurki do pudełka i wyjąłem z szuflady rękopis kupiony na targu. Były to luźne powiastki traktujące o różnych rzeczach. Zainteresowałem się jedną, gdzie Sławko, czy jak mu tam, o różnych dziwach pisze.

„Rzecz o Istotach Dziwnych i Niezwyczajnych – czytałem. – Słuchając opowieści dalekich krajów się tyjących, dowiadujemy się o rzeczach trudnych do uwierzenia, czasem tylko dziwnych, a niekiedy przerażających. Nie mamy powodu, żeby nie wierzyć takiemu, co tam był i widział to, o czym opowiada, ani posądzać go o zmyślanie, ale czasem o nieporozumienie tu chodzi. Można rzec, że ktoś słyszał, że dzwonią, ale nie wie, w którym kościele.

W czasie wędrówek swoich w ciągu lat wielu odwiedzając różne kraje, otarłem się też trochę o Grecję i Egipt. Widziałem tam obrazy w kamieniu wyskrobane albo malowane farbą, a przedstawiające dziwne postacie. Byli to ludzie z głową psa, ptaka albo krowy czy też barana, a to kobieta z węzami na głowie zamiast włosów, a to pół człowieka, pół konia albo wielkoluda, co jeno jedno oko ma na środku czoła.

A jak ktoś takie obrazki widział, własną imaginacją jeszcze inne może sobie odmalować: ludzi jedną tylko stopę posiadających i tak dalej.

A bywa i taka bajka, co za prawdę może uchodzić. Ja zaś, jeśli o dziwach różnych piszę, to o tych jeno, jakie sam własnymi oczami oglądałem, a nie o jakich tyłkom słyszał albo na wizerunkach sztucznie zrobionych widział. A widziałem na przykład ludzi czarnych jak smoła całkiem goło chodzących albo zwierzęta o szyi tak długiej, że do wysokich gałęzi dosięgną, a też ptaki wielkie, co nie fruwać, jeno po ziemi pędzej od konia biegają i tak dalej. Wiele jest dziwów na tym świecie – tyle, że nowych wymyślać nie trzeba”.

Tymczasem późno się zrobiło, więc resztę czytania na inny raz ostawiłem. Świeca dogasała, oczy się kleiły, więc poszedłem spać. Jutro pracowity dzień się zapowiada.

[1] Obszar Litwy sięgał od Bałtyku do Morza Czarnego, obejmując również ziemie dzisiejszej Ukrainy, i zamieszkały był głównie przez ludy słowiańskie. Stąd po Unii Lubelskiej pojawiło się określenie „Rzeczpospolita od morza do morza”.

[2] Stanisław Orzechowski (1523–1566) – pisarz polityczny i religijny, przeciwnik

Frycza Modrzewskiego.

[3] Wszystkie powyższe ciekawostki zawarte są w artykule Jerzego Besala, pt. *Piersi Łaomy – Polityka nr 4/2006 r.*

[4] Sebastian Fabian Klonowic, ur. ok. 1545 r. Do najbardziej znanych jego utworów napisanych po polsku należą: *Żale nagrobne*, *Flis*, *Worek Judaszów*; po łacinie napisał m.in. dzieła: *Victoria Deorum* i *Roxolana*. Zmarł w 1602 r.

[5] Cyt. za przekładem Mieczysława Mejora, Biblioteka Pisarzy Staropolskich, Instytut Badań Literackich, Warszawa 1996, s. 81, wersety 1021–1024.

Gałęcki poszedł do apteki po lekarstwo dla żony, którego wczoraj nie dostał, a na dzisiaj miało być zrobione, a ja – dowiedzieć się, czy nie ma dla mnie listu z Krakowa.

Listy bliskich nam osób są jakby pozdrowieniem przekazywanym z odległości. Nie zawsze jest w nich to, czego się spodziewamy, ale zawsze są one oczekiwane, chociaż słowo mówione zastąpić pisanim, to jakby żywy kwiat zamienić na zasuszony. Listy należy czytać w spokoju ducha i ciała, bo też są jakby ciałem zawierającym w sobie ducha, którego nie sposób znaleźć w literach, oczami go jeno szukając.

Spotkaliśmy się z Gałęckim w bibliotece na Zamku i po krótkiej rozmowie z bibliotekarzem zabraliśmy książki, które uprzednio wybrałem. W warsztacie nie zabawiliśmy długo i zaraz pospieszyliśmy do domu, gdzie już w sieni powitały nas smakowite zapachy. Szykowałem się, żeby przeczytać list, ale musiałem się z tym wstrzymać. Ledwo się rozebrałem i przywitałem z paniami i dziećmi biegającymi tu i tam, gdy Murek oznajmił przybycie gościa. Był nim ksiądz Łukasz.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedział, przestępując próg i kładąc na sobie znak krzyża. – Wiem, że przyszedł trochę za wcześnie, ale chciałbym zrobić, o co mnie proszono, zanim wszyscy do stołu siądziemy.

Dzieci spłoszone uciekły, widząc obcego, a ten się uśmiechnął i popatrzył na nas.

– W sieni mnie trzymać będziecie? – zażartował.

– Ależ prosimy, prosimy! – zawołałem, ściskając jego dłoń. – Zaskoczyłeś nas i tyle. Cieszę się, żeś wcześniej przyszedł, chociaż jeszcze nie wszystko pogotowane.

– A właśnie że wszystko! – zaprotestowała pani Józefowa. – To, czego jeszcze nie ma na stole, to na kuchni stoi, żeby gorące było. A księdza wielebnego prosimy spocząć i może na razie przekąsi coś albo się napije?

– Po kolei, wszystko po kolei – mówił Łukasz, rozglądając się. – Najpierw chciałbym się zapoznać ze wszystkimi. To zapewne jest pani Józefowa, na której cześć Paweł peany wygłasza, a to pani Gałęcka, małżonka Pawłowego współnika? A gdzie to dzieci się podziały? Czyżby ktoś nastraszył je księdzem, że przyjdzie i do worka je powsadza?

– Wasza wielebność pozwala sobie żartować. Przestraszyły się obcego, ale zaraz je zawołam. A mnie to ksiądz chyba zna; Kazimierz Gałęcki jestem. Prosimy rozebrać się i rozgościć – mówił, odbierając od niego kurtkę.

Łukasz wyjął, co miał w sakwojarzyku.

– Chrześcijanie w tym domu żyjący zapewne nie dorobili się jeszcze kropidła i wody święconej. Przewidując to, przyniosłem, co trzeba – mówił, nakładając na siebie komżę i stulę. – Może znajdzie się naczynie na wodę święconą?

Znalazło się, jak również dzieci, przywołane przez matkę. Stanęliśmy w gromadce na środku. Łukasz otworzył książkę w miejscu założonym tasiemką i przeżegnał się, co za nim powtórzyliśmy.

– *Pobłogosław Panie Boże Wszechmogący to mieszkanie, aby w nim trwały: zdrowie i czystość, dobroć i łagodność oraz wierność w wypełnianiu Twoich przykazań;*

aby zawsze składano Ci tu dzięki – czytał w skupieniu. – A błogosławieństwo Twoje niech pozostanie na tym miejscu i nad jego mieszkańcami teraz i na zawsze. Amen.

Umoczył kropidło w wodzie święconej i obficie chlusnął na nas i na wszystkie kąty. Przeżegnaliśmy się. Łukasz przeszedł się po pozostałych pomieszczeniach, nigdzie nie żałując wody.

– Państwo Gałęccy zapewne też chcieliby, żeby im poświęcić mieszkanie? – zapytał.

– A jakże! Niech wasza wielebność pozwoli do nas – mówiła przejęta pani Gałęcka, wskazując drogę.

Gdy już było po wszystkim, korzystając z okazji, poprosiłem Łukasza, żeby mi poświęcił i całe gospodarstwo. Obaj więc wyszliśmy na dwór, obchodząc wszystkie kąty, nie pomijając wygódki.

– To, żeby grzeszne myśli nie załęgły się w głowach korzystających z tego przybytku – zażartował, machnąwszy kropidłem. – No więc mamy już za sobą te obowiązki. Co u ciebie?

Powiedziałem, że właśnie otrzymałem list z Krakowa, ale jeszcze nie było czasu go przeczytać. I o książce kupionej na targu, w której mowa jest i o Krzemionkach. Łukasz tym się najbardziej zainteresował.

– Musimy wkrótce się spotkać, żeby w spokoju porozmawiać o różnych sprawach, bo ja też mam to i owo do opowiedzenia.

Zanim słońce zaszło, wszyscy, którzy mieli przyjść, zasiedli za stołem. Łukasz, bednarzowie – zawsze w myślach tak ich nazywałem zamiast nazwiskiem – z Januszem, cieśla z żoną, Gałęccy z trojgiem dzieci i pani Józefowa, pełniąca dziś rolę gospodyni. Gorące potrawy w misach stały pośrodku stołu oświetlonego sześcioma dużymi świecami w wysokich lichtarzach. Pani Józefowa oznajmiła, że nikomu nakładać nie będzie, więc kto chce, niech ile zechce, sam sobie nabiera na talerz. Dzieci siedziały razem z dorosłymi pod opieką rodziców.

Jak zawsze, gdy zbierze się kilkoro ludzi, nawiązała się rozmowa: najpierw ktoś jakieś słowo rzucił, następnie ktoś inny je podchwycił i swoje dołożył, inni się dołączyli i wkrótce zrobiło się gwarno.

Rozmowa w pewnym sensie rozwija umysł, gdyż nie tylko przyczynia się do poznania czegoś dla nas nowego, ale też uczy formułowania myśli, zanim zostaną zamienione w słowa, przedstawiania własnych poglądów albo przeciwstawienia się oponentom, jeśli na jakiś temat mamy własne zdanie. Niektórzy tę sztukę posiadli w takim stopniu, iż godzinami potrafią mówić tak, żeby niczego nie powiedzieć, w czym celują zwłaszcza politycy oraz nieuki, zawsze gotowi udowodnić, że nic im nie jest obce.

Przy rozpoczęciu rozmowy uniwersalnym tematem bywa pogoda, więc nic dziwnego, że i teraz było podobnie. Gdyśmy już ponarzekali na zmienną aurę, błoto, minione letnie upały oraz mrozy i śniegi, które dopiero przyjdą, Łukasz zapytał, czym już wrósł w miasto i jak mi się ono podoba.

– Po stołecznym Krakowie, mieście tętniącym życiem, gdzie co dzień coś nowego się dzieje, jakieś zagraniczne poselstwo przyjeżdża lub wyjeżdża i widowiska różne się odbywają, Warszawa z początku wydała mi się takim sobie miastem, jakich wiele.

Zamknięta w murach jak w gorscie, żyjąca ospałym życiem wśród ciasnych ulic, gdzie bieda sąsiaduje z dostojnością patrycjuszów, grodem, którego najważniejszą cechą jest to, że król się w nim czasem zatrzyma w swoich podróżach na Litwę. Królowa Bona ponoć lubiła Warszawę. Królowa Anna też nie inaczej.

– Królowa Bona chyba wolała Litwę – stwierdził Łukasz. – Tam miała swoje folwarki, które przynosiły jej duży dochód, bo mądrze nimi zarządzała; także i Kraków, gdzie miała styczność z zagranicznymi dyplomatami, gdy próbowała wpływać na sprawy państwowe. Za to w Warszawie i Jazdowie ogrody założyła, gdzie też rośliny z Włoch sprowadzane hodowała. Jednak odbiegliśmy od tematu. Warszawa nie jest takim sobie zaściankiem, bo rośnie i z ciasnych murów wylewa się na zewnątrz i w przedmieścia obrasta. A dobrze jest ulokowana: nad Wisłą, przez co ma łączność z morzem, i na rozstaju dróg, prowadzących w różne strony świata.

– To dobrze mówicie, księżo – odezwał się bednarz – na Czerskim Przedmieściu, co raz to drewniane rudery znikają, zastępowane murowanymi domami. A choćby i tutaj. Za Bramą Nowomiejską powstało całe Nowe Miasto z własnym ratuszem, rynkiem, wójtem i rajcami, gdzie więcej się znajdzie dużych zakładów niż w murach Starego Miasta. Cokolwiek by o Warszawie mówić, to jest ona miastem z przyszłością.

– A też o kościołach wypada wspomnieć – wtrąciła się pani Józefowa – co są nie jeno domami modlitwy, ale i szkoły prowadzą, oświatę szerząc.

Tu mnie się coś przypomniało.

– Janusz, podobno na swoją szkołę się obraziłeś? Cóż to się stało?

– Bo to, proszę pana majstra, ojciec profesor jednego razu mówił o pożytku płynącym z nauki i powiedział, że nauka takich jak Arystoteles, Pitagoras i innych im podobnych fałszywa jest, jako że przez pogan głoszona, więc za prawdziwą uznana być nie może. Nie wiem, kto to byli Arystoteles i Pitagoras i co mogli głosić sprzecznego z nauką Kościoła. Ale jakoś mi się nie widziało mądre to, co ojciec profesor powiedział, i zapytałem, czy jakby ów pogański Arystoteles powiedział papieżowi, że dwa i dwa to cztery, to ojciec święty też by to odrzucił, jako fałszywą naukę. No to ojciec zaczął krzyżeć, że podobne herezje trzeba ze mnie wypędzić i pięć różeg własną ręką mi wsypał.

Wszyscy prócz chłopaka się roześmiali, a Łukasz zapytał, jaki to profesor tak swoich uczniów uczy.

– Dominikanin, ojciec Bartłomiej.

– No to już go tam nie ma. Był w zastępstwie ojca Laurentego na czas jego choroby, ale ten już wyzdrowiał i ojciec Bartłomiej wrócił do swego klasztoru.

– A jak to jest z tymi pogańskimi naukami, co je Kościół potępia? – zapytał bednarz, dolewając sobie miodu.

– Otóż trzeba wiedzieć, że nauka jako taka nie ma określonej orientacji religijnej, politycznej ani żadnej innej, jeno po prostu służy ludziom, kimkolwiek by oni byli. Przeto nie jest ona ani pogańska, ani chrześcijańska, a uniwersalna. A rzeczą ludzi jest korzystać z całego dorobku tych, co chociaż przeminęli, zostawili po sobie w spadku to, co najcenniejsze: myśli! Czy zdrowy na umyśle człek potłucze dobry zegar albo pozbawi go wskazówek jeno dlatego, że to nie chrześcijańskie ręce go zbudowały? Czyżby

niechrześcijański czas pokazywał?

– Ale jednak – wtrąciłem się – niektóre nauki mogą być szkodliwe, więc czy nie powinien być ktoś, co dopilnuje, żeby szkody nie przyniosły?

– To wtedy prędko się znajdzie taki, co ogłosi, że to on właśnie ma kwalifikacje na takiego, co prawdy dopilnuje – odparł Łukasz – i będzie tępił tych, co inaczej myślą i widzą niż on sam. Niech Bóg nas broni przed takim samozwańczym naprawiaczem! Każda twórcza myśl popycha świat do przodu. Nawet jeśli po pięciu krokach naprzód cofniemy się o cztery, to będzie, mimo wszystko, krok naprzód.

Wynalezienie druku też miało swoje dwie – nie mówię, że złe czy dobre, ale jednak dwie – strony. Kiedy książki przepisywano ręcznie, jeno mnisi po klasztorach tym się zajmowali, bo oni, Bogu służąc, mieli czas i cierpliwość, żeby każdą literkę kształtnie odrysować. Ale że zajmowali się tym mnisi, treść książek siłą rzeczy poświęcona była raczej życiu duchownemu niż doczesnemu. Druk uwolnił książkę od przewagi religii i otworzył ją na treści świeckie. Kiedyś przepisywanie gęsim piórem jednej książki lata całe trwało, a druk sprawił, że książka stała się dostępna nie tylko dla bogatych i dociera do większego grona. Przy tym druk pozwolił upowszechnić różne idee, nie zawsze sprzyjające moralności i duchowemu pożytkowi. A z tego, co książka najlepszego zrobiła – to przybliżyła nam świat i upowszechniła oświatę. Człowiek oświecony ma lepsze rozeznanie między dobrem a złem, a mając daną sobie wolną wolę, jest w stanie świadomie pomiędzy nimi wybierać.

– Z tego, co wasza wielebność powiedział, zrozumiałem – odezwał się cieśla – że nauka to nie jest po prostu czytanie i pisanie, ale też narzędzie, którym człowiek może się posługiwać, jak, dajmy na to, ja toporem albo piłą. A jak ktoś tych narzędzi używał będzie i do czego – to zależy od tego, do czego będzie przyuczony. Szkoda, że za moich młodych lat nie było ani takich szkół, ani takich ludzi, jak wasza wielebność...

– Otóż szkoły przy parafiach istniały jeszcze za naszych pradziadów – przerwał mu Łukasz. – Skoro Kazimierz III jeszcze w 1364 r. w Krakowie Akademię założył, a przecież nie przyjmowano do niej niepiśmiennych... A jeszcze wcześniej uchwały Synodu Łęczyckiego w 1285 roku, okazując troskę o nauczanie, nakazywały pielęgnować rozwój języka polskiego przy szkołach klasztornych, katedralnych i innych. A kierować taką szkołą mógł tylko ten, co dobrze pisał i mówił po polsku, aby umiał po polsku objaśnić różnych autorów. W tym rzecz jednak, że chociaż takie szkoły były, to po pierwsze nie wszędzie – było ich za mało i nie przy każdej parafii, a po drugie niełatwo było o dobrych nauczycieli, przeto i poziom nauczania był w nich różny. – Tu odetchnął głęboko i po kubek sięgnął. – Uff, zmęczyło mnie to gadanie, w gębie mi zaschło, a język też trzeba nasmarować, bo mi kołkiem stanął.

Mała Anielka usnęła na kolanach matki, więc pani Gałęcka poszła do siebie położyć ją do łóżeczka. Jak wróciła, zaczęła się rozmowa na inny temat. Wspomniałem bowiem o tym, co w bibliotece pan Sylwester opowiadał o starorzymskim pochodzeniu Litwinów i prorocत्वach Ezechiela, co w obecnych obudziło powszechną wesołość. Wyjątkiem był Łukasz, który się zamyślił.

– Widzicie państwo – powiedział wreszcie – na podobne sprawy, jak na wszystkie inne, różnie można patrzeć. Kto patrzy na szczegóły, nie zobaczy całości, a skutki łatwiej

osądzać, niż ich przyczyny szukać. Niektórzy, co dowodzą starożytności swego rodu, prawie do Adama i Ewy sięgając, aby w taki sposób nad innych się wywyższyć, własną ciemnotę okazują. Wszak Adam i Ewa byli prarodzicami ludzkości, więc zarówno król, jak i żebrak mogą powiedzieć, że są ich potomkami. A nierówności, jakie później między ludźmi powstały, były skutkiem niedoskonałości naszej natury.

Co zaś do rzekomego rzymskiego rodowodu Litwinów nie będę się wypowiadał, bo sprawy te są mi obce. Mogło się jednak zdarzyć, że jakiś Litwin, przypadkiem w Italii się jakoś zaplątawszy, trochę tamtejszej mowy załapał, a jak do swoich wrócił, to go dla wyróżnienia przezwali Rzymianinem. Na wsi i teraz dają różne przydomki ludziom o podobnych nazwiskach, żeby ich odróżnić. A przezwisko przekazywane z pokolenia na pokolenie z czasem za prawdę zaczęło uchodzić. Ale to wszystko domysły moje są i tyle na ten temat.

Co do Ezechiela – to jest inna sprawa. Prorocy różne rzeczy mówią, ale nie widzi mi się, żeby ktoś grubo przed narodzeniem Pana naszego mógł coś prorokować o Rzeczypospolitej, bo wtedy na jej miejscu puszcza jeszcze szumiała, co jeno zwierzynę miała za mieszkańców. Ale że nie ma dymu bez ognia, poszukujemy chociaż małego węgielka... Ezechiel zapewne był Żydem. Któż wie, czy sam umiał pisać, czy inni spisali to, co mówił, jednak mniejsza o to, bo prorocтва jego po hebrajsku zostały spisane. Jak Rzymianie podbili Palestynę, na jej terenie w powszechnym użyciu oprócz hebrajskiego były języki aramejski i grecki – i najpierw na te, a później i na inne jeszcze języki te starożytne hebrajskie pisma były tłumaczone. A w alfabecie hebrajskim jedno słowo, litera nawet, kilka znaczeń mieć może, w czym dodatkowa leży trudność. Mogło więc być tak, że tłumaczący natknął się na literę albo słowo, którego dokładnego znaczenia oddać nie umiał, więc zastępował je takim, co mu się najlepiej widziało. Ile takich źle oddanych słów znajdzie się w jednym przekładzie? A później w przekładach z tych przekładów? A też trzeba wiedzieć, że we wszelkich prorocत्वach każdy szuka tego, co chce znaleźć, co jego samego albo jego ludu może dotyczyć. Niech no tylko taki poszukiwacz znajdzie w przekładzie parę słów podobnych do istniejących w jego języku, a zaraz wokół nich zaczyna osnuwać własną wizję tego, co prorok chciał przez nie wyrazić, i oto już powstaje Rzeczpospolita, która będzie władała nad „Wszystką Azją, Afryką i Europą”. Nie ma dymu bez ognia, ale za to są tacy, co sam dym jeno wachając, odurzają się nim, głupstwa plotą i drugich przy tym tumanią. A to są tacy uczeni, co jak czegoś nie wiedzą, to zmyślą, co im pasuje.

Jeszcze jedna rzecz do wyjaśnienia nam została – mówił Łukasz, pociągnawszy miodu – ta oto, jaką mową posługiwali się w Raju Adam i Ewa. Trudno przypuścić, żeby Bóg na swój obraz i podobieństwo dwie niemowy stworzył, więc jakoś ze sobą gadać musieli. Skoro zaś wszyscy ludzie od nich pochodzą, to i wszyscy mają prawo powiedzieć, tak Polacy czy Litwini, jak Niemcy, że język prarodziców to był także ich język. Taką bardzo okrężną drogą można dowodzić wszystkiego, co się chce, rzecz jeno w tym, że takie prawdy i dowody tyle będą warte, co dym z komina.

Dodam jeszcze, że Adam i Ewa są jeno alegorią, czyli wyobrażeniem początków rodzaju ludzkiego, wraz ze wszystkim, co on sobą reprezentuje, więc ostawmy ich w spokoju i nie próbujmy zmyślać tego, czego nie wiemy. I tyle tego. – Tu wznosił kubek

z miodem. – Wypijmy więc za to wszystko, co w życiu najlepszego się kryje w duszy człowieka! Ale – choć *In Vino Veritas*, nie traćmy głowy dla tej prawdy w nim zawartej, bo użyta w nadmiarze, z przyjaciela może stać się wrogiem, gdy zbyt szczerze myśli staną się słowami, a te później – paplaniną.

W pewnej chwili cieśla zauważył, że dom bez gospodyni, to jak król bez korony. Z ochotą wyjaśniłem, że zanim rok się skończy, gospodynię będę miał zaszczyt wszystkim tu obecnym sprezentować. Spowodowało to nowe wiwaty, aż się zacząłem obawiać, na jakich nogach moi goście do domów wrócą. Ale kiedy wreszcie jedna świeca w lichtarzu się wypaliła, a inne zamierzały pójść w jej ślady, Łukasz z westchnieniem wstał od stołu.

– Miło się biesiadowało w dobrym towarzystwie, za co winniśmy wdzięczność gospodarzowi i gościom tu zebranych, ale wszystko początek i koniec mieć musi. Za oknem już noc, a do domu daleko, i to po ciemku.

– Więc razem pójdziemy – odezwał się bednarz – a przewidując, że w ciemności nam przyjdzie wracać, przezornie przyniosłem latarkę ze świeczką. I panią Józefową prosimy, bo jakże samotnej kobiecie nocą błąkać się po pustych ulicach.

Wszystkich serdecznie pożegnałem, dziękując za przyjście, i odprowadziłem do furki, patrząc, jak świeczka w latarce miga coraz dalej, aż wreszcie znika w ciemności. Cieśla oświadczył, że ma blisko, to żeby do domu trafić, wystarczy mu widzieć, w którą stronę iść. Gdy już wszyscy poszli, ucałowałem ręce pani Gałęckiej, mówiąc, że pomoc jej najlepszym prezentem dla mnie była. Chciała jeszcze pomagać sprzątać ten nieład, jaki pozostał po gościach, ale mając na względzie jej chorobę, nie zgodziłem się na to, bo i tak było po niej widać, że za wiele dziś na siebie wzięła. Pożegnaliśmy się więc, a i pan Gałęcki na dosyć chwiejnych nogach do siebie poszedł.

I tak się skończyło to moje świętowanie.

Na jutro zostawiwszy sprzątanie, z jedną świecą, usiadłem przy stole i wreszcie mogłem zabrać się do listów, zaczynając od tego Dorotki. Pomimo coraz większej liczby szkół, przeważnie przy parafiach, rzadko się jeszcze zdarza, żeby i dziewczęta uczone w sztuce czytania i pisania, ale w tym przypadku zadbała o jej naukę matka, zanim zmarła. Chociaż sama z trudem drukowane mogła czytać, uprosiła jednego kleryka, żeby w zamian za uszycie sutanny podjął się Dorotkę abecadła i wiązania liter nauczyć. Ale że nauka jej trwała krótko, przeto czytając teraz to, co napisała, niektórych słów musiałem się domyślić. Jednak pomału wszystko wyrozumiałem.

Na początku okazała radość, że rozłąka nasza końca już dobiega i nawet nie marzyła, że w swoim domu będzie gospodarzyć. Pisała też, że ślub życzy sobie mieć w kościele św. Katarzyny.

Znam ten kościół. Jest w nim cudowny obraz Matki Bożej Pocieszenia, ufundowany przez króla Kazimierza, syna Władysława, dla małego wzrostu Łokietkiem przezwanego. Dużo można powiedzieć o tym Kazimierzu, że mądrze gospodarzył, a państwo po sobie zostawił lepsze niż to, co od ojca dostał. Mówią o nim, że Polskę zastał drewnianą, a zostawił murowaną, ale to jeno po części jest prawdą.

Prawda, że budował zamki i grody obronne, miasta murami kazał otaczać, kościoły fundował, ale, jak to z królami bywa, stawia się ich wysoko jako kurka na wieży, żeby

więcej ludzi ich widziało i podziwiało. Z daleka widać, jak się świeci i obraca na wszystkie strony, jaki jest ładny, ale jak takiego z bliska obaczyć, to się okazuje, że nie taki ładny i świecący jak się z daleka wydaje. Kazimierz murował grody, zamki i miasta, to prawda, ale wieś została, jaka była: drewniana i siermiężna. Niektórym takim o zasługach pamiętają, na wady ich oczy zamykając, z innymi zaś jest przeciwnie: ilu dziś pamięta o zasługach Bolka Śmiałego, a ilu, że za jego przyczyną św. Stanisław śmierć męczeńską poniósł?

Syn Łokietka taki znowu za święty nie był. Wielce kochliwy, co niejednego kłopotu mu przysporzyło, bo z niewiastami zbyt swobodnie sobie poczynął, a jeszcze Kościołowi czymś tak się naraził, że biskup klątwę na niego rzucił. Król, w gniew srogi wpadłszy, księdza Marcina Baryczkę[1], co mu akt tej klątwy przyniósł, we Wiśle kazał utopić. Opamiętał się jednak i jako pokutę w 1349 roku kościół ufundował, ten właśnie, pod wezwaniem św. Katarzyny, co go Dorotka z powodu cudownego obrazu szczególnie sobie upodobała. Niech więc będzie, jak ona chce, mnie za jedno, przed jakim ołtarzem ksiądz nam ręce złączy. Sakrament wszędzie jest sakramentem, a byle miłość i zgoda była, to i błogosławieństwo Boże będzie w domu.

Ojciec na wstępie zawiadamiał, że oboje z matką są, dzięki Bogu, zdrowi, zakład dobrze prosperuje i że była u nich Dorotka.

„Rozmawialiśmy też o tobie – pisał ojciec – cieszymy się, że tak ci się wiedzie, ale niespokojni jesteśmy, czyś broń Boże długów jakichś na ten twój dom nie narobił. Bo, jak mówią: kto buduje dom za cudze pieniądze, ten jakby grobowiec sobie budował.

Pisziesz, że Łukasz, teraz już ksiądz, będzie wam ślub dawał, co za szczęśliwy omen poczytujemy, bośmy widzieli, że jak u nas mieszkał – żył tak, jakby siebie samego od nowa tworzył i drogę sobie budował, po której teraz idzie. Pozdrawiamy ciebie i jego i niecierpliwie czekamy na wasz przyjazd”.

*

Przeczytałem to wszystko raz i drugi i zamyśliłem się. Odległość dzieląca człowieka od człowieka jest względna; nie zawsze zależy od przestrzeni wyrażonej w milach, a bliscy sobie ludzie nie przestają być bliskimi, nawet jeśli w danej chwili znajdują się na przeciwnych krańcach świata. Myśl oraz wyobraźnia tworzą i budują mosty między ludźmi, ale zarówno jedna, jak i druga nie sprawia, że marzenie bez naszego udziału stanie się faktem. Czy wobec tego warto marzyć? Marzenia, nawet te ukryte głęboko w naszej świadomości, są drogą wiodącą do spełnienia pragnień i dają podniętę do czynu obiecującego nagrodę.

Ocknąłem się i schowałem listy do szuflady. Postanowiłem, że przed wyjazdem do Krakowa, kiedy już będę wiedział o terminie, napiszę jeszcze jeden list, a tymczasem tutaj zajmę się przygotowaniami. Trzeba też pomyśleć o prezentach dla wszystkich, nie zapominając też o sobie, bo nie uchodzi, żeby pan młody jak jakiś golec na własnym ślubie się prezentował.

Siedząc tak bez ruchu, nagle poczułem się zmęczony. Zdecydowałem, że wszelkie myśli o tym, co było i co będzie, zostawię na jutro. Jutro też będzie dzień.

[1] Karę na księdzu wykonano w dniu 3 grudnia 1349 r. Klątwa została zdjęta, gdy

król jako pokutę kazał wybudować ten właśnie kościół, pod wezwaniem św. Katarzyny.

To, czego jest mniej, ma większą cenę, co dotyczy również czasu, który wtedy zaczyna biec jakby szybciej, a my spieszymy się, żeby za nim nadążyć. Chociaż dzień wyjazdu do Krakowa był jeszcze dość odległy, to jednak coraz bliższy i moje życie też jakby zaczęło przyspieszać i ciągnąć mnie za sobą.

Czasy, kiedy bieda siedziała nam na karku, teraz wydawały się tak odległe jak księżyc na niebiosach, ale to nie pieniądze czynią człowieka majątnym, jeno sposób ich używania.

Powiększenie warsztatu wymusiło też lepszą organizację pracy: każdy miał swoją część obowiązków i wiedział, co, jak i na kiedy ma zrobić. Za poradą Łukasza odebrałem z królewskiej kasy wszystkie należne mi pieniądze, o czym go powiadomiłem, ale polecił mi je przechować u siebie, póki nie będą mu potrzebne. Z tej przyczyny miałem nieco obawy, bo tyle złota mieć w domu, to jakby kury w lichym kurniku trzymać, ale sporządziłem sekretny schowek, gdzie dobrze je ukryłem.

Zamówiłem okiennice do wszystkich okien, a teraz właśnie budują mi ganek przed drzwiami wejściowymi, co się przyda, zwłaszcza jak przyjdą śnieżne dni. Pogoda coraz częściej zapowiadała nadejście zimy. Błoto na ulicach znikło, wyschło albo zamarzło, poproszone od czasu do czasu śniegiem, a w drugiej połowie listopada zrobiło się już całkiem biało. Któregoś dnia w warsztacie pojawił się imć pan doktor Oczko z zapytaniem o książki. Pan Gałęcki zajmował się nimi z wdzięczności za pomoc żonie, więc sam przedstawił mu swoją robotę. Pan Oczko dokładnie je obejrzał, wyraził swoje wielkie ukontentowanie i powiedział, że księgi te na widocznym miejscu położy, żeby świadczyły o kunszcie rzemieślnika, który je wykonał. Pan Gałęcki odmówił przyjęcia zapłaty.

– Pozwólcie mi, panie, ofiarować wam ten mizerny dowód wdzięczności, chociaż niewspółmierny z tym, coście dla żony mojej zrobili...

Pan Oczko nie chciał na to przystać, mówiąc, że za pracę należy się zapłata. W końcu ustąpił, mówiąc jednak, że wobec tego jeszcze raz musi zbadać swoją pacjentkę, by sprawdzić, jakie zmiany zaszły w jej zdrowiu od poprzedniej jego wizyty, i że może to skutecznie zaraz, bo akurat ma trochę czasu. Zdziwił się, jak się dowiedział, że Gałęccy wyprowadzili się z Krzywego Koła na Rybaki. Gałęcki wyszedł razem z nim, aby mu służyć za przewodnika, a książki pan Oczko na razie zostawił, mówiąc, że je zabierze, jak będzie wracał.

Nie było go dość długo. Wrócił sam, gdy terminatorzy skończyli pracę i poszli do domu, a ja gotów byłem do zamknięcia pracowni i już tylko na niego czekałem. Ciekawy byłem, co stwierdził u pani Gałęckiej.

– Gdyby nie ta zmiana mieszkania, wkrótce na cmentarzu trzeba by ją odwiedzać. Odżyła, płuca ma w lepszym stanie, tylko to serce... Bywa, że przyczyna choroby już minie, ale jej skutki długo dają znać o sobie. A przyczyną było ciągłe jej zamartwianie się o dzieci i męża, jak również poczucie bezsily i beznadziejności. W chorobie dobre samopoczucie jest połową drogi do zdrowia, a druga połowa to walka organizmu

o przetrwanie, w czym pomocny może być lekarz, a przy tym czas i wytrwałość pacjenta. Jeśli pani Gałęcka będzie się oszczędzała i unikała zbyt dużego wysiłku, żyć może jeszcze długie lata i pociechy się z dzieci doczekać, bo teraz ma po temu warunki. Z tego, co mi powiedzieli, to wasza zasługa, panie Pawle, że tak im się życie odmieniło. Nachwalić się was nie mogli, dobroczyńcą swoim nazywając.

– A dzieci?

– Zdrowe jak rybki, a ruchliwe jak żywe srebro. Gdyśmy tam doszli, właśnie z psem po podwórku się uganiały. A pomysł mieliście dobry, żeby w takim właśnie miejscu się urządzać, gdzie z przyrody, powietrza i widoku przestrzeni można korzystać.

– Słyszałem, że z Krakowa wracacie, panie. A król czy zdrowy?

– Król... Każdy ma swoją świecę, ale obawiam się, że ta jego wypala się za prędko... No, pójdę już, bywajcie zdrowi. Za książki dziękuję, a jak wasze zdrowie znajdzie się w potrzebie, rad będę pomóc. – Głową jeszcze skinął, kapelusz poprawił, książki wziął pod pachę i poszedł.

*

Zapomniałem powiedzieć o paru rzeczach. Otóż ten prezent, co pani Józefowa na osiedliny mi ofiarowała, to był młody kotek. Nie widziałem jeszcze, żeby myszy u mnie zamieszkały, więc na razie największą z niego uciechę mają dzieci sąsiadów. Bednarz podarował mi dzieżę, a cieśla daszek nad studnią.

Zegar z wahadłem i wagami już wisi na ścianie, a jak na niego spoglądam, to jakbym na coś żywego patrzył. Wózek od stelmacha stoi w szopie, okiennice do okien będą lada dzień, a ganek w tym tygodniu też będzie gotowy.

Pan Jabłuskiewicz, złotnik, poradził, żebym przyszłej małżonce tylko pierścionek, nausznicę i łańcuszek z krzyżykiem sprezentował – i to jest racja. Tym, co najwięcej jest warte, jest to, co się nosi w sobie, a nie na sobie, żeby na pokaz jeno było.

I tak wszystko szło swoim trybem, a pod koniec miesiąca, kiedy już śniegi większe spadły, odwiedził mnie Łukasz. Może przez szacunek dla duchownej sukienki powinienem mówić ksiądz Łukasz, ale że zanim księdzem został, był dla mnie Łukaszem, takim w pamięci się utrwalił.

– Bóg z tobą, Pawle – powiedział na powitanie. – Nie zmieniłeś zdania, żeby sakrament małżeństwa z rąk moich otrzymać?

– Nie mam powodu zmieniać, a co?

– Bo ja wtedy będę potrzebował w tutejszej diecezji na dni kilkanaście zwolnić się z obowiązków, na co muszę mieć zgodę przełożonych. Trzeba też pomyśleć, czym dojedziemy do Krakowa. Jak śniegu nawali, na drodze mogą być zasy, trzeba się postarać o dobre konie i wygodne sanie. A w lasach, przez które droga prowadzi, wilki mogą być, więc i w broń zaopatrzyć się wypada. Może parę rusznic i oszczepów warto zabrać. Mogą się przydać, chociaż nie muszą.

Opowiedziałem mu co było w liście ostatnio otrzymanym, co się w rodzinie dzieje i że Dorotka ślubu życzy sobie w kościele św. Katarzyny.

– Dobrze. Ale ani ty, ani ona nie jesteście z parafii tego kościoła. Załatwienie tego biorę jednak na siebie. Mój stan kapłański prędzej pozwoli mi te kłody pokonać, jakie

mogą temu na przeszkodzie stanąć. Muszę też mieć zgodę tamtejszego proboszcza na zastąpienie go przy ołtarzu. Jeszcze coś. Ten rabin, o którym ci mówiłem, bawiąc w Warszawie, odwiedził mnie i opowiedział, że poszukuje tak zwanej Biblii kabalistów.

– Jakiej Biblii kabalistów?

– Ta Biblia w treści, oprócz części każdemu dostępnej, ma podobno ukryte informacje, poszukiwane tylko przez wtajemniczonych, co się zowią kabalistami, a na niematerialnych sprawach są skupieni i twierdzą, że pracują nad naprawą ludzkiego życia i świata. Kabaliści studiują właśnie takie tajemnice ukryte w Biblii, a należą do nich tacy mędrcy, jak Mojżesz z Leónu, Nachmanides i Izaak Luria, uczeń Mojżesza Kordowero z miasteczka Safeld w Palestynie. Ów Izaak Luria ma nawet przyjechać do Polski[1], bo u nas spodziewa się znaleźć tę Biblię z komentarzem kabalistów. Mojżesz Kordowero chciałby przy ich pomocy zło wypłenić i zepsuty świat naprawić.

– Ciarki mi po grzbiecie przechodzą – rzekłem – jak słyszę o takich, co wedle swojego pomysłu świat chcą poprawiać. Świat sam z czasem potrafi swoje nieprawości uładzić, jeśli ludzie w tym nie będą mu przeszkadzać. Historia uczy, że już byli tacy, co zburzywszy stare ołtarze, nowych nie mogli zbudować i stary porządek zastąpili nowym – gorszym, ale własnym. A ty wierzysz w kabały, kabalistów i ich Biblię?

Łukasz wstał i przeszedł się po izbie, palce z tyłu zaplótłszy, i w podłogę patrząc, zamyślił się.

– Są na świecie rzeczy nie do wiary, które jednak są – rzekł wreszcie. – Czasem wierzy się w to, czego nie ma, albo nie wierzy w coś, co przed samymi oczami stoi, bo oślepią nie tyle oczy, co rozum. Moja wiara czy niewiara nie ma tu nic do rzeczy.

Pomówmy teraz o tobie. – Tu rozejrzał się dokoła. – Widzę, że ci się wiedzie i parę książek własnych już masz na półce. Pokaż, niech zobaczę... A, *Żywot Ezopa Fryga* pióra Biernata z Lublina[2] w 1522 roku wydany... i *Żywoty filozofów* Marcina Bielskiego, nie wiem z którego roku, bo inkaustem zachłapano...

– 1535 – wtrąciłem.

– Szerokie masz zainteresowania. Ja prócz brewiarza i żywotów świętych nic nie mam, bo mi brak stałego kąta i miejsca, które mógłbym nazwać swoim... A pomyślałeś, jak w ciągu życia jednego pokolenia zmieniła się książka, nie tylko pod względem formy, ale też i treści? Gdy druk zastąpił gęsie pióro, zaczęły się pojawiać tematy przybliżające ludziom problemy, którymi żyją – czego wyrazem jest właśnie *Krótką rozprawa, Żywot człowieka poczciwego* – i dające nowe spojrzenie na świat. Objawiły się też historie rozrywkowe o Aleksandrze Wielkim i legendy Greków i Rzymian oraz tym podobne. Należą do nich także *Chronica Polonorum* Macieja Miechowity z 1519 roku, a też Stanisława Orzechowskiego *Annales*, o tendencji moralizatorskiej. Wszystkie zmiany i nowości przyjmujemy, nie sięgając myślą do ich istoty, a znajdując w nich pytania prowadzące do nowych pytań. – Milcząc, posiedział jeszcze trochę, zanim stwierdził, że czas mu iść.

Śnieg biały leżał, księżyc świecił, to i bez latarki się obeszło, jak Łukasza odprowadziłem do Rynku Nowomiejskiego, gdzie się rozstaliśmy. Wracając, myślałem, że chyba nie dotarło do mnie, o co właściwie chodzi z tą Biblią kabalistów, o której mówił

Łukasz.

Biblia, Pismo Święte, przesłanie Boże zawiera, a kto w niej szuka ukrytych znaczeń, zawsze coś dla siebie znajdzie. Jedno słowo może być różnie rozumiane, w zależności od tego, z jakim je połączymy, czego szukamy, o czym myślimy i co chcemy znaleźć. W ten sposób postępując, nie musimy Pisma Świętego wertować, bo w każdej książce możemy wybrać jakieś przypadkowe słowo, zestawzić je z innymi, jakie nam pasują, i mamy proroctwo nam odpowiadające. A do tego jeszcze, żeby w Piśmie Świętym czarów i zaklęć szukać, zamiast znaków obecności Boga? Próbować wpłynąć na losy świata – to tak, jakby morskie odmęty, wichry i burze próbować podporządkować naszej woli i wierzyć, że będą nam posłuszne.

Śnieg skrzypiał pod nogami, jakby wtórował moim myślom. W pewnej chwili przystanąłem i zapatrzyłem się w niebo usiane mrugającymi punkcikami. Gdy długo wpatrywać się w gwiazdy, otchłań, w której są zawieszane, zdaje się powiększać, przyzywać nas do siebie i gdybyśmy mogli, pewnie byśmy ku nim ulecieli. Przypomniało mi się, jak to, gdy byłem jeszcze dzieckiem, mama opowiadała mi o gwiazdach. Że kiedy na świat przychodzi nowy człowiek, anioł nową gwiazdę na niebie zapala. I świeci ona jaśniej albo ciemniej, w zależności od tego, czy go radość, czy smutek spotyka, czy dobrze, czy źle mu się wiedzie. A jak już komuś na zawsze przyjdzie zasnąć, anioł gwiazdę jego z kopuły niebieskiej zdejmuje i u stóp tronu Boga ją składa.

Która z tych gwiazd jest moja? A która Dorotki być może? Upatrzyłem dwie w pobliżu siebie tkwiące i postanowiłem, że te właśnie nasze będą, a ile razy w niebo spojrzę, poszukam ich, żeby zobaczyć, jak świecą.

Wtem, gdym tak patrzył na gwiazdy, zdało mi się, że gdzieś jakby kocię żałośnie miauknęło. Nadstawiłem ucha. Głos się powtórzył, a dobiegał spod krzaka w pobliżu ścieżki, teraz bezlistnego, pod którym coś ciemnego zaznaczało się na śniegu. Przeżegnałem się i już chciałem pospieszyć do domu, gdy to coś znowu pisnęło, aż ciarki mi po grzbiecie przeszły. Strach mnie trochę obleciał, alem pomyślał, że nie zaznam spokoju, jeśli nie zobaczę, co to jest. Jeszcze raz krzyż na piersi nakreśliłem i ostrożnie podszedłem do tego czegoś ciemnego.

Dziecko to było, ze cztery lata mające, skulone pod krzakiem i pochlipujące żałośnie. Czym prędzej na ręce je złapałem i pobiegłem do domu. Postawiłem je na podłodze, zapaliłem świecę i zastukałem do Gałęckich, co się już do snu szykowali. Pospieszyli zaraz do mnie i razem obejrzelismy to moje znalezisko. Jeślim się spodziewał, że będzie to dziecko bezdomnych nędzarzy, to prędko poznałem, żem się mylił.

Był to ładny chłopczyk o smagłej cerze, kędzierzawych czarnych włosach i takichże wielkich oczach, z których kapwały łzy i spływały po przestraszonej buzi. Odzież miał dostatnią, spodenki wpuszczone w cholewy czerwonych bucików, a na sobie kożuszek przepasany czerwonym pasem z dużą złotą klamrą z jakimś znakiem na sprzączce. Był bez czapki. Opowiedziałem, jak na niego trafiłem.

– Z ubioru sądząc – rzekł Gałęcki – na pańskie dziecko by wyglądał, gdyby nie to, że taki ciemny i przez to do Cygana podobny.

– Co on za jeden, później będziemy się dowiadywać – powiedziała jego żona. – Teraz trzeba dać mu jeść, pić i spać go położyć.

Dziecko płaczliwie powiedziało kilka niezrozumiałych słów.

– Po jakimu on mówi? – zdziwiłem się. – Po cygańsku, żydowsku czy jak? Może jakieś poselstwo ze Wschodu do Warszawy przyjechało i go zgubiło?

Pani Gałęcka rozpięła mu kożuszek i oto nowe dziwo. Miał on bowiem pod nim modry serdaczek nałożony na jedwabną koszulę, a na szyi złoty łańcuszek z zawieszonym na nim krzyżykiem. Dziecko patrzyło na nas niepewnie i znowu skrzywiło się do płaczu.

– Jutro dowiemy się, kim on jest – powiedziałem. Posadziłem chłopca na krześle przy stole i prędko postawiłem przed nim kubek mleka i skibkę chleba z masłem. Dziecko wypilo łyk, ugryzło kęs chleba i nagle kiwnęło się, o mało nie spadając z krzesła.

– Biedny, przecie on już śpi! I nic dziwnego, bo za dużo na raz spadło na takiego małego – mówiła pani Gałęcka. – Spać go prędko położyć!

I wkrótce chłopiec znalazł się w moim łóżku, ani wiedząc, kiedy został rozebrany. Staaliśmy nad nim, przyglądając się ciemnej główce na poduszce.

– I co dalej będzie? – zastanowiłem się, osłaniając dłonią świecę.

– A nic – rzekła pani Gałęcka – niech się wyśpi, jutro, jak się obudzi, pobawi się z moimi dziećmi, zanim się dowiemy, komu się zgubił.

I na tym stanęło. Oboje poszli do siebie, a ja tymczasem zgasilem świecę i po ciemku siedząc na krześle, rozmyślałem o tym dziwnym zdarzeniu. Wyobrażałem sobie, co w tej chwili czuje matka, jeśli chłopak ją ma. A że ma kogoś, kto o niego dba, nie można było wątpić, widząc, jak jest ubrany. Matka... a co czuje dziecko, które zgubiło matkę? Dziecko pozbawione matczynej miłości później może stać się człowiekiem niezdolnym do obdarzania nią innych.

Wziąłem świecę i osłaniając dłonią jej światło, zajrzałem do pokoju, gdzie spał malec. Leżał z na pół rozchylonymi ustami, ciężko oddychając, i od czasu do czasu niespokojnie poruszał głową i rękami, jakby śnił o czymś, co chciałby od siebie odepchnąć.

Ładne dziecko tworzy rodzicom jakby nieustający dzień świąteczny. Chwalą się nim, stroją je, pokazują, gdzie mogą, pobłazają mu we wszystkim, ale w ten sposób utwierdzają je w przekonaniu, że jest lepsze od innych, bo ładniejsze i przez to więcej mu się należy od życia niż komuś mniej ozdobionemu urodą.

Dziecko pozbawione ładnego liczka, jeśli w dodatku jest chore lub ułomne, ma ciężkie życie. Żyje jakby w cieniu innych i ma szczęście, jeśli trafi na dobrych i mądrych rodziców, przedkładających miłość nad walory zewnętrzne. Każde dziecko, jakiegokolwiek by było, potrzebuje miłości i akceptacji najbliższych. Kto tego nie rozumie – albo, co gorsza, nie chce rozumieć – ma zgniłe serce i kaleką duszę. Kto w dzieciństwie nie doświadczy miłości najbliższych, w przyszłości może być niezdolny do obdarzania nią innych.

Zgasilem świecę i położyłem głowę na opartych na stole ramionach, chcąc tak przeczekać do rana. Nie chciałem kłaść się spać, aby, gdyby dziecko się obudziło, nie przestraszyło się, że jest samo w obcym otoczeniu.

Ale nie dane mi było spokojnie spędzić nocy. Zaledwie zmrużyłem oczy, gwałtowne ujadanie Murka oznajmiło, że w pobliżu pojawił się ktoś obcy. Przy furtce majaczyły w ciemności trzy cienie widoczne na śniegu w świetle gwiazd. Był z nimi pies.

Stanąłem na progu, przy mnie zjawił się Gałęcki, też zaniepokojony.

– Coście za jedni? Czego chcecie?

– Dziecka zaginionego szukamy – odezwał się głos od furtki. – Powinno tu być, pies nas tu doprowadził. Wiecie coś o nim?

– Może i wiem. Co to za dziecko i czemu go szukacie?

– Cyganie jesteście, a dziecko to wnuk naszego pana. Pewnie wypadło albo wyskoczyło z wozu i zgubiło się, czegośmy zrazu nie zauważyli. Możemy je zobaczyć?

– Poczekajcie, zamknę psa, a wy swojego uwiążcie u płotu. Zamknąłem Murka w szopie i wpuściłem przybyłych na podwórko.

– Dziecko jest, ale nikomu go nie wydam, póki się nie upewnię, że ma do niego prawo. Przyprawdźcie matkę albo ojca, to się zobaczy. Porozmawiali chwilę po swojemu, po czym jeden odszedł w stronę miasta, zabierając ze sobą psa, a dwóch pozostałych wprowadziłem do siebie. Gestem dając znak, żeby byli cicho, zaprowadziłem ich do łóżka z dzieckiem, nadal śpiącym niespokojnym snem.

– To on, Juro. Pozwólcie, panie, zostać nam tutaj, póki się nie obudzi. Niedługo przyjdą tu matka i Roman Gero.

– Zostańcie, jeśli chcecie. A co to za jeden, ten Roman Gero?

– Jego dziadek, a nasz przywódca.

– Taki wasz niby król?

– Nie wiem, jak to będzie po waszemu, ale jego słowo dla nas jest prawem, a tego na następcę swojego chowa. Gdyby zaginał, ktoś by za to głową przyplacił. A wam, panie, dziękujemy, żeście się nim zaopiekowali i pozwolili nam zostać przy nim. Nie każdy Cygana w nocy do domu wpuści.

To prawda. Przypomniał mi się Cygan przywiązany do pręgierza za włóczęgostwo i teraz lepiej zrozumiałem niesprawiedliwość tego prawa. Cyganie z natury są wędrowcami, zawsze w drodze, nie mając dla siebie stałego miejsca. Karać ich za to, to tak samo, jakby ktoś karał ptaka za to, że lata.

– A czemu ten drugi się nie odzywa? Niemowa czy co?

– Bo nie umie po waszemu, chociaż trochę rozumie. Roman Gero tak samo. Jak przyjedzie, to będę tłumaczył.

Postawiłem kubki na stole, z antańka, co pozostał po osiedlinach, utoczyłem piwa i położyłem przed nimi chleb i słoninę. Zaraz wyciągnęli noże zza cholewy i wzięli się do jedzenia.

– Jak chcecie, panie, mieć dobrą słoninę do chleba, to trzeba ją uwędzić i powiesić na strychu. Jak tak powisi miesiąc, dwa, a zapaszkiem zdrowym nasiąknie – tu po brzuchu się pogłaskał – to dopiero słonina!

Ze dwie godziny tak nam zeszło. Na zegarze niedawno trzecia wybiła, gdy Murek, chociaż w szopie zamknięty, znów obcego poczuł. Tym razem przed bramą stanęły sanki zaprzężone w jednego konia, a z nich wysiadły dwie osoby, w tym jedna kobieta. Furman pozostał w saniach.

– To on, Roman Gero z córką, matką małego – powiedział Cygan, wyglądając przez okno.

Wyszedłem na próg i przybyłych zaprosiłem do domu. Roman Gero był

człowiekiem potężnej postury i sam jego wygląd i sposób bycia świadczył, że jest nie byle kim. Przystępując do mnie, skłonił głowę i powiedział parę słów.

– On pyta – przetłumaczył „mój” Cygan – czy może wejść i wnuka zobaczyć.

Mimo woli pomyślałem, czy miałyby to jakieś znaczenie, gdybym powiedział, że nie może, i pokazałem na otwarte drzwi. Otrzepali śnieg z butów i weszli. Kobieta przy ojcu wydawała się drobna, chociaż była prawie mojego wzrostu, a ja do niskich się nie zaliczam, ale staremu i tak nie wiem czy do pół głowy sięgałem. Weszli, rozejrzeli się, a widząc krzyż, oboje się przeżegnali, stary przy tym zdjął czapkę.

Zapaliłem nową świecę i pokazałem, gdzie śpi mały. Matka zaraz tam pobiegła i wkrótce na pół przebudzone dziecko tuliła i całowała. Dziadek był bardziej powściągliwy w okazywaniu uczuć, ale zauważyłem, że głęboko westchnął. Widząc, jak dziecko obejmuje matkę i cieszy się, nie miałem wątpliwości, kim są dla niego oboje. Matka zaraz zaczęła je ubierać, a dziadek usiadł przy stole i uważnie patrząc na mnie, coś zaczął mówić.

– Roman Gero mówi – usłyszałem tłumaczenie – że jest wdzięczny za poratowanie wnuka i opiekę nad nim i pyta, jak tę wdzięczność ma okazać.

Odrzekłem, że szczęście matki i dziecka, czego właśnie świadkiem jestem, za najlepszą nagrodę mi stanie i innej nie potrzebuję. Samego siebie miałbym w pogardzie, gdybym za to nagrody innej się spodziewał niż satysfakcji z dobrego uczynku. Więc niech wracają do siebie, a wspominając to wydarzenie, niech mnie zachowają we wdzięcznej pamięci.

Stary na to rzekł, że to dziecko jest przyszłością jego rodu, a tego nie można zbyć samymi jeno słowami o wdzięczności. Tu z palca pierścień zdjął i na stole położył.

– Jak kiedyś będziecie w potrzebie, znak ten jakimkolwiek Cyganowi pokażcie i powiedzcie, czego wam trzeba. On życzenie wasze przekaże, komu należy, i otrzymacie to. – To mówiąc, wstał i wziął od matki dziecko, całując je w czoło.

Kobieta nagle zdjęła z szyi złoty łańcuszek i w rękę mi wcisnęła.

– Ona mówi – usłyszałem – że ten łańcuszek szczęście przyniesie waszej żonie, jeśli ją macie albo kiedyś mieć będziecie, i sprawi, że dzieci wasze zawsze na życzliwych ludzi trafią. Niech go zawsze nosi na sobie. – Gdy „mój” Cygan skończył mówić, wszyscy wyszli, a wkrótce dzwonek na szyi konia dał znać, że odjechali.

– I co waszmość na to wszystko powiesz? – zapytałem Gałęckiego, obecnego w czasie tej wizyty. – Czy można brać poważnie tę gadkę o pierścieniu?

Wziął go do ręki i uważnie obejrzał.

– Czy można to brać poważnie? Myślę, że tak. Cyganie solidarni są między sobą, jakże inaczej mogliby przetrwać, zewsząd przepędzani? A przez to zobowiązani do wzajemnego wspierania siebie. Waszmość, posiadając ten pierścień, możesz być uznany za jednego z członków plemienia i przez to w razie potrzeby też liczyć na ich solidarność.

– Tak, to musi być złoto, a i robota piękna – powiedziałem, wkładając pierścień na palec. – Trochę za luźny dla mnie.

– Każdy złotnik go zmniejszy. Coś takiego godnie na palcu wygląda i powagi dodaje.

– Nie wiem, czy zechcę publicznie się z nim pokazywać. Może być i tak, że te znaki

na nim są dla jednych przyjazne, a dla drugich mogą być wrogie i nieprzyjaźnie ich do mnie nastawiają.

– Tego to bym nie powiedział. Ten Gero nie dałby czegoś, co by waszmości na kłopoty mogło wystawić, bo dziwny to byłby sposób na okazanie wdzięczności.

Poszedł do siebie, a ja pozostałem z myślą, że może prześpię te parę godzin, co do rana zostały, bo zmęczony byłem. Ale umysł, podniecony nadmiarem wrażeń, w napięciu mnie trzymał i przypominał o wszystkim, co w nim utkwilo.

Sięgnąłem po szachy, żeby schować je do szuflady, a w niej trafiłem na ten zeszyt kupiony na targu, więc wziąłem go do ręki. Przewróciłem kilkanaście kartek i trafiłem na kolejną opowiastkę.

„Będąc w Egipcie – czytałem – przypominałem sobie, że ponoć gdzieś żyje zwierzę jednorożcem zwane, mające postać konia z długim rogiem na czole, a będące symbolem czystości i niewinności. Chociaż miałem okazję o nim porozmawiać z osobami pochodzącymi z różnych stron, to nie znalazłem takiego, co by własnymi oczami go widział, chociaż wielu o nim słyszało.

Trzeba trafu, że przy jednej z takich rozmów był służący szejka, czyli jakby księcia arabskiego, co stał na czele swego plemienia. A miał ten książę piękny pałac i ogród przy nim, pełen różnych roślin i zwierząt. Otóż ten służący mi powiedział, że wśród różnych stworzeń tam żyjących jest i takie, co jeden tylko róg posiada, a zwierz ten z głębi Afryki, gdzieś z daleka, został sprowadzony, bo żyje wśród trawiastych równin, jakie tam są. Zapragnąłem to zwierzę zobaczyć, co bez trudności mi się udało, bo Arabowie, chociaż są innej wiary, to narodem są uprzejmym i gościnnym dla wszelkich wędrowców. Jednak jednorożec, jakiego tam zobaczyłem, zgoła nie był taki, jakiego sobie wyobrażano.

Potwór to był, gruby jak beczka, na mocnych nogach stojący, a długi na jakieś trzy duże kroki, bo nie odważyłem się go z bliska zmierzyć. Róg miał istotnie potężny, jeno nie na głowie, a na końcu nosa. A nie był to jakiś odmieniec natury, jak u nas na przykład kobieta z brodą albo cielę z pięcioma nogami, jeno przedstawiciel swojej rasy albo gatunku, bo podobno tam, skąd go sprowadzono, wiele jemu podobnych żyje. Z tego wynika więc, że ten, co jednorożca jako konia z rogiem na czole przedstawiał, albo nie wiedział, o czym mówi, albo o inne zwierzę mu chodziło.

Jakiś czas po tej wizycie w ogrodzie szejka znów zacząłem się zastanawiać i nad onym rogiem koniem, co może bajką był, i nad tym jednorożcem z rogiem na nosie – i w końcu doszedłem do wniosku, że może jedno wynika tu z drugiego.

Czy nie mogło być tak, że ktoś jeden, widząc takie nosorogie zwierzę, oznajmił, że w Afryce jednorożce żyją, a ten drugi, co słyszał, imaginacją się kierując, wyobraził je sobie jako konia z rogiem? Bo jak mógł sobie przedstawić, że rogi mogą urosnąć na nosie, skoro to głowa do tego jest przyrodzonym miejscem? Wyobraźnia ludzka nie ma wprawdzie granic, ale w każdej baśni ziarenko prawdy może się znaleźć, z którego ona wyrosła...”

Tu sobie przypominałem, że godłem naszego Nowego Miasta jest właśnie jednorożec, koń z rogiem na czole, wspinający się na zadnich nogach.

Pod wpływem tych myśli i zdarzeń zaszłych tego dnia długo nie mogłem usnąć. Wreszcie jednak powieki opadły i jakoś mi się to udało.

[1] Izaak Ben Szlomo Luria Aszkenazi (1534–1572) – kabalista. Do Polski przyjechał podobno w 1570 r.

[2] Biernat z Lublina (ok. 1460–1529). Najstłynniejsze jego dzieło to *Raj duszny*, uznawany za pierwszą drukowaną polską książkę. Drugim ważnym dziełem jest *Żywot Ezopa Fryga*, do którego dołączył zbiór wierszem bajek Ezopa.

Cygański pierścień pan Jabłuszkiewicz mi zmniejszył i teraz noszę go na środkowym palcu prawej ręki. Rysunek na nim w taki sposób jest wyobrażony, że można go też używać jako pieczętki do czegoś, co kiedyś może się przydać. Dni płynęły szybko, praca w warsztacie szła swoim porządkiem, więc po obliczeniu przychodów i rozliczeniu się z Perkusem, obaj z panem Gałęckim byliśmy wielce kontenci. Ponieważ zbliżał się czas wyjazdu do Krakowa, uzgodniliśmy, co w warsztacie trzeba najpilniej zrobić w czasie mojej nieobecności. Ale w kontekście wyjazdu nowy kłopot się pokazał: oto nigdzie nie mogłem nająć koni z woźnicą.

Ten, który woził moje listy do Krakowa, powiedział, że w święta będzie siedział w domu z rodziną i nigdzie nie zamierza się ruszać. Wprawdzie do Krakowa od czasu do czasu ktoś jechał, ale takiej okazji nie chcieliśmy szukać, żeby do nikogo nie musieć się dosiadać i być na czyjejs łasce, tym bardziej, że dwóch nas miało jechać i mieliśmy paczki do zabrania. Chodziłem więc markotny. Zaszedłem i do pana Sylwestra, żeby zapytać, czy nie mogłyby mi czegoś w tej sprawie doradzić, ale on też nie potrafił. W czasie tej rozmowy pokazał mi za to starą mapę Europy z Afryką, a tak zniszczoną, że trzeba było ostrożnie brać ją do ręki, żeby się nie rozleciała.

– Dziwne to – powiedział – że Afryka jest narysowana akurat do połowy, a dalej, na dole, jeno puste miejsce zostało. Papier ten w zakamarkach półek znalazłem, gdzie od lat nikt chyba nie zaglądał.

Ja też coś takiego pierwszy raz widziałem, ale coś mi się kołatało w pamięci, nie wiem skąd wzięte, że na ten temat już coś słyszałem. To mianowicie, że w dawnych czasach wśród żeglarzy panowało powszechne przekonanie, że przez równik nie można przepłynąć, bo morze tam się gotuje, co okrętom zgubą grozi, a też potwory różne na śmiałków czyhają i mapa ta z onego okresu musiała pochodzić[1]. Powiedziałem, żeby na razie mapy tej nie ruszać, a jak wrócę z Krakowa, na płótno ją ostrożnie nakleję, bo taką rzecz warto zachować jako pamiątkę dawnych czasów.

Od pana Sylwestra poszedłem do kowala, żeby mi nową siekiere zrobił i z nadzieją, że może słyszał o kimś, co konie z woźnicą wynajmuje, bo w kuźni różni tacy bywają; ale nie słyszał. Jak żeśmy sprawę mojej siekiery omawiali, jakoś dziwnie na mój pierścień zaczął zerkać, wreszcie zapytał, skąd go mam, więc opowiedziałem. On wydawał się tym wielce poruszony, jakby coś sobie rozważał, w końcu zapytał, ktom jest.

Dziwne wydało mi się takie śledztwo, ale powiedziałem, bo to nie żaden sekret. Następnego dnia rano, jak się właśnie do pracy wybierałem, Murek mi gości oznajmił. Przed bramę zajechały sanki, z których wysiadło dwóch ludzi, więc wyszedłem do nich. Byli to Cyganie. Powiedzieli, że przysłał ich Roman Gero i chcą pomówić ze mną, więc ich zaprosiłem do domu ciekawy, o co chodzi, a na rozgrzewkę najpierw szklaneczką miodu ich poczęstowałem, czemu nie odmówili.

Okazało się, że mój kowal jest Cyganem, a widząc pierścień i wiedząc, w jakiej jestem potrzebie, dał znać do przywódcy swego plemienia, a ten ludzi swoich do mnie przysłał, żeby dokładnie się wywiedzieli, czego i kiedy potrzebuję. Wielce mnie to

zaskoczyło, bom ani przypuszczałem, że stary Cygan taki słowny się okaże, a pierścień jego taką moc posiada.

Powiedzieli, że Roman Gero da konie, sanie i woźnicę, jeno mam powiedzieć, na kiedy mi tego potrzeba i jak wiele będzie osób do przewiezienia. Rzekłem, że jeno dwie osoby, a piętnastego grudnia najlepiej by mi pasowało i że po świętach do Warszawy też chcę wracać, ale niech mi powiedzą, jak będzie z zapłatą, bo nie chciałbym za podobną przysługę skąpym niewdzięcznikiem się okazać. Oni na to, że przyjadą jeszcze uzgodnić dokładny termin, o zapłacie zaś będzie mowa, jak do Warszawy powrócimy.

Pojechali, a ja nie mogłem wyjść z podziwu, że ta historia z cygańskim dzieciakiem, na którego przypadkiem się napatoczyłem, taką niespodziankę mi sprezentowała. Pan Gałęcki, jak to usłyszał, też głową kręcił i powiedział, iż z tego widać, że wdzięczność niektórych ludzi nie jeno gołym słowem się wyraża, a dobry uczynek dobrem do nas wraca.

Zaraz pospieszyłem zawiadomić o tym Łukasza i przy okazji powiedzieć, jak i z czego to wszystko wynikło, ale go nie zastałem, więc tylko wiadomość zostawiłem, że go szukałem, bo znalazłem woźnicę z sankami do Krakowa.

Przyszedł do mnie na drugi dzień po południu ciekawy, co i jak załatwiłem. Usłyszawszy tę historię o Cyganach, zaczął chodzić po pokoju, jakby z wrażenia miejsca nie mógł znaleźć.

– Niezwyčajne musiało to być dziecko i do niezwyčajnej rodziny należeć, skoro moc ona posiada, żeby się w ten sposób odwdziaczyć. I niezwyčajnymi możliwościami oni dysponują, skoro wdzięczność swoją tak mogą okazać.

– Zwłaszcza że z psem szukali, który i beze mnie do chłopca by trafił.

– Pewnie by go znaleźli, ale nie wiadomo, w jakim stanie.

– No, zobaczymy, jak to wszystko w praktyce się sprezentuje, jakie będą te cygańskie szkapy i jakie sanie, ale na bezrybiu i rak ryba. Jednak to wszystko razem jest takie niezwyčajne, że jakbym od kogo innego to usłyszał, posądziłbym go, że bajkę opowiada.

Siedząc przy stole, omówiliśmy wszystko, co się z podróżą wiązało, a przy tym przypomniałem sobie o tym łańcuszku, co go od matki dziecka dostałem.

– Teraz jest u pana Jabłuszkiewicza, który złoty medalik z Matką Boską ma do niego przyczepić, a później chciałbym, żebyś go na ołtarzu dla Dorotki poświęcił.

Wypiliśmy szklaneczkę miodu, jedną i drugą, co widocznie Łukaszowi język rozwiązało, bo opowiedział, czego był świadkiem.

– Byłem dzisiaj w szpitalu. Pokazano mi jednego, co na rozdwojenie osobowości cierpi. Na takiego mówi się, że to wariat. Oto za króla on się przedstawiał i wygłaszał przemowy o tym, jak trzeba królowi państwem rządzić, a co zdanie wypowiedział – to jakby żywcem wzięte z dzieła pana Frycza Modrzewskiego *Senator doskonały*. Obawiam się, żeby biedy sobie nie napytał, bo ktoś wielkiego mniemania o sobie, a małego rozumu będąc, pomyśleć może, iż człek ów wariata jeno udaje, żeby bezpiecznie powiedzieć, co ma nie tyle na języku, ile na rozumie. Wariat bez przeszkód może mówić, za co człowiek trzeźwy na umyśle mógłby na szubienicę pójść, a co najmniej z pręgierzem się zapoznać.

– A co sprawić mogło, że rozum postradał?

– Nie powiedziałbym, że rozum, bo tego wariatom nie brakuje. Nieraz mają go więcej niż niejeden taki, co za mądrego uchodzi, a wariat i głupiec to nie to samo. Słyszałem kiedyś, co imć doktor Oczko mówił o takim umyśle pomieszaniu. To mianowicie, że każdy człek ma dwie natury w sobie, jakby dwie osoby, jeno że zazwyczaj jedna tę drugą, w tej chwili utajoną w sobie, potrafi hamować, chociaż nie zawsze i nie w każdych okolicznościach. Zaś wariat takiego hamulca w sobie nie posiada i obie natury równe prawa w nim mają, toteż jedna w drugą łącno potrafi przechodzić, a wtedy nie rozeznasz, która z nich jest ta jego prawdziwa.

Dla nas człek taki uchodzi za pomieszanego na rozumie, ale dla prostego ludu prorokiem albo i świętym być może. A szczęście ma, jeśli ktoś gorliwy nie zobaczy w nim złego ducha, co przez niego przemawia, i ogniem nie zechce go z niego wypędzić. U nas też kiedyś był taki jeden, co sobie umyślił, że im wyżej zamieszka, tym bliżej Boga się znajdzie i w tym celu na dach kościoła św. Jana wlaźł. Ale noga mu się omsknęła, co sprawiło, że rychlej nisko na ziemi z Bogiem się spotkał, niż przódzi wysoko, na dachu.

– Ci co wieżę Babel budowali, też chcieli być bliżej Boga?

– Nie o to im chodziło – zaprzeczył Łukasz – jeno że w pychę się wbili, to myśleli, że jak nieba dosięgną, Bogu równi się staną, ale człekowi z Bogiem się nie równać. A zważ, jaką kolejną szła ludzka natura. Nieposłuszeństwo wobec Boga już w Raju wzięło swój początek. Potem zazdrość bratu na brata kazała podnieść rękę, stąd Kain piętno pierwszego zabójcy na sobie nosi. Pycha zaś podpowiedziała ludziom, że twór może mistrzowi swemu dorównać i wieżę do nieba im kazała zbudować.

Stąd wojny i niepokój na świecie się rozpanoszyły. Bo jak języki się pomieszały, to dogadywać się nie mogąc, stali się ludzie wobec siebie podejrzliwi, czy jeden drugiemu szkody nie chce przyczynić, a za wroga wypadło uważać każdego, co inaczej mówi. A później tego, co inaczej się modli, a przede wszystkim takiego, który ma to, co sami chcielibyśmy mieć. I tak to wszystko szło, jedno z drugiego wynikało, aż doszło do tego, co jest dzisiaj.

Pomyślałem, że jest sposobna chwila, aby powiedzieć, co od dawna miałem na języku – że właśnie też, jak historia świadczy, i w Kościele różnie bywało, więc rzekłem. O inkwizytorach i paleniu heretyków, co nie zawsze heretykami byli, o papieżach, co też wśród nich różni się zdarzali, jak Borgia na przykład, o zepsuciu w Rzymie, o niegodnych księżętach Kościoła i tak dalej.

Łukasz siedział zaszępiiony i nie przerywał, póki nie zamilkłem.

– To prawda – powiedział – zdaje się, że kiedyś już o tym mówiliśmy. Jednak musimy wiedzieć, że wszystko się zmienia, nic nie jest dane na zawsze, a stare prawdy, w które każą dzisiaj wierzyć, nowym czasom i prawdom muszą ustąpić miejsca. Aby jednak tak się stało, to jak za Mojżesza było: musi wymrzeć całe pokolenie razem ze swoimi wymyślonymi przez siebie prawdami, w które wierzyć nam każą jako w święte dogmaty, a nowemu, co nadchodzi, na przeszkodzie stoi.

Pomyśl jednak, że Kościół nasz do łodzi przyrównać można, co po oceanie życia żegluje. A na morzu różnie bywa, nie zawsze jest ono spokojne. I burze się zdarzają, co łódź chcą zatopić i na skały ją pędzą, żagle rwą i maszty łamią. A ster też nie zawsze właściwa dłoń trzyma, bo ludzie bywają różni, chociaż w ten sposób ludźmi nie przestają

być. A na pokładzie tej łodzi oprócz wiernej załogi, wielu takich przygodnych się nazywało, co patrzą na własną korzyść, jaką z tej podróży będą mieli.

A jednak – ciągnął Łukasz – ta łódź Piotrowa nie rozbiła się na skałach, nie utknęła na mieliznach, nie zbłądziła wśród bezmiarów oceanu. W niebezpiecznym czasie zawsze u steru znalazł się właściwy sternik, co wśród chmur gwiazdkę przewodnią wypatrzył i statek na właściwy kurs nakierował.

– O papieżu jeszcze coś chciałbym powiedzieć – wtrąciłem. – Czy nie myślisz, że tytuł ojca świętego jest mu dany jakby na wyrost? Żeby nosić miano świętego, przedtem na świętość trzeba zasłużyć czymś więcej niż nałożeniem białych szat na siebie, tiary na głowę i przybraniem tytułu jakby namiestnika Chrystusa na Ziemi?

Łukasz na to ręce rozłożył.

– Najwyższy kapłan Chrystusa musi mieć tytuł swój i godność ubioru, co by go wśród innych wyróżniała, znacznym pokazywała i nad nich wynosiła[2]. A teraz władający Kościołem papież Pius V dla zasług swoich słusznie w poczet świętych zaliczony został... No, czas na mnie.

Wstał i zaczął się ubierać. Jakiś przygnębiony mi się wydawał. Zapytałem, czy to skutek naszej rozmowy.

– Nie – odpowiedział, gdy mu to powiedziałem – dziś jest dziesiąta rocznica, odkąd matka moja do Pana odeszła. Do św. Anny pójde, świeczkę zapalę, na klęczniku przed ołtarzem godzinkę – dwie porozmyślę i pomodłę się za spój jej duszy. Samotność przyjazna jest w takiej chwili.

– Kościół już dawno zamknięty...

– Przez zakrystię wejde, klucze mam. No, ostań z Bogiem. Więc umówieni jesteśmy. We środę wieczorem przyjde do ciebie i razem poczekamy na te sanie.

*

Po tym spotkaniu pomyślałem, że niewiele wiem o Łukaszu. Tyle jeno, że miał takie życie, co więcej pod górę wiedzie. Był synem pańszczyźnianego chłopca, który we dworze za stangreta służył. Zdarzyło się, że razu pewnego, w zimie, z wizyty jakiejś wracając, dla skrócenia drogi pan kazał mu jechać przez zamrożone jezioro. Łódź się pod nimi załamała, konie i sanie utonęły, tylko ludzie się uratowali. A dalej było zwyczajnie. Pana do dworu zabrali, pod pierzynę wsadzili, wódką z korzeniami napoili, a zziębnięty i mokry chłop do zimnej chaty wrócił i dwie niedziele kwękał, zanim z tym światem się pożegnał.

Pan, jak wydobrzał, przypomniał sobie o swoim słudze i może markotnie zrobiło mu się na duszy, jak się dowiedział, że jeno krzyż na mogile i wdowa z synem po nim zostali. Pan nie był zły, powiedział, że chciałby coś dla nich zrobić, i wdowa go uprosiła, żeby syna, Łukasza właśnie, kształcić pozwolił. Pan, chociaż na początku czoło zmarszczył, spełnił jednak tę niezwykłą prośbę, a samą na posługi do dworu wziął i kazał jej dać lżejszą pracę.

I tak Łukasz znalazł się w Krakowie, a później matka do nas na stancję go przyprowadziła. Przez jakiś czas przychodziła do niego i z moją mamą o różnych jego potrzebach rozmawiała. Wreszcie Łukasz Akademię Krakowską ukończył i na długo się

rozstaliśmy. Nie wiedziałem kiedy matka mu umarła ani że księdzem został. Teraz też niewiele o nim wiem, choćby tego, z jakiej przyczyny na tę drogę wstąpił. Może go samotność tak do Boga przybliżyła, bo już nikogo z rodziny nie miał na świecie. Cóż, życie różnymi ścieżkami chodzi... Nie zawsze sami możemy je sobie wybrać...

Jest noc, leżę w łóżku i wpatruję się w mrok, rozjaśniony nieco śniegiem za oknem, odbijającym zimne światło księżyca. Rozszerzone źrenice dostosowały się do ciemności i dostrzegam zarysy sprzętów. Wzrok pada na ciemną plamę krzyża na jaśniejszej plamie ściany. Jest to prosty drewniany krzyż. Dlaczego obraz męki i cierpienia uczyniono symbolem odkupienia? Bardziej przemawia do mnie postać Zbawiciela zmartwychwstałego, takiego, jakiego widzimy na Wielkanoc, obok pustego grobu. Zwycięskiego, pogodnego, takiego, który zdaje się mówić całym sobą: „Spójrz, oto umarłem, a żyję, byłem w grobie, a zwyciężyłem śmierć! Jestem znakiem tego, że chociaż umrzesz, żyć będziesz!”.

[1] Dopiero wyprawy dla zbadania wybrzeży Afryki zorganizowane przez Henryka Żeglarza (Don Henrique Navegador, lata życia 1394–1460), syna Jana I króla Portugalii, zadały kłam tym pogłoskom, co później umożliwiło ekspansję morską. Henryk uważany jest za patrona rozwoju floty portugalskiej i początku nowych odkryć geograficznych.

[2] Tytuł „święty” w zwrocie Ojciec święty dotyczy funkcji sakralnej papieża, a nie jego osobistej świętości (Jan Wierusz Kowalski, *Poczet papieży*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1986).

Już późny wieczór nastąpił, jak Łukasz z kuferkiem podręcznym pojawił się na progu.

– Dowiedziałeś się, kiedy mają po nas przyjechać? – zapytał, sadowiając się za stołem.

– Podobno dobrze po północy. Chodzi o to, żeby zyskać na czasie i póki noc ciemna, przez wioski i miasteczka jechać, gdzie droga przetarta, i gdzie ją trudniej zgubić. A dalej, na bezludziu, gdzie wszystko może być zasypane, lepiej za dnia podróżować.

– Ciekawe, jak konie przejdą taki kawał drogi i gdzie staniemy na popas.

Chciałem właśnie zaproponować, żebyśmy przed podróżą trochę się zdrzemnęli, gdy Murek się odezwał, obcych oznajmując. Aniśmy się spostrzegli, ile w trakcie rozmowy czasu upłynęło, bo jak spojrzałem teraz na zegar, była już godzina po północy. Gałęcki też chyba czuł, bo zaraz z latarką w sieni się pokazał, żeby do bramy nas odprowadzić.

Widok sań miło nas zaskoczył. Były to małe, lekkie saneczki, przeznaczone najwyżej dla czterech osób. Koloru, o ile można było poznać przy nikłym świetle, czerwonego z żółtymi zdobieniami, zaprzężone we dwa niewielkie, ale dziarskie koniki.

Woźnica, okutany w gruby kozuch, bez słów uchylił kosmatej czapy, ulokował na przedzie nasze tobołki, otulił nam nogi futrzaną derą, wreszcie zasiadł na swoim miejscu, strzelił z bata i przenikliwie gwizdnął, a konie z miejsca poderwały się do żwawego kłusa. Dobiegło nas przytłumione „Szczęść Boże” Gałęckiego i zaraz ogarnęła nas noc, gdzie drzewa i zabudowania na tle śniegu wydawały się ciemnymi zarysami. Aniśmy się obejrzel, jak z brzękadłami przy uprzęży przemknęliśmy przez Warszawę i wyjechaliśmy za miasto.

Najlepsze, co teraz mogliśmy zrobić, to powierzyć się naprzód opiece Boskiej, a później woźnicy, od którego do tej pory żadnego słowa nie usłyszeliśmy. Dobrze byłoby się zdrzemnąć, bo aniśmy wiedzieli, któredy jedziemy. Ale łatwiej pomyśleć o drzemce niż rzeczywiście zasnąć, gdy umysł jest zaprzątnięty wrażeniem nowości, a myśli, rozproszone między tym, co było, co jest i co będzie, nie są posłuszne naszej woli. Człowiek będący w takim położeniu, chociaż oczy zamyka, to zaraz je musi otworzyć z ciekawości, jak go wiozą, chociaż wie, że w ciemności i tak niczego nie zobaczy.

Mróz trzymał, przez chmury poruszane wiatrem czasem prześwitywał księżyc i gwiazdy, a konie, jak trafiały na niewielkie zasy, przebijały się przez nie z rozpędu, nawet nie zwalnając kroku, wciąż biegnąc równym kłusem. Rytmiczny bieg końskich kopyt, poskrzypywanie śniegu pod płozami i monotony dźwięk dzwonków powoli zaczęły przytępiać wrażenie nowości i nie wiem jak Łukasza, ale mnie to w końcu uśpiło.

Gdym wreszcie otworzył oczy, już jasny dzień się obudził. Śnieg skrzył się w nisko stojącym słońcu, aż oczy bolały, mróz chyba jeszcze większy trzymał, a konie wciąż biegły kłusem, jakby nie czuły zmęczenia. Łukasz też nie spał, a widząc, że mam otwarte oczy, powiedział, żeśmy właśnie Grójec minęli.

Ledwo pomyślałem, jak jeszcze długo konie wytrzymają taki bieg, gdy woźnica

nagle skręcił w las, a tam niedaleko stało jakieś domostwo. Jak tam zajechaliśmy, rzuciło się do nas paru ludzi konie wyprzęgać i zakładać nową parę. Ledwo zdążyliśmy nogi wyprostować, oporządzić się i przegryźć chleba z kaszanką popitego grzanym piwem, a już nowy furman siedzący na koźle przynaglał nas do zajęcia miejsca.

I tak przebiegała dalsza podróż, a wrażenie było takie, jakbyśmy sztafetą jechali od jednej zmiany koni do drugiej, a nie pomnę, ile ich było. Dość powiedzieć, że konie były zawsze świeże i wypoczęte. Ten Roman Gero zaiste musiał być cygańskim królem, skoro na jego rozkaz taką podróż nam urządzono. Czasem stawaliśmy przy karczmie, jeśli się trafiła, żeby żołądki napełnić, a też inne zwyczajne potrzeby zaspokoić – i znowu w drogę. Trudno było rozmawiać, bo mróz gardło ziębił, ale trochę sobie z Łukaszem pogadywaliśmy, bo co do woźniców, to rzadko który znał inny język oprócz własnego. W rozmowach z moim towarzyszem wspomniałem między innymi o tej żydowskiej księżce, com ją w zamkowej bibliotece znalazł. Łukasza to zainteresowało.

– Jak wrócimy do Warszawy, muszę ją obejrzeć.

– To umiesz się posługiwać żydowskim alfabetem?

– Znam hebrajski, aramejski i grekę, o łacinie już nie wspominając. A w alfabecie hebrajskim litera nie jeno literę może oznaczać, ale też liczbą może być, a też mieć jeszcze inne znaczenie. Kabaliści i uczeni w Piśmie różnych ukrytych rzeczy tu się doszukują, czytając nie tylko słowa z liter złożone, ale też roztrzásając znaczenie każdej litery z osobna, a że przy tym różne znaczenia spośród wielu im się nasuwają, to wreszcie znajdują w słowach sens, którego się chcieli doszukać. Dobrym tego przykładem jest litera *Zajn*. Oznacza miecz, co można sobie wyłożyć w różny sposób, jaki nam lepiej pasuje: jako wojnę, broń nam zagrażającą albo którą my komuś możemy zagrozić. *Biblia Kabalistów* to Biblia przerobiona w taki dowolny właśnie sposób.

I tak sobie rozmawialiśmy dla skrócenia czasu.

Przyjemność z podróży polega także na tym, że w trakcie jej trwania nasze wrażenia wciąż się zmieniają, doznając coraz to nowej podniety. Ale to, co za długo trwa, zaczyna wreszcie nużyć. Więc gdy trzeciego dnia pod wieczór najpierw zobaczyliśmy z daleka wawelskie wzgórze z zamkiem, opromienione słońcem zachodu, a później wjechaliśmy między zabudowania miasta, coraz to większa niecierpliwość mnie ogarniała. Pragnąłem, żeby już wreszcie wszystkich swoich zobaczyć, uściskać, tobołki rozpakować i obdarować ich tym, co przywiozłem.

Nie pamiętam, czym wspomniał, że w Krakowie mieszkaliśmy przy ulicy Basztowej. Gdyśmy wreszcie dojechali na miejsce, chciałem zaprosić woźnicę na szklaneczkę, ale się wymówił, że czekają na niego żona i dzieci. Powiedział, że jak będę chciał wracać do Warszawy, to mam poszukać żebraka z drewnianą nogą, co siedzi pod Sukiennicami. Pokazać mu pierścień i dać kartkę z naznaczonym dniem wyjazdu, to się ktoś do mnie zgłosi, żeby omówić tę sprawę. Jeno żeby to było przynajmniej kilka dni wcześniej, bo na drodze trzeba przygotować konie na zmianę. Z życzeniem spokojnych i godnych Świąt dałem mu pół dukata, i tak się skończyła moja podróż do Krakowa.

*

Tak jednak w życiu bywa, że im ktoś sobie więcej radości obiecuje, tym większa

go żalność może spotkać, co też i nas nie ominęło. Zdziwiło mnie, że nikt nie wyjrzał, kto przyjechał, chociaż nasze okna na ulicę wychodzą, i że nie było w nich widać światła. Wzięliśmy więc, cośmy mieli ze sobą, zapukaliśmy i weszliśmy, nie czekając na zaproszenie. I cośmy zobaczyli? Matka z Dorotką siedziały przy piecu skulone, jak zmarznięte ptaki bezsilnie przycupnięte na gałęzi.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedział Łukasz, na co obie wybuchnęły płaczem.

Matka rzuciła się do mnie i przypadła do piersi. Ledwo zdążyłem ją podtrzymać, jak omdlała i obwisła mi w ramionach. Przenieśliśmy ją na łóżko, ale na szczęście omdlenie było krótkie i zaraz przysłała do siebie. Usiadła na łóżku i zaniósła się płaczem, a Dorotka opowiedziała, co się tu wydarzyło.

Otóż niedawno na sąsiedniej ulicy zapalił się dom. Ojciec właśnie tamtędy przechodził, a słysząc, że w środku jest dwoje ludzi w podeszłym wieku, pośpieszył na pomoc. Ale na ratunek było za późno, a na niego samego spadły płonące belki i tak go potłukły i poparzyły, że jak z tego pożaru go wyciągnęli, żył jeszcze tylko dwa dni. Pogrzeb był 15 grudnia, właśnie wtedy, gdyśmy z Łukaszem z Warszawy wyjechali. Dorotka, nie chcąc mojej matki zostawiać samej z jej nieszczęściem, zaofiarowała się zamieszkać z nią, póki ja nie przyjadę.

Jakimi słowami można opisać swoje uczucia po usłyszeniu podobnej nowiny, gdy zamiast spodziewanej radości spotyka nas żal i rozpacz? Nieraz można usłyszeć, że ktoś jest jak rażony gromem. Ale co innego słyszeć, a co innego – poczuć to na własnej skórze. Więc na razie staliśmy z Łukaszem, nie wiedząc, co powiedzieć, ale on pierwszy otrząsnął się z tego wrażenia.

– Cośmy w życiu mieli cennego – powiedział – najlepiej doceniamy, gdyśmy to stracili. Co wtedy powiedzieć, jakie słowa mogą być pociechą? Mówi się: Bóg dał, Bóg wziął, niech się dzieje święta Jego wola, ale do kogoś, komu Bóg właśnie wziął, nie zawsze te słowa docierają. W duszy rodzi się bunt: dlaczego to mnie, właśnie mnie spotkało? Czy tak musiało być? Otóż tak, widocznie tak musiało być, bo na wszystko, co ma początek, i koniec kiedyś przyjść musi. Ale insza rzecz – być na to przygotowanym, a insza to myśl, że to nie musiało się stać w taki właśnie sposób. Że Bóg jest okrutny, skoro nas tak ciężko doświadczył, a wtedy – cóż warto są słowa o Jego nieskończonej dobroci? Ale wtedy właśnie musimy wierzyć, że Bóg nigdy nie nakłada na nas ciężaru ponad nasze siły. A jeśli ugniemy się pod nim, jeśli się załamamy, to znaczy, że za mała była nasza wiara w Niego, zaś nieszczęścia, jakie na nas spadają, są dla nas nauką pokory. Pociechą niech ci będzie myśl, że nie zostaniesz sama. Masz syna, synową wkrótce mieć będziesz, z pewnością wnuków się doczekasz, co smutek ci radością wynagrodzą i staniesz się potrzebna, żeby do tych wartości, jakie rodzice im przekażą, i swoje dodać.

Nie wstyd mi się przyznać, że do łez, jakie z oczu matki i Dorotki płynęły, ja swoje dołożyłem, a i oczy Łukasza też nie pozostały suche. Usiedliśmy przy sobie, bunt przeciw woli Boga zaczął ze łzami spływać, zastąpiony bolesną rezygnacją.

Dopiero teraz zauważyliśmy, że ciemno się zrobiło. Dorotka więc zakrzętała się, oliwną lampkę zapaliła i rozpałała pod kuchnią, coś na niej stawiając. Żal żalem, ale życie ma swoje prawa.

– Trzeba nam będzie postanowić o przyszłości – rzekł Łukasz, przejmując inicjatywę.

– Tak, mam – dodałem – to, co się miało później zdarzyć, wcześniej się zdarzyło, więc i wcześniej będzie to, co miało być później. Pojedziesz z nami, ze mną i Dorotką, do Warszawy, a nie musimy mieszkać u obcych jak komornicy, bo własny dom na nas czeka.

Dorotka tymczasem krzątała się przy kuchni i wkrótce postawiła na stole talerze z kaszą jaglaną na mleku, chleb, masło i dzbanek piwa. Nawet matka nieco nałożyła sobie na talerz i łyżkę wzięła, łyzy ocierając.

– Wiele spraw nam przyjdzie omówić – rzekł Łukasz – ale przed snem nie czas na poruszanie takich tematów. Jedno sobie musimy uprzytomnić: co się stało, to się nie odstanie, i musimy w przyszłość spojrzeć. I nie tylko wierzyć, ale i mieć pewność, że podług woli swej zdołamy ją urządzić.

– To ja już pójdę do domu – rzekła Dorotka. – Ojciec tam sam siedzi i nie wie, co się ze mną dzieje.

– Odprowadzę cię, ale najpierw pokażę ci, co mam dla ciebie. – Wstałem i zacząłem rozwiązywać tobołki.

Pomimo żalości, na twarzy jej zagościł uśmiech, gdym na szyję włożył jej łańcuszek z medalikiem, do ręki dał pudełeczko z nausznicami i pokazał obrączki. Tylko pocałowała mnie w policzek i takie to było nasze przywitanie, chociaż na inne liczyłem. No i dobrze. Chociaż w stosunkach między nami taka skromność przesadną mi się zdała, to poczułem niejaki zadowolenie, że moja panna nie należy do tych, co się łatwo pozwalają ścisnąć i całować.

Jeśli miłość do złotego dukata przyrównać, to nie należy jej na groszaki rozmieniać, bo się rozejdzie i straci, nie wiadomo jak i kiedy. Matce sam nałożyłem na stopy ciepłe cizemki do chodzenia po domu, ale gdy materiał na suknię pokazałem, rozplakała się.

– Gdzie mi teraz o strojach myśleć, niech Dorotka to weźmie...

Tego, co dla ojca przywiozłem, nie pokazałem, żeby nowej żalości nie budzić. Przyszłemu teściowi krawieckie nożyce i brzytwa też mogą się przydać.

Dorotka mieszkała niedaleko, więc prędko tam doszliśmy. Wypadało mi wstąpić, żeby z jej ojcem się przywitać. Siedział przy stole z głową oparta na ręku, wstał, gdyśmy weszli. Był nieco młodszy od mojego ojca, ale skronie już mu zaczęły siwieć. Dołożył parę grubszych polan do pieca i wskazał mi krzesło.

– Na krótko tu wstąpiłem, jeno żeby się pokazać i przywitać, bo teraz matce jestem potrzebny, a też chcę podziękować, żeście Dorotce pozwolili towarzystwa jej dotrzymać.

– Cóż, jej teściową będzie, a ty moim zięciem, więc już teraz za rodzinę możemy się uważać.

– Są różne sprawy do omówienia, w związku z tym i z czym innym jeszcze, więc jutro zapraszam do nas. Ze mną przyjechał ksiądz Łukasz, którego może pamiętacie jeszcze jako żaka, a to mądry człowiek i niejedno może nam doradzić. A tych spraw jest kilka. Z warsztatem trzeba coś zrobić, o mieszkaniu postanowić, bo matki samej tu nie zostawię, z Dorotką przed ołtarzem chcemy stanąć, to też jakoś trzeba załatwić.

– Właśnie – smutnie pokiwał głową – jakoś załatwić... Kiedyś inaczej mówiło się o ślubie, o weselu, muzyce, tańcach, panna tygodniami się do tego szykowała, a teraz?

Jakoś załatwić i tyle będzie ze ślubu i wesela. Jak ci się teraz żenić, skoro dopiero zmarł ci ojciec i w żałobie jesteś? A Dorotka już dość się naczekała...

– Nie wiem, jak będzie, ale jak długo to można odwlekać? Księdza Łukasza trzeba się poradzić.

– Tak, ciężka to sprawa. Twój ojciec też trochę niedokończonej roboty zostawił, to zobaczę, co z tym zrobić.

– Jutro niedziela, to może przyjdziecie do nas po kościele? Dorotka, czy znajdzie się tam u nas coś do jedzenia?

– Znajdzie się – dziewczyna uśmiechnęła się – przyjdę i pomogę.

– No to pożegnamy się. – Wstałem, ale jeszcze o czymś sobie przypomniałem: – Nie wiem, jak to było z pogrzebem, czy może trzeba coś komuś zapłacić, a matki nie chcę pytać, żeby na nowo nie budzić wspomnień. Nie wiem też, gdzie szukać grobu ojca.

– Nic nikomu nie jesteś winien. Cech krawców majstrowi swemu godny pogrzeb wyprawił, kosza, jakie były, opłacił, zaś spoczywa twój ojciec na cmentarzu przy kościele świętego Marka. A, jeszcze coś mi wypada powiedzieć: skoro twoja matka i dla Dorotki ma być matką, to mnie chyba ojcem twoim wypadnie się nazywać? No więc – tu ręce rozłożył – uściskajmy się, mój zięciu!

Więc uściskaliśmy się i ucałowali. Jakoś dziwnie mi się na duszy zrobiło, bo dopiero co ojca straciłem, a już kogoś drugiego mam ojcem nazywać.

Wracając do domu, rozmyślałem, jak poplątały się moje sprawy. Dorotka też to wszystko przeżywała i w jej zachowaniu można było zauważyć zmianę. Nie była już taka pogodna jak wcześniej. Każda dziewczyna chciałaby mieć taki ślub, jaki sobie wymarzyła, a tymczasem – co? Żałoba w rodzinie cieniem się na życiu naszym położyła, ale wierzę, że nie wpłynie ujemnie na naszą przyszłość.

Spodziewałem się, że spędzę tu parę dni świąt już z małżonką u boku, w gronie rodziny, w radości i weselu, ale nic mnie już nie trzyma w Krakowie. Jak tylko nas z Dorotką ksiądz stułą połączy, zaraz do Warszawy możemy wracać.

Jak wróciłem do domu, matka z Łukaszem siedzieli przy stole i rozmawiali, pochyliwszy ku sobie głowy. Była już spokojniejsza i jakby zrezygnowana. Powiedziałem, że z przyszłym teściem się widział. Zapytałem matkę, jak się sprawa jego ożenku przedstawia, bo Dorotka podobno jest temu przeciwna.

– Była przeciwna, póki myślała, że z macochą pod jednym dachem zamieszka. Nie jest miło, będąc w domu gospodynią, spodziewać się, że będzie się musiało ustąpić komuś miejsca. Ale już skoro jest pewna, że ją weźmiesz, to woli, żeby ojciec się ożenił, niż żeby miał żyć sam z myślą, że został opuszczony.

– A ja – rzekł Łukasz – porozmawiam, z kim trzeba, jak urządzić sprawy ze ślubem, aby przeciw obyczajności nie było, że to młody żenić się chce, chociaż dopiero co w żałobie się znalazł. Myślę, żeby ślub cichy zrobić, jeno z najbliższymi.

– Jutro Dorotka z ojcem przyjdą – powiedziałem. – Zaprosiłem ich, żeby wspólnie o naszych sprawach uradzić. Powiedziała, że będzie wcześniej, to pomoże przygotować.

Matka na to głową pokiwała.

– Dobrze. Tak to jest... jedno odchodzi, drugie przychodzi...

– Jak się za kimś drzwi życia zamykają – rzekł Łukasz – to w niebie okienko się

otwiera, przez które Bóg pociechę zsyła na tych, co pozostali.

– Może jesteście głodni?

Obaj zaprzeczyliśmy, bośmy niedawno jedli.

– No to dobranoc, łóżka już na was czekają. Weźcie świecę i idźcie spać, a ja jeszcze sobie posiedzę. Pomodłę się, porozmyślam, wspomnę tego, z którym szmat życia przeżyłam. On teraz patrzy na nas z góry...

*

Trudno zasnąć, jak myśli poruszone niespodziewanym wydarzeniem sen odganiają. Coś trzeba będzie zrobić z mieszkaniem i warsztatem. Z matką i Dorotką uzgodnić, co do Warszawy chcą ze sobą zabrać, a co można zostawić i komu. A jak się z tym całym dobytkiem w sankach nie zmieścimy?

Nie wiem, czy Łukasz spał, czy myśli też mu spocząć nie dały, bo nie mając ochoty do rozmowy, nie chciałem się odzywać. I tak parę godzin zeszło, zanim sen powieki mi skleił.

Fundatorem kościoła św. Marka, zbudowanego jeszcze w XIII wieku, był Bolesław V Szczodry, który przy tej okazji sprowadził z Pragi zakon reguły św. Augustyna. Kościół kilka razy był odbudowywany po pożarach, a za każdym razem podobno coś w nim zmieniano.

Dzisiaj byliśmy tam na mszy: ja z matką i Łukaszem, Dorotka z ojcem. Jeszcze jako dziecko lubiłem ten kościół, a szczególnie podobała mi się ambona w kształcie serca ze złotymi i srebrnymi ozdobami, podtrzymywana od spodu przez skrzydlatego anioła.

Teraz, patrząc na nią, wspomniałem, jak kiedyś wyobrażałem sobie, że na niej stoję i ten anioł niesie mnie do nieba. Matka czasem musiała mnie napominać, żebym się tak nie gapił. Później się dowiedziałem, że ambona ten kształt zawdzięcza zakonowi Marków, których znakiem było serce z krzyżem. W tym kościele jest także wyobrażenie Golgoty w postaci krzyża, pod którym stoją Matka Boska i święty Jan.

Po nabożeństwie poszliśmy odwiedzić grób ojca. Jak niewiele zostaje po człowieku! Mały pagórek z wetkniętym wewnątrz drewnianym krzyżem, przysypany śniegiem, prezentował się niepozornie, wciśnięty między inne groby. Ale od cechu nie można wymagać, żeby zmarłym towarzyszom pomniki fundował. A co teraz mogłem zrobić, to pomodlić się, powspominać i świeczkę zapalić.

*

Przy obiedzie naturalną kolejną rzeczą pojawiły się sprawy wymagające omówienia, między innymi dotycząca warsztatu krawieckiego, zajmującego jedną izbę w naszym domu. Spodziewałem się, że to wszystko zostawię teściowi, ale on nie był pewny, czy zdoła się tym zająć, bo przypuszczał, iż może przeprowadzić się do Wieliczki, do przyszłej żony. Ponieważ sprawa była nagląca, bo i z mieszkaniem coś trzeba było zrobić, obiecał, że już jutro wczesnym rankiem pojedzie do Wieliczki. Zdecydują tam wspólnie z przyszłą żoną o najbliższej przyszłości, a do wieczora wróci i do moich propozycji się ustosunkuje.

Łukasz powiedział, że nie zwlekając, zajmie się sprawą ślubu – kiedy i gdzie się odbędzie. Dorotka stwierdziła, że już nie musi to być w kościele świętej Katarzyny, jak to sobie wcześniej umyśliła.

– Teraz jest inny czas, to i zamęcie moje będzie inne, a Pan Bóg i sakrament w każdym kościele ten sam jest – rzekła, ale widziałem, że łzy jej w oczach stanęły, jak to mówiła, i znać było w tych słowach jakąś rezygnację.

Łukasz powiedział, że zobaczy, co tu można zrobić, żeby po jej myśli się stało.

Mój teść – odtąd będę go tak nazywał, skoro już prawie nim jest – zainteresował się moim nagłym wzbogaceniem. Napomknął, że oto ledwie przed pół rokiem golcem byłem i ledwo wiązałem koniec z końcem, a już posesjonatem się stałem. Nie chciałem zbyt szczegółowo opowiadać, jak to się stało, bo mógłby pomyśleć, że Bóg wie, jakie skarby znalazłem i dla siebie chcę je utaić. Coś jednak trzeba było powiedzieć. Więc chociaż tajemnicę na razie chciałem zachować, to drzwi do niej trochę musiałem uchylić.

– Zdarzyło się, że przypadkiem naszemu królowi oddał pewną przysługę, za którą on z wdzięczności ze swojej szkatuły okazałą sumkę kazał mi wypłacić. Miałem też trochę odłożonych swoich pieniędzy, bo roboty mi nie brak. A też miałem szczęście, że właściciel domu pilnie chciał sprzedać, to i taniej wyszło.

Teść był ciekawy, co to za przysługa była tak hojnie nagrodzona. Jak się zastanawiałem, co powiedzieć, żeby nie za bardzo z prawdą się minąć, Łukasz pospieszył mi z pomocą.

– Przysługa warta była nagrody – rzekł, uśmiechając się – a są to rzeczy, o których na razie lepiej zamilczeć, bo nie są to sprawy publiczne. – I dodał, że jeno dwa dni będzie u nas mieszkał, bo w jednym z klasztorów będzie zastępował spowiednika i tam także kwatery otrzyma. Powiedział też, że jak nam ślubu udzieli, trzeba mu jechać do Starego Sącza i do Warszawy nie wróci, aż dopiero w połowie stycznia. Jednak póki nie wyjedzie, codziennie będzie u nas bywał.

Potem jeszcze raz poruszono sprawę ślubu, że chociaż wesela nie będzie, to przyjęcie dla świadków i drużbów jednak być powinno, żeby to wszystko nie wyglądało na byle jak urządzone. Dorotka wszystko już miała przygotowane, jeno teraz w rozterce była, czy w tych warunkach na białe może być ubrana.

Łukasz powiedział, że koniecznie na białe, bo nie może to być, żeby panna młoda z własnego ślubu wspomnienie żałoby wyniosła. Inne rzeczy tej sprawy dotyczące, póki wszystko nie będzie wiadome, postanowiliśmy odłożyć. Teść przy okazji zażartował, że dobrze jest mieć księdza w rodzinie, tak samo jak krawca, szewca i lekarza.

Musiałem też powiedzieć, jaki jest mój dom w Warszawie. Teść aż głową kręcił, jakby z niedowierzaniem, jak się dowiedział, że mam psa i kota, a jeszcze obszerne podwórko i szopę, gdzie jeśli zechcę, to i kozę albo świnkę mogę trzymać; a jak się przed domem stanie, to z daleka Wisłę można zobaczyć. Podzieliłem się uwagą, że kiedyś, gdy na nią patrzyłem, pomyślałem, że ta woda od Krakowa płynie i pozdrowienia od Dorotki mi przynosi. Jak ona to usłyszała, to bliżej się przysunęła i poszukała mojej ręki. Rzekłem jeszcze, że na Zamku bywam, gdzie książki z biblioteki dają mi do oprawy, że raz sam król mnie do siebie wezwał i rozmawiał ze mną, a królowie Annie modlitewnik oparłem i wiele jej zawdzięczam.

Kiedym to wszystko opowiedział, to zdało mi się, jakbym sam we własnych oczach urósł i niejaką dumę poczułem, że tyle już osiągnąłem, że nie lada chudopacholek i sroce spod ogona nie wypadłem.

Matka zapytała, czy w pobliżu mam życzliwych sąsiadów, z kim się znajomię, czy daleko na targ i do kościoła... i nagle rozpląkała się na myśl, że ma wyjechać z Krakowa.

– Jak ja tutaj to wszystko zostawię?! Te krzyże na grobach i miejsce, do którego przywykłam, i ludzi z dawna mi znanych, i ten dom, gdzie tyle szczęśliwych lat przeżyłam. Opuścić to, to jakby z siebie kawałek życia wyrwać. Dobrze mówią, że starych drzew się nie przesadza, bo na nowym miejscu będą usychać.

Łukasz na to żywo się odezwał, że do starego drzewa przyrównać jej nie można, bo i jeszcze spory kawałek życia może mieć przed sobą. I nie do obcych jedzie, jeno do syna i synowej. A świeże nieszczęście jest jak świeża rana, co potrzebuje czasu, żeby przyschnąć i się zabliznić. Na każdego musi przyjść pora, żeby ten świat opuścić i do

innego się przenieść, a nikt nie wybierze sobie czasu ani sposobu. Na tym właśnie jedna z mądrości życia polega, bo gdybyśmy to wiedzieli, cóż to by było za życie?

Tymczasem świece już do połowy się wypaliły i Dorotka z ojcem wstali, żeby się pożegnać.

– Więc jak powiedziałem, jutro wczesnym rankiem do Wieliczki pojadę i pewnie wieczorem wrócę, wtedy będziemy wiedzieli, co i jak. Jutro też przyjdzie tu czeladnik kończyć zaczęłą robotę, co jeszcze została.

– A jak się dostaniecie do Wieliczki?

– Jest tu taki, co konie ma i jak komuś potrzeba, to rzeczy albo ludzi wozi. Zaraz po drodze wstąpię do niego umówić się. No więc do jutra, ostańcie z Bogiem.

Odprowadziłem ich kawałek i nie omieszkałem skorzystać z okazji, by uściskać Dorotkę.

Na ulicy już po kostki trzeba było brodzić w świeżym śniegu, co od południa pomału nieprzerwanie padał niepopędzany wiatrem, jakbyś gęsi puch z nieba sypał.

*

Teraz czas zaczął biec tak szybko, że ledwo mogłem za nim dogonić. Teść wrócił z Wieliczki, ale na razie nie powiedział, co i jak tam załatwił, za to oznajmił nam, że Krakowa opuszczać nie zamierza, więc warsztat po ojcu i mieszkanie może przejąć i tutaj po naszym wyjeździe się wprowadzić. No i dobrze, jeden kłopot mniej.

Druga sprawa: termin ślubu i miejsce Łukasz załatwił tak, jak chciała Dorotka. W kościele św. Katarzyny i to już 23 grudnia, czyli pojutrze. Wprawdzie kościół na Pasterkę był już pięknie przystrojony, ale Łukaszowi u władz kościelnych udało się wyjednać zgodę na cichy ślub w tym dniu z warunkiem, że to będzie ślub cichy. Gdy okazało się, że mam niecałe dwa dni na przygotowanie się, jakbym z tego wrażenia jakiejś gorączki dostał i już nie wiedziałem, co najpierw robić, a co na później zostawić. Łukasz posłał mnie do Dorotki, żeby jej nowinę oznajmić, więc zaraz tam poszedłem. Ojca nie było w domu i sama drzwi mi otworzyła, a usłyszawszy datę ślubu, jak stała, tak usiadła, szczęście, że trafiła na stołek. I siedziała, patrząc na mnie, a ja spozierałem na nią – i tak się bez słowa na siebie patrzyliśmy.

– To już pojutrze ma być... Dziwnie się jakoś czuję, jak pomyślę, że ma się wreszcie stać to, co tyle czasu było odkładane. Żoną twoją będę nie tylko w myślach swoich, a ty moim małżonkiem. I życie mi się odmieni, i wszystko...

– Obojgu nam się życie odmieni. A niezwykajne to się teraz wydaje, bośmy jeszcze nie przywykli się żenić – rzekłem, nie bardzo sobie zdając sprawę z tego, co mówię.

– No, tylko brakuje, żebyśmy już byli tego zwyczajni. – Dorotka roześmiała się, a ja z nią, i zaraz inaczej na duszy nam się zrobiło.

Chwyciłem ją wpół i posadziłem przy sobie na ławie, nie wypuszczając z objęć.

– I teraz musimy pomyśleć, jak to wszystko urządzić. Szkoda tylko, że bez muzyki i tańców musimy się obejść. Ale i tak to będzie, jakbyśmy się oboje na nowo narodzili, a tym razem nie każde z osobna. Jutro muszę konie zamówić, a może jeszcze dzisiaj, bo do Świętej Katarzyny dość daleko. No i co to by była za uroczystość, gdyby na nią

piechotą trzeba było wędrować?

– To u Świętej Katarzyny będzie? – ucieszona klasnęła w ręce.

Dłonie jej w swoich zamknąłem, a że się nie wzbraniała, to głowy nasze jakoś ku sobie się zbliżyły. I to był nasz pierwszy prawdziwy pocałunek, tym słodszy, że długo czekali.

Wreszcie Dorotka wyzwoliła się z moich objęć i popatrzyła mi w oczy.

– A co ty we mnie widzisz? Sama wiem, że taka znowu za ładna to ja nie jestem. Może ładniejszą znajdziesz, a przylepną, to do niej serce zwrócisz?

– A ty? Gdyśmy byli rozdzieleni, wiele się mogło zdarzyć. Ponoć byli tacy, co się starali o ciebie?

– Już ktoś ci o tym powiedział? A był taki, był. Tatko nie bardzo wierzył, że w Warszawie ci się powiedzie i nie chciał, żebym w panieństwie uwiędła, to i oczy przymykał, jak ów cholewki do mnie smalił, a do warsztatu przychodził, żeby słodkie oczy do mnie robić i o sobie opowiadać. Ale ci powiem, że gdyby on jeden tylko na świecie był, to i tak bym się za niego nie wydała!

– Czemu? Bo za stary albo szpetny?

– Bo to był rzeźnik, a ja za rzeźnika bym nie poszła, bo bym się go bała!

– Więc ja lepszy, bo książki a nie świnie uprawiam, co?

Zaczęliśmy się przekomarzać, wtem w sieni ktoś zaczął nogi ze śniegu otrzepywać i zaraz na progu pojawił się ojciec Dorotki. Wesoly i zadowolony, jakby się trochę przynapił.

– Wiem już – rzekł, podając mi rękę – bo od was wracam i ksiądz Łukasz wszystko mi powiedział. Mało czasu mamy, więc trzeba pospieszać.

– Konie trzeba zamówić, żeby nas do kościoła zawiozły – powiedziałem.

– Jużem to zrobił, a dwie baby ugadał, żeby gościom usługiwały, jak z kościoła przyjedziemy.

– Jakie baby? Jakim gościom? Gdzie?

– Ech, młodzi! Konie im zamówić i już wszystko gotowe, już się żenić mogą! Nie wiesz tego, boś jeszcze się nie żenił... A z drużbami, świadkami i kto się tam jeszcze trafi, co zrobisz? Na progu kościoła ich zostawisz i powiesz: „Napatrzyliście się, pogapili, a teraz z Bogiem!”? Tak by ten ślub wyglądał, gdybym się sam za twoje sprawy nie zabrał. Nie może to być, żeby moja córka przed ołtarzem jak dziadówka jakaś miała stanąć!

Ojca żeś stracił, wiem, wiem, ale jużem to z księdzem Łukaszem obgadał, żeby wszystko po Bożemu się odbyło. Muzyki i tańców nie będzie i nikt pamięci twojego ojca nie uchybi. Ale nie pozwolę, żeby Dorotka na języki całego miasta się dostała, że to przed ołtarzem musi stanąć prędko i chyłkiem jak jaka przespanica, co się zanadto pospieszyła. Kto ma wiedzieć, niech wie, że majstrowa córka z paradą za mąż idzie!

– To gdzie to wszystko ma być? – zapytałem trochę oszołomiony.

– Jak to gdzie? A tutaj, u mnie! Miejsca dosyć, bo gości wiele nie będzie. Porachujmy: ty i twoja ślubna, ja, matka, ksiądz Łukasz, dwóch świadków, to razem siedem. Druhny i przyjaciółki panny młodej... Ile ich będzie? – zapytał córkę.

– Ze trzy, cztery, jeśli skromnie liczyć.

– Dlaczego skromnie? Niech będzie i więcej. A ty sam ilu chcesz zaprosić?

– Nie myślałem o tym. Chyba ze dwóch, trzech.

– Z cechu też ze trzech trzeba poprosić. Pogrzebem się zajęli i wdzięczną pamięć należy im okazać. To może ze dwadzieścia osób się zbierze. Będzie trochę ciasno, ale się przy stołach zmieszczą, bo miejsca do tańcowania nie potrzeba. Jutro od rana musimy się tym wszystkim zająć. Matkę też przyślij, jak się weźmie do roboty, to się od swoich myśli oderwie, co jej na zdrowie pójdzie. Jak stołów zabraknie, to od was weźmiemy, a stołki i ławy też musimy przygotować. Garnkami baby się zajmą i one też kupią, co trzeba.

– To trzeba policzyć, ile im dać na to wszystko...

– Nie ty będziesz liczył! Nie spod kościoła dziewczynę bierzesz, jeno z ojcowego domu! A sam patrz i ucz się, żebyś wiedział, jak się córkę za męża wydaje, bo może sam kiedyś trafisz na takiego zięcia niezgułę, jak ty. A sam jeno dopilnuj, żeby czegoś do picia nie zabrakło, bo co to za wesele, jak goście do pustych szklanek zaglądną, a dziwią się, że są one takie jakby suche...

Dobrze, że mój teść te sprawy wziął w swoje ręce, bo prawdę mówiąc, nie wyobrażałem sobie żadnego porządku tej uroczystości. Gdyby nie on – jakby to wszystko wyglądało? Z dziewczyną do kościoła pojechać, jako z małżonką z nią wrócić – i co? Ślub – nie samą formalnością, ale i przeżyciem być powinien.

Po pierwszym oszołomieniu wdzięczność poczułem, że ktoś za mnie pomyślał, żeby wszystko odbyło się godnie i jak należy, co niezbyt składnie wyraziłem.

– Boś głupi – odpowiedział – głupi, jak ośła noga! Wracaj teraz do matki, a jutro od rana oboje tu bądźcie, i to od razu z zakasanyimi rękawami! Ożenek – to nie taka lekka robota! A żony nie bierze się tak jak kurę z grzędą!

Zaskoczyło mnie takie obcesowe przemówienie, bo jeszcze nigdy tak się do mnie nie odzywał. Może to wypite piwo albo wino tak mu fantazji dodało? Ale musiałem przyznać, że było to tak, jakby ktoś pewną ręką lejce ujął, widząc, że niewprawny woźnica nie radzi sobie z końmi...

*

No i wszystko odbyło się tak, jak teść to sobie umyślił. Sanki i konie były przystrojone barwnymi wstążkami, woźnica miał pióro na kapeluszu, a cholewy butów świecące od sadła. A jak popędziliśmy do kościoła, ze strzelaniem z bata i brzękadłami u końskiej uprzęży, kto żyw z drogi umykał, a patrzył, kto to z taką fantazją jedzie.

Dorotka była zarumieniona jak pączek róży i szczęśliwa, bo już straciła nadzieję na taki ślub. Oczy jej się świeciły, a co na mnie spojrzała, to się uśmiechnęła. A ja to najbardziej cieszyłem się z tego, że ona się cieszy. Kobiety chyba jakoś inaczej i głębiej przeżywają swój ślub niż mężczyźni.

Gdyby nie Łukasz, ślub nie byłby taki piękny i uroczysty; przez całe życie będzie co wspominać. To on się zatroszczył, żeby wszystko miało taką godną oprawę. W stroju księdza wydał mi się jakby starszy i poważniejszy. A jak od nas odebrał przysięgę małżeńską, a ręce stułą złączył, wtedy poczułem, jakby i w duszy coś mi się zmieniło.

Było to – jakbym na szeroki ocean wypłynął, po którym oboje musimy uczyć się żeglować. Gdyśmy się z Dorotką pocałowali, twarz jej była mokra od łez, a ja też niewiele widziałem, bo to wszystko jakby we śnie mi się działo. Zapach świec, głosy dzwonów

i śpiewy, kwiaty – oszołomiło mnie to wszystko. Nawet później, gdyśmy życzenia przyjmowali, nie bardzo widziałem, komu rękę ściskam, z kim się całuję i kto mi wieszkuje.

A jednak... myśl jedna utkwiała we mnie jak drzazga. Oto jeszcze dziesięciu dni nie ma, jak ojciec w ziemi leży, a ja... Ale co innego miałbym zrobić? Wyjechać z matką do Warszawy, a Dorotce powiedzieć, żeby dalej na mnie czekała, aż po nią przyjadę, jak się żałoba skończy?

*

Później przy stole pilnowałem się, żeby za wiele toastów nie spełniać i pamiętać, żeby w porę szklankę przed sobą dnem do góry postawić. Miło mi było czuć przy sobie obecność Dorotki i pomyśleć, że czekanie się skończyło i teraz wspólne życie nas czeka. Nawet matka, ile razy na nas patrzyła, uśmiechała się, tylko oczy musiała często ocierać.

Łukasz siedział po drugiej stronie stołu, a jego sutanna i powaga kapłańskiej godności wystarczyły, żeby nie było za głośno ani za wesoło. Po paru godzinach, jeśli ktoś już miał coś mieć w czubie, to miał, goście po trochu do domów zaczęli się wybierać. Wtedy teść podszedł do nas z jakąś niewiastą i przedstawił ją jako swoją przyszłą małżonkę. Była to niespodzianka, bo jeszcze nikt jej nie znał ani wiedział, że na ślubie będzie. Miło się prezentowała – w średnim wieku, niewysoka i ładnie ubrana. Ucałowała się z nami i jeszcze raz nam powinszowała.

Teść zwrócił się do matki, mówiąc, że ma do niej wielką prośbę.

– Oto jest u mnie moja przyszła małżonka, a ponieważ po nocy nie będzie do Wieliczki wracać, u mnie ma zanoć, a samej jej nie uchodzi, bo przeciwko obyczajności by to było. Czy możecie, pani, przez tę noc przyzwoitką nam być, pod moim dachem z nią razem nocując, żeby zgorszenia nie było? A młodym samym ze sobą też będzie luźniej.

Domyśliłem się, że on już z góry to sobie ukartował, żeby mnie i Dorotce więcej swobody dać, za co wdzięczny mu byłem.

Matka powiedziała, że skoro tak, to ona nie jest przeciwna temu. Gdyśmy z Dorotką już do domu się wybierali, druźbowie, drużny i ktoś tam jeszcze zaofiarowali się, że nas odprowadzą. I odprowadzili, śpiewając po drodze różne piosenki, a gdyśmy już stanęli przed naszymi drzwiami, zaśpiewali chórem, jakby się umówili. Najpierw do mnie:

*To kóleczo na palcu
to są twoje kajdany,
Jak ptak byłeś swobodny,
dziś w niewolę pojmany!
Radujesz się, nieboże,
bo coś nieświadom, coś stracił,
Jarzmo-ś włożył na szyję,
jeszcześ za nie zapłacił!
Ej, wolnością zapłacił!
Rozległy się śmiechy i przekomarzenia, potem zaśpiewali Dorotce:
Śpiesz się, młódko, nie zwlekaj!*

*Łoże na cię już czeka,
za miłości przyczyną
wejdź w to łoże, dziewczyno!
Tam cię spotka kochanek,
byś oddała mu wianek!
Ej, paniński swój wianek! ...*

Dorotka chwyciła garść śniegu i rzuciła nim w rozśpiewaną gromadę. Przez chwilę ze śmiechem obrzucaliśmy się śniegiem, aż – skorzystawszy z dogodnej chwili – wciągnąłem żonę do sieni i zatrzasnąłem drzwi. Na dworze jeszcze się trochę pośmiali, pożartowali, pośpiewali i w końcu się rozeszli.

*

Czy to morze tak szumi? Płyną, płyną okręty, wznoszą się na grzbietach fal, nurzają się w odmętach... to odkrywcy szukają nieznanych lądów i dróg prowadzących do wysp szczęśliwych. A szukają nowych celów i doznań, zmęczone dobijają wreszcie do upragnionego portu, żeby w nim kotwicę zarzucić, odpocząć, nim na nowe poszukiwania wyruszą...

W taką jedną noc cały świat zda się zamierać. Wszystko, co nas nie dotyczy, traci znaczenie. Nawet zegary jakby przestają czas nam odmierzać, wstrzymując swój bieg... Szczęśliwi czasu nie liczą...

Jak rano oczy otworzyłem, Dorotka już nie spała i uśmiechnięta patrzyła na mnie. Na nowo chciałem ją przygarnąć, nagle zerwała się przerażona.

– O Matko Boska! Przecie to dzisiaj Wilia!

– No to co, że Wilia?

– A to, że nic jeszcze na nią nieprzygotowane! Pogrzeb, ślub, wesele, zamieszania tyle było, kto by miał czas o Wilii wtedy myśleć! Zaraz wstawać nam trzeba i do roboty się brać! Obróć się do ściany, bo ubierać się chcę!

– A co? Widzieć cię nie można? Żoną mi już jesteś!

– Żoną czy nie żoną, jeszcze się na mnie napatrzysz, ale teraz obróć się!

Chcąc nie chcąc, zrobiłem, co chciała, a wkrótce i ja się ubrałem. A przez ten czas Dorotka nie przestawała mówić:

– Teraz do ojca pojedziemy, tam wilia będzie. A co do roboty, to naprzód trzeba rybę na galaretę ugotować, żeby do wieczora miała czas się ściąć, szczupaka faszerowanego zrobić. Ryby wcześniej kupiłam i teraz w lodzie czekają. Pierniki i słodkie ciasto upiec, kapustę z grzybami ugotować, mak utrzeć... później rybę usmażyć... O, Matko Boska, ile to rąk na taką robotę trzeba mieć, a to przecie nasza pierwsza wilia będzie! Szczęście, że ta moja macocha... jeszcze nie macocha... jeszcze jest i może nie zechce dzisiaj do siebie wracać. Dobrze by było, bo też by pomogła, a twoja matka pokieruje robotą. A naszą następną wilię, to już ja sama zrobię...

Jak do ojca przyszliliśmy, już tam na nas czekano.

– No i co – zagadnął teść, kryjąc uśmiech pod wąsem – pamiętacie, co się wam tej nocy śniło?

– To się śniło, co się miało śnić – krótko odpowiedziała Dorotka. – Więc o co najpierw ręce zaczepimy?

– Ryba już się gotuje, a szczupak się rozmraża – powiedziała matka – miodu na piernik starczy, ale trzeba dokupić mąki i maku.

Okazało się też, że macocha Dorotki ma na imię Hanna.

– Hania przez święta u nas będzie – powiedział teść – to się dobrze składa, bo do roboty będzie was więcej.

– Jak to „was”?! – oburzyła się Dorotka. – A wy obaj to co? Oczami jeno robić będziecie?

– Jak będzie mąka, to ciasto na piernik zagniotę – zaofiarowała się pani Hania.

Więc pierwsze, co musiałem zrobić, to na miasto się wybrać i kupić, co mi kazano. Łukasz powiedział, że pod wieczór przyjdzie, ale na krótko, bo będzie miał swoje obowiązki i w klasztorze.

Matka, jak widziałem, jakaś była przygaszona, bo to będą pierwsze święta bez ojca, ale krzątała się żywo i mówiła, co, jak i kiedy trzeba zrobić. I tak, aniśmy się obejrżeli, jak przy robocie czas do wieczora nam zeszedł. Gdy Łukasz przyszedł, trzeba było tylko rybę jeszcze usmażyć.

Gdyśmy zasiedli do stołu, posiedzieliśmy chwilę w skupieniu, a mnie wtedy

w pamięci stanęły wszystkie Wilie, jakie w komplecie z rodzicami przeżyłem. Inni też swoje myśli i wspomnienia w pamięci przesuwali. Wreszcie Łukasz się podniósł, stół pobłogosławił i modlitwę zaczął odmawiać, którą za nim powtarzaliśmy. Teść, jako gospodarz, pierwszy z nami opłatkiem się przełamał[1] i życzenia zaczęliśmy sobie składać. Matka się popłakała, gdym jej ręce ucałował i do serca przycisnął. Teść do mnie i Dorotki podszedł, a w oczach coś mu się zaświeciło.

– A wam czego życzyć? Żebyście byli szczęśliwi, a dorobili się czegoś tam... niedużego... nie licząc, ile tego ma być... od nadmiaru nie zawsze głowa boli.

Później zaczęły się rozmowy na różne tematy. Podziękowaliśmy Łukaszowi, za taki piękny ślub, że aż do końca życia go zapamiętamy. Zapytałem też o koszta, jakie za to się należały.

– Niech to będzie mój prezent dla was – odpowiedział – a jeśli chcecie, to możecie do proboszcza pójść, jemu też podziękować, że miejsca mi przy ołtarzu ustąpił, i ofiarę na kościół złożyć.

Obiecałem, że razem z Dorotką zaraz jutro tam pójdziemy. Teściowi też podziękowałem, bo bez niego nijako by to wszystko wyglądało, a duże koszta na to wszystko musiał ponieść.

– A jeśli ojciec będzie kiedy w potrzebie – dodałem – na wdzięczność zięcia może liczyć.

Wtedy pierwszy raz ojcem go nazwałem, bo też prawdziwie po ojcowsku z nami postąpił.

On z kolei powiedział nam, że z Hanią jeszcze w karnawale planują się pobrać, a co ona swojego ma tam w Wieliczce, to sprzeda i do Krakowa się przeniesie. Więc znowu była okazja do składania życzeń i Dorotka bez żadnej urazy serdecznie się z nią ucałowała. A teść przy tej okazji wyraził nadzieję, że skorośmy tej nocy nie bali się sami spać, to i teraz nie będziemy, bo jak Hania przez święta tu zostanie, to i matka dalej będzie musiała z nią nocować. Dorotka, śmiejąc się, odrzekła, że z Pawłem żadne strachy jej niestraszne.

Wtem kołatanie do drzwi dało się słyszeć i do izby weszło czworo małych kołędników. Był anioł ze skrzydłami, król Herod w koronie, śmierć prześcieradłem okryta z kosą drewnianą i diabeł z czerwonym językiem, z rogami i ogonem. Pokłonili się na progu i zaśpiewali:

*Aniołowie wieść roznieśli po świecie;
oto dzisiaj narodziło się Dziecię,
co upadłych ludzi grzechy wymaże,
drogę świata do zbawienia pokaże...
Wszystkie ludy się Dzieciątku kłaniajcie,
pokłon niski, cześć Mu korną oddajcie,
a chociaż Go nie kryje królewska szata,
stoi królem nad królami Pan świata!
Pan świata...*

Dziecinne głosy trochę nieskładnie śpiewały, ale z przejęciem i widać było, że się dziecięta starały.

Później wystąpił Herod i zaczął aniołowi pięścią wygrażać. Wtedy śmierć kosą machnęła, król upadł, diabeł zaczął koło niego skakać, a poszturchiwać go. Wszyscy zaklaskaliśmy, a kolędnicy zakończyli:

*Za twe grzechy, przebrzydły Herodzie,
śmierć cię teraz kosą bodzie,
diabeł do piekła zaprowadzi
i do kotła ze smołą wsadzi!*

Wreszcie anioł spod szaty kobiałeczkę wysunął, kolędnicy się skłonili i popatrzyli na nas. Włożyliśmy do niej orzechów, pierników i ciasta, a ja każdemu po dwadzieścia groszy dałem. Dzieci, księdza widząc, podeszły i pocałowały go w rękę, a ten nad głową każdego krzyż nakreślił.

– A pamiętasz, Pawełku, te kolędę, którą ojciec tak lubił? – zapytała matka, gdy kolędnicy wyszli.

– „Gdzie nad szopą gwiazda świeci”?

– Tak, zaśpiewajmy ją. Może on teraz patrzy na nas z góry, to miło mu będzie posłuchać.

– To zaśpiewajmy razem – zgodziła się Dorotka.

Matka zanuciła z cicha, a myśmy się dołączyli:

*Czekana od tysięcy
We świat niosła się nowina:
gdzie nad szopą gwiazda świeci,
porodziła Panna Syna...
W pustym żłobie go złożyła,
gdzie bydłatka wokół stała,
rąbkiem szaty osłoniła,
a wół z osłem nań chuchały...
A pomiędzy prostym ludem,
między klękającym bydłem
w strojnych szatach idą króle
z mirrą, złotem i kadzidłem...
Okoliczny lud tej ziemi
zewsząd śpieszy z podarkami,
a maluczcy przed wielkimi,
a pasterze przed królami...
Niech radosny głos się niesie
nad łądami szerokimi,
chwała Panu na niebiesiach
pokój ludziom na tej ziemi...*

– Tak... – westchnęła matka – tak to jest.

– Czas na mnie – odezwał się Łukasz, wstając od stołu – moje owieczki też czekają z kolędami na swego pasterza. Jutro znowu przyjdę. Do których drzwi mam zapukać?

– A do moich – rzekł teść. – Na całe święta księdza wielbnego zapraszamy...

*

Dwa dni świąt przeleciały, jak z bicza trzasnął. Odwiedziliśmy z Dorotką znajomych, złożyliśmy wizytę proboszczowi od św. Katarzyny, z podziękowaniem i ofiarą na kościół. A jako że Hanna ciągle przebywała u swego przyszłego, a matka dotrzymywała jej towarzystwa, mieliśmy z Dorotką więcej czasu tylko dla siebie.

Łukasz pożegnał się z nami i pojechał do Starego Sącza, obiecując odwiedzić nas po powrocie do Warszawy.

*

Odszukałem żebraka z drewnianą nogą, pokazałem pierścień i wręczyłem kartkę. Przy tej okazji musiałem opowiedzieć teściowi, w jakich okolicznościach dostałem ten pierścień.

– Słyszałem kiedyś o jakimś cygańskim królu – powiedział – ale nie przypominam sobie, żeby się nazywał tak, jak ten twój. Kto by pomyślał, że Cygan taki honorowy się okaże. Z tego widać, że ludzi lepiej nie oceniać wedle tego, do jakiej nacji przynależą, a niejeden z naszych za twoją przysługę jeno „Bóg zapłać” by powiedział. A może i tego nie...

Zaprosiłem go z małżonką do Warszawy, kiedy mu będzie dogodnie, a on obiecał nas odwiedzić.

*

Po dwóch dniach przyszedł jakiś człek, do Cygana zgoła niepodobny, żeby zapytać, kiedy do Warszawy chcemy jechać, jak wiele osób i co ze sobą zabieramy – i umówiliśmy się na Nowy Rok.

W umówionym dniu sanie zajechały. Były większe od tych poprzednich, bo i więcej do przewiezienia było. Co się nie zmieściło w jednym kuferku i dwóch koszach, tośmy zostawili u teścia na przechowanie.

Spodziewałem się, że skoro do Krakowa trzy dni jechałem, to z powrotem tak samo będzie, ale srodze się przeliczyłem. Sanie były większe, to i ciężar na nich większy, przez to konie częściej stępa szły, niż klusem biegły. Miejscami przez zasy trzeba się było przekopywać, a jeden dzień w gospodzie zmitrężyliśmy, bo śnieżycy wielka się rozpełtała. Tak więc żeśmy ledwo żywi dopiero w dzień po Trzech Królach na miejsce zajechali.

[1] Tradycja łamania się chlebem w postaci cienkiego opłatka znana była od początków Kościoła, ale dopiero po latach stało się to zwyczajem związanym z wigilią.

EPILOG

Od czasu mojego przeniesienia się do Warszawy minęło dziesięć lat z okładem. Przez ten czas niejedno w Polsce, w Warszawie i w mojej rodzinie się zmieniło. Król Zygmunt August zmarł jeszcze w 1572 roku, pięćdziesiąt dwa lata jeno przeżywszy, a ponieważ potomka nie zostawił, na nim zakończyła się wielka i sławna epoka Jagiellonów[1]. Teraz panuje nam król Stefan Batory, książę z Siedmiogrodu, a panowanie objął po Francuzie Henryku Walezym. Henryk mógł być dobrym królem, bo zdolny był i odważny, ale najpierw naraził się szlachcie, odmawiając poślubienia Anny Jagiellonki, a potem chciał jechać okrakiem na dwóch koniach naraz, polskim i francuskim, co trudno było pogodzić. Dosiadł wreszcie francuskiego i czmychnął do ojczyzny, gdzie matka podobno coś godniejszego mu zapewniła.

Król Stefan Batory nie darmo w herbie ma trzy wilcze zęby. Już na samym początku panowania oznajmił, że chce być królem prawdziwym, a nie malowanym. Urodzonym żołnierzem jest i wojownikiem i właśnie szykuje się do wielkiej wojny z Moskwą. Szkoda, że jego małżeństwo z Anną nie jest szczęśliwe. Może dlatego, że jest od niej dziesięć lat młodszy?

Niedawno wysoka woda nowy most na Wiśle uszkodziła i trzeba go było naprawiać. Sama Warszawa też się powiększa, za Krakowską i Nowomiejską Bramą na okolice się rozciągając, a i na Rybakach, w moim sąsiedztwie, kilka nowych domów się pojawiło. Ale nie tylko domy miasto odmieniają.

Dnia 12 stycznia 1578 roku na Ujazdowie odbyło się pierwsze przedstawienie sztuki *Odprawa posłów greckich*, napisanej przez Jana Kochanowskiego, co było ważnym wydarzeniem, bo była to pierwsza sztuka napisana po polsku. Organizacją tego przedstawienia zajął się lekarz króla pan Wojciech Oczko, a zaszczylicili je obecnością swoją król Stefan Batory z królową Anną oraz dworem i różnymi dostojnikami. Szkoda tylko, że król, naszego języka nie znając, niewiele z tego teatru wyrozumiał.

Gałęccy już u nas nie mieszkają. Naszemu sąsiadowi cieśli Paciołkowi, jak gdzieś krokwie na dachu ustawiał, noga się omskła i tak nieszczęśliwie spadł, że kark sobie skręcił. Wdowa po nim zamierzała wyprowadzić się do rodziny i dom sprzedawała, a Gałęcki tak się zapalił do myśli, żeby go kupić, że na ten cel nieco grosza mu pożyczył, co mi teraz po trochu spłaca. Dla mnie to też jest wygoda, bo mieszkanie po nim matka moja zajmuje, która odżyła, jak wnuki na świecie zaczęły się pojawiać, a sama już świata za nimi nie widzi.

Widzę właśnie, jak trzech moich chłopaczków z patykami za Murkiem się ugania. Starzeje się psisko, ale jeszcze skore do zabawy. A najmłodsza dziewczuszka, na niepewnych jeszcze nóżkach, spódnicy matki się trzymając, do szopy zmierza na małe jagniątko popatrzeć.

*

Łukasz do Ziemi Świętej nie pojechał. Teraz oprócz swoich kapłańskich obowiązków jest profesorem i dzieci w szkole uczy. Mojego najstarszego synka, co ma

dopiero dziewięć lat, na ministranta już wyszkolił.

Po powrocie z Krakowa zaraz się wybrałem do Romana Gero z podziękowaniem za przysługę, ale go nie znalazłem. Podobno z całym swoim plemieniem gdzieś za granicę się przeniósł, podobno na Węgry albo na Wołoszę. Pierścień, który mi dał, zdjąłem z palca, nie zamierzając się nim już posługiwać, bo nie chciałem we własnych oczach przedstawić się jak ów, co pomocną dłoń od kogoś otrzymawszy, patrzy, czy w niej więcej czegoś dla siebie nie znajdzie.

Pan Sylwester już nie żyje, a biblioteką inni ludzie się teraz zajmują. Na brak pracy nie narzekam, bo coraz więcej książek się drukuje. Zakład nasz powiększyliśmy. Teraz mamy dwóch czeladników i pozłotnika Kotkowskiego, co od Perkusa do nas przyszedł, bo ten ostatni wrócił do Poznania, skąd pochodzi.

Żyje się nam nieźle z tego, co na bieżąco zarabiam. Resztę pieniędzy, co mi złoty orzeł przyniósł, razem z cygańskim pierścieniem i z tym co tam jeszcze było, do glinianego garnka wsypałem, smołą go oblałem i wespół go z Dorotką po cichu w ogródku pod jabłonką zakopaliśmy. Niech to na czarną godzinę będzie, jeśli taka przyjdzie, a jak nie, to w przyszłości dla dzieci się przyda. A teraz tośmy wszyscy pełni dobrej myśli na przyszłość i zdrowi. Oby dalej tak było, co daj Boże. Amen.

Ale to już inne pióro, w atramencie fantazji maczane, może kiedyś opisze...

[1] Właściwie to epoka Jagiellonów skończyła się na królowej Annie Jagiellonce, zmarłej bezpotomnie w 1596 r.

ANEKS DO INTRO LIGARE

Byłem przekonany, że historia pojawienia się na Zamku w Warszawie złotego orła opisana na poprzednich stronach książki na tym się zakończy, ale los chciał inaczej. W jednym z antykwariatów znaleziono będący pamiętnikiem niejakiego Antoniego Kiełsińskiego zeszyt, zawierający wyjaśnienie zagadkowego zaginięcia tego znaku rzymskich legionów. Oczywiście nie omieszkałem skorzystać z okazji, aby powieść uzupełnić dodatkiem do tej ciekawej historii.

Tytuł tego fragmentu pochodzi ode mnie, podobnie jak przypisy na dole stron.

WYJAŚNIENIE ZAGADKI ŻŁOTEGO ORŁA

(czasy Powstania Listopadowego)

Rodzina moja od kilku pokoleń żyła w Warszawie – w tych czasach Polska różne koleje losu przechodziła: od potęgi Jagiellonów przez wojny kozackie, szwedzkie i klęski rozbiorów, aż do namiastki państwa w postaci Królestwa Polskiego, utworzonego pod berłem Mikołaja I.

W owym czasie kiedy pamiętne tu opisane wydarzenia się rozgrywały, byłem zatrudniony w pracowni pana Schepcke[1] (mówiło się na niego Szepke), trudniącego się wyrobem zegarów i zegarków, a też konserwacją zegara na zamkowej wieży i innych, jakie wtedy były na Zamku.

Kiedy rankiem po Warszawie rozeszła się wieść o zamachu w Belwederze na wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza, brata cara Mikołaja I, który był jednocześnie królem Polski, dla tego, kto uważnie obserwował kierunek ówczesnej polityki kraju, nie mogło być wątpliwości, że do tego musiało dojść. Konstytucja, dająca pozory pewnej niezależności w postaci własnego wojska, administracji i szkolnictwa, łamana była zarówno przez cara, jak i przez jego urzędników. Wprowadzono cenzurę i tajną policję, a naczelnym wodzem wojska polskiego mianowany został Rosjanin Wielki Książę Konstanty.

Był on powszechnie znienawidzony. Po pierwsze – jako uosobienie rosyjskiego ucisku, a po wtóre, miał skłonności sadystyczne, był emocjonalnie niezrównoważony i lubił upokarzać wszelkich zależnych od siebie. W przystępie dobrego humoru mógł podzielić się z żołnierzem swoim obiadem, a jednocześnie, gdy był w gorszym, innego skazać na karę chłosty za niedopięty guzik munduru albo uderzyć w twarz oficera za nie dość sprawne jego zdaniem wykonanie musztry.

Żoną księcia była Joanna Grudzińska, dla której zrzekł się praw do tronu, poślubiona po jego rozwodzie z księżną Julią Sachsen-Coburg-Saalfeld. Małżeństwo z tą ostatnią, zawarte na życzenie jego babki Katarzyny II, nie było szczęśliwe. Co zaś do samej Joanny, która po ślubie otrzymała tytuł Księżnej Łowickiej, to opinie o niej były kontrowersyjne. Jedni uważali ją za zdrajczynię, bo poślubiła Moskała, inni chwalili za dobry wpływ, jaki miała na małżonka, hamując go w niektórych gwałtownych poczynaniach popędliwością kierowanych; podobno niejedną sprawę udało się jej załagodzić. Cóż, na podobne kwestie z różnych stron można patrzeć...

*

Gdy wiadomość o rozruchach dotarła do Zamku, gdzie właśnie się znajdowałem, pan Szepke powiedział, że warto by do Belwederu zajrzeć, bo tam, oprócz dwóch zwyczajnych zegarów wiszących na ścianie, jest jeden na stole księcia kamieniami drogimi nasadzany, i obawia się, że ktoś z gawiedzi, jaka w takim czasie może się tam znaleźć, mógłby się na niego połakomić, a nie wiadomo, czy teraz tam jest ktoś, co ma

nad tym pieczę.

Na to zaofiarowałem się, że mogę tam pójść i zobaczyć, jak się sprawy przedstawiają.

Na Krakowskim Przedmieściu ruch był większy niż zwyczajnie. Różni tacy zbierali się w grupki, coś między sobą omawiając, albo gdzieś szli, w sobie tylko wiadomych celach. Z rozmów przypadkiem zasłyszanych najpierw dowiedziałem się, że Konstantego zabito. Dalej posłyszałem, że jak spiskowcy biegli Nowym Światem, wzywając do broni i zemsty na Moskalach, to nie doczekali się większego odzewu, i że w zdobyciu Arsenалу i broni tam się znajdującej pomogła głównie ludność Starego Miasta.

Mówiono też, że spisek mający na celu zabicie Wielkiego Księcia był dziełem grupki podchorążych ze szkoły w Łazienkach, że generał Potocki[2] okazał się wiernym sługą Konstantego i z tego powodu śmierć poniósł, a generał Chłopiccki[3] nie pozwolił zatrzymać aresztowanych rosyjskich oficerów i kazał ich wypuścić.

W innym znów miejscu mówiono, że księciu Konstantemu udało się jednak ujść do swoich. W Warszawie było wtedy dziesięć tysięcy wojsk polskich, które były mu posłuszne, i tylko ich część stanęła po stronie spiskowców; a i rosyjskiego wojska było sześć tysięcy. Wszystko to razem wzięte nie najlepiej, moim zdaniem, wróżyło powstańcom, liczącym na powszechny zryw całego narodu. A jeszcze dalej słychać było, jak pomstowano na księcia Czartoryskiego[4], że razem z Druckim-Lubeckim[5] są przeciwni powstaniu. Nie obeszło się też bez innych ofiar: gen. Blumer[6] podobno zabity, bo z Rosją trzymał, a Lubowidzki[7] ciężko ranny. (Lubowidzkiego nikt chyba nie żałuje, bo w służbie carskiej był gorliwym naczelnikiem tajnej policji, szpiclem i prześladowcą Polaków).

I tak uszu nadstawiając, a coraz to przystając, żeby z kimś parę słów zamienić, już sporo sprzecznych wieści o spisku i spiskowcach nazbierałem, zanim wreszcie dotarłem do Belwederu. Co najistotniejsze, tamci, co powstanie zaczęli, nie pomyśleli, żeby zawczasu wodza sobie wybrać, który tym wszystkim pokieruje, i teraz są jak pszczoły w ulu, co robić chcą, a królowej nie mają.

Stanąwszy przed Belwederem, pierwsze co zobaczyłem, to dwóch cywilnych ludzi z bagnetami na karabinach, jak przy drzwiach rozmawiali z Piotrem, księżącym kucharzem, z którym się znaliśmy, bo nieraz rozmawialiśmy ze sobą, gdy tu do zegarów przychodziłem. Jak tylko mnie zobaczył, zaraz wołać zaczął, za głowę się trzymając:

– Co się tu działo, panie Kiełsiaciak, co się tu działo! Księcia Konstantego zabić chcieli!

– Było za co – wtrącił się jeden z tych dwóch, z wąsem czarnym, człowiek w sile wieku, wyglądający na rzemieślnika.

– Czy było za co, to nie my, a Bóg i historia kiedyś rozsądzi, stwierdzając, jakie tam racje były albo nie były – powiedział kucharz.

– A mnie się widzi – wtrącił się drugi, fajeczkę z ust wyjmując – że historia historią, a jeśli o sprawiedliwość chodzi, to pewniejsza jest ludzka niż Boska. A Konstanty ma, na co zasłużył. Po pierwsze, Moskwicin on jest, narzucony przez obcą władzę na wodza naczelnego polskiego wojska, a też z konstytucją się nie liczy, zabraniając tego, co nie jest z nią sprzeczne i naród gnębiąc, a przez tajną policję wszędzie węsząc spiski.

– Tajna policja nie księciu podlega – zaproponował kucharz – tylko panu Lubowidzkiemu, który jest jej naczelnikiem. On zaś sam tej nocy tu ciężko raniony, do szpitala był zabrany.

– A powiedzcie, panowie, co się tutaj działo? – zapytałem. – Wiem tylko tyle, co z plotek zasłyszanych po drodze, a plotkom wierzyć to jakby ślepy słuchał, jak mu świat opisuje taki, co sam niedowidzi.

– To ja powiem, bom wtedy był na miejscu, a to i owo też widział i słyszał – rzekł kucharz. – Otóż jak do drzwi zaczęto łomotać, adiutanci trzymający straż zaraz pobiegli budzić księcia. A kiedy oni bronili napastnikom wstępu, kamerdyner Kochanowski z lokajem Bartłomiejewem prędko pomogli mu dostać się na strych, gdzie go ukryli. Spiskowcy po całym pałacu biegali, wszędzie robiąc wielki rumor i bałagan, jak księcia szukali, ale go nie znaleźli. Wtedy ktoś zaczął wołać, że księżę już zabity, to się zbiegli, żeby go zobaczyć, ale się okazało, że to był generał Gendre[8], którego, jak biegł w stronę bramy, żeby pomoc wezwać, ktoś za Konstantego wziął i zastrzelił. Więc myśląc, że księżę też uciekł, rozbiegli się po okolicy, szukając go, ale nie znaleźli i zaczęli się rozchodzić.

A jak już to zamieszanie, się uspokoiło, przerażony księżę ze strychu zeszedł i schował się w pokoju księżnej Joanny, która dała mu swój płaszcz, bo w samej bieliźnie był, a potem Kochanowski z lokajem tylnym wyjściem ich wszystkich z pałacu wyprowadzili i tyle...

– Wszystkich, to znaczy kogo?

– Księcia z małżonką, jednego albo dwóch adiutantów i chyba dwie panny pokojowe księżnej, o innych nie wiem. A pan, panie Antoni, z ciekawości tu przyszedł, czy dla innej przyczyny?

– Mam sprawdzić, czy zegary na swoim miejscu się znajdują, a zwłaszcza ten, co jest u księcia.

– A to ja sam jużem o nim pomyślał, a że nikogo ze służby nie było, to na wszelki wypadek zamknąłem go w kredensie.

– No to my już pójdziemy – powiedział wąsaty, a ten z fajeczką mu przytaknął. – Trzeba zobaczyć, co na mieście i u naszych rodzin się dzieje...

– A dajcie tam komuś znać, że Belweder teraz nie ma żadnej ochrony, niech ktoś pomyśli, co z tym zrobić – powiedział kucharz.

Pożegnali się i poszli, a my obaj usiedliśmy na ławeczce pod krzakiem róży, teraz już bezlistnym.

– Kim byli ci dwaj? – zapytałem.

– Aaa, przyszło tu parunastu takich, co chcieli do pałacu zajrzeć, ale ich nie wpuściłem. Tych dwóch godniejszymi widziało mi się i byli uzbrojeni, to ich poprosiłem, żeby trochę pozostali, niby że to taka straż obywatelska. I zgodzili się, no ale teraz już poszli.

– A wy, panie Piotrze? Dlaczego zostaliście?

– A cóż mnie było robić? Nikogo prócz mnie tu nie zostało, a na łasce Boskiej tego wszystkiego zostawić nie można, bo jeszcze rozkradną. Posiedzę tu trochę, zobaczę, co będzie, może księżę Konstanty jeszcze wróci...

Wtem rumor i hałasy jakieś słyszeć się dały tak niespodzianie, żeśmy się obaj przestraszyli.

– To pewno w gabinecie księcia pana! – niespokojnie powiedział pan Piotr. – Trzeba zobaczyć!

Pobiegliśmy tam zaraz i pierwsze, cośmy w gabinecie zobaczyli, to leżąca na posadzce stłuczona kolumnienka, na której zawsze siedział złoty orzeł. Teraz orła brakowało. Na schodkach przy tylnym wejściu stukot dał się słyszeć, jakby ktoś tam uciekając, na progu się potknął, więc zaraz tam pobiegłem, ale tylko postać w ciemnej opończy z kapturem na głowie zobaczyłem, jak prędko od furtki się oddala, dróżką biegnąc w kierunku Wisły. Mogłem się domyślić, co trzyma w zawiniątku pod pachą, więc nie tracąc czasu, puściłem się w pogoń.

On tymczasem był już dość daleko. Dłuższy czas tak za nim biegłem, ale coraz mniejszą miałem nadzieję, że go dopędzę, bo on musiał być młodszy i zwawiej nogami przebierał. Wiedziałem, że jeśli dobiegnie do Wisły, a tam nietrudno o łódkę, to ucieknie. Obejrzał się, patrząc, czy ktoś za nim goni, i zdało mi się, że jeszcze przyspieszył.

Widząc, że już go nie złapię, zwolniłem i patrzyłem, co dalej będzie. On wreszcie dobiegł do brzegu i zdawało mi się, że jakby się o coś sprzeczał z człowiekiem siedzącym tam koło małego ogieńka, wreszcie odepchnął go, wskoczył do łódki stojącej na wodzie i powiosłował ku drugiemu brzegowi.

Odepchnięty zerwał się na nogi, złapał się za głowę i coś krzyczał. Jak już do niego doszedłem, uciekający był daleko na wodzie, a człowiek ów dalej za głowę się trzymał i tylko w kółko powtarzał: „Co on zrobił, co on zrobił, po co mu to było?!”.

– Co on zrobił, to widać – powiedziałem, podchodząc – a po co, to on wie... A czego chciał?

– Żeby go przewieźć na Pragę. Powiedziałem, że nie mogę, bo nie mam czym, to on, nie słuchając, odepchnął mnie i sam na swoją biedę do łódki wskoczył, zanim zdążyłem pokazać, że jest rozeschnięta i smołowania wymaga. – Tu pokazał na kociołek stojący na ogniu, a w nim była smoła, obok zaś leżał kłęb pakuł do uszczelniania. Do swojej biedy mu się śpieszyło... Kto to taki?

– Taki, co ucieka z tym, co nie jego.

– No, to nie uciekł daleko i sąd Boski rychlejszy będzie dla niego jak ludzki... Patrzajcie!

Tamten w kapturze nagle gwałtowniej zaczął wiosłować i coś krzyczeć, a my mogliśmy tylko patrzeć, jak łódka, będąca już na środku rzeki, coraz szybciej zaczęła się zanurzać, aż się całkiem schowała pod wodą. Przez chwilę widać było młóćące wodę ramiona, aż wreszcie wszystko znikło.

A Wisła dalej płynęła, lśniąc migotliwymi łuskami fal, coś tam do siebie szemrzająca, obojętna i spokojna, nieczuła na tragedię, która tu się wydarzyła, i nieświadoma, że oto w swej toni ukryła świadka minionych wieków.

Poczułem się, jakby mi w duszy coś zamarło. Mógłby ktoś powiedzieć, że co mi do tego, to przecież tylko kawałek złota o kształcie nadanym mu przez starożytnego artystę. To prawda, ale dla mnie to nie był tylko kawałek złota. Z tym złotym ptakiem związanych jest kilka wydarzeń dotyczących mojej rodziny, przekazywanych dla pamięci z pokolenia

na pokolenie.

Otóż prapradziad mój w czasach swojej młodości, a było to jeszcze za panowania króla Zygmunta II Augusta, gdzieś w podziemnych korytarzach, do których polazł powodowany ciekawością, na kości starożytnych rzymskich rycerzy się natknął, a przy nich był ten złoty ptak na drzewcu sztandaru osadzony, i wziął go ze sobą do Warszawy. Król się o nim dowiedział, a że mu się spodobał, zapragnął go mieć i kupił go, tego orła, od mojego przodka, dobrze płacąc. Suma otrzymana wystarczyła na kupno domu w Warszawie na Rybakach, gdzie rodzina moja od pokoleń zamieszkuje.

Dom, chociaż już nie ten sam, na dawnym miejscu stoi. A dla tego rzymskiego orła król kolumnkę wymyślił, na której kazał go osadzić. I niedługo dwieście sześćdziesiąt lat by przeszło od czasu, jak stał w królewskim pokoju, i stałby tam do tej pory, gdyby nie to, że księciu Konstantemu się spodobał i niedawno do Belwederu, gdzie mieszkał, kazał go zabrać. W złą godzinę, jak to się teraz okazało...

Ja orła tego nieraz miałem okazję oglądać, kiedy w sprawach zegarów się tyczących do zamkowych komnat chodziłem. A jak księżę wziął go do Belwederu, poszedłem do kancelarii się dowiedzieć, czy jakieś pokwitowanie tego dotyczące zostawił. Kancelista sprawdził w księgach i... nic nie znalazł.

Nie było zaś nie tylko tego pokwitowania, którego byłem ciekawy, ale – co nie do wiary mi się zdało – nawet śladu żadnego, żeby ten orzeł w ogóle na Zamku miał się znajdować. Czyli że według ksiąg ani orła tego, ani kolumny, na której siedział, nigdy na Zamku nie było. Jak to możliwe, że nie było tego, co nieraz przed oczami miałem? Urzędnik przypuścił, że może król sumę na to potrzebną z własnej kieszeni wyłożył, a wtedy, jako jego prywatnej własności, nie było co w urzędowe rejestry zapisywać. A księżę Konstanty, jeśli po prostu dał rozkaz, żeby tę rzecz na inne miejsce przenieść, to kto by mu się przeciwiał?

*

No i tak... Jeśli ktoś... kiedyś... może rybak jakiś... w sieciach swoich orła złotego znajdzie, może już nie dopatry się w nim jego dawnego kształtu, tylko pomyśli sobie, że oto szczęście mu się przytrafiło kawał złota wyłowić, i tyle.

Bo komu przyjdzie na myśl, że ta złota bryła, ileś tam czasu wleczona po piasku dna, sponiewierana przez toczące się kamienie i może pozbawiona już kształtu pierwotnego, niegdyś była dumnym ptakiem, prowadzącym rzymskie legiony do zwycięskich bojów...?

KONIEC

[1] *Daniel Schepcke* – zegarmistrz królewski, w XIX w. opiekował się m.in. zegarem na wieży zamkowej.

[2] Gen. Stanisław Potocki (1776–1830) – przeciwnik powstania, zastrzelony podczas zdobywania Arsenалу.

[3] Gen. Józef Chłopicki (1771–1854) – początkowo odmówił dołączenia się do spiskowców. Jednak 3 grudnia 1830 przyjął funkcję wodza naczelnego, a potem ogłosił się dyktatorem. Nie wierzył w powodzenie powstania.

[4] Książę Adam Czartoryski (1770–1861) – przeciwnik powstania, które hamował.

[5] Franciszek Ksawery Drucki-Lubecki (1778–1846) – wybitny reformator gospodarki, zwolennik zbliżenia z Rosją.

[6] Gen. Ignacy Blumer (1773–1830) – stronnik Konstantego, przeciwnik powstania; zginął w czasie walki o Belweder.

[7] Mateusz Lubowidzki (1787–1874) – znienawidzony zausznik ks. Konstantego, organizator tajnej policji, ranny w czasie ataku na Belweder.

[8] Aleksiej Gendre (1776–1830) – generał-major wojsk rosyjskich, zginął w czasie ataku na Belweder, wzięty za Wielkiego Księcia.